UNIVERSITY OF TORONTO
3 1761 00399943 0

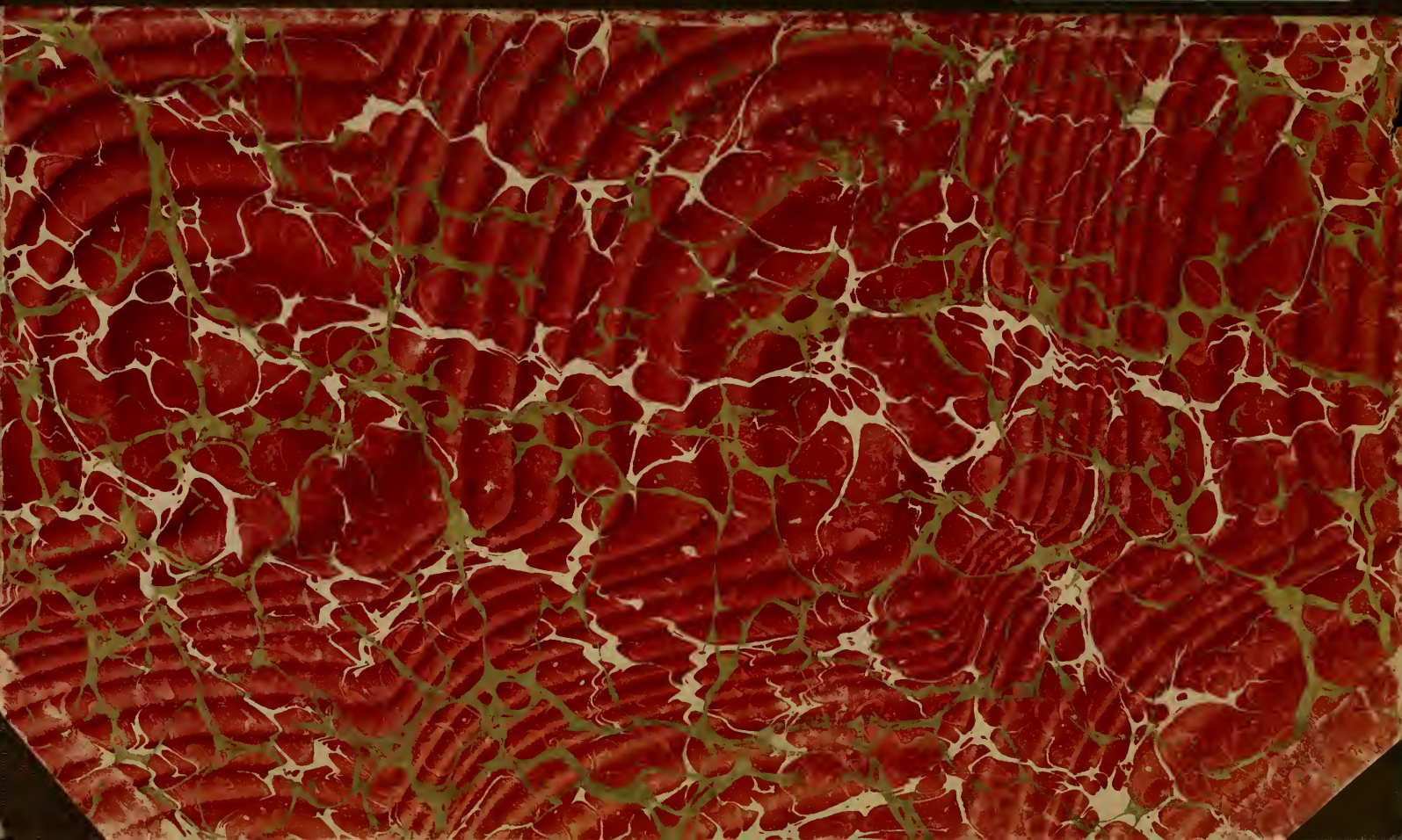

61/395
2 5.—

NA SCHYŁKU WIEKU.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 16 Августа 1894 г.

Teodor Jeske-Choiński.

Na schyłku wieku.

STUDYUM.

WYDANIE DRUGIE.

WARSZAWA.
W drukarni „Wieku“.

1895.

LIBRARY
MAR 23 1970
UNIVERSITY OF TORONTO

PN
45
J327
1895

Kuzynce mojej

Walerji z Łączyńskich Skrzyńskiej

studjum to, w jej domu napisane,

poświęcam.

Część pierwsza.

PRZYCZYNY.

I.

Królestwo wiedzy. — Lekceważenie sztuki. — Pozytywizm francuski. — August Comte. — Emil Littré. — Ewolucyonizm angielski. — Karol Darwin. — Materyalizm niemiecki. — Moleschott.—Vogt.— Büchner. — Haeckel.—Wspólne zasady pozytywizmu, ewolucyonizmu i materyalizmu.

Świat cywilizowany zbliżył się znów do dróg rozstajnych, które straszą zagadką nieznanych kierunków. Wszystko, co było, co przyświecało dojrzałemu dziś pokoleniu, zaczyna gasnąć, rozpływa się w błękitnej mgle przeszłości, co zaś będzie, tego jeszcze nikt wyraźnie nie widzi, określić nie może.

Co było?

Oto panowała w drugiej połowie bieżącego stulecia wiedza ścisła bezpodzielnie. Przed nią bito pokłony, jej wyrokom ulegano na wszystkich polach pracy ludzkiej. Ona zepchnęła filozofię ze stolicy nauki nauk; historyi, prawu karnemu, ekonomii politycznej i krytyce literackiej narzuciła swoje metody i cele, sztukę nawet opętała.

Któż nie pamięta owych radosnych okrzyków, podnoszonych na cześć wiedzy między rokiem 1850-ym a 1880-ym naprzód we Francyi, w Anglii, w Niemczech, a następnie

w reszcie krajów europejskich? Wiedza, to potęga, jedyna, najwyższa — głoszono bez końca w dziełach i dziełkach, w broszurach i broszurkach, w artykułach dziennikarskich i we wzmiankach reporterskich; wiedza oświeca, uszlachetnia, zbogaca — powtarzali za mistrzami prostaczkowie, nie pozostający w żadnym stosunku z nauką.

Wiedza była przez długi czas jako owa pokorna Cendrillon, — mówi Herbert Spencer — usuwająca się zawsze na stronę, ilekroć jej pyszne siostry chciały się pochwalić przed gośćmi fałszywemi błyskotkami. Ale przyszedł czas i na kopciuszka. Wiedza, ogłoszona za najlepszą i najpiękniejszą, zapanuje niebawem wszechwładnie.

Głównie sztuka wpadła w niełaskę mściwej panny Cendrillon. Bo cóż to takiego ta strojna jejmość, olśniewająca ludzi bez prawa i potrzeby? Płótna malarzów płowieją, rysują się, niszczeją; dzieła rzeźbiarzów rozsypują się w proch pod działaniem powietrza i słońca; utwory w końcu poetów przebrzmiewają razem z językami, któremi się posługiwały. Trwa tylko fakt naukowy, ten zaś wytwarza jedynie wiedza.

Tak wierzyli i wierzą prawie wszyscy uczeni drugiej połowy bieżącego stulecia.

Przyjdzie czas — twierdził Renan — kiedy „wielki artysta stanie się niepotrzebnym rupieciem (*une chose viellie*) ale uczony będzie rósł z każdym dniem.“ A na innem miejscu dodaje, że: piękno zniknie z postępem wiedzy. Panowanie rzeźby kończy się, podług autora „Życia Jezusa“, z chwilą, w której człowiek przestał chodzić bez ubrania; epopeę zabiła artylerya, znosząca znaczenie odwagi osobistej. Nie inaczej sądzili: Spencer, Strauss, a nawet Taine, chociaż jako estetyk z zawodu powinien był odczuwać i rozumieć istotę sztuki, której doniosłość znał lepiej od przyrodników i filozofów pozytywnych.

Bo i na cóż teologia, filozofia metafizyczna i sztuka, kiedy wiedza ścisła zaspokaja najzupełniej potrzeby ludzko-

ści? Wszakżeż przekonywał jeszcze niedawno temu Berthelot (w *Revue des deux mondes**), że wystarcza być dobrym matematykiem, fizykiem albo mechanikiem, aby zajaśnieć blaskami człowieka doskonałego. „Kto się nie uczył geometryi — prawi rozgłośny chemik — ten nie może posiadać dokładnego poczucia pewności“ (*sentiment rigoureux de la certitude*). Nauka ta daje człowiekowi „absolutną i fanatyczną cześć dla prawdy.“

A chemia, fizyka?

Wykład chemii i fizyki przyczynia się, zdaniem Berthelot'a, w najwyższym stopniu do podniesienia w młodzieży inteligencyi i wyrobienia w niej uczuć moralnych, dostarcza bowiem równocześnie „znajomości prawdy pozytywnej, polegającej na fakcie, stwierdzonym przez obserwacyę i ogólnych poglądów na przyrodę; nic zaś nie wszczepia w człowieka silniej od prawdy naukowej: skromności, powagi. niezłomnych i jasnych przekonań, zwalczających skutecznie próżność i egoizm na korzyść obowiązku.“

Cóż więc po teologii, filozofii i sztuce, kiedy geometrya, chemia i fizyka uczą człowieka cywilizowanego wszystkiego, co mu w życiu potrzebne?...

A nietylko kapłanów, filozofów i artystów zastąpi wiedza, lecz zagarnie nawet najwyższą władzę doczesną. Ernest Renan, zachwycony szybkim rozwojem chemii i fizyki, wołał (*Dialogues philosophiques*): „Siły ludzkości skupią się kiedyś w ręku szczupłej liczby osób, staną się własnością ligi, która zawładnie tajemnicami istnienia naszej planety i steroryzuje wszechświat. Z chwilą, gdy kilku uprzywilejowanych rozumu (*quelques priviligiés de la raison*) posiędzie środki do zniszczenia planety, rozpoczną się ich rządy. Owi

---

*) Zeszyt z dnia 15 marca 1891 r. „La crise de l'enseignement secondaire. La science éducatrice.“

uprzywilejowani będą królowali przez absolutny postrach *(la terreur absolue)*, od ich bowiem łaski lub niełaski zależeć będzie los ludzkości. Można nawet powiedzieć, że uczeni staną się bogami."

Więc wiedza czasów nowszych jest nietylko mistrzynią w krainie „faktów", ale wprost mocarką, jakiej dotąd świat nie widział. Z niej tylko tryskają zdroje ożywcze świadomości i moralności, do niej należy daleka przyszłość, jasna dla „uprzywilejowanych rozumu", a straszna dla ich poddanych, dla nieuczonych. Owym *primus in orbe, qui fecit timor* będzie odtąd nie Bóg teologów i metafizyków, lecz chemik albo fizyk...

Warto się przypatrzeć czarodziejce, która miała dokonać tylu cudów, spojrzeć w jej oblicze ponure, grożące ludzkości, w razie nieposłuszeństwa, katastrofą.

Uczeni drugiej połowy XIX-go wieku podjęli „piękne marzenia" ubiegłego stulecia. O czem śnili encyklopedyści francuscy, a dawno przed nimi Bakon z Werulam, to pragnęli wcielić pozytywiści, ewolucyoniści i materyaliści naszych czasów.

Wyprzedził ich wszystkich myśliciel, którego wiedza nie wynagrodziła natychmiast sławą, a dóbr doczesnych poskąpiła mu aż do samej śmierci. Nazwisko Augusta Comte'a nie zabłysnęło odrazu, jak Darwina, Spencera, a nawet Büchnera i wielu innych reformatorów niższego rzędu. Ubogi, utrzymujący się przy końcu życia ze składek uczniów i przyjaciół, bardzo długo nieznany, zajaśniał twórca filozofii pozytywnej dopiero przed samym prawie grobem. Pierwsza jego praca, zawierająca już główne zarysy całej teoryi, „System polityki pozytywnej" (*Système de politique positive*) ukazała się w r. 1823; główne dzieło, „Kurs filozofii pozytywnej" (*Cours de philosophie positive*), zaczęło wychodzić w r. 1830, a właściwe panowanie jego doktryn przypada zaledwo na rok 1850.

Uczniowie Comte'a nazywali go twórcą filozofii pozytywnej. Początkodawcą teoryi w ścisłem rozumieniu nie był; rozszerzył tylko, pogłębił i uporządkował, co inni przed nim obmyślili.

Na wartość wiedzy w znaczeniu dzisiejszem zwrócił uwagę już Bakon (*De augmentis et dignitate scientiarum*); ideę jednolitości nauk popierali d'Alambert i Condorcet, a od nich przejął tę samą zasadę bałamutny zkądinąd Henryk de Saint-Simon, którego wpływ osobisty oddziałał bardzo silnie na Comte'a, jak wykazali Emil Littré*) i Paweł Janet**). Wszyscy wogóle encyklopedyści francuscy i filozofowie indukcyjni Anglii należą mniej lub więcej do przodków duchowych znakomitego pozytywisty.

Wiadomo, że August Comte podzielił dotychczasową historyę człowieka na trzy okresy, mianowicie na: teologiczny, metafizyczny i pozytywny. W pierwszym tłómaczyła sobie ludzkość prawa dostępnego dla niej świata za pomocą cudu i istot nadprzyrodzonych, w drugim wzięła do pomocy spekulacyę filozoficzną, w trzecim dopiero spostrzegła się, że ani teologia, ani rwąca się ciągle przędza idei oderwanych nie doprowadzają jej do pożądanego celu, do upragnionej świadomości, więc, ograniczywszy badanie do objaśniania wszechświata z przyczyn wewnątrz niego spoczywających, dała za wygrane intuicyi i powierzyła się jedynie obserwacyi i doświadczeniu.

W tym okresie trzecim, który się właśnie, podług Comte'a, rozpoczął, szukać będziemy tylko faktów, odrzucimy zaś wszystko, co się nie da potwierdzić przez bezpośrednie postrzeganie, przez analizę, a w dalszym ciągu przez ekspe-

---

*) Emil Littré. „Auguste Comte et la philosophie positive", 1863 r.

**) Paul Janet „Les origines de la philosophie d'Auguste Comte" w „Revue des deux Mondes", rok 1887, tom 82-gi.

ryment. Ponieważ tak początek, jak koniec wszechrzeczy toną dla nas w nieprzebytej mgle tajemniczości, zakryte stanowczo dla oka śmiertelnika, przeto nie będziemy się męczyli daremnemi domysłami, lecz skupimy całą usilność mózgu na rzeczach, nie uchylających się z pod kontroli zmysłów i rozumu.

Nie wynika z tego wcale, abyśmy mieli zaprzeczać istnienia jakiegoś początku i końca, choć się o te zagadki troszczyć nie będziemy.

— Nie znając ani początku, ani końca — mówił Littré *) — nie mamy prawa twierdzić, jakoby ich nie było, ale równocześnie nie wolno nam głosić, że istnieją. Doktryna nie wie nic o inteligencyi boskiej i dlatego zachowuje się wobec niej obojętnie, nie przemawiając ani za, ani przeciw jej istnieniu.

Na tę właściwość doktryny Comte'a kładli jego uczniowie przy każdej sposobności nacisk, usiłując się w ten sposób odciąć od materyalistów i ateuszów, którzy nie uznają przyczyn, leżących po za materyą, i rozstrzygają sprawy, nie wchodzące w zakres obserwacyj i doświadczenia.

Nie trudno się domyślić, iż Comte, wyłączywszy z teoryi swojej z jednej strony teologię i filozofię metafizyczną, z drugiej materyalizm, mógł się tylko oprzeć na wiedzy, pojętej w rozumieniu nauk ścisłych, posługujących się metodą indukcyjną, te bowiem umiejętności odpowiadają najwięcej jego poglądom na zadanie i wartość filozofii.

Naukom matematycznym i przyrodniczym wskazuje sama ich natura obserwacyę i doświadczenie jako najlepszych pomocników. Astronom, matematyk, chemik, fizyk i botanik nie zaszliby daleko, gdyby chcieli wysnuwać wnio-

*) Emil Littré: „Transrationalisme“ w „Revue de philosophie positive“. Styczeń 1880 r.

sek z wniosku, zamiast patrzeć, ważyć, liczyć, porównywać, zapisywać i t. d.

I rzeczywiście pamiętał Comte w znanej klasyfikacyi nauk głównie o umiejętnościach ścisłych. Na czele postawił matematykę, dalej idą: astronomia, fizyka, chemia, biologia i socyologia.

Pozytywizm więc Comte'a, jako metoda naukowa, jest dalszym ciągiem, rozwinięciem zasad angielskich filozofów indukcyjnych i pewnej grupy encyklopedystów francuskich, nawiązaniem przerwanej przez wojny francuskie, przez Restauracyę i romantyzm nici, którą wiek XVIII-ty prząść zaczął. Jak jego przodkowie po duchu, wykluczył Comte z badań naukowych intuicyę, stawiając na jej miejscu bezpośrednią obserwacyę i doświadczenie.

Jako światopogląd sąsiaduje pozytywizm Comte'a bardzo blizko z materyalizmem, choć się tego towarzystwa wypiera. Nie zaprzecza on wprawdzie istnienia Boga i początku rzeczy, zwanego nadprzyrodzonym, nie jest ateuszem i jawnym zwolennikiem mechanizmu, ale wyraża się o teologii ispirytualizmie wszędzie z taką pogardą, że robi wrażenie, jakby sprzyjał po cichu starszemu bratu. O sprawach, przekraczających możność metody indukcyjnej, mówi rzadko i ostrożnie, ilekroć się jednak odezwie, zdradza zawsze pokrewieństwo z materyalizmem, co przytrafia się najczęściej Littré'mu, który uchodzi słusznie za najwierniejszą kopię mistrza.

Dla pozytywisty powinna być dusza nieznaną przyczyną myśli, obok której przechodzi się obojętnie, jak słusznie E. Caro zauważył *), nie można bowiem do niej zastosować probierzów, któremi nauka ścisła rozporządza. Tymczasem, chociaż pozytywizm nakazuje „neutralność“ wobec wszelkich

*) E. Caro: „Emil Littré“ w części drugiej p. t. „La philosophie positive, ses transformations, son avenir“ w „Revue des deux Mondes“, r. 1882, tom 51-szy.

zjawisk, podlegających obserwacyi, przychyla się mimo to Littré do poglądu materyalistów. W przedmowie do dzieła Leblais'a p. t. „*Matéralisme et Spiritualisme*“ nazywa duszę wyraźnie „funkcyą systemu nerwowego“. Nie dusza myśli, podług niego, lecz substancya nerwowa (*la substance nerveuse pense*), na co zgodziliby się chętnie niemieccy materyaliści w rodzaju Moleschotta, Vogta i Büchnera. Na innem miejscu *) przyznaje się Littré, że stoi w rzeczach psychicznych zawsze po stronie nie psychologów, lecz fizyologów i wyraża się stanowczo o istocie duszy, chociaż nie ma do tego prawa jako pozytywista prawowierny.

Zdawałoby się, iż Comte, stanowczy przeciwnik wszelkiej spekulacyi filozoficznej, a prorok faktu, usunie filozofię wogóle. Takby się należało spodziewać, filozofia bowiem przestaje istnieć z chwilą, gdy każą jej porzucić metodę metafizyki. Nie filozofią wtedy będzie, lecz wiedzą ścisłą.

Tymczasem zbudował Comte właśnie system filozoficzny, był w istocie głównie filozofem, z tą tylko różnicą, że uczynił swoją „naukę nauk“ zależną od wiedzy, żądając, aby się filozofia posługiwała nietylko rezultatami, ale i metodami nauk ścisłych. W nikanie w rzeczy, uchylających się z pod nadzoru obserwacyi i doświadczenia, nie jest, podług niego, zadaniem filozofii. Powinna się ona tak samo, jak wiedza, ograniczy na zjawiskach, dostępnych dla człowieka, powinna być „koordynacyą wiedzy pozytywnej“ (*la coordination du savoir positiv*), przedmiotowem zestawieniem i uporządkowaniem wyników pojedyńczych nauk.

Więc nie filozofię wogóle zwalczal Comte, lecz tylko metafizykę, zajmującą się, podług niego, zagadnieniami, które należy raz na zawsze wypędzić z badań naukowych. W ten sposób uczynił on filozofię służebnicą wiedzy, chociaż

*) „Revue de philosophie positive“ Styczeń 1880 r.

wierzył i uczył, że wyniósł ją do godności rzeczywistej „nauki nauk“.

W chwili kiedy August Comte składał w „Kursie filozofii pozytywnej“ główne wytyczne wiary naukowej drugiej połowy bieżącego stulecia, panował we Francyi nad duchami filozof wręcz przeciwnego kierunku. Eklektyka, Wiktora Cousina, wówczas w Paryżu słuchano.

Nieznanego reformatora nikt zrazu nie zauważył; dzieł jego, napisanych językiem ciężkim, trudnym do strawienia, nikt nie czytał. Kiedy się Comte dowiedział, że się Littré pragnie zapoznać z jego teoryami, był tą nowiną tak ucieszony, że posłał przyszłemu wyznawcy swojemu egzemplarz „Kursu filozofii pozytywnej“.

Ale głos nowicyusza, w kraju rodzinnym prawie niedostrzeżony, popłynął przez morze do Anglii i potrącił tam o mnóstwo dźwięków pokrewnych. W ojczyznie indukcyi odczuto w Comte'm natychmiast wspólnika i przyklaśnięto mu gorąco. Pozytywizm francuski oddziałał stanowczo na naukę i filozofię angielską czasów ostatnich. Wpływowi jego ulegli w mniejszej lub większej części: Bain, Bailley, Buckle, Darwin, Grotte, Lewes, Miss Harriet Martineau, John Stuart Mill, Herbert Spencer i w. in.

Stanowisko swoje we Francyi zawdzięcza Comte głównie usilności, z jaką Littré jego doktryny rozkrzewiał.

Poznawszy się z teoryami mistrza około roku 1840-go, przyswoił je sobie Emil Littré natychmiast i był przez całe życie najgorliwszym ich popularyzatorem, nie rzucając ich nawet wtedy, kiedy działalność ostatnich lat Comte'a nie pozyskała jego uznania. Littré nietylko wydał cały szereg komentarzów do „Kursu filozofii pozytywnej“ (*L'Analyse raisonnée du cours de philosophie positive*, 1845 r. *L'Application de la philosophie positive au gouvernement des sociétés* 1849 r. *Conservation, Révolution et Positivisme*, 1852 r. *Auguste Comte et la philosophie positive*, 1863 r. i t. d.), ale, co waż-

niejsza, bo skuteczniejsza, wyzyskał dla nowej doktryny stosunki, jakie go łączyły z dziennikami. Za pośrednictwem *National'u*, którego był stałym współpracownikiem, wprowadził pozytywizm na porządek dzienny rozpraw bieżących, pchnął go między masy przeciętnej inteligencyi, wydeptując dla niego szerszą ścieżkę. On też wydawał i redagował urzędowy organ pozytywizmu: *Revue de philosophie scientifique* (od r. 1857). Nie tyle utalentowany, oryginalny, ile pracowity, o czem zresztą sam wiedział i na co się skarżył *), Littré spełnił obok Comte'a posłannictwo ucznia, oddającego się na łaskę i niełaskę mistrza. Chociaż nie pochwalał ostatniej przemiany pozytywizmu w rodzaj religii świeckiej, którą Huxley nazwał trafnie „katolicyzmem bez chrześciaństwa“, nie sprzeniewierzył się mimo to jego głównym zasadom aż do śmierci. Jego spuściznę umysłową i stanowisko naczelnika szkoły odziedziczył Piotr Laffitte, obecny naczelnik pozytywizmu francuskiego.

I naszego kraju nie ominął pozytywizm, ale dotarł do nas dopiero wówczas, kiedy się we Francyi i Anglii jego panowanie zaczęło się chylić ku upadkowi. Począwszy od roku 1870-go mniej więcej, odgrywał u nas pozytywizm rolę hasła, pod które grono publicystów i dziennikarzów, znanych pod nazwą „młodych“ albo „pozytywistów“, podciągało wszystko, co miało do powiedzenia społeczeństwu. Dopłynąwszy do Warszawy, stracił pozytywizm po drodze swój charakter filozoficzny i naukowy, a zamienił się na reakcyę społeczno-literacką, zwróconą przeciw ideałom pokolenia, wychowanego w tradycyach romantyzmu. I u nas mówiono wprawdzie dużo o naukowości pozytywizmu, o wszechmocy wiedzy, o znaczeniu metody indukcyjnej, obserwacyi i eksperymentu, dysputy te jednak nie przekroczyły granic rozpraw polemicznych, przygotowawczych. Filozofa pozytywnego lub cho-

*) „Etudes et Glanures“, str. 425.

ciażby popularyzatora w rodzaju Littré'go, nasz ruch pozytywny nie wydał. Tu i owdzie odnaleźlibyśmy wpływ pozytywizmu w naukach ścisłych, głównie jednak przeszły jego zasady do literatury i prasy, od pewnego zaś czasu wsiąkają w życie, wytwarzając pokolenie nowe, zupełnie różne od „zapaleńców" z epoki romantycznej. Kilku studyów sprawozdawczych (Fr. Krupiński, 1868, Ziemba 1873), wyjaśniających znaczenie pozytywizmu i mnóstwa artykułów dziennikarskich nie można oczywiście zaliczyć do wiedzy.

Szerzej i silniej oddziałał na świat cywilizowany drugi mocarz naukowy bieżącego stulecia. Był czas, kiedy nazwisko Karola Darwina nie schodziło z ust ludzi wykształconych. Powtarzali je filozofowie i uczeni, teologowie i artyści, starzy i młodzi, pierwsi z oburzeniem, drudzy z zachwytem. I Darwin stanowił rodzaj sztandaru dla takich nawet kierunków, które nie pozostawały w żadnym związku z biologią.

Teorya Darwina, znana dziś powszechnie, odznacza się prostotą, w czem przewyższa zawiłą nieco, więcej złożoną doktrynę Comte'a.

Wiadomo, że przez długie wieki wierzono w stałość tak nieorganicznej, jak organicznej przyrody. Kiedy później badania geologiczne i paleontologiczne wykazały, że ziemia nie posiadała odrazu takiej postaci, w jakiej się nam obecnie przedstawia, lecz odbyła liczne przemiany, zanim doszła do stanu dzisiejszego, wówczas przyjęto hypotezę kataklizmów. Gwałtowne wstrząśnienia miały tłómaczyć fakty, przeczące stałości natury, potwierdzone przez geologię i paleontologię.

I w królestwie fauny i flory przyjmowano stałość gatunków, nie podlegających od początku istnienia stanowczej przemianie. Jeszcze Linneusz i Cuvier uznawali tę zasadę.

Ową niezmienność gatunków zastąpił Darwin zmiennością, czyli rozwojem (*ewolucya*, *transformizm*). Wszelkie organizmy ulegają, podług niego, ciągłym przemianom,

większym lub mniejszym, co zależy od warunków, w jakich się dany organizm znajduje. Na przemianę organizmu wpływają: 1) środowisko (atawizm, klimat, pożywienie, otoczenie i t. d.), 2) dobór płciowy i 3) walka o byt, nieuchronna dla każdego stworzenia, które pragnie żyć na ziemi.

Rozszerzając swoją teoryę, mniemał Darwin, że, cofnąwszy się w tył, aż do początku organizmów, zastalibyśmy tam niezawodnie nie tysiące gatunków, jak dotąd mniemano, lecz kilka, a może nawet jeden tylko, z którego się wszystkie inne przez stopniową ewolucyę rozwinęły.

Jak Comte nie był bezpodzielnym właścicielem doktryny pozytywnej, tak pracowali i na sławę Darwina liczni poprzednicy. Idea zmienności gatunków świtała już w potężnej głowie Arystotelesa, ale tylko świtała. Później niepokoiła ta sama myśl Kanta, Schellinga, Okena, Hegela, Goethego, Buffona, Lamarck'a i Godeffroy Saint-Hilaire'a. W czasach nowszych wracali do niej Schleiden (1850 r.), Unger (1852 r.), Schaafhausen (1853) i in. Że w chwili, kiedy Darwin ogłaszał swoje rozgłośne dzieło „O powstawaniu gatunków“ (w r. 1859) *), teorya jego „wisiała w powietrzu“, dowodem tego równoczesne, zupełnie z jego „odkryciami“ zgodne publikacye Wallace'a i Hooker'a. Pierwszeństwo należy się właściwie nawet Wallace'owi, gdyż praca jego była wcześniej do druku gotowa i przyspieszyła wydanie „Powstania gatunków“.

Teorya Darwina, uzasadniona w jego dziele lepiej, świadomiej i uczeniej, niż u innych, poparta niepospolitem bogactwem obserwacyj, przyszła w samą porę i oto główny powód jej szybkiego rozgłosu. Zastosowana do człowieka, dopełniła ona w pewnej mierze doktrynę francuskiego pozytywizmu i materyalizm niemiecki.

---

*) Pełny tytuł: „O powstawaniu gatunków drogą wyboru naturalnego, czyli o zachowaniu ras uprzywilejowanych w walce o byt“. Przekładu polskiego dokonał dr. W. Mayzel, Warszawa.

Sam Darwin, ostrożniejszy od swoich popularyzatorów, nie wciągnął zrazu człowieka do teoryi rozwojowej. Dopiero, zmuszony dziwacznemi wnioskami materyalistów niemieckich, a może i olśniony powodzeniem, jakiego się prawdopodobnie nie spodziewał, napisał i wydał drugie dzieło p. t. „O pochodzeniu człowieka“ (*The descent of man and selection in relation to sex;* 1871 r.), które ściągnęło na niego gromy idealistów, wygłosił bowiem hipotezę, druzgocącą wszystko, co dotąd człowiek o sobie myślał. Wprawdzie nie wywiódł Darwin, jak się powszechnie mniema, rodu ludzkiego z małpiego protoplasty, nie powiedział nigdzie wyraźnie, aby człowiek pochodził bezpośrednio, w prostej linii od jakiegoś szympansa lub orangutana, przyjmując jednak, że wszelkie organizmy, a więc i człowiek, mogły się rozwinąć z jednego, wspólnego prototypu i wskazując na blizkie pokrewieństwo morfologiczne, anatomiczne i fizyologiczne człowieka z małpą, nie był dalekim od domysłu, który mu *vox populi* podsunął.

To głównie dzieło („Pochodzenie człowieka“) przeszło na własność szerszych kół i zapłodniło mnóstwo głów współczesnych różnorodnemi doktrynami. Ewolucya „gatunku“ ludzkiego, wzmocniona przez filozofię pozytywną, przekonała nie samych tylko uczonych drugiej połowy bieżącego stulecia, lecz także estetyków i artystów.

Przyczepiono do nazwiska Darwina etykietę materyalisty i ateusza, chociaż syn jego, Franciszek, dowiódł *), że twórca ewolucyonistów angielskich był w istocie deistą. „Niemożliwość pojęcia, — pisał Darwin do jakiegoś młodego holendra — aby ten wielki i zdumiewający wszechświat miał powstać z przypadku, zdaje mi się być głównym dowodem

*) „Życie i listy Karola Darwina“ przez Franciszka Darwina, 1887 r., streszczone w artykule Henryka de Varigny p. t. „La vie de Charles Darwin“ pomieszczonym w „Revue des deux Mondes“ 1887 r. tom 84-ty.

istnienia Boga". A w innym liście twierdził, że „teorya ewolucyi zgadza się najzupełniej z wiarą w Boga".

Darwin nie był więc ani materyalistą, ani ateuszem, jak nie wywiódł człowieka od małpy, ale, zachowując się zupełnie obojętnie wobec pierwszych przyczyn wszechrzeczy w rozumieniu teologii i metafizyki i ograniczając badania swoje tylko do zjawisk, dostępnych dla obserwacyi i doświadczenia, a wysnuwając z nich mimo to wnioski, których teorya rozwojowa dotąd nie potwierdziła — podał materyalistom nową broń do ręki, tem niebezpieczniejszą, że posiadającą pozory prawdopodobieństwa.

Tylko pozory, w rzeczywistości bowiem należy się darwinizmowi nazwa hipotezy, chociażby dlatego, że człowiek nie posiada środków do ogarnięcia całego drzewa genealogicznego organizmów. To, czego nas uczy znana dotąd historya fauny wogóle, nie przemawia wcale za zmiennością gatunków, lecz potwierdza raczej ich stałość. Jak daleko pamięć człowieka sięga, wszędzie spotyka ona zwierzęta w tej samej postaci, w jakiej je dziś widzimy. Odmiany gatunków, wywołane przez sztuczną hodowlę, bywają tak nieznaczne, iż nie mogą służyć za podstawę nauce pozytywnej. Nie udało się jeszcze nikomu przemienić jaskółki w orła, a chociażby na wronę, od komórki zaś, rzuconej na piaski brzegów morskich, aż do człowieka wiedzie droga tak nieprzejrzana, iż jej chyba oko ludzkie nigdy nie ogarnie i nie zmierzy. Wiadomo, że ewolucyoniści operują nie tysiącami, lecz milionami, a śmielsi nawet miliardami lat, zapominając, że wszystko, co leży po za granicami obserwacyi i doświadczenia, nie powinno obchodzić nauki pozytywnej, czyli, co ma to samo oznaczać, niezawodnej. Gdzie się kończy istotne postrzeganie, tam zaczyna się królestwo metafizyki, wyklętej zarówno przez pozytywizm, jak przez ewolucyonizm. Zasadę tę, obowiązującą wiedzę, pominął ostatecznie i Darwin.

Darwinizm obiegł z szybkością, właściwą naszym cza-

som, cały świat cywilizowany. Uznała go bez protestu prawie cała znakomita większość uczonych drugiej połowy bieżącego stulecia. Głosy nielicznych przeciwników utonęły w morzu radosnych okrzyków bezwzględnych wielbicielów. Wiadomo, że teorya Darwina należała i u nas, po r. 1870-ym, do „kwestyj palących", że, połączywszy się z doktryną Comte'a i marzeniami materyalistów niemieckich, wypełniła jedną część programatu warszawskich postępowców.

Najgłośniejsze echo towarzyszyło początkom darwinizmu w Niemczech, gdzie odżył właśnie stary materyalizm grecki. Potomkowie Leucyppa i Demokryta, bezpośredni następcy francuskich encyklopedystów (Lamettrie, Hollbach) powitali „odkrycia" angielskiego przyrodnika burzą oklasków. Dawały im przecież, jak wierzyli, to, czego dotąd daremnie szukali, mianowicie podstawę naukową. Przeto nic dziwnego, że Moleschott, Vogt, Büchner i Haeckel pochwycili skwapliwie hipotezę darwinizmu, zastosowując ją do swoich celów.

Zarówno ewolucyonizm, jak pozytywizm nie byli zadowoleni z pokrewieństwa, jakie im materyalizm narzucił. Comte określił ściśle granice wiedzy ludzkiej, a Darwin przyznawał się do wiary w Boga. Zdaje się jednak, że się materyaliści nie mylili, przyznając się do kuzynowstwa z doktrynami filozofów francuskich i uczonych angielskich.

Materyaliści, wręcz przeciwni teologii i metafizyce, odrzucają nietylko nadprzyrodzony, ale wogóle wszelki nieznany początek świata, wszelką „niepoznawalną". Zdaniem ich, nie ma nic po za materyą i po za siłami, w niej drzemiącemi. Tylko materya istnieje, tylko w niej należy szukać odpowiedzi na pytania, niepokojące człowieka.

Materyaliści twierdzą stanowczo, że prawdy teologii i metafizyki należą do krainy złudzeń i wtem różnią się wistocie od pozytywizmu i ewolucyonizmu, z których pierwszy udaje wobec pierwotnych i ostatecznych przyczyn obojęt-

ność, drugi zaś nie zaprzecza istnienia „niepoznawalnej“. Jest to jednak różnica tak subtelna, tak sztuczna, że była długo tajemnicą dla przeciętnych zwolenników doktryn nowoczesnych.

Odmienni w zasadzie, schodzą się pozytywiści i ewolucyoniści z materyalistami w wykonaniu swoich teoryj.

Wiadomo, że materyalizm usiłuje nietylko powstanie organizmów, ale i rozwój ludzkości i zjawiska życia duchowego wytłómaczyć na podstawie samych tylko praw fizycznych, tkwiących w materyi. Materya i prawa jej są, podług niego, jedyną istotą wszechrzeczy.

Pozytywizm i ewolucyonizm, szukając tylko faktów, z których wydobywają za pomocą analizy i eksperymentu wspólną im zasadę i wywołujące je prawa, czynią właściwie to samo, co materyalizm, z tą, co najwyżej, poprawką, że postępują prawidłowiej, więcej naukowo. Dzieci wiedzy znają się lepiej na metodach badania od wychowańców filozofii.

Zresztą i owa obojętność pozytywizmu wobec pierwszych i ostatnich przyczyn i owe korzenie się ewolucyonizmu przed „niepoznawalną“ są w rzeczywistości jedynie maską. W praktycznem zastosowaniu nie omijają ani pozytywiści, ani ewolucyoniści zjawisk duchowych, lecz tłómaczą je w ten sam sposób, co materyaliści. Że nie wymieniają terminów „Bóg“, „dusza nieśmiertelna“ i t. d., nie dowodzi wcale, aby się liczyli z prawdami, które te określenia wyrażają.

Przypatrzywszy się bliżej pozytywizmowi francuskiemu i ewolucyonizmowi angielskiemu, dostrzegamy w nich rysy familijne materyalizmu wogóle. Wszystkie te trzy teoryc należą do jednej rodziny. Łączy je wspólna niechęć do teologii i metafizyki, do wiary i filozofii spirytualistycznej, a rozdziela tylko metoda badania.

II.

Moralność niezawisła. — Littré. — Spencer. — Ewolucyonizm w prawie karnem. — Ferri. — Lombroso. — Pozytywizm w historyi. — Tomasz Buckle. — Pozytywizm w krytyce literackiej. — Taine. — Ernest Renan. Pozytywizm w literaturze pięknej. — Teorye estetyczne Flauberta. — Zola. — Ogólny pogląd.

Wszelka teorya jest jako kula, która, rzucona raz na pochyłość, nie zatrzymuje się aż u jej stóp, a tam jeszcze rusza się przez pewien czas, wiruje, zanim ostatecznie stanie. Uczniowie mistrzów nie mają spokoju, dopóki nie doprowadzą nowej doktryny *ad absurdum*.

Zdawałoby się, że pozytywiści francuscy zadowolnią się dziedziną nauk ścisłych, że wystarczy im gromadzenie i porządkowanie faktów. Tymczasem stało się inaczej.

Savoir c'est pouvoir, powiedzieli sobie, a panuje tylko ten, kto ogarnia całokształt zabiegów ludzkich. Ponieważ zaś w tartaku życia odgrywają zasady moralne rolę pierwszorzędną, przeto należy wymyślić dla człowieka etykę pozytywną, nie zawisłą od jakichś tam uczuć wrodzonych, lecz opartą na stałych podwalinach naukowych.

Pierwszy Littré zabrał się do tej roboty syzyfowej i powracał do niej po kilka razy, czuł bowiem sam, że pojedyńcze części jego etyki nie wynikają tak dokładnie jedne z drugich, jak powinny wnioski, wysnuwane przez myśliciela pozytywnego.

Źródłem wszelkiej moralności są, podług Littré'ego *), dwa uczucia, dopełniające się nawzajem, konieczne do istnienia każdej „substancyi żyjącej“ (*substance vivante*), mianowicie: egoizm i altruizm. Pierwszy służy do utrzymania jednostki — drugi zachowuje „gatunek“. Egoizm, czyli instynkt samozachowawczy uczy człowieka, że, aby żyć, trzeba jeść i pić, altruizm znów wszczepia w niego miłość do drugiej płci. Egoizm, rozwijając się i różniczkując, rozpada się zczasem na szereg podegoizmów, jak: miłość zdrowia, dobrobytu, władzy, sławy i t. d.; altruizm, przechodząc także przez czyszczący ogień ewolucyi, szlachetnieje, rozszerza się, przenosi się z żony na dziecko i rodzinę,w dalszym ciągu ogarnia okolicę, prowincyę, kraj, w końcu ludzkość całą.

Mimo tak logicznie na pozór rozsnutego pochodu uczuć moralnych, począwszy od pierwotnego egoizmu zwierzęcia żerującego, aż do poświęcenia bohatera i męczennika, niezdawała się Littré'mu budowa jego etyki dosyć spoistą. Chociaż wmawiał w siebie i w innych, że altruizm jest tak samo właściwością wszelkiej „substancyi żyjącej“, jak egoizm, nie bardzo chyba sam w swoją hipotezę wierzył, dodał bowiem do owych dwóch podwalin jeszcze trzecią.**)

Ponieważ mu filozoficzne wyjaśnienie uczuć altruistycznych nie wystarczało, a nie chciał i nie mógł, jako pozytywista, wrócić do idei wrodzonych metafizyki, przeto skom-

---

*) „Revue de philosophie positive“, styczeń, 1870 r.

**) „La science au point de vue philosophique“, str. 331, 339, 346.

ponował sobie jakieś uczucia wyższego rzędu, które nazwał *des sentimens désinteressés*, a doszedł do nich za pomocą najczystszej spekulacyi (filozoficznej), aczkolwiek pozytywizm ową „igraszkę słów“ raz na zawsze z królestwa wiedzy wykluczył. Te uczucia „bezinteresowne“ mają człowieka uczyć miłości prawdy, dobra i sprawiedliwości, a rodzą się z intuicyi (*intuition irréductible*, *fait intuitif*), doprowadzone do świadomości przez logikę.

Ani się Littré nie opatrzył, jak, dopełniając części fizyologicznej swojej etyki, znalazł się w samym środku metafizyki. Pomiarkowawszy się, że zboczył z gościńca pozytywnego, starał się następca Comte'a dociągnąć „uczucia bezinteresowne“ do fizyologii, ale brnął już tylko coraz dalej między chwasty czczej kazuistyki, nieprzekonywającej nikogo.

Co się pozytywizmowi francuskiemu nie udało, to postanowił wykonać ewolucyonizm angielski. Już przed Herbertem Spencerem, „naszym wielkim filozofem“, jak go Darwin nazywał, marzył H. Sidgwick o moralności naukowej („Metody moralności“).

Herbertowi Spencerowi, filozofowi ewolucyonizmu angielskiego, spieszyło się tak bardzo z uszczęśliwieniem ludzkości przez moralność niezawisłą, że, obawiając się, aby jego śmierć przedwczesna nie pozbawiła świata nowej ewangelii, przerwał nakreślony oddawna plan swoich robót i wydał czemprędzej „Zasady etyki“ (*The data of ethics* 1879 r.).

Rozebrawszy moralność Spencera z bardzo ciężkiego przyodziewku, zeszytego z kilku mil erudycyi, znajdziemy na jej dnie główne zarysy etyki pozytywnej. Szczerszym był tylko anglik i konsekwentniejszym od francuza, bo miał u siebie wyborne oparcie w istniejącym już utylitaryzmie.

Jak Littré, wywodzi i Spencer uczucia moralne z egoizmu i jak on, przyjmuje, oprócz pierwotnego samolubstwa,

drugą podstawę szlachetniejszą, którą nazywa raz sympatyą, to znów altruizmem. Ale podczas kiedy Littré potyka się już przy przejściu z egoizmu do altruizmu, przywołując do pomocy miłość płciową, niby pomost złoty, łączący nikczemność z dobrocią, Spencer rusza dalej prostą drogą. Jego altruizm jest także egoizmem, bo, „człowiek, skazany na obcowanie z bliźnimi, skuty z nimi wspólnemi interesami, musi ich sprawy uwzględniać. Zginąłby sam, gdyby się z sąsiadem nie liczył.“

Zachodzi pytanie, w jaki sposób rozwija się z takiego altruizmu, który jest wistocie tylko rozumnym z konieczności, raczej chytrym, przyczajonym egoizmem, cały szereg szczytnych uczuć, stanowiących chlubę ludzkości? Za pomocą jakich środków dochodzi człowiek do przyjaźni, honoru, uczciwości, obowiązkowości, do miłości kraju i poświęcenia, do wyrzeczenia się osobistych spraw dla cudzego dobra.

Littré, nie umiejąc sobie inaczej poradzić, sięgnął w tym wypadku do argumentacyi nienawistnej metafizyki, ale Spencer nie potrzebował się posługiwać staroświecczyzną spirytualistyczną, bo znalazł gotową odpowiedź w darwinizmie.

W jaki sposób? W bardzo prosty. Oto wydobędzie prawo ewolucyi, bez jakiejkolwiek pomocy, z brzydkiej poczwarki przepięknego motyla. Człowiek, zmuszony przez położenie swoje do moralnego postępowania, przywyknie z czasem tak do wszelkich cnót, że choćby chciał, nie może być szkodliwym. Wszakże tracą zwierzęta przyswojone dzikość swobody. Tak samo ujarzmi kiedyś prawo ewolucyi, konieczność nieuchronna, każdego buntownika, robiąc z niego pokorne, cierpliwe, dobre bydlę, rodzaj maszyny, ruszającej się tak, jak jej nakazują: egoizm i altruizm w połączeniu z atawizmem i ze środowiskiem społecznem.

A co nakazują te wszystkie prawa? Rzecz wyborną, bo rozkosz, przyjemność, szczęście.

Dobrym nazywa Spencer każdy czyn, przyczyniający się do spełnienia celu jednostki i gatunku, ponieważ zaś ostatecznym celem ludzkości ma być powszechne zadowolenie, ogólne szczęście, przeto będzie dobrem wszystko, co wywołuje przyjemność. Rozkosz jest treścią dobra.

W jaki jednak sposób rozróżni człowiek, z istoty swojej więcej egoistyczny niż altruistyczny, prawa dobra osobistego od praw dobra szerszego? Wcale tej sztuki znać nie potrzebuje, myśli bowiem za niego ewolucya, stokroć rozumniejsza od niego. Ona wie najlepiej, co potrzebne do podtrzymania gatunku, co należy wyłączyć z egoizmu, aby nie szkodził altruizmowi; ona wytwarza stopniowo, w miarę rozwijania się społeczeństw, coraz to lepsze, szersze, skuteczniejsze zasady moralne i wszczepia je w człowieka za pomocą atawizmu. Metafizycy, mówiąc o zasadach wrodzonych mają nieco racyi z tą tylko poprawką, że owe zasady wrodzone nie są dziełem kogoś, stojącego z zewnątrz stworzenia (siły nadprzyrodzone), lecz tkwią w istocie ewolucyi.

W ten mniej więcej sposób wygląda etyka niezawisła, świecka, naukowa, która miała zastąpić moralność religii i filozofii metafizycznej. Pozytywiści francuscy i ewolucyoniści angielscy zbudowali ją na egoizmie człowieka i na prawie ogólnego rozwoju, odrzuciwszy podwaliny dawniejszej moralności, mianowicie: początek nadprzyrodzony, czyli boskość idei wrodzonych, nieśmiertelność duszy i wolną wolę. Człowiek nie potrzebuje niczyjej pomocy do zrozumienia tego, co mu służy, a co szkodzi, gdyż właściwego postępowania uczy go, podług pozytywizmu, inteligencya, zdolność wnioskowania, poczucie prawdy, a podług ewolucyonizmu, naturalna siła rozwoju, nieuchronna konieczność istnienia.

Istota etyki niezawisłej wyklucza z góry wszelką powagę, jakakolwiekby ona była, i wszelkie świadome współ-

działanie człowieka, rzucając go na pastwę atawizmu rozwojowego.

Ma się rozumieć, że naukowość etyki niezawisłej kończy się z chwilą, gdy nowocześni moraliści przechodzą od egoizmu do altruizmu. Wszystko, co Spencer mówi o przyszłej szczęśliwości ludzkiej, o dalszych losach altruizmu, przekracza granice obserwacyi i doświadczenia, więc należy nie do wiedzy pozytywnej, lecz do metafizyki. Jest to poemat, miejscami bardzo dobrze obmyślany, ale zawsze tylko poemat. Charakteru utopistycznego nie pozbawia go niezwykła erudycya encyklopedyczna, mająca pokryć sztuczność argumentacyi.

Wczytując się w dzieła pozytywistów i ewolucyonistów, podziwia się bardzo często giętkość myśli ludzkiej, zdolnej do wszelkich łamańców i skoków logicznych. Taine np., dla którego sumienie jest także tylko „produktem przyczyn naturalnych, jak cukier i kwas siarczany“, tłómaczy postępek szlachetny następnie: ponieważ wiesz, że śmierć jest nieszczęściem, przeto, widząc człowieka tonącego, rzucasz się do wody.

Czy tak? Egoizm pospolity, nie rozumiejący się na dyalektyce pozytywnej, wnioskuje inaczej. Ponieważ wiem,— filozofuje — że śmierć jest nieszczęściem, a broniąc tonącego, mogę sam utonąć, przeto byłbym niemądrym, gdybym wszedł do wody.

Logiczniejsza to chyba argumentacya.

Najwięcej kłopotu sprawia pozytywistom i ewolucyonistom obowiązek, powinność. Bo jakże pomieścić to szczególne uczucie w ramach etyki, wysnutej z egoizmu?

Gdy ktoś powie: Bóg wszczepił w ciebie możność i świadomość dobrego postępowania i dał ci wolną wolę, abyś mógł panować nad złemi pokusami, wówczas pojmie go nawet prostaczek. Kiedy jednak ktoś twierdzi, że właściwą

i jedynie uprawnioną przyczyną wszystkich czynów ludzkich jest samolubstwo, a mimo to żąda nietylko uczuć altruistycznych niższego rzędu, lecz nawet: poświęcenia, ofiary, obowiązku, wtedy musi się oczywiście odwołać do sztuczek sofistycznych, aby takie dwa końce powiązać.

Bo byłby niesprawiedliwym, ktoby zarzucał pozytywistom i ewolucyonistom rozmyślną chęć gorszenia „maluczkich“. Nie pragnęli tego ani Comte, ani Littré, ani Spencer. Wszyscy oni rozumieją bardzo dobrze doniosłość moralności i zgadzają się w ostatecznych rezultatach z etyką metafizyczną. Głównie pozytywiści francuscy usiłowali dorównać spirytualistom. Littré, który był osobiście człowiekiem znanej uczciwości, bolał nad tem, że nie może pogodzić egoizmu z altruizmem, Comte zaś mówił wyraźnie w swoim „Kursie filozofii pozytywnej“: „gdyby ziemia miała być skazaną na blizki zgon przez jakieś gwałtowne wstrząśnienie, nawet wówczas, aż do ostatniej chwili jej istnienia, nie przestawałoby oddanie się na usługi bliźniego, podporządkowanie jednostki pod społeczeństwo być najwyższem dobrem i obowiązkiem.“ Tylko Spencerowi i jego uczniom możnaby zarzucić tu i owdzie obłudne wykręcanie się, fałszywą grę kazuistyczną, ale i oni nie poważyli się na stanowczą negacyę zdobyczy „lepszej części człowieka.“

Ten fanatyzm altruistyczny zastanawia u ludzi, których punkt wyjścia powinien był zaprowadzić tam, dokąd zawiódł utylitarystów angielskich. Gdy Bentham mówi, jak powtarza M. Guyau*): „Nie spodziewajcie się, by ktoskolwiek podniósł nawet mały palec w sprawie bliźniego, jeżeli nie widzi w tem własnego interesu,“ wówczas rozumiemy go bardzo dobrze. Jest szczerym. Ale kiedy pozyty-

*) M. Guyau: „La morale anglaise contemporaine“ w rozdziale o Benthamie.

wiści i ewolucyoniści, nie uznający wrodzonych praw moralnych, korzący się przed egoizmem, żądają mimo to najwyższych przejawów altruizmu, wtedy nie wiemy przez chwilę, co z tym fantem począć.

Ernest Renan, który miewał czasami błyski jasnowidzenia, wygłosił podczas przyjęcia Cherbuliez'a do Akademii francuskiej (d. 25 maja 1882 r.), zdanie następujące: „Został nam jeszcze tuk moralny (*la sève morale*) dawnej wiary, choć porzuciliśmy jej kajdany. Bez naszej wiedzy zawdzięczamy bardzo często tym odepchniętym zasadom resztki naszej cnoty. Żyjemy cieniem, wonią pustego naczynia. Po nas będą ludzie żyli cieniem cienia, co mi się zbyt lekką wydaje potrawą."

Stary grzesznik wytłómaczył bardzo dobrze, choć może sam o tem nie wiedział, ostrożność pozytywistów i ewolucyonistów wobec etyki. Tak Comte, jak Littré i Spencer, aczkolwiek mówią tyle o dziedziczności, zapomnieli, że byli sami wychowańcami moralności chrześciańskiej i metafizycznej, że wyrośli w zasadach „zwietrzałych', że ciążyła na nich spuścizna wieków, zbyt wielka, aby ją jedno pokolenie mogło usunąć. Żyli oni w młodości swojej owym „cieniem" Renan'a, ową „wonią" pustego, ale zawsze jeszcze woniejącego naczynia, byli poprostu chrześcianinami z urodzenia, zanim zaczęli burzyć gmach tradycyj, wziętych po szeregu przodków i dlatego zawahali się przed ostatecznemi rezultatami swoich przesłanek. Ztąd prawdopodobnie owa kazuistyka pozytywistów i zamaskowana zręcznie obłuda ewolucyonistów.

Ale ci, co po nich przyjdą, co karmić się będą już tylko „cieniem cienia", czy zatrzymają się w połowie drogi? Ocaląż epigoni z ogólnego bankructwa dawnych skarbów religijnych i filozoficznych obowiązek, szlachetność, bezinteresowność?

Właśnie w połowiczności, w nieszczerości etyki pozy-

tywnej i ewolucyonistycznej tkwi jej trucizna. Z teoryą doprowadzoną *ad absurdum*, można się szybko załatwić, lecz, doktryna podstępna, zwłaszcza poparta przez rzeczywistą erudycyę, może nieświadomych, nie przywykłych do krytycznego myślenia, olśnić przekonać i zgorszyć. *).

Gdyby złodzieje, podpalacze, rabusie i wszelacy wogóle zbrodniarze, znali filozofię pozytywną i ewolucyonistyczną, mieliby prawo przemówić do sędziów: na jakiej zasadzie odbieracie nam wolność, a nawet życie, skoro wrodzone idee moralne i wolna wola nigdy nie istniały? Jeżeli kradniemy, podpalamy, zabijamy, to czynimy tylko to, co nam nasze instynkty, odziedziczone po przodkach, nakazują. Nie naszą winą, że o nas ewolucya uczuć altruistycznych zapomniała. Postępujemy źle, bo niemożemy inaczej.

Podobne wnioski wysnuto już z ewolucyi, chociaż z innem rozwiązaniem. Wprawdzie nie dysputował jeszcze w ten sposób cech zbrodniarski z cechem sędziowskim, ale wyręczyli go „antropologowie kryminalni.“

W ojczyznie muzyki i malarstwa utworzyła się temu lat piętnaście szkoła prawników, która postanowiła wywrócić na nice dotychczasowe prawo karne. Myliła się cała przeszłość — oświadczył pierwszy Ferri, profesor uniwersytetu rzymskiego — potępiając w zbrodniarzu wolną, rozmyślnie grzeszącą wolę. Nie ma żadnej wolnej woli, więc nie może być i występnych ze świadomością. Całą część pierwszą dzieła p. t. *La teorica dell' Imputabilità* poświęcił Ferri zaprzeczeniu wolnej woli.

---

*) Ciekawych fachowej krytyki etyki niezawisłej odsyłam do dzieł Alfreda Fouillée „Critique des systèmes de morale contemporaine“; M. Guyau „La morale anglaise contemporaine“; E. Caro „Problèmes de morale sociale“, z których w studyum niniejszem korzystałem. U nas znalazła moralność świecka utalentowanego komentatora w osobie Aleksandra Świętochowskiego („O powstawaniu praw moralnych.“).

(Przyp. aut.)

Co Ferri rozpoczął, to dopełnił i uzasadnił znany i u nas bardzo dobrze Cezary Lombroso, profesor uniwersytetu turyńskiego. Jego rozgłośne dzieło p. t. „Człowiek-zbrodniarz“ (*L'uomo deliquente*) przyswojono już literaturze polskiej.

Jak pozytywiści francuzcy i ewolucyoniści angielscy, odrzucają i włoscy antropologowie kryminalni „majaki teologii i metafizyki“ (Ferri): Boga, duszę, wolną wolę, a uznają tylko zdobycze wiedzy pozytywnej. Antropologia ma, podług nich, tylko o tyle znaczenie i wartość, o ile się badania jej odnoszą do ciała ludzkiego, czyli do przedmiotu, podlegającego bezpośredniej obserwacyi. Psychologia metafizykow należy do złudzeń przeszłości, psychologia bowiem naukowa jest częścią fizyologii.

Tłómacząc istotę zbrodni, wychodzą antropologowie włoscy z jednej z podstaw ewolucyonizmu, mianowicie z atawizmu. Wiadomo, że dziecko dziedziczy po rodzicach ułomności fizyczne i skłonności moralne. Ponieważ jednak nauka nie ustaliła dotąd reguł atawizmu, który odbywa czasami dziwne skoki, ponieważ wykazano, że wady i przymioty ojca i matki przechodzą niezawsze i nie w równej mierze na synów lub córki, ponieważ, słowem, nie wykryto jeszcze, w jaki sposób dziedziczność działa, przeto dopełnili kryminaliści włoscy pomysł Darwina, dodając do atawizmu wogóle atawizm „przeplatany, przerywany“, co znaczy, że na potomków mogą spadać instynkty najdalszych nawet przodków

Jak ewolucyoniści angielscy, lubią i antropologowie włoscy długie przestrzenie czasu. Za małe są dla nich ramy historyi cywilizowanej ludzkości. Szukając źródeł atawizmu, dopuszczają się herezyi przeciw głównej zasadzie wiedzy pozytywnej, bo powołują się nietylko na anatomię i psychologię dzikich, ale nawet na świadectwa paleontologii, która przekracza dziedzinę obserwacyi w sferze zjawisk psychologicznych. Postać człowieka przeddziejowego mo-

żna odbudować ze szczątków, wydobytych z głębszych pokładów ziemi, ale jego skłonności, upodobania, jego etykę i psychologię? Należy wątpić, czy się ta sztuka uda kiedykolwiek nauce.

Jak ewolucyoniści angielscy, nie robią w końcu i kryminaliści włoscy różnicy między człowiekiem, zwierzęciem i rośliną. I oni obejmują całe stworzenie jedną wspólną wstęgą.

Cezary Lombroso, szukając istoty występku, zaczął od roślin i zwierząt. Cały rozdział pierwszy swojego najprzedniejszego dzieła*) poświęcił temu przedmiotowi, przechodząc dopiero następnie do plemion dzikich, u których znalazł rysy znamienne zbrodniarza.

Bo bezpośrednim potomkiem człowieka dzikiego jest zbrodniarz współczesny, twierdzą antropologowie włoscy. Jak dziki, odznacza się i zbrodniarz: nieczułością fizyczną i moralną; jak on, kocha się i jego kopia w różnych żargonach, w tatuowaniu skóry i t. d. Instynkty i skłonności jakiegoś dzikiego protoplasty odziedziczył zbrodniarz. Stało się to oczywiście bez jego winy. Jest nikczemnikiem, bo nie może inaczej.

Doszedłszy do takiego odkrycia, poszli antropologowie włoscy dalej. Skoro znamy już protoplastów zbrodniarzów, przeto możemy ustalić ogólny typ człowieka występnego — wnioskują. Dość przypatrzeć się budowie mieszkańców ziem, nie uszlachetnionych dotąd przez cywilizacyę, i porównać ją z anatomią: złodziejów, morderców, podpalaczów i t. d., aby pochwycić cechy charakterystyczne jednostki zwyrodnionej.

---

*) Cezary Lombroso (w przekładzie polskim) „Człowiek-Zbrodniarz„; 3 tomy; Warszawa, 1891 r. Tom I, rozdział I. p. t. „Zbrodnia i organizmy niższe.“

I rzeczywiście, zdjąwszy mnóstwo fotografij ze zbrodniarzów i porównawszy owe „dokumenty“ z podobiznami dzikich, znaleźli antropologowie zupełne podobieństwo między anatomią i fizyognomią jednych i drugich. Z pozyskanych w taki sposób danych, z cech zewnętrznych, wspólnych zarówno dzikim, jak ich bezpośrednim następcom, ulepili „typ“ zbrodniarza urodzonego.

Zbrodniarzem jest, będzie, lub mógłby być, gdyby go do tego okoliczności zmusiły — podług antropologów włoskich—każdy człowiek, który posiada: uszy silnie odstające, włosy obfite, zarost rzadki, wystające zatoki czołowe, wielkie żuchwy, podbródek kwadratowy i sterczący, obłęki jarzmowe rozszerzone, gestykulacyę żywą *), czoło w tył podane, górną wargę cienką, nos—skrzywiony w jedną albo drugą stronę, garbaty, spłaszczony, zanadto długi, czaszkę i twarz nieprawidłowo rozwinięte, i t. d. I tam dalej, liczba bowiem cech znamiennych zbrodniarza, dołączanych kolejno przez uczniów Lombrosa, wzrosła do takiej wysokości, iż nie wiadomo już obecnie, jak wygląda człowiek występny, a jak uczciwy. Nazwiska zwolenników antropologii kryminalnej tworzą bardzo długi łańcuch. Wierzą w zasady „nowej nauki“, oprócz Ferri'ego i Lombrosa: baron Garofalo, Sergi, Colojani, Marro, Mingazzini, Varaglia, Ottolenghi, Frigerio, Gradenigo, Verga, Pinero, Brunati, Tomino, Gonzales, Lucas, Anfosso, Romiti, Pugliese i w. in. Każdy z tych uczonych dodał do ogólnego zbiornika garść własnych spostrzeżeń. Ten badał czoła zbrodniarzów, ów ich włosy, oczy, nosy, trzeci usta, ręce i t. d.; znaleźli się nawet tacy, którzy spotykali inny typ zbrodniarza w jednej, a inny w drugiej prowincyi.

Zdziwili się mędrcy włoscy, gdy im ziomek ich, Ary-

*) Cezary Lombroso, jak wyżej: tom II, str. 40.

styd Gabeli, przypomniał, że odgrzewają stare „marzenia“ Gall'a i Lavater'a, a przecież jest antropologia kryminalna wistocie tylko dalszym ciągiem frenologii, rozpoznaje bowiem, jak ona, właściwości psychologiczne człowieka po znakach zewnętrznych.

Dzieło towarzyszów uwieńczył Lombroso, dodając w drugiem wydaniu „Człowieka zbrodniarza“ (w r. 1889) do atawizmu i frenologii jeszcze epilepsyę. Epileptykiem ma być, podług niego, każdy zbrodniarz, czyli chorym, pozbawionym możności panowania nad sobą.

Prawo karne, oparte na zasadach antropologii kryminalnej, nie ma żadnej racyi bytu. Bo jakże karać biedaka, który nie posiadając wolnej woli, czyli broni przeciw złym pokusom, nie odpowiada za swoje czyny, jakże pastwić się nad nędzarzem, dotkniętym podwójną niemocą, bo zbrodniczością dziedziczną i epilepsyą. Znaleźli się też rzeczywiście uczeni (Frigerio), domagający się zmiany więzień na szpitale dla występnych, na tak zwane „kliniki kryminalne“. Ale nie wielu takich filantropów między antropologami włoskimi i ich wyznawcami francuskimi i niemieckimi. Znakomita większość dochodzi do wniosków wręcz przeciwnych. Ponieważ zbrodniarz dziedziczny, z urodzenia — twierdzą — może wydać na świat także tylko zbrodniarza, wszelki zaś „dziki“ jest szkodliwy w społeczeństwie cywilizowanem, przeto należy go usunąć w taki lub w inny sposób.

Alfred Fouillée, broniąc antropologów przeciw prof. Caro, który odmówił szkole Ferri'ego i Lombrosa prawa karania *), obmyślił bardzo dowcipny dyalog między sędzią a zbrodniarzem, świadomym zasad „nowej nauki“ **).

---

*) Caro: „Problèmes de morale sociale,“ str. 235.

**) Alfred Fouillée: „La pénalité et les collisions de droits d'après la science sociale contemporaine“ w „Revue des deux Mondes“, 1879 r., 15 listopada, str. 406 i 407.

Oto staje przed sprawiedliwością doczesną morderca i zaczyna dyskurs następujący: Zabójstwo, które popełniłem, wynikło nie z wolnej woli, lecz z mojego temperamentu.

Na to sędzia: Dowodzi to tylko, że społeczeństwo powinno się zabezpieczyć przeciwko twojemu temperamentowi, jak się zastawia przeciw materyi wybuchowej.

Morderca: Nie dałem sobie sam tego temperamentu.

Sędzia: Nie mówię też wcale o twojej winie absolutnej, nie sądzę cię pod względem moralnym, nie oskarżam cię, zapatruję się tylko na ciebie ze stanowiska społeczeństwa, którego cząstkę stanowisz i dla którego masz obowiązki. Chociaż nie odpowiadasz za ułomność i brzydotę, oddalającą cię od typu idealnego naszego gatunku, a zbliżającą cię do dzikiego, mimo to nie przestajesz być ułomnym i brzydkim, przedewszystkiem zaś niebezpiecznym.

Morderca: W takim razie jestem tylko pożałowania godnym.

Sędzia: Żałuję cię też, ale jeszcze więcej żal mi twojej ofiary, która, będąc istotą wyższą od ciebie, zginęła, podczas kiedy ty żyjesz.

Morderca: Nieuchronna konieczność pcha mnie do moich upodobań osobistych.

Sędzia: Ta sama konieczność nieuchronna, na którą się powołujesz, nakłada na mnie obowiązek bronienia interesów społeczeństwa.

Morderca: Natura moja podlega namiętnościom nie zwalczonym; mózg mój jest nad miarę podrażniony; silniejsza odemnie reakcya instynktu pcha ramię moje do zbrodni.

Sędzia: Jeżeli twój mózg i twoje ramię są obezwładnione przez tak brzydkie choroby, więc należy się spodziewać, że do zbrodni dawniejszych dodasz jeszcze inne, co będzie nowym powodem do zabezpieczenia ciebie samego i społeczeństwa przeciw twojemu temperamentowi. Dlatego osadzę cię w więzieniu i będę się starał wyleczyć cię z two-

jej niemocy, z niewolnikiem bowiem należy się obchodzić jak z niewolnikiem. Gdybyś posiadał wolną wolę, któraby mnie zapewniła, że się zbrodnia, dokonana wypadkiem, więcej nie powtórzy, mógłbym cię zostawić na swobodzie, ponieważ się jednak rzecz ma przeciwnie, przeto muszę bronić społeczeństwa przeciw fatalności twojego temperamentu.

Morderca: Gdybyś był na mojem miejscu, postąpiłbyś tak samo.

Sędzia: Gdybym był tobą, uczyniłbym to samo, co ty, ale i ty, zajmując moje stanowisko, nie sądziłbyś inaczej. Więc nie gniewaj się na mnie, nie mniej do mnie za to żalu, że wyłączam cię ze społeczeństwa, w którem nie ma miejsca dla twoich ułomności. Czyniąc, jak czynię, postępuję tylko w myśl twoich zasad. W twojem własnem imieniu ukrócam twoje zuchwalstwo.

Pominąwszy końcowy argument, przypomina dyalog Fouillée'go ową bajkę o wilku i jagnięciu, której treść znaczy tyle, co: Nie broń się i nie rezonuj podaremnie, bo zjem cię i tak, nie dlatego, żeś zawinił lub nie zawinił, co mnie bardzo mało obchodzi, lecz dlatego, że trzymam cię w garści i że jestem mocniejszy od ciebie.

Ostateczna konkluzya sędziego nie przekonałaby żadnego zbrodniarza z urodzenia. Na mocy moich własnych zasad mnie karzesz?—mówisz. A któż ci powiedział, że moje rozumowanie doprowadza do twoich wniosków? Jeżeli jedynym władzcą i prawodawcą człowieka jest ewolucya, to dlaczego nie wytępiła owa można pani mojego typu? Skoro tego nie uczyniła, to muszę być potrzebny, ewolucya bowiem wie lepiej od ciebie, do mnie podobny niewolniku jej celów, co służy gatunkowi, a co mu szkodzi. Tak przecież uczy darwinizm, zarówno twoja, jak moja religia. Jakiem prawem śmiesz poprawiać dzieło ewolucyi? Któż ci zresztą powiedział, że twój t. zw. typ idealny jest lepszy od mojego dzikiego, jak go nazywasz? Wszystko, co istnieje, ist-

nieje z łaski wszechmądrej i wszechmocnej ewolucyi — jest dobre, rozumne, dostósowane do potrzeb gatunku. I mój typ zasługuje na szacunek i z mojemi zasadami należy się liczyć. Na wytłómaczenie swojego wyroku masz tylko egoizm i siłę. Wsadzisz mnie do kozy, utniesz mi głowę, bo obawiasz się, ażebym się kiedyś i do ciebie nie zabrał. Ale i mój egoizm coś znaczy. I on ma te same przywileje, co twój, jak uczy moralność niezawisła. A mój egoizm drwi sobie z twojego „idealnego typu gatunku."

Że powyższe rezonowanie nie jest czczą igraszką słów, lecz może się stać kiedyś podstawą jakiej nowej teoryi kryminalnej, dowodem tego wypadek, jaki się zdarzył na pierwszym kongresie antropologów w Rzymie (w r. 1885, w listopadzie).

Między gośćmi zamiejscowymi znajdował się także — opowiada Artiur Desjardins*)—profesor Albrecht z Hamburga. Podwójny doktór, bo medycyny i filozofii, gdy rozprawiano o pochodzeniu człowieka, odezwał się w sposób następujący: Nazywacie panowie zbrodniarza istotą anormalną? Dlaczego? Czy dlatego, że zakłóca porządek publiczny, że kradnie, rabuje, zabija? Ale cóż innego robią wszystkie niższe od niego „organizmy", które obywają się wybornie bez waszych uczuć altruistycznych? To nie zbrodniarz jest stworzeniem nieprawidłowem, lecz właśnie tak zwany człowiek uczciwy. Pewna grupa ludzi, sprzykrzywszy sobie samotność, utworzyła społeczeństwo, zgodziwszy się zaś na życie gromadne, musiała się wyprzeć na korzyść współtowarzyszów znacznej ilości instynktów wrodzonych, czyli normalnych. Wszakże nie wszyscy znoszą ograniczenia prawodawstw, nie wszyscy chcą się poddać cudzemu

*) Artiur Desjardins: „Crimes et Peines" w „Revue des deux Mondes," zeszyt z 1-go stycznia 1891 r.; str. 171 i 172.

egoizmowi, czy altruizmowi, co na jedno wychodzi. Ci buntownicy, właściwi ludzie normalni, poniewierani przez anormalnych — to zbrodniarze.

Zdziwili się bardzo antropologowie, zebrani w Rzymie, wnioskom prof. Albrechta. To dyletantyzm! — zawołał prof. Lacassagne, a prof. Lombroso nazwał wywody niemieckiego kolegi „paradoksalnemi aż do nieprawdopodobieństwa“, chociaż bronił na tym samym kongresie „blizkiego braterstwa“ człowieka z małpą.

Albrecht doprowadził rzeczywiście zasady antropologii kryminalnej do *absurdum*, ale nie jestże sama „nowa nauka“ karykaturą atawizmu teoryi ewolucyonistycznej?

Ktoby chciał być logicznym, przyznałby dziwacznym twierdzeniom Albrechta daleko więcej słuszności, niż łamańcom kazuistycznym moralistów pozytywnych, którzy, uznawszy egoizm za absolutnego prawodawcę wszelkiego „organizmu“, żądają od jednego z „gatunków“, czyli od człowieka, uczuć altruistycznych najwyższego rzędu. Moralność bez idei wrodzonych i bez wolnej woli musi doprowadzić do takich śmieszności, jakie profesor hamburski wygłosił.

Przyjmując „nową naukę“ za prawdę, byłoby między ludźmi bardzo mało osobników, nie należących do wyrzutków społecznych, u każdego bowiem człowieka możnaby odkryć jakieś „piętno naturalne“ skłonności występnych (wązkie, szpiczaste, lub odsunięte w tył czoło, wystające kości policzkowe, grube wargi i t. d.). Pominąwszy już autochtonów Afryki, Azyi, Australii, całą rasę mongolską i murzyńską, należałoby w Europie pozamykać w więzieniach, w „klinikach kryminalnych“, przedewszystkiem $^{9}/_{10}$ żydów, gdyż rasa ta zbliża się budową czaszki, czoła, kości policzkowych, grubością warg, długością rąk i t. d. najwięcej do typu „urodzonego zbrodniarza“ antropologów włoskich. Po żydach poszłaby do kozy znakomita większość ludzi z gminu, czyli „organizmów nierasowych,“ a i między „rasowymi“ znalazłoby się

bardzo dużo dziedzicznych wyrzutków. Typ człowieka szlachetnego, wymarzony przez antropologów kryminalnych, równa się poprostu typowi piękna cielesnego, o harmonijność zaś budowy i rysów wszędzie bardzo trudno. Cztery piąte przynajmniej europejczyków nie powinno, podług Ferri'ego, Lombrosa i towarzyszów ich, oglądać świata Bożego. Jeżeli portrety nie mylą, to należeli John Stuart Mill i Darwin także do „anormalnych" (czaszka ścięta), a i głowa Emila Zoli nie budziłaby zaufania, gdyby się ją nagle nocą w lesie ujrzało. I między samymi antropologami znalazłoby się niezawodnie mnóstwo kandydatów do „klinik kryminalnych". Niechby się sobie tylko dobrze na kongresach następnych przypatrzyli...

I powyższe rozumowanie nie zyska sobie prawdopodobnie uznania „antropologów", cóż jednak innego twierdzą wistocie Ferri i Lombroso, gdy mówią o zbrodniarzach, trzymanych na uwięzi przez różne okoliczności? Wychowanie, stanowisko towarzyskie, majątek, obawa przed opinią publiczną, brak konieczności kradzenia, rabowania, mordowania i t. d. — twierdzą — powstrzymuje wielu „zbrodniarzów urodzonych" od występku. Ale niech tylko te hamulce zewnętrzne ustąpią, a przekonacie się, że człowiek, uchodzący za uczciwego, był tylko zamaskowanym łotrem.

Bardzo to niebezpieczna teorya, zwłaszcza, gdyby ją praktycznie zastosowano, czego się antropologowie domagają; równie groźna w skutkach, jak jej matka, moralność niezawisła.

Mniej spustoszenia, niż w etyce i kryminalistyce, wyrządził pozytywizm pospołu z ewolucyonizmem w historyi, chociaż znalazł i na tem polu świetnego przedstawiciela w osobie Tomasza Buckle.

Głośny i u nas autor „Historyi cywilizacyi Anglii" (*History of civilization in England* 1857 — 1862 r.) *) usiło-

*) Przekładu polskiego dokonał Wład. Zawadzki, Lwów, 1865.

wał zastosować metodę Comte'a do badań historycznych. Podług niego, jest historya wzajemnem oddziaływaniem przyrody na człowieka i człowieka na przyrodę. Jak pozytywiści, zaprzeczył i Buckle wolnej woli i oparł się głównie na czterech czynnikach fizycznych, które mają działać na umysł człowieka i na organizacyę społeczeństw, na klimacie, żywności, glebie i ogólnych zjawiskach przyrody.

Buckle nie znalazł uznania u fachowych historyków.

Szerzej i dłużej oddziaływał Hipolit Taine, pozytywista w krytyce literackiej. Naśladował go w znacznej części Jerzy Brandes, rozgłośny estetyk duński, uwierzyli w niego prawie wszyscy młodsi sprawozdawcy literaccy Europy.

Bo formuła Taine'a odznacza się rzeczywiście prostotą i przemawia na pierwsze spojrzenie do przekonania. Jeżeli chcesz zrozumieć danego autora — uczył znakomity krytyk francuski — to zapytaj nasamprzód, do jakiej rasy twój przedmiot należy, i zbadaj właściwości tej rasy. One wykryją ci usposobienie, skłonności i upodobania dziedziczne pisarza lub artysty, czyli odtworzą połowę człowieka. Następnie przypatrz się środowisku (*milieu*), jakie go otacza, naturze, krewnym, nauczycielom, przyjaciołom, stosunkom społecznym i politycznym. W końcu zastanów się nad chwilą dziejową, która twórcę wydała. Czego ci nie powiedziała rasa, to dopełni niezawodnie środowisko i chwila dziejowa. Trzy te momenty wystarczą najzupełniej do wniknięcia w istotę badanego typu literackiego.

Nic więc nowego nie wniósł Taine do krytyki, lecz wyzyskał dla niej tylko zasady pozytywizmu i ewolucyonizmu. Słowa: atawizm, środowisko — powtarzają się ciągle u Darwina, Spencera, Comte'a, Littré'go, Ferri'ego, Lombrosa i t. d., a na chwilę dziejową położył nacisk Buckle. Zresztą nie sami nowocześni uczeni radzili zwracać baczną uwagę na okoliczności zewnętrzne. Rozumieli ich znaczenie także

przeciwnicy „niezawisłości“, jak Wiktor Cousin i Sainte-Beuve.

Ale nie o to idzie. Oryginalnych wynalazców w ścisłem określeniu tego wyrazu nie zna historya cywilizacyi. Następca posługuje się zawsze zdobyczami poprzednika, posuwając się dalej w kierunku przez niego wytkniętym. I Darwin nie jest bezpodzielnym właścicielem teoryi, związanej z jego nazwiskiem; tak samo nie odkrył pierwszy Spencer podstaw etyki naukowej. Najczęściej porządkują tylko znakomici uczeni, układają w jednolity system owoce trudów przeszłości. Takiego dzieła dokonał i Taine w dziedzinie krytyki literackiej.

Ma się rozumieć, że estetyk pozytywny nie uznaje prawd teologii i metafizyki, jak wogóle wszelkich „złudzeń“ zgasłych pokoleń. O tak stęchłej staroświecczyznie, jak Bóg, wolna wola i t. d., nie mówi się dziś wcale. Pomija ją też Taine, jako coś, o czem nawet wspominać nie warto.

Zdaniem jego, jest człowiek dalszym ciągiem świata organicznego i z tego jedynie stanowiska może i powinien być badany. Do ujęcia zaś organizmu, bez względu na to, czy to będzie ślimak, czy też natchniony prorok lub poeta, dość wskazówek ewolucyonizmu. Obserwacya i doświadczenie dadzą nietylko chemikowi, botanikowi, przyrodnikom wogóle, ale także historykowi literatury i sztuki wszystko, co mu potrzebne, bo świat zjawisk psychicznych podlega jedynie prawom mechanicznym.

Na takich oparłszy się podstawach, wierzył Taine, że zamienił dawniejszą krytykę podmiotową na naukę ścisłą, przedmiotową, czyli wprost niezawodną, jak chemia, fizyka, botanika, matematyka.

Rzecz szczególna, że umysł tak bystry, jak Taine'a, nie mógł lub raczej nie chciał dostrzedz stanowczej różnicy między danemi nauk przyrodniczych a humanistycznych.

Roślina, minerał, płyn i t. d., rozpatrywane z tych samych punktów, za pomocą tych samych narzędzi, doprowadzają rzeczywiście zawsze i wszędzie do tych samych wyników. Zarówno głupi, jak mądry uczony (bywają i głupi uczeni), musi policzyć musze tyle nóg i skrzydełek, kwiatkowi tyle słupków i listków, jakiejś bryle kruszczu tyle ciężkości gatunkowej, ile ich wistocie posiadają. Czy to będzie chemik utalentowany, albo też zwykły osieł uczony, który sobie przyswoił pewną sumę fachowych wiadomości—ani pierwszy, ani drugi nie mogą dojść do przeciwnych rezultatów, gdy się tą samą posługują metodą. Ale usposobienia, cele, ideały człowieka, narodów, ludzkości?! Możnaż i te zjawiska poddać niezmiennej metodzie badania?

Możnaby, gdyby wszyscy krytycy literatury i sztuki byli do siebie bezwzględnie, w najdrobniejszych nawet szczegółach podobni, gdyby ich wydała: ta sama rasa i epoka, ta sama szkoła i doktryna; gdyby posiadali ten sam stopień i rodzaj talentu, wykształcenia, charakteru i upodobań osobistych. Ponieważ taka zgodność jest dotąd utopią, przeto zostanie formuła Taine'a hypotezą, dopóki ewolucya nie zrówna wszystkich ludzi, zamieniwszy ich na maszyny bezmyślne, jak obiecują Darwiny, Spencery i in.

A przecież nie hypotezę chciał Taine zbudować, lecz naukę ścisłą, i on bowiem powtarzał za Newtonem, jak wszyscy pozytywiści, *hypotheses non fingo*, i on marzył, wierzył i do wierzenia uczniom swoim podawał, że można metodę nauk przyrodniczych zastosować ze skutkiem nieomylnym i do nauk humanistycznych.

Nauki przedmiotowej, ścisłej, jak pragnął, nie stworzył, krytyki literackiej i artystycznej nie poddał prawidłom niezmiennym; wskazał tylko trzy wyborne środki, ułatwiające sam trud badania, i zostawił po sobie kilka dzieł wysokiej wartości, które dowodzą właśnie połowiczności je-

go doktryny. Bo co sobie warto spamiętać ze studyum o Lafontaine'ie (*Essai sur les fables de la Fontaine*, 1853 r.) i z „Historyi literatury angielskiej“ (*Histoire de la littérature anglaise*, 1863 r.), to zawdzięczał Taine nie swojej metodzie, lecz talentowi i jego intuicyi, więc siłom, któremi pogardzał, które wykluczał z badania naukowego. Był on artystą z urodzenia, tak samo, jak Buckle, i tym artyzmem, jego ogniem i plastyką, „wziął“ współczesne mu pokolenie, przekonał całą armię wyznawców do swojej teoryi. Samo zastosowanie doktryny odpycha raczej niż przyciąga, gdyż odsłania na każdej stronnicy nie przedmiotowość, lecz właśnie zaciekłą tendencyjność. *).

Mówiąc o myślicielach, którzy wpływali na publiczność oświeconą drugiej połowy bieżącego stulecia, nie wolno pominąć i Ernesta Renana, chociaż autor „Życia Jezusa“ nie był właściwie filozofem z talentu i zawodu. Archeolog i znakomity podobno znawca języków semickich byłby się przysłużył ludzkości więcej, gdyby nie był zabierał głosu w sprawach, niedostępnych dla rodzaju jego zdolności.

Renan należy do tych postaci literackich, które bardzo trudno pochwycić. Wymyka się on z rąk krytyka, jak węgórz, bezwładny dopiero wtedy, gdy padnie na piasek. Niewyraźny, nieszczery, poświęcający zawsze dla dowcipu lub oryginalnego zwrotu prawdę i powagę szanującego się pisarza, raz entuzyasta, to znów szyderca, drwiący ze wszystkiego dla samego drwienia, nie wyznający żadnych stałych zasad, robi Renan wrażenie kupy śmieci, porwanej i zwirowanej przez wiatr. Wszystko fruwa, kłębi się w powietrzu: źdźbła słomy, resztki pierza, wiory, odłamki stłuczonego szkła i porcelany; czasem błyśnie i zgubiony sprzęt kosztowniejszy.

---

*) U nas znalazł Taine szczerego wielbiciela w Piotrze Chmielowskim.

Renan mienił się tak zdradliwie, że znaleźli się autorowie, broniący jego „religijności“ *). Inni znów, chociaż nie łudzą się wcale co do jego szkodliwości, wyrażają się o nim oględniej, aniżeli na to zasługiwał. **).

Renan wyrzucał z siebie wistocie bardzo często wyklęte przez pozytywistów określenia: Bóg, dusza, religia, wzniosłość, zapał, szlachetność i t. d Pełno ich w *Avenir de la science*,w *Dialogues philosophiques* i w *Examen de conscience philosophique*. Czy potrzeba, czy nie potrzeba, rozsiewał „wielkie słowa“ na wszystkie strony, zasłaniając niemi prawdziwe oblicze swoje.

Ale kto się dobrze jego fizyognomii przypatrzy, nie może się co do jej charakteru omylić.

— Kocham ludzkość — spowiadał się Renan w *Examen de conscience philosophique****), w „Rachunku sumienia“, napisanym na kilka lat przed śmiercią — *bo wytwarza wiedzę;* obstaję przy moralności, bo tylko rasy *naukowe* mogą być uczciwe. Gdyby ktoś chciał człowiekowi narzucić kajdany nieuctwa, nie widziałbym już dla niego racyi dalszego istnienia, ludzkość bowiem, wymarzona przez reakcyonistów, byłaby tak marna, że wolałbym, aby zginęła.

W tym samym „Rachunku“ wyznaje jeszcze Renan:

— Nie mamy prawa posiadać jakichkolwiek pragnień, gdy *rozum* przemawia. Słuchać nam wtedy trzeba, nic więcej. Należy się rozumowi pozwolić skrępować i wlec, gdzie się jego argumentom spodoba. ****).

---

*) Paweł Bourget „Essais de Psychologie Contemporaine“; cały rozdział trzeci w studyum o Renanie; — Jan Honcey: „Souffles nouveaux“ str. 32 i następne.

**) Edward Rod; Melchior de Vogüé.

***) „Revue des deux Mondes“; w zeszycie sierpniowym 1889 r., str. 735.

****) Jak wyżej; str. 721.

— Najpoważniejszą rzeczą na świecie jest *wiedza* — mówi Renan na innem miejscu.

To płaszczenie się przed wiedzą powtarza się ciągle w jego dziełach. Wiedza jest dla niego najwyższą potęgą. Ona daje prawdę, pojęcie dobra, piękna, cel życia, wszystko, słowem, z czego się ludzie chlubią.

A jakaż to ta prawda Renana? W tym samym „Rachunku" rozwija uczony oryentalista następującą teoryę: Nie ulega żadnej wątpliwości, że w świecie, dostępnym dla doświadczenia, nie ma i nie było nigdy żadnego faktu, któryby wskazywał na jakąś wolę, wyższą od woli człowieka. Co różne czasy przysądzały aniołom, demonom, bogom, bożkom, Bogu w końcu, było zawsze tylko złudzeniem. Nikt nie widział, aby jakaś siła wyższa poprawiała prawa natury, kierowała niemi, aby oświecała człowieka, powstrzymała jakieś nieszczęście, niesprawiedliwość, przygotowywała jakieś drogi i środki do wykonania obmyślonego z góry planu. Nie dostrzegamy nigdzie śladu inteligencyi, działającej celowo. Wszechświatem nie rządzi żaden rozum, świadomy siebie. Boga w rozumieniu pospolitem, żywego, działającego, nie chwytamy ani razu na gorącym uczynku. Ten Bóg jest formułką bardzo grubą (*une formule bien grossière*).

Wobec takich dokumentów trudno się domyślić, co Bourget chciał powiedzieć, gdy twierdził: Chociaż zerwał stosunki z religią, Renan zachował wobec niej stanowisko człowieka, który nie wierzy, ale także nie nienawidzi, lecz szanuje i poważa. *).

Należy się dziwić krytykom francuskim, iż nie wiedzą, do jakiej grupy przydzielić autora „Dyalogów filozoficznych" i „Rachunku sumienia".

Wszakże-ż wiedza jest bożyszczem pozytywistów, a ne-

*) Bourget; jak wyżej, str. 79.

gacya prawd teologicznych i metafizycznych stanowi główną treść ich wiary.

Pozytywistą czystym Renan nie był, nieporządna bowiem jego, dyletancka głowa nie znosiła ustalonego kierunku myślenia. Nie umiał on do tego stopnia panować nad swoim temperamentem, że przeczył sobie w jednem i tem samem zdaniu. Wszystko, co mu w danej chwili „ślina do ust przyniosła", wypowiadał, bez względu na to, czy następnik dopełniał poprzednik. Błyskotliwego, dowcipnego zwrotu nie ominął nigdy, chociażby kosztem wartości całego zdania.

Oto np. próbka takiej sztuczki kuglarskiej. Czujemy w sobie i słyszymy jakiś głos z jakiegoś nieznanego nam świata — mówi Renan w „Rachunku." — Głos ten odbija się echem w naszych szczytnych głupstwach (*sublimes absurdités*), którym człowiek ulega, chociaż wie bardzo dobrze, że robi złą spekulacyę (*mauvais calcul*); — odbija się on w czterech wielkich szaleństwach (*quatre grandes folies de l'homme*) ludzkości: w miłości, religii, w poezyi i cnocie. Głupstw tych i szaleństw nie uznaje egoista, a one, na złość jemu, rządzą światem. Najzjadliwsza krytyka nie pokona tych świętych złudzeń (*saintes illusions*). Głównie kobiety nie posłuchają nigdy rozumu.

Powyższe zdanie jest arcydziełem obłudy, nie mającej odwagi wygłosić jawnie swojego sceptycyzmu. Miłość, religia, poezya, cnota są szczytnemi, ale... głupstwami, szaleństwami. Najzjadliwsza krytyka traci moc wobec tych rzeczy świętych, które nie przestają być mimo to... złudzeniami. Głównie kobiety nie dadzą się nigdy przekonać, bo... bywają zawsze głuche na głos rozumu.

I tak wszędzie u Renana. Nieśmiertelność duszy jest, podług niego, *a priori* najpotrzebniejszym z dogmatów, *a posteriori* zaś najsłabszym. W *Questions contemporaines* mniema, że wszelka forma religijna nie wytrzymuje krytyki,

a przecież nie może religia istnieć bez formy. Raz Boga nie ma, to znów może być, ukażać się, gdy Mu się tak spodoba. Cnota oszukuje, kłamie, ale nie zaszkodzi być cnotliwym, chociażby dla wyróżnienia się od szubrawców. Można się upajać poezyą, ale należy wiedzieć, że sztuka nic nie warta.

Samej nawet wiedzy, pani swojej, Renan nie oszczędzał. Prawda naukowa jest kokietką, — żartował — gdyż obiecuje się ciągle, a nie oddaje się nigdy.

I głowa tak bałamutna, tak przewrotna, mogła znaleźć szczerych wielbicielów! Dowodzi to tylko upadku smaku i zdrowego rozsądku we współczesnym świecie cywilizowanym, pozbawionym steru moralności i szlachetnej sztuki.

Gdy Renan mówi: Boga nie ma, ale trzeba tak postępować, jak gdyby rzeczywiście istniał; dusza, jako substancya samodzielna, jest złudzeniem, ale mniej więcej tak się wszystko odbywa, jak gdyby była prawdą — wówczas drwi już sobie z czytelnika.

Gruby tom nie objąłby nielogiczności, dziwactw i niesmacznych dowcipków pisarza, który uchodził przez długi czas za gwiazdę pierwszorzędną na niebie myślicielów,

A właśnie temu błaznowaniu, pominąwszy „Życie Jezusa“, zawdzięczał profesor *Collège de France* swoją popularność. Bo jego studyów filologicznych i religijno-historycznych nie znał chyba nikt oprócz kolegów fachowych. Ale drwinki i błazeńskie uwagi rozchwytywano w lot, cytowano w dziennikach, powtarzano w salonach i kawiarniach. Francuz lubi wszelaki *flirt*, przepada za dwuznacznikami, czego dowodem jego literatura dramatyczna niższego rzędu. Nie ma tego idyotyzmu, któregoby w Paryżu nie oklaskiwano.

Renan był *flirterem* filozoficznym, dyletantem, jak go jego ziomkowie nazywają, przystępniejszym dla przeciętnej inteligencyi od Comte'ów, Littré'ych i in., zwłaszcza, że pisał wytwornym, artystycznym prawie językiem. Przesuwając się lekko, z wdziękiem, po wierzchu spraw najważniejszych,

uśmiechnięty zawsze uśmiechem wypasłego, dobrze najedzonego mieszczucha, zgorszył większą ilość nieświadomych, aniżeli ściśli pozytywiści, których się przeciwnik uczy szanować, gdy ich porówna z autorem „Dyalogów filozoficznych.“

Zrozumiał to we Francyi może jedyny Juliusz Lemaître, który rzucił się z namiętnością lat dwudziestu kilku na rozgłośnego już wówczas pisarza.

Przybywszy do Paryża, chciał Lemaître oczy swoje uraczyć widokiem słynnego na prowincyi autora „Życia Jezusa“. Więc udał się do *Collège de France* i co ujrzał? Wesołego, dowcipkującego jegomościa tam poznał, zabawiającego audytoryum dwuznacznemi uwagami. Wówczas załamał ręce i zawołał głosem rozżalonym: *).

— Pan Renan się śmieje, pan Renan jest wesoły? Nie, pan Renan nie ma prawa do wesołości. Jak Makbet zamordował sen, tak zabił on dwudzieścia, sto razy, w każej ze swoich książek, radość, czyn, spokój duszy i bezpieczeństwo życia moralnego. Wykonywać cnotę z tem przekonaniem, że człowiek cnotliwy jest głupcem i przyrządzić sobie mądrość o dwóch ostrzach; powiedzieć, że zawdzięczamy cnotę Odwiecznemu, ale że możemy z tego dawcy drwić, ile się nam tylko podoba, gdyż oddajemy wtedy tylko, komu należy, żart za żart — są to ładne, bardzo ładne zwroty myśli. A i ów „dobry Pan Bóg“, pojęty jako grecki emeryt, szachrujący w grze w kości, należy do świetnych pomysłów. Twierdzić, że Boga nie ma, ale może zjawi się kiedyś w postaci sumienia wszechświata; że nieśmiertelność nie jest przymiotem duszy ludzkiej, ale może się stać czemś podobnem w czasie nieograniczonym, w co zresztą tak samo, jak w owego Boga, wierzyć nie potrzeba, bo równa ilość szans przemawia za i przeciw, dodać w końcu, że zupełne ciemności

*) Juliusz Lemaître: „Les contemporains, études et portraits littéraires“; Paryż, 1888 r., tom I, str. 205 i następne.

zakrywają przed nami ostateczny cel wszechświata — nie są-ż to w istocie negacye? Wątpić i drwić w ten sposób, znaczy chyba to samo, co przeczyć. Wytworny nihilizm Renana jest przepaścią czarnej melancholii i rozpaczy. Nie wchodzę w to, czy jego filozofia jest prawdziwą lub fałszywą, bo jej krytyka nie do mnie należy; stwierdzam tylko, że jest nawskroś smutną. Więc nie ma nic, nic oprócz zjawisk? I z tem wszystkiem może pan Renan być wesołym? To zaprawdę szczególne, podziwu godne...

Młody Lemaître był niezawodnie tłómaczem rozczarowań i zwątpień swoich rówieśników, zgorszonych przez okrutnego bawiciela. Później powiał i na niego zatruty oddech Paryża, starło i z niego życie w stolicy dziewiczość prowincyi, ale żal lat wiosennych nie przestaje być mimo to wymownym dokumentem. Co Lemaître wówczas czuł, to przepełniało prawdopodobnie piersi całego pokolenia, rwącego się do życia, a niezdolnego już do szerszego lotu. Byli to biedacy, którym Renan w chwili natchnienia „cienie cieniów“ przepowiadał.

Bo ten sceptyk, ten cynik, ten pospolity, zdawkowy niedowiarek miewał czasami błyski jaśniejsze. Zbuntowany kleryk przesiąkł atmosferą seminaryum duchownego, w którem odebrał pierwsze, zwykle najsilniejsze wrażenia. Przez całe życie, aż do grobu szły za nim odgłosy dzwonów i śpiewów kościelnych i przypominały mu „zwietrzałe przesądy“ dawnych czasów. W takich chwilach tęsknił do zasad wzgardzonych i, oszukując sumienie, albo rzucał mu na pastwę kilka frazesów o prawdzie, dobru, obowiązku, poświęceniu i t. d., albo medytował nad nową religią, nad „romansem nieskończoności“ (*le roman de l'infini*), którego środkiem miał być jakiś Bóg, znajdujący się po za naszym, ludzkim wszechświatem. Te właśnie naiwne majaczenia Renana nazywają krytycy francuscy jego „religijnością“.

Wistocie był Renan, jako myśliciel, tylko nieudolną

kopią racyonalistów i pozytywistów, lichem odbiciem prądów, które przebiegały Europę w drugiej połowie bieżącego stulecia, przedstawicielem typu przeciętnego niedowiarka, połowicznego sceptyka, i temu swojemu dyletantyzmowi zawdzięczał prawdopodobnie szeroki rozgłos, na jaki jako filozof wcale nie zasługiwał.

Bardzo szerokie koło zatoczyły te prądy, tryskające z łona nauk przyrodniczych. Nietylko objęły one cały obszar wiedzy wogóle, ale uniosły z sobą także, ujarzmiły butną dawniej sztukę. I literatura piękna drugiej połowy bieżącego stulecia, przybrawszy nazwę naturalizmu, uległa zasadom pozytywizmu i ewolucyonizmu.

Zwykle łączy się z naturalizmem imię Zoli, chociaż się zaszczyt pierwszeństwa nie jemu należy, twórcą bowiem kierunku był nie Stendhal, albo Balzac, jak chcą jedni, i nie autor „Nany", jak sądzą inni, lecz Gustaw Flaubert.

Streszczenie formułek estetycznych Flauberta nie zajmie wiele miejsca. Wypowiedział je znakomity artysta najwyraźniej w listach do pani George Sand (*Lettres de Flaubert à George Sand*), wydanych wkrótce po jego śmierci, a wcielił w „Pani Bowary" (*Madame Bovary;* w r. 1857).

Szczególne to listy. Słyszymy w nich głosy dwóch talentów literackich, tak odmiennych od siebie, iż nie mogą się porozumieć. George Sand, poetka „z łaski Bożej", podmiotowa, rozporządzająca, jak prawie wszyscy romantycy, nadzwyczajną łatwością słowa, rozmawia z Flaubertem, uczonym, przedmiotowym, ociężałym robotnikiem, wystękującym z siebie każde zdanie z niesłychanym wysiłkiem.

— Ty nie wiesz o tem — skarżył się Flaubert przed Sand'em — co to znaczy przesiedzieć cały dzień z głową w dłoniach i męczyć się nad wynalezieniem jednego słowa. Myśl płynie u ciebie szeroko, bezustannie, jak rzeka, podczas kiedy u mnie [to tylko drobny strumyczek. Pracować muszę straszliwie, aby ze mnie kaskada trysnęła. Wiem ja

doskonale, co to śmiertelna trwoga stylu (*les affres du style*). A przecież ten pisarz, któremu forma trud taki sprawiała, że ją aż do pszedśmiertnej przyrównywał trwogi, ten męczennik bezpłodności autorskiej, był przedewszystkiem znakomitym stylistą. On to starał się nadać językowi francuskiemu, zaniedbanemu właśnie wówczas, nietylko czystość, ale i harmonijność i koloryt. Dni całe mógł poświęcić jednemu zwrotowi, wyrazowi; kilkadziesiąt razy odczytywał to samo zdanie, aby wytrzebić z niego wszelaką jednostajność słów, głosek nawet. Nad jednym tomem pracował, jak wiadomo, po kilka lat. Rytmiczność wiersza i melodyjność muzyki zastosowywał do prozy, którą kochał z namiętnością maniaka.

Przesadna dbałość o czystość stylu jest pierwszym rysem znamiennym talentu Flauberta. Różni się on pod tym względem stanowczo od Balzac'a, który, jak się Ferdynand Brunnetière słusznie wyraża, „maltretował biedny język francuski."

— Czuję wstręt nieprzezwyciężony — pisał innym razem Flaubert do Jerzego Sand'a — do rzucania na papier czegośkolwiek, co pochodzi z serca. Zdaniem mojem, nie ma powieściopisarz prawa do wygłaszania sądów osobistych, do czegokolwiekby się one odnosiły. Alboż to Pan Bóg wypowiedział kiedykolwiek zdanie swoje?

A kiedy go Sand nie zrozumiał, bo autor podmiotowy nie mógł wniknąć odrazu w myśl twórcy przedmiotowego, wyrażającego się nadto w rzeczach teoretycznych zwykle niezręcznie, wówczas dodał Flaubert:

— Wierzę, że prawdziwa sztuka powinna być naukowa i nieosobista (*scientifique et impersonnel*).

I oto drugi rys charakterystyczny Flauberta.

Autor „Pani Bowary", rozkochany w poprawności i dźwięczności języka, był zwolennikiem „sztuki dla sztuki", popierał absolutny objektywizm przeciw subjektywizmowi.

Autor powinien stać po za swojem dziełem, jako obcy widz, przypatrujący się obojętnie ludziom i wypadkom, które zestawia, zaokrąglając tylko całość artystycznie. Autor nie tworzy, lecz odtwarza, nie wciela w postacie powieści czy dramatu własnych poglądów, przekonań, ideałów, lecz fotografuje tylko to, co widzi. Wyobraźnia, intuicya nie są mu zupełnie potrzebne.

Ani jednej ani drugiej formułki nie odkrył dopiero Flaubert, formie bowiem wyznaczył w poezyi miejsce naczelne przed nim Teofil Gautier, a „literatów-artystów“ znają wszystkie epoki piśmiennictwa świata cywilizowanego. Teorya „sztuki dla sztuki“ jest tak stara, jak belletrystyka wogóle; szła ona równolegle obok teoryi drugiej, obok „sztuki dla ludzi“.

Ale teorye, w treści, w istocie swej zawsze te same, zmieniają się w wykonaniu technicznem, co odgranicza właśnie jedną epokę literacką od drugiej. Inaczej wygląda „sztuka dla sztuki“ romantyków np., a inaczej „sztuka dla sztuki współczesnych realistów. Podczas kiedy „artyści“ romantyków nie wykluczali wyobraźni, intuicyi, natchnienia, twórczości wogóle, realiści poddali się bez oporu metodzie wiedzy pozytywnej. Sztuka powinna być „naukową“ — twierdził Flaubert — co znaczy, że ma się posługiwać jedynie obserwacyą. Tylko to, co autor widzi, słyszy, czego się może dotknąć, tylko to jest materyałem artystycznym.

A Flaubert widzi i słyszy, tak samo jak uczeni pozytywiści, jedynie zewnętrzne przejawy człowieka. Do głębi charakteru, do istotnej jego psychologii nie zstępuje nigdy, zadowalniając się zmysłową stroną odtwarzanego typu. Jego „Pani Bowary“, niezawodnie arcydzieło w swoim rodzaju, jest od początku do końca samicą. Nie ma w niej ani śladu kobiety w rozumieniu szlachetniejszem. Dla takiej „Pani Bowary“ wystarcza metoda pozytywna najzupełniej, z chwilą jednak, gdy artysta wybierze przedmiot inny, wię-

cej złożony, niemożliwy bez wyobraźni i intuicyi, wówczas wypowiada recepta realistów posłuszeństwo, jak zawiodła ich mistrzów uczonych w etyce, w psychologii, w krytyce i t. d. Flaubert został też rzeczywiście do śmierci tylko autorem „Pani Bowary“, chociaż wydał jeszcze kilka powieści i wiązankę nowel. Żadne z dzieł późniejszych nie znosi porównania z pierwiosnkiem jego talentu.

Na rachunku „naukowości“ Flauberta należy także postawić przeładowanie treści zbyt wielką ilością szczegółów, opisów, malowideł niepotrzebnych, zachodzących już u niego.

Co Flaubert jako teoretyk zaledwo zaznaczył, to rozwinął i uzasadnił Emil Zola, właściwy doktryner szkoły.

Nie odrazu wiedział Zola, dokąd zmierza, chociaż robił od samego początku swojej karyery literackiej tyle wrzawy, jak gdyby odkrył kwadraturę koła lub *perpetuum mobile*. W pierwszym tomie „Dzieł krytycznych“ (*Oeuvres critiques*) p. t. „Moje nienawiści“ (*Mes haines, causeries littéraires et artistiques*) pomieścił kilka zdań, do których się chyba później nie przyznawał.

Oceniając pośmiertne dzieło Prudhon'a p. t. *Du principe de l'art et de sa destination sociale* oświadczył między innemi: My, artyści, ubiegamy się o doskonałość; z własnych snów splatamy ideały, troszcząc się bardzo mało o ziemię. Żyjemy w pełnem niebie, z którego nie zstępujemy. Oto powód, dlaczego wszyscy nieszczęśliwi rzucają się w nasze objęcia, pomijając moralistów.

Zdanie to podpisałby każdy idealista.

Mówiąc o *Germinie Lacerteux* Juliusza i Edmunda de Goncourt, wyraził się Zola: Literatura współczesna jest wytworem nerwowości naszych czasów. Postęp, przemysł, wiedza odebrały nam siły. Żyjemy w gorączce, przeto badamy z upodobaniem wrzody i rany, schodząc niżej, coraz niżej. Wszystko skarży się, cierpi w dziełach chwili obecnej.

I temu wyrokowi na naturalizm przyklasnąłby jego najzaciętszy przeciwnik.

Do owej choroby wieku wracał Zola w pierwszym tomie „Dzieł krytycznych“ po kilka razy, powtarzając ciągle te same zwroty: *nous sommes malades d'industrie et de science; malades de progrès; nous vivons dans la fièvre* i t. d. *La sensibilité maladive* przypominał co kilkanaście stronnic.

Ale już w drugim tomie „Dzieł kryt.“, w „Romansie doświadczalnym“ (*Le roman expérimental*), występuje pełny naturalista, świadomy celów i środków kierunku. W książce tej, składającej się z siedmiu oddzielnych studyów (1, *Le roman expérimental;* 2, *Lettre à la jeunesse;* 3, *Le naturalisme au théâtre;* 4, *L'argent dans la littérature;* 5, *Du roman;* 6, *De la critique;* 7, *La république et la littérature*) złożył Zola wszystko, co myślał o literaturze, sztuce, nauce, krytyce, filozofii, o polityce nawet. Złożył nieporządnie, bez ładu, bez ciągłości w dowodzeniu, ale dość wyraźnie do odbudowania programatu naturalizmu artystycznego.

Oto jest, zdaniem Zoli, kołyską dzisiejszych prądów literackich wiek XVIII-ty, który obmyślił właściwą metodę naukową. Aż do materyalistów ubiegłego stulecia uczeni nie różnili się od poetów. Jak ludzie fantazyi, wpadali i oni przypadkiem na pewne prawdy, nie docierając do nich na drodze ścisłej obserwacyi i wnioskowania. Ztąd w wiedzy dawniejszej owa szczególna mieszanina znakomitych zdobyczy i naiwnych złudzeń.

Inaczej pracowali mężowie XVIII-go w. Wyszedłszy z faktu stwierdzonego, wysnuwali spostrzeżenie ze spostrzeżenia, nie bawiąc się w uogólnianie przed zupełnem wyczerpaniem przedmiotu. Na miejscu syntezy postawili analizę, intuicyę zastąpili długiem, cierpliwem badaniem, posuwając się wolno od pojęć prostych do złożonych. W ten sposób pozyskała nauka wyborne narzędzie — metodę.

Odkrycie to przysłużyło się wiedzy więcej — twierdzi

Zola — niż wszystkie objawienia intuicyi. Dzięki dokładności obserwacyi, wzmogły się nagle nauki, rozszerzając się i pogłębiając z każdym prawie dniem. Anatomia i chemia otworzyły nowe światy, kosmografia zaś i geologia „zadały baśniom religii ciosy straszliwe".

Nowy ruch nie ograniczył się na samych umiejętnościach ścisłych. W historyi i krytyce usunęło badanie faktów i otoczenia przestarzałe reguły scholastyczne, w literaturze pięknej wróciła, za przyczyną Jana Jakuba Rousseau, natura do swoich praw. Człowiek przestał być abstrakcyą...

Reforma, rozpoczęta przez „olbrzymów" ubiegłego stulecia, zatrzymała się na lat kilkadziesiąt. Wybryki motłochu, gospodarującego podczas wielkiej rewolucyi, zniechęciły umysły lotniejsze do postępu. Po gwałtownym wybuchu nastąpiła chwila rozpamiętywania i melancholii. Pisarze, odepchnięci dzikością tłumów, stracili wiarę w świętość haseł nowoczesnych. Zrażeni do życia, do jego krwawych przejawów, ukryli się w barwnych krainach wyobraźni. Ale wstecznicy byli sami, chociaż o tem nie wiedzieli, po części rewolucyonistami. Wszakże-ż oni to, romantycy, wnieśli do poezyi jaskrawy koloryt i namiętność; oni, nie kto inny, zburzyli do reszty walący się gmach reguł klasycznych, usunęli gruzy estetyczne wieków ubiegłych.

Z chwilą, gdy ludzie ochłonęli po wojnach rewolucyi i pierwszego cesarstwa, gdy dorosło nowe pokolenie, które nie patrzyło już własnemi oczami na grozę anarchii i jej skutków, ideał XVIII-go wieku — naturalizm — wrócił do rządów na wszystkich polach.

W literaturze pięknej podnieśli jego sztandar: Stendhal i Balzac. Obadwaj wprowadzili do powieści metodę naukową. Nie wyobrażali sobie nic, lecz badali. Upatrzywszy sobie człowieka, typ, kładli go, jak lekarz na stole anatomicznym, i krajali, analizując ciało i mózg. Balzac'a zajmo-

wały tylko: temperamenty, okoliczności, otoczenie, słowem, „dokumenty ludzkie“. Bardzo słusznie nazwał się autor „Ojca Goriot“ *docteur ès sciences sociales*, był bowiem więcej uczonym niż artystą.

Uczonym więc powinien być artysta, podług Zoli, który powtarza z upodobaniem: *nous autres naturalistes, hommes de science* .. Wrócić powinien do natury, do bezpośredniej obserwacyi i analizy. Rzeczą jego nie stwarzać sytuacyj i charakterów, lecz odtwarzać rzeczywistość w tej formie, w jakiej się ona zmysłom ludzkim przedstawia. Nie ma w sztuce, tąk samo jak w nauce, miejsca dla wyobraźni i intuicyi, bo jednej one matki dziećmi. Rodzi je obiedwie namiętność prawdy. *Il ne faut admettre rien d'occulte; il n'ya que des phénomènes et des conditions des phénomènes* — powtarzał Zola za Klaudyuszem Bernardem.

Jak uczony, powinien i artysta wyrzec się raz na zawsze fantazyi i intuicyi, i pracować systematycznie i metodycznie, co znaczy: upatrzyć sobie jaki temat, pozbierać starannie odpowiednie obserwacye, zapisywać szczegóły, a załatwiwszy się z materyałem, poddać go analizie i eksperymentowi. Prawo dziedziczności i środowiska (*milieu*) społecznego ułatwią mu robotę. Robotę, z naturalizmem bowiem kończy się dawna twórczość artystów, a zaczyna się praca uczonych. *).

Po tem, co Zola mówi sam o naturalizmie artystycznym, nie można się omylić co do jego istoty. Jest on poprostu zastosowaniem filozofii pozytywnej do sztuki. Nietylko wyznaje te same zasady, ale posługuje się nawet dosłownie jej frazeologią.

Prawdopodobnie nie znał Zola w chwili, kiedy dźwigał gmach naturalizmu, ani Comte'a, ani Littré'go, ani ewo-

*) Nad doktrynami Zoli zastanawiałem się szczegółowo w studyum p. t. „Emil Zola jako polemista i krytyk“, pomieszczonem w „Tygodniku Ilustrowanym“. (Przyp. autora).

lucyonistów angielskich, bo potrącił mimochodem, po dyletancku o jednego zaledwo Darwina, ale czerpał swoją mądrość teoretyczną z Klaudyusza Bernarda, z jego słynnej „przedmowy“ (*Introduction à l'étude de la médecine expérimentale*), znakomity zaś fizyolog francuski należy do tych, co doprowadzili pozytywizm *ad absurdum*. Do niego przecież należy ów znany powszechnie paradoks: Te same prawa rządzą kamieniem przydrożnym i mózgiem człowieka...

* * *

Streszczając pokrótce, co się w dwóch pierwszych rozdziałach niniejszego studyum powiedziało, ostaną się następujące wypadkowe:

Tak pozytywizm filozoficzny, krytycyzm estetyczny i naturalizm francuzów, jak ewolucyonizm anglików, materyalizm niemców i antropologia kryminalna włochów, pochodzą z jednego i tego samego źródła. Wszystkie te kierunki, różniące się tu i owdzie w szczegółach, schodzą się we wspólnej negacyi teologii i metafizyki i w ubóstwianiu wiedzy, której podporządkowują filozofię. Wszystkie nie uznają: Boga, duszy, wolnej woli, wrodzonych idei, wyobraźni, intuicyi, a uznają: rozum, obserwacyę, analizę i eksperyment. Wszystkie przyswoiły sobie metodę nauk przyrodniczych, którą zastosowują do umiejętności humanistycznych. Wszystkie w końcu powtarzają dosłownie te same formułki: dziedziczność, środowisko, chwila dziejowa, prawa ewolucyi, postrzeganie zmysłowe, egoizm, altruizm i t. d.

Co Comte i Littré zrobili z filozofią, to uczynił Darwin z zoologią i botaniką, Spencer z etyką i socyologią, Taine z krytyką literacką, Ferri i Lombroso z prawem karnem, Flaubert i Zola z literaturą piękną. Usiłowali oni za pomocą środków zewnętrznych odtworzyć dzieje wszechświata i pełnego człowieka. Ztąd w epoce ostatniej z jednej strony tak wielkie znaczenie nauk ścisłych, skazanych z natury swojej głównie na obserwacyę i doświadczenie, z drugiej

zaś takie lekceważenie filozofii, sztuki i nauk humanistycznych.

Wyjąwszy materyalistów, którzy przecząc wprost, bez żadnych omówień, mieli prawo do wszelakich marzeń, popełnili wszyscy wybitniejsi uczeni i artyści pozytywni jeden i ten sam błąd: oto przekroczyli oni granice wykreślonego przez samą doktrynę planu.

Pozytywiście i ewolucyoniście nie wolno wychodzić z koła obserwacyi i doświadczenia. Rzeczą ich opowiedzieć, co dostrzegli i sprawdzili za pomocą zmysłów. Królestwem ich świat zjawisk, połączonych z sobą niezmiennemi prawami natury. Tylko metafizycy bujają w obłokach domysłów, unoszeni na skrzydłach intuicyi.

Gdyby się pozytywiści i ewolucyoniści byli trzymali własnego programatu, nie byliby wtargnęli do dziedziny spraw moralnych, społecznych i do państwa sztuki. Zamknąwszy się w ramach nauk ścisłych, jakby stworzonych dla ich metody, byliby zasłużyli na wdzięczną jedynie pamięć ludzkości, przyczynili się bowiem rzeczywiście do rozkwitu wiedzy.

Ale żaden z nich nie wytrzymał długo na stanowisku obojętnego obserwatora, skrzętnego zbieracza i fachowo wykształconego klasyfikatora zebranych postrzeżeń, co zresztą naturalne, bo któryż umysł zdolniejszy zadowolni się biernem badaniem tego, co się naokoło niego dzieje... prawdziwą czy sztuczną apatyą wobec przyczyn wszechrzeczy? Kiedy Comte budował formułkę pozytywną, nie zastanowił się dobrze nad istotą natury ludzkiej. Trzeba być zwierzęciem, aby nie pomyśleć też czasem, co spowodowało wszechświat, zkąd ta cudowna maszyna idzie i dokąd zmierza.

Pierwszy Comte sprzeniewierzył się swojej doktrynie, bo stał się przy końcu życia dogmatykiem, rodzajem apostoła jakiejś nowej wiary. I Littré, przezorniejszy od mistrza, wygłaszał sądy stanowcze o rzeczach, które nie podlegają

obserwacyi i doświadczeniu. Darwin, gdy z kilku przykładów, których ciągłości nie mógł przeprowadzić, bo nietylko obserwacya, ale nawet eksperyment nie sięgają do początku organizmu jednokomórkowego — wyrokował o pochodzeniu gatunków wogóle, opuścił pewny grunt nauki doświadczalnej. Tego samego grzechu dopuścili się: Spencer, Taine, Lombroso, Flaubert, Zola, wszyscy, słowem pozytywiści i ewolucyoniści, wszyscy bowiem nie stosowali się ściśle do przepisów, uznanych przez nich za jedynie rozumne.

Znaleźli się przecież nawet pozytywiści, którzy pozazdrościli prorokom daru jasnowidzenia. Słynny chemik francuski, Berthelot, dotarłszy do istoty jakichś tłuszczów, tak się sobą sam zachwycił, że zawołał, jak żaczek szkolny: Nie ma już tajemnic na świecie *). A i Zola zapewniał w swoim *Le roman expérimental* niejednokrotnie, że czego wiedza dotąd nie odkryła, to wydobędzie kiedyś z pewnością na światło dzienne.

Wzgardzona metafizyka zemściła się na mędrcach, którym się zdawało, że wystarczy: patrzeć, opukiwać, obwąchiwać i zapisywać rezultaty tych oględzin zewnętrznych, aby wniknąć w samą istotę rzeczy. Ilekroć sobie pozytywiści i ewolucyoniści nie umieli poradzić, ilekroć stanęli wobec zjawisk, niedostępnych dla obserwacyi i doświadczenia, tylekroć uciekali się do niej, do owej sponiewieranej marzycielki.

Dziś należy pozytywizm jako system filozoficzny do nieboszczyków. Zostala po nim tylko metoda naukowa, niewątpliwie pożyteczna w zastosowaniu do nauk ścisłych.

I ewolucyonizm przestał być prawdą z chwilą, gdy prof. Pasteur, dowiódłszy jednostronności darwinizmu, zburzył główną podwalinę jego dumnego gmachu.

---

*) W przedmowie do „Origines de l'alchimie"; Paryż, 1885 r.

Część druga.

SKUTKI.

III.

Skutki w nauce.—Pozorna prostota doktryny pozytywnej. — Zbyt wielka obfitość szczegółów.—Skutki w literaturze pięknej. — Naturalizm francuski. — Jego materyalizm. — Jego pesymizm. — Wrzekomy objektywizm. Zewnętrzność jego obserwacyi. — Fizyologia zamiast psychologii. — Naturalizm polski. — Gabryela Zapolska. — Naturalizm niemiecki. — Karol Bleibtreu. — Naturalizm włoski i skandynawski. — Naturalizm w teatrze francuskim. — Henryk Ibsen. — Likwidacya naturalizmu.

Metoda pozytywna i ewolucyonistyczna zawdzięcza znaczną część powodzenia pozornej prostocie swojej. Operuje ona rzeczywiście kilku zaledwie formułkami, które zapowiadały uproszczenie wiedzy i sztuki ludzkiej. Obojętność wobec pierwszych i ostatnich przyczyn świata, badanie tego, co ogarnia rozum przy pomocy: obserwacyi i doświadczenia, wyzyskanie praw: dziedziczności, środowiska i chwili dziejowej — oto mniej więcej cały aparat naukowy filozofów, uczonych i artystów drugiej połowy bieżącego stulecia. Głównie wykluczenie z poszukiwań źródła wszechrzeczy ułatwiło wiedzy trudne dawniej zadanie.

Tak się zdawało...

Kreśląc plan powyższy, nie obliczyli się pozytywiści i ewolucyoniści z rozciągłością obserwacyi i z ciekawością umysłu ludzkiego. Gdy kilkuset uczonych różnych stopni i rodzajów zaczęło znosić do wspólnego zbiornika szczegóły

i szczególiki coraz to drobniejsze, błahsze, urosła niebawem taka olbrzymia góra „obserwacyj“, że jej już żadna głowa pomieścić nie może. Każdy chciał coś na własną rękę „zaobserwować“, więc chwytał, co spotkał na drodze, nie troszcząc się o to, czy złowił fakt typowy, czy też tylko wyjątkowy, patologiczny.

Już dzieła mistrzów toną w morzu obserwacyj, z których połowa mogłaby odpaść bez szkody dla całości. Spencer przykrył zupełnie w „Zasadach Etyki“ zarys swojej moralności materyałem dowodowym. Lombroso zapełnił „Człowieka-Zbrodniarza“ od góry do dołu sieczką statystyczną. Nikt przed nim nie zestawił obok siebie tylu cyfr i dat. Samej antropologii kryminalnej widać zaledwo koniec nosa z po za muru „faktów“.

W czem mistrzowie zbłądzili, w tem przesadzali oczywiście jeszcze uczniowie, jak zwykle bywa. Wiedza posiada obecnie takie bogactwo „obserwacyj“, że starczą one na długi przeciąg czasu dla całego legionu klasyfikatorów. A każde z tych postrzeżeń chce być prawdziwe, zaczerpnięte z rzeczywistości, więc niezbędne dla danej nauki; każde domaga się, aby je koniecznie uwzględniono.

Nadszedł obecnie czas dla uczonego z głową krytyczną, któryby poddał zebrany materyał surowemu śledztwu i wyrzucił z niego plewy i śmiecie, pozostawiając tylko istotne fakty typowe, nadające się do uogólnień. Dopiero wtedy stanie się możliwą filozofia pozytywna, „koordynacya wiedzy“, o jakiej Comte marzył.

Jak dotąd zalewa nas potop obserwacyj. Zalewa nam uszy, oczy, mózg, iż nic nie słyszymy, nie widzimy, nie rozróżniamy, oprócz szumu. Zewsząd szturmowali i szturmują na nas ćwierć, pół i pełni uczeni i wołają: Oto fakt! Trzymaj go mocno w garści, bez niego bowiem nie zrozumiesz danej nauki! A jutro, pojutrze, popojutrze i t. d. powtarza się to samo.

Do zamętu obserwacyi należy dołączyć bezład w samych teoryach.

Pierwszym pozytywistom zdawało się, że głowa ludzka jest maszyną, którą można nakręcić jak zegarek. Gdy się wszyscy będą stosowali do tych samych przepisów, musi się wytworzyć wiedza jednolita — wnioskowali. Ale nie ma podobno na kuli ziemskiej dwóch zegarków, zgadzających się z sobą dokładnie, nie ma i dwóch głów, myślących jednostajnie bez żadnych odmian. Każda dodaje do nagromadzonych już skarbów duchowych coś nowego.

Wszyscy np. antropologowie kryminalni wychodzą z tych samych zasad, a mimo to doszli jedni do okrucieństwa względem zbrodniarzów, inni znów żądają dla wyrzutków społecznych pobłażliwości, miłosierdzia.

Którzy mają słuszność?...

Wszyscy moraliści pozytywni oparli się na egoizmie, ale mniej skrajni starali się pogodzić „przesądy“ zgasłych pokoleń z „niezawisłością“, podczas kiedy śmielsi odrzucili bez ogródki maskę sztucznego altruizmu.

Po czyjej stronie racya?

Darwin mniemał, że teorya ewolucyi nie wyklucza Boga; Renan majaczył o jakimś Panu wszechświata, bujającym w nieskończoności; Comte, Littré i in. milczeli znacząco, gdy zbliżali się do tajemnicy tajemnic; Spencer bąka niewyraźnie o „niepoznawalnej“, Klaudyusz Bernard gniewa się na nieprzyjemne *„le pourquoi des choses“;* materyaliści niemieccy przeczą wprost.

Któryż z tych mędrców powiedział prawdę?

Dodawszy do pozytywistów i ewolucyonistów jeszcze spirytualistów francuskich (Ravaisson, Franck, Janet, Caro, Jules Simon i in.) i pesymistów niemieckich (*Schopenhauer*, *von Hartmann*), posiadamy obecnie dwadzieścia kilka różnych moralności.

Kogóż należy słuchać, aby być — wyrażając się po staroświecku — człowiekiem dobrym i uczciwym, albo, posługując się modnym żargonem — dostósować się do potrzeb rozwoju?

Ernest Renan, znów w chwili jasnowidzenia, zawołał: *).

— Mówicie o źródle cnoty? Ależ panowie, nikt z nas o niem nic nie wie, albo raczej wiemy wszyscy tylko to, że każdy z nas odnajduje je we własnem sercu. Pomiędzy dwudziestoma teoryami o obowiązku, nie wytrzymuje ani jedna krytyki. Istota cnoty polega na tem, że człowiek cnotliwy nie zdaje sobie sprawy, dlaczego dobrze postępuje. Bohater, zastanowiwszy się po dokonanym czynie, przyszedłby bezwątpienia do przekonania, że działał jak nierozważny głupiec. A właśnie dlatego, że w danej chwili nie medytował, jest bohaterem. Uległ wyższemu rozkazowi, nieomylnej wyroczni, słowem, głosowi, który nakazuje, nie tłómacząc się przed nikim z tego, co postanawia.

Stary cynik, zapomniawszy na chwilę o gustach przeciętnej inteligencyi swojego czasu, odezwał się rozumnie.

Zamiast jednego kodeksu moralnego, wyrytego w sercu człowieka od pierwszej chwili jego istnienia, a rozwiniętego przez wysiłki i tęsknoty całej ludzkości cywilizowanej, obmyślili uczeni naszych czasów aż dwadzieścia etyk, z których żadna nie przekonywa.

I oto wykwitło z metody pozytywnej coś wręcz przeciwnego, jak się jej twórcy spodziewali. Formułka wistocie prosta wydała chaos obserwacyi, pojęć, wskazówek i poglądów. Bezład zapanował, gdzie miał rządzić jeden pasterz... rozum chłodny a jasny.

---

*) W mowie wygłoszonej w Akademii francuskiej dnia 4-go sierpnia 1881 r.

Wyraźniej, plastyczniej odbił się ten chaos w literaturze pięknej, powolnej od lat kilkudziesięciu służebnicy wiedzy.

Wyrażenia: *la science*, *méthode scientifique*, *le sens du réel*, *la verité*, *nous autres naturalistes*, *hommes de science* i t. d. powtarzają się w głównem dziele teoretycznem Zoli, w „Romansie eksperymentalnym“, kilkaset razy. Mają one oznaczać; wszystko, co sztuka przed nami, naturalistami, wydała, nie zasługuje na trwalszą pamięć, bo dawniejsi autorowie nie liczyli się z prawdą życia.

Czy tak? Więc tragicy i komedyopisarze greccy i rzymscy nie odtwarzali rzeczywistości? Postacie Sofoklesa, Arystofanesa i Terencyusza nie chodziły po ziemi? Więc Szekspir, gdy mówi: Każ się przejrzeć w zwierciadle naturze, cnocie, nikczemności i epoce swojej — nie był realistą? Jest-że wogóle jaki pisarz-artysta, z wyjątkiem niewielu fantastów, coby nie chciał, nie pragnął gorąco, aby dzieło jego żyło? Są, którzy tę sztukę potrafią i którzy jej nie potrafią, co zależy jedynie od stopnia talentu, ale rozmyślnych fałszerzów prawdy życiowej było nie wielu. Nawet najromantyczniejszym z romantyków zdawało się, że kreacye ich wyobraźni istnieją lub mogą istnieć.

Nasi poprzednicy idealizowali człowieka — odpowiedzą w tem miejscu naturaliści.

Wistocie? Arystofanes otaczał filozofów, hetery greckie i demagogów aureolą świętości? Cervantes oszczędzał Don Kiszota, Szekspir wybielił i uróżował lady Makbet i króla Ryszarda, Szyller przyozdobił Franciska Moora zaletami serca i duszy?...

Sztuka dobra była zawsze realistyczną i wiedziała po wszystkie czasy, że nikczemność odgrywa na ziemi znaczną rolę. Przeto nie w jego domniemanej prawdziwości należy szukać duszy naturalizmu francuskiego.

Czemże jest „Pani Bowary“ Flaubert'a, pierwowzór

kobiet naturalistycznych? Żoną-ż ona, matką, siostrą, choćby kochanką w rozumnieniu szlachetniejszem? Kiedy oprzytomniała po upojeniu zakazanej miłości, wówczas zawołała z radością: Mam kochanka, mam kochanka!

Niewierne małżonki nie są jedynie wytworem fantazyi artystycznej, o czem wiedzą wszyscy, którzy przypatrywali się trochę dłużej życiu, ale najgorsza niewiasta zastanowi się chyba po dokonaniu pierwszej zdrady nad znaczeniem tego, co uczyniła. Człowiek nie godzi się odrazu z grzechem.

Pani Bowary nie czuje się ani przez chwilę winną wiarołomstwa. Sumienie nie mówi jej nic, serce jej nie drży na widok domu i męża. Weseli się ona tylko, że „posiadła nareszcie kochanka".

Ta sama obojętność wobec występku cechuje także typy niewieście Gwida de Maupassant'a. Jego kochanki filozofują nawet na temat znieczulenia moralnego. Pani de Guilleroy (w *Fort comme la mort*), upadłszy, rozkoszuje się „nieprawdopodobną szczęśliwością", co ją samą zadziwia. „To szczególne -- mówi do siebie — nie doznaję prawie żadnego zmartwienia. Wiem, że popełniłam zbrodnię, a przecież nie rozpaczam. Gdyby mi to był ktoś wczoraj przepowiedział, nie byłabym uwierzyła. Zdawało mi się, że po spełnionym czynie zburzą zgryzoty sumienia mój spokój; tymczasem nic z tego".

Inna dama Maupassant'a, pani Roland (w *Pierre et Jean*) nie czuje do tego stopnia nieuczciwości pokątnego romansu, że tłumaczy się przed własnym synem. „Upadłam — przyznaje się — ale dlatego, bo mi występek dał szczęścia".

Germine Lacerteux braci de Goncourt nie różni się brakiem wrażliwości od typów Flaubert'a i Maupassant'a.

A postacie Zoli?

Istnieje we Francyi znana rodzina zbrodniarzów, nazwiskiem Kerangal, która zatrudnia od lat kilkudziesięciu

sądy i psychiatrów drugiego cesarstwa i trzeciej rzeczypospolitej. Z tego nieszczęśliwego gniazda wyszło dotąd siedmiu morderców i dziesięciu występnych różnego rodzaju płci obojga, pominąwszy innych, o których się sprawiedliwość doczesna nie dowiedziała.

Zdaje się, że Zola wziął sobie Kerangalów za wzór, gdy postanowił w szeregu powieści odtworzyć „historyę naturalną i społeczną jednej rodziny z czasów drugiego cesarstwa“. Wszystko, co człowiek-zwierzę wymyślił, aby własne zadowolnić chucie, wszystkie podłości i szalbierstwa, od wyuzdania zmysłowego Nany (*Nana*) począwszy, aż do straszliwego obłędu Lantier'a (*La bête humaine*) wszystkie, słowem, przewrotności, brudy i choroby ciała pomieścił „Mistrz z Medanu“ w dziejach „Rougon-Macquardt'ów“.

Byłby niezawodnie jednostronnym, ktoby żądał od beletrysty samych tylko obrazów świetlanych, malowanych barwami bezkrytycznego optymizmu. Ponieważ egoizm i występek istnieją, przeto niewolno ich obserwatorowi pominąć. Tak Emma Bowary Flaubert'a, jak panie: de Guilleroy, Roland i in. Maupassant'a, Germinia Lacerteux Goncourt'ów, Nany i całe niechlujne towarzystwo Zoli plugawią rzeczywiście ród ludzki, czego dowodem: domy publiczne i karne, zdrowia i obłąkanych, ale oprócz wyrzutków lub chorych pracują, kochają, dążą do czegoś, cierpią, zawodzą się, ludzie uczciwi, szlachetni, bohaterscy nawet. A tej drugiej strony człowieka nie zna, raczej znać nie chce, naturalizm francuski. Wszystkie kobiety są u niego tylko samicami, ulegającemi bez oporu, bez śladu obrony zachciankom zmysłów; żadna z jego postaci wogóle bez różnicy płci, wieku, pochodzenia, zajęcia, nie usiłuje nawet podjąć walki z podszeptami instynktów zwierzęcych. A jeżeli znajduje się między niemi jaka natura czysta, jak Zoli Deniza (*Au bonheur des dames*) albo Paulina (*La Joie de vivre*), to nie grzeszy ona jedynie dla tego, bo „nie może“. Nie pozwala jej

na brud „piękne zdrowie fizyczne“, co autor wyraźnie zaznacza.

Nie może, nie pozwala?! Słowa te odsłaniają tajemnicę naturalizmu. Nie może, gdyż według zasad pozytywizmu i ewolucyonizmu, czyli po prostu materyalizmu, człowiek nic nie może... jest niewolnikiem odziedziczonych pociągów, bezwładną maszyną, pozbawioną zupełnie wolnej woli.

Oto dusza naturalizmu artystycznego! Jest on pozytywistą, materyalistą i jako taki nie uznaje nietylko niezawisłości człowieka, ale także jego cnoty. Wierząc jak moraliści niezależni, że z egoizmu płynie wszelkie postępowanie ludzkie i jak przyrodnicy, że nie ma żadnej różnicy między „kamieniem przydrożnym a mózgiem“, widzi on wszędzie jedynie „człowieka-zwierzę“, pomijając rozmyślnie „człowieka-duszę“ i „człowieka-serce“. Ztąd jego zamiłowanie w brudzie i podłości.

Co miało doprowadzić sztukę do źródła prawdy, zawiodło ją na manowce, stokroć gorsze od fantastycznych widziadeł romantyków. Bo fałszuje rzeczywistość, kto dostrzega w człowieku tylko jego slabości i wykoszlawienia, kto szuka typów w szpitalach, więzieniach, w szynkach i domach publicznych, na śmietniku i w rynsztoku. Naturalizm jest kłamstwem psychologicznem i zarazem występkiem, gdyż oczernia ludzkość wogóle, a Francyę po szczególe. Gdyby potomkowie Gallów tak wyglądali, jak w nas belletryści wmawiają, powinnaby Europa obwołać przeciw nim krucyatę, aby zburzyć raz na zawsze gniazdo zepsucia, zanieczyszczające atmosferę świata cywilizowanego. Ale tak nie jest, o czem wiedzą z osobistego doświadczenia wszyscy, którzy mieszkali nad Sekwaną. Zohydzone przez Flauberta, Zolę i in. „zwierzę“ umie i w Paryżu czuć głęboko, poświęcać się, zapalać do „przesądów“ przeszłości, myśleć szlachetnie i kochać sercem.

Nie tak wierzą naturaliści, gdyż z materyalizmu ich wyłągł się pesymizm, dokładający jeszcze barw czarnych tam, gdzie ich już sama rzeczywistość nie poskąpiła. Naturaliści nietylko nie uznają jasnych stron natury ludzkiej, nie chcą ich dostrzedz, ale potęgują nadomiar rozmyślnie bydlęcość „zwierzęcia“. Z rozkoszą grzebią się w błocie, z świadomością podkreślają każdą podłość lub chorobę. Między nimi a dziełami ich nie ma owej nici sympatycznej, łączącej zwykle autora z jego tworami. Naturalista nie uśmiecha się nigdy serdecznie, lecz szydzi, urąga, drwi okrutnie. Bez miłosierdzia zrywa on zasłonę z nagości dzieci adamowych, nie znajdując dla nich ani słowa pociechy. Naturalista pogardza kreacyami swojemi, czuje do nich nienawiść. Odnosi się to nietylko do Zoli i jego uczniów. Jak Flaubert nie ukrywał się mimo swojej przedmiotowości ze wstrętem artysty do filistra, do gatunku, który nazywał *bourgeois*, tak samo obchodzą Goncourt'ów i Maupassanta bardzo mało nieszczęśliwi ich powieści. Nie znaleźli oni ani jednej łzy dla nędzy ludzkiej.

Ten tendencyjny pesymizm naturalizmu zadaje kłam i jego drugiej zasadniczej formułce, mianowicie absolutnemu objektywizmowi. Jak nie jest prawdziwym, kto okazy patologiczne wynosi do godności uogólnień, typów, tak i przedmiotowym być nie może, kto pełnego nie odtwarza życia.

Sztuczność objektywizmu artystycznego, ukryta zręcznie w dziełach Flauberta i Maupassanta, wystąpiła jawnie u Zoli i jego bezpośrednich uczniów. Sam już pomysł „Rougon-Maquart'ów“ nie ma nic wspólnego z istotą przedmiotowości. Bo czemże innem jest owa „historya naturalna i społeczna jednej rodziny“, jeżeli nie rozmyślnem dociąganiem faktów do teoryi o atawizmie? Wszystko, co się w powieściach „mistrza z Medanu“ dzieje, dzieje się w celu wykazania niezwalczonej niczem siły dziedziczności. Jest to więc tendencyjność w najczystszej formie, podmiotowość równie

wadliwa, jak optymizm w malowidłach bezwzględnych idealistów.

Przedmiotowość w rozumieniu pozytywistów należy, po za naukami ścisłemi, do złudzeń ostatniej epoki. Byłaby ona w umiejętnościach humanistycznych i w sztuce tylko wtedy możliwa, gdyby człowiek przestał być człowiekiem, istotą myślącą, czującą, a stał się automatem bez mózgu i nerwów.

Paweł Bourget, szukając rysów znamiennych w obliczu autorskiem Gustawa Flaubert'a, mówi bardzo dobrze: Każdy z nas widzi nie świat wogóle, lecz swój własny, nie rzeczywistość nagą, ale tę, którą mu jego temperament dostrzedz pozwala. Odtwarzamy zawsze nasze osobiste marzenie o życiu ludzkiem i dlatego można powiedzieć, że każde dzieło wyobraźni jest rodzajem autobiografii, jeżeli nie pod względem zewnętrznym, to przynajmniej wewnętrznie.*)

Światem naturalistów był świat pozytywistów i materyalistów, świat-egoista, świat-zwierzę, przeczący czynami istnieniu Boga, duszy i wolnej woli. Przez pryzmat pewnych doktryn patrzeli nowocześni realiści na życie i człowieka i dlatego nic dziwnego, że zauważyli tylko to, co kąt ich teoryi obejmował.

Że absolutna przedmiotowość nie wytrzymuje krytyki, wiedział zresztą i sam Zola, gdy (w *Mes haines* i *Roman experimental*) powtarzał bezustannie: żądam, aby sztuka była wytworem indywidualności. **) Ta indywidualność, to właśnie subjektywizm.

Co się w dziełach artystycznych nazywa przedmiotowością i podmiotowością, jest poprostu tylko skutkiem ta-

---

*) Paweł Bourget: „Essais de psychologie contemporaine", str. 115

**) J'exige que l'art soit le produit de l'individu; la personalité de l'écrivain i t. d.

lentu i wyrobienia technicznego. Autor więcej uzdolniony i doświadczony będzie prawdziwszym od mniej utalentowanego i rutynowanego, prawdziwość zaś równa się t. zw. przedmiotowości. Cała wartość twórcy, historyka, krytyka literackiego i filozofa polega często na indywidualności, czyli oryginalności. Przedmiotowym albo bezbarwnym bywa zwykle tylko ten, co nie ma ludziom nic do powiedzenia.

I trzecia zasadnicza formułka naturalizmu, jego „naukowa technika“, nie wydała takich owoców, jakich się po niej mistrzowie szkoły spodziewali.

Technika pozytywistów artystycznych była naturalną oprawą ich filozofii. Ponieważ materyalizm nie uznaje wolnej, od ciała niezależnej duszy i wszystkiego, co się z nią łączy, przeto musi lekceważyć psychologię, na której miejscu stawia fizyologię. To samo uczynili, jak wiadomo, uczeni szkoły.

Autorowie dawniejsi, malując występek, kładli główny nacisk na walkę psychologiczną, odbywającą się w człowieku przed, podczas i po wykonaniu zbrodni. Zajmowała ich nie forma nikczemności, lecz jej istota, nie jej brzydota fizyczna, ale moralna. Rysami zewnętrznemi posługiwali się tylko o tyle, o ile one ilustrowały bój zbrodniarza z sumieniem.

Nie tak naturaliści. Oni nie potrzebowali sumienia, które jest tak samo „produktem przyczyn materyalnych, jak cukier i kwas siarczany“; ich nie obchodziła nic walka wewnętrzna, bo „człowiek robi jedynie to, co musi“. Na cóż więc psychologia?

Zamiast wnikać w charakter i szukać w jego tajnikach pobudek i objaśnień czynu, zadawalniali się naturaliści zbieraniem i zestawianiem t. zw. dokumentów ludzkich, faktów pozytywnych. Wszystko, co człowieka otacza (mieszkanie, krajobraz, sprzęty, ubranie), w czem się na zewnątrz przejawia (ruchy, sposób wyrażania się), co się rzuca w oczy,

jest łatwo pochwytne (rysy dziedziczne, nałogi), gromadzili „uczeni artyści“ skwapliwie, o ile można najdokładniej. Szczegóły zewnętrzne — mniemali — odbudują same bez pomocy intuicyi i wyobraźni pełnego człowieka.

I tu zbłądził naturalizm, człowiek bowiem zewnętrzny ludzi bardzo często, bywa nie zawsze prawdziwym. Pozory mylą...

Co miało być środkiem, stało się niebawem celem. Jak uogólnienia wiedzy pozytywnej znikły pod górą obserwacyi, tak przygniotły niepotrzebne drobiazgi i w powieści naturalistycznej: bajkę, charakterystykę i kompozycyę. „Fakt pozytywny“, „dokument“, zadusił ciężarem swoim w powieści powieść.

Naturalizm, który miał, według zapowiedzi Zoli, tryumfować na całym świecie cywilizowanym jako jedyna uprawniona forma twórczości artystycznej, nie przekroczył prawie granic Francyi. U nas znalazł autor „Nany“ tylko jednego naśladowcę i to — rzecz szczególna — w spódnicy.

Podczas kiedy belletryści płci, zwanej brzydką lub mocną, odwracali się z niechęcią od zmysłowości i okrucieństwa realizmu paryzkiego, walała się kobieta bez wstrętu w kalc materyalistycznym. „Małaszka“, „Kaśka-Karyatyda“ i inne utwory pani Gabryeli Zapolskiej, mogą stanąć śmiało do konkursu z „Naną“, *La bête humaine* i t. p. „dokumentami ludzkiemi“. Jeżeli stoją niżej talentem, to przewyższają pierwowzory nadsekwańskie stanowczo lubieżnością.

Ale i pani Zapolska nie utrzymała się długo na stanowisku naturalistki w ścisłem rozumieniu. Nie znalazłszy w naszym kraju spodziewanych oklasków, nie wytworzywszy szkoły, błądzi obecnie po manowcach różnych kierunków zwyrodnionego smaku (impresyonizm, dekadentyzm), zawijając od czasu do czasu do cichego portu literatury tak białej, powiewnej, że dziwić się tylko należy niepospolitej gięt-

kości jej umysłu. Talent to przeważnie naśladowczy, przyswajający sobie łatwo każdą formę.

Niemcy czekały bardzo długo na proroków naturalistycznych. Zdawało się, że im szczęśliwa wróżka oszczędzi tej plagi literackiej, gdy podniosła się nagle i nad Spreą i Elsterą wrzawa, przypominająca pierwsze występy Zoli. Karol Bleibtreu napisał i puścił w świat broszurkę p t. „Rewolucya w literaturze“ (*Revolution in der Litteratur*), w której wykazał, że nie ma oprócz niego i jego towarzyszów autorów utalentowanych. Gustaw Freytag, Fryderyk Spielhagen, Paweł Heyse i jak się tam owe upiory pogrzebanej przeszłości nazywają, skończyli już dawno dzieło swoje. Ani chwili obecnej i współczesnego pokolenia nie rozumieją, ani nowej estetyki nie znają. Przeto powinni ustąpić miejsca t. zw. „najmłodszym Niemcom“, których Bleibtreu do boju prowadzi.

W ojczyźnie Goethego i Szyllera zmieniło się rzeczywiście bardzo dużo po r. 1870-ym. Niesłychane zwycięztwo, odniesione nad „wrogiem dziedzicznym“ (*Erbfeind*), podziałało jak bardzo mocny narkotyk na usposobienie „niemieckiego Michałka“ (*der deutsche Michel*). Upoiło go, odurzyło, postawiło na szczudłach nieprzygotowanej systematycznie wielkości, zrobiło go dumnym i hardym. Berlin pozazdrościł Paryżowi stanowiska „Miasta-światła“. I on zapragnął być *Weltstadt*'em, stolicą świata. Stać go przecież na to. Za pięć miliardów francuskich można sobie pohulać i błysnąć cywilizacyą.

Jeżeli wolno wierzyć autorom niemieckim, to „cywilizuje“ się Germania naprawdę. Nawet skromne dawniej, gospodarne niemki, dobre matki, uczciwe żony, wierne bez końca narzeczone, zaczynają rzucać kądziel, przenosząc nieopatrzne wesele nad niewdzięczny trud ogniska domowego. Zbytek szerzy się podobno w Berlinie, a z chwilą kiedy ten najsroższy wróg szczęścia ludzkiego odbył jedną bramą

wjazd do „kraju bojaźni Bożej“, wyjeżdżają drugą stare cnoty rasy germańskiej. Co kilka dni donoszą gazety niemieckie o jakimś dyrektorze banku, prokuryście, kasyerze, przemysłowcu, kupcu i t. d., który roztrwoniwszy cudze dobro, albo odebrał sobie życie, albo uciekł do Ameryki, jeżeli go żandarm nie nawrócił z pospiesznego wojażu i nie postawił przed sędzią, przed towarzyszem wczorajszej biesiady. Nawet urzędnicy pruscy, przez kilka pokoleń nietykalni, mrący z głodu, więdnący przedwcześnie z wysiłków, opłacanych nędznie, ale mimo to nieskazitelni, biorą już łapóweczki, o życiu marząc i użyciu.

Jeżeli telegramy i wiadomości reporterskie, roznoszące hańbę niemiecką po całym świecie, nie kłamią, to zemściła się Francya straszliwie za Metz i Sedan. Jej miliardy zaniosły nad Szpreę zarodki zgnilizny moralnej.

I odwagi cywilnej, fantazyi nabrał dawniej tak pokorny, cierpliwy „Michałek“. Trzydziestu kilku socyalistów wybrano tego roku do parlamentu. Rzecz to wprost niezrozumiała dla kogoś, co znał Niemcy z przed roku 1870-go.

Fermentuje więc istotnie w łonie Germaaii, burzy się, kipi; przygotowuje się nowe społeczeństwo, nieuchwytne dla starych autorów. Inne zwyczaje i obyczaje domagają się innych obserwatorów i malarzów. Pod tym względem nie mylą się „najmłodsi“ z Karolem Bleibtreuem na czele. Dawna powieść niemiecka, albo *par excellence* moralna, albo tendencyjno-polityczna, przestała mieć racyę bytu. Zachodzi jednak pytanie, czy „najmłodsi“ podołają zadaniu. Jak dotąd, weszli na drogę najmniej właściwą, bo naśladują bezmyślnie materyalizm francuski, który skończył już swoją karyerę.

Wszystko zresztą, co naturalizm niemiecki do chwili obecnej z siebie wydał, jest tak małoważne, iż pospieszyłby się zbytecznie, ktoby z kilku próbek chciał sądzić o przy-

szłości nowego pokolenia literackiego. Trzeba czekać, aż się z poczwarki pełny rozwinie motyl.

Było od pierwszej chwili ambicyą naturalizmu, aby przełamać wstręt teatru do jego teoryi. Już Zola próbował przemówić żywem słowem do publiczności. Uczynił to samo Goncourt z „*Germinią Lacerteux*“, dobijają się o sławę doraźną po mistrzach przeróżni bożkowie drugiego rzędu, korzystając z uprzejmości p. Antoine'a, dyrektora paryzkiego „teatru wolnego“ (*Théâtre libre*). Wszystkie jednak usiłowania nie odniosły pożądanego gorąco skutku. Dlaczego?

Zachodzi stanowcza różnica między psychologią jednostki a gromady, o czem naturaliści powinni wiedzieć, jako „uczeni obserwatorowie“. Człowiek strawi bez świadków łatwiej rzecz obrzydliwą, niż w towarzystwie. U siebie, w gabinecie, przeczyta każdy powieść naturalistyczną choćby przez ciekawość. Brutalność sytuacyi będzie go raziła, ordynaryjna gwara szynku i domu publicznego nie zyska sobie jego uznania, okrutny, materyalistyczny pesymizm nie przekona go, ale mimo to nie rzuci książki, jak nie powstrzyma się od spełnienia czynności, wspólnych potomkom prometeuszowym ze zwierzęciem.

Psychologia zmienia się, gdy ten sam człowiek staje przed cudzym sądem. Wówczas obraża go wszystko, co go w samotności nie gorszyło. Nawet małżonkowie lepiej wychowani, nawet rodzice starają się przed własnemi dziećmi ukryć nieestetyczną część życia ludzkiego. Wstydliwość rośnie w miarę przybywania oczu i uszu. W liczniejszem zebraniu, w teatrze, w salonie, w kościele, jednostka nietylko dostosowuje się zewnętrznie do całości, ale przeobraża się, szlachetnieje. Chociażby osobiście, na swój własny użytek, grzeszyła bez skrupułu przeciwko zasadom etyki i honoru, w towarzystwie czuje zwykle bardzo dobrze, co godziwe, a co niegodziwe. Skończony egoista i szubrawiec

będzie udawał filantropa i uczciwego, gdy na niego inni patrzą. Co rzymianie włożyli w maksymę swoją: *vox populi, vox Dei*, nie jest pustym frazesem. Gromada posiada rzeczywiście poczucie: prawdy, piękna i dobra.

Teatr nie jest gabinetem. To salon publiczny, przystępny dla każego. W przybytku Talii i Melpomeny spływa na cząstkę sumienie całości, czyniąc ją drażliwą na każdy złodźwięk. Nędzny karyerowicz polityczny, ubiegający się przez cełe życie za godnościami i orderami, przyklaśnie z zadowoleniem bohaterowi, który się dla idei poświęcił; nikczemny spekulant, finansista, bankier, którego biografię streszcza jedno słowo „oszukiwałem“, oburzy się na wyzysk; ordynaryjny mieszczuch bez odrobiny poezyi zachwyci się gorącem słowem natchnienia; marny tchórz uśmiechnie się z rozkoszą do cudzej odwagi.

Dziwne to zjawisko, ale prawdziwe. Człowiek zbiorowy nie znosi widoku człowieka-zwierzęcia. Wstydzi się on za jego brutalność i egoizm.

Zdaje się, że to pierwszy powód niemożliwości naturalizmu w teatrze. Kto był choć raz na przedstawieniu jakiej sztuki „wolnej“ i słyszał na około siebie głuche wykrzykniki tłumionej niechęci, przestrachu prawie, kto widział, jak się w krzesłach sąsiad odwracał od sąsiada, aby uniknąć jego spojrzenia, ten przestał wierzyć w przyszłość materyalizmu artystycznego w teatrze.

I technika naturalizmu nie nadaje się wcale do dzieła dramatycznego. Luźna kompozycya, rozwlekłość charakterystyki i opisowości, zbyt wielka obfitość szczegółów zaszkodziłaby tylko rodzajowi, który polega na zwięzłości budowy, na skupieniu myśli i słowa. Naturaliści „gadają“ bardzo dużo, w teatrze zaś trzeba jak najmniej mówić. Na co naturaliści francuscy z dumą wskazują, jako ich wyłączną własność... na wierne odtwarzanie tła, to spełniły już

przed nimi daleko lepiej teatry niemieckie (Meiningen, Schwerin).

Wysiłki naturalizmu, podjęte w Paryżu w celu zdobycia teatru, spełzły na niczem, ale mimo to nie dali najzacieklejsi zwolennicy „dokumentów ludzkich“ za wygrane. Nie doczekawszy się u siebie talentu, któryby pchnął scenę na nowe tory, zaczęli się rozglądać wokoło. A może błysnął w innym kraju geniusz przyszłości! I znaleziono, czego szukano. Henrykowi Ibsenowi nie śniło się prawdopodobnie, że stanie się na stare lata sztandarem naturalistów artystycznych drugiej połowy bieżącego stulecia. Wychowaniec surowego klimatu i surowych obyczajów Skandynawii, kaznodzieja powinności i dość często tak mistyczny, zagmatwany, że trudno go zrozumieć, ma on należeć do związku lubieżnych pesymistów. Dlaczego? Czy dlatego, że wziął z rąk losu rzeczywisty talent dramatyczny, że umie naszkicować człowieka kilku rysami i rozwinąć czynność z szybkością greckich klasyków, że wydobywa z charakterów i wypadków tylko momenty najpotrzebniejsze?

Tę zdolność posiadają wszyscy autorowie teatralni z urodzenia, bez względu na kierunek, do którego należą.

Ibsen kładzie tak samo, jak naturalizm, wielki nacisk na prawa dziedziczności — twierdzą realiści francuscy i niemieccy.

Autor „Upiorów“ mówi rzeczywiście bardzo dużo o atawizmie, wspomina nawet gdzieś Darwina. Dr. Rank (*Nora*) i Oswald Alwing (*Upiory*) pokutują za wesołą młodość ojca. Rebeka (*Rosmersholm*) wzięła nadmierną zmysłowość po matce! Grzegórz Werle (*Dzika kaczka*) przyniósł z sobą na świat szkodliwe plotkarstwo i t. d. Wszędzie tłómaczy Ibsen cechy znamienne swoich postaci dziedzicznością, sięgając zawsze bardzo blizko, bo do rodziców, co się, jak wiadomo, nie zgadza z prawdą. I jak naturaliści, każe

potęgom przeszłości działać tylko ujemnie, pomijając dodatni wpływ krwi. Pod tym względem nie różni się on wistocie od Zoli i jego uczniów.

Tu i owdzie potrąca także Ibsen o bakterye (*Wróg ludu*), o medycynę, o koleje żelazne i banki (*Podpory społeczeństwa*) i o wolną miłość (*Upiory*), co ma być świadectwem jego „nowoczesności“. Głównie ostatni dokument zachwyca Jerzego Brandesa i francuzów.

Gdyby wartość dramatów Ibsena polegała jedynie na ich „naukowości“, nie zasługiwałyby one wcale na uwagę, naukowość bowiem, zastosowana fałszywie, nie wytrzymuje nigdzie krytyki, a wolnomyślność, czyli właściwie rozwiązłość, nie przynosi nikomu zaszczytu.

Jeden przykład wystarczy do obalenia „wiedzy“ Ibsena. W „*Norze*“ mówi dr. Rank: „W tych dniach odbyłem przegląd mojego zdrowia. Jestem bankrutem. Nie miną cztery tygodnie, a będę smacznym kąskiem dla robaków“. Koniec tak wczesny wróży sobie Rank dlatego, bo przekonał się, że cierpi na kość pacierzową. Otóż niepotrzeba być wcale lekarzem, aby wiedzieć, że tabes działa rozmaicie, że oznaczenie terminu przekracza możność najbieglejszego znawcy. Okrutną tą niemocą dotknięci biedacy, wloką nieraz nędzny żywot przez długie lata, nie przeczuwając, kiedy dla nich ostatnia wybije godzina.

Właśnie rzekoma naukowość Ibsena jest najsłabszą stroną jego dramatów. Zalety ich (siła, doraźna charakterystyka, znakomita miejscami psychologia, doskonała budowa) nie mają nic wspólnego z doktryną naturalistyczną.

Pozytywizm artystyczny należy już dziś do bankrutów literackich, na co zgadzają się wszyscy, nie wyjąwszy samych naturalistów.

Juliusz Huret, bardzo pomysłowy reporter paryzki, wyspowiadał temu dwa lata wszystkie znakomitości francu-

skie. Nietylko dekadenci, symboliści, psychologowie, ale i mistrzowie i podmistrzowie szkoły, która miała wiecznie królować, podpisali jej wyrok śmierci. *)

Edmund de Goncourt, zapytany przez Huret'a o zdanie, odpowiedział następnie:

— Wierzę, że ruch naturalistyczny, powiedzmy naturystyczny (*naturiste*), jak mówią japończykowie, dobiega do końca, że ustąpi w r. 1900 kierunkowi innemu. Umrze on na śmierć naturalną, nie zaś przez truciznę, zawartą w jego dziełach, jak chcą nasi przeciwnicy! — umrze, przeżywszy pół wieku.

— A co nastąpi po nim? — zapytał jeszcze Huret.

— To jasne, jak dzień. W nowym ruchu, który się obecnie przygotowuje, zapanuje znów psychologia nad fizyologią.

I Huysmanns, bardzo gorliwy zrazu naśladowca Zoli, wyrzekł się naturalizmu. Nie inaczej: Rosny, Bonnetain, Guiches, Margueritte, Desnaves, mniej po za granicami Francyi znani „uczeni artyści", którzy wyparli się po wyjściu „Ziemi" (*La Terre*) wszelkich stosunków z autorem tej plugawej elukubracyi. Jedyny Paweł Alexis odtelegrafował Huret'owi: Naturalizm nie umarł!

I żyjący arcykapłan kierunku, sam Emil Zola, który wziął po Flaubercie buławę, nie bronił swojej doktryny, oświadczając, że jeżeli mu starczy czasu, dokona sam upragnionego przewrotu.

Rzeczywiście? Czy się Zoli naprawdę zdaje, że człowiek, walający się przez lat kilkadziesiąt w błocie zmysłów, może zasmakować w wonnej atmosferze ideałów? Przyzwyczajenie staje się drugą naturą. Twórczość zresztą arty-

*) Jules Huret: „Enquête sur l'évolution littéraire". Paryż, 1891, str. 165 i następne.

styczna łączy się zwykle tak ściśle z wewnętrzną treścią autora, iż nie trudno za jej pomocą odgadnąć jego upodobania osobiste, chociażby był najwięcej przedmiotowym. Temperament prawdziwie etyczny i estetyczny nie będzie nigdy naturalistą, odepchnie go bowiem, przerazi brud fizyczny. By smakować w kale, trzeba być samemu albo niechlujnem zwierzęciem, albo chorym na umyśle, co podług włoskich antropologów na jedno wychodzi.

Zola próbował już raz „pokazać głupcom, że potrafi wszystko“. Ale jego „Marzenie“ (*Le Rêve*) dowodzi tylko, iż autor „Nany“ nie odczuwa zupełnie wzruszeń, pozbawionych silnego podkładu zmysłowego. Sztywne to jego „marzenie“, nie naturalne.

IV.

Odpowiedzialność nauki, literatury i prasy. — Moralność i niemoralność nauki. — Dobroczynność w oświetleniu ewolucyonistów. — Burżoazya. — Żydzi. — Jerzy Brandes. — Karyerowicze. — Młodzież. — Marzyciele pozytywni. — Rozczarowanie. — Granice rozumu ludzkiego. — Położenie polityczne. — Społeczne. — Pozytywizm w życiu. — Nadmiar analizy. — Osłabienie woli. — Osłabienie fizyczne. — Pesymizm filozoficzny. — Schopenhauer.

Jeden rys wspólny łączy prawie wszystkich uczonych i artystów ostatniej epoki, jakikolwiekby wyznawali odcień pozytywizmu, czy materyalizmu. Wszyscy utrzymują, że nie pracują dla człowieka przeciętnego.

Arystokratyczność talentu i wiedzy zarysowała się u pozytywistów jeszcze wyraźniej, aniżeli u romantyków. Bo kiedy marzyciele zgasłego pokolenia żałowali tylko z Mussetem, że „przyszli zapóźno“ *). trzeźwi myśliciele drugiej połowy bieżącego stulecia nie ukrywają się wcale z głęboką pogardą dla „tłumu“.

Renan podzielił ludzi na: *les sages et les autres*, na mądrych i głupich—i pierwszymi jedynie raczył się zajmować; Spencer nie ma litości nad niemocnymi, których należy

*) Je suis venu trop tard dans un monde trop vieux („Rolla“).

usunąć, jako zawadzających w procesie ewolucyi, Flaubert twierdził, że pisze dla dwunastu, dwudziestu najwyżej znawców; Zola, Maupassant i in. pastwili się nad nieszczęściem i słabością, nie zdobywszy się ani na jedno słowo pociechy dla nędzy ludzkiej. Okrutnym był pozytywizm dla człowieka, choć żądał od niego uznania i zapłaty.

Żądał, słusznie bowiem odpisała Jerzy Sand Flaubertowi, gdy autor „Pani Bowary“ rozwijał przed nią w jednym z listów swoje teorye: „Mówisz, że nie dbasz o sąd mas, że wystarcza ci pochwała kilku, kilkunastu znawców. Dlaczegóż więc gniewasz się, gdy cię czytelnicy i krytyka pomijają, dlaczego drażni cię brak powodzenia?“

Każdego z owych arystokratów ducha drażniła obojętność „motłochu“, a cieszyły jego oklaski, co zresztą bardzo naturalne, bo człowiek pracuje zawsze dla jakiejś nagrody moralnej, czy materyalnej. Z zadowoleniem świeżego dorobkiewicza, niegodnem artysty, chełpi się Zola bezustannie niezwykłą cyfrą swoich wydawnictw, z natręctwem handlarza, który wchodzi drugiemi drzwiami, gdy go jednemi wyrzucą, tłoczy się do Akademii Francuskiej. „Nieśmiertelni“ zamknęli mu już kilka razy bramę przed nosem, a on stuka ciągle.

Uczeni i artyści drugiej połowy bieżącego stulecia wymyślili sobie jakiś kult prawdy, wyższy od obowiązku. Nic ich nie obchodziło życie, nic praktyczne zastosowanie wiedzy.

Wiadomo, że Taine rozróżniał w sobie dwóch ludzi: zwyczajnego i filozofa. Pierwszego, czyli tego, który je, pije, śpi ubiera się, dostosowuje się do reszty otoczenia, zostawiał, jak się wyraził, za drzwiami, gdy się drugi zabierał do roboty. Pracując, zapominał ów drugi, że istnieje jakaś publiczność, żona, dzieci, przyjaciele, Francya. Zajmowała go tylko prawda.

Wiedza nie jest ani moralną, ani niemoralną, — twierdzili pozytywiści i ewolucyoniści — gdyż zadaniem jej po-

szukiwanie i formułowanie prawdy, lub tego, co za prawdę uważa. Nie wiedza grzeszy, lecz człowiek, tem zaś „zwierzęciem“ rządzą nie formułki naukowe, jeno namiętności.

Gdyby się świat uczony składał tylko z przyrodników i matematyków, możnaby się zgodzić na zasadę powyższą. Teorya o cieple, badania nad tłuszczami, obliczenia arytmetyczne i astronomiczne, odkrycia w królestwie roślin, minerałów i t. d., nie oddziaływają rzeczywiście bezpośrednio na postępowanie ludzkie. Położenie jednak zmienia się z chwilą, gdy się nauka zbliża do człowieka. Trzeba być naiwnym, aby wierzyć, że: filozof, socyolog, prawodawca, ekonomista, historyk, krytyk, powieściopisarz, dramaturg i in., nie wpływają na urabianie się pojęć, a w dalszym ciągu samego czynu, który stoi do pierwszych w stosunku skutku do przyczyny. Słowo jest jako błyskawica, poprzedzająca piorun. Bez encyklopedystów francuskich nie byłoby t. zw. wielkiej rewolucyi, niemieccy zaś „piewcy wolności“ przygotowali pogrom Francyi w roku 1870.

Ale uczeni bywają w wielu razach bardzo naiwni. Siedzi sobie taki mądry pan w gabinecie lub laboratoryum, otoczony książkami i narzędziami, i medytuje o wszystkiem, co mu przez mózgownicę przebiegnie. Pochwyciwszy jakąś myśl, która się mu prawdziwą wydaje, wysnuwa z niej drugą, trzecią, setną, tysiączną, aż splecie sieć przesłanek i wniosków. Z drobnej, dość często niejasnej idei wyrósł gmach twierdzeń, zbudowany prawie zawsze na hipotezie. Zaplątawszy się w przędzy teoretycznej, odciąwszy się od życia, stracił uczony, mimo swoich obserwacyj i doświadczeń, czucie ze światem zewnętrznym, przestał rozumieć ludzi i potrzeby ich. Bo czemże dla niego szczęście człowieka obok prawdy? Całe potomstwo Adama i Ewy poświęciłby dla swojej mrzonki.

Mrzonką bowiem jest dotąd prawda absolutna po za zjawiskami, dostępnemi dla zmysłów, domniemaniem wszyst-

ko, co nauka rozpowiada o początku i końcu wszechrzeczy, o duszy i celach człowieka. Łudzi się lub kłamie wiedza, która zapewnia z Berthelot'em, że nie ma już tajemnic pod słońcem. Tylko szalony zaślepieniec albo głupiec może mówić o prawdzie, o owym ptaku rajskim, wiszącym ciągle między niebem a ziemią.

Niechby sobie taki mądry pan siedział w gabinecie, w laboratoryum i szukał prawdy, jak tysiące przed nim i po nim czynili i czynić będą, niechby się pomysłami swojemi dzielił z braćmi po rzemiośle. Z jego trudów wyniknie zawsze jakaś korzyść dla ludzkości, czego świadectwem doświadczenie wieków ubiegłych. Z litra hipotez wyciśnie ostateczna krytyka kroplę prawdy istotnej.

Zdolność zresztą i niepowstrzymana niczem chęć poszukiwania prawdy należy do owych właściwości, które stawiają człowieka po nad zwierzę. Są one „panu ziemi“ do spełnienia jego posłannictwa tak samo potrzebne, jak wrodzone idee moralne i wolna wola. Bez tej upartej, żadną klęską niezrażonej siły, byłoby prawo ewolucyi martwą formułką.

Ale panowie uczeni nie zadawalniają się poszukiwaniem prawdy dla prawdy, nie lubią swoich „odkryć“ chować pod korcem, chociaż niby gardzą „tłumem“. Cała ludzkość powinna je znać, zachwycać się niemi, wierzyć w nie, stosować się do nich. Spencer, nie ufając zdrowiu, zmienił, jak wiadomo, plan prac, aby tylko nie zubożyć świata cywilizowanego o „Zasady Etyki“; Darwin witał z radością tłómaczów obcych narodowości; Littré, Taine i materyaliści niemieccy posługiwali się prasą, dziennikami. Szerokiego rozgłosu, praktycznego zastosowania pragnęli wszyscy uczeni drugiej połowy bieżącego stulecia, i — tu rozpoczyna się ich odpowiedzialność.

Niesumienną jest nauka, gdy podaje do wiadomości, rozszerza hipotezy, wylęgłe z mózgów p. *x.*, *y.* lub *z.*, nie po-

twierdzone przez wszechstronną obserwacyę i długie doświadczenie. Że komuś pewne zjawisko wydało się takiem a takiem, nie dowodzi jeszcze prawdziwości spostrzeżenia. Ktoś inny, zająwszy inne stanowisko, dojdzie do wniosków wręcz przeciwnych. Uczy nas historya wiedzy, że wczorajsze prawdy przestały dziś obowiązywać, a jutro znów usuwa teorye chwili obecnej.

Odpowiedzialność nauki rośnie w miarę wciągania do zakresu jej badań zjawisk, opierających się stanowczo metodzie pozytywnej, a odgrywających w zastosowaniu praktycznem rolę poważniejszą od faktów ścisłych. Niepowodzenia chemika, botanika i matematyka mogą spowodować straty materyalne, ale nie gorszą nikogo, nie zakłócają szczęścia ludzkiego.

Już nie niesumiennie, lecz wprost nieuczciwie postępuje nauka, gdy burzy bezpieczne schronisko moralne człowieka, nie mogąc postawić na jego miejscu lepszej, trwalszej budowy. Odpowiedź, że szuka prawdy, nie zasługuje na uwzględnienie, wie ona bowiem sama, iż prawda absolutna nie istnieje.

Ciężkiego grzechu przeciw idei postępu dopuszcza się nauka, oddając człowieka na łaskę i niełaskę praw natury, niwecząc w nim wiarę w możność oporu, w zdolność zapanowania nad siłami, które spychają go ze zdobytych przez cywilizacyę wyżyn między tłum reszty świata organicznego.

Wszystkie powyższe zarzuty obciążają naukę pozytywną i ewolucyonistyczną. Była niesumienną, bo podawała hipotezy za fakty (pochodzenie człowieka, atawizm bezpośredni, samorodztwo); była nieuczciwą, gdyż wzięła człowiekowi podpory i pociechy jego niemocy (Boga, duszę, religię); okrutną wkońcu i nieszlachetną, bo oświadczyła synowi prometeuszowemu, że trudzi się daremnie, pnąc się do jakichś ideałów, niedostępnych dla niewolnika instynktów (egoizm, walka o byt, dobór naturalny).

I uczeni innych czasów stawiali kruche domki z hipo-

tez, bez których się żadna wiedza obyć nie może. Ale braminowie Indyj i kapłani Egiptu, rozumniejsi od mędrców współczesnych, nie przypuszczali do swoich doktryn niewtajemniczonych, czyli nieświadomych, a filozofowie wieków średnich i późniejsi posługiwali się językiem łacińskim, niezrozumiałym dla mas szerokich.

Bo „starzy wstecznicy“ wiedzieli bardzo dobrze, że nauka może być moralna i niemoralna, pożyteczna i szkodliwa, co zależy jedynie od tego, na jaki padnie grunt. Umysłu wytrawnego, krytycznego nie zgorszy żadna teorya, podczas kiedy głowę słabą, wierzącą w słowo drukowane bez protestu, zwichnie na zawsze.

To samo odnosi się i do sztuki i to w stopniu daleko wyższym.

Zola, kiedy nie był jeszcze zdeklarowanym naturalistą, powiedział bardzo dobrze, że: wszyscy nieszczęśliwi rzucają się w objęcia artysty.

Nietylko nieszczęśliwi, ale i nieświadomi.

Kto nie posiada odpowiedniego przygotowania do zrozumienia filozofa, socyologa, moralisty. kogo usilniejsza praca umysłowa męczy, ten spieszy do pisarza-artysty, który pracuje zarówno dla mocarzów, jak dla maluczkich. Wiadomo, że czytanie powieści było najmilszą rozrywką Darwina... jego *dulce lenimen laborum.* *)

Królem w rozległem państwie duchów nie jest uczony, jeno artysta. Powieściopisarz i dramaturg przemawiają do kroci, gdy należą do mniej cywilizowanych narodów, a do miljonów, gdy życzliwa wróżka postawiła kołyskę ich nad Sekwaną lub Tamizą. Cała połowa rodu ludzkiego — kobieta — czerpie pokarm dla głowy i serca z dzieł artystów.

Plastyczniejszy, barwniejszy i wrażliwszy od uczone-

*) „Życie i listy Karola Darwina“ i t. d. jak wyżej.

go, oddziaływa artysta silniej od książąt wiedzy. Łatwiej wraża się w pamięć obraz, sytuacya, wypadek, pełny charakter, niż oderwana formułka. Belletrysta gra na nerwach czytelnika, przykuwa go do siebie, uczy go, bawiąc.

O wysokiem znaczeniu swojem, o potędze sztuki zapomnieli artyści pozytywni, ich bowiem także zahipnotyzowała „prawda“. Szukając tej zwodnicy w szpitalach, w domach publicznych i na śmietnikach, brodzili po same uszy w błocie i we wrzodach. Nie zgorszymy nikogo, zapewniali, bo prawda nie gorszy nigdy.

Nie gorszy?! Któż nie przypomina sobie wrażenia, jakie sprawiły na nim w pierwszej młodości „Pamiętniki Kazanowy“ lub nowelle Boccacio'a, czytane ukradkiem? A sięgając jeszcze dalej, aż do lat chłopięcych, któż nie pamięta, że naśladował Robinsona Kruzoe, Różę z Tannenbergu, Św. Genowefę i in.

Artysta sugestyonuje czytelnika, podbudza lub łagodzi jego namiętności, przypina mu do ramion skrzydła albo strąca go na sam dół brudów zwierzęcych. Trzy czwarte grzechów współczesnej kobiety paryzkiej obciążają romansopisarzów francuskich.

Najwięcej jednak grzeszy prasa, gdy oddaje na usługi hipotez i niesprawdzonych faktów swoją trąbę stugębną. Bo nauka i sztuka, chociaż błądzą, szukają rzeczywiście owej prawdy, mają jakiś cel idealny. A prasa informacyjna? Tej jemości, która przeszedłszy w czasach ostatnich w znacznej części w ręce reporterów, stała się ordynaryjną przekupką, paplącą dla samego paplania, tej handlarce, goniącej za prenumeratą, nie idzie wcale o jakieś prawdy, lecz poprostu o szybką obsługę abonentów, płacących za wiadomości brzęczącą monetą. Byle „wiadomość“ była nową, nieznaną, a jeszcze lepiej „sensacyjną“, pochwyci ją każda gazeta niższego rzędu i wydrukuje skwapliwie, nie troszcząc się wcale o jej doniosłość ujemną lub dodatnią.

Cóż wydawcę, najczęściej pospolitego kupca obchodzi dobro kraju, spokój lub niepokój bliźnich? Jego ewangelią jest księga buchalteryjna, Bogiem pieniądz, celem używanie. Gdy „wiadomością“ zdobędzie jednego prenumeratora więcej, dokonał co zamierzał.

Ogłupienie i demoralizacyą „tłumu“ zapisze kiedyś historyk na rachunku prasy brukowej, poczytniejszej, niestety, od poważnego i uczciwego czasopiśmiennictwa. Tysiące błędów, głupstw i przewrotności przeszły tą drogą do nieświadomych, przeciętni bowiem dziennikarze, nie mając sami dokładnego wyobrażenia o tem, co publiczności podają, nie mogą, oczywiście, dobrze objaśniać. Wiadomo każdemu rzetelnemu pracownikowi, ile lat trzeba poświęcić, ile trudów ponieść, aby dojść choć w jednym kierunku do pewności ręki i oka.

Do sumiennego opracowania tematu naukowego nie ma prasa informacyjna ani czasu, ani miejsca, ani sił odpowiednich. Wybiera ona więc, wyrywa z całości zwykle te części danej teoryi, które, wyróżniając się dostępnością lub jaskrawością, mogą liczyć na powodzenie. Darwin wydał kilka bardzo cennych studyów botanicznych, a szersza publiczność znała właściwie jedyne „Pochodzenie człowieka“, i to z komentarzów powierzchownych. Domorośli uczeni wojowali i bawili się odkryciem, że „człowiek pochodzi od małpy“, chociaż mistrz angielski nigdzie o tem wyraźnie nie mówi. Niejedna z obserwacyi Spencera zasługuje na uwagę, ale przeciętny inteligentnik spamiętał sobie głównie formułkę o egoizmie i altruizmie. Studya nad językami semickiemi Renana zbogaciły podobno wiedzę oryentalistów, profanowie zaś wiedzieli najwięcej o „Życiu Jezusa“ i o jego dyletanckich traktatach filozoficznych.

I tak wszędzie. Nawet gorliwi wyznawcy pewnych teoryj nie zaglądają do źródeł, zadowalniając się sprawo-

zdaniem, streszczeniem. Nie wielu z naszych pozytywistów czytało dzieła Comte'a.

Prasa nie powinna zapominać, że jest pośrednikiem między myślicielami i twórcami a publicznością, że odpowiada za rozsiewanie fałszywych lub szkodliwych wiadomości lub doktryn.

Pisarz, obniżający znaczenie słowa drukowanego, albo okłamuje się rozmyślnie, albo nie ma pojęcia o sile sugestyi i o psychologii przeciętnej inteligencyi, która bierze swoją mądrość teoretyczną z drugiej, z trzeciej, z czwartej nawet ręki. Kupiec, adwokat, rolnik, lekarz i t. d., zajęci przez cały dzień sprawami zawodowemi, miewają zwykle bardzo mało czasu do zastanawiania się nad zagadnieniami filozofii, nauki i sztuki. Myślą za nich autorowie, a tych znów uprzystępniają sprawozdawcy dziennikarscy. Wybiegłszy z ram książki i prasy, okrąża wszelka teorya powoli organizm społeczny, ogarnia stopiowo jego części pojedyńcze, płynąc z góry na dół, aż przejdzie w krew całości, staje się ciałem. Przeto należy się dziwić, że taki np. Tajne, umysł zkądinąd jasny, mógł majaczyć o jakiejś „prawdzie dla prawdy", nie oddziaływającej praktycznie.

Twierdzili uczeni ostatniej epoki, że nauka nie może być ani moralną, ani nie moralną. Jeden przykład wystarczy do obalenia tego frazesu.

Wiadomo, że pewna część darwinizmu pozostaje w ścisłym związku z doktryną Malthus'a, który, aczkolwiek był pastorem anglikańskim, więc chrześciańskim, przewyższył brakiem miłosierdzia autorów świata pogańskiego. Ponieważ natura rządzi i sądzi, uczył „boski protestant" *), jak go jego wielbiciele nazywają — byłoby szaleństwem i śmie-

*) Malthus, przekład francuski p. t. „Essai sur le principe de la population", str. 515 i następne.

szną ambicyą z naszej strony stawiać się na jej miejscu i brać na siebie niewygody egzekucyi. Oddajemy winnego sprawiedliwości natury. Pomoc publiczna niech będzie dla niego zamkniętą, a gdyby się dobroczynność prywatna nim zajęła, wówczas ma interes ludzkości prawo żądać, aby jałmużna nie była zbyt obfitą. Ubogi powinien wiedzieć, że go prawa natury, czyli Boga, skazały na nędzne życie, karząc go za to, że przeciw nim zgrzeszył.

Cóż takiego zawinił biedak, z którym się Malthus obszedł, jak z ostatnim łotrem? Oto nie posiadał dostatecznych środków do utrzymania rodziny, a ożenił się i został ojcem kilkorga dzieci. Za to, że się nie obliczył z dochodami, albo może przeliczył się w nadziejach... obowiązkiem jego umrzeć z głodu. Tak chce natura, Bóg...

Zachodzi pytanie, jakiego Boga miał Malthus na myśli? Bo jeżeli tego, którego słowo głosił w świątyni, to powinien był przed napisaniem swojego głównego dzieła złożyć urząd kapłana chrześciańskiego.

Zasada Malthusa, która poddała Darwinowi myśl o walce o byt, wsiąkła w ewolucyonizm. Jak „boski protestant“, nie byli i pozytywiści zwolennikami miłosierdzia, różniąc się tylko w tem od niego, że uzasadnili jego doktrynę „naukowo“.

Naukowo — nie inaczej... Wszystko stroiło się przecież w togę naukową w drugiej połowie bieżącego stulecia.

Herbert Spencer uczy *): „Jakość społeczeństwa obniża się pod względem fizycznym przez sztuczne podtrzymanie jednostek najsłabszych — jakość społeczeństwa obniża się pod względem moralnym przez sztuczne zachowanie indywiduów, zdolnych najmniej do wystarczania swoim potrzebom“.

---

*) H. Spencer: „Wstęp do socyologii“.

Znaczy to, przetłómaczone na język ludzki: ponieważ wszechpotężna, wszechwładna ewolucya dąży do wytworzenia organizmów doskonałych, zdrowych na ciele i usposobionych altruistycznie, przeto postępuje nierozumnie, kto, ratując chorych, ubogich, wydziedziczonych, niedołęgów wszelakich, powstrzymuje jej bieg, krzyżuje jej plany. Rodzice nie powinni się upierać przy życiu dzieci słabych, dobroczynność nie ma prawa do wspomagania nędzarzów, państwo błądzi, gdy stawia szpitale, popiera ochronki i t. d.

Ocalając słabowitych — dowodzi Spencer — przyczyniamy się do wytworzenia nowych, nieznanych dawnym pokoleniom chorób.

Darwin rozciągnął doktrynę Malthusa i na małżeństwa. „Tak pary cieleśnie upośledzone, jak pozbawione środków materyalnych, grzeszą, gdy zakładają ognisko domowe, ubóstwo bowiem jest nietylko złem samem w sobie, ale rośnie jeszcze w kierunku ujemnym w miarę przybywania dzieci, czyli wydatków“.

Uczeni ewolucyoniści nie uwzględniają oczywiście ani praw serca, ani nadziei, uwierzytelnionych przez pracę. Znamy wszyscy mnóstwo stadeł ubogich w dzień ślubu, a zamożnych w połowie życia, znamy i słabowitych, którzy „skrzypią“ ciągle, ale żyją dłużej od potentatów zdrowia. Choroby zresztą nie zmniejszają się razem z postępem ewolucyi, lecz przeciwnie. Mniej ich u dzikich, aniżeli w narodach cywilizowanych. Mylą się także mędrcy nowocześni, obwiniając ubóstwo o zmniejszanie liczby ludności. Nie trud i głód tępią rody, lecz właśnie dostatek, obfitość wszystkiego, co człowiek potrzebuje. Wiedzieli już o tem rzymianie, gdy skarżyli się na zanik domów historycznych, patrzą na to samo obecnie i anglicy, nie mogący się doliczyć swoich lordów. Było ich w wieku XV-tym 372,

a chwila bieżąca wykazuje tylko 80-ciu parów dziedzicznych.

Pominąwszy jednak niedokładności faktyczne mądrości socyologicznej i etycznej ewolucyonistów—jakąż będzie treść ich doktryny? Dawne pogańskie: *Vae victis!* zamienili na: biada ubogim, chorym i wydziedziczonym! Czy zechcą jeszcze wobec takiego rezultatu twierdzić, że nauka nie jest ani moralną, ani nie moralną. Nietylko niemoralną być może ta pani dogorywającego już stulecia, ale nawet... nieszlachetną.

Wszelkie teorye miewają tylko wtedy powodzenie, gdy przyjdą w porze właściwej. Trudno sobie wystawić królowanie pozytywizmu i ewulocyonizmu w jasnych chwilach ludzkości, w epokach wiary i zapałów.

Druga połowa dziewiętnastego wieku nie należy do momentów świetlanych w historyi człowieka. Po krótkim błysku romantyzmu wróciły do rządów wszystkie negacye, nagromadzone od czasów reformacyi, a wcielone w wielkiej rewolucyi francuskiej. Jakaś nowa forma społeczeństw zaczyna się wytwarzać. Świat szlachecki padł na Zachodzie razem z głową Ludwika Burbońskiego, kto jednak obejmie na czas dłuższy jego dziedzictwo, nie można dotąd odgadnąć.

W tem bezkrólewiu narodów zachodnich wydobyła się na sam wierzch i gospodaruje jak szara gęś kasta, nie posiadająca żadnych praw do hegemonii. Burżoazya rządzi dziś nietylko we Francyi.

Cóż to takiego ta burżoazya? Potomkiem starego rycerstwa nie jest, mieszczaninem w zwykłem rozumieniu także nie, chłopem tem mniej. I do inteligencyi, do robotników, pracujących na chleb powszedni głową, zaliczyć jej nie można.

Burżoazyą nazywa się pospolicie pewną grupę ludzi, którzy, dorobiwszy się znaczniejszej fortuny, wtargnęli bez

przejścia do pierwszych szeregów społecznych. Wchodzą do niej przeważnie: bankierzy, przemysłowcy, fabrykanci, kupcy więksi, słowem kapitaliści i bezpośredni ich potomkowie.

Więc majątek jest bramą, przez którą dostaje się do świątyni burżoazyi. Ale jaki majątek? Czy ten, który, zdobyty przez odwagę wojskową lub przez zasługę inną (naukową, literacką, artystyczną, obywatelską), jakiegoś przodka, rósł z ojca na syna, czy też ten, którego źródłem bywa praca i oszczędność całych pokoleń?

Chyba nie pierwszy, ani drugi, bo rycerstwo, uczeni, literaci, artyści, urzędnicy i następcy całego szeregu pracowników nie zaliczają się do burżoazyi.

Majątek dzisiejszej burżoazyi płynie z innego źródła. Są to pieniądze zebrane szybko i łatwo w handlu, w przemyśle, w spekulacyach giełdowych, w pokątnych procesach i w przeróżnych zajęciach, nie wytrzymujących krytyki „zwietrzałej“ uczciwości. Wczorajszy kantorzysta, dorwawszy się do monety drogami krętemi, kupuje sobie dziś pałac, powóz, konie i oto—nowy burżoa. Fabrykant wyzyskiwał przez lat kilka pracę setek, tysięcy robotników—i powstaje znów burżoa. Wydawca utuczył się na mózgach całego legionu autorów—bankier krzywdził krocie ludzi, podwyższając i obniżając wartość papierów — przedsiębiorca wykonywał powierzone mu roboty niesumiennie — adwokat napełniał kieszeń, prowadząc sprawy nieczyste — kupiec oszukiwał na towarach — restaurator, hotelista i sprzedawacz wina, truli ludzi fryturami i fałszowanemi trunkami — a wszyscy ci jegomoście, doszedłszy do pewnej cyfry, wzmocnili szeregi burżoazyi.

W krótkim czasie powstające fortuny, z wyjątkiem, gdy źródłem ich bywają szczęśliwe wypadki (wygrana na loteryi, spadek, darowizna i t. d.), nie zasługują nigdy na szacunek. Powoływanie się na pracowitość i zabiegliwość nie

wytrzymuje krytyki, wiadomo bowiem, że uczciwa, chociażby najusilniejsza praca, nie daje ubogiemu kroci, tem zaś mniej milionów. Dużo zdziałała, gdy utrzymała robotnika z żoną i z dziećmi i odłożyła dla niego niewielki fundusz na „czarną godzinę“ lub na starość. Ręce można sobie urobić po łokcie, oczy stracić i mózg wysuszyć z nadmiernego wysiłku, a nie dojdzie się do bogactwa. Na znacznej ilości złota, nagromadzonego szybko, spoczywa zawsze klątwa wyzysku, lśnią łzy cudzej krzywdy.

Rozumie się, że wyrok potępienia nie odnosi się do całej grupy ludzi, objętych nazwą burżoazyi, wszelkie bowiem uogólnienia, zastósowane do kast społecznych, do stanów, korporacyj i t. d., nie wytrzymują nigdy krytyki. I „burżoa“ może być człowiek uczciwym, dobrym, szlachetnym. Nie ma reguły bez wyjątków.

Wobec takiego początku i składu dzisiejszej burżoazyi europejskiej trudno się dziwić różnym krachom giełdowym i owemu bezprzykładnemu skandalowi polityczno-społecznemu, którego wybuch przyspieszyła sprawa kanału panamskiego.

Szumowiny wszystkich stanów spłynęły do kasty, zwanej burżoazyą, nie uzacnionej ani przez rozlaną krew żołnierza, ani przez pot robotnika. Wyszedłszy z błota, jak się niegdyś Danton o towarzyszach swoich wyraził, zawdzięcza ona wybitne stanowisko jedynie Złotemu Cielcowi, a ten mocarz nie miewał nigdy „przesądów“.

Z niekłamaną radością przyklasnęła burżoazya pozytywizmowi i ewolucyonizmowi. Wszakże-ż doktryna, mianująca egoizm i walkę o byt głównemi sprężynami postępowania ludzkiego, uświęcająca prawo siły, sprytu, i podstępu i t. d., uwalniająca nikczemnika od odpowiedzialności przed Bogiem i sumieniem, druzgocząca, słowem, wszelkie pęta człowieka-zwierzęcia, wynosiła jej małoduszność do godności zasady naukowej, legalizowała jej grzeszne fortuny i niczem nie-

uzasadnione ambicye. Jej wyzysk tłómaczyła szkoła manczesterska, jej skąpstwo teorya Malthusa.

Tylko w tem oświetleniu można zrozumieć nienawiść liberalnych prawodawców francuskich i niemieckich do chrześciaństwa i do Kościoła—nienanawiść niemądrą, brzemienną w skutki złowrogie, czego burżoazya w zaślepieniu swojem nie widzi. „Motłoch“, wychowany w zasadach moralności świeckiej, byłby bardzo naiwny, gdyby niezastósował wszczepionych w niego zasad do mistrzów swoich. Burżoazya gotuje sobie sama grób wczesny a sromotny, bo szlachta, chociaż zwyrodniała, umiała mimo to pójść pod nóż gilotyny bez lamentów. Wolno zaś wątpić, czy bankier, przemysłowiec, giełdziarz i t. p. bohaterowie znajdą w obliczu śmierci odwagę do pogardy dla swoich prześladowców.

I sztuka pozytywna wprawiła burżoazyę w zachwyt. Tak drażniąco, podbudzająco malowała rozkosze ciała, tyle talentu zużyła, aby połaskotać grubego mieszczucha, spragnionego po dobrym obiedzie wrażeń zmysłowych...

Jak się tu dziwić, że się liberalni mówcy parlamentarni powoływali na doktryny pozytywno ewolucyonistyczne, że nazwali moralność niezawisłą etyką przyszłości, zacząwszy od Leona Gambetty *), a skończywszy na ostatnim sługusie politycznym, chcącym się panom chwili przypodobać. Comte, Darwin, Spencer, o ile wygłaszali teorye, odnoszące się do człowieka, pracowali głównie dla burżoazyi. To jej filozofowie i moraliści.

Nie mogąc się oprzeć na żadnej uczciwej tradycyi, powitała burżoazya z prawdziwą radością doktrynę, która zmazała całą przeszłość, zburzyła wszystkie pojęcia i obyczaje dawniejszej cywilizacyi. Nowi ludzie potrzebowali nowych bogów i haseł.

---

*) Mowa Leona Gambetty na ostatniem posiedzeniu kongresu Ligi wychowania publicznego (La ligue de l'enseignement) z dnia 21 kwietnia 1881 r.

Daremnie gniewali się uczeni na mężów stanu, zastosowujących ich teorye w praktyce; daremnie przypominał Littré, że nauka jest celem samym w sobie, a Haeckel, odpowiadając Virchowowi, zabraniał politykom wcielania doktryn filozoficznych. Burżoazya nie słuchała, bo mogła-ż nie wyzyskać wody, jakby rozmyślnie na jej młyn puszczonej?

I rezultaty umiejętności ścisłych jej głównie służyły i służą. Miliony ubogich nie odnoszą zbyt wielkiej korzyści z węgla, pary i elektryczności, które wywróciły na nice dawny porządek. Z telegrafu, telefonu, z licznych maszyn korzystają głównie handel i przemysł. Szalony zresztą pośpiech, stanowiący rys znamienny naszego stulecia, nie należy do pomysłów szczęśliwych. Żyjemy krócej, spiesząc się ciągle, i tracimy zdrowie przedwcześnie. Żal tylko mieć może wydziedziczony do maszyn, gdyż, bogacąc szybko kapitalistę, odbierają jemu chleb, usuwają coraz więcej niezbędność jego ramion. Z jednej strony wołają na niego para i elektryczność: nie dróż się, niewolniku, bo obędziemy się bez ciebie, z drugiej zaś krzyczy ewolucya: umrzyj, niedołęgo, skoro nie możesz się ostać w walce o byt. W takich postawiony warunkach, może się chyba ów "niewolnik" i „niedołęga" zniecierpliwić, zwłaszcza, że dochodzą go wiadomości o „prawach silniejszego nad słabszym", o świętości egoizmu", o celach człowieka, zamkniętych zupełnie w granicach kołyski i trumny i t. d. Postarały się przecież dzienniki i dzienniczki, aby mądrość nowoczesna dotarła i pod nizkie strzechy maluczkich.

Istnieje w Europie jeszcze inna grupa ludzi, która powitała pozytywizm, ewolucyonizm i materyalizm z taką samą radością, jak burżoazya. Naród to Izraela wyciągnął obiedwie ręce do nowych proroków, bijąc przed ich geniuszem pokłony.

Wyparty od kilkunastu wieków z kraju, złączonego ściśle z jego dziejami, skazany na włóczęgę między ludami

nieprzyjaznemi, odepchnięty od stołu biesiadnego cywilizacyi chrześciańskiej, wszędzie wzgardzony i poniewierany, żyd zasklepił się na wewnątrz w skorupie spleśniałej dawno wiary talmudycznej, a na zewnątrz starał się zebrać jak największą ilość grosza, pieniądzowi bowiem tylko zawdzięczał różne ulgi. Religia uczyła go nienawiści do innowierców, handel zaś zgasił w nim wszelkie szlachetniejsze pojęcia o życiu. Plemię, które już na puszczy, pod okiem swego największego prawodawcy, tańczyło naokoło Złotego Cielca, a później gorszyło chciwością autorów rzymskich, stało się z czasem typem przekupnia, szachraja.

Nic dziwnego, że ten urodzony materyalista, gdy mu rewolucya francuska rozwiązała spętane ręce i pozwoliła przemawiać jawnie, publicznie, dołożył wszystkich starań, aby nadać zaprzeczeniom dawnego porządku rozgłos jaknajszerszy. Afirmacye przeszłości wydziedziczyły go, negacye zaś bieżącego stulecia otworzyły przed nim na rozcież bramy cywilizacyi.

Żyd stał się najgorliwszym pachołkiem nowej nauki. Wtargnąwszy gromadnie do prasy europejskiej, opanowawszy główniejsze redakcye: Warszawy, Berlina, Wiednia, Paryża i miast innych, siał na wszystkie strony zatrute ziarno negacyi, podszywając się pod hasła wolnomyślne. On to urządził chytrze powszechną wyprawę przeciw chrześciaństwu, swemu wrogowi dziedzicznemu, walcząc z niem piórem i żywem słowem; on przekupywał ministrów, posłów i urzędników („Panama“); on wcielał w handlu i przemyśle zasady moralności niezawisłej, których się uczyć nie potrzebował, bo miał je we krwi (giełda, banki, przedsiębiorstwa akcyjne, wszelakie grynderki i krachy); on podkopywał systematycznie pojęcia o honorze i uczciwości, niepotrzebne, niewygodne dla spekulanta widma lepszego wczoraj. Gdziekolwiek stała się w Europie od lat pięćdziesięciu jaka podłość kupiecka, jakie oszustwo na mniejszą lub większą skalę, wszędzie tkwił

handlarz żydowski. Łzy kroci płynęły śladami jego pomysłów finansowych—waliły się rody, fortuny—bladły świetne, przez wieki nieskażone nazwiska. Czego się handlarz żydowski dotknął — brukało się w jego palcach nieumytych. On tylko jeden tryumfował, uśmiechał się, zadowolony — szczęśliwy mściciel przecierpianych krzywd swojego ludu. On też przebrawszy się we frak, zasilił wielką ilością burżoazyę.

Typowym przedstawicielem „cywilizowanego“ żyda nowych czasów jest, między innymi, znany estetyk duński. Jerzy Brandes (właściwe nazwisko: Izydor Cohn), którego przednie dzieło („Główne prądy literatury XIX stulecia“) przyswojono i naszej literaturze.

Działalność publiczną rozpoczął Brandes od niesłychanie namiętnej polemiki z Nilsenem, zbyt dla niego zacofanym, mimo względnego liberalizmu. Przedstawiwszy się Danii jako nieprzejednany wróg nietylko wyznań chrześciańskich, ale wszelkich uczuć religijnych wogóle. Brandes pozostawał aż do chwili obecnej wiernym tendencyom młodości. Inni, zawiodłszy się na metodzie pozytywnej, porównawszy złudzenia swoje z rzeczywistością, ostygli w zapale dla rozumu. Brandes trwa dotąd na raz zajętem stanowisku, nie chcąc niczego się od życia nauczyć.

Nienawiść do religii, zmysłowość i niechęć do obecnego porządku społecznego, wiją się barwną nicią poprzez dzieła autora „Prądów“. Zburzyć chciałby on całą przeszłość, zniszczyć do ostatniego kamienia podwaliny, na których się świat chrześciański opiera. Ideałem jego—zdawkowy, ordynaryjny materyalizm, Bogiem nieomylnym—rozum.

Brandes uchodził przez czas dłuższy za krytyka przedmiotowego, za „uczonego“ w estetyce. Wszakże-ż mienił się zwolennikiem Taine'a, na którego doktrynę się powoływał.

Wistocie jednak jest autor „Prądów“ wszędzie i zawsze polemicznym publicystą, broniącym pod płaszczykiem naukowości swoich tendencyj. W „Głównych prądach“ zestawił i oświetlił zjawiska literackie bieżącego stulecia rozmyślnie w taki sposób, że uwydatnił tylko „idee liberalne“. Chwilą, od której się dla niego świat zaczyna, jest rok 1848. Wiadomo, że się z tą datą rozpoczyna panowanie najświeższej odmiany starego materyalizmu pod nazwami: pozytywizmu, ewolucyonizmu i naturalizmu.

Ilekroć się Brandes odzywa o kierunkach i szkołach, wcielających reakcyę uczucia przeciw rozumowi, tylekroć pieni się z gniewu. Nie skąpi wówczas słów „silnych“, jak: głupota, ciemnota, obskurantyzm, barbarzyństwo, stęchłe przesądy, naszczekiwania szalonych i t. p. Z naciskiem zbyt widocznym, aby nie zwracał na siebie uwagi, rozwodzi się obszernie nad wszelkiemi negacyami.

Błyskotliwy stylista, utalentowany bezsprzecznie polemista, Brandes przykuł do siebie, przekonał, olśnił młodzież nietylko swojego kraju rodzinnego. Zachwycano się nim w Niemczech, a i u nas, podczas pobytu w Warszawie, nie szczędzono mu oklasków i „szeptów podziwu“. Do jego rozgłosu przyczynili się oczywiście w znacznej części żydzi, znani z solidarności i z umiejętności popierania „swoich“. Był on krytykiem literackim Izraela i burżoazyi, przeto runął razam z programatem, którego bronił.

Jak Brandes siał przez całe życie nienawiść, tak zbiera obecnie własnej roboty owoce. Oto, co pisze o nim Maks Nordau: *)

— Etykietę współczesności (*modern*) przyczepił do niego (do Ibsena) Jerzy Brandes, należący do najwstręt-

*) Maks Nordau: „Entartung“; tom II, str. 181 i 182.

niejszych zjawisk literackich (*einer der widerwärtigsten schrift stellerischen Erscheinungen*) naszego stulecia. Brandes, pasorzyt cudzej sławy, czy rozgłosu, uprawiał przez całe życie rzemiosło muzykanta-szarlatana, który gra równocześnie na dziesięciu hałaśliwych instrumentach, pomagając sobie głową, ustami, rękami, łokciami, kolanami i nogami. Jak ten komedyant, tańczył i Brandes przed poetami i autorami, a potem obchodził publiczność, odurzoną łoskotem, i zbierał zapłatę. Skwapliwie tłoczył się do każdego, kto zyskał sobie w ostatniem ćwierćleciu z jakichkolwiek powodów rozgłos, i zasypywał go dopótąd frazesami retorycznemi i sofistycznemi, dopóki go słuchać chciano. Przystroiwszy się w kilka piór, wyrwanych z dumnych skrzydeł geniuszu taineowskiego, i powołując się na Johna Stuarta Milla, którego studyum „O wolności“ z wierzchu obejrzał, bo go chyba nie czytał, a stanowczo nie rozumiał — przedstawił się młodzieży skandynawskiej, zdobywszy zaś sobie za pomocą tych środków zaufanie, nadużył wpływu do systematycznego zatruwania słuchaczów. Był kaznodzieją namiętności i zmącił z szatańską iście gorliwością i wytrwałością wszystkie pojęcia i wyobrażenia młodzieży, której zachwalał rzeczy przewrotne i nikczemne pod najpowabniejszemi i najczcigodniejszemi nazwami. Wierzono zawsze, że tylko słabi i tchórze ulegają bez protestu potępionym przez zdrowy rozsądek chuciom. Gdyby Brandes był mówił do młodzieży wprost: drwij sobie z rozsądku, poświęć obowiązek namiętności, nie opieraj się zmysłom i t. d. — znalazłby się może ktoś lepszy, coby przed nim splunął. Ale gdy uczył: być posłusznym zmysłom znaczy to samo, co posiadać charakter—kto się poddaje namiętności, ten jest indywidualnością — człowiek silny gardzi karnością i obowiązkiem, a robi zawsze tylko to, co się jego brzuchowi lub innym organom podoba... — wówczas wydzielił zręcznie z podłości części odrażające, budzące podejrzenie. Rozwiązłość i pró-

żniactwo, polecone jako „wolność“ i „prawo rozporządzania sobą“, wtargnęły bez trudu do wszystkich kół. Nikczemność, okryta płaszczykiem „współczesności“, stała się powabną i pożądaną. Nie trudno się domyślić, że wychowawca, który zamienia salę szkolną na knajpę i dom publiczny, musi mieć u młodzieży powodzenie, niezrozumiałe wobec pustych i gadatliwych bez końca (*gedankenleere, endlos schwatzhafte Schriften*) pism Brandesa.

Sądu surowszego doczekało się chyba nie wielu ze znakomitości literackich. Wyrok to tem dotkliwszy, że pochodzi nie od „zacofańca“, „wstecznika“, lecz od autora, który, jest tak samo, jak Brandes, zwolennikiem wiedzy niezawisłej. I Nordau korzy się tylko przed rozumem.

Krytyce spokojniejszej poddał działalność Brandesa pisarz francuski, Jan Thorel, który wykazał *sine ira et studio* brak naukowości i metody w „Głównych prądach“. Chaotyczną tylko komplikacyą jest, podług Thorel'a, rozgłośne dzieło estetyka duńskiego. *)

Oprócz burżoazyi i żydów, dostarczyła nowoczesnemu materyalizmowi gorących wielbicielów czerń karyerowiczów różnych kierunków, rekrutująca się ze wszystkich stanów i warstw. Posagołowców, oszczerców, pochlebców, kopiących dołki pod bliźnim, nieszczerych przyjaciół i kolegów, hałastrę, słowem, wszelaką znały: Grecya i Rzym, wieki średnie i ostatnie. Ale nikczemność przeszłości wiedziała, że postępuje źle; ukrywała się wstydliwie, udawała uczciwą, prawą.

Dziś ten parawan zbyteczny. Każdy szubrawiec może się powołać na etykę niezawisłą, może podłość swoją „nau-

*) Jan Thorel: „La critique internationale“, w Revue des deux Mondes“, zeszyt z 15 września 1893 r.

kowo“ uzasadnić. Że moraliści pozytywni zeszli się w rezultatach z metafizykami i teologami—współczesnego karyerowicza nie wiele obchodzi. Dzieł Spencera i jego naśladowców nie czytał, a choćby i zajrzał do źródła, alboby jego kazuistyki wcale nie rozumiał, albo też, wniknąwszy w nią, odpowiedział bardzo słusznie: być może, że ewolucya zrobi kiedyś ze mnie wzór cnoty, maszynę altruistyczną, dotąd jednakże rozwiązała bardzo małą część całego zadania, *ergo* dobrze postępuję, gdy czynię to, co sprawia mnie przyjemność, nie zważając na potrzeby mniej odemnie chytrego sąsiada.

Ma się rozumieć, że nie same tylko odpadki ludzkości zaciągnęły się do szeregów pozytywnych. Nowa nauka olśniła i obałamuciła krocie głów i serc szlachetnych, spragnionych świadomości, wiedzy. Cała prawie młodzież uniwersytecka, upajająca się na czas pewien każdą nowością, i znakomita większość świata naukowego, służyły pod sztandarami: Comte'ów, Darwin'ów, Spencer'ów, Taine'ów, Haeckel'ów i t. d.

Na uboczu, nie wciągnięta w wir powszechny, stała w każdym kraju mała tylko garstka nieprzekonanych. Nikt tych „wsteczników“, zacofańców, „obskurantów“ nie słuchał, powtarzali bowiem „stare“, „oklepane“ rzeczy. Dorastające pokolenie spieszyło do „światła“, jak ćma nocna, i jak ona opaliła sobie skrzydła.

Cały ten olbrzymi zastęp pełnych, pół i ćwierć-uczonych, wzmocniony przez armię świadomych i bezmyślnych naśladowców, pracował z pośpiechem pary i elektryczności nad sprowadzaniem nowej klęski rozumu ludzkiego. Dawniej łudził się człowiek przez długie wieki, dziś przechodzi jedno pokolenie kilka wręcz przeciwnych odmian. Jeszcze się wyznawcy pozytywizmu nie mieli czasu zestarzeć, a już trąbią znów inni prorocy po świecie do odwrotu.

Bo zawiodło wszystko...

Nasamprzód wracali sami mistrzowie cichaczem, wstydliwie, zaułkami do jakichś „przyczyn wszechrzeczy“, o których zrazu nic wiedzieć nie chcieli. Już Comte, zżymający się w pierwszej połowie swojej działalności przeciw wszelkiej „woli“ po za prawami natury, uznawał ją pod koniec życia, twierdził nawet, że: *pour compléter les lois, il faut des volontés.* I Littré, wytrwalszy w doktrynie od samego mistrza, potrącał na stare lata kilka razy o „nieskończoność“, o „ów ocean, który graniczy z naszemi brzegami“, a John Stuart Mill dostrzegł w „otaczającym nas murze szpary, przepuszczające promień światła z krain nieznanych“ i skarżył się w „Autobiografii“ na analizę, na jej „siłę rozczynową, która zabija uczucie“. Herbert Spencer podpisał w „Pierwszych zasadach“ (w części o „Niepoznawalnych“) wyrok na rozum ludzki, gdy orzekł: „W jakimkolwiek kierunku zwracamy nasze badania, dochodzimy wszędzie do jakiejś nierozwiązalnej zagadki. Prawdziwy mędrzec uczy się poznawać zupełną niemoc umysłowości człowieka we wszystkiem, co przechodzi zakres doświadczenia. Wytwarza on sobie bardzo wyraźne pojęcie o ostatecznej niezrozumiałości najprostszego faktu, rozważanego w samym sobie. Lepiej, niż ktokolwiek inny, wie on i wątpi, że żadna rzecz nie może być poznaną w swej istocie“.

Więc owe światy nieznane, które miały nic zamącać spokoju ludzkości, obchodzą ją jednak, zaciekawiają, pociągają, a rozum nie posiada do nich klucza!? Więc potrzeba oprócz wiedzy, jeszcze czegoś innego?

Do takiego wniosku nie doszli pozytywiści, ale wysnuli go niezawodnie ich nieświadomi wyznawcy, z których wielu uwierzyło naiwnej przechwałce Berthelot'a, że nie ma już tajemnic pod słońcem.

Wiedza miała człowieka nietylko oświecić, ale i uszlachetnić. Do tego stopnia ufali pierwsi pozytywiści jej potędze, że Littré zapowiadał w r. 1850 niedaleki po-

kój powszechny, „przewidziany przez socyologię“. Za lat dziesięć, piętnaście nie będzie już wojen—marzył.—Narody europejskie zbliżą się do siebie, porozumieją się. Ustaną zupełnie walki ludów, a ostaną się tylko potyczki stronnictw politycznych.

Ten sam Littré, najuczciwszy z pozytywistów, posiadający odwagę do przyznania się, że zbłądził, odwołał później sny swoje. Przeglądając w r. 1878 do drugiego wydania jedno z najdawniejszych dzieł (*Conservation, Révolution, Positivisme*), zdziwił się poglądom swoim i proroctwom z przed laty trzydziestu. Więc dołożył do pierwotnego tekstu komentarz, składający się z licznych uwag i poprawek. Oto, co pisze między innemi: „Te nieszczęśliwe stronnice kłócą się ciągle z wypadkami, na jakie patrzyliśmy. Wieje z nich ufność, sprawiająca mi przykrość nawet po tylu latach. Sprawią one przykrość i czytelnikowi, który albo poskarży się na moje zaślepienie, albo też wzruszy ramionami, stosownie do tego, jak będzie dla mnie usposobiony. Zaledwo oświadczyłem, dziecinnemu ulegając entuzyazmowi, że walki narodów ustąpią w Europie walkom politycznym, kiedy wybuchła wojna krymska, po niej zaś nastąpiły: włoska, austryacko-pruska, francusko-niemiecka i wschodnia. Czy to już koniec?!... Któż odgadnie? Z zarozumiałością, która mi się obecnie śmieszną wydaję, przeciwstawiałem t. zw. polityce realnej (*réelle*), czyli tej, która przewiduje pokój powszechny, mimo pozorów, politykę pospolitą (*vulgaire*), czyli tę, która rozstrzyga podług pozorów o pokoju i wojnie. Polityka realna łudziła się. Słuszność jest znów po stronie polityki pospolitej. *)

Słuszność bywa zawsze po stronie życia, a ona troszczy się bardzo mało o formułki socyologiczne.

---

*) Emil Littré: „Conservation, Revolution, Positivisme“; wydanie 2-gie, str. 480 i następne.

W krajach konstytucyjnych żrą się stronnictwa polityczne, jak dzikie bestye lasów dziewiczych Ameryki i Afryki. Nie ma tej nikczemności, którejby przy wyborach do parlamentu jeden kandydat nie zarzucił drugiemu. Od złodziejów sobie wymyślają, od oszustów, przed sądy się wloką, oszczercze plakaty i artykuły na siebie drukują. Za dziesiątą część tych obelg, które minister połyka bez niestrawności dla miłej pozycyi, dla władzy i dochodów, dorożkarz połamałby napastnikowi kości, a potem cisnął do „wszystkich dyabłów“ bat i jął się innego rzemiosła.

Burżoazya, dorwawszy się do stanowiska, wyzyskuje położenie tylko dla siebie i dla swoich, odsuwając od steru wszystkie inne warstwy społeczne. Żadna monarchia nie była tak wyłączna i ciasna, jak rzeczpospolita mieszczańska, cesarze bowiem i królowie umieli ocenić i przygarnąć zasługę, talent i odwagę, bez względu na ich przynależność stanową.

U stóp burżoazyi huczy spienione morze podrażnionych ambicyj, zawiedzionych nadziei, niezadowolonych apetytów; toczy się groźna fala tłumionej zawiści. Skrajni, skrajniejsi i najskrajniejsi radykaliści i anarchiści różnych odcieni szturmują wytrwale do fortecy obecnego porządku. Już mają i cierpliwe dawniej niemcy sporą liczbę posłów socyalistycznych.

Tak wygląda ów pokój zewnętrznej i wewnętrznej polityki, „przewidziany przez socyologię“. Obrazem on ordynaryjnej walki o byt, pozbawionej wszelkich celów humanitarnych w szerszym stylu. Mniej dziś uczuć ogólnoludzkich, aniżeli w epokach „ciemnoty“.

Byłby niomądrym, ktoby pozytywistów posądzał o rozmyślną chęć demoralizowania narodów. Pokoju przecież pragnęli powszechnego. Prawdą wszakże mimo to zostanie, że przyczynili się pośrednio do stanu obecnego. Teorye ich uświęciły brutalność polityki współczesnej. Hrabia de Mornx

i książę von Bismark, typowi przedstawiciele i mistrzowie dyplomacyi drugiej połowy bieżącego stulecia, posługiwali się prawie zawsze argumentami ewolucyonizmu.

I na życie prywatne oddziałały doktryny pozytywne. Pominąwszy nowe gatunki łotrów, nieznane zgasłym pokoleniom, wyzyskiwaczów, oszustów, rycerzów używania, rozkoszników, małoletnich morderców, rezonujących uczenie — całą tę brudną zgraję „wytwornych potworów“ *(monstre délicat)*, podszywających się pod teorye naukowe — nie trudno odnaleźć w stosunkach obecnych wogóle skutki wskazówek pozytywizmu i ewolucyonizmu. Nawet ludzie zkądinąd szlachetni pytają dziś troskliwie o posagi przyszłych żon, korzą się przed Złotym Cielcem, marzą o majątkach, czują wstręt do miernego bytu. Nawet odważni lękają się ubóstwa, jak czegoś bardzo strasznego. Miejsce serca zajął wszędzie chłodny rachunek, trzymający na wodzy „nierozważne porywy“; siły cielesne przekraczająca żądza używania i rozwielmożnienie się samolubstwa w stosunkach codziennych są dziś faktami powszechnie stwierdzonemi.

Człowiekowi nie potrzeba przypominać, że ma prawo do bezwzględnego egoizmu, sztukę tę bowiem potrafi on i bez rozgrzeszenia filozofów pozytywnych bardzo dobrze, gdy jego zachcianek nie powstrzymuje „bojaźń Boża“.

Nigdy nie był pieniądz, środek do używania dóbr doczesnych, tak możnym panem, jak w chwili obecnej, i nie pchał się tak zuchwale do zaszczytów i do stanowiska towarzyskiego. Nigdy też nie usuwali się wydziedziczeni przed jego arogancyą z taką uniżonością i zazdrością.

Pokoleniu, wychowanemu w wierze, że ubóstwo jest „złem samem w sobie“ i że życie człowieka, dokonane stanowczo w ramach doczesnych, nie różni się niczem od doli i niedoli zwierzęcia, nie można się dziwić, iż pragnie wysączyć do ostatniej kropli kielich rozkoszy zmysłowych.

Pije też rzeczywiście, komu środki na to pozwalają, z owej czary zawodnej, kogo zaś los wydziedziczył, ten przeklina nędzę swoją, zazdroszcząc posiadającym.

„Spryt“, przymiot szachrajów, doradca egoistów, wyrugował wszędzie „staroświecką“ uczciwość, którą nawet wyrostki pomiatają... Głupcem nazywa się człowiek dobry i prawy, nie o swoich tylko pamiętający interesach. Im kto moralnie więcej wart, im kto szlachetniejszy, pracowitszy, sumienniejszy, tem mu dziś gorzej na świecie. Słowny, rzetelny, płaci za lekkomyślnika i wyzyskiwacza; honorowy zbiera guzy za szubrawca. Pospolite oszustwo, jeżeli je zręcznie wykonano, wywołuje uśmiech, zamiast oburzenia. A to „sprytny“—mówią przeciętni—nic więcej. Słuchając gawędy osób wykształconych, doznaje się wrażenia, jak gdyby się było w towarzystwie plugawej hałastry. Przewrotność bawi, podłość zadziwia, zuchwalstwo zachwyca. W salonie, w buduarze króluje flirt — lubieżny cynik, drażniący dwuznacznikami zmysły. Wytworne damy i „niewinne“ panienki, przywykłe od lat najwcześniejszych do zawoalowanej rozpusty słowa, do nikczemnych myśli, zakrytych niedostatecznie przejrzystą gazą błyskotliwych zwrotów—mienią się być dowcipnemi i „interesującemi“, gdy rozmawiają, jak ladacznice. „Idyotą“, śmiesznym, źle wychowanym zowie się w świecie młodzieniec, na którego czoło wywołuje „tłustość“, wygłoszona wobec kobiet, rumieniec wstydu.

Moralność i skromność naszych dziadów i babek poszły na emeryturę — oświadczają „oświeceni“ nowszych czasów. Inne pojęcia wytworzyły inne zwyczaje i obyczaje.

Do powyższych rysów należy dodać jeszcze jeden, najwyraźniejszy. Oto zburzyła wiedza pozytywna w człowieku wolę, zatruła ją, złamała przez analizę. Rozkładała ona: ciało, duszę, życie, jego cele, nędze i przyjemności, miłość, cnotę, etykę, dobroć, zbrodnię i t. d. dopótąd na czą-

stki i cząsteczki, dopóki nie starła podwalin, zbudowanych przez wysiłki wieków, na miał, na piasek latający. Dość było pesymizmowi dmuchnąć w ten proch, aby się jego atomy rozwiały na wszystkie strony, Człowiek, przypatrzywszy się życiu przez lupę pozytywizmu, stracił ochotę do podaremnej walki z wiatrakami, znienawidził nietylko bliźnich, ale i siebie. Krytycyzm strawił wolę, jak rdza żelazo hartowne.

Dopełniając charakterystyki dojrzałego obecnie pokolenia, nie wolno w końcu pominąć zwyrodnienia fizycznego, które przyśpieszyło nową porażkę człowieka. Współczesna inteligencya wszystkich krajów europejskich, chowana od lat najwcześniejszych w klatce, pozbawionej słońca i powietrza, zamknięta w dusznej sali szkolnej, torturowana przez wiedzę, straciła zdrowie przed dojściem do wieku męzkiego. Dogorywająca już na szczęście epoka poświęciła wszystkie części ciała dla głowy, którą usiłowała zamienić na magazyn, służący do przechowywania wszystkiego, co się panom uczonym podobało wymedytować. Najwyższą ambicyą drugiej połowy bieżącego stulecia było: wiedzieć dużo, jaknajwięcej! choćby to bezskuteczne gromadzenie w trzech częściach niepotrzebnych wiadomości miało stargać siły ludzkie.

I nie mądre, jednostronne wychowanie porwało rzeczywiście te siły fizyczne, bez których życie doczesne bywa często nieznośne. Ludzie siwi przed czterdziestym rokiem życia nie należą dziś do wyjątków, przedwczesna łysina nie zadziwia już nikogo, a szczęśliwiec, obdarzony nerwami zdrowemi, mógłby, obwożony po świecie jako okaz szczególny, zbogacić jakiego zręcznego impresarya.

Oto mniej więcej obraz „szczęśliwości“, „przewidzianej“ przez socyologię pozytywną.

Filozofia, nauka, sztuka, polityka, życie prywatne, jego pośpiech i walka o byt, zaniedbanie przez szkołę strony fizycznej i moralnej ucznia, kult Złotego Cielca, nadmierna

praca, mania analizy, nikotyna w końcu i alkohole, wszystko, słowem, złożyło się na to, aby zburzyć nerwy współczesnego człowieka. Newroza pod różną postacią zatoczyła w naszych czasach koła tak szerokie, iż stała się epidemią chwili obecnej. Żadna epoka nie wydała tylu samobójców, obłąkanych, histeryków i niedołęgów cielesnych.

Gdy ten człowiek współczesny, wytrzeźwiwszy się z odurzenia naukowego, zestawił rzeczywistość, prawdę istotną, z obietnicami i marzeniami mędrców drugiej połowy bieżącego stulecia, i znalazł wszędzie rażące przeciwieństwo, wówczas stracił zaufanie do Mentorów swojej młodości. Doszedłszy do kulminacyjnego punktu roztroju, powinien był nawrócić z drogi, wskazującej mu zły kierunek. Komu jednak od kołyski kładziono w uszy: ufaj tylko rozumowi, ten nie upokarza się odrazu, chętnie. Zakląć woli, złorzeczyć, niż przyznać się do błędu. Od czego pesymizm? W jego skargach i szyderstwach znajdzie strzaskana wola pociechę, wyczerpany mózg strawę, oschłe serce zadowolenie.

I kierunki idealne rozpływały się ostatecznie zawsze w chwilowem zniechęceniu, ale w lamentach metafizyków nie przestało łkać serce, kochające ludzkość. Smuciły się one tylko, że królowa ziemi taka zależna od ciała. Płakały nad jej przeznaczeniem połowicznem, bo marzyły dla niej o skrzydłach anielskich.

Nie takiego pesymizmu potrzebowali wychowańcy materyalistów XIX stulecia. Karmieni z jednej strony pychą i bezwzględnością rozumu, z drugiéj zaś podbudzani zmysłowo, umieli tylko nienawidzić, gdy ich nadzieje młodości zawiodły. Oglądali się więc w Europie za najodpowiedniejszym tłumaczem swoich gniewów, a nie znalazłszy go między współczesnymi, cofnęli się wstecz o całe pokolenie.

Żył w Niemczech w pierwszej połowie bieżącego stulecia myśliciel, który wyprzedził rozwój filozofii o lat kilkadziesiąt. W chwili, kiedy się świat cywilizowany upajał

głośnemi, wielkiemi słowami i marzył o prawdzie, Artur Schopenhauer, samotnik, odludek, zgorzkniały stary kawaler, zrzędził we Frankfurcie na temat „nicość nicości“ i drwił niemiłosiernie z człowieka.

Przyznaję się otwarcie,—prawił do pustych ścian, bo go zrazu nikt nie słuchał, — że mnie widok zwierząt więcej bawi i cieszy od widoku ludzi, którzy we mnie wstręt budzą. Gdy patrzę na brzydotę fizyczną i moralną człowieka, na jego nizkie namiętności i pogardy godne ambicye, na symptomata obłędu i przewrotności wszelkiego rodzaju, na jego zepsucie, owoc rozprzęgających się obyczajów, wówczas odwracam się od niego i uciekam do natury, szczęśliwy wśród zwierząt.

Francuzów nazwał Schopenhauer małpami Europy — niemców, ziomków swoich, nałogowymi pijakami—włochów bezczelnymi—amerykanów ordynaryjnymi dorobkiewiczami i t. d. Człowiek wogóle jest, podług niego, zły i głupi z natury, a psuje się jeszcze więcej w życiu. Szczerym, sobą bywa tylko wtedy, gdy dopuszcza się jakiej zbrodni.

Takiego filozofa upodobali sobie rozczarowani ostatniej odmiany materyalizmu europejskiego. Nie tyle sama teorya Schopenhauera, którą nie wielu zbadało, ile jego gniewliwe fukania i wymyślania zachwyciły dekadentów wszystkich narodowości.

Przez trzy części długiego życia nawet we własnym pomijany kraju, wyrósł ponury myśliciel frankfurcki krótko przed śmiercią w Niemczech na proroka, po śmierci zaś stał się mistrzem zrozpaczonych Europy cywilizowanej.

We Francyi komentowali Shopenhauera: Challemel-Lacour, Ribot i in., a tłómaczyli go: I. A. Cantacuzène i M. A. Burdeau.

Dzieci nienawiści umiłowały nienawiść...

V.

Dekadentyzm. — Tak zw. przecywilizacya. — Dekadentyzm w życiu. — Określenie dekadentyzmu przez Bourget'a. — Tak zw. arystokracya inteligencyi. — Smakosze życia. — Początek dekadentyzmu w literaturze francuskiej. — Karol Baudelaire. — Jego „Kwiaty zła“ — Ich treść. — Ich forma. — Styl dekadentów. — Współcześni dekadenci francuscy. — Teorya Anatola Baju. — Estetyka i technika dekadentów. — Instrumentacya poetycka. — Barwność głosek. — Ideał dekadenta. — Huysmansa „A rebours“. — Dekadentyzm dorobkiewiczów. — Stendhal — Maurycy Barrès, — filozof dekadentyzmu. — Fryderyk Nitzsche. — Jego etyka. — Dekadentyzm po za granicami Francyi. — Ogólny pogląd.

Mówi się zwykle o początku i końcu wieku, o kwitnącej i przejrzałej cywilizacyi, jak gdyby pierwszy był żyjącym organizmem, druga zaś procesem dokonanym.

Uczy historya, że przeciąg czasu, ujęty w ramy lat stu, wystarcza rzadko do teoretycznego wyczerpania i praktycznego wcielenia pewnej idei, że się na jedną zamkniętą w sobie epokę, składa cały szereg pokoleń. Zanim rycerstwo chrześciańskie wydało barwny i wonny kwiat, znany pod nazwą wojen krzyżowych, marzyły o oswobodzeniu Grobu Zbawiciela długie stulecia, a wielką rewolucyę francuską przygotował krytycyzm lat trzystu.

Schyłek naszego wieku jest rzeczywiście zaokrągleniem, ostatniem słowem prądu naukowego i literackiego, ale nie za czasów Napoleona I należy szukać początku tego końca. Dopełnia się, dogorywa obecnie najświeższa odmiana starego materyalizmu, wylęgła z buntu przeciw uczuciowości i chrześciaństwu. Pozytywiści i ewolucyoniści podjęli tylko nanowo smutną robotę filozofów Anglii i encyklopedystów Francyi, przerwaną na krótko przez romantyzm, który nie był, jak twierdzili krytycy analityczni, „reakcyą“, czyli wstecznictwem, lecz właśnie postępem, bo usiłował pchnąć ludzkość, zdemoralizowaną przez negacyę, na tory wiary i nadziei, na drogę ideałów dodatnich.

Fantastyczny poeta trudził się daremnie, człowiek bowiem, zasmakowawszy raz w sceptycyzmie, nie spoczywa dopóty, dopóki nie doprowadzi wątpienia do krańców możliwych. Z gwałtownością zatamowanego niedostatecznie potoku wybuchnął materyalizm po r. 1850 pod postacią pozytywizmu i ewolucyonizmu i pędząc z pośpiechem naszych czasów, zniósł wszystkie przeszkody.

Przejście od negacyi, wierzącej w siebie, w siłę swoją i prawdę, do negacyi zbankrutowanej, „zblazowanej“, nie krępującej się już niczem, nie ufającej nikomu, odbyło się w stuleciu bieżącem tak szybko, że zaskoczyło pod koniec życia samych twórców kierunku. Nie takiego rozwiązania spodziewali się pierwsi pozytywiści i ewolucyoniści, którym się zdawało, że wytykają drogę dla wielu pokoleń. Ułatwiona wymiana myśli (telegraf, czasopisma, liczne szkoły) przyspieszyły proces rozkładu.

Schyłek naszego wieku jest więc rzeczywiście „końcem“ czegoś, *fin de siècle*, konaniem jednego z licznych złudzeń ludzkości, kropką, zamykającą jakąś formułkę.

I w tem też tylko rozumieniu stają się prawdą zjawisko społeczne, nazywane „przecywilizacyą“, cywilizacya bowiem, pojęta jako ciągły rozwój człowieka, jako pochód do

świadomości i uduchownienia, będzie dopótąd młodą, dopóki dzieci prometeuszowe nie spełnią posłannictwa, obmyślanego dla nich przez Pana Panów.

O przecywilizacyi wogóle, o zaniku sił żywotnych ludzkości, nie może być na razie mowy. Starzeją się narody, rasy, pewne warstwy, ale *człowiek* rwie się dotąd niezmęczony do dalszego boju z „niepoznawalną“. Co się jednemu plemieniu, pokoleniu i t. d. nie udało, to zaczyna inne plemię, pokolenie i t. d. nanowo, gdy minie chwila przejściowa ostatecznego zwątpienia. Przejściowemi bowiem chwilami są wszelkie dekadentyzmy. Po każdej wielkiej negacyi następuje zawsze wielka afirmacya.

Nie wszystkie zresztą narody i nie wszystkie warstwy społeczne, owiane cuchnącemi wyziewami dekadentyzmu, ulegają działaniu jego trucizny. Ludy „barbarzyńskie“ starego świata nie brały udziału w orgiach zmysłowych i umysłowych gasnącej Romy. Juwenalis nie wie nic o zniewieścieniu Germanów i Słowian. A i w samej Italii troszczyły się prawdopodobnie mniejsze miasta bardzo mało o sceptycyzmy i wyuzdanie zrozpaczonych stolicy.

Tak istnieją i dziś właściwi dekadenci tylko w krajach, w których materyalizm współczesny wydał kwiat najbujniejszy, głównie we Francyi i Anglii. Już niemcy odznaczają się większem zdrowiem duchowem od gallów i anglosaksonów, a ludy słowiańskie odtrąciły nawet naturalizm artystyczny, który nie jest jeszcze dekadentem.

Dodatnie i ujemne cechy danej epoki uwydatniają się najsilniej zawsze w rasach, przodujących pewnej chwili dziejowej. Ponieważ Francya szła w drugiej połowie bieżącego stulecia na czele cywilizacyi, przeto dojrzały u niej owoce pozytywizmu i ewolucyonizmu najwcześniej i najdoskonalej.

Jak nie wszystkie narody biesiadują przy najbogatszym stole cywilizacyi, gdyż znakomita ich większość wie

tylko ze słyszenia o wykwintnych gustach „Lucullusów“, tak nie korzystają i wszystkie warstwy społeczne ze zdobyczy „postępu“. Należy wątpić, czy przeciętny chłop, robotnik, rzemieślnik, urzędnik, ziemianin, ksiądz, prawnik, lekarz i t. d., pracownik wogóle francuski, pochłonięty przez obowiązki rodziny i walkę o byt, zazdrości wytwornemu paryżaninowi jego rozkoszy i odczuwa jego niepokoje. Czasu poprostu nie ma do takich zbytków. Naród w rozumieniu pełnem robi swoje, buduje gniazdo dla siebie i dzieci, kocha żonę i rzemiosło, które go żywi, stara się być uczciwym i zdrowym — zostawiając subtelności uczuć i myśli garstce bogaczów lub próżniaków i wytwornisiów wielkomiejskich.

Bo głównem siedliskiem zapałów i zepsucia, entuzyazmu i zwątpienia, dobra i złego, bywają zawsze stolice. W nich to gromadzi się wszystko, co naród w danej chwili posiada utalentowanego i energicznego, bogatego i przewrotnego; do nich spieszą zarówno najszlachetniejsi i najzdolniejsi, jak i najpodlejsi, szukający silniejszych pobudek i silniejszych wrażeń, szerszego pola do działania i rozleglejszych horyzontów.

Odjąwszy od ogólnej cyfry ludności współczesnej miliony, stojące na uboczu ruchu cywilizacyjnego (niepiśmienni i nieczytający), dalej obojętnych, przypatrujących się biernie drganiom konwulsyjnym nauki, literatury i sztuki chwili obecnej (znakomita większość t. zw. przeciętnej inteligencyi), w końcu przeciwników prądów negatywnych (idealiści, wierni wszystkich religij) — zostanie pod sztandarem dekadentyzmu gromadka tak nie wielka, że możnaby ją pominąć milczeniem, gdyby nie chciała uchodzić za kwiat ludzkości i nie rwała się do rządów w królestwie ducha.

W samej Francyi i w Anglii znaleźlibyśmy najwyżej kilkadziesiąt tysięcy dekadentów przekonanych, w Niemczech kilka tysięcy, a nas nawet nie tylu.

Zawsze i wszędzie stała po nad ciemnemi masami garść oświeconych, ale w epokach z dodatniemi programatami, pamiętali owi wybrańcy o potrzebach wszystkich i na tem właśnie polega prawowitość uprzywilejowanego stanowiska t. zw. arystokracyi, jakakolwiekby ona była. Warstwa, która zdejmuje z ramion maluczkich brzemię pracy publicznej, która myśli za „motłoch", poświęca się za niego, służy mu — ma prawo do przodownictwa, wie bowiem lepiej od nieświadomych, zajętych jedynie sprawami osobistemi, co ogółowi pożytek przynosi.

Ta prawowitość „wybrańców" upada w epokach przejściowych.

Bo czemże jest owa dekadencya, o której się dziś tyle mówi i słyszy?

Dopóki ktoś w coś jeszcze wierzy, w jakiś ideał polityczny, społeczny, naukowy lub literacki, dopóki czegoś usilnie chce i szuka dróg do wcielenia swoich pragnień, dopóty nie odnosi się do niego określenie: „dekadent". Nie byli dekadentami: Comte, Littré, Darwin, Spencer, Renan, (gdy pisał *L'avenir de la scince*), nie jest nim i Zola. Pierwsi pozytywiści i ewolucyoniści ufali niezachwianie wiedzy, spodziewając się od niej rezultatów dodatnich. Autor *Germinala* był do niedawna przekonany, że jego doktryna odrodzi literaturę piękną.

Brak poczucia siły, ożywiającej twórców wszelkich teoryj, chociażby ujemnych, jest pierwszą cechą dekadenta. Epigon nie posiada już zapału mistrzów, nie wierzy w prawdę ich formułek, doświadczywszy osobiście ich jednostronności. Takich dekadentów *minorum gentium* wytwarza każdy prąd cywilizacyjny, w każdym bowiem czycha robak, który jego kwitnące na razie ciało rychlej, czy później roztoczy.

Właściwych jednak dekadentów, zrozpaczonych w wielkim stylu, wydają tylko epoki ogólnego bankructwa jakie-

goś programatu, przyświecającego całym pokoleniom. Zna ich historya w Grecyi za panowania demagogów, posiadał ich Rzym pod berłem Cezarów, Włochy w miastach książąt-kupców na schyłku wieków średnich, a Francya w Paryżu chwili obecnej. Niektóre komedye upadającej Hellady i satyry Juwenalisa mógłby podpisać bez zmiany malarz obyczajów współczesnych.

Z chwilą, gdy jakiś programat filozoficzny lub naukowo-literacki, polegający na negacyi, doszedł do tego stopnia rozwoju, że złamał w człowieku oświeconym, w najdoskonalszem wcieleniu idei rozkładowych, wolę, zniszczył w nim chęć do dalszej walki z „niepoznawalną“, uczynił go obojętnym na losy ludzkości — z tą chwilą rozpoczyna się „przecywilizacya“ danej epoki i rasy.

Brak wiary w cośkolwiek, znieczulenie wobec wszystkiego, co ludzi zwykle do czynu pobudza, co im serce rozgrzewa i ducha podnosi, będzie głównym, zasadniczym rysem dekadenta. Nie działają na niego: religia, nauka, poezya, etyka, ofiara obywatelska, miłość, rodzina, kraj i t. p.

Gdyby dekadent tylko zwątpił o posłannictwie ludzkości, byłby pospolitym pesymistą. Ale w nim budzi się równocześnie z zanikiem uczuć moralnych i tęsknot idealnych człowiek-zwierzę, dzika, samolubna bestya, rzucająca się z nienasyconą żarłocznością na uciechy zmysłowe. Ta chęć wyssania z życia wszystkich słodyczy nie pozwala go zaliczyć do zwykłych zrozpaczonych.

Używając jednak, jak każdy inny smakosz albo lubieżnik, przyjemności naturalnych, nie różniłby się dekadent niczem od przeciętnego „plebejusza“. Jemu, „arystokracie“—bo takim się być mieni — „wytwornemu“, „rafinowanemu“, „subtelnemu“ — bo tak się sam nazywa — potrzeba rozkoszy, nie dla wszystkich dostępnych. Przeto wywraca naturę na nice. Obmyśla dla siebie podrażnienia sztuczne,

wynajduje różne formy miłości, karmi się narkotykami, ubiera się i mieszka dziwacznie, otoczony, jak tandeciarz, całym kramikiem gratów i gracików. Gdy zajmuje się literaturą, uwielbia tylko utwory chorej wyobraźni; w znawcę sztuki się bawiąc, podziwia obrazy i rzeźby smaku zepsutego. Wszystko, co przewrotne, cuchnące, obrzydliwe, zachwyca go i wzrusza. Ambicyą jego: widzieć, słyszeć, czuć, jeść, pić i t. d. inaczej jak „motłoch“. Fosforescencya zgnilizny“ (*la phosphorescence de la pourriture;* Baudelaire), jest jego żywiołem, celem zaś jedynym „uczone smakowanie rozkoszy“ (*l'entente savante du plaisir;* Bourget).

Chociaż się dekadent uważa za wybrańca swojego czasu i narodu, za najrozumniejszego, za uczonego „rozkosznika“, za najwybredniejszego, jest wistocie bardzo niemądry, nie liczy się bowiem z siłami człowieka. Zapomniawszy, że używanie zmysłowe, gdy przekroczy granice możności ciała, nie wytrzymującego szalonych eksperymentów, daje, zamiast przyjemności i zadowolenia, ból i niesmak — dekadent burzy własnemi rękami gmach wymarzonej szczęśliwości. „Subtelny“, „rafinowany“, „delikatny“ sceptyk traci rychło zdrowie, stawszy się zaś kaleką, niezdolnym do „uczonego smakowania życia“, zaczyna się miotać na świat i ludzi z furyą zawiedzionego w nadziejach waryata. Idyotyczne bluźnierstwa zamykają zwykle działalność programatów, opartych na negacyi.

Absolutny pesymista na tle materyalizmu — bezwzględny samolub, wierzący, że ziemia istnieje tylko dlatego, aby jego „subtelnościom“ służyła — rozpustnik — rafinowany — chory w końcu i dziwak... jest dekadent karykaturą człowieka zdrowego, wcieleniem zwyrodnienia moralnego i fizycznego. Jak usiłuje robić wszystko na opak, tak widzi też wszystko w oświetleniu fałszywem. Jego pojęcia etyczne, artystyczne i filozoficzne rozbiegają się wręcz z zasadami ogólnie za prawdziwe uznanemi. Brzydotę nazywa pięknem,

nikczemność dobrocią, obłęd rozumem, stan histeryczny zdrowiem i t. d. Człowiek-zwierzę, oszalawszy z gniewu, że nie może tak używać, jakby chciał, przeobraził się w podłe i głupie bydlę, które straciło nawet poczucie wskazówek instynktu samozachowawczego. Sam się wyniszcza, a oskarża naturę o zdradę.

Do tych stałych rysów dekadenta wszystkich epok i narodów, dodały czasy nowsze jeszcze dwa, nieznane rozbitkom Grecyi i Rzymu.

Zwyrodniony pesymista kultury pogańskiej nie wiedział nic o moralności chrześcian, która zniosła wobec Boga różnicę między człowiekiem a człowiekiem i postawiła na miejscu egoizmu altruizm w najszerszem rozumieniu (miłość bliźniego, wroga). Dekadent Hellady i Rzymu, nie krępowany szczytną etyką, nie dostrzegał ciągłego rozdźwięku między życiem a ideałami religii, filozofii i poezyi i korzystał bez wyrzutów sumienia z pracy ubogich i niewolników.

Inaczej ma się rzecz z dekadentem XIX-go stulecia. W jego żyłach płynie krew setek pokoleń, wychowanych w zasadach chrześciańskich; w jego sercu tli święty ogień idealizmu, tęskniącego za „ojczyzną niebieską“;—*sumienie* w nim nie skonało, chociaż robił wszystko, aby je zamordować. W chwilach zmęczenia lub osamotnienia odzywa się w dekadencie spółczesnym upiór długiej przeszłości, a wówczas ogarnia go ów straszny, nerwowy niepokój, który jest klątwą naszego pokolenia.

Dekadent cywilizacyi pogańskiej przechodził obojętnie, z chłodnym cynizmem obok podłości i głupoty człowieka-zwierzęcia; współczesny zaś rozbitek, w którego duszę zapadły ideały całego szeregu przodków chrześciańskich tak głęboko, że ich wytrzebić nie może, traci przytomność wobec rozdźwięku między tem, co jest, a tem, coby być powinno. Ztąd owa dzika nienawiść dekadentyzmu chwili obecnej do

ludzkości, owe paroksyzmy bluźnierstwa, których starożytni—spokojniejsi, pogardliwsi nie znali.

I wobec śmierci zachowywali się zrozpaczeni pogańscy z większą godnością, aniżeli najnowsi „wytwornisie“. Patrycyusz rzymski, nie wierzący w życie pogrobowe, przecinał sobie bez szlochów i lamentów żyły, gdy taka była wola okoliczności. Wracał do nicości z tem przekonaniem, że ginie istotnie na zawsze.

I dekadent chrześciański wmawia w siebie i w innych materyalistyczne pojęcia zgonu, i on udaje pogardę dla brutalnego aktu natury. Ale tylko udaje.

Smierć, która ma zamykać losy człowieka, straszy go zagadką, a przeraża koniecznością. Na dnie jego sztucznej, nie odczutej niewiary spoczywają resztki „duszy“, jej marzenia, nadzieje i niepokoje. Dekadent współczesny nie jest pewnym nicości grobowej, przeto wraca jego trwoga bezustannie do śmierci, okrąża ją, jak ćma światło, miotając się przeciw despotyzmowi przyrody. Gdy sobie dekadent naszych czasów odbiera życie, wówczas podnosi zwykle taką wrzawę, jak gdyby się świat razem z nim zapadał. Niemocny, pieniący się gniew pesymistów płynie głównie z nienawiści do śmierci.

Wiadomo, że Schopenhauer, prorok nicości, nie odznaczał się wcale odwagą. Jednemu z przyjaciół swoich, który spieszył w r. 1813 na wojnę, ofiarował szablę honorową, sam jednakże trzymał się zdala od niebezpieczeństw. Podczas cholery uciekł z Frankfurtu i ukrywał się dopótąd w miejscowościach wolnych od zarazy, dopóki epidemia nad Menem nie wygasła. Chociaż zalecał ascetyzm i pogardę dla życia, pamiętał mimo to nietylko o zdrowiu, lecz także o wygódkach i przyjemnostkach doczesnych z rafinowaną troskliwością. Nie ożenił się, ale tylko dlatego, aby nie brać na siebie obowiązków, bo rozkoszy miłości nie odtrącał (miał syna nieprawego). Radził „gatunkowi“ ludzkiemu

gromadne samobójstwo, a robił wszystko, aby przeciągnąć „mitręgę doczesną“ jak najdłużej. Widmo śmierci straszyło go we śnie i na jawie. Widział je ciągle przed sobą, mówił o niem przy każdej sposobności, przerażony jego fatalizmem, przeciw któremu nie ma środków.

I tacy to nędzni tchórze, pospolici egoiści, żądają dla siebie czci i przywilejów, należących się arystokracyi ducha i serca. Kwiatem cywilizacyi zowią się dekadenci.

Paweł Bourget, w pierwszej połowie swojej działalności autorskiej, przyjaciel „fosforescencyi zgnilizny“, określa dekadentyzm w sposób następujący:

— Przez dekadentyzm rozumiemy taki stan społeczny, który wytwarza zbyt wielką ilość jednostek, niezdolnych do pracy gromadnej. Społeczeństwo jest podobne do organizmu. Jak on, składa się i ono z mnóstwa części drobniejszych, a te znów rozpadają się na mnóstwo komórek. Jednostka jest komórką społeczeństwa. Aby się cały organizm rozwijał prawidłowo, potrzeba karnego współdziałania wszystkich organizmów drugorzędnych, rozwój zaś organizmów drugorzędnych zależy znów od karnego (*subordonnée*) współdziałania komórek. Jeżeli się komórki wyzwalają z pod prawa ogólnego, wówczas przestają i organizmy podrzędne służyć całości, z tą zaś chwilą rozpoczyna się anarchia, czyli dekadencya. Jednostka psuje się pod wpływem dobrobytu i dziedziczności. *)

Dekadencya znaczy więc to samo, co rozprzężenie jakiejś całości... jej rozkład. Ale...

— Jeżeli obywatele dekadencyi tracą znaczenie jako robotnicy przy budowie wielkości kraju, przewyższają natomiast ludzi epok zdrowych jako artyści wewnętrzni ducha

*) Paweł Bourget: „Essais de psychologie contemporaine“, 1887 r. str. 24 i 25,

(*comme artistes de l'intérieur de leur âme*).. Niezręczni pracownicy prywatni i publiczni są majstrami samotnej myśli (*trop habiles à la pensée solitaire*). Niezdolni na ojców przyszłych pokoleń, stają się wirtuozami, wprawdzie bezpłodnymi, ale za to rafinowanymi – wytwornych wrażeń i rzadkich uczuć, cierpień i rozkoszy smakoszami. Jeżeli nie potrafią wierzyć głęboko, to tylko dlatego, że przecywilizowana ich inteligencya (*trop cultivée*), obiegłszy wszystkie idee wokoło i pozbywszy się przesądów, dotarła do tej najwyższej równowagi, która uznaje wszelkie doktryny, a wyklucza wszelkie fanatyzmy. Nie ulega wątpliwości, iż wódz germański II-go stulecia umiał lepiej zdobywać *imperium*, aniżeli patrycyusz rzymski bronić jego całości, lecz rzymianin, wykształcony i wytworny, ciekawy i zużyty, taki np. jak cesarz Adryan, wielbiciel Tibura, był za to doskonalszym typem człowieka. Wielkim argumentem przeciw dekadencyi ma być ta okoliczność, że epoki upadku nie posiadają jutra, zgniatane zawsze przez barbarzyństwo. Ale nie jestże ostateczna klęska fatalnym losem wszystkiego, co rzadkie i wytworne? *)

Wytwornym więc i rzadkim okazem rodu ludzkiego ma być dekadent, podług Bourget'a. Chociaż nie służy nikomu, nie zdolny do żadnej pracy, jednostkowej, czy gromadnej, mimo to należy się mu wywyższone wpośród „motłochu“ stanowisko.

To samo zdanie podzielają wszyscy dekadenci we współczesnej literaturze europejskiej. Wszystkim zdaje się, że wyrośli po nad „tłum“, którym mają prawo gardzić. Arystokracyą się zowią, inteligencyą inteligencyi, ostatnim wyrazem cywilizacyi bieżącego stulecia.

---

*) Paweł Bourget, jak wyżej str. 27 i 28.

Ciekawa rzecz, co też owi „rządcy wytwornisie“ czują i myślą, o czem marzą, jak sobie życie urządzają. Odpowiedzi na to pytanie dostarczy literatura dekadentów.

Mówiąc o dekadentyzmie, wskazuje się zwykle na gromadkę autorów francuskich, którzy pojawili się na widowni publicznej około roku 1880, chociaż już Karol Baudelaire był „smakoszem artystycznym“ w rozumieniu dzisiejszem. Jego „Kwiaty zła“ (*Les fleurs du mal*), wydane po raz pierwszy w r. 1857, zawierają wszystkie cechy dekadentyzmu literackiego.

Jak się człowiek przedstawia wyobraźni dekadenta, poucza „wstęp“ (*Préface*), postawiony na czele „Kwiatów zła“. Baudelaire skarży się:

La sottisee, l'erreur, le péché, la lésine,
Occupent nos esprits et travaillent nos corps,
Et nous alimentons nos aimables remords,
Comme les mendiants nourrrissent leur vermine.
Nos péchés sont têtus, nos repentirs sont lâches;
Nous nous faisons payer grassement nos aveux,
Et nous rentrons gaîment dans le chemin bourbeux
Croyant par de vils pleurs laver toutes nos taches.

* * *

Si le viol, le poison, le poignard, l'incendie,
N'ont pas encore brodé de leurs plaisants dessins
Le canevas banal de nos piteux destins,
C'est que notre âme, hélas! n'est pas assez hardie.

Znaczy to: człowiek jest głupiem, szalonem, grzesznem, brudnie skąpem zwierzęciem, któremu się zdaje, że pokutuje, gdy oblewa winy swoje łzami kłamanemi. Gwałt, trucizna, sztylet, pożar, nie są tylko dlatego w powszechnem użyciu, bo owe nikczemne bydlę nie posiada dosyć odwagi, aby się w całej odsłonić pełni.

Na innem miejscu, w „Podróży“ (*Le voyage*), ofiarowanej Maksymowi du Camp, opowiada Baudelaire, co dostrzegł, rozglądając się po świecie. Widział wszędzie tylko „nużące widowisko grzechu śmiertelnego“:

Le spectacle ennuyeux de l'immortel péché;
La femme, esclave vile, orgueilleuse et stupide,
Sans rire s'adorant et s'aimant sans dégoût:
L'homme, tyran goulu, paillard, dur et cupide,
L'esclave de l'esclave et ruisseau dans l'égout.

Niewiastę widział nikczemną, nierozumną i pyszną niewolnicę, która się bez śmiechu uwielbia, a kocha się w sobie bez obrzydzenia — mężczyznę zaś, tej niewolnicy niewolnika, żarłocznego, brutalnego, chciwego tyrana.

Baudelaire udał się w drogę, bo nudził się wszędzie. Choroba zużytych, przecywilizowanych tak mu dokuczała, że nazwał ją koroną wszystkich nieszczęść ludzkich (*Préface*):

Mais parmi les chacals, les panthères, les lices,
Les singes, les scorpions, les vautours, les serpents,
Les monstres glapissants, hurlants, grognants, rampants
Dans la ménagerie infâme de nos vices.

* * *

Il en est un plus laid, plus méchant, plus immonde!
Quoiqu'il ne pousse ni grands gestes ni grands cris,
Il ferait volontiers de la terre des débris
Et dans un bâillement avalerait le monde;
C'es l'Ennui!

Nuda zmęczyła go do tego stopnia, że pragnął przed nią uciec do nieba albo do piekła, gdziekolwiek, byle znalazł się w jakich innych warunkach (*Le voyage*):

Nous voulons...
Plonger au fond du gouffre, Enfer, ou Ciel, qu'importe?
A fond de l'Inconnu pour trouver du nouveu.

Wiadomo, że głód nowości, żądza zmiany zatruwa życie wszystkim „zblazowanym“.

Zdawałoby się, że Baudelaire, obrzydziwszy sobie jednostajność zajęć powszednich, pożądał ruchu, czynu, który nudę rozprasza, skutecznie ją zwalcza. Tymczasem dowiadujemy się rzeczy wręcz przeciwnych.

W poemacie p. t. *La beauté* nienawidzi piękność ruchu, gdyż „psuje on spokój linij“.

Je hais le mouvement qui déplace les lignes
Et jamais je ne pleure et jamais je ne ris.

W „Sowach“ (*Les hiboux*) podziwia autor zachowanie się, obojętność zewnętrzną tych ptaków nocnych, których spokój uczy mędrca, że powinien „omijać ruch i wrzawę dnia białego“.

Leur attidude au sage enseigne
Qu'il faut en ce monde qu'il craigne
Le tumulte et le mouvement.

Nietylko Baudelaire nie pragnął ruchu, „czegoś nowego“, lecz wymyślił sobie nawet ideał absolutnego spokoju, przypominający halucynacye obłąkanych. W „Marzeniu paryzkiem„ (*Rêve parisien*), stworzył obraz „upajającej monotonności“ (*l'enivrante monotonie*).

— Pewnego poranku zachwycił mnie — mówi — niewyraźny, daleki, straszliwy, krajobraz, niedostrzeżony jeszcze przez żadne oko śmiertelne. Ponieważ sen bywa cudotwórcą, przeto wykluczyłem przez szczczególny kaprys z malowidła wszelką nieregularną roślinność i dumny z mojego geniuszu, rozkoszowałem się upajającą jednostajnością kruszczu, marmuru i wody. Oto rozłożył się przedemną Babel wschodów i łuków, olbrzymi pałac, przepełniony basenami i kaskadami barw z gładkiego i matowego złota. Ciężkie, lśniące wodotryski wisiały, jak zasłony kryształowe,

na murach metalowych. Nie drzewa, lecz kolumnady otaczały drzemiące stawy, w których się olbrzymie Najady jak kobiety przeglądały. Smugi niebieskiej wody rozlewały się między różowemi i zielonemi, miliony mil długiemi brzegami, aż do końca świata. Były tam niesłychane (*inouïes*) kamienie i czarodziejskie bałwany; niezmierzone zwierciadła, błyszczące wszystkiem, co się w nich odbijało. Obojętne i milczące potoki, umieszczone w firmamencie, wylewały skarby swoich urn w przepaści z dyamentu. Architekt mojej feeryi, upodobałem sobie pod tunelem z drogich kamieni ocean uśmierzony. I wszystko, nawet czarne barwy, zdawały się wygładzone, jasne, lśniące. Zresztą nie było nigdzie gwiazdy, nigdzie śladu słońca, nawet na skraju nieba. Żadne światło nie opromieniało tych dziwów, we własnych tylko błyszczących blaskach. A po nad temi wzruszającemi cudami (straszliwa nowość! nic dla uszu, wszystko dla oka) unosiła się cisza wieczności.

Krajobraz Baudelaire'a, na który dekadenci z dumą wskazują, jako „twór rafinowanego geniuszu", jest rzeczywiście „nowością straszliwą" (*terrible nouveauté*), świadczy bowiem, że człowiek, gdy mu rozkosze naturalne nie wystarczają, staje się śmiesznym fantastą, któremu się zdaje, iż dziwactwo przewyższa wdzięk przyrody.

Domagając się „czegoś nowego", nie miał Baudelaire na myśli ruchu, czynu, lecz jedynie chorobliwą sztuczność. Zamiast krajobrazów żywych, lśniących barwami świeżości, wyobrażał sobie milczące, tajemnicze, czarne, bezsłoneczne krainy martwoty, owiane głuszą wieczności.

Nie pełną, kwitnącą wiosnę kochał, lecz jej błotnisty początek, koniec jesieni i zimy (*O fins d'automne, hivers, printemps trempés de boue; — „Brumes et pluies"*). Nad widok zdrowia, woni, życia przenosił wszędzie obraz rozkładu zgnilizny, zapachy cuchnące, rany obrzydliwe. Jego hymn na ścierwo (*Une Charogne*) jest ostatnim wyrazem pluga-

wego słowa. Trudno coś paskudniejszego wymyślić. Cierpienie ludzkie obchodzi go tylko o tyle, o ile łzy „dodają wdzięku smutnej twarzy“. (*Madrigal triste*):

Sois belle! et sois triste! Les pleurs
Ajoutent un charme au visage,
Comme la fleuve au paysage.
L'orage rajeunit les fleurs.

Baudelaire nietylko nie roztkliwia się nad cudzą boleścią, ale rozkoszuje się nawet smutkiem bliźniego (jak wyżej):

Je t'aime surtout quand la joie
S'enfuit de ton front terrassé
Quand sur ton présent se déploie
Le nuage affreux du passé.

Łkania zdeptanej piersi działają na niego, jak „głęboki, rozkoszny hymn“ (jak wyżej):

J'aspire, volupté divine!
Hymne profond, délicieux!
Tous les sanglots de ta poitrine...

Ale dla kobiet upadłych, potępionych przez „plebejuszów“, znalazł gorące słowa pociechy (*femmes damnées*):

O vierges, ô démons, ô monstres, ô martyres
Charcheuses d'infini, dévotes et satyres...
Pauvres soeurs, je vous aime autant que je vous plains.

Co ludzie przeciętni, co „motłoch“ nazywa: zbrodnią, nikczemnością, brudem, zgnilizną, wszystko, słowem, przewrotne, złe i cuchnące wprawia wytwornego dekadenta w zachwyt. Jeden tylko pospolity bodziec życia wytrzymuje krytykę przed jego sądem straszliwym. Jest nim namiętność zmysłowa, raczej lubieżność. Do tej siły modli się gorąco (*La prière d'un païen*):

Ah! ne ralentis pas tes flammes:
Réchauffe mon coeur engourdi,
Volupté! torture des âmes!
Diva! supplicem exaudi!...
Volupté, sois toujours ma reine!

jej uciechy maluje starannie i po mistrzowsku, lubując się w szczegółach, pomijanych zwykle przez „plebejuszów“. Piewcą lupanaru nazywano go, gdy nie wiedziano jeszcze nic o „wykwintnych gustach“ dekadentów.

Wróg cnoty w rozumieniu pospolitem, staje Baudelaire zawsze po stronie zbrodni. Gdy mówi o Kainie i Ablu (*Abel et Kain*) drwi z ofiary, a sprzyja mordercy.

Modląc się, nie wyciąga Baudelaire ramion z błaganiem do Boga, lecz do szatana (*Les Litanies de Satan*):

O toi, le plus savant et le plus beau des Anges,
Dieu trahi par le sort et privé de louanges,
O Satan, prends pitié de ma longue misère.

* * *

O Prince d'exil, à qui l'on a fait tort,
Et qui, vaincu, toujours te redresses plus fort,
O Satan, prends pitié de ma longue misère! i t. d.

Tak wygląda „rzadki wytworniś“, „uczony artysta życia“, „arystokrata inteligencyi“. Nie jest to już pesymizm, chociażby schopenhauerowski, lecz zwyrodnienie psychologiczne i fizyologiczne. I rzeczywiście ścigały Baudelairea, zdenerwowanego używaniem haszyszu i opium, okrutne sny, dziwaczne halucynacye, niepokojące zwykle histeryków. Tak zwana anksimonia dopełnia jego sylwetki.

A jednak drzemały na dnie tej duszy przegniłej, strawionej przez raka ostatecznego zwątpienia i cynizmu, resztki tęsknot idealnych. Kiedy się u niego „w uśpionem zwierzęciu anioł przebudzał“ (*dans la brute assoupie un ange*

se réveille; — „*L'aube spirituelle*“), wówczas zanurzał się w tajemnicze fale mistycyzmu.

Jako rymotwórca posiadał Baudelaire talent niepospolity. Słowo tryskało z niego szumiącym potokiem, rymy zaś składały się same. Jest dużo siły i zwięzłości w jego „Kwiatach grzechu“. Tu i owdzie tylko zachwaścił poeta dykcyę wyszukanemi zwrotami i wyrazami, ale czynił to rozmyślnie, gdyż, zdaniem jego, powinni się „artyści życia“ różnić i pod względem formy od zwykłych robotników literackich.

Teofil Gauthier, mistrz i przyjaciel Baudelaire'a, tłómaczył sztuczność jego stylu w sposób następujący: *)

— Poeta „Kwiatów zła“ upodobał sobie ten rodzaj stylu, który nazywa się niewłaściwie stylem dekadencyi, a który jest w istocie stylem genialnym, złożonym, uczonym, pełnym odcieni i subtelności — sztuką, doprowadzoną do najwyższego stopnia dojrzałości, przepalonej pochyłemi promieniami słońc starzejących się cywilizacyi. Styl ten, rozszerzając ciągle granice mowy, czerpie ze wszystkich słowników fachowych, bierze barwy ze wszystkich palet, nuty ze wszystkich instrumentów muzycznych. Usiłuje on wcielić myśl nawet wtedy, gdy się ona niepochwytną wydaje, odtworzyć najmglistsze i najniewyraźniejsze zarysy formy — oddać subtelne zwierzenia newrozy, wyznania podstarzałej namiętności, przeradzającej się w rozpustę, i dziwaczne halucynacye, blizkie obłędu. Ten styl dekadencyi jest ostatnim wyrazem Słowa, zmuszonego wypowiedzieć wszystko, posuniętego aż do ostateczności.

Więc i styl dekadentów ma być czemś wykwintnem, nie dla każdego dostępnym smakołykiem. Wszakże mówi

*) Teofil Gauthier w Przedmowie do I-go tomu dzieł zbiorowych Baudelaire'a „Oeuvres complètes“ z r. 1884; str. 16 i 17.

Bourget wyraźnie **): „Rozkoszujemy się tem, co nazywacie (ma być: wy, gruboskurni, grubojęzyczni plebejusze) zepsuciem stylu, a biesiadując sami, sprawiamy równocześnie przyjemność wszystkim rafinowanym naszej rasy i naszej chwili (*des raffinés de notre race et de notre heure*).

Szerokiego, powszechnego rozgłosu doczekał się piewca „Kwiatów zła“ dopiero po śmierci (umarł w r. 1867). Wprawdzie naśladowała go gromadka parnasistów, rozebrawszy pomiędzy siebie jeszcze za życia mistrza pojedyncze części etyki i estetyki dekadenckiej, ale młody, butny, dorabiający się wówczas stanowiska (między r. 1860 a 1880) naturalizm z krzykliwym Zolą na czele usunął „artystów“ na plan ostatni. „Nauka“ przygniotła ciężarem swoim „sztukę“. Obrzydliwości Juliusza Barbey d'Aurevilly (*Un prêtre marié*, 1865 r.; *Les diaboliques*, 1874 r.), bluźnierstwa Villiers'a de l'Isle Adam i pornografia Katula Mendès'a, utonęły we wrzawie naturalistycznej, która trwała mniej więcej do r. 1880-go. W czasie tym pojawiła się na bruku paryzkim gromadka młodych ludzi, którzy postanowili pchnąć literaturę francuską na nowe tory. Zrazu poruszała się zapowiedziana reforma w zaczarowanem kole jałowych dysput, zabawiających nie publiczność, lecz tylko samych szampionów.

Przyszli mistrzowie schodzili się w kawiarniach dzielnicy łacińskiej i przepędzali tam całe dnie i połowę nocy przy piwie lub absyncie, rozprawiając *de omnibus rebus et quibusdam aliis*. Edmund Haraucourt, Emil Goudeau, Maurycy Rollinat, Wawrzyniec Tailhade, Karol Morice, Maurycy du Plessys, Jan Moréas, Anatole Baju, Gustaw Kahn, Juliusz Laforgue, Karol Figuier, Paweł Adam i w. in. czuli potrzebę jakiejś zmiany, ale nie zdawali sobie z początku

**) Paweł Bourget; jak wyżej str. 28.

sprawy z kierunku, który chcieli dorastającemu wskazać pokoleniu. Przybierali różne nazwy (hydropaci, dekadenci, symboliści, instrumentyści, delikwescenci, inkoherenci—*déliquescents*, *incohérents*), wydawali różne pisemka (*Lutèce*, *Décadent*, *Scapin*, *Chat Noir*, *Revue*, *indépendante Revue contemporaine* i in.), które wiodły żywot motyli, konając często po kilku, kilkunastu numerach, z tego jednak, co mówili i drukowali o sobie, nic można się było domyślić, dokąd właściwie zmierzają.

Powoli milkła wrzawa chaotyczna. Bezładne dysputy kawiarniane ustąpiły miejsca programowym artykułom i broszurom, nadeszły w końcu i dzieła, najwiarogodniejsze zawsze dokumenty szkół literackich.

Anatol Baju, jeden z głównych redaktorów czasopisma „Décadent", wydał w r. 1887 rodzaj manifestu p. t. „Szkoła dekadentów", z którego dowiadujemy się, że współczesny dekadentyzm ma być reakcyą przeciw naturalizmowi. „Było to w sierpniu 1885 r. — mówi Baju *) — kiedy ja i kilku moich przyjaciół, zrażeni do przedajnej, bezpłodnej i poziomej literatury Zoli, sprawiającej rozkosz tylko bezdusznemu filistrowi (*bourgeois sans âme*), narobiliśmy w imieniu wszystkich przyjaciół sztuki straszliwej wrzawy, którą pochwyciły i podawały dalej echa dwóch światów". — „Schyłek naszego wieku patrzył na rozkwit najniemoralniejszej z literatur. Naturalizm, rodzaj encyklopedyi nieosobistej, której cała zasługa polega na drobiazgowej analizie, prawdziwe zwierciadło zdemokratyzowanego społeczeństwa, nie posiadał nigdy idei podniosłych. Dla naturalistów jest świat olbrzymią maszyną automatyczną, ludzie zaś głupimi manekinami, poddającymi się bez oporu niezwal-

*) Anatole Baju: „L'école décadente"; wydanie II; 1887; str. 24, 5, 6 i 7.

czonym, fatalnym wpływom fizyologicznym". — „Skazany na monografię rzeczy (*condamné à la monographie des choses*), naturalizm był rozkoszą dla tych, którzy umieją patrzeć i czuć jedynie za pomocą zmysłów". — „Naturalizm mógł być tylko efemerydą; nie przedstawiał on cywilizacyi. Jego wybryki i tendencye pornograficzne sprowadziły reakcyę obecną. Dekadentom to przypadł zaszczyt utłuczenia (*broyer*) naturalizmu na miazgę i wytworzenia smaku lepszego, któryby się nie kłócił z nowoczesnym postępem". — „Naturalizm jest literaturą epoki żerowania, w której ludzie wszystkich warstw, torturowani przez żołądek, oddają się bez wyboru instynktom bydląt, jak to czynili cezarowie rzymscy po jakiejś potwornej i ohydnej orgii".—„Ale ludzie poznali się nareszcie na rzeczy. Ciężka senność niemocy i niesmaku unosi się nad ziemią. Człowiek uczciwy, zrozpaczony tryumfem grzechu i pokonany przez wszechpotęgę wrogiego przeznaczenia, upada znużony i odrętwiały".

Po takiej odprawie, danej naturalizmowi, należało się spodziewać, że Baju postawi jakiś programat idealny, że wskaże na epoki, w których „żołądek nie torturował człowieka", zmysły nie były jedynym przewodnikiem i doradcą, w których, słowem, dusza panowała nad ciałem. Ale teoretyk dekadentów paryzkich potępił materyalizm artystyczny nie dla jego pesymizmu. W rozdziale p. t. *Spleen moderne* skarży się i on na nikczemność chwili obecnej. Na nic zdały się — twierdzi — próby podniesienia moralnego poziomu motłochu. Wobec tego czuje człowiek oświecony głęboki niesmak, „nieuleczony spleen", straszniejszy od nudy cezarów rzymskich, bo przeklinający istnienie i wzywający na pomoc śmierć, nicość. Zdeptany świadomością niemocy, widząc się wplecionym w koło głupiego przeznaczenia, umysł wytworny obrzydza sobie życie i czuje potrzebę wypowiedzenia, wypłakania żalów sprawiedliwych. Te lamentacye i medytacye, smutne albo ironiczne, co zależy od usposobie-

nia danego autora, są właśnie, podług Anatola Baju, literaturą dekadentów.

— Literatura dekadentów *) „syntetyzuje“ ducha kwiatu inteligencyi społeczeństwa współczesnego. Mówiąc o sztuce, nie można uwzględniać wielkich mas, gdyż te nie myślą samodzielnie i przedstawiają jedynie cyfrę. Wysoka publiczność (*le haut public intellectuel*), czyli ta, o której warto pamiętać, której uznanie bywa uświęceniem, ma dosyć sztucznych wzruszeń, grubych wrażeń i banalnych umów wyobraźni ostatnich form literackich. Ta publiczność chce obecnie życia, prawdy.

Tak samo uczył Zola, ale dla niego, dla materyalisty, były „życiem“, „prawdą“ uciechy i szały pospolitego zwierzęcia. „Subtelniejszy“ Baju żąda, aby literatura odtwarzała obraz świata „chorego na spleen“ (*monde splénetique*).

Nic więc nowego, świeżego pod względem treści nie wniósł współczesny dekadentyzm francuski do literatury pięknej, wszystko bowiem, co nazywa swoją własnością, zaczerpnął z doktryny Baudelaire'a i jego bezpośrednich następców. Nie on, lecz Baudelaire wymyślił przecywilizowanych arystokratów inteligencyi, którym nie wystarczają „naiwne“ wrażenia wyobraźni romantycznej i „grube“ wzruszenia „uczoności naturalistycznej“. Już ator „Kwiatów zła“ śpiewał dla „wytwornych smakoszów“, nie trawiących bez asafetydy, dla zblazowanych rozkoszników, tak stępionych, że odczuwają tylko działanie narkotyków i cuchnących zapachów. „Literatura spleenu“ jest jego wynalazkiem.

Wiedzą o tem zresztą dekadenci współcześni, powołują się bowiem wszyscy nie na klasyków, encyklopedystów, lub romantyków, lecz na Baudelaire'a i jego uczniów. Od-

*) Anatole Baju; jak wyżej; str. 9.

dawszy na wstępie broszurki głęboki ukłon autorowi „Kwiatów zła“, jako mistrzowi mistrzów, Baju stawia na czele obecnego ruchu Juliusza Barbey d'Aurevilly i Pawła Verlaine'a, znacznie latami starszych od młodzieży, która wystąpiła po r. 1880-tym. „Nikt nie odtworzył z takim wdziękiem, jak Verlaine, owych złożonych i delikatnych wzruszeń duszy, niedostępnych dla niewykształconej części ludzkości“ — mówi Baju. A. Barbey d'Aurevilly „jest jedynym pisarzem stulecia, olbrzymem w porównaniu z Wiktorem Hugo“. *)

Oprócz osobnego światopoglądu, posiadają dekadenci także własną estetykę.

Anatol Baju uczy: „Żadnych opisów; należy się domyślać rzeczy znanych. Wystarcza najzupełniej odręczna (*rapide*) sytuacya, odtwarzająca wrażenia przedmiotów. Nie potrzeba malować; dość, gdy się daje sercu wrażenie rzeczy (*la sensation des choses*) bądź za pomocą nowych konstrukcyj, bądź też przez symbole, wywołujące idee z większą wyrazistością, niż porównanie. Człowiek współczesny, który widział, wie wszystko i doświadczył wszystkiego, domaga się wrażeń nowych. Przywykły do pośpiechu, sprawiającego zawrót głowy, pragnie użyć dużo w czasie krótkim. Nie ma on już cierpliwości do odczytywania długich powieści wypadków (*romans d'aventures*) i nie kończących się nigdy opisów“. **)

Rzeczą sztuki nie jest, podług René Ghil'a, odtwarzanie natury, lecz wywoływanie wrażeń i stanów duszy za pomocą symbolów. Skutek ten osiąga t. zw. instrumentacya poetycka, polegająca na wyszukiwaniu podobieństwa między głoskami i barwami, barwami i dźwiękami. Kto czuje du-

*) Anatol Baju; jak wyżej; str. 19.

**) Anatole Baju; jak wyżej str. 10.

szę głosek, ten wie, że odpowiadają one zawsze pewnym kolorom. I tak jest: *A* czarne, *E* białe, *I* błękitne, *O* czerwone i t. d. Artysta nie ma potrzeby troszczyć się o ład i sens, wystarcza bowiem, gdy zestawi słowa w taki sposób, żeby zadziwiły czytelnika symbolicznością obrazów i jaskrawością stylu. Marzeniem Ghil'a *) jest pomieszanie rodzajów poezyi (wymownej, plastycznej, malarskiej i muzycznej), bez zachowania jakiegokolwiek porządku. (*toutes encore au hasard*).

Przedewszystkiem muzyka! — woła Verlaine. Unikaj starannie barw wyrazistych,jaskrawych, a maluj łagodnemi, przejściowemi tonami. Zacieraj kontury szorstkie, a staraj się o formy miękkie, zaokrąglone. Nie ma nic rozkoszniejszego nad szarą pieśń, w której się niepewne łączy z dokładnem. Stopniowanie powinno być celem poety. „Piękne oczy po za welonem — Pełny dzień, drżący w żarach słońca południowego—Błękity jesiennego, ciepłego nieba, opromienione obfitością jasnych gwiazd" (*L' Art Poétique*).

C'est des beaux yeux derrière des voiles,
C'est le grand jour tremblant de midi.
C'est, par un ciel d'automne attiédi,
Le bleu fouillis des claires étoiles.

Maurycy Maeterlinck, wielbiony od pewnego czasu mistrz symbolistów, twierdzi, że „Autor szczery, czyli ten, który czerpie bezpośrednio z istoty rzeczy, zamiast żyć wyłącznie nowemi tylko kombinacyami pozorów, nie jest nigdy ciemny, bo sam siebie zawsze rozumie, a nawet powiada więcej, aniżeli mówi. Musi się jednakże wydawać ciemnym, bo istnieje tylko o tyle, o ile daje coś niespodziewanego. **)

*) René Ghil; „Traité du Verbe"; 1887 r. str. 36.

**) Maurycy Maeterlinck; „Ruysbroeck l'Admirable" w „Revue génerale"; październik i listopad 1889 r.

Gustaw Kahn domaga się od sztuki symbolicznej (*l'art symbolique*), aby „wcieliła w szeregu dzieł jak najdokładniej wszystkie zmiany i odcienia duchowe poety, natchnionego celem, jaki sobie sam wyznaczył. W pierwszych dziełach swoich winien twórca w formie już symbolicznej odtworzyć poszukiwanie prawdy artystycznej (*la vérité de l'art*). Jego książki z epoki dojrzałej mają zawierać świadomość prawdy, ostatnie zaś hipotezę prawdy następującego pokolenia. *)

Karol Morice wreszcie, filozof i teoretyk symbolistów, dopełnia chaosu gadaniny dekadenckiej: „Pomiędzy nauką a sztuką zachodzi ta różnica — uczy **) — że pierwsza jest postępującą (*successive*), druga zaś intuicyjną, natychmiastową (jako skutek) i współczesną. Dzieło sztuki powinno być wyrazem chwili, poetą zaś jest tylko ten, dla którego istnieje czas teraźniejszy. Wiem dobrze, że powieść nie może się obyć bez psychologii, ale czemże właściwie jest powieść? Rozkładem ona epopei, niczem więcej, epopeja zaś jest znów tylko literaturą narodów niemowlęcych. Psychologia tworzy most między naturalizmem a symbolizmem, ale na moście nie mieszka nikt. Przez mosty się przechodzi. Co do symbolizmu, jest on połączeniem przedmiotów, które wywołały w nas uczucia, i naszej duszy w fikcyi i t. d.

I tam dalej, czytelnik bowiem, nieobeznany z żargonem dekadentów, z ich „symbolami“, nie dowie się niczego z definicyi doktrynerów i autorów szkoły. Języka ich trzeba się uczyć, jak wolapücku lub chińszczyzny, znaczenia ich zawiłej frazeologii trzeba się domyślać — podkładać trzeba treść pod słowa, przeznaczone dla „arystokratów ducha“.

*) Juliusz Huret: „Enquête sur l'Evolution littéraire“; r. 1891; str. 394.

**) Juliusz Huret: jak wyżej; 84 i 85.

Nowych proroków nie obchodzi nic „staroświecka“ składnia, dobra dla „plebejuszów“, nieporządny szyk słów i logika języka. Im się kto ciemniej, zagmatwaniej wyraża, tem szczerszy podziw budzi między „wtajemniczonymi“. Za najgenialniejszego symbolistę, za wyższego od Szekspira, uchodzi obecnie Maeterlinck, „mówiący więcej, aniżeli powiada“.

Odrzuciwszy niezrozumiałą gadaninę, zwroty pozornie uczone, „głębokie“, „symboliczne“ dostrzeżemy na dnie estetyki poetów dekadenckich karykaturę doktryny parnaseizmu. Jak Gauthier, Baudelaire, de Banville, Mendès i in., nie uznają i dekadenci jakiejkolwiek celowości sztuki, oddzielając ją stanowczo od życia. Nie prawda lub moralność są duszą dzieła artystycznego, lecz jedynie piękno, bez względu na jego treść.

Przedmiot taki lub inny nie powinien krępować artysty. Czy to będzie but, sprzęt, krajobraz, człowiek, ścierwo, trup, wrażenie chwilowe lub też historya bohatera, morze, burza, rozpacz, senne przywidzenie i t. d.—rzeczą obojętną, byle się temat nadawał do wywołania efektu, byle zadziwił słuchacza czemś niespodziewanem.

Z tego samego założenia wychodzą zwolennicy formułki „sztuka dla sztuki“ wszystkich czasów i narodów, ale w epokach zdrowych, posiadających właściwe pojęcie piękna, równoważy wszechstronność talentów, jednostronność teoryi. Artysta szerokiej głowy i dużego serca nie zamknie się nigdy w ciasnych granicach pewnej doktryny, choćby w nią jak najgoręcej wierzył, ogarnia bowiem zawsze całokształt zjawisk zewnętrznych i wewnętrznych.

Nie tak dekadenci. Dla nich, dla dzieci niewiary i ostatecznego zwątpienia, ginie cała dodatnia, jasna strona piękna, jego wonie i blaski. Chorzy fizycznie i moralnie, patrzą na świat i ludzi przez szkła starganych nerwów i zużytych zmysłów. Ich piękno różni się tak od piękna istotnego, jak niespokojne drganie dogorywającej lampy od

światła słonecznego, jak majaki histeryka od zapałów duszy natchnionej. Już Baudelaire szukał pobudek do wywoływania efektów artystycznych głównie w brudzie i nikczemności, a jeżeli zatęsknił czasem za ideałem, to były to zawsze tylko wyrzuty sumienia (*l'idéal rongeur*) i wściekłe wybuchy lubieżnika, rozgniewanego na brak ustosunkowania między pożądaniami a siłami człowieka-zwierzęcia (*la disproportion de son désir et de sa puissance*). Gdyby dekadent mógł, bez narażenia się na choroby i na przesyt, używać rozkoszy zmysłowych od świtu do nocy, przez długi szereg lat, gdyby niepotrzebował nastrajać porwanych nerwów narkotykami, byłby optymistą, wielbicielem „najlepszego ze światów", rzadko bowiem odzywają się w bluźnierstwach zrozpaczonych chwili obecnej skargi na ograniczoną świadomość, na zakryte cele rodu ludzkiego.

Z lutni Baudelaire'a płynęły same zgrzyty. Zgrzyty też jedynie rozbrzmiewają w literaturze jego następców. Piękno dekadentów, zgorszonych pornografią i brutalnością naturalizmu, jest, mimo tego oburzenia, albo parnografią, albo bluźnierstwem.

Jak parnasiści, nie raczą i dekadenci śpiewać dla „motłochu", którym gardzą, co im wcale nie przeszkadza starać się o względy „plebejuszów". Znają się oni na reklamie dziennikarskiej jeszcze lepiej od Zoli, najzdolniejszego kupca między współczesnymi znakomitościami literackiemi.

Wrzekoma pogarda dla motłochu ułatwia dekadentom technikę. Ponieważ piszą, jak twierdzą dla ludzi, którzy, wiedząc i znając wszystko, nie potrzebują ani plastycznie odtworzonych obrazów, ani jasnego stylu, gdyż umieją się domyślić rzeczy niedopowiedzianych, przeto troszczą się bardzo mało o właściwy artyzm formy, polegający wszędzie i zawsze na dobrej kompozycyi, na wyrazistości charakterów i scen i na poprawności dykcyi. Zamiast pracować systematycznie, ze świadomością prawideł artystycznych, de-

kadenci bawią się swoim i cudzym kosztem, nie inaczej bowiem należy nazwać ich „instrumentacyą poetycką“, ich melodyjność i barwność głosek, ich symbolizm w końcu.

Kiedy Baudelaire chce w „Latarniach morskich“ (*Les phares*) wytworzyć za pomocą symbolów wrażenie talentu Rubensa:

> Rubens, fleuve d'oubli, jardin de la paresse,
> Oreiller de chair fraîche où l'on ne peut aimer,
> Mais où la vie afflue et s'agite sans cesse,
> Comme l'air dans le ciel et la mer dans la mer —

albo Leonarda de Vinci:

> Léonard de Vinci, miroir profond et sombre,
> Où des anges charmants, avec un doux sourire
> Tout chargé de mystère, apparaissent à l'ombre
> Des glaciers et des pins qui ferment leur pays —

wówczas nadużywa wprawdzie przenośni, dobiera sztucznych, wyszukanych, dalekich podobieństw, ale nie mówi od rzeczy, nie zestawia wyrazów bez związku i znaczenia. Jego „wrażenie“ Rubensa, Leonarda da Vinci, Michała Anioła i in. zgadza się rzeczywiście z istotą właściwości wymienionych malarzów.

Ale gdy Maurycy Maeterlinck „śpiewa“ w „Cieplarni“ (*Serres chaudes*) następnie: „O, cieplarnio w pośród lasów! Twe podwoje na wieki zamknięte! I wszystko, co się znajduje pod twą kopułą! I pod moją duszą analogiczną! Myśli głodnej księżniczki; nudy żeglarza w pustyni; muzyka na dętych instrumentach pod oknami nieuleczalnych. Idźcie w zakątki najcieplejsze; powiedzianoby, że kobieta zemdlała w dzień żniwa; są pocztylioni na podwórzu szpitala; zdala przechodzi strzelec łosiów, który został dozorcą chorych i t. d.

O serre au milieu des forêts!
Et vos portes à jamais closes!
Et tout ce qu'il y a sous votre coupole!
Et sous mon âme en vos analogies!

* * *

Les pensées d'une princesse qui a faim,
L'ennui d'un matelot dans le désert.
Une musique de cuivre aux fenêtres des incurables.

* * *

Allez aux angles les plus tièdes!
On dirait une femme évanouie un jour de moisson.
Il y a des postillons dans la cour de l'hospice.
Au loin, passe un chasseur d'élans, devenu infirmier —

wtedy nie wiadomo, czy autor oszalał, czy też tylko zadrwił z ludzi. Prawdopodobnie chciał się zabawić kosztem głupców, gdyż jako prawnik, jako adwokat z zawodu, uczył się chyba logicznego myślenia i porządnego spajania zdania ze zdaniem.

To samo odnosi się i do „instrumentysty", Artura Rimbaud, który zastosował praktycznie teoryę René Ghil'a o barwności głosek. W sonecie *Voyelles* „śpiewa" Rimbaud, jak następuje: *A* czarne, *E* białe, *I* czerwone, *U* zielone, *O* błękitne, samogłoski — opowiem ja kiedyś wasze skryte pochodzenie, *A*, czarny kosmaty gorset z much błyszczących—które brzęczą wokoło straszliwych smrodów—Zatoki ocienione; *E*, prostota tumanów i namiotów, — Strzały dumnych lodowców, biali królowie, dreszcze baldaszków: — *I*, purpura, krew wypluta, śmiech ust pięknych w gniewie albo w upojeniu pokutnem i t. d.

A noir, *E* blanc *I* rouge, *U* vert, *O* bleu, voyelles,
Je dirai quelques jours vos naissances latentes.
A, noir corset velu de mouches éclatantes
Qui bombillent au tour des puanteurs cruelles.

* * *

Golfes d'ombre, *E*, candeur des vapeurs, et des tentes.
Lances des glaciers fiers, rois blancs, frissons d'ombelles;
I, pourpre, sang, craché, rire des lèvres belles
Dans la colère ou les ivresses pénitences.

Ani poemat „symbolisty“ Maeterlincka, ani sonet „instrumentysty“ Rimbauda nie mówią, nie znaczą nic, nie mają sensu, wyrażając się językiem „plepejuszów“, ale nie o to idzie, bo dzieło sztuki—uczą dekadenci—nie potrzebuje zawierać treści, byleby wywołało „wrażenie“, bez względu na środki, za których pomocą dochodzi się do owego wrażenia. Niewtajemniczony zapyta, jakie mianowicie wrażenie wywołuje bezładne zestawienie niemądrych frazesów Maeterlincka, na co ma jego „poemat“ działać: na rozum, na wyobraźnię, uczucie, smak, powonienie, na słuch, czy wzrok? Po odpowieź trzeba się odnieść do samego autora, który „siebie zawsze rozumie i mówi więcej aniżeli powiada“.

Dekadenci, udający reformatorów, proroków idących pokoleń, doprowadzili doktrynę parnasczizmu do możliwych krańców, do karykatury. Z formy, postawionej po nad treść, wykroili „instrumentacyę poetycką“, czyli melodyjność wyrazów, złączonych z sobą dla samej dźwięczności pewnych zgłosek. O tej harmonii, o tej muzykalności zewnętrznej wiedział już Teodor de Banville, a zastosowywał ją Mendès. Ale parnasiści, chociaż poświęcali treść dla formy, nie zapominali mimo to o niej nigdy. Baudelaire wiedział zawsze, czego chciał; myślał potwornie, chorobliwie, ale myślał. To samo Barbey d'Aurevilly, Villiers de l'Isle Adam i najczęściej Verlaine. Epigoni mistrzów zadawalniają się już tylko „muzyką“ zgłosek i głosek, co ma być najwyższą rozkoszą dla „wykwintnych uszu“.

Dekadenci zachwycają się między innemi elukubracyą Maeterlincka p. t. *Ennui*.

Les paons nonchalants, les paons blancs ont fui,
Les paons blancs ont fui l'ennui du réveil,
Je vois les paons blancs, les paons d'aujourd'hui,
Les paons en allés pendant mon sommeil,
Les paons nonchalants, les paons d'aujourd'hui
Atteindre indolents l'étang sans soleil,
J'entends les paons blancs, les paons de l'ennui
Attendre indolents les temps sans sommeil.

Ciągłe powtarzanie zgłosek nosowych: *on*, *an*, *aon*, *en*, *ein*, w połączeniu z dźwiękami miękkiemi: *eil*, *ui* ma wywoływać „wrażenie“ senności, nudy powolnego rozkołysania.

Tym samym środkiem posługują się wszyscy dekadenci. Gdy chcą wyrazić jednostajność czegoś, wówczas powtarzają ten sam dźwięk kilkanaście razy.

„Sztuczką dla sztuczki“ stała się w ręku dekadentów „sztuka dla sztuki“ parnasistów, zwyrodnioną, śmieszną kopią doktryny: Gauthier'a, Baudelaire'a i de Banville'a.

Paweł Bourget, dopełniając definicyi Gauthier'a i Baudelaire'a, odnoszącej się do stylu dekadentów, mówi bardzo słusznie *): W stylu dekadentów rozpada się książka na strzępy. Rozdziały ustępują miejsca stronnicy, stronnica zdaniu, zdanie wyrazowi.

Znaczy to: dekadentyzm jest rozkładem tak treści, jak formy. W epokach upadku panuje powszechny chaos: pojęć filozoficznych, moralnych, życiowych i artystycznych. Człowiek przestaje w takich chwilach myśleć prawidłowo, czuć po ludzku, wyrażać się zrozumiale. Władze umysłowe dekadenta tracą zdolność natężenia, potrzebnego do zbudowania jednolitego dzieła. Jego styl zbliża się do nieudolnej mowy dziecka, starca lub obłąkanego.

Nowsza poezya francuska straciła do tego stopnia poczucie, kompozycyi, że nie zdobyła się nawet na pełny typ

*) Paweł Bourget; jak wyżej; str. 25.

dekadenta. Dopiero wzgardzona przez Morice'a powieść zebrała poszczególne rysy rozbitka drugiej połowy bieżącego stulecia i zlepiła z nich postać, która przetrwa w historyi literatury jako odstraszające świadectwo obłędu chwili obecnej. Z fantazyi Huysmans'a wylągł się ów potwór, ów „rzadki wytworniś"—przedstawiciel zwyrodnionych gustów przecywilizowanych „wybrańców" naszych czasów.

Karol Jorris Huysmans należał przez pewien czas do najgorliwszych zwolenników Emila Zoli, redagował nawet w r. 1880 tygodnik naturalistyczny p. t. *La Comédie humaine, organe du naturalisme.* Pierwsze jego powieści (*Le drageoir aux épices* 1874; *Marthe* 1875; *Soeur Vatard* 1879 i in.) zachwyciwszy „uczonych artystów", zdobyły mu zaszczytne miejce między dworzanami „mistrza z Medanu". Głównie „Martę", stek niechlujstwa, powitano w obozie naturalistycznym z krzykliwą radością.

Nagle, niespodziewanie, bez żadnych powodów sprzeniewierzył się Benjaminek materyalizmu artystycznego programowi szkoły i upodobał sobie ponury geniusz Baudelaire'a. Zwrotowi temu zawdzięcza literatura francuska wykończony, zaokrąglony typ dekadenta, która zapewni Huysmansowi trwałą rubrykę w historyi obłędów drugiej połowy bieżącego stulecia.

Bohater znanej powieści Huysmansa p. t. „Na wspak" (*A rebours* 1884 r.), książę Jan des Esseintes, straciwszy w młodości większą część fortuny na hulaki i zraziwszy się do świata, który „składa się w znacznej części z łotrów i głupców", kupił sobie za resztki majątku na prowincyi dom i zamienił go na „artystyczną Tebaidę", na wygodną „pustelnię" dla człowieka, zmęczonego podłością motłochu.

„Plebejusz", urządzając sobie *Tusculum*, byłby się starał otoczyć pięknem naturalnem (parkiem, lasem, polami, łąkami, rzeczką i t. d.). Nie tak „arystokrata inteligencyi".

Bo i cóż oryginalnego w grupie drzew, w bezmyślnej masie fal, w jednostajnych błękitach nieba? Na takie zbytki może sobie pozwolić każdy chłop, robotnik.

Des Esseintes, wróg natury, jak Baudelaire, zamknął się przedewszystkiem wśród czterech ścian, wychodząc bardzo rzadko na słońce i powietrze. W salę jadalną, podobną do kajuty okrętowej, kazał wbudować, wsunąć drugi, mniejszy pokój i wypełnić przestrzeń między ścianami wodą, zaludnioną rybami z blachy. Z blachy, bo ryby żywe może oglądać pierwszy lepszy dureń.

Gdy się książę chciał zabawić, wówczas wpuszczał do owego sztucznego morza po kilka kropli różnobarwnych esencyj. Żółte, zielone, jasne i ciemne farby, zmieniając kolor wody, naśladowały prądy i falowanie. Dekadent wystawiał sobie wtedy, że znajduje się na pokładzie okrętu i wdychał z rozkoszą zapach dziegciu, rozwianego za pomocą rozpylacza po „kajucie“. Każdy mniej „wytworny“, spragniony wrażeń żeglugi morskiej, udałby się poprostu na statek, ale tak gminnej przyjemności, dostępnej dla lada majtka, nie mógł pożądać „uczony smakosz życia“. Czemże bowiem różniłby się wówczas od pospolitego filistra?

Des Esseintes lubił także muzykę, lecz oczywiście nie ową zwyczajną. Podczas, kiedy plebejusze słuchają uszami, on, arystokrata, posługiwał się do tej czynności językiem. Smak działał u niego tak samo, jak u ludzi „grubych“ słuch, powonienie zaś pełniło funkcyę wzroku.

Dekadent Huysmansa ustawił sobie w pokoju beczułkę, napełnioną różnemi likworami. Gdy zatęsknił za muzyką, wówczas pił z każdej buteleczki po kilka kropel i doznawał takich samych wrażeń, jak *bourgeois*, słuchający koncertu. Miętówka i anyżówka łaskotały jego podniebienie, jak tony fletu; kirsz łomotał w jego głowie, do wrzaskliwej trąby podobny; wisky udawał piston, kimel oboje, kirasao klarynet, gorzka wódka kontrabas i t. d.

Ponieważ plebejusze sypiają w nocy, a pracują w dzień, przeto czuwał de Esseintes do rana, a kładł się dopiero wtedy, kiedy się inni budzą. Jeść nie lubił, gdy go jednak głód przemógł, wówczas starał się o pokarmy „nadzwyczajne“. Używał tylko napojów wyszukanych, tłuszczów szczególnych; pieczeń maczał w herbacie, cukier posypywał pieprzem i t. d. Sprzykrzywszy sobie przyjęty powszechnie sposób odżywiania (przez usta), karmił się w końcu na wspak, za pomocą klysterów.

Widoku ludzi nie znosił, zrażony raz na zawsze do ich „podłości i głupoty“. Nawet służbie nie wolno było stawać przed oczami pana. Ilekroć się des Esseintes wypadkiem z jakim człowiekiem spotkał, starał się zawsze bliźniemu dokuczyć. Przyjaciela swojego, pana d'Aigurande, który go się radził, czy ma się ożenić, zachęcał szczerze do zawarcia ślubów małżeńskich. Ponieważ ani d'Aigurande, ani jego narzeczona nie posiadają majątku — filozofował — przeto muszą z takiego związku wyniknąć nieprzyjemności, zawody, rozczarowania. Innym razem prosił go na ulicy jakiś wyrostek o ogień do papierosa. Książę nietylko nie odmówił chłopcu grzeczności, lecz wziął go nawet z sobą do kawiarni, częstował gorącemi trunkami, następnie zaprowadził do domu publicznego, gdzie otworzył mu kredyt trzymiesięczny. Gdy go właścicielka lupanaru zapytała, dlaczego gorszy niewinne dziecko, odpowiedział: Ten chłopiec, gdyby został w swojem otoczeniu, mógłby się nie zepsuć, a mnie idzie o to, aby było między ludźmi jak najwięcej łotrów, „wrogów ohydnego społeczeństwa, które nas depcze“. Mój protegowany, zasmakowawszy w przyjemnościach, przechodzących możność jego środków finansowych, będzie niezawodnie później kradł, a może i mordował.

Żegnając się z chłopcem, dał mu książę następującą radę na drogę życia: Jeżeli chcesz zajść daleko, czyń drugiemu zawsze to, czego sobie dla siebie nie życzysz...

Oto ideał dekadenta... Gdy taki pan siedzi na tronie, jak Neron, wówczas pali Rzym, bawi się w aktora, zabija matkę i żony, zaślubia rzezańca. Pozbawiony władzy, robi z siebie karykaturę zdrowego człowieka, śmiesznego pokrakę fizycznego i moralnego i woła podaremnie, jak des Esseintes: Przepadnij nareszcie, umrzyj, stary świecie!...

Zdawałoby się, że po „bohaterze“ Huysmansa trudno wymyślić postać wstrętniejszą. A jednak dokazał tego cudu Maurycy Barrès, należący do najmłodszych beletrystów, francuskich. W porównaniu z typami tego dekadenta zasługują lubieżnicy, bluźniercy i szaleńcy: Baudelaire'ów, d'Aurevilly'ch, Verlaine'ów, Huysmans'ów jeszcze na współczucie.

Współczucie? Możliwe-ż ono?

Des Esseintes zdziwaczał głównie dlatego, że zraził się do „nikczemności życia, do głupoty i podłości człowieka“ Wykrzyknik: „Umrzyj, stary świecie!“ wyrywa z niego nienawiść do porządku, który uważa za zły, przewrotny. W innych czasach, w epoce wiary i nadziei, podniósłby się może do wyżyn bohatera lub świętego ascety, o czem, między innymi, Verlaine w chwilach opamiętania marzy. Ale „wybrańcy“ Barrèsa pozostaliby zawsze brutalnymi egoistami bez zapałów i szerszych polotów. Przypominają oni wszyscy *mutatis mutandis* Juliana Sorel'a Stendhala (*Rouge et noir*), ordynaryjnego dorobkowicza, którego ideały i filozofią streszcza jedno słowo: używanie!

Stendhal należy do „zapoznanych“ swojego czasu. Pominęli go współcześni jako pisarza, lekceważyła go krytyka romantyczna, nie liczyli się z nim historycy w pierwszej połowie bieżącego stulecia. Na światło dzienne z zapomnianego grobu wydobył go dopiero pozytywizm artystyczny, odnalazłszy w nim druha, poprzednika, mistrza.

I nie mylili się „uczeni artyści“, zaliczając Stendhala między swoich. Autor „Czerwonego i Czarnego“ i „Kla-

sztoru Kartuzów w Parmie“ (*La chartreuse de Parmè*) nie zbuntował się razem z rówieśnikami swoimi przeciw samowładztwu rozumu. W chwili, kiedy inni, znużeni jedno, stronnością doktryn XVIII wieku, odwrócili się od encyklopedystów, Stendhal został wiernym wyznawcą: Condorcetów, Lamettrie'ch, Chamford'ów, prządł dalej nić przez nich zadzierżgniętą i do połowy splecioną. Nie wyprzedził on czasu, jak twierdzi Taine, Zola i naśladowcy ich, lecz nie ruszył się poprostu z miejsca, ulegając do śmierci wpływom pierwszej młodości. Rewolucya monarchiczna przeszła po nim bez śladu.

Julian Sorel Stendhala (*Rouge et noir*) syn chłopa, dyszy żądzą używania. Odurzony powodzeniem Napoleona I i jego marszałków, wyrzuconych przez wojnę z suterenów społecznych na najwyższe szczeble drabiny towarzyskiej, chciałby błyszczeć, rozkazywać i opływać w dostatki. Zmienione jednak warunki przestały sprzyjać otwartym ambicyom. Sorel, którego młodość przypadła na czas Restauracyi, nie mógł mieć nadziei wydobycia się na wierzch przez czyny dzielności osobistej. Chcąc dojść do wymarzonego celu, trzeba było zmienić metodę postępowania.

I zmienił ją bohater Stendhala bez długiego namysłu. Zamiast środków jawnych, używał skrytych, podstępnych. Odwagę zastąpił chytrością, śmiałość obłudą. Noga powinęła mu się w końcu—padł, skończył karyerę sromotnie, bo na szafocie, ale użył w krótkiem życiu miłości, dostatków i zaszczytów. Syn chłopski, bez szerszego wykształcenia i zasługi, bez trudów i ofiar lat wielu, pozyskał serce pani de Rênal, rękę margrabianki de la Mole i był na drodze do godności wojskowych i dyplomatycznych.

Rouge et noir Stendhala nie jest krytyką samolubnego, bezwzględnego dorobkowicza, lecz, przeciwnie, jego obroną.

„Silnym“, podziwu godnym wydaje się autorowi podstępny Sorel, filozofujący w więzieniu, jak nowoczesny ry-

cerz używania. „Nie ma wcale praw przyrodzonych — mówi Julian do siebie w obliczu śmierci *) — słowo to jest starem głupstwem, którem się chętnie posługuje prokurator, oskarżający mnie onegdaj, a którego dziad wzbogacił się podczas konfiskaty za Ludwika XIV. Prawo powstaje pod groźbą kary, przedtem zaś naturalną jest tylko siła lwa, głód, chłód, wszelki niedostatek. Ludzie wysoce poważani są to oszuści, których nie zdołano złapać na gorącym uczynku. Ja popełniłem zbrodnię i jestem słusznie karany, lecz Valenod, który mnie skazał, jest stokroć szkodliwszym dla społeczeństwa".

Echa moralności niezawisłej i antropologii kryminalnej, które są znów echami filozofii encyklopedystów, słyszymy w tem wyznaniu „lwa" stendhalowskiego. Bo za lwa uważa się chytry lis, nędzny parweniusz, pożerany przez „chłodną namiętność wydobycia się na wierzch (*de parvenir*"). Autor nie odtworzył tego typu dla odstraszenia nieuprawnionych pyszałków od naśladownictwa, dla zohydzenia karyerowiczowstwa. Przyznał się on nawet z cynizmem dekadenta do podobieństwa z Sorelem.

Nic dziwnego, że materyaliści artystyczni drugiej połowy bieżącego stulecia przypomnieli sobie starszego współwyznawcę, wzgardzonego przez entuzyastyczne pokolenie romantyczne, że oczyścili go z pleśni i kurzu i postawili na świeczniku. Wychowanie encyklopedystów jest prawowitym przodkiem nietyle naturalistów, ile dekadentów. Maurycy Barrès może go ojcem swoim nazwać.

W głównych powieściach, czy studyach Barrèsa, bo nie wiadomo, jak nazwać jego utwory, lekceważące rozmyślnie zasady techniki artystycznej, w *Le jardin de Bérénice* 1891 roku, *Un home libre* 1892 i *L,ennemi des lois* 1893 r.

---

*) Stendhal; *Rouge et noir*; w przekładzie polskim Ostoi; 1889. tjs. 365.

powraca ten sam typ. Jest nim człowiek „wolny“, „bez przesądów“, wróg przyjętych powszechnie zasad moralnych, zwyczajów i obyczajów, jak już same tytuły wskazują — kopia Juliana Sorela, z tą tylko różnicą, że występuje zuchwalej i świadomiej, udając uczonego, który wciela teorye mistrzów ostatniej epoki.

Nie syn chłopski marzy u Barrèsa o życiu i użyciu lecz zwykle, „młody, pyszny, zmysłowy *bourgeois*“, trawiony żądzą rozkoszy i niezależności. Staje on do walki o byt, uzbrojony w nienawiść do porządku obecnego i w zasady etyki materyalistycznej. Wierząc, że egoizm jest najwyższem prawem, regulującem postępowanie ludzkie, żąda, aby się społeczeństwo dostosowało do jednostki, za jedyną bowiem rzeczywistość uważa człowieka. Reszta, świat cały, zasługuje tylko na nazwę dekoracyi. Mędrzec bez przesądów, wolny, posiadający odwagę swoich przekonań, nie powinien gwałcić naturalnych, wewnętrznych popędów, którym należy zostawić pełną swobodę. Barbarzyńcą jest, kto staje na drodze słusznych apetytów jednostki.

Bohaterowie Barrèsa, wyznając takie zasady, urządzają się w życiu rzeczywiście jak najwygodniej. Jeden z jego ulubieńców, Andrzej Maltère (*L'ennemi des lois*) rozpoczyna karyerę od artykułu anarchicznego, za który dostaje się przed kratki sądowe. Gdy mu prokurator wyrzuca zgorszenie publiczne i brutalny egoizm, oświadcza Maltère, między innemi, co następuje: „Mógłże-bym jako człowiek wolny spełnić moje zadanie, szanować i poprzeć wewnętrzne popędy, nie szukając rad na zewnątrz? Absolutna niezależność, życie wygodne, zupełna harmonia z żywiołami, z innymi ludźmi, z własnem marzeniem, oto cel mój, którego chcę dopięć“. — Nazywacie mnie egoistą? „Jeżeli egoizmem ma być chęć zadowolenia potrzeb, to jestem egoistą, ale w tem rozumieniu jest każda komórka natury także egoistą. Im człowiek silniejszy, tem większym bywa egoi-

stą". Zapytany przez sędziów, coby postawił na miejscu porządku, który podkopuje, odpowiada Maltère: „Nie wiem, chociaż chciałbym wiedzieć... Należę do pokolenia, które warte jest tylko tyle, ile rozumie i burzy. *)

Zdawałoby się, że taki pan poświęci życie dobru powszechnemu, że będzie walczył za swoje przekonania, aż nie padnie gdzie na jakiej barykadzie. Ale Maltère, trzeźwiejszy od fanatyków, wychowanych przez romantyzm, skończył działalność publiczną na artykuliku dziennikarskim. Na co miał się dalej trudzić, kiedy garść frazesów, rzuconych przed sędziów i ciekawą wszelkich skandalów gawiedź, dała mu z łaski autora to, czego od życia pragnął?

Między wielbicielami „śmiałego anarchisty" znalazły się dwie kobiety. Jedna z nich cudzoziemka, „mała księżniczka", jak ją Barrès nazywa, ofiarowała Maltère'owi miłość, druga, panna Klara Pichon-Picard, córka znanego profesora ze szkoły pozytywnej, oddała mu rękę i dość znaczny majątek... aby „reformator" mógł swobodnie nad przyszłemi losami ludzkości medytować. Maltère nie namyślał się ani przez chwilę: od „małej księżniczki" wziął miłość, od panny Picard zaś pieniądze, czyli niezależność i próżniactwo.

Aby się godnie do stanu małżeńskiego przygotować, udał się przed ślubem z kochanką do Wenecyi, gdzie przepędził kilka szczęśliwych miesięcy. Narzeczona nie protestowała przeciw tej potrzebie serca „człowieka wolnego" i ona bowiem pozbyła się „przesądów". Córka uczonego pozytywisty, sama chciwa i „ciekawa" wiedzy, była panna Picard do tego stopnia wyższą po nad wszelkie „śmieszności i wstydliwości" zgasłych pokoleń, że nietylko niezazdrościła

*) Maurycy Barrès; „L'ennemi des lois"; wydanie III; 1893 r.; str. 22, 23, 25.

„małej księżniczce“ miłości Maltère'a, ale gdy mąż jej zatęsknił wkrótce za kochanką, poddała się bez „śmiesznych skarg“ konieczności. „Wracaj do przyjaciółki“! — wyrzekła, zrozumiawszy „oryginalność“ natury „wolnej“.

— Wykrzyknik szczytny (*cri sublime!*), przeczucie nowego świata! — woła w tem miejscu Barrès. — Pani Maltère zwyciężyła prawo! *)

Żyli sobie tedy szczęśliwie w trójkę: mąż, żona i kochanka, wziąwszy do towarzystwa ukochanego przez wszystkich psa. Nie zastanawiali się już nad „nikczemnością obecnego porządku“, nie szukali dróg i środków do uszczęśliwienia ludzkości, nie skarżyli się na nędzę wędrówki doczesnej. Nauczywszy się od Tolstoja, że człowiek powinien żyć na wsi, opuścili Paryż i zamieszkali wśród drzew i kwiatów. Jak Stendhal Sorela, tak tłómaczy i uniewinnia i Barrès Maltère'a. Nietylko tłómaczy i uniewinnia, lecz stawia go na piedestale „typu dodatniego“, robi z niego przedstawiciela współczesnych ludzi „oświeconych“, „wytwornych“, „rzadkich“ (*rare et exquis*). Jak Stendhal do Sorela, przyznaje się i Barrès do swoich wojowników o byt, trawionych przez żądzę dostatku bez pracy i zasługi. Wszakże-ż zaczął Barrès karyerę publistyczną namiętną obroną Chambige'a, paryskiego studenta, który, bawiąc temu lat kilka na wakacyach w Algierze, zamordował kobietę z dobrego towarzystwa, mężatkę i matkę drobnych dzieci, opierającą się jego żądaniom. Krusząc kopię w imię „zbrodni z namiętności“, zdobył sobie autor „Wolnego człowieka“ ostrogi dziennikarskie.

Jan Stendhal i Huysmans, nie ma i Barrès wyobrażenia o technice artystycznej i o stylu belletrysty.

---

*) Maurycy Barrès: jak wyżej: str. 251.

To samo, co z mową wiązaną, stało się i z prozą dekadentów. Jednolita budowa powieści rozpadła się na mnóstwo pojedyńczych rozdziałów, połączonych z sobą bardzo luźnemi wiązaniami. Akcya, zawsze nikła, więcej niż uboga, najczęściej żadna, rozpływa się bez śladu w nudnem gadulstwie niby-naukowem, które przypomina dyletanckie dysputy studentów. Belletryści dekadencyi usiłują czytelnika olśnić strzępami erudycyi, pozbieranej bez krytyki i potrzeby z różnych doktryn ostatnich czasów.

W *L'ennemi des lois* Barrèsa nietrudno wskazać hipotezy Darwina, Spencera, Comte'a, Tołstoja i młodszych dekadentów. Całą swoją mądrość socyologiczną rozrzucił autor w utworze, który ma być dziełem sztuki. Huysmans znów pochwalił się w *Là-Bas* dokładną znajomością średniowiecznego mistycyzmu.

Język w końcu dekadentów, pozbawiony barwy, suchy, zaniedbany, ciężki, popstrzony wyszukanemi słowami i zwrotami, nie przyczynia się oczywiście także do podniesienia wartości ich dziwacznych elukubracyj.

Do uwieńczenia dekadentyzmu potrzeba było filozofa, któryby zebrał w jedną całość skargi, bluźnierstwa, apetyty i przewrotności rozbitków nowoczesnego materyalizmu. I przyszedł ów mistrz, ale nie Francya była jego kołyską. Fryderyka Nietzschego wydały Niemcy, ojczyzna metafizyki, choć w żyłach nowego proroka płynie podobno krew polska, jak sam o sobie mówi.

Zawiódłby się srodze, ktoby w „systemie“ Nietzschego szukał systemu, czyli przejrzyście ułożonego szeregu przesłanek i wniosków, spojonych z sobą cementem prawdziwej argumentacyi. Takiemi „drobiazgami“, jak kompozycya, logika, jasny wykład i t. d. nie krępuje się dekadent „arystokrata“, nie pracujący dla „motłochu“. On notuje na kartkach spostrzeżenia i wrażenia w takim porządku, w jakim mu one do głowy przychodzą, a gdy zebrał odpowiednią ilość

uwag odręcznych, posyła je do drukarni, nieraczywszy nawet ułożyć materyału. Książka w ten sposób sklecona nazywa się tomem, dziełem.

I styl obchodzi Nietzschego bardzo mało. Tylko głupcy potrzebują zaokrąglonych, jakąś całą myśl obejmujących zdań. Dla „rzadkich wytwornisiów“ wystarcza kiedy autor zaznaczy, dotknie palcem tego, co chce powiedzieć. Wykrzyknik, przekleństwo, gołosłowne twierdzenie, to krótki, z kilku zaledwie wyrazów składający się aforyzm, to okres długi, chaotyczny, jak improwizacya obłąkanego, tak ciemny, zagmatwany, że go chyba sam autor nie rozumiał — oto rozkosz „wykwintnych smakoszów“, posiadających tajemnicę dopełnienia mądrości niedopełnionych i odgadywania łamigłówek stylowych.

Zwykli robotnicy literaccy twierdzą wprawdzie, że lekceważenie formy równa się niedbalstwu lub nieudolności, że łatwiej wyrzucić z siebie jakiś głośnobrzmiący frazes bez środka i końca, jakiegoś potwora językowego bez rąk i nóg— aniżeli wyrazić jasno i prawidłowo myśl najpospolitszą, ale cóż znaczy sąd „robotników“ w rodzaju Flauberta wobec upodobań mędrca mędrców? Jemu nie podoba się pracować, ślęczeć, potnieć, dobierać słów, rzeźbić, zaokrąglać frazes, bo to trud, czasami tak wielki, że przestaje bawić. Cóż zresztą może obchodzić filozofa głupota przeciętnych czytelników? Nie rozumiesz mnie, to mnie rzuć! Drwię sobie z ciebie, tępa głowo... Znajdą się tacy, którzy mój rodzaj pisania uznają.

Rozumie się, że się znajdą. Jak nie ma kobiety, choćby najbrzydszej, któraby nie podrażniła przez chwilę apetytów jakiegoś mężczyzny, tak nie ma i autora bez czytelników. Najbałamutniejszy wmówi w kogoś, że go przekonał. Wszakże-ż istnieją ludzie, którzy zachwycają się „Cieplarnią“ Maeterlincka i dopatrują się w niej piękności, nieznanych samemu autorowi...

Pospolity śmiertelnik, mówiąc o rozkoszy i boleści, powie: byłoby dobrze, gdyby rozkosz mogła trwać jaknajdłużej, boleść zaś jak najkrócej. Nie tak Nietzsche. On potrzebuje do wyrażenia tej banalnej myśli całej góry pustych słów i dziwacznej interpunkcyi.

— Minęło, minęło!—woła.—O, miłości! O południe, o, południe! Oto nadszedł wieczór, noc nadeszła i północ! Ach, ach! jak ona jęczy! jak się śmieje, jak charczy i stęka owa północ! Jak właśnie trzeźwo przemawia, owa pijana poetka! Przepiła zapewne swoje pijaństwo? wytrzeźwiała? przeżuwa znów?—boleść swoją przeżuwa we śnie, stara, głęboka północ, a więcej jeszcze swoją rozkosz. Rozkosz bowiem, gdy boleść jest głęboka: rozkosz jest jeszcze głębsza od cierpienia serdecznego. Boleść mówi: przepadnij! Odejdź, boleści!... Ale rozkosz domaga się powrotu wieczności (*Alles-sich-ewig-gleich*). Boleść mówi: pękaj, krwaw się, serce! Poruszaj się, nogo, fruwaj, skrzydło! W górę, w górę! Boleści! W górę, w górę! O, moje stare serce: boleść mówi: przepadnij! Wy, wyżsi ludzie... gdy który z was pragnął czegośkolwiek dwa razy, mówił kiedykolwiek „podobasz mi się, szczęście! okamgnienie!“ wówczas pragnął, aby się wszystko wróciło. Wszystko na nowo, wszystko wiecznie, wszystko spojone, nanizane, zakochane: o, tak, kochaliście świat, wy wieczni; kochajcie go wiecznie i po wszystkie czasy: i także do boleści mówcie: przepadnij, ale wróć. Bo każda rozkosz pożąda — wieczności. Każda rozkosz pożąda wieczności wszystkich rzeczy, pożąda miodu, pożąda drożdży, pożąda upojonej północy, pożąda grobów, pożąda pociechy łez mogilnych (*Gräber-Thränen-Trost*), pożąda ozłoconego zachodu słońca...

Dość postawić obok powyższej halucynacyi „filozoficznej“ Nietzschego jakikolwiek „poemat liryczny“ Maeterlincka, aby zrozumieć blizkie pokrewieństwo między doktry-

nerem niemieckim a belletrystami francuskimi doby ostatniej. Naprzykład jego „Dusza“.

— Moja dusza! O, moja rzeczywiście zanadto pod dachem strzeżona dusza! I te stada namiętności w cieplarni! Czekające na burzę na łące. Idźmy do najwięcej chorych: wydają one z siebie dziwne wyziewy. Idę z niemi z matką przez pobojowisko. Chowają właśnie towarzysza broni w samo południe, podczas kiedy widety obiadują. Idźmy także do najsłabszych: wydają one z siebie dziwne poty; oto chora narzeczona, zdrada w niedzielę i małe dzieci w więzieniu. (A dalej, po przez dym) czy to umierająca pod drzwiami kuchni? Albo zakonnica, płukająca jarzyny u stóp łoża nieuleczalnego biedaka? Idźmy także do najsmutniejszych: (na końcu, bo są w nich trucizny). O, moje usta przyjmują pocałunki rannego. Wszystkie niewiasty zamkowe skonały z głodu, tego lata, w wierzach mojej duszy i t. d...

Ludzie to o zdrowych zmysłach w ten sposób przemawiają, czy waryaci?

A jednak znalazł się między inteligencyą współczesną spory zastęp wielbicielów tej obłąkanej gadaniny. Właśnie szum słów Nitzsche'ych, Maeterlinck'ów i t. p. „geniuszów“ oczarował „wytwornych smakoszów“. Dr. Garfein mniema *), że „opowiedzieć treść Zarathustry, znaczy opowiedzieć blask słońca, woń kwiatów, huk bałwanów“. Słowa Nietzschego płyną, podług Garfeina, „już to niby fale morza, rozgrzanego przez życiodajne promienie słońca, już to niby srebrzyste światło zawieszonego na obłoku księżyca, już to niby przecudna woń kwiecia po majowym deszczu, już to niby tony strun, poruszanych lekkiem tchnieniem po-

*) Dr. Garfein, „Fryderyk Nietzsche; warszawskie „Ateneum“ zeszyt z kwietnia 1893 r.; str. 124 i 132.

wiewu. Słowa jego, to szum, blask, woń, śpiew: cała symfonia świateł i dźwięków, barw i odcieni". — Dr. Hugo Kaatz, jeden z głośniejszych niemieckich wyznawców Nietzsche'go, chociaż wie bardzo dobrze, że się książki mistrza nie mogą obyć bez komentarza, mówi mimo to o „zwycięzkiej piękności jego stylu" (*sieghafte Schönheit des Stils*) *). To samo mniej więcej głoszą: pani Lou Andreas-Soleme, Robert Schellwien, dr. Maks Zerbst i in. Sam Nitzsche jest dumnym z „aforystycznego" sposobu pisania i wierzy, że prześcignął wszystkich stylistów świata cywilizowanego, gdy ukuł jakiś śmieszny wyraz złożony. Nawet niemcy, przywykli do straszliwego żargonu swoich filozofów, nie mogą strawić takich kombinacyj, jak: *Alles-sich-ewig-gleich.— Gräber-Thränen Trost:—Kleiner-Leute-Geruch; — ein Nieder-werfen-wollen – ein-Herr-werden-wollen — So und-so-sein — Nicht-wieder-los-werden-können — Nicht-wieder-los-werden-wollen—Zu-viel-Besuch — das Ansich-herankommen-lassen—das-Auf-dem-Bauch-Liegen —das allzeit sprungbereite Sichhinein-Setzen* —i t. p. W innych czasach nie zwracanoby uwagi na elukubracye Nietzsche'ych *et consortes*, dziś jednakże, kiedy zwaryowany z rozpaczy materyalizm czepia się, jak tonący, każdego listka zgniłego, ocalenia się od niego spodziewając, trzeba się nawet majakami obłąkanych zajmować, aby je we właściwem ustawić świetle. Bo na dnie tego bezmyślnego gadulstwa spoczywa mimo chaotycznej formy sens, a sens szkodliwy w zastosowaniu praktycznem. Poprzez „dzieła" Nietzsche'go wije się, wprawdzie bezładnie, koszlawo, poplątana i poprzerywana sto razy, ale — wije się nić pojęć i wyobrażeń, składających się na

*) Hugo Kaatz; we wstępie do streszczenia dzieł Nietzsche'go p. t. „Die Weltanschauung Friedrich Nietzsche's", 2 części; 1892 r. Część I; str. VII.

światopogląd jednolity. Głównie jego „moralność“ znalazła gorących wielbicielów między dekadentami chwili obecnej.

O systemie etycznym, o jakimś gmachu, wznoszonym stopniowo z fundamentów i wykończanym powoli, nie ma oczywiście u Nietzsche'go mowy. To, co się jego moralnością nazywa, składa się z mnóstwa luźnych uwag, rozrzuconych bez ładu w kilku „tomach“. Głównie z „Jutrzenki“ (*Morgenröthe, Gedanken über die moralischen Vorurtheile*), z „Wesołej wiedzy“ (*Die fröhliche Wissenschaft*), z „Po drugiej stronie dobra i zła“ (*Jenseits von Gut und Böse*), z „Genealogii moralności“ (*Zur Genealogie der Moral*) i z „Tak rzekł Zarathustra“ (*Also sprach Zarathustra*) trzeba wyławiać stargane na szmaty strzępy doktryny Nietzschego *).

Mylili się wszyscy, — uczy Nietzsche — którzy stawiali na początku pierwotnego społeczeństwa jakąś umowę między rządzącymi i rządzonymi. Nie umowa złączyła pewną ilość jednostek w całość, tym samym podlegającą prawom, lecz najpospolitszy gwałt. Rasa silniejsza, obdarzona zdolnością organizowania i rozkazywania, narzuciła słabszej swoją wolę i w ten sposób powstało społeczeństwo.

Z pomiędzy ras ludzkich upodobał sobie Nitzsche głównie blondynów (ma być prawdopodobnie: Germanów i Słowian). Oni to, owe „jasnowłose, wspaniałe, za zdobyczą i zwycięztwem chciwie ciągnące bestye“ (*prachtvolle, nach Beute und Sieg lüstern schweifende blonde Bestie*), urodzeni panowie, podbili Europę, założyli państwa i narzucili poddanym swoje wyobrażenie o cnocie i występku. Cnotą było wszystko, co służyło do podtrzymania ich stanowiska, więc: odwaga wojenna, pogarda niebezpieczeństw, duma, lekce-

*) Główne dzieła Nietzsche'go, który zaczął pisać w 1872-gim, wyszły między r. 1882 i 1889.

ważenie słabych, pycha i okrucieństwo, występkiem zaś: tchórzostwo, miłość spokojnego życia, pokora, miłosierdzie, łagodność, pochlebstwo i t. d.

I było (Nietzsche) dobrze na świecie, dopóki ludźmi rządziła „moralność panów“ (*Herren Moral*), stanowiąca przeciwieństwo moralności niewolników‘ (*Sklaven-Moral*), istniała bowiem wówczas garść ludzi względnie szczęśliwych. Ale nagle stała się rzecz niespodziewana. Niewolnicy, znoszący przez długie wieki cierpliwie przewagę „panów“, zbuntowali się, przewrócili dotychczasowy porządek, postawili *swoją* moralność na piedestale ogólnie obowiązujących praw, „zemścili się“, słowem, srodze na „panach“, narzuciwszy im *swoje* poglądy. Co było dotąd złem, stało się dobrem; poprzednia nikczemność przeobraziła się w cnotę.

W ten sposób tłómaczy Nietzsche chrześciaństwo, wymyślone, podług niego, przez żydów, w celu ukarania i zgnębienia „panów“.

Z chwilą zapanowania moralności chrześciańskiej, rozpoczęła się nędza człowieka, kiedy bowiem dawniej korzystali „panowie“ z darów ziemi i życia bez ograniczeń, teraz popadli w nieszczęście wszyscy, zarówno panowie, jak niewolnicy. Obłuda trawi od lat dwu tysięcy całą ludzkość. Bo nieprawdą jest, aby człowiek był z natury dobry, łagodny, skłonny do ustępstw na rzecz bliźniego i aby wyzysk miał być złem. Tak zw. podłość należy przeciwnie do „istoty życia, jest jego funkcyą organiczną“. Kto żyje, ten wyzyskuje; wszelkiego życia podstawą bywa okrucieństwo. Człowiek potrzebuje do tego stopnia burzyć coś, niszczyć, że nie mogąc od czasów panowania „moralności niewolników“ okazywać jawnie swoich upodobań, zwraca je na wewnątrz, przeciw sobie. To wewnętrzne szamotanie się, gryzienie, męczenie, ochrzczono, podług Nietzschego, „wyrzutami sumienia“ (*schlechtes Gewissen*).

Ludzkość musi wrócić do „moralności panów“—mniema Nietzsche — bo celem jej nie jest szczęście wszystkich, jak chce chrześciaństwo, lecz szczęście jednostek wybranych — panów, urodzonych do używania i rozkazywania — „nadludzi“ (*Übermenschen*), czyli najdoskonalszych typów gatunku. Miliony istnieją tylko na to, żeby tych „nadludzi“ wydały. Aby się zaś owi „nadludzie“ mogli swobodnie, bez żadnej przeszkody rozwijać, należy usunąć „moralność niewolników“. Nie zasada: nie czyń drugiemu, co tobie nie miło—obowiązuje „nadludzi“, lecz przeciwnie: czyń właśnie drugiemu, co nie chcesz, aby tobie uczynił, wyzyskuj, depcz słabszego, bądź twardym, nieubłaganym, złym w rozumieniu „niewolników“, bo „złość jest najlepszą siłą człowieka‘ (*das Böse ist des Menschen beste Kraft*).

Wielbiciele Nietzschego podziwiają przedewszystkiem jego oryginalność i śmiałość. Drugi przymiot należy się wistocie twórcy „moralności panów“, pierwszego jednak nie może mu nikt przyznać, kto zna historyę rozwoju myśli ludzkiej drugiej połowy bieżącego stulecia.

Nietzsche odwrócił dotychczasowe pojęcia o wartościach moralnych, zaprzeczywszy wolnej woli, a dostrzegł w egoizmie jedyne uprawnione źródło postępowania. — Cóż innego uczynili pozytywiści i ewolucyoniści? I oni odrzucili podwaliny etyki metafizyków i wywiedli swoją moralność z egoizmu.

Nietzsche, nie uznając idei wrodzonych, postawił na ich miejscu instynkty i przyzwyczajenia. — To samo stanowisko zajął Spencer.

Ale Nitzsche, wołają jego wyznawcy, podzielił ludzkość na panów i niewolników, potępił chrześciaństwo za jego pogardę dla Złotego Cielca, za kult ubóstwa, za miłość dla słabych, za jega ascetyzm. — Wrogami moralności chrześciańskiej byli przed nim Renan, Strauss i Heine; miłosierdzie, litość, dobroć potępił Malthus, Darwin, Spencer,

(jeszcze dawniej Spinoza), praw bogactwa bronił Bucle, z „umowy społecznej“ Rousseau'a drwili wszyscy pozytywiści i ewolucyoniści, a urągają jej dotąd dekadenci francuscy i angielscy.

Nietzsche stworzył „nadczłowieka“. Czy tak? Czegóż innego chciał Renan, gdy mówił w „Dyalogach filozoficznych“, że celem ludzkości jest wydawanie wielkich ludzi? (*La fin de l'humanité, c'est produire des grands hommes*). I Taine, Spencer, Darwin, Flaubert, Baudelaire nienawidzili „motłochu“, a współcześni dekadenci majaczą ciągle o jakiejś arystokracyi inteligencyi, o „smakoszach“, „artystach“, o „wykwintnych“ i „przecywilizowanych“, którzy mają posiadać prawo do „umiejętnego wyssania życia“ kosztem „barbarzyńców“, czyli głupców, ujarzmionych przez śmieszne fanatyzmy i przesądy. Owi „wytwornisie“ dekadentów to „nadludzie“ Nietzschego, pasorzyci, próżniacy, zblazowani materyaliści, mieniący się kwiatem ludzkości.

Oryginalnym Nietzsche nie jest. Wchłonął on w siebie wszystkie negacye drugiej połowy bieżącego stulecia, zmieszał je, przetrawił do połowy i wypluł na powrót, ku podziwowi swoich mistrzów. „Niezawiśli“, gdy ujrzeli swoje teorye bez maski obłudnej kazuistyki, która zasłania właściwe oblicze ich moralności, zdumieli się tak samo, jak antropologowie kryminalni, zbici z tropu przez paradoksy profesora Albrechta. Czego oni, wdychający w siebie jeszcze woń „pustego, ale wonnego naczynia“, nie śmieli wypowiedzieć; co oni, zdrowi na umyśle, rozumiejący ujemną doniosłość moralności bez moralności, usiłowali złagodzić, pokryć sztuczną frazeologią, to wygłosił mędrzec, wykarmiony „cieniem cienia“, chory, dziedziczny waryat, wydający niesforne książki między jedną słabością mózgową a drugą. *) Gdy

*) Wiadomo, że Nietzsche pochodzi z rodziny, prześladowanej przez obłęd dziedziczny. On sam jest od lat kilku nieuleczalnym waryatem.

Nietzsche odrzucił altruizm, wówczas ukazał się nagi, ordynaryjny egoizm nieszlachetnego dorobkiewicza, depczącego nędzarzów, do których jeszcze wczoraj należał.

Bo nie ma Nietzsche pospołu ze swoimi poprzednikami wyobrażenia o prawdziwej „pańskości“, gdy każe „panu“ być: pysznym, mściwym, okrutnym, bezwzględnym, samolubnym, wyzyskiwaczem, podłym, słowem, zwierzęciem, żyjącem tylko dla siebie. Z pojęciem „pana“ łączą się zwykle przymioty rycerskie, które polegają nietylko na: odwadze osóbistej, na pogardzie śmierci i na wygórowanem poczuciu honoru, lecz także na: hojności, uprzejmości wobec ubogiego, pobłażliwości dla słabszego i lekceważeniu pieniędzy. „Pan“ jest karykaturą, gdy nie pracuje publicznie, wszelka zaś działalność szersza wyklucza z natury swojej ciasny egoizm dekadenta.

Nie dla „panów“ skleił Nietzsche z odpadków materyalizmu filozoficznego i artystycznego swoją „moralność pańską“, lecz dla brutalnych parweniuszów w rodzaju Juliana Sorela (Stendhal), Roberta Greslou (Bourget) i Andrzeja Maltère'a (Barrès), lub dla nędznych rozbitków przecywilizacyi, jak książę des Esseintes (Huysmans). „Blady, zmysłowy, przez żądzę używania trawiony bourgeois“ przyklaśnie oczywiście skwapliwie doktrynie, uprawniającej jego apetyty. Ucieszy się jej także każdy parweniusz bez dyplomu pracy i zasługi, przyjemnie bowiem dowiedzieć się, że można zostać „panem“ przez wyzysk i poniewierkę słabszego.

Cudowna doktryna, jeszcze lepsza od moralności niezawisłej! Burżoazya powinna Nietzsche'mu postawić szczerozłoty pomnik.

I żydzi — naturalnie. Bo Nietzsche, który korzy się przed wszelką siłą, nie wyłączajac zewnętrznych oznak „pańskości“ (małych rąk, nóg, swobodnych ruchów, dumnego

spojrzenia, profilów jastrzębich) uwielbia żydów za ich wytrwałość w zemście, za ich wyzysk, bezwzględność i samolubstwo. Dobrem, cnotą przecież nazywa, co dotąd za złe, za występne uchodziło.

Wszakże-ż on to, „naród wybrany“, miał, podług Nietzsche'go, ukarać „panów“, narzuciwszy im moralność niewolników. Wprawdzie nie mówi nic nauka o podobieństwie między etyką Starego i Nowego Zakonu, i nie znalazł dotąd nikt nawet zarodków moralności chrześciańskiej w nakazach mądrości talmudycznej, ale żydom, paryasom nowszej historyi, musi pochlebiać rola, wymyślona dla nich przez Nietzsche'go. Wie Izrael o tem najlepiej, że rządził się nie moralnością niewolników, lecz przeciwnie... zssadami „panów“ autora „Zarathustry“. Jeżeli kto, to są właśnie żydzi pospołu z burżoazyą najpełniejszymi typami „panów“ filozofii dekadenckiej. Przeto nic dziwnego, że oni to głównie roznoszą po świecie sławę Nietzsche'go (znów nieszczęśliwy Brandes, Garfeiny i in.), usiłując go wynieść na stanowisko „największego myśliciela bieżącego stulecia“. Potomkom arendarzów, lichwiarzów, podstępnych bankrutów i wyzyskiwaczów różnego rodzaju podoba się doktryna, wywracająca na nice pojęcia o dobru i złem.

Oprócz burżoazyi i żydów gromadzi się pod sztandarem „Zarathustry“ niedojrzała młodzież, zachwycona „nadczłowiekiem“, który może być wybornym parawanem dla wybryków studenckich. Lata wiosenne czują w sobie zawsze siłę „tytanów“, gardzących „filisterstwem“ życia powszedniego.

Że burżoazya, żydzi, dekadenci i młodzież uznali w Nietzschem nieporównanego mistrza, można zrozumieć, dla nich bowiem myślał Zarathustra. Ale kobiety?...

— Szczęście mężczyzny nazywa się: ja chcę! Szczęście kobiety nazywa się: on chce! — uczy Nietzsche. Cóż kobietę obchodzi prawda? Nic ma dla niej nic wstrętniej-

szego nad prawdę. Wielką sztuką życia jest kłamstwo. Dwóch rzeczy pożąda prawdziwy mężczyzna: niebezpieczeństwa i zabawki. Ponieważ kobieta jest najniebezpieczniejszą zabawką, przeto ubiega się o nią każdy dzielny mężczyzna, potrzebujący wypoczynku po trudach, ponoszonych w walce o byt. Zbyt słodkich owoców nie pragnie żaden mężczyzna, a najsłodsza kobieta potrafi być gorzką. Zabawką mężczyzny niech będzie kobieta, zabawką czystą i wytworną; słuchać powinna kobieta, gdyż nie rozumie się na honorze i głębi — ciasna i płytka. Mężczyzna powinien z sobą zabierać bat, gdy udaje się do kobiety i t. d.

Po takiej charakterystyce niewiasty, należy się dziwić bezinteresowności zwolenniczek Nietzsche'go. Chyba słyszały o jego teoryach tylko zdaleka. *)

W filozofii Nietszche'go dotarł nowoczesny materyalizm do kresu swojej karyery. Dalej anarchia pojęć iść nie może; niezawisły rozum nie wymyśli już nic nowego.

Dekadentyzm nie ograniczył się na samej Francyi. W Anglii znalazł Baudelaire gorliwych naśladowców w Swinburne'm, w Oskarze Wilde'm i in.; we Włoszech modlił się do szatana Józef Carducci, w Niemczech pojawiają się tu i owdzie wpośród najnowszych rymotwórców zwolennicy dziwactw paryskich.

---

*) Bardzo rozumnie oświetlił doktryny Nietzsche'go Maks Nordau: „Entartung“, 1893 r.; tom II, str. 272 i następne. — W naszej literaturze zasługuje na wyróżnienie dobre studyum W. M. Kozłowskiego, zamieszczone w „Bibliotece Warszawskiej“ (sierpień 1893 r. p. t. „Dekadentyzm współczesny i jego filozofowie“. — Apoteozę Nietzschego napisał oprócz żydów, Ola Hansson p. t. „Friedrich Nitzsche. Seine Persönlichkeit und sein System“; Lipsk. — Najlepiej streścił i zestawił teorye Nietzsche'go cytowany wyżej dr. Hugon Kaatz: „Die Weltanschaung i t. d.“

Nasza literatura nie wydała dotąd dekadenta w rozumieniu europejskiem, chociaż niektórzy z najmłodszych beletrystów (Ignacy Dąbrowski, Leo Belmont, Zygmut Niedźwiedzki, Gabryela Zapolska) nachylają się już w stronę „fosforencyi zgnilizny“. I między legionem autorów t. zw. „szkiców i obrazków“ znaleźlibyśmy tu i owdzie ślady estetyki i techniki dekadenckiej, Sztukę dla sztuki, raczej „sztuczkę dla sztuczki“, rozmyślne lekceważenie treści dla formy, dla drobiazgów i szczegółów, należy z tego wywieść źródła.

Ale są to dopiero ślady śladów, tak małoważne, że nie warto na nie zwracać uwagi. Nie posiadamy dotąd widocznie potrzebnej do wytworzenia i ustalenia typu artystycznego ilości wzorów żywych.

Zdaje się jednakże, że i nas ten trąd literacki nie ominie, że będziemy dekadentami wówczas, kiedy się reszta Europy, wychowanej na cywilizacyi łacińskiej, zacznie dźwigać z upodlenia. W życiu, w zastosowaniu praktycznem, rysuje się dekadentyzm od lat kilku coraz wyraźniej.

I u nas tracą nakazania moralne zgasłych pokoleń z każdym prawie rokiem na sile i wartości. Staczamy się z takim rozpędem z góry na dół, że nie rodzice dzieci, lecz starsi bracia młodszych zaczynają nie poznawać. Co kilka lat przybywa świeży zastęp nowych ludzi, tak zasadniczo odmiennych od bezpośrednich poprzedników, że zdają się odległymi o całe pokolenie. Mężowie czterdziestoletni należą już do „starego autoramentu“ w porównaniu z trzydziestokilkuletnimi.

Ma się rozumieć, że brzydki kwiat dekadencyi szpeci i u nas głównie ciało warstwy najoświeceńszej. Wyższa inteligencya stolic odczuwa zawsze pierwsza dreszcze nadchodzącej niemocy.

Nie wesoło zaczyna wyglądać owa wyższa inteligencya Warszawy. W literaturze, w dziennikarstwie, w pale-

strze, między lekarzami i przemysłowcami pojawia się coraz częściej typ karyerowicza, nieznany dawniejszym pokoleniom. Ludzi niesumiennych, nieszlachetnych parweniuszów i różnego rodzaju hałastrę wydawały wszystkie czasy, ale w epokach, przesiąkniętych zasadami „wstecznemi“, ukrywali się rycerze używania troskliwie, lękając się pełnego światła dziennego. Dziś ciśnie się lada sprytowicz, nie mający po za sobą ani dyplomu pracy i zasługi, ani chociażby dobrej woli i wiary, zawdzięczający stanowisko wpływowe nie wartości osobistej, lecz jedynie bezwzględności w dobieraniu środków, na sam przód, rozpościera się zuchwale, lekceważy jawnie „staroświecką“ uczciwość, drwi z „honoru głupców“. Smutna moralność Sorel'ów i Maltère'ów zaczyna i u nas zyskiwać, jeżeli nie głośne uznanie, to przynajmniej pobłażliwość. Co ojcowie nasi nikczemnością nazywali, my przechrzciliśmy na „spryt“, uprawniony w boju o byt dostatni. Dość rozejrzeć się wokoło, aby dostrzedz bardzo wyraźne ślady zbliżającej się dekadencyi. Mamy już ludzi „publicznych“, których zajmuje wszystko, oprócz spraw publicznych, dla których stanowisko wybitne posiada tylko o tyle znaczenie, o ile ułatwia zdobycie pieniędzy, czyli środka do używania zmysłowego. Samobójstwa z przyczyn hańbiących (oszustwa, roztrwonienie cudzego grosza, podstępne bankructwa i t. p.) nie należą do wypadków rzadkich. Mnożą się sprzedaże symulacyjne, dewastacye majątków, wystawionych na licytacyę; bledną powoli i gasną dawne ideały moralne, a z nimi razem łamią się charaktery i walają się sumienia. Etyka niezawisła, zaszczepiona na gruncie naszej rasowej lekkomyślności i nieopatrzności, może tylko bardzo gorzkie wydać owoce, a mądrość pozytywna zaczyna dopiero teraz, skonawszy w teoryi, działać praktycznie na szersze masy. Dość przysłuchać się rozmowie dwóch dowcipkujących „inteligentników“ warszawskich. Cynizm siedzi na cynizmie i pogania cynizm.

Coraz więcej między nami Sorel'ów i Maltère'ów, przeto doczekamy się prawdopodobnie niebawem i w literaturze obrońców brutalnego parweniuszostwa. Tylko patrzeć, jak się i nad Wisłą jaki Barrès ukaże.

I „wytworni smakosze życia“ zaczynają się tu i owdzie, w burżoazyi i w arystokracyi, pojawiać, chociaż tych okazów patologicznych dotąd niewiele. Zato rośnie z przerażającą szybkością liczba rozbitków woli, niedołęgów, zniechęconych w kwiecie młodości do życia, niezdolnych do jakiegokolwiek czynu. I nas żre już trucizna negacyi, która doprowadziła inteligencyę Europy zachodniej z jednej strony do zwyrodnienia moralnego i fizycznego, z drugiej do ubóstwienia samolubstwa.

* * *

I oto zbankrutował znów rozum ludzki... nie po raz pierwszy i prawdopodobnie nie po raz ostani. Pyszny buntownik, wypocząwszy, wróciwszy po doznanej klęsce do równowagi, wymyśli niewątpliwie jaką inną formę walki o prawdę, o świadomość, będzie pchał dalej, pod górę kamień syzyfowy...

Pyszny buntownik — bo wszelkich doktryn materyalistycznych rodzicem i bodźcem jest pycha, która nie chce uznać połowiczności człowieka, ograniczoności jego rozumu, kruchości jego siły. Sam sobie chciałby rozum dyktować prawa postępowania, zależeć tylko od siebie, zapanować nad tajemnicami, otaczającemi zewsząd mieszkańców ziemi.

Marnie kończyły dotąd wszystkie „niezawisłe“ wyprawy po prawdę. Bo może-ż być coś więcej upokarzającego, przygnębiającego nad obraz upadku epok materyalistycznych? Dekadenci robią wrażenie, jak gdyby się ktoś rozmyślnie nad nimi mścił, spychając ich na sam spód brudów, głupstw i przewrotności ludzkich. W imię rozumu wystę-

pujący mędrcowie tracą nietylko rozum, nietylko zdolność prawidłowego myślenia, ale wprost najpospolitszy zdrowy rozsądek. Czarnego od białego odróżnić nie potrafią, zdania ze zdaniem połączyć nie umieją; języki ich plączą się, jak u dzieci lub u idyotów. Za przecywilizowanych, za najwytworniejszych swojej epoki uważają się „arystokraci“, wracają pojęciami i upodobaniami do kołyski cywilizacyi, do barbarzyństwa. Wódz hotentotów lub kacyk murzyński odnaleźliby w filozofii Nietzsche'go i w powieściach Barrès'a swoich przekonań uświęcenie. Wygórowany, wysubtelniony albo bezwzględnie brutalny egoizm dekadentów, zwany przez anglików i francuzów „egotyzmem“, a przez niemców *Ich-sucht*, nie jest wcale wynalazkiem nowszych czasów. Znają go zwierzęta od początku istnienia organizmów wogóle. Jego „naukowość“ nie zmienia wcale jego istoty.

I czegóż chce ten „wykwintny“ egoizm dekadentów, ten mistrz, mający uczyć „umiejętnego smakowania życia“? Może rozkoszy umysłowych i artystycznych, niedostępnych dla „tłumu“, może wrażeń i wzruszeń szlachetnych, prawdziwie arystokratycznych?

Wiadomo, że Baudelaire nie pomieścił w „Kwiatach zła“ wszystkich utworów, przeznaczonych do druku, gdyż raziły sprośnością nawet jego wielbicielów. Katul Mendès zwrócił zaraz na wstępie swojej karyery autorskiej na siebie uwagę prokuratora. Za jego „Romans jednej nocy“ (*Un roman d'une nuit*) skazały sądy wydawcę (Mendès liczył wówczas lat 20, był więc małoletnim) na dwa miesiące więzienia. Verlaine pokutował osobiście w wieży sromotnej za występek przeciw moralności. Huysmans'a powieść p. t. „Marta“ zabroniła policya jako parnografię, nawet dla francuzów zbyt obrzydliwą. Barrès rozpoczął działalność publiczną od obrony zbrodniarza z lubieżności.

Chorobliwa, wstrętna zmysłowość, obca zwierzętom i „tłumowi“ jest najmilszym tematem dekadentów. Wracają do niej ciągle i jeżeli się skarżą i bluźnią, to głównie dlatego, że siły ludzkie nie wytrzymują zbytecznego przedrażnienia.

Wysubtelniony egoizm, erotomania, newroza, głód używania i chaos pojęć w filozofii, w literaturze i sztuce—mają być przywilejem najwytworniejszych naszej epoki.

Chyba teraz czas nawrócić, jeżeli inteligencya współczesna nie chce się przenieść gromadnie do domów obłąkanych lub do „klinik kryminalnych“ antropologów włoskich.

Część trzecia.

REAKCYA.

VI.

Spirytyzm. — Jego pierwszy debiut. — Dar Ameryki. — Kathie Fox. — Allen Kardec. — Drugi występ. — Alfred Wallace. — Naukowość spirytyzmu. — Paweł Gibier. — Drugi dar Ameryki. — Neobudaizm, czyli teozofizm. — Helena Blawacka. — Pułkownik Olcott. — Doktryna teozofizmu.—Nauka Buddhy. — Okultyzm. — Kabaliści. — Właściwe źródło spirytyzmu i teozofizmu.—Ich znaczenie. — Reakcya przeciw pozytywizmowi.—Mistycyzm w literaturze. — Symbolizm francuski. — Określenie symbolizmu. — Różne głosy. — Karol Morice. — Jego literatura chwili bieżącej. — Maurycy Maeterlinck. — Jego dramaty.

Zdawało się rozumowi w drugiej połowie bieżącego stulecia, że będzie mógł sam zadowolnić wszystkie potrzeby człowieka. Wypędzić raz na zawsze usiłował niestrudzony buntownik z wierzeń i marzeń ludzkich wszelkie „złudzenia“, nie wytrzymujące krytyki wobec sądu bezpośredniej obserwacyi. Między rupiecie pokonanych na wieki przesądów cisnął cały świat: intuicyi, wyobraźni i uczucia.

A oto podnoszą się znów „stare upiory“, co miały bezpowrotnie zniknąć. Na trupie materyalizmu wyrastają różne zielska dziwacznych kształtów i barw jaskrawych. Wzgardzona fantazya wichrzy od lat kilkunastu jak za dobrych czasów romantyzmu. Działalność spirytystów, teozofów, okultystów i symbolistów potwierdza, po raz setny

może słowa Tacyta, że: umysły, które silne przebyły wstrząśnienia, bywają skłonne do zabobonów (*Sunt mobiles ad superstitionem percussae semel mentes*).

Jak kiedyś, temu lat czterdzieści, około r. 1853-go, nasze matki i babki siedziały przy stoliczkach i wywoływały „duchy“, porozumiewając się z niemi za pomocą stukań, ekierek i alfabetów, tak czynią dziś to samo nasze żony i siostry, nasi koledzy i przyjaciele. Nawet ludzie wysoko wykształceni, nawet mężowie zkądinąd trzeźwi, wychowani we wstręcie do wszystkiego, czego nie mogli zmysłami dosięgnąć, znani pozytywiści i ewolucyoniści, ulegli „objawieniu“ wieśniaczek amerykańskich.

Bo światło spirytyzmu przyszło do Europy ze „świata nowego“, z ziemi kupców, geszeftmanów, robigroszów, w znacznej części potomków przeróżnej hałastry, która zbiegła za ocean przed sprawiedliwością starego kontynentu.

W grudniu 1847 roku — opowiada pani Emma Hardingue (*History of modern american spiritualism*), a powtarza za nią dr. Paweł Gibier *) — osiadła w wiosce Hydesville, w Ameryce Północnej, w hrabstwie Wayne, rodzina kolonistów pochodzenia niemieckiego, nazwiskiem Fox (*Voss*). W kilka dni po objęciu domu usłyszeli nowi mieszkańcy stukania w ścianę i w podłogę. Zjawiska te mnożyły się, rosły, przybierając rozmiary niezwykłej wrzawy. Ktoś niewidzialny wprawiał w ruch sprzęty, chodził, głaskał dzieci zimną ręką po twarzy i t. d. Działo się to głównie w obecności małej Kathie Fox, która przywykła z czasem do tego stopnia do nieproszonego gościa, że rozmawiała z nim bez żadnej bojaźni.

---

*) Dr. Paweł Gibier: „Spiritisme ou fakirisme occidental“; w przekładzie I. Wł. Dawida; „Spirytyzm, studyum historyczno-krytyczne i doświadczalne“; Warszawa, 1889; str. 29 i następne.

Gdy wieść o tych dziwach doszła do władzy świeckiej i duchownej, oddano rodzinę Fox'ów pod nadzór osób „światłych i usposobionych sceptycznie". Trzy jednak komisye, złożone z obywateli miasta Rochester, potwierdziły po dokładnem zbadaniu zjawisk ich rzeczywistość, oświadczając równocześnie, iż przyczyn ich wykryć nie mogą.

Taki jest początek współczesnego spirytyzmu.

Z drobnego źródła wytrysnął potok szumiący, który zalał w krótkim czasie prawie całe Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. W r. 1851 zawiązało się w Nowym-Yorku pierwsze stowarzyszenie spirytystyczne, składające się z sędziów, senatorów, lekarzów i duchownych; w trzy lata potem połączyło się drugie grono osób w celu „badania zjawisk, niedostępnych dla zwykłej nauki".

Do Europy przybył spirytyzm w r. 1852-im, naprzód do Szkocyi, zkąd ogarnął resztę Brytanii, następnie do Niemiec, Francyi i t. d. Ale ponieważ równocześnie (około r. 1850) rozpoczęły się rządy pozytywizmu i ewolucyonizmu, przeto nie raczyła nauka urzędowa gościa zaoceanowego zauważyć.

Pierwszy debiut spirytyzmu wydał w „starym świecie" tylko jednego doktrynera głośniejszego. Był nim Allan Kardec (właściwe nazwisko Hipolit Denisard Rivail), francuz, pochodzący z Lyonu, autor znanej i u nas „Księgi duchów" (*Le livre des Esprits*) i założyciel wychodzącego dotąd (od r. 1858) miesięcznika p. t. *Revue Spirite*.

Świat zaludnia — podług Kardec'a — olbrzymia ilość istot różnych stopni, które doskonalą się ciągle, wcielając się kolejno (reinkarnacya) na coraz to innych planetach. Z reguły tej nie ma wyjątków. Jedną z takich form przejściowych jest także człowiek, który podczas pobytu na ziemi albo pokutuje za winy, popełnione na innym świecie lub też zbiera owoce dawniejszych zasług.

Hałaśliwe powodzenie ewolucyonistów i pozytywistów zagłuszyło teoryę Kardec'a. Spirytyzm, aczkolwiek nie przestał nigdy tlić, nie wybuchnął za pierwszym razem płomieniem szerokim. Stało się to dopiero teraz, po bankructwie nowoczesnego materyalizmu. *)

Nietylko fantaści w rodzaju Kardec'a zajmują się obecnie spirytyzmem, lecz także mężowie nauki, mający za sobą długi szereg lat, spędzonych w służbie myśli „niezawisłej". Wiadomo, że w „komunikacye duchów" uwierzyli, między innymi, znany astronom niemiecki, Fryderyk Zöllner, profesor uniwersytetu lipskiego — przyrodnik angielski, Alfred Russel Wallace, niegdyś współzawodnik Darwina — rozgłośny chemik londyński, William Crookes, i zdolny lekarz paryski, Paweł Gibier. Z chwilą, gdy do spirytystów przystali ludzie, przywykli od lat najwcześniejszych do krytycznego rozpatrywania zjawisk, zwróciło „objawienie" wieśniaczek amerykańskich na siebie uwagą kół szerokich, jak inaczej być nie mogło. Sprawa, której tacy Wallace'owie, Crookes'owie i Zöllnerowie poświęcają czas drogocenny, nie może być tylko urojeniem lub kłamstwem oszustów — wnioskowano słusznie.

Alfred Wallace, równocześnie z Darwinem, twórca teoryi o pochodzeniu gatunków, wielbiciel: Wolter'a, Strauss'a, Vogt'a i Herberta Spencera, był — jak się sam przyznaje **)—do niedawna „materyalistą tak przekonanym, iż

---

*) O Allanie Kardec'u pisał u nas w swoim czasie J. I. Kraszewski. Jego główne dzieło wyszło w przekładzie polskim p. t. „Księga duchów". Współcześnie przypomniał u nas Kardec'a ks. Władysław M. Dębicki w studyum p. t. „Koniec wieku XIX", pomieszczonem w „Tygodniku Ilustrowanym", r. 1893.

**) Alfred Wallace w przekładzie polskim I. K. Potockiego „O cudach i nowoczesnym spirytyzmie"; wydanie 3-cie; Warszawa, 1890; str. 3.

nie znalazłby w swoim umyśle miejsca na koncepcyę istności duchowej lub jakichkolwiek w wszechświecie działaczy innych oprócz materyi i siły". Ten sam ewolucyonista oświadcza dziś, że doszedł na „drodze ścisłej indukcyi" do wiary w istnienie pewnej liczby umysłowości nadludzkich rozmaitych stopni i w możność oddziaływania tych istot niewidzialnych na materyę i na umysły (jak wyżej str. 4).

Twierdzenie Wallace'a przeczy wprost zasadom pozytywizmu i ewolucyonizmu, ale właśnie to przeczenie jest treścią spirytyzmu współczesnego. Zbuntowawszy się przeciwko nauce niezawisłej, wrogiej wszelkim nadprzyrodzonościom, zamkniętej w ciasnem kółeczku bezpośrednich obserwacyj, spirytyści usiłują rozszerzyć granice wiedzy ludzkiej, wiączając do niej zjawiska, uważane dotąd za niepochwytne.

Wierzyliśmy — mówi Wallace — iż wszystkie cuda są fałszem, iż to, co się pospolicie nadprzyrodzonem nazywa, nie istnieje, albo, jeżeli istnieje, to nie podlega badaniu. Takie stanowisko nie sprzyja bynajmniej poszukiwaniu „prawdy" (jak wyżej str. 11). „Nie chcieć uznawać tego, co w każdym innym wypadku byłoby bezwzględnie przekonywającym dowodem faktu, dlatego tylko, iż owo coś nie daje się wytłómaczyć na podstawie znanych dotąd praw, znaczy to samo, co utrzymywać, iż posiadamy już dokładną znajomość wszystkich praw, czyli, że możemy określić z góry, co jest możliwem lub też niemożliwem. Tymczasem opowiada historya wiedzy ludzkiej, że to, co dla jednego wieku jest cudem, staje się dla drugiego zjawiskiem naturalnem. Przed wiekiem telegram, przychodzący z odległości 3,000 mil, albo fotografia, zdjęta w ciągu sekundy, nie byłyby uważane za rzecz możliwą i nie uwierzyłby w nie nikt, oprócz nieuków i przesądnych. Przed pięciuset laty wziętoby działanie dzisiejszego teleskopu i mikroskopu za siłę cudowną i t. d. — „Tak mało wiemy o tem, czem jest siła nerwowa albo życio-

wa, jak ona działa i działać może, w jakim stopniu może przechodzić z jednego człowieka na drugiego, iżby nierozważnym był, ktoby utrzymywał, że postrzeganie (percepcya) nie zna innej drogi, oprócz zwyczajnych zmysłów' — (jak wyżej; 63, 64, 65, 66).

Powyższe twierdzenia Wallace'a przekonywają bez komentarza, dziwić się tylko należy, że słynny przyrodnik ocenił tak późno niedostatki metody pozytywno-ewolucyonistycznej, jeżeli bowiem kto, to potykają się właśnie badacze natury bezustannie o tajemnice, przekraczające możność kontroli zmysłów. Najdrobniejsza trawka opowiada im o sile ukrytej, pobudzającej życie; najniklejszy robaczek zdumiewa ich misternością budowy i uczy nie pychy, lecz podziwu. Rzecz szczególna, że właśnie przyrodnicy, zbliżeni więcej do cudownego mechanizmu świata, znający lepiej od uczonych innych kierunków niemoc człowieka, rzucają zawsze pierwsi wiarę w t. zw. nadprzyrodzony początek wszechrzeczy i odgrywają rolę tytanów, zdobywających bramy niebieskie. Jak gdyby nie wystarczało ogarnąć spojrzeniem pierwszego lepszego krajobrazu, wsłuchać się w ciszę lasu, wpatrzeć się w błękitne przestworza, roziskrzone gwiazdami, aby się uczuć prochem, niczem w porównaniu z codziennem chociażby otoczeniem.

Ale panowie botanicy, zoologowie, mineralogowie i chemicy, pochłonięci przez szczegóły, pochyleni nad mikroskopem, nie obejmują widocznie całości — tracą wzrok daleki. Odcyfrowawszy jakieś prawo, jedno z tysięcy, co „odkryciem" nazywają, upajają się swoją potęgą, zapominając, że inną rzeczą jest zrozumieć coś, a inną zrobić. Zajmują oni wobec Najwyższego Mistrza to samo stanowisko, jakie bezpłodny krytyk wobec autora. Pochwyciwszy jakiś rys znamienny dzieła, mniemają, że wniknęli w samą istotę twórczości.

Nie sam tylko Wallace zwrócił uwagę na jednostronność wiedzy czasów ostatnich. Zewsząd odzywają się od lat kilku głosy, domagające się rozszerzenia granic badań ludzkich, określonych ściśle przez pozytywizm. Karol Richet, profesor fakultetu medycznego w Paryżu i redaktor *Revue scientifique*, w przedmowie do francuskiego przekładu dzieła trzech anglików: Gurney'a, Myers'a i Podmore'a, p. t. *The phantasms of the Living*, oświadcza, że możemy być dumni z obecnego stanu nauki, porównywając bowiem to, co wiemy dziś, z tem, co nasi przodkowie znali przy końcu XV-go wieku, należy podziwiać pracowitość i geniusz ludzkości. Ale... „Nasza nauka jest jeszcze zbyt młodą, — dodaje — aby miała prawo do przeczeń bezwzględnych". Twierdzić, że niewolno nam się kusić o zrozumienie jakichś zjawisk dlatego, że one przekraczają możność naszego poznawania, znaczy to samo, co zamykać się rozmyślnie w ciasnem kółeczku praw i faktów już ustalonych, zbadanych, co „negować postęp, zakazywać sobie z góry jednego z owych odkryć zasadniczych, które otwierając drogę nieznaną, stwarzają świat nowy". *)

Liczba przeciwników wiedzy pozytywno-ewolucyonistycznej rośnie z każdą prawie godziną. Uczeni, belletryści i dziennikarze różnych przekonań i kierunków żądają od nauki, aby otworzyła swoje podwoje na rozcież, nie odmawiając dostępu żadnemu zjawisku, chociażby pozornie najniedorzeczniejszemu.

Do takich faktów, wymykających się dotąd z pod kontroli probierzów zmysłowych, zaliczają spirytyści istnienie istot, inaczej od człowieka nieorganizowanych, zwanych pospolicie „duchami". Fakt ten, czy hipoteza, jest właściwą

*) Gurney, Myers, Podmore; w przekładzie polskim J. K. Potockiego; „Zjawiska Życia", Warszawa, 1892 r.; zeszyt 1; str. 5 i 6.

treścią spirytyzmu. „Podstawę teoryi spirytystów — uczy dr. Paweł Gibier *) — tworzy aksyomat, który stanowi kamień węgielny ich wiary i co do którego godzą się wszyscy. Podług spirytystów, możemy porozumiewać się z duchami t. j. z duszami zmarłych... ale tylko za pośrednictwem osobników, obdarzonych szczególną dotąd niezbadaną siłą, za których pomocą duchy nabierają władzy działania na przedmioty materyalne, podpadające pod zmysły. Osobniki, posiadające ową szczególną własność ustanawiania związku między jednym światem a drugim, zowią się *medyami*". Jak jedni rodzą się z talentem muzycznym, poetyckim, malarskim i t. d., tak inni przychodzą na świat, wyposażeni darem „komunikowania się" („komunikacye") z duchami.

Dużo mądrych, często ciemnych słów zużywają spirytyści na „naukowe uzasadnienie" odwiecznego „zabobonu".

Mówi Wallace: „Są prawdy, skłaniające nas do mniemania, iż mogą istnieć i prawdopodobnie istnieją inne, nieskończenie rozmaite postacie materyi i rodzaje ruchów eteru, oprócz tych, do których poznawania uzdatniają nás nasze zmysły. Jeżeli tak jest, mogą być i są prawdopodobnie organizacye, przystosowane do działania na nie i do otrzymywania od nich wrażeń". „Nie byłoby tu żadnego „pogwałcenia praw", żadnego „wtargnięcia do dziedziny prawa zachowania energii". Ani materya, ani ruch nie byłyby stwarzane, albo unicestwiane, jakkolwiekby się tak zdawać mogło. W nieskończonym wszechświecie zasób materyi i siły musi być nieskończony, fakt zaś, że istota eteryczna może ujawniać swoją siłę, bądź to czerpiąc ją z bezgranicznego eteru, bądź z życiowej energii ludzi, nie byłby większym „cudem", aniżeli np. wiekuiste wznoszenie się miliardów kropel wody z oceanu, albo też bezustanna wydajność siły

*) Dr. Paweł Gibier: „Spirytyzm i t. d."; jak wyżej; str. 26.

żywotnej ziemi, których to zjawisk początek zdołaliśmy dopiero teraz odnieść do słońca. Wszystko to byłoby jeszcze naturalnem. Wielkie prawa przyrody zachowały swoje niezaprzeczone zwierzchnictwo. Musielibyśmy tylko wyznać skromnie razem z pewnym uczonym współczesnym, iż nasze pięć zmysłów są bardzo niezręcznem narzędziem przy badaniu materyi nieważkiej, a nadto moglibyśmy się dopatrzyć nowego, a głębszego znaczenia w przytaczanych często, lecz mało uwzględnianych słowach poety, który przypomina: iż są rzeczy na niebie i ziemi, o jakich się naszym filozofom nie śniło“ (jak wyżej; str. 76, 77, 78).

Że „są rzeczy na niebie i ziemi, o jakich się filozofom nie śniło“, wie każdy głupiec. Tylko bardzo mądrym ludziom zdaje się czasem, iż nie ma nic na niebie i ziemi oprócz tego, co rozum ich raczy zauważyć. Ale tacy mędrcy wracają zwykle po złudzeniach młodości do wiary „najgłupszych“.

Bo czemże innem spirytyzm w istocie swojej, jeżeli nie odświeżeniem bardzo starego „zabobonu?“

Pierwszy człowiek, który, straciwszy kogoś bardzo ukochanego, nie mógł się pogodzić z myślą wieczystej rozłąki i szukał osoby drugiej w sferach dla niego niedostępnych, był właściwie ojcem spirytyzmu.

Wiara w życie pogrobowe jest tak dawna i powszechna, iż nie wiadomo, gdzie i kiedy początek swój wzięła. Istnieje ona ciągle, idąc równolegle obok przeróżnych doktryn filozoficznych, trwalsza od nich i mocniejsza. Im kto bliżej natury stoi, tem wrażliwszym bywa na tajemicze głosy i znaki zjawisk, nie ujarzmionych dotąd przez naukę. Nie ma na wsi baby, nie ma chłopa, któryby nie „widział“ czegoś lub nie słyszał od sąsiadów o „strachach“.

Opowiada Eugeniusz Nus (*Choses de l'autre monde*), że indyanie amerykańscy nietylko wierzą w duchy, ale wprost z niemi rozmawiają, radząc się ich w chwilach stanowczych

za pośrednictwem kapłanów. Jakiś Aleksander Henri, pozostający w niewoli u czerwonoskórych wczasie wojen z r. 1759, był kilka razy świadkiem takich komunikacyj. Ilekroć jego zwycięzcy mieli coś ważnego do postanowienia, tylekroć wywoływali ducha, który „nigdy nie kłamie“, i stosowali się ściśle do jego wskazówek. Oprócz owego mieszkańca zagrobowego, mówiącego zawsze prawdę, przybywały na zaklęcia także istoty inne, złośliwe, przewrotne, ale tych nieproszonych gości witano świstaniem i krzykami

Wynika z tego, że już indyanie zeszłego stulecia rozróżniali tak samo, jak współcześni spirytyści, rozmaite rodzaje duchów i posługiwali się „medyami“ (kapłanami).

Nie ma więc nic nowego pod słońcem, są raczej jakieś odwieczne prawdy i wierzenia, które, usunięte na stronę, wzgardzone, wydrwione przez jedno pokolenie, wracają w drugiem, aby znów kiedyś stanąć na uboczu i znów wrócić, *Circulus vitiosus*...

Odżyły w naszych czasach stare upiory, ukochane dzieci duszy, stare „przesądy“, „gusła“, „zabobony“, z tą tylko różnicą, że ubrały się w biret doktorski i udają uczonych.

Uczonych—nie inaczej.

— „Odrzucamy wszelką cudowność zjawisk—twierdz Gibier *) — wszelki mistycyzm i nie uznajemy, ażeby cośkolwiek dziać się mogło po za obrębem praw natury. Sądzimy, że skoro tylko dowiedzioną zostanie ich rzeczywistość, zjawiska, zwane spirytystycznemi, okażą się równie mało nadprzyrodzonemi, jak zjawiska poddawania i hypnotyzmu“.

— „Spirytyzm jest nauką doświadczalną — zapewnia Wallace **) — daje on jedynie pewną podstawę prawdziwej

*) Paweł Gibier, jak wyżej; str. 4.

**) Alfred Wallace, jak wyżej, str. 342, 343.

filozofii, oraz czystej religii; znosi nazwy „nadprzyrodzoność“ i „cud“, a to przez rozszerzenie zakresu prawa, oraz dziedziny przyrody; czyniąc zaś tak, podnosi i objaśnia wszystko, cokolwiek jest prawdziwego w przesądach i tak zwanych cudach wszystkich wieków. On, lecz tylko on jeden, zdolny jest pojednać niezgodne wierzenia, ostatecznie zaś musi doprowadzić do pogodzenia ludzkości w sprawach religii... dokona zaś tego cudu dlatego, bo odwołuje się nie do wiary, lecz do rzeczywistości, stawia fakty na miejscu mniemań“.

Jakaż jest owa „rzeczywistość“, przeciwstawiona przez Wallace'a wierze, owe „fakty“, które miały zastąpić „mniemania?“ Wiadomo, że spirytyzm operuje dotąd dwoma kategoryami zjawisk, t. zw. komunikacyami (stukania, głosy szmery) i objawami natury materyalnej (podnoszenie stołów, rozdzieranie firanek, rozpętywanie węzłów, ukazywanie się tajemniczych rąk i nóg i t. p.). „Fakty“ te mają „doprowadzić ludzkość do pogodzenia w sprawach religii“, mają posiadać większą moc przekonywania, aniżeli rozpamiętywanie tajemnic wszechświata... Wobec takich zapowiedzi, wygłoszonych z takich powodów, trudno sobie nie przypomnieć słów św. Pawła: „Albowiem przyjdzie czas, gdy nowej nauki nie ścierpią, ale według swoich pożądliwości zgromadzą sobie sami nauczycieli, mając świerzbiące uszy. — A odwrócą uszy od prawdy, a ku baśniom je odwrócą“. *)

Zwrócili się pozytywiści i wychowańcy ich ku baśniom, a wołają, że odkryli nareszcie drogę, wiodącą do prawdy.

Rozumie się, że jak zawsze i wszędzie, znaleźli się i obecnie nieuczciwi spekulanci, wyzyskujący łatwowierność

*) Św. Paweł; „Wtóry list do Tymoteusza“; rozdział IV, wiersz 3 i 4.

ludzką. Gdy rozbudzony ruch spirytystyczny zapotrzebował pośredników między zwykłymi śmiertelnikami, nie obdarzonymi darem wnikania w tajemnice pogrobowe, a duchami, znalazły się oczywiście *medya* płci obojga, „komunikujące się“ za pieniądze z każdym nieboszczykiem. Cienie wielkich filozofów, wodzów, poetów zstępują na ziemię na zaklęcia pierwszego z brzegu kuglarza, byłego szewczyka lub krawca. Że zdemaskowano ostatecznie prawie wszystkie znane medya, od rozgłośnego Slade'a począwszy, a skończywszy na Bastianie i Cumberlandzie, że schwytano „wybrańców“ na posługiwaniu się najpospolitszemi sztukami „kuglarskiemi“—nie ochłodziło to bynajmniej zapału spirytystów. Z dniem każdym rośnie armia fantastów, którym się zdaje, że wejdą za pomocą stukań, „aparatów“, znaków, świetlistych rąk i nóg... do królestwa pełnej świadomości, albowiem „skłonne są do zabobonów umysły, które silne przebyły wstrząśnienia“. *)

Chwila, spragniona cudowności, musiała sobie przypomnieć krainy, marzące nad „świętym“ Gangesem o wiecznym spoczynku w nicości. Wszakżeż w Indyach Wschodnich, w tajemniczej do niedawna ojczyźnie bramanów, kształcą do dnia dzisiejszego fakirów, wobec których najzdolniejsze medya amerykańskie zasługują na nazwę nędznych fuszerów. Fakir, zapytany przez zdumionego jego sztukami europejczyka, w jaki sposób dokonywa różnych dziwów, odpowiada tak samo, jak współczesny okultysta

*) Krytyce poważnej poddał spirytyzm, między innymi, ks. Wł. M. Dębicki w studyum p. t. „Koniec wieku XIX“ (jak wyżej). — „Szkic popularny teoryi i praktyki spirytyzmu“ wydał Witold Chłopicki, Warszawa, 1892. — O spirytyzmie piszą dużo Julian Ochorowicz („Tygoduik ilustrowany“) i Ignacy Matuszewski („Przegląd Tygodniowy“).

paryzki lub londyński: „Duchy, które są duszami naszych przodków posługują się nami, jak narzędziem; my udzielamy im swojego płynu naturalnego (*fluidum*). który oni łączą ze swoim i wytworzywszy w ten sposób pewne ciało płynne za jego pomocą działają na materyę".

I zwrócono rzeczywiście uwagę nietylko na fakirów, lecz na Indye wogóle. Ameryka wyprzedziła i w tym wypadku Europę.

W r. 1875 założyło kilka osób w Nowym-Yorku stowarzyszenie pod nazwą „Teozoficzne, aryjskie stowarzyszenie nowojorskie". Jakiś pułkownik Olcott i znana obecnie powszechnie Helena Bławacka są tego związku początkodawcami.

Biografia Bławackiej przypomina opowieści z „Tysiąca nocy i jednej". Urodzona w Ekaterynosławiu (w r. 1831), córka kapitana artyleryi, Piotra von Hahn, i rozgłośnej powieściopisarki, Fadiejew, zaślubiła w siedmnastym roku Bławackiego, wice-gubernatora Erywania. Opuściwszy wkrótce męża, mieszkała przez jakiś czas w Mingrelii, gdzie sprzedawała drzewo i przeniosła się następnie do Odesy, zkąd wyruszyła w drogę naokoło świata. Była w Grecyi i w Egipcie, popłynęła do Indyi, a poznawszy się tam z Olcott'em, od którego słyszała dużo o budaizmie, postanowiła zbadać osobiście tajemnice mędrców dalekiego Wschodu. W tym celu udała się z Olcott'em, jak sama o sobie opowiada, do Tybetu i wzięła z rąk „mahatmasa" Morii, po siedmioletniej nauce, „klucz do rozwiązania wszystkich zagadnień świata". Wyzwolona na majstra w sztukach okultystycznych, wróciła na jakiś czas do Rossyi, do rodziny, pojechała jeszcze raz do Indyj, w końcu osiedliła się w Nowym Yorku, gdzie założyła w roku 1875 razem z Olcott'em owe „stowarzyszenie teozoficzne". Z Ameryki jeździła Bławacka do Europy, do Francyi i Anglii. Umarła w Londy-

nie w r. 1891, uznana przez „teozofów“ za prorokinie, za świętą.

Z innego trochę stanowiska oceniali działalność Bławackiej śmiertelnicy zwyczajni. Rada angielskiego „Towarzystwa badań psychologicznych“, poddawszy wrzekome cuda Bławackiej krytyce naukowej, wydała sąd następujący: „Pani Bławacka, osoba dużych zdolności, nie jest oczywiście uczennicą żadnych tajemniczych mędrców, ani zwyczajną awanturnicą; sądzimy, że historya wyznaczy jej miejsce jako jednej z najprzebieglejszych, najdowcipniejszych i najciekawszych oszustek naszej epoki“. Sąd „Towarzystwa badań psychologicznych“ potwierdziła sama Bławacka. Opowiada Wsiewołod Sołowiew, znany pisarz russki, który obcował przez czas dłuższy z mistrzynią teozofów, że główna siła uczennicy „mahatmasa“ Morii spoczywała w niezwykłym cynizmie i pogardzie ludzi. „Im tak zwany cudowny fenomen — mówiła pewnego razu do niego — jest prostszy i ordynarniejszy, tem łatwiej się powiedzie i silniejsze wywrze wrażenie. Ogromna większość ludzi, którzy się za uczonych uważają, składa się z kapitalnych głupców. Ach gdybyś pan wiedział, jakie lwy i orły w rozmaitych krajach na głos mojej świstawki przemieniały się w osłów. Dość było mi niekiedy gwizdnąć, żeby zaraz posłusznie ogromnemi kłapali uszami“. *)

Na czele stronnictw politycznych i kierunków naukowych albo artystycznych stawają zwykle ludzie, opętani przez jakąś ideę. Gorące ich słowo, drukowane, czy wygłoszone, w które sami wierzą, przekonywa innych, gromadzi wokoło jakiegoś sztandaru tłumy zwolenników. Nawet prorocy negatywnych haseł, nawet materyaliści i sceptycy,

*) Daty, odnoszące się do Bławackiej, zaczerpnąłem ze studyum Wł. M. Dębickiego (jak wyżej). (*Przyp. autora*).

są swoich zasad pierwszymi i najgorliwszymi wyznawcami. Tylko w chwilach anarchii intellektualno-moralnej wypływają na wierzch szumowiny społeczne pod postacią awanturników i kuglarzów, strojących się w suknie kapłanów.

Inaczej trudno sobie wytłómaczyć szeroki rozgłos rzeczywisty takich Bławackich, Olcott'ów, Slade'ych i t. p. „mistrzów".

Bławacka wraz z Olcott'em dowiedli zręczności, wskazując niedowiarkom, spragnionym wiary, naukę Buddhy. Wychowańcy pozytywizmu, czując konieczność powrotu do „starych przesądów", a nie chcąc się upokorzyć przed chrześciaństwem, uczepili się skwapliwie budaizmu, którego zasady przewyższają w istocie pod każdym względem światopogląd materyalizmu. Dość zestawić katechizm Buddhy z dążnościami teozofów, aby zrozumieć przyczynę powodzenia budaizmu.

Buddha uczył: nie zabijaj, nie kradnij, nie cudzołóż, nie kłam, nie używaj trunków odurzających! *Szukaj prawdy;* bądź miłosiernym dla wszystkich, nawet dla nieprzyjaciół; wykonywaj dobre uczynki; bądź czystym w czynach, w słowach i myślach; nie ubiegaj się o bogactwa; nawiedzaj chorych, wykupuj więźniów, pouczaj nieświadomych. *)

Teozofowie oświadczają: Zdawało się nam, iż, aby przeciwdziałać przeciw najazdowi zbyt ordynaryjnego materyalizmu i wzmocnić węzły rozprzęgających się uczuć religijnych, należy stworzyć stowarzyszenie, pozbawione ducha sekciarskiego, a jednoczące członków wszystkich ras w celu poszukiwania prawdy i krzewienia jej pomiędzy bliźnimi. **)

---

*) Emile Burnouf; „Le Bouddhisme en Occident"; w „Revue des deux Mondes"; zeszyt z 15-go lipca 1888 r., str. 342 i 343.

**) Emile Burnouf; jak wyżej; str. 368.

Gdyby teozofom szło tylko o wzmocnienie uczuć religijnych i o podniesienie poziomu moralnego chwili obecnej, jak usiłują wmówić w łatwowiernych, nie potrzebowaliby się cofać aż do Buddhy. Chrześciaństwo sformułowało daleko lepiej i przejrzyściej moralność ludzi uczciwych i szlachetnych i pamięta praktyczniej o potrzebach religijnych jednostki. Ale teozofowie „poszukują także prawdy“, na co kładą nacisk. Wiadomo, że Bławacka postawiła na czele swoich teoryj zdanie: nie ma religii wyższej nad prawdę.

Tej prawdy nie daje podług teozofów chrześciaństwo, przeto należy szukać dróg do niej wiodących w budaizmie, raczej u późniejszych mędrców Indyj Wschodnich, którzy doprowadzili „sztuki tajemne“ do stopnia wysokiego. O te „sztuki tajemne“, o t. zw. mądrość okultystyczną, idzie głównie neobudystom, pokrewnym w tym względzie spirytystom, chociaż obydwa prądy zajmują wobec siebie stanowisko wrogie.

Tak spirytyzm, jak neobudaizm, czyli teozofizm, przekonały krocie wczorajszych niedowiarków. Liczba ich zwolenników przewyższa niewątpliwie milion. Spirytyści wydają obecnie 37 czasopism w języku hiszpańskim, 27 w angielskim, 13 we francuskim, 5 w niemieckim, 3 w portugalskim, 2 we włoskim i posiadają mnóstwo stowarzyszeń naukowych i wzajemnej pomocy. Teozofowie ogarnęli prawie całą kulę ziemską. Ze stowarzyszenia nowojorskiego wykwitło w przeciągu lat ośmnastu (od r. 1875—1893) sto pięćdziesiąt ośm związków, rozrzuconych po Ameryce, Europie, Azyi i Australii. Główne ognisko neobudaizmu znajduje się obecnie w jego ojczyźnie, w Indyach Wschodnich, w prowincyi Madras, w miejscowości Adyar, gdzie wybudowano wspaniały gmach (1866 r.), przeznaczony na bibliotekę i na zebrania członków. Teozofowie wydają dzieła i własne, specyalne czasopisma.

Mówiąc o spirytystach i neobudystach, nie wolno pominąć nowoczesnych okultystów, którzy, wydobywszy z zapomnianych zakątków bibliotek dzieła hebrajskich filozofów „ezoterycznych“ i średniowiecznych alchemików (Agrypa von Nettesheym, Paracelsus, van Helmont i in.), „poszukują prawdy“ tak samo, jak i spirytyści i teozofowie. W jednym tylko punkcie różnią się kabaliści od spirytystów. Podczas bowiem kiedy drudzy twierdzą i wierzą, że wszelkie zjawiska „nadprzyrodzone“ wywołują wezwane przez *medyum* duchy, uczą pierwsi, iż oprócz duchów działają także inne czynniki, mianowicie t. zw. „ciało astralne“ (*le corps astral*), czyli część składowa człowieka, wydzielająca się z niego w danej chwili, i „elementale“ (*les élementals*), czyli istoty niższe, wykonywające rozporządzenia duchów wyższych.

Szukając źródła współczesnego spirytyzmu, teozofizmu, okultyzmu i mistycyzmu wogóle, należy nieco rozszerzyć definicyę człowieka, daną przez naukę pozytywną. Mędrcy drugiej połowy bieżącego stulecia, począwszy od Comte'a, usiłowali okuć potomka legendowych tytanów w kajdany rozumu, jedynego, według nich, prawowitego władcy na ziemi. Popełniwszy ten sam błąd, jakiego się encyklopedyści dopuścili, zbierają obecnie te same owoce. Bo prawdą nie jest, aby rozum zadawalniał wszystkie potrzeby człowieka. Serce, świat uczuć, — wyobraźnia, dekoratorka smutnej zawsze walki o byt — mają w życiu istoty myślącej nie mniejszy udział od niego. I nie jest także prawdą, aby człowiekowi wystarczała ta wiedza, którą można nabyć za pośrednictwem bezpośredniej obserwacyi, co zresztą już sami twórcy pozytywizmu po złudzeniach pierwszej młodości przeczuwali.

F. Paulhan, jeden z niewielu młodszych autorów francuskich, których można czytać i rozumieć bez komentarza, mówi bardzo słusznie: „Ponieważ czujemy w sobie żądze

nienasycone i siły niewyzyskane, przeto wnioskujemy chętnie, chociaż niemądrze, iż istnieje coś we wszechświecie, co powinno zadowolnić te żądze, rozpętać te siły, a to coś nie jest nam znane. Czujemy się otoczonymi niezmierzoną falą niepoznawalnej (*inconnu immense*) i żądamy, aby nam do niej nie zagradzano drogi, pozytywizm zaś i ewolucyonizm zamknęli ten przystęp... Z tych powodów okazał się ewolucyonizm, aczkolwiek zostawił po sobie wielkie idee, niezdolnym do kierowania umysłami'. *) — „Ewolucyonizm, materyalizm i pozytywizm naukowy wymyślili sobie świat zanadto prosty, zrozumiały, a równocześnie za mało zadowalniający. Gdyby się rzeczy tak miały wistocie, jak nam ich doktryny opowiadają, byłby świat zbyt płaskim dla inteligencyi, a dla uczucia zanadto oschłym (jak wyżej, str. 132).

„Zanadto oschłym". W określeniu tem streścił Paulhan wszystkie wady wiedzy pozytywno-ewolucyonistycznej i wskazał prawdziwe źródło nowoczesnego mistycyzmu.

Zbyt oschłym był wistocie świat zbudowany przez rozum i dlatego zbuntowało się przeciw niemu uczucie pospołu z wyobraźnią. Człowiek-dusza i człowiek-serce obrzydzili sobie wiarę i cele człowieka-zwierzęcia i zapragnęli znów marzyć, śnić, wzlatywać na skrzydłach fantazyi w krainy, do których rozum dostępu zabronił. „Niebieski kwiat" romantyków, zdeptany przez pozytywistów, podnosi główkę, zwróconą w niebo. Duchów widzi, szerokie, jasne myśli i wielkie uczucia...

Ale wszelkie reakcye, jakiekolwiekby one były, materyalistyczne, czy idealistyczne, mają to do siebie, że nie umieją znaleźć odrazu miary właściwej. Przerzucając myśl gwałtownie z jednej sfery pojęć w drugą, wręcz przeciwną,

*) F. Paulhan; „Le nouveau mysticisme"; 1891 r. str. 119 i 120.

grzeszą z początku zawsze przesadą. Spirytyzm (nie w rozumieniu dyletanckim, lecz naukowem, który jest w istocie wyrazem niezadowolenia przeciw ciasnym granicom pozytywizmu i ewolucyonizmu, zamiast zająć się psychologią człowieka, skoszlawioną przez fizyologów, oczernioną przez naturalistów i dekadentów, rzuca rzeczywistość dla domysłów, prawdę dla złudzeń, życie człowieka dla tajemnic zagrobowych. Teozofizm, wykwitłszy ze wstrętu do moralności „niezawisłej“, do jej skutków praktycznych, odwraca się od chrześciaństwa, chociaż nauka Chrystusa nie przestała być dotąd przeczystą krynicą zasad etycznych.

Nie ma nic nowego pod słońcem, ale nic też nie powtarza się w tej samej formie. Prądy poprzednie zostawiają po sobie zawsze jakieś ślady.

Zdawałoby się, że spirytyści i okultyści, zerwawszy ze światopoglądem materyalistycznym, wyrzekną się także jego pychy „naukowej“, że nie będą się ubiegali o tytuł uczonych. Tymczasem różnią się właśnie „czarnoksięznicy“ chwili obecnej od dawniejszych... „naukowością“. Podczas kiedy kapłani Chaldei, Egiptu, Grecyi i alchemicy wieków średnich powoływali się na współudział sił tajemnych (ztąd nazwa okultyzmu), nowocześni cudotwórcy, jasnowidzący i wywoływacze duchów, głoszą i wierzą, iż przestąpią próg „niepoznawalnej“ jedynie za pomocą „ścisłych“ badań. Wielu z nich zastosowuje do zjawisk, zwanych dotąd nadprzyrodzonemi, metodę doświadczalną, chociaż oczywiście bez skutku. Ta wrzekoma naukowość okultyzmu chwili bieżącej jest spuścizną po doktrynie pozytywno-ewolucyonistycznej.

Okultyści łudzą się, gdyż nie miłość faktów pozytywnych spowodowała przewrót obecny, lecz przeciwnie, jak słusznie Paulhan zauważył *), miłość cudowności, która mści

*) F. Paulhan; jak wyżej; str. 104.

się za lekceważenie jej praw i siły. „Magia, czarnoksięźnictwo, astrologia, wróżenie, wszystkie te odwieczne zabobony, rodzą się z potrzeby człowieka—z potrzeby łatwego oddziaływania na świat zewnętrzny i na społeczeństwo".

Być może, iż spirytyści i okultyści odkryją z czasem jakąś nową siłę, której znajomość posunie wiedzę ludzką o cały krok naprzód, dotąd jednakże nie wyszli z ciasnego koła jałowych eksperymentów, robiących wrażenie zabawki dużych dzieci. Są to dopiero mgławice bez pochwytnych form i wyraźnego rysunku, próby, nie zasługujące wcale na uwagę powszechną.

To samo odnosi się i do artystycznego wcielenia obecnej reakcyi umysłowej, do t. zw. symbolizmu w literaturze pięknej.

Ktoby chciał zobrazować dokładnie i przejrzyście ruch literacki, znany od pewnego czasu pod etykietą symbolizmu, powinienby być nie psychologiem i krytykiem, lecz wróżbitą. Na taki chaos zasad estetycznych i filozoficznych, jaki panuje w najmłodszem pokoleniu autorów francuskich, trzeba bardzo długo czekać.

Przedewszystkiem nie wiadomo, komu przysługuje tytuł symbolisty, a komu dekadenta, dwa te kierunki bowiem zlały się z sobą do tego stopnia, iż prawie niepodobna oznaczyć właściwości jednych i drugich.

Sami symboliści, mówiąc o sobie, łączą oba terminy (*symbolistes-décadents*) i powołują się na Pawła Verlaine'a, jako na swojego mistrza. Tymczasem wypiera się autor „*Sagesse*" tego stanowiska. Badany przez Juliusza Huret'a, odpowiedział Verlaine jak następuje *): „Symbolizm?... Nie rozumiem... To musi być jakieś słowo niemieckie... hę?...

---

*) Juliusz Huret; „Enquête sur l'évolution littéraire"; 1891 r.; 67, 68, 69.

Co ono może oznaczać?... Mało mnie to zresztą obchodzi. Gdy cierpię, raduję się lub płaczę, wówczas wiem bardzo dobrze, że to nie symbol. Widzi pan, wszystkie te nazwy wymyślają niemcy. Cóż to może obchodzić poetę, co Kant, Schopenchauer, Hegel i inni jacyś tam mędrcowie myślą o uczuciach ludzkich. Co do mnie, jestem francuzem, słyszy pan, zaciekłym francuzem, przedewszystkiem. Nie czuję w sobie potrzeby ślęczenia nad przyczyną przyczyny moich łez (*le pourquoi du pourquoi de mes larmes*). Gdy jestem nieszczęśliwy, piszę wiersze smutne; oto wszystko"...—„Nudzą mnie nareszcie ci cymbaliści (*cymbalistes*), oni i ich śmieszne przejawy. Gdy się chce wywołać prawdziwą rewolucyę literacką, postępuje się inaczej. W r. 1830 szli ludzie pod sztandarem „Hernani'ego". A dziś? dziś są to wysiłki płaskich nóg, z których każda niesie swoją własną chorągiew, a na niej błyszczy hasło: „reklama!"—„Ta cała wrzawa jest przedewszystkiem śmieszna, ale i śmieszność powinna mieć swoje granice". — „To nie są już wiersze, to proza, a najczęściej nieznośny żargon (*charabia*) A przedewszystkiem nie jest to francuszczyzna, nie, to nie jest francuszczyzna, a przecież francuzami jesteśmy, do wszystkich dyabłów..."

Po tak morderczej krytyce należy się dziwić symbolistom, że tłoczą się do Verlaine'a, mistrzem go swoim nazywając. Autor *Fêtes galantes* i *Parallèlement* jest w istocie tylko o tyle symbolistą, o ile nim powinien być każdy poeta. Dekadent to niezaprzeczony, prawowity dziedzic Baudelaire'a, nie mający nic wspólnego z literaturą przyszłości. Jeżeli się w nim czasem „anioł przebudza" (*Sagesse*), to jedynie dlatego, że urodził się prawdziwym poetą.

Bo Verlaine jest talentem rzeczywistym, przewyższającym mimo dziwactw o całą głowę gromadkę najmłodszych rymotwórców francuskich. Talentowi swojemu zawdzięcza on prawdopodobnie mylną rolę, jaką mu nowe pokolenie pod-

suwa. Nie mogąc się dotąd zdobyć na własnego naczelnika, symboliści grupują się naokoło dekadenta.

Różni krytycy wymieniają różnych symbolistów. Najczęściej obijają się o uszy niewtajemniczonych nazwiska: Mallarmé'go, Moréas'a, Morice'a, Henryka de Régnier, Karola Vignier, Adryana Remacle, Ghil'a, Maeterlincka, Aurier'a, Rémy de Gourmont, Gustawa Kahna, Adama i t. d. Ze wszystkich tych firm, podobno głośnych w Paryżu, jak ich właściciele sami o sobie opowiadają i drukują, wybiegło po za granice Francyi i Belgii jedyne imię Maurycego Maeterlinck'a. O reszcie nie wie Europa nic, chociaż już Anatol Baju zapewnial w r. 1887, że jego i jego przyjaciół słowa popłynęły echem nad „obudwoma światami". *) Tymczasem nie wybiegły „nowe hasła" nawet po za ciasne kółeczko najbliższych wtajemniczonych, chociażby dlatego, że nie miało co wylecieć, symboliści bowiem odznaczają się, jak dotąd, nieznaną starszemu pokoleniu bezpłodnością. Wydają oni z siebie tak mało, rysują się tak niewyraźnie i koszlawo, iż trudno ich pochwycić.

Obok Verlaine'a np. słyszy się najczęściej nazwisko Stefana Mallarmé'go, wymieniane z czcią i uznaniem. Ma to być jeden z największych poetów chwili obecnej.

Uczonych i artystów poznaje się zwykle po ich dziełach. Bo jakże inaczej możnaby odróżnić poetę od szewca lub stróża? Autor dramatyczny powinien pisać dzieła teatralne, powieściopisarz powieści, nowelista nowele, krytyk studya literackie. Tak sądzą zwyczajni śmiertelnicy.

Inaczej symboliści. Gardząc „definicyami motłochu", wynieśli oni na stanowisko pierwszorzędnego poety człowie-

*) Anatol Baju: „L'école decadente": drugie wydanie 1887 r., str. 2 „Nous avons jeté un formidable cri d'alarme, ouï et répercuté par tous les échos à travers les deux Mondes.

ka, który nie stworzył ani jednego dzieła poetyckiego. Stefan Mallarmé, chociaż liczy już lat pięćdziesiąt, wydał dotąd tylko garść przekładów z literatury angielskiej, kilka podręczników szkolnych, studyum literackie, p. t. *Les dieux de la Grèce* i krótki poemacik (120 wierszy) p. t. „Popołudnie Fauna“ *(L'Après-midi d'un Faune;* 1887 r.). To „Popołudnie Fauna“, rodzaj eksperymentu w guście liryki Maeterlincka, bezmyślne zestawienie „wrażeń“, pasowało Mallarmé'go na rycerza i na drugiego naczelnika symbolizmu.

Podobno wpływa Mallarmé ustnie na wielbicielów swoich, uczy symbolistów znaczenia symbolów na zebraniach, które u siebie urządza. Jeżeli tak jest, to należy mu się rzeczywiście szacunek uczniów, ale szersza publiczność nie ma potrzeby uznawać jego geniuszu, którego owoców nie widzi. Drwią też nie sami tylko profanowie z wrzekomej znakomitości Mallarmé'go, za co odbierają przezwiska „głupców“, nierozumiejących się na wartości duszy poetyckiej.

Wielką radość wywołał w obozie symbolistów paryzkich tomik poezyj Jana Moréas'a p. t. „Namiętny pielgrzym“ *(Le pèlerin passionné*, 1891 r.), w którym autor naśladuje język i składnię XV i XVI wieku. Koleżeńskim bankietem powitano ten fenomen literacki. *Habemus papam*, mamy nareszcie poetę, wołano przy kieliszku i wróżono symbolizmowi świetną przyszłość.

Oto mniej więcej wszystko, co symbolizm paryzki wydał dotąd głośniejszego. Próby nowej poezyi, wychodzące w dawkach bardzo skąpych od czasu do czasu z pod piór innych autorów *minorum gentium* (Laforgue, Dumur, Vignier i in.) można pominąć, gdyż nie przekroczą nigdy kółka wzajemnej adoracyi.

Obłudna to zresztą adoracya, czego dowodem rezultaty intervievu Juliusza Huret'a. Jak Verlaine sponiewierał hurtem wszystkich symbolistów, tak kąsa każdy z nich

po szczególe szczęśliwego współzawodnika. Odczytując „ankietę literacką“ Huret'a, słyszy się ciągle syczenie małej zawiści, nie mogącej znieść cudzego powodzenia. Bardzo nieprzyjemne wrażenie robią przyszli mistrzowie literatury francuskiej w oświetleniu pomysłowego reportera.

Samo określenie symbolizmu nie należy do zadań łatwych, tak bowiem twórcy, jak teoretycy szkoły nie umieją wytłómaczyć jasno swoich dążności reformatorskich. Ujęcie definicyi utrudnia jeszcze ta okoliczność, że pod firmę symbolizmu podszywają się dekadenci, jak: Verlaine, Ghil, Rimbaud i in., którzy, wykładając po swojemu znaczenie symbolu, przyczyniają się do powiększenia zamętu.

— Sądzę — uczy Mallarmé *)—że należy *dawać tylko aluzye*. Rozpamiętywanie przedmiotów, obraz, wysnuwający się z marzeń przez nich pobudzonych — oto śpiew. Parnasiści biorą rzecz całą i pokazują ją taką, jaką jest, pozbywając się w ten sposób tajemniczości. *Nazwać przedmiot, znaczy to samo, co stłumić trzy czwarte przyjemności poematu, polegającej na szczęściu stopniowego domyślania się. Poddać przedmiot, oto marzenie (le suggerér voilà le rêve).* Dokładną wskazówką tajemnicy, stanowiącej istotę symbolu, jest: wywoływać powoli przedmiot, aby pokazać stan duszy przez seryę odcyfrowań.

— Środkiem symbolu jest suggestya — mniema Karol Morice **). — Trzeba dać ludziom pamięć czegoś, czego nigdy nie widzieli.

— Symbolizm jest poszukiwaniem nieznanego przez znane, nieludzkiego przez ludzkie (*du nonhumain par l'humain*)—twierdzi Adryan Remacle.

*) Juliusz Huret; jak wyżej; str. 60.

**) Juliusz Huret; jak wyżej; str. 85.

— Należy przywiązywać wagę tylko do tego — prawi Maeterlinck *) — z czego nie możemy sobie zdać sprawy. — Każde arcydzieło jest symbolem, a symbol nie znosi czynnej obecności człowieka. Rozbrat bezustanny panuje między siłami symbolu i siłami człowieka .który się w nim obraca. Symbol poematu jest ogniskiem, którego promienie rozbiegają się w nieskończoność, a promienie te, o ile wychodzą z arcydzieła bezwzględnego, podobne tym, o jakich była mowa przed chwilą, mają doniosłość, którą ogranicza jedynie potęga biegnącego za niemi oka. — Każde dzieło poetyckie powinnno być świątynią marzenia.

Powyższe określenia najgłośniejszych z pomiędzy symbolistów przypominają napuszoną gadaninę młodzików, którzy, nie umiejąc się jeszcze logicznie wyrazić, pokrywają nieudolność i ubóstwo myśli „mądremi“, „głębokiemi“ słowami. Bo na dnie tego szumu tajemniczych frazesów spoczywa jakiś sens, jakiś ślad definicyi, którą trzeba wyłuskać z pochwy śmiesznej frazeologii. *Symboliści nie życzą sobie poprostu nazwania rzeczy po imieniu, plastycznego, pełnego odtworzenia danego przedmiotu. Według nich powinien artysta potrącić zaledwo o rzecz, myśl, uczucie, wywołać wrażenie, pobudzające nie domyślenia, lecz do marzenia.* Świątynią marzenia jest każde dzieło poetyckie (Maeterlinck) — trzy czwarte przyjemności zniweczył, kto wymienił przedmiot (Mallarmé).

Nie ma nic nowego w tej rzekomej reformie symbolistów, poezya bowiem „nastrojowa“ (niemieckie *Stimmung)* nie należy do wynalazków nowszych czasów. Znali jej mgliste widziadła bardzo dobrze romantycy (głównie niemieccy) i lirycy wszystkich czasów. Dla takiego zresztą

---

*) Maurycy Maeterlinck; „Menu propos—le théatre“ w „La jeune belgique“, 1890 r., zeszyt 9.

drobiazgu nie warto było tracić tylu słów i robić tyle wrzawy. I symbolu, który jest w poezyi jednym z głównych środków uwypuklenia myśli i uczuć, nie można zaliczyć do zdobyczy nowych mistrzów francuskich.

Gdyby w symbolizmie nie tkwiło nic więcej nad symbol i nastrojowość, możnaby przejść po nim do porządku dziennego, byłby bowiem wówczas tylko odmianą dekadentyzmu. Ale oprócz estetyki i techniki posiada on także własną filozofię.

Karol Morice, jedyny z pomiędzy symbolistów-dekadentów (jego własne określenie), który zdobył się na próbę ujęcia luźnych dotąd, nieustalonych formułek w pewną całość, odchyla rąbek zasłony, pokrywającej tajemnicze oblicze symbolizmu. Tylko rąbek, i on bowiem, wierząc, jak Mallarmé, że „dar jasnego wyrażania się jest łaską drugorzędną“ (*que la clarté est une grâce secondaire*), posługuje się gwarą nie „zwyczajnego śmiertelnika“, lecz „podniosłą, mistyczną mową“ magów i alchemików.

W książce p. t. „Literatura chwili obecnej“ (*La littérature de tout-à l'heure*) usiłował Morice zobrazować historyę myśli ludzkiej (*Les formules accomplies*) i rzucić garść światła na chaos obecny (*Influences nouvelles; formules nouvelles*). Dzieło otwiera rozdział wstępny p. t. „O prawdzie i o pięknie“ (*De la Vérité et de la Beauté*), a zamykają je „Komentarze do przyszłej książki“ (*Commentaires d'un livre futur*). Aczkolwiek się Morice w przedmowie (*Avertissement*) zastrzega przeciw tytułowi szampiona, występującego w imieniu pewnej grupy, oświadczając wyraźnie, że bierze całą odpowiedzialność za wygłoszone sądy i teorye tylko na siebie (*on n'engage ici que la responsabilité de l'auteur*), mimo to można jego studyum uważać za rodzaj manifestu „młodej Francyi“.

Streszczenie dzieła Morice'a nie miałoby celu, chociażby dlatego, żeby niczego nie nauczyło. Doktryner i filozof

symbolistów-dekadentów nie stara się ani o jasny wykład, ani o porządną budowę całości. Zamiast spokojnie argumentować, wyrzuca on z siebie potok wielkich słów i zawiłych frazesów, w znacznej części niezrozumiałych dla „motłochu“. Tu i owdzie tylko wsuwa uwagę, ułatwiającą przystęp do misteryów symbolizmu.

I tak czytamy zaraz na pierwszych stronnicach *):

— I uczeni dopuścili się wielu grzechów, co należy raz powiedzieć bez ubliżenia ich godności. Wolter i encyklopedyści rozpoczęli śmieszne i złe dzieło, popularyzując niepotrzebnie naukę. Pod pióro moje cisną się nazwiska uczonych, którzy poprowadzili dalej w bieżącem stuleciu tę robotę niemądrą. Wiem dobrze, iż ściśle wziąwszy, nie odpowiadają oni za skutki straszliwe, których nie mogli przewidzieć; wiem także, iż panów tych ożywia uczucie szlachetne, że ulegli prozelityzmowi, co sprawia, że nowa idea, jak mówi, Carlyle, pali mózgi trochę inaczej, niż złoto kieszenie. Ale są to mimo to zapały nierozważne, które przyspieszają dekadencye społeczeństw. Należy żałować, iż nasi uczeni nie zrozumieli, że, popularyzując wiedzę, przyczynili się do jej rozkładu, że oddawanie Zasad (*Les principes*) na pastwę podrzędnych pamięci (*aux mémoires inférieures*), znaczy to samo, co narażenia ich na niepewności wykładów bez powagi (*aux incertitudes d'interpétations sans autorité*), błędnych komentarzów i różnowierczych hipotez. Bo słowo, zamknięte w książkach (*Le Verbe enclos dans les livres*), jest rzeczą martwą; książki nawet mogą przepaść, a zostaje tylko prąd przez nie wskazany, powiem, z nich się wydobywający — a co zrobić, gdy wywołały burzę i rozpętały ciemności? Oto jest rezultat najoczywistszy tego dziecinnego popularyzowania wiedzy“.

*) Karol Morice: „La littérature de tout à l'heure“: 1889 r. str. 5, 6, 7, 8.

— „Od czasu, kiedy ludzie znają adres księgarza, który może im za ceną umiarkowaną dostarczyć wytłómaczenia, tajemnic świata, od chwili, kiedy tym ludziom powiedziano, że wszystko sprowadza się do A = B, arogancya głupców urosła niepomiernie. Któżby im chciał opowiadać o głębi mytów i piękności bajek? Formułek tylko domagają się, 2 i 2 czyni 4, bo to istota wszystkiego. Dwa a dwa czyni cztery stłumiło łaskę ducha (*la grâce de l'esprit*). Duch!? Mówi się dziś tylko o inteligencyi, duchowi zaś (*esprit*, nasze „spryt“)—niegdyś boskiemu *Spiritus*—zostawiono przez symbol bardzo jasny znaczenie kalambura (*les sens d'un calembour*), — „okropnie to ludziom pochlebiało, gdy im powiedziano, że Mojżesz był tylko lekarzem, a Chrystus człowiekiem — i poziom świata obniżył się“. — „Cywilizacye starożytne przepadły, gdy do kolegium wtajemniczonych wprowadzono niegodnych uczniów. Ponieważ ludzie pospolici nie mogli znieść pewnego światła wtajemniczenia, przeto zgasilili je, stłumili“ *).

W ten sposób nie odezwałby się żaden pozytywista, ewolucyonista, materyalista, żaden wogóle niewolnik wiedzy, padający w proch przed „faktem“. Głos to człowieka, który rozumie dobrze nierozum rozumu, usiłującego wytłómaczyć wszystko za pomocą obserwacyi i eksperymentu — głos reakcyi przeciw bałwochwalstwu naukowemu ostatnich czasów.

Albo określenie bieżącego stulecia, dane przez Morice'a **):

— Straszliwy wiek XIX! Z oczami na pół otwartemi, jeszcze niezupełnie rozbudzony po zmorze, która go du-

*) Za bałamutną frazeologię i niedbałą składnię powyższych ustępów odpowiada oczywiście Morice. (Przyp. aut.).

**) Karol Morice; jak wyżej, str. 61.

si, nie posiada się, nie wie, co z sobą począć. Pożąda tylko, pożąda, pożąda, o Boże, z takiem pragnieniem, jak świat nigdy nie pożądał...

Skarga to wychowańca wiedzy niezawisłej, która, podrażniwszy pychę i apetyty człowieka, opuściła zawiedzionego w chwili, gdy mu się zdawało, iż dojdzie nareszcie, dokąd ludzkość zmierza od lat tysięcy.

Po tej bardzo ładnej definicyi XIX stulecia następuje gorąco napisany akt oskarżenia, rzucony w twarz kościołowi, że „nie umie jakoby przygarnąć człowieka nowoczesnego". Ale na dnie tego aktu drży tęsknota za religią, za wiarą w Objawienie, różniąca się stanowczo od chłodnej krytyki pozytywistów. „Powiedziałem już — mówi Morice *) — że być może, iż po długim czasie będziemy podziwiali zmartwychpowstanie wielkiej „Uśpionej" (*de la grande Endormie*), której sen robi wrażenie snu śmiertelnego. Będziemy wówczas wierzyli i zawołamy z radością entuzyastyczną: „hosannah!" — Poeci i myśliciele, słyszymy powiewy tajemnic, odzywających się głucho w głębi zjawisk, i idziemy do światła, do życia, chociażby po przez ciemności historyczne, jeżeli nam one pokazują więcej życia, światła, aniżeli mrok współczesny, zdający się prowadzić taniec umarłych". Szukamy prawdy w harmonijnych prawdach piękna, wydobywając z niej całą metafizykę — bo harmonia odcieni i tonów symbolizuje harmonię dusz i światów—i całą wogóle moralność: ponieważ wywiedliśmy słowo „*honnêteté*" ze słowa *honestus*, które oznacza piękno...

Zastanawiając się w rozdziale czwartym (*Formules nouvelles*) nad znaczeniem dekadentów-symbolistów, mówi Morice: „Na dnie ich myśli spoczywa pragnienie *wszystkiego*.

*) Jak wyżej; str. 65.

Synteza estetyczna, oto, czego szukają“ (jak wyżej; str. 297). Sumując ostatecznie sądy swoje o przeszłości i wskazówki na przyszłość, oświadcza: „wielka analiza ostatnich trzech wieków nakazuje chwili obecnej obowiązek logiczny syntezy (*le devoir logique de la syntèse*). Po stopniowem zbadaniu przez literaturę dokładności (*littérature de précision*), posługującą się środkami sztuk geometrycznych, nieruchomych, duszy, uczuć i wrażeń zmysłowych człowieka, należy „poddać teraz całego człowieka przez całą sztukę“ (*suggérer tout l'homme par tout l'art*)“ (str. 538). „Analiza była smutna, gdyż wygnała ducha, podzieliła dziedzictwo... Synteza wraca ducha swojej ojczyźnie, łączy znów dziedzictwo, kojarząc sztukę z prawdą i pięknem. Syntezą sztuki jest: wesołe marzenie pięknej prawdy. (*Le rêve joyeux de la vérité belle;* str. 359).

Wsłuchawszy się dobrze w tę śmieszną gwarę mistyczną, która ma być „głęboką“, przywykłszy do barbarzyńskich słów i określeń Morice'a, rozumie się powoli cele symbolizmu. Nowi prorocy wykwitli tak samo, jak spirytyści i okultyści, z reakcyi uczucia przeciw rozumowi, ducha przeciw zmysłom. Zamierzają oni odegrać rolę romantyków niemieckich, oburzonych na chłód i płaskość „oświecenia“. Zniechęceni do pozytywizmu i ewolucyonizmu, który zgubił po drodze, w pogoni za faktami, tajemnice wszechświata i psychologię człowieka, zastąpiwszy pierwsze prostym mechanizmem, a na miejsce drugiej podsunąwszy fizyologię — przerażeni praktycznemi skutkami światopoglądu materyalistycznego (walka o byt, dobór naturalny), symboliści marzą o zmartwychpowstaniu w sztuce pełnego człowieka (z duszą), o harmonii między prawdą (tem co jest), a pięknem (tem co być powinno), czyli dobrem, co na jedno wychodzi. Marzą—dotąd bowiem nie zdają sobie dokładnie sprawy z dążności jutra, które widzą dopiero jakby pod zasłoną, utkaną z mgły. Ztąd ich bałamutny sposób wyraża-

nia się, ich ciemna frazeologia w rozprawach teoretycznych, a dziwaczne, potworne nieraz eksperymenty w utworach poetyckich. Stoją oni na progu nowego kierunku literackiego... Przeczuwają jego ideały, nie ogarniając ich jeszcze świadomie. Stanowią oni ze spirytystami i okultystami jedną rodzinę, połączeni z nimi wspólnemi zaletami (niechęć do materyalizmu, tęsknota za religią, wiara w duchowość i celowość człowieka) i wspólnemi wadami (niejasność doktryny, niepewne szukanie drogi, przerzucanie się z jednej skrajności, z materyalizmu, w drugą ostateczność, w mistycyzm).

Opowiada Morice: „Nie wielu z pomiędzy tych młodych ludzi posiada dokładne wiadomości o religii i filozofii. Z terminów technicznych religii spamiętali sobie ładne słowa, jak: cymboryum, monstrancya i t. p. Niektórzy z nich nauczyli się od Spencera, Mill'a, Schopenhauer'a, Comte'a i Darwin'a strzępów terminologii. Rzadcy są, którzy wiedzą naprawdę, o czem mówią... (jak wyżej; str. 274).

Sam zresztą Morice, chociaż czytał i myślał niewątpliwie więcej od reszty symbolistów, nie umie jeszcze oddzielić dekadentów od symbolistów, miesza rodzaje, szkoły, doktryny, ludzi. Mówiąc o świecznikach XIX stulecia, zestawia obok siebie: Edgara Poë, Carlyle'a, Herberta Spencera, Darwin'a, Augusta Comte'a, Klaudyusza Bernard'a i Berthelot'a... (str. 57). Edgard Poë i Klaudyusz Bernard, Carlyle, Berthelot... pies z kotem, woda z ogniem?...

I być inaczej nie może. Na początku każdej rzeczy był zawsze chaos. Dopiero dłuższy czas porządkuje nowy materyał, wprowadza ład do mgławic, myśli i uczuć, rzeźbi pochwytne, wyraźne oblicza autorskie.

Jeden z najmłodszych symbolistów paryzkich, Henryk de Régnier, badany przez Huret'a, odpowiedział bardzo rozumnie. Symbolizm jest, zdaniem jego, rodzajem schroniska

dla wszelkich nowicyuszów literackich, dla wszystkich tych, którzy nie mają ochoty wstępować w ślady parnasistów i naturalistów i walać się w błocie, jak oni. „Ścigani zewsząd, prawie jednogłośnie oplwani, czują potrzebę zaciągania się pod jakiś wspólny sztandar, aby módz walczyć skuteczniej przeciw zadowolonym. Za lat pięć, dziesięć zostanie niezawodnie bardzo niewiele z obecnej sumarycznie improwizowanej dowolnej klasyfikacyi (Juliusz Huret; jak wyżej; str. 91 i 92).

Bardzo to trzeźwe zdanie, przynoszące zaszczyt młodości Henryka de Régnier. Obecny obóz symbolistyczny przerzedzi się prawdopodobnie niebawem. Z chwilą, gdy wyjdzie z niego kilka prawdziwych talentów, które wrócą w literaturze cześć światopoglądowi idealnemu, do czego cały ten ruch zmierza, uformuje się nowy kierunek wyraźniej. Wówczas nie będzie nikt zaliczał do symbolistów takich zwyrodnionych dekadentów, jak Verlaine i Barbey d'Aurevilly, bawiących się dla odmiany, między jednym brudem a drugim, w katolików, albo takich kuglarzów literackich, jak Rimbaud i Ghil, lub w końcu apostołów ordynaryjnego parweniuszowstwa w rodzaju Barrès'a.

Ale do ostatecznego skrystalizowania się mgławic symbolizmu potrzeba rzeczywistych talentów twórczych, a tych dotąd nie widać. Jedyny Maurycy Maeterlinck zwraca na siebie uwagę nowemi ciągle dziełami.

Maurycy Maeterlinck zaczął karyerę autorską tomikiem poezyi lirycznych, p. t. „Cieplarnia“ (*Serres chaudes*), które odznaczają się, według zapewnień jego wielbicielów, „niezmierzoną głębią“. Drobiazgi te są w istocie tak „głębokie“, iż niesposób dostrzedz ich dna, czyli jakiegokolwiek sensu. Szum frazesów, zestawionych bez ładu, zawraca głowę, wyrażając się trywialnie. Nic do symbolizmu, lecz do dekadentyzmu i to w gatunku najgorszym należy zali-

czyć „Cieplarnię“. Właściwy symbolizm występuje dopiero w t. zw. dramatach Maeterlinck'a.

Napisał ich rozgłośny dziś belg kilka, z których pierwszy p. t. „Księżniczka Malena“ (*La princesse Maleine*), wydał w październiku 1889 roku tylko w 25 egzemplarzach. Po „Malenie“ nastąpili „Intruz“ (*L'intruse*) i „Ślepcy“ (*Les Aveugles*), dalej wyszło z pod prasy „Siedm księżniczek“ (*Les sept Princesses*), w końcu „*Pelleas i Melisanda*“.

„Księżniczkę Malenę“, aczkolwiek jej to zawdzięcza Maeterlinck sławę europejską, można pominąć, elukubracya ta bowiem, sklecona z różnych rysów, zabranych postaciom Szekspira (Lear, Makbet, Hamlet i in.), nie rzuca jeszcze pełnego światła na cele symbolizmu. Najplastyczniej występuje „reforma“ w dwóch jednoaktówkach, w „Intruzie“ i w „Ślepcach“.

W sali „dość ciemnej“ (informacya autora) starego zamku, zaopatrzonej w okna kolorowe, w których przeważa barwa zielona (także informacya autora), znajduje się kilka osób: ociemniały dziadek, ojciec, wuj i trzy córki. Towarzystwo zachowuje się spokojnie, gdyż obok, w sąsiedniej komnacie, spoczywa położnica, której życie wisiało przez dni kilka na włosku. Ale nie ma już obawy. Niebezpieczeństwo minęło, jak zawyrokował lekarz. Przy chorej czuwa siostra miłosierdzia, więc rodzina może wytchnąć po trwodze dłuższego czasu.

Rzecz dziwna... Mimo zapewnień lekarza i widocznego polepszenia chorej, dziadek nie czuje się uspokojonym. „Nie wiem, co mi jest — mówi — chciałbym, aby ten wieczór już minął“. Daremnie starają się młodzi rozproszyć niczem nieuzasadnione przeczucia starego. Ślepiec nie daje się przekonać. Słyszy on jakieś szczególne szmery, odgłosy, szepty...

Równocześnie z rosnącym niepokojem niewidomego dziadka, zaczyna się i przyroda, otaczająca zamek, czegoś

trwożyć. W głównej ulicy podnosi się wiatr — drzewa chwieją się lekko — zdaje się, jakby ktoś wszedł do ogrodu — słowiki milkną nagle — łabędzie, płynące na stawie, lękają się — wszystkie ryby zanurzyły się — pies schował się do budy — listki róż opadają — ktoś chodzi po ogrodzie — w końcu odzywa się brzęk kosy ostrzonej i nastaje cisza śmiertelna.

Teraz zaczyna się dziadek „nieproszonego gościa", „intruza" domyślać. On jeden, chociaż, albo raczej dlatego, że nie widzi, słyszy doskonale najlżejsze szmery i czuje zbliżanie się straszliwego wykonawcy. To śmierć nadchodzi... Już weszła do sali, zasiadła wśród żywych, niedostrzeżona przez nich, słucha ich rozmowy, czeka widocznie na porę właściwą. Zegar wydzwania północ—słychać szelest szybkich kroków, biegnących w stronę pokoju chorej... Dziadek przeczuwał dobrze. Śmierć poszła zadusić nową ofiarę.

Ten sam przedmiot wypełnia drugi dramat Maeterlincka p. t. „Ślepcy" (*Les Aveugles*).

Na czele „Ślepców" umieścił autor następującą informacyę: „Prastary bór północy, wiekuistego wejrzenia, pod niebem głęboko ugwiaździonem. — W pośrodku i ku głębiom sceny, siedzi bardzo stary ksiądz, owinięty w obszerną czarną opończę. Popiersie i głowa lekko w tył przechylone i śmiertelnie nieruchome, opierają się o pień olbrzymiego, dziuplastego dębu. Twarz jego przerażająco blada, ma nieruchomą, trupią białość wosku, pośród której zieją wpółotwarte fioletowe wargi. Oczy nieme i słupem stojące nie patrzą już ku widzialnej stronie wieczności i wydają się zakrwawionymi od wielkiej liczby bólów niespamiętanych i łez. Włosy poważnej białości opadają sztywnemi, rzadkiemi kosmykami na twarz, bardziej oświeconą i bardziej znużoną, niż wszystko, co ją otacza w bacznem milczeniu posępnego

boru. Ręce nadzwyczaj chude spoczywają kurczowo splecione na udach i t. d. *)

Już sama sytuacya informacyjna Maeterlincka „nastraja“ czytelnika odpowiednio, przygotowując go do czegoś strasznego.

Umarłego, wpośród dziewiczego lasu porzuconego księdza, otacza dwunastu ślepców, sześciu mężczyzn i sześć kobiet. Wyszli z nieboszczykiem, który był ich nadzorcą, z zakładu ociemniałych na przechadzkę i czekają na niego. Nie wiedząc, że skonał, sądzą, iż odszedł gdzieś i wróci niebawem, aby ich do domu zaprowadzić. Podczas kiedy niewidomi opowiadają sobie wrażenia, jakich doznają, zaczyna przyroda swoją grę symboliczną. Obok ślepców odzywa się nasamprzód blizki i bardzo spokojny gwar morza (informacya autora) — stado nocnych ptaków spada nagle w gęstwinę liści — zegar, gdzieś bardzo daleko, wydzwania powoli godzinę dwunastą — ptaki nocne z radosną wrzawą zrywają się w ciemnościach — stado wielkich ptaków wędrownych przelatuje z krzykiem po nad sklepieniem liściastem—gwałtowny poryw wiatru wstrząsa lasem—liście sypią się ciemnemi chmurami — ślepcy, dotąd spokojni zaczynają się czegoś lękać — boimy się, boimy się oddawna! podają sobie z ust do ust — w lesie zrywa się wiatr, a morze zaczyna gwałtownie ryczeć — kobiety klękają, jęcząc — zdala słychać kroki — zbliżają się — już są blizko — zatrzymały się w pośród ślepych — kto jesteś? pyta młoda ślepa — milczenie — ślepi poznali teraz „nieproszonego gościa“, więc najstarsza z niewiast woła: miej litość nad nami!...

---

*) Przekład Zenona Przesmyckiego, który spolszczył dramaty Maeterlinck'a dla warszawskiej „Biblioteki Najcelniejszych Utworów“.

„Intruz“ i „Ślepcy“ Maeterlinck'a nie są dramatami w zwykłem rozumieniu. Nie ma w nich ani walki zewnętrznej człowieka z instynktami i pożądaniami, ani zewnętrznej z okolicznościami, z których wytwarza się „akcya“; nie ma charakterów, działających ze świadomością, ani prawidłowej budowy utworu scenicznego. Dotychczasowe pobudki czynności dramatycznej, zrozumiałe dla widzów, zastąpił Maeterlinck motywami mglistemi, wzmacniając je znakami przyrody, która bierze żywy udział w wypadkach, odnoszących się do człowieka. Tak w „Intruzie“, jak w „Ślepcach“ i w reszcie „dramatów“ autora belgijskiego odgrywa przeczucie rolę naczelną. Dziadek („Intruz“) „nie wie, co mu jest, i chciałby, aby się ten wieczór już skończył“ — niewidomi („Ślepcy“) „boją się oddawna czegoś“ — babka („Siedm księżniczek“) — powtarza ciągle, że się „coś w sali zmieniło“ — Melizanda („Pelleas i Melizanda“) chce uciekać z zamku, chociaż niezdaje sobie sprawy dlaczego. To przeczucie, rodzaj greckiego *ananke* lub romantycznego fatalizmu, przeciwko któremu byłby wszelki opór daremnym, ilustrują zaburzenia w naturze (szum wiatru, opadające liście, trwoga zwierząt, tajemnicze głosy i szmery).

Nie dramatami są utwory dyalogowane Maeterlinck'a, lecz poprostu obrazkami, których celem: wywoływanie jakiegoś groźnego nastroju za pomocą środków sztucznych. *Stimmungsbild* nazywają niemcy takie fantazye.

Na przekór pozytywistom, którzy usiłowali zrobić z człowieka zrozumiałą dla każdego maszynę, ulegającą tylko nakazom zmysłów i pospolitego rozumu, kładzie Maeterlinck nacisk na świat zjawisk tajemniczych, nie ujętych dotąd przez naukę, a mimo to istniejących. Jak spirytystów i kabalistów współczesnych, pociąga i jego „niepoznawalna“, wchodząca powoli, częściowo w zakres poznawalnych.

Co dawniej „strachami“, „przywidzeniami“, „zabobonami“ zwano, zaczyna przybierać obecnie formy oczywistości. Zacząwszy od pomyślnych badań nad hypnotyzmem, który przestał być przesądem z chwilą, gdy się nim Charcot zajął, postępuje ciekawy duch ludzki bez wytchnienia naprzód, szukając odpowiedzi na otaczające go zagadki. Maeterlinck usiłuje uplastycznić artystycznie, co spirytyści i kabaliści probują na drodze eksperymentów naukowych wydrzeć z paszczy „niepoznawalnej“.

Nie ulega wątpliwości, że sztuka przyszłego pokolenia powinna dopełnić charakterystykę natury ludzkiej, dołączając do rysów zewnętrznych, przystępnych dla zmysłów i pospolitego rozumu, przejawiających się w czynie dokonanym, ową sieć nieświadomych najczęściej przyczyn, które składają się na takie lub inne postępowanie. Tysiące rzeczy, nie mających nic wspólnego z urzędowym rozumem, bo przekraczających granice bezpośredniej obserwacyi (przeczucia, sny, wrażenia, jakieś znaki, niewytłómaczone niczem wstręty lub pociągi, przesądy, zabobony i t. d.), wpływają nieraz na postanowienia jednostek, znanych zkądinąd z trzeźwości. Zwrócenie uwagi na tajemniczą, czyli niezbadaną dotąd stronę życia ludzkiego, zasługuje niezawodnie na poparcie, z czego jednak nie wynika, aby to dopełnienie miało stanowić główną treść i podstawę psychologii człowieka. Może ono mieć znaczenie tylko jako wycieniowanie charakteru lub wypadku, jako środek, potrzebny do wywołania „nastroju“.

Wplecione do utworu artystycznego jako motyw zasadniczy, wytwarza dziwadła, eksperymenty w rodzaju „Intruzów“ i „Ślepców“.

Wychodząc z zasady, że natura, która jest w poezyi epok materyalistycznych martwą dekoracyą, bierze czynny udział w losach rodu ludzkiego, Maeterlinck każe jej żyć, czuć, myśleć, towarzyszyć ciągle człowiekowi, odzywać się

tajemniczemi głosami. Ztąd w jego dramatach owe bogactwo: szumów, szelestów, stukań i t. d.

Doświadczenia belgijskiego symbolisty nie wywołały na scenie spodziewanego wrażenia, jak inaczej być nie mogło, co bowiem przy czytaniu wyobraźnia dopełnia, ginie w wykonaniu scenicznem. Szumy drzew, dalekie poświsty wiatru, łopotanie skrzydeł ptasich, ostrzenie kosy i t. p. „akcya“, nie zwracają w teatrze nawet uwagi, gdy się nie wie z góry, że mają coś oznaczać. Człowieka zresztą przy zdrowych zmysłach zajmuje w teatrze głównie człowiek, ludzi zaś nie ma zupełnie w „dramatach“ Maeterlincka. Występuje za nich i działa wyłącznie przyroda lub czynnik tajemniczy, niewidzialny (śmierć, przeczucie).

Teatr nie nadaje się do eksperymentów literackich. Najwięcej zmysłowy ze wszystkich rodzajów poezyi, najplastyczniejszy i napełniejszy, skrępowany nadomiar warunkami sceny, nie ma ani czasu, ani miejsca do subtelnego malowidła psychologicznego. Drobiazgowe cieniowanie i wcielanie przeczuć, znaków, głosów... nie jest jego rzeczą. Wie o tem sam Maeterlinck, gdyż usiłuje wynaleźć jakąś inną dramaturgię.

W organie młodych poetów belgijskich *(w La Jeune Belgique*, w r. 1890), rozrzucił autor „Intruza“ garść uwag o teatrze, które ułatwiają zrozumienie jego techniki scenicznej. Zdaniem Maeterlincka, powinien być teatr „świątynią marzenia“ *(le temple du rêve)*, wszelkie zaś marzenie nie znosi „obecności człowieka“. Znaczy to, przetłómaczone na język „niewtajemniczonych“, że nie istota żywa, nie aktor powinien odtwarzać dzieło dramatyczne, z chwilą bowiem, gdy aktor „wkracza w sferę symbolu“, przepada złudzenie.

Maeterlinck nie zdaje sobie jeszcze sprawy z tego, coby mogło zastąpić w teatrze człowieka (majaczy o znaczeniu rzeźby, bąka o maryonetkach, o figurach woskowych,

o powrocie do prastarych, pierwotnych form sceny), tyle wszakże pewna, że chciałby usunąć wykonawcę żywego z dzieła dramatycznego i powierzyć jego odtworzenie jakimś automatom, które, „nie posiadając przeznaczeń własnych, nie zacierałyby już identycznością swoją identyczności bohaterów".

Wyznanie powyższe tłómaczy cel dramatów Maeterlincka (przeznaczył je dla teatru maryonetek), dziwnie chaotyczną budowę i śmiesznie prosty język. Jego cienie, czy karykatury ludzi przemawiają w sposób następujący („Siedm księżniczek"):

Król. To on, to on!...

Królowa. Gdzie on, gdzie on? Czy to on? Nie poznaję go już!... Owszem, owszem, poznaję go jeszcze! Och jakiż on wielki! jakiż on wielki! Stoi u stóp wschodów. Czyś to ty, czyś to ty? Chodź na górę, chodź na górę! My jesteśmy już tak starzy oboje! Nie możemy już zejść na dół. Chodź na górę, chodź na górę, chodź na górę!

Król. Strzeż się, abyś nie upadł. Strzeż się...

Królowa. Chodź na górę, chodź na górę, chodź na górę...

Królewicz. Moja biedna babko, mój biedny dziadku.

Królowa. Och, jakiś ty piękny! Jakeś urósł, moje dziecko. Jakiś ty wielki, mój mały Marcellusie.

Królewicz. Och, moja biedna babko, jak włosy ci zbielały! O, mój biedny dziadku, jak broda ci zbielała.

. . . . . .

Królewicz. Gdzie są moje siedm kuzynek?

Królowa. Tu, tu, uważaj, uważaj... nie mówmy o tem zbyt głośno; one śpią jeszcze; nie trzeba mówić o tych, którzy śpią...

Królewicz. Śpią?... Czy jeszcze żyją wszystkie siedm?

Królowa. Żyją, żyją, żyją; uważaj, uważaj; śpią tu, śpią ciągle.

Królewicz. Śpią ciągle? Co, co, co? Wszystkie siedm, wszystkie siedm?...

Królowa. Och, och, och! Coś ty pomyślał, coś ty śmiał pomyśleć, Marcellusie, Marcellusie? Prędko, prędko, pójdź prędko!... Czas je zobaczyć...

I tak ciągle. Słowa Maeterlincka płyną wolno, leniwo, szare, jednostajne, jak krople deszczu jesiennego, pospolite, bezbarwne, trywialniejsze nawet od gwary prostego ludu. Przeplatane ciągłemi powtarzaniami i wykrzyknikami, urywane i przerywane bez potrzeby, przypominają zdania Maeterlincka mowę dzieci lub obłąkanych. Ma to być jakiś sztuczny język pierwotny, robiony rozmyślnie, jak twierdzą wielbiciele belgijskiego symbolisty. Tu i owdzie tylko błyśnie zwrot jaskrawszy lub zadudni wykrzyknik silniejszy, ale dzieje się to bardzo rzadko.

Jeżeli symbolizm francuski nie wyda oprócz Maeterlinck'a żadnej innej głowy twórczej, wówczas nie czeka go przyszłość rozgłośna. Jak brata się obecnie z dekadentyzmem, nie umiejąc się od niego odczepić, tak zginie w nim ostatecznie jako forma zwyrodniała. *)

A przecież znaleźli się ludzie, którzy powitali w Maeterlincku mistrza mistrzów, proroka jutra. Paryzki beletrysta i krytyk, Mirbeau, współpracownik „Figara“, przeczytawszy „Księżniczkę Malenę“, obwieścił światu, iż naro-

---

*) U nas znalazł Maeterlinck gorącego wielbiciela w Zenonie Przesmyckim, którego studyum p. t. „Maurycy Maeterlinck i jego stanowisko we współczesnej poezyi belgijskiej“ pomieścił „Świat“ krakowski (1891 r.). — Bardzo dobre studyum o Maeterlinck'u napisał Józef Weyssenhoff p. t. „Nowy fenomen literacki“ („Biblioteka Warszawska z r. 1891: kwiecień).

dził się geniusz geniuszów... I znalazły się krocie ludzi „inteligentnych “, którzy uwierzyli Mirbeau'owi na słowo...

O sugestyo! Wielką ty jesteś mocarką, o czem wie przemożna dziś pani Reklama. Z głupca potrafisz zrobić mędrca, z szaleńca filozofa, z kretyna talent, z szarlatana proroka... Pokłon tobie, rozdawczyni sławy i zaszczytów!..

Gdy się widzi i słyszy, co się ludziom „inteligentnym“ najczęściej podoba, można stracić raz na zawsze gust do kreatury, noszącej imię „człowiek“. Czasami rozumie się i odczuwa takich dekadentów, jak Schopenhauer, Baudelaire i Nietzsche, potwornych w swojej pogardzie „motłochu“, ale wielkich w tej pogardzie. A ten motłoch taki liczny...

VII.

Alfonsa Daudeta „Walka o byt“. — Powieści Henryka Rabussona. — Pawła Bourget'a „Uczeń“. — Powieść psychologiczna. — Wpływ literatury russkiej na literaturę europejską.—Leon hr. Tołstoj. — Tołstoj, jako artysta.—Literatura francuska a russka. — Wyższość etyczna literatury russkiej.—Pierwsze ślady mistycyzmu u Tołstoja.—Jego ewolucya umysłowa—Jego moralność i światopogląd.—Jego wstręt do miłości.—Neochrześcianie francuscy. — Melchior de Vogüé. — Karol Secrétan. — Paweł Desjardins.—Edward Rod.— Ślady reakcyi w Niemczech.—„Rembrand jako wychowawca“. — Reakcya u nas. — Maksa Nordau'a „Zwyrodnienie“.

Gdyby reakcya przeciw światopoglądowi ostatniej formy materyalizmu szukała ujścia tylko w mgławicach spirytyzmu, teozofizmu i symbolizmu, możnaby ją pominąć jako eksperyment, wprowadzający bardzo mało światła do ciemności chwili obecnej. Ale sztandar buntu podnoszą równocześnie w różnych krajach, na różnych polach także umysły jasne, nie obałamucone przez chorobliwy mistycyzm.

Wiadomo, że Alfons Daudet wystawił temu lat kilka (w r. 1889) dzieło sceniczne p. t. „Walka o byt“ *(La lutte pour la vie)*. Bohater tej sztuki, Paweł Astier, zaślubił dla pieniędzy znacznie od siebie starszą osobę, jakąś księżnę,

nie zrywając mimo to stosunków z młodą, piękną Julią Vaillant. Łatwo, bez pracy zdobyty majątek stopniał szybko w rękach rycerza używania. Paweł Astier, roztrwoniwszy w krótkim czasie miliony księżnej, obejrzał się za nowemi funduszami. Dostarczy mu ich posag bogatej żydówki węgierskiej, ale wprzód trzeba usunąć żonę i kochankę. Julia schodzi mu sama z drogi (odbiera sobie życie), a Marya-Anna powinna się zgodzić na rozwód, gdyby się bowiem opierała, znajdzie się na to sposób. Pawła Astier'a nie będą krępowały „przesądy" dawnych pokoleń. Wyznawca zasady, że: mocny ma prawo zniszczyć słabszego, „oświecony", „wolny" nie cofnie się nawet przed czynem, zwanym przez „głupców" zbrodnią. Ponieważ księżna, która jest gorliwą katoliczką, uważa małżeństwo za Sakrament, obowiązujący dozgonnie, przeto podaje jej Astier truciznę. W chwili jednak stanowczej opuszcza go odwaga. Nie pij!—woła, powstrzymując rękę żony. Księżna, domyśliwszy się zamiaru męża, zezwala na rozwód, gdyż nie chce, aby ten, któremu zaprzysięgła miłość, splamił się zabójstwem. „Mocny" tryumfuje. Już zaręczył się z bogatą żydówką, już sądzi, że dobiegł do mety... Wtem dosięga go sprawiedliwość artysty. Daudet każe staremu Vaillant'owi, ojcu Julii, zastrzelić Astiera.

— *Je suis armé, tu ne l'es pas, alors je te supprime, bandit!* — woła Vaillant w chwili, kiedy mierzy do Astier'a. Znaczy to, jestem uzbrojony, czyli mocniejszy od ciebie, przeto mam, podług twoich zasad, prawo zemścić się na tobie.

Pomysł sztuki Daudet'a nabiera znaczenia tylko w porównaniu z biernością etyczną naturalistów francuskich. Nie nowy i pospolity dla literatur innych narodowości, w których materyalizm artystyczny nie zdołał wykorzenić „dawnych przesądów", zrobił w Paryżu wrażenie „reformy".

Daudet ukarał rozmyślnie nędznego karyerowicza, stanął po stronie pokrzywdzonych i wystąpił nawet w przedmowie do „Walki o byt“ przeciw praktycznym rezultatom moralności niezawisłej. Wydawało się to francuzom tak niezwykłą śmiałością, że rozmawiali o sztuce dość słabej przez czas dłuższy.

— Nazywacie wielkimi, mocnymi — mówił Daudet — owych obłąkanych bandytów, którzy, czyniąc źle, zastawiają się teoryami Darwina, doktrynami nauki niezawisłej, a ja powiadam wam, że teorye tej nauki, zastosowane w życiu, są zbrodniarzami, gdyż przebudzają bydlę, które drzemie na dnie natury ludzkiej! — Nieprawdę mówi, kto twierdzi, że można broić bezkarnie, albowiem wszystko płaci się na ziemi.

Bardzo nizko pod względem moralnym musiało upaść piśmiennictwo, w którem frazesy tak zdawkowe zdumiewają. I w istocie przyznają dziś sami francuzi, że poczucie etyczne zaginęło zupełnie w ich literaturze pięknej. Skarży się jeden z młodych autorów paryzkich, Jan Honcey, że: we Francyi, w literaturze spółczesnej, jest powiew moralny (*le souffle morale*) bardzo słaby. Bohaterowie naszych powieści nie znają wewnętrznych niepokojów takiego Lewina lub Anny Kareniny; widzieliśmy przy charakterystyce Maupassant'a, jak obojętnie zachowują się jego typy wobec najprostszych obowiązków i najstraszliwszych upadków. Dzieje się to dlatego, że największa część autorów podziela znieczulenie moralne swoich kreacyj; nie mogą więc dać tego, czego sami nie posiadają. Zagadki moralne są dla nich tylko motywami dramatycznemi albo komicznemi i jeżeli wyszukują znamion przewrotności (*des cas de perversion*), czynią to nie dlatego, aby je zohydzić, lecz jedynie w tym celu, aby wykazać swoją zdolność analityczną. Ich psychologia jest bierna (*impassible*). — Nikt nie dotknął śmielszą ręką od Maupassant'a raka, który toczy nowoczesne społe-

czeństwo, nikt nie pokazał skutków występku plastyczniej od niego, mimo to, odczytując jego dzieła, czujemy, że rozpustnik wydawał mu się więcej dziwacznym, śmiesznym (*grotesque*), niż wstrętnym. *)

Było tak w istocie. Powieść francuska między rokiem 1860 a 1890, uważając się za uczonego badacza, nie różniącego się niczem od przyrodnika i matematyka, „notowała“ tylko zjawiska, nie troszcząc się o ich treść wewnętrzną. W pogoni za „dokumentami“ straciła poczucie piękna moralnego i artystycznego, tego, co godziwe i harmonijne. Zastąpiwszy psychologię fizyologią, odtwarzała nie człowieka uobyczajonego, lecz głupie i podłe bydlę, uznające absolutny egoizm jako prawo najwyższe.

Po takiej literaturze mogła „Walka o byt“ Daudet'a zadziwić publiczność i krytykę. Autor ukarał egoizm świadomie, usiłował go zohydzić, czego „uczeni artyści“ nie czynili. Był to więc jawny protest przeciw zasadom całego kierunku i dlatego należy się „Walce o byt“ wybitne miejsce w historyi beletrystyki francuskiej lat ostatnich. To samo odnosi się i do powieści Henryka Rabussona, mniej po za granicami Francyi znanego romansopisarza.

Powieść Rabussona p. t. „Człowiek dzisiejszy“ (*Un homme d'aujord'hui*), na którą wskazują reakcyoniści chwili obecnej, nie wyrasta po nad szary tłum przeciętnych opowiadań ani oryginalnością pomysłu, ani głębią obserwacyi lub świetnością kolorytu. Jakiś Fabian d'Estreville, dwudziestokilkoletni młodzieniec, syn człowieka zamożnego, wychowany w dostatku, przekonawszy się po śmierci ojca, że się łudził, licząc na znaczny spadek, postanawia dorobić się w krótkim czasie fortuny, nie rozumie bowiem życia w warunkach miernych. W chwili, gdy powziął taki za-

*) Jan Honcey: „Souffles nouveaux“: 1892 r., str. 103 i 104.

miar, stanęła na jego drodze kobieta, panna de Nargues, dziewczyna, nie przypominająca ani jednym rysem znanych typów niewieścich powieści francuskiej. Szlachetna, czysta, obdarzona silną wolą, skromna w wymaganiach, odcina się wyraźnie od pokolenia samic naturalizmu. Flaubert, Zola, Goncourt i Maupassant nie raczyliby się nią zająć.

Fabian d'Estreville, rozkochawszy się w pannie de Nargues zmysłami, wahał się jakiś czas między miłością, a rozumem. Ożenić się z panną ubogą i zadowolnić się szczęściem bez oprawy złotej, czy też zwalczyć pociąg i pójść drogą raz obmyśloną? Były chwile, gdy miłość brała górę nad rozumem, ostatecznie jednak zwyciężył drugi. Fabian d'Estreville zaślubił córkę zbogaconego finansisty, pannę de Volvereins i doszedł wkrótce do majątku.

Gdy stanął u celu, przebudził się w nim człowiek. Stłumiona gwałtownie miłość do panny de Nargues, złączonej tymczasem węzłami dozgonnemi z panem de Volvereins, wybuchnęła z taką siłą, że opanowała wszystkie myśli karyerowicza. Zabiję się, jeśli jej nie posiędę — grozi d'Estreville. Na to odpowiada mu bardzo dobrze jego przyjaciel, Lemègre:

— Ty byś się zabił? Nie wierzę w to. Nie zabijesz się, bo nie jesteś do tego stopnia pewny," iż nie ma nic po drugiej stronie śmierci, abyś się w tak niebezpiecznych warunkach odważył na krok stanowczy.

— Jesteś, jak widzę, spirytualistą — drwi d'Estreville — ale to stara gra. My...

— O, wy, wy — przerywa Lemègre — wy nic jesteście niczem. Ateizm, jeśli nie brawuje nim pijak, jest doktryną najśmielszą, najzuchwalszą, najradykalniejszą ze wszystkich. Nie wierzę, abyś ty tę doktrynę wyznawał, jak nie wierzę, aby istnieli dziś ludzie, którzyby mogli powtórzyć z przekonaniem za Cabanis'em: przysięgam, że Boga nie ma. Do

tego potrzebaby więcej charakteru i wiedzy, aniżeli wy ich posiadacie. Od samego początku bieżącego stulecia nauczyliśmy się wielu rzeczy, które, w braku wiary ściśle określonej nakazują nam rozumną ostrożność. Kto Boga dotąd nie znalazł, ten szuka Go, albo oczekuje. Zaprzecza się Jego istnienia już tylko w szynkach. Niech się pokaże, niech się objawi — mówi się dziś. Nie mówi się już „nie ma Go“. Ludzie nauki, chociaż w niego nie wierzą, nie ufają Mu, nie chcą się więcej kompromitować. A nużby Go ktoś pewnego pięknego poranku odkrył na dnie jakiegoś tygla lub alembiku? Więc nie zabijesz się, dopóki będziesz rezonował... *)

Fabian d'Estreville rezonował, medytował za wiele, jak wszyscy bohaterowie powieści psychologicznych, przeto posługiwał się śmiercią tylko jako środkiem do dopięcia celu. Nie pozyskawszy, mimo zręcznej gry, względów pani de Volvereins, rzucił się w istocie z tarasu pałacu na kamienie dziedzińca, ale uczynił to tylko pod wrażeniem nagłego wstydu, wzbudzonego pogardliwem spojrzeniem teścia. Zamiast się zabić, złamał sobie nogę. Wylizał się, uspokoił i wiódł dalej życie szczęśliwe.

Jak Daudet swego Astiera, tak poddał i Rabusson Fabiana d'Estreville krytyce, wykazując rozmyślnie nieszlachetność jego egoizmu. Nietylko go ukarał, lecz ośmieszył, odsłaniając jego małoduszność, upstrzoną w piórka zdawkowej erudycyi. Nie zabijesz się, nie jesteś bowiem ani dosyć stanowczym, ani dosyć rozumnym do wykonania niezwykłego czynu, chociaż ci się zdaje, że postępujesz zawsze dobrze i że połknąłeś wszystkie mądrości. Tchórzem jesteś i głupcem, ty, co się uśmiechasz, gdy usłyszysz słowa: Bóg, dusza,

*) Henryk Rabusson: *Un homme d'aujourd'hui*; 1887; wydanie 6; str. 325 i 26.

świat pozagrobowy i t. d. Drwisz z tajemnic innego świata, a boisz się przestąpić progu tego świata. — Nie zabijesz się, bo w tobie nie serce tęskni, nie dusza wyrywa się do ukochanej, jeno grają zmysły, jak u zwierzęcia. Przeto należy cię wystrychnąć na dudka, marny karyerowiczu, aby się ludzie nauczyli gardzić podobnymi do ciebie spekulantami.

Uczynił to Rabusson. Nie pozwolił on egoizmowi (d'Estreville) splamić szlachetności (panna de Nargues), stanął świadomie po stronie cnoty i w tem właśnie leży znaczenie jego powieści, jej zasługa. Jak Daudet, rzucił i on rękawicę bierności moralnej beletrystyki francuskiej ostatniego pokolenia.

Jeszcze wyraźniej, aniżeli w utworach Daudeta'a i Rabusson'a przemówił duch reakcyi w znanej powszechnie powieści Pawła Bourget'a p. t. „Uczeń“ (*Le disciple*).

Paweł Bourget, najpopularniejszy dziś w Europie beletrysta francuski, zaczął karyerę autorską od sympatyj dekadenckich. Jego „Studya psychologiczne“ (*Essais de psychologie contemporaine*), cytowane w rozdziałach powyższych niejednokrotnie przy charakterystyce „arystokratów inteligencyi“, nie pozostawiają pod tym względem żadnej wątpliwości. Wychowaniec pozytywizmu i ewolucyonizmu, wierzył Bourget zrazu gorąco we wszechmoc nauki, która miała nietylko zbogacić wiedzę człowieka, lecz także uszlachetnić jego stronę moralną. Tu i owdzie odzywały się wprawdzie dźwięki pesymistyczne, nie licujące z uwielbieniem dla ewolucyonizmu, ale były to głosy tak słabe, że nie mogły zagłuszyć tonu głównego. Pozytywista z nauki, a dekadent z upodobań, Bourget nie uważał w pierwszej połowie swojej działalności za potrzebne zajmować się dolą i niedolą „motłochu“. Nic go nie obchodziły praktyczne skutki przewrotnych doktryn, nic człowiek pospolity. Szu-

kając „wrażeń wytwornych“, jak dekadenci, troszczył się bardzo mało o „zdawkową“ moralność i o przeciętną inteligencyę.

Nagle, niespodziewanie wychodzi z pod jego pióra dzieło, które rzuca w twarz wiedzy niezawisłej oskarżenie straszliwe. Mówicie, że nauka nie jest odpowiedzialną za swoje hipotezy, że wolno jej wygłaszać, co jej się tylko podoba? Otóż nie prawda! Nauka odpowiada za swoje przewrotności, może być gorszycielką, zbrodniarką.

Adryan Sixte (*Le disciple*), filozof pozytywny, ateusz, materyalista, poświęcił życie poszukiwaniu prawdy. Zamknięty wśród czterech ścian, odcięty od życia, o którem nie miał żadnego wyobrażenia, bo nie obcował wcale z ludźmi, siedział nad bibułą zadrukowaną, jak pająk w sieci, wysnuwając wnioski z przesłanek, coraz to subtelniejsze, coraz więcej oderwane. On sam, dla którego jedyną oczywistością i rzeczywistością była abstrakcya, nie mógł nikomu szkodzić. Cichy, skromny, niepraktyczny, wychylający zaledwo nos z po za góry książek, schodził nawet psu z drogi. Nadmierna praca umysłowa zabiła w nim namiętności, ambicye, pożądania. Była to chodząca abstrakcya, nieudolna w życiu, jak dziecko.

Ale Sixte pisał dzieła... Wyszedłszy z negacyi, rozrywał stopniowo, wytrwale, gmach podstaw życiowych. Myśli jego, wybiegłszy z gabinetu, rozlatywały się po świecie, jak ptactwo spłoszone, padając, jak ono, bez wyboru miejsca na drzewa, krzewy i kamienie. Sixte, aczkolwiek bardzo mądry, nie zastanowił się nad tem, że oddawał doktryny swoje za pośrednictwem księgarza na użytek publiczny... na użytek pierwszego z brzegu głupca lub egoisty, który posiadał odpowiednią ilość franków, potrzebną do zakupienia dzieła. Sixte zapomniał, że druk zanosi książkę wszędzie, do pracowni filozofa i buduaru damy, do warsztatu rzemieślnika i na poddasze sdudenta — do przygotowanych i do nie-

przygotowanych. Sixte nie wiedział, że ta sama teorya potrąca w różnych mózgach o różne szeregi myśli i wytwarza różne wnioski. A jeżeli się zastanawiał, nie zapomniał, wiedział, to nie wierzył, aby myśli i wnioski ich mogły się w czyn zamienić. Zresztą, gdyby i tak było... cóż go to mogło obchodzić? On, filozof pozytywny, niewolnik, bałwochwalca wiedzy, uznawał nad sobą tylko jedną panią—prawdę. *Pereat mundus, fiat lux!* Szczęście lub nieszczęście „motłochu“ niewiele go obchodziło.

W ten jego bezmiłosierny egoizm wpadł nagle brutalny czyn, druzgoczący sztuczną obojętność filozofa. Oto wcielił jakiś Robert Greslou, młodszy brat Juliana Sorela Stendhala, a starszy Adryana Ampère'a Barrès'a doktryny Sixte'a... eksperymentował podług jego wskazówek, grał rolę psychologa pozytywnego i stał się nędznikiem, zbrodniarzem. Negacya, padłszy na grunt podatny, wydała owoce zatrute.

W pierwszej chwili nie wiedział Sixte, co o tym wypadku sądzić. Zrozumiawszy jednak przyczyny nikczemności Greslou'a, zwątpił o sobie. Jak najpospolitszy śmiertelnik z motłochu zgiął wówczas kolana przed trupem ofiary swoich doktryn i zaczął się modlić: Ojcze nasz, który jesteś w niebie...

Więcej nie pamiętał.

A Bourget dodaje od siebie:

— A gdyby ten Ojciec Niebieski nie istniał, czy pragnęlibyśmy Go i łaknęli tak gorąco w chwilach ciężkich? „Nie będziesz mnie szukał, jeżeli mnie nie znajdziesz...“

Słowa powyższe, wygłoszone przez usta dekadenta, musiały zadziwić cały świat czytający, już bowiem dawno nie przemawiał w ten sposób żaden belletrysta francuski. Bóg, modlitwa, odpowiedzialność nauki! Stare upiory, stare upiory... Uśmiechem sceptycznym witał jeszcze niedawno każdy „szanujący się człowiek“ podobne dziecińśtwa.

„Uczeń“ Bourget'a należy do owych dzieł, które świecą jak białe kamienie milowe, na drodze rozwoju myśli ludzkiej. Zaczyna się od nich nowy kilometr...

I zaczął się ten kilometr. Nietylko symboliści francuscy i belgijscy zwracają się znów twarzą do nieba. Słowa i pojęcia, wyrzucone przez pozytywizm i ewolucyonizm po za nawias dysput i badań ludzi „oświeconych“, wracają znów powoli, odzywają się coraz częściej i głośniej. Samą powieść psychologiczną, której przednim przedstawicielem nad Sekwaną jest Bourget, należy uważać za reakcyę przeciw naturalizmowi, wprowadziła ona bowiem do dzieł sztuki psychologię, zaniedbaną przez „uczonych beletrystów“. Fizyologia, która zajmowała głównie: Flauberta, Maupassant'a, Zolę, Goncourt'ów i in., zeszła w powieści psychologicznej na plan ostatni.

Bourget, gardzący w „Studyach psychologicznych“ „motłochem“, jak pozytywiści i dekadenci, zrozumiał bardzo rychło doniosłość słowa drukowanego. Już w „Kłamstwach“ (*Mensonges*) czyni jego ks. Taconet głowy utalentowane odpowiedzialnemi za dobre lub złe ziarno, które rzucają między tłum. A w „Uczniu“, w przedmowie, wystowanej do młodego człowieka (*A un jeune homme*) przemawawia następnie:

— Tobie to, młodzieńcze, poświęcam tę książkę, tobie, którego znam tak dobrze, chociaż nie wiem nic o twojem mieście rodzinnem, o twojem nazwisku i majątku, o twoich rodzicach i ambicyach. Nie wiem nic okrom tego, że liczysz więcej nad ośmnaście, a mniej niż lat dwadzieścia pięć, i że szukasz w naszych dziełach, żądasz od nas, starszych, odpowiedzi na pytania, które cię niepokoją. A od tych odpowiedzi, pozbieranych w naszych dziełach, zależy potrosze twoje życie moralne, twoja dusza, twoje zaś życie moralne jest życiem moralnem Frnncyi, twoja dusza jej duszą. Za lat dwadzieścia ty i twoi bracia będziecie mieli w ręku losy tej

starej ojczyzny, naszej wspólnej matki. Tą ojczyzną będziecie wy! Coście zaczerpnęli z naszych dzieł? *Myśląc o tem, powinien każdy pisarz uczciwy, choćby był najmniej znaczącym, najpodrzędniejszym, zadrżeć z odpowiedzialności.* — „Nie bądź, młodzieńcze, ani pozytywistą brutalnym, nadużywającym świata zmysłowego, ani pogardliwym i przedwcześnie zwiędłym sofistą (czytaj: dekadentem), nadużywającym świata umysłowego i uczuciowego. Niech pycha życia i pycha inteligencyi nie zrobią z ciebie cynika i kuglarza idei. W tych czasach zmąconego sumienia i sprzecznych doktryn uczep się, jak deski zbawienia, słów Chrystusa: Po owocach ich poznacie je! Jest jedna rzeczywistość, o której nie możesz wątpić, bo ją posiadasz, czujesz, widzisz w każdej minucie — jest nią dusza twoja. Pomiędzy idami, które cię napadają, znajdziesz takie, co nie uczą miłości i woli. Bądź przekonany, że te idee, chociażby ci się wydawały najsubtelniejszemi, podtrzymanemi przez najpiękniejsze nazwy, ozdobionemi przez środki magiczne najpiękniejszych talentów, nie zgadzają się z prawdą Uprawiaj w sobie te dwie wielkie cnoty, te dwie energie, po za któremi znajdziesz tylko obecną sromotę i ostateczną agonię — mianowicie: miłość i wolę. Nauka chwili obecnej, nauka szczera, skromna przyznaje, że po za granicami jej analizy rozciągają się dzierżawy niepoznawalnej.—Tym, którzy ci powiedzą, że po za faktami nie istnieje nic, miej odwagę odpowiedzieć: Nic o tem nie wiecie! A ponieważ wiesz, ponieważ czujesz w sobie duszę, staraj się o to, aby ta dusza nie umarła w tobie przed tobą samym“ i t. d.

Przedmowa do „Ucznia“, przynosząca zaszczyt głowie i sercu Bourget'a, wywołała jeszcze większe wrażenie od samej powieści. Odezwał się w niej pisarz, szanujący pióro, rozumiejący bardzo dobrze odpowiedzialność talentu, i człowiek, który przeszedł przez piekło zwątpienia. Czuć w naukach Bourget'a, wystosowanych do młodzieży, żal do

chwili obecnej za to, że strzaskała skrzydła duchowe ludzkości cywilizowanej, pochyliwszy twarz jej ku ziemi. Słychać w nich szmer dalekiego jeszcze buntu istoty, stworzonej „na obraz i podobieństwo Boże“. Dalekiego — byłby bowiem optymistą, ktoby z kilku, kilkunastu prób wrócenia człowiekowi „duszy“, wyrwania go z okrótnego koła materyalizmu, pesymizmu i dekadentyzmu, chciał wróżyć o pogodnem, jasnem, ciepłem jutrze. Takie przewroty nie odbywają się odrazu. Co pokolenia zburzyły, muszą pokolenia odbudować.

Że żal, odczuty w chwili „słabości“, jakby się pozytywista wyraził, nie wystarcza do wywrócenia na nice natury ludzkiej, doświadcza na sobie sam Bourget. Zaraz po „Uczniu“ napisał fizyologię miłości nowoczesnej“ (*„La phisiologie de l'amour moderne“*), w której nie ma ani jednego tonu, przypominającego melodyjną, dźwięczną przedmowę, przeznaczoną dla „młodego człowieka“. W „Fizyologii“ zrzędzi, analizuje, uśmiecha się sceptycznie znawca subtelnej nikczemności chwili obecnej, wykwintny paryżanin, który pił z czar przeróżnych rozkosz zmysłową z „umiejętnością smakosza“. „Duszy“ szukalibyśmy daremnie w tem dziele. To samo odnosi się i do „Serca kobiety“ (*Un coeur de femme*).

W „Ziemi obiecanej“ (*La Terre Promise*) zatęsknił znów Bourget za „duszą“. Ale jakże niezręcznie, jak ociężale porusza się w tej „ziemi obiecanej“ czystych, wonnych uczuć. Swobodę odzyskuje natychmiast, gdy staje na gruncie pospolitych namiętności, zmysłowych miłostek i światowych intryg (*„Cosmopolis“*).

Znakomity autor „Ucznia“ nie jest dotąd postacią jednolitą, zwartą. Talent jego chwieje się między sympatyami pierwszej młodości, a doświadczeniami lat dojrzałych. Życie nauczyło go, że człowiek bez duszy może być tylko zwierzęciem, a nałogi i upodobania ciągną go do fizyologii.

Nie jest to fizyologia naturalistów, brutalna, przyrodnicza, badająca gnaty, wrzody i narośla, ale mimo to nie przestaje być pozytywistką.

Zdaje się, że światło, które ogrzeje znów ludzkość na czas pewien, wróci jej świeżość, młodość tym razem już nie we Francyi zabłyśnie. Złożą się na nie prawdopodobnie inne ludy europejskie, może słowianie do wspólki z germanami.

Francya, wypalona i wystudzona przez analizę, przesiąkła nawskroć egoizmem burżoazyi, sceptyczna i zbyt rozumna, oportunistyczna, nie może się zdobyć na programat dodatni. Cała jej reakcya nie przekroczyła dotąd ciasnego koła krytyki złudzeń gasnącego pokolenia. Tak symboliści, jak Daudet, Rabusson, Bourget umieją tylko na „okrutne wczoraj“ narzekać. A nawet w tych skargach ich słychać echa innych literatur. Przyznają sami francuzi, że zawdzięczają w ostatnich czasach bardzo wiele wpływowi autorów russkich, głównie Tołstojowi.

Leon hr. Tołstoj nie należy do pokolenia młodszego. Urodzony w r. 1828, jest prawie rówieśnikiem twórców pozytywizmu i ewolucyonizmu. Rozpocząwszy zawód autorski w r. 1853 mniejszą powieścią p. t. „Kozacy“, dobijał się wolno rozgłosu. Chociaż już pierwsze większe dzieło p. t. „Wojna i pokój“ (1860) zwróciło uwagę krytyki na jego talent niepospolity, publiczność russka uznała go powszechnie właściwie dopiero po „Annie Kareninie“ (1875 — 77), cała zaś Europa zajmuje się nim zaledwo od lat kilku, od „Sonaty Kreutzera“ (1889 r.).

Jako technik artystyczny stoi Tołstoj daleko niżej od Turgeniewa, który znał wybornie nietylko ludzi, ale i tajemnice kompozycyi. Autor „Dymu“, prawie tak płodny, jak nasz Kraszewski, albo jak francuz Dumas (ojciec), umiał panować nad materyałem, nie gubił się w szczegółach,

w drobiazgach, miał zawsze przed oczami główne kontury dzieła—jego cel ostateczny.

Nie tak Tołstoj. Jego większe powieści („Wojna i pokój", „Anna Karenina") nie tworzą całości harmonijnej i jednolitej. Składają się one z mnóstwa pojedyńczych scen, powiązanych z sobą luźno, rozbiegających się na różne strony. Każda z tych scen jest znakomitą sylwetką danego charakteru lub plastycznem odtworzeniem jakiejś sytuacyi, każda z nich zdradza bystrego, głębokiego obserwatora, ale nie łączy się z następną. W powieściach Tołstoja nie ma ciągłości. Akcya nie rozwija się stopniowo, wolno, idąc pod górę, do punktu kulminacyjnego i nie spada prawidłowo ku rozwiązaniu. Skacze ona kapryśnie to na prawo, to na lewo, częstokroć rozwlekła, nużąca, nie trzymana na wodzy przez zręcznego kompozytora. Nadzwyczaj bogata, rozbita na setne odławy, na sceny i scenki, napisane nieraz dla jednego rysu, utrudnia czytelnikowi ogarnięcie przedmiotu. W powieściach Tołstoja uwaga plącze się, ginie, jak w ogromnym lesie. Tyle w nim drzew, że samego lasu nie widać.. Wicehrabia Melchior de Vogüé, najlepszy we Francyi znawca literatury russkiej, mówi, oceniając „Wojnę i pokój" Tołstoja, bardzo słusznie: „Przyjemność trzeba drogo okupić, jak przy wspinaniu się na góry. Droga bywa często niewdzięczna i przykra; człowiek błąka się; trudu potrzeba i wysiłku" *)

Nie trudno się domyślić, że głowa tego rodzaju radzi sobie lepiej w utworach drobniejszych, w nowelach i obrazkach. Powiastki ludowe Tołstoja zadawalniają w istocie pod względem technicznym najwybredniejsze wymagania.

---

*) Melchior de Vogüé; „Le roman russe": wydanie III; 1892 r., str. 294.

Jako artysta więc nie mógł Tołstoj zachwycić francuzów, znanych ze zręczności technicznej. Nawet średniej miary powieściopisarz paryzki buduje lepiej, przejrzyściej od autora „Anny Kareniny".

Nie Tołstoj-artysta wpływa obecnie na literaturę Zachodu, lecz Tołstoj-myśliciel (filozof, moralista, socyolog), a wpływa dlatego, bo wnosi do beletrystyki pierwiastki, których ona pragnie, a sama odczuć nie potrafi.

Aby zrozumieć tajemnicę powodzenia Tołstoja nad Sekwaną, dość zestawić dwie sceny analogiczne z dwóch powieści.

I Flaubert (*Madame Bovary*) i Tołstoj (Anna Karenina) odtworzyli psychologię wiarołomnej kobiety. Ale jakże inaczej?

Pani Bowary Flauberta, wróciwszy po upadku do domu męża, zamknęła się w swoim pokoju.

— Było to nasampród odurzenie — mówi autor. — Widziała drzewa, drogi, rowy, Rudolfa, czuła jeszcze uścisk jego ramion, podczas kiedy liście drżały, a sitowie szumiało. — Ale spojrzawszy w lustro zdziwiła się swojej twarzy. Nie miała nigdy oczu tak wielkich, czarnych i głębokich. Coś subtelnego, rozlawszy się na jej postaci, przeobraziło ją.—Powtarzała bezustannie: Mam kochanka, mam kochanka! rozkoszując się tą myślą... Posiędzie więc nareszcie owe uciechy miłości, ową febrę szczęścia, o której już zwątpiła!... Wstępowała więc w stan cudowny, w którem będzie wszystko namiętnością, upojeniem, szałem. Bezmierny błękit ogarniał ją, szczyty uczucia błysnęły pod jej myślą, a życie pospolite ukazało się jej daleko, nizko, w cieniu pomiędzy przerwami owych szczytów. — Wówczas przypomniała sobie bohaterki czytanych książek i cały liryczny legion wiarołomnych kobiet odezwał się w jej pamięci czarującemi głosami siostrzyc Stawała się sama, jakby istotną, cząstką tych dzieł wyobraźni i urzeczywistniała długie ma-

rzenie młodości, uczuwszy się typem kochanki, której tyle zazdrościła. Oprócz tego uczuwała Emma zadowolenie zemsty. Małoż cierpiała? Ale teraz tryumfowała, i miłość, długo powstrzymywana, wytrysnęła z niej cała z radosnem wrzeniem. Rozkoszowała się tą miłością *bez wyrzutów*, *bez niepokoju*, *bez obawy* *).

Tak upadła francuska powieść naturalistycznej. A Karenina Tołstoja?...

— Co dla Wrońskiego — opowiada Tołstoj — stanowiło od roku jedyne pragnienie, usuwające na stronę wszystkie dawniejsze cele życia, w czem Anna widziała niemożliwe, okropne i właśnie dlatego wabiące marzenie — stało się...

Blady, z drżącemi policzkami, stał Wroński przed nią, zaklinając, aby się uspokoiła, chociaż nie wiedział sam, dlaczego i na co.

— Anno, Anno — mówił głosem zdławionym — Anno, na miłość Boską!...

Ale im on głośniej wołał, tem niżej pochylała ona niegdyś dumną, pogodną, a obecnie zbeszczeszczoną głowę. Była złamana; upadła z kanapy, na której siedziała, na posadzkę, do jego stóp; byłaby się osunęła na kobierzec, gdyby jej nie był podtrzymywał.

— Boże, przebacz mi! — łkała, przyciskając ręce do piersi.

Czuła się tak grzeszną, tak winną, że nie pozostawało jej nic innego, jak poniżyć się i prosić o przebaczenie. W życiu nie stał odtąd obok niej nikt oprócz niego, nie miała nikogo, przeto zwróciła się do niego z błaganiem o to przebaczenie. Gdy spojrzała na niego, uczuwała fizycznie

---

*) Gustaw Flaubert: „Madame Bovary, Moeurs de province; edition définitive"; 1892r. str. 179.

swoje poniżenie i dlatego nie mogła z siebie nic więcej wydobyć. On zaś doznawał uczucia, jakiego doznaje zabójca, gdy patrzy na ciało, pozbawione przez niego życia. Ciałem, które pozbawiono życia, była w tym razie ich miłość, raczej pierwsza jej faza. Coś okropnego, odpychającego wiało ze wspomnień, okupionych taką hańbą.

Annę dławił wstyd z powodu jej duchowego obnażenia, a ten wstyd udzielił się i jemu... Zaczął ją całować po twarzy, po ramionach. Ona trzymała jego rękę i nieruszała się. Właśnie te pocałunki opłaciła hańbą, a ta ręka była ręką współwinowajcy. Podniosła jego rękę do ust i pocałowała ją. On padł na kolana i chciał spojrzeć w jej twarz, ale ona pochyliła się i milczała. Nareszcie, jakby zbierała wszystkie siły, podniosła się i odpychając go od siebie:

— Stało się — wyrzekła — teraz nie posiadam już nic, oprócz ciebie... Pamiętaj o tem...

— Jakże mógłbym nie pamiętać o rozkoszy, która wypełnia całe moje życie. Za minutę tego szczęścia...

— Jakiego szczęścia! — zawołała z obrzydzeniem i ze wstrętem, a przestrach jej udzielił się mimowoli i jemu. — Na Boga, ani słowa więcej, ani słowa...

Podniosła się szybko i oddaliła się od niego...*)

Tak upadła Karenina Tołstoja.

Dwie te sceny ilustrują dostatecznie różnicę między literaturą russką a francuską czasów ostatnich.

Dla autora francuskiego jest występek rodzajem preparatu anatomicznego, który należy obserwować uważnie, dokładnie, lecz biernie. Im preparat bywa rzadszy, dziwaczniejszy, tem większą budzi ciekawość. Ale tylko ciekawość... Jak botanik na szczególną roślinę, minerolog na

---

*) Leon hr. Tołstoj; „Anna Karenina“; w przekładzie niemieckim Hansa Mosera; w bibliotece Reklama; tom 1. str. 204 i 205.

nieznany mu kruszec, jak wogóle wszelki uczony na badany przedmiot, tak samo patrzy psycholog artystyczny na człowieka i jego namiętności. Ogląda go z różnych stron, zapisuje postrzeżenia, łączy je w jedną całość, „konstatuje fakt“, nie troszcząc się wcale o wewnętrzne znaczenie zjawiska.

Nauczywszy się od pozytywizmu, że tak światem organicznym, jak nie organicznym rządzą te same prawa, którym się żadna siła ziemska oprzeć nie może, że człowiek postępuje zawsze tylko tak, jak musi, naturalista francuski nie przeciwstawiał występkowi popędów dobrych, odzywających się często nawet w sercu niepoprawnego zbrodniarza i nie niepokoił go, nie przerażał wyrzutami sumienia. Wszelką nikczemność odtwarzał zewnętrznie, w skutkach pochwytnych, pomijając całą walkę między złem a dobrem, czyli wszystko, co poprzedza zbrodnię i co po niej bezpośrednio następuje. Wyraz „sumienie“ wykreślił naturalizm ze swojego słownika, jako pojęcie, niezgadzające się z determinizmem. Pani Bowary Flauberta cieszy się z upadku, tryumfuje, że „ma kochanka“.

Inaczej realista russki. I on nie jest optymistą, nie łudzi się co do wartości człowieka, nie wierzy w typy jasne, dodatnie. Gogol, Ostrowski, Dostojewski, Tołstoj i in., nie pisali powiastek dla panienek. Śmiałą, bezlitośną nieraz ręką zdzierali zasłonę z obłudy i podłości ludzkiej, znając doskonale bezmierny egoizm potomków Adama i Ewy. Nie ma tej zbrodni, którejby beletryści russcy nie dotknęli. Jako obserwatorowie nikczemności wyprzedzili oni nawet autorów francuskich. Dzieła ich jeżą się: wiarołomstwami, kradzieżami, oszukaństwami, zabójstwami; typy ich załamują się pod ciężarem fatalizmu — rodzonego brata determinizmu naturalistów. Wszakżeż do Gogola należą owe beznadziejne słowa: Namiętności człowieka są liczne, jak piasek nad brzegiem morza. Żadna z nich nie jest podobna do

drugiej. Szlachetne albo nizkie, zaczynają one wszystkie od uległości, a kończą na straszliwem opanowaniu człowieka. Przyszły z nim na świat i nie dadzą się pokonać...

I Anna Karenina Tolstoja daje się ostatecznie porwać, oślepić grzesznej miłości aż do cynizmu, zdumiewającego zawsze mężczyznę w kobietach upadłych. Ale w chwili występku czuje swoją winę, wstydzi się za siebie przed sobą, wie, że dopuściła się czynu niegodnego. Nie woła, jak Emma Bowary Flauberta: mam kochanka, mam kochanka! lecz pochyla zbezczeszczoną głowę i błaga o przebaczenie, tego przebaczenia potrzebując, pragnąc. Ta sama sromota przeraża także jej uwodziciela, Wrońskiego. W obojgu budzi się po dokonanym akcie sędzia nieubłagany — sumienie.

I tak wszędzie u autorów russkich.

W literaturze francuskiej jest występek pospolitą komedyą, częstokroć wesołą, tłustą farsą; w russkiej zawsze tragedyą. Grzesznicy francuscy grzeszą swobodnie, z dowcipem i zuchwalstwem na ustach; russcy z trwogą w sercu. Kobieta francuska, upadłszy, raduje się lub dziwi, że „nie stało się nic niezwykłego“; russka wije się po ziemi ze wstydu, jeżeli nie jest brutalną ladacznicą. Autor francuski nie bierze udziału w występku swoich typów, biernie, obojętnie niemoralny; russki współczuje z nędzą nędznych, moralny nawet w niemoralności.

I ta właśnie wyższość etyczna, którą autorowie russcy posiadają nad francuskimi, wyrównała Dostojewskiemu i Tołstojowi drogę nad Sekwaną.

Mówi Jan Honcey *): Nadchodzą dla literatur bardzo starych chwile, w których, zmęczone szukaniem nowych tajemnic, zgadzają się, jak Faust na wzięcie odmładniającego

*) Jan Honcey; „Souffles nouveaux“; 1892 r. str. 59 i 60.

eliksiru z rąk Boga, czy szatana. Od czasu, kiedy zniechęciła się do naturalizmu, swojej ostatniej formułki magicznej, nasza (znaczy: francuska) literatura, ujrzała przed sobą ową chwilę niepewności, sprzecznych eksperymentów i luźnych usiłowań. Jakiemuż przewodnikowi powierzy teraz losy swoje? Wróci-li na swoje własne ślady, pogrążając się jeszcze więcej w krzewach i chwastach psychologizmu stendalowskiego, albo też, posuwając się naprzód w kierunku jeszcze niewyzyskanym,—pozwoliż się unieść mglistemu idealizmowi symbolistów?

Literatura francuska zgubiła własny ster, przeto ogląda się wokoło, szukając pomocy u innych narodów, czego zwyle nie czyni, posiadała bowiem o sobie zawsze bardzo dobre mniemanie. Nawet historyi i geografii uczą się francuzi, jak wiadomo, niechętnie od reszty Europy, chociaż nie mają o tych umiejętnościach żadnego wyobrażenia.

Etyczne znieczulenie beletrystyki swojskiej musiało francuzom naprawdę dokuczyć, skoro zrzucają pychę z serca i zaczynają się w cudze wpatrywać wzory. Alians literatury francuskiej z russką ułatwiło oczywiście zbliżenie polityczne obu narodów, z mniejszym bowiem wstydem bierze się wskazówki z rąk przyjaciela, aniżeli od obojętnego lub wroga. Skorzystałaby wistocie powieść francuska, gdyby chciała przejąć od russkiej jej współczucie dla niemocy i rozpaczy człowieka.

Ale nie sama tylko wyższość etyczna pociąga współczesnych francuzów w literaturze russkiej. Jest w powieściach Tołstoja, oprócz sumienia, jeszcze pierwiastek inny, który potrącił nad Sekwaną o struny pokrewne.

Pod pociągiem, który przywozi Annę Kareninę i Wrońskiego do Petersburga, kona jakiś robotnik kolejowy, zmiażdżony przez łączące się wagony. Anna, dowiedziawszy się o tym smutnym wypadku, zasępia się i mówi: zły znak! Ginie ona w końcu tą samą śmiercią.

Na krótko przed ciężką chorobą mają oboje, Anna i Wroński, dosłownie ten sam sen. Umrę niedługo! oświadcza Anna.

W jednej z powiastek ludowych Tołstoja p. t. „Wygnaniec“ śni się żonie Iwana Dmitrejewicza, kupca, który wybiera się na jarmark do Niżnego-Nowogrodu, że widziała męża nagle osiwiałego. Nie jedź w drogę, prosi niewiasta, bo spotka cię nieszczęście. Iwan nie słucha i nie wraca już do domu. Posądzono go o zabójstwo i wysłano do ciężkich robót.

W prześlicznym obrazku p. t. „Ile człowiek potrzebuje ziemi?“ wyśnił się i chłopu, Pachomowi, sen fantastyczny.

Sny, przeczucia, niepokoje nerwowe i t. p. tajemnice natury ludzkiej odgrywają w powieściach i nowelach Tołstoja znaczną rolę. Ostrzegają, straszą, nawołują do opamiętania, sprawdzają się...

Ponieważ i symboliści francuscy przywiązują do zjawisk dotąd niepochwytnych, a mimo to wpływających bardzo często na postępowanie i losy człowieka, dużą wagę, przeto nic dziwnego, że witają w Tolstoju starszego brata.

Bratem starszym dzisiejszego pokolenia jest autor „Anny Kareniny“ nietylko latami, ale i doświadczeniem. Od samego początku więcej myśliciel, aniżeli artysta, postępował Tołstoj równolegle ze swoim czasem. Czaszka jego była jak olbrzymi kocioł, w którym gotowały się i kipiały wszystkie prądy naukowe i literackie ostatnich lat pięćdziesięciu. Spragniony zrazu świadomości, a następnie równowagi, spokoju, szedł Tołstoj przez piekło zwątpień, tęsknot, rozpaczy, zniechęceń i zawiedzionych nadziei. Szedł, potykając się bezustannie, ciągle niezadowolony, bo ani wiedza, ani życie nie dawały mu tego, czego dla siebie, dla duszy swojej potrzebował. Głębszy od wielu znakomitości współczesnych, okłamujących się apatyczną obojętnością, nie umiał, nie chciał istnieć bez jasno określonego progra-

matu. Zacząwszy od prawowierności materyalistycznej, od pozytywizmu i ewolucyonizmu, zanurzył się Tołstoj następnie w ponurych falach pesymizmu schopenhauerowskiego, szukał ratunku w nirwanie Buddhy, nosił się przez pewien czas z zamiarem rozbicia nędznego czerepu ludzkiego, zbyt małego do ogarnięcia prawdy; utulał się powoli, stygł, przytomniał, aż zbudował sobie z osobistych spostrzeżeń i doświadczeń własny gmach, w którym znalazł nareszcie spokój pożądany. Od lat kilku Tołstoj już nie szuka, nie błądzi po manowcach. Ukojony na resztę życia, czeka bez obawy na śmierć, nie straszną dla niego. Jest on jedynym pisarzem europejskim drugiej połowy bieżącego stulecia, w którym splotły się wszystkie rysy znamienne naszej smutnej epoki i dlatego powinna jego ewolucya umysłowa zająć każdego psychologa chwili obecnej. Historya złudzeń Tołstoja, to historya duchowa zgasłego i dojrzewającego właśnie pokolenia. Ciekawe to ze wszech miar studyum ułatwił sam Tołstoj, wiadomo bowiem, że spowiadał się kilka razy publicznie. Zaczął on działalność autorską właściwie od rodzaju autobiografii, gdyż pierwsze rozdziały jego „Lat dziecięcych i młodzieńczych“ (od r. 1851—1857) poprzedziły „Kozaków“.

Z pamiętnika tego dowiadujemy się, że obecny „mistyk“, jak Tołstoja jego przeciwnicy nazywają, rozmiłowany nasamprzód w pozytywizmie Comte'a, dotarł bardzo wcześnie do beznadziejnych progów sceptycyzmu. Już w szesnastym roku życia przestał wierzyć w zasady i formułki, wszczepione w niego przez opiekunów i nauczycieli. Odbicie jego młodości, Olenin („Kozacy“), uciekł z Moskwy, zmęczony „cywilizacyą, ową odwieczną nudą, zakażającą krew z pokolenia na pokolenie“.

Rozczarowawszy się do życia w chwili, kiedy mu inni bez żadnych ufają zastrzeżeń, Tołstoj zaczął się światu i ludziom bardzo wcześnie uważnie przypatrywać. Co do-

strzegł i doświadczył, nie wróciło mu uronionego w latach wiosennych optymizmu. Widział: egoizm, kłamstwo, głupstwo, podłość i zbrodnię, słyszał wesoły śmiech łotrów, cichy płacz szlachetnych, pyszne słowa możnych i stłumione skargi maluczkich. Dokądkolwiek się zwrócił, w kraju czy zagranicą („*Lucerna*“; z zapisków księcia Dymitra Nechludowa), wszędzie potykał się o wór z pieniędzmi, przed którym człowiek w proch padał. Zasługę, cnotę, pracę, dobroć, uczciwość poniewierano, kopano nogami, kłaniając się tylko powodzeniu, bogactwu i sprytowi.

Więc upodobał sobie Tołstoj pesymizm, głębszy od filisterskiego pozytywizmu, lotniejszy i śmielszy, potrącający jednem skrzydłem o metafizykę, chociaż udający materyalistę. Ale teorya nicości nie mogła wypełnić jego duszy przestronnej. Pesymista nie ustawał w pogoni za świadomością, za równowagą umysłową i moralną. Jak Żyd wieczny tułał się autor „Anny Kareniny“ po wszystkich systemach i doktrynach, zastosowując je kolejno praktycznie. Jego Lewin („Anna Karenina“) szuka ciągle właściwej dla siebie drogi, jest potrosze sceptykiem, socyalistą, utopistą społecznym różnych odcieni, aż dowiaduje się od prostego chłopa prawdy, której mu ludzie uczeni wskazać nie umieli. „Nie trzeba żyć dla siebie. Trzeba żyć dla Boga“ — odezwał się sługa Lewina, a pan dodał po swojemu: Wszystko zło pochodzi z głupoty i z przewrotności rozumu...

Do tego samego rezultatu doszedł i Tołstoj po wichrach i burzach młodości i wieku dojrzałego. „Anna Karenina“ zamknęła jego „Lata nauki i wędrówki“. Jak Wilhelm Meister Goethego, obliczył się i on nareszcie (około r. 1880) z życiem, z jego dodatniemi i ujemnemi stronami, i przeszedł w stan spokoju intelektualno-moralnego. Odtąd zaczyna się jego działalność „apostolska“.

Zanim rozbitek nowoczesnego materyalizmu stanął przed Europą z nową „ewangelią“ w ręku, spojrzał jeszcze raz po za siebie, aby sobie zdać sprawę z drogi przebieżonej. Smutny to był przegląd („Moja spowiedź“).

— Straciłem wiarę bardzo wcześnie — mówi Tołstoj. — Żyłem przez pewien czas, jak wszyscy, próżnościami tej ziemi. Byłem literatem, ucząc ludzi, jak wielu innych, rzeczy, o których nie miałem sam wyobrażenia. Następnie zaczął mnie prześladować sfinks, coraz okrutniejszy, wołając: odgadnij mnie, zrozum, albo cię pochłonę! Wiedza ludzka nie umiała mi nic wytłumaczyć. Na jedyne, zajmujące mnie pytanie: dlaczego żyję? odpowiadała mi mądrościami, które mnie wcale nie obchodziły. Idąc za głosem nauki, należało się połączyć z chórem: Salomonów, Sokratesów, Munich, Schopenhauerów i powtarzać za nimi: życie jest głupiem złem. Doszedłem do tego, że chciałem przestać istnieć. Nareszcie przyszło mi na myśl przypatrzeć się olbrzymiej większości ludzi, tym, którzy nie bawią się, jak my, tak zwane klasy wyższe, w spekulacye filozoficzne, lecz pracują i cierpią, spokojni mimo to i zrezygnowani co do celów życia. Wówczas zrozumiałem, że trzeba żyć, jak owe tłumy, że należy wrócić do wiary prostych ludzi. Ale ponieważ mój rozum nie mógł się pogodzić z nauką, skoszlawioną przez wyznania urzędowe, przeto zabrałem się do zbadania tej nauki, aby odłączyć przesądy od prawdy. — „Nie mogę teraz pomyśleć bez wstrętu, bez obrzydzenia i bólu serca o dawniejszych latach mojego życia. Wyzywałem na pojedynki, aby zabić człowieka, przegrywałem w karty, trwoniłem pieniądze, zarobione przez chłopów w pocie czoła, poniewierałem robotników, cudzołożyłem, oszukiwałem. Kłamstwo, kradzież, podłość wszelkiego rodzaju — nie ma zbrodni, którejbym nie popełnił, a za to chwalili mnie jeszcze rówieśnicy. Ludzie mojego towarzystwa mieli i mają mnie dotąd za człowieka względnie moralnego.

Chyba nie wielu nietylko autorów, lecz ludzi wogóle zdobyłoby się na tak jaskrawą, szczerą spowiedź publiczną. Wiadomo, że przyznanie się do słabości, głupoty i samolubstwa nie należy do cnót pospolitych. Nawet zbrodniarz kłamie jeszcze na kilka minut przed egzekucyą, wypiera się winy, chcąc uchodzić za lepszego, aniżeli nim jest.

Rozprawiwszy się w sposób tak radykalny z ponurą przeszłością, usiłuje szlachetny marzyciel russki rozjaśnić przyszłość wskazówkami dodatniemi. Jego najnowsze dzieła („Moja religia“, „Co należy teraz czynić“ i in.) zawierają rodzaj programatu, mającego uregulować dalsze postępowanie człowieka, zbałamuconego przez naukę materyalistyczną.

Wbrew wygórowanemu indywidualizmowi naszych czasów, który, wykluwszy się z apoteozy samolubstwa, przerodził się w chorobliwy egotyzm dekadentów, żąda Tołstoj absolutnego podporządkowania jednostki pod dobro ogółu. Uczy on miłości bliźniego w najszerszem rozumieniu, powtarzając za Chrystusem: kto cię uderzy w lewy policzek, temu nadstaw prawy. Nie powinno być, zdaniem jego, wojen, sądów, wyroków, więzień, długów publicznych i prywatnych. Jeden człowiek ma się za drugiego poświęcać...

Zraziwszy się do wiedzy, milczącej na zapytanie: dlaczego żyję? wierząc tak samo, jak Lewin z „Anny Kareniny“, że „wszelkie zło pochodzi z przewrotności rozumu“, Tołstoj potępia naukę, stawiając po nad nią wiarę maluczkich. Nie całej ludzkości służy wiedza — twierdzi — lecz głównie możnym i kapitalistom. Zamiast pamiętać o rzeczach powszechnego użytku, zajmuje się ona „takiemi błahostkami, jak protoplazma i analiza spektralna“. Namiętniej od symbolistów, z nienawiścią prawie występuje Tołstoj przeciw wiedzy, odmieniając w swojej „Spowiedzi“ na różne tony słowa Lewina i wracając do tego samego przed-

miotu w dziełach najnowszych kilkanaście razy. Napisał on nawet osobny traktat (w formie dramatycznej) przeciw nauce („Skutki wiedzy“).

Nie wiedza daje człowiekowi szczęście — uczy reformator russki — nie rozum powinien być jego władzcą, lecz wiara. Do niej trzeba wrócić, jeżeli chcemy żyć w spokoju i zadowoleniu. Z ustąpieniem panowania rozumu, zbledną równocześnie wszystkie te cele i pożądania, do których przywiązujemy obecnie wartość najwyższą. Pozbywszy się pychy rozumu i ciała, przestaniemy ubiegać się o dostatki i zaszczyty, o dostojeństwa i wygody, o komforty, sławę i znaczenie i t. p. znikomości tej ziemi. Potrzeby nasze zmniejszą się do wymagań niezbędnych, do *minimum* żądań, poprzestając zaś na małem, pozbędziemy się mnóstwa cierpień i rozczarowań, wynikających z nadmiernych apetytów. Trzeba porzucić miasto—domaga się Tołstoj—owe gniazdo zepsucia, wyprowadzić robotnika z fabryk, zamieniających go na maszynę, i przenieść się na wieś, aby być bliższym natury, najlepszej przyjaciółki i mistrzyni człowieka.

Czego Tołstoj uczy teoretycznie, jako filozof, to wciela także praktycznie, jako człowiek i artysta. Wiadomo, że mieszka od czasu swojego „nawrócenia“ stale na wsi, w majątku dziedzicznym, w gubernii tulskiej, w Jasnej Polanie, zdala od gwaru i brudu wielkiego świata, oddając się cały cichej pracy i dobrym uczynkom. Żyje skromnie, bez wytwornych potrzeb, stara się obywać bez obcej pomocy, buty sobie nawet i odzież własnoręcznie łatając. Jeżeli pisze, to albo traktaty filozoficzno-etyczno-teologiczne, albo też drobne powiastki, które ilustrują jego naukę. Stworzył on w latach ostatnich szereg obrazków ludowych, rodzaj przypowieści, które zajmą w jego dorobku autorskim niezawodnie miejsce naczelne. Są to drobne szkice i nowele, artystyczne komentarze do różnych prawd życiowych.

Kwiateczki to, niepozorne, skromne, ale barwne i wonne, bo wykwitły z serca, wszystkie zaś wielkie myśli idą nie z głowy, lecz z serca, jak słusznie Vauvenargues zauważył (*Les grandes pensées viennent du coeur*). Powiastki ludowe Tołstoja, szczere, proste, pozbawione zupełnie żółci krytycyzmu, są może jego najtrwalszym pomnikiem artystycznym. Nie zwiędną one nigdy.

W światopoglądzie i w moralności Tołstoja nie trudno odnaleźć ich pierwiastki zasadnicze. Gmach swój ulepił marzyciel z Jasnej Polany ze strzępów Ewangelii chrześciańskiej, z fantazyi Rousseau'a o „powrocie do natury“, z doktryn społecznych bieżącego stulecia i z pesymizmu wszystkich czasów. Z chrześciaństwa wziął miłość bliźniego, pokorę i obojętność na zaszczyty i rozkosze tej ziemi — autorowi „Umowy społecznej zawdzięcza wstręt do cywilizacyi i jej ognisk (wielkie miasta) — od utopistów socyalnych nauczył się nienawiści do kapitału i nieuznawania praw własności, od pesymistów wkońcu pogardy życia wogóle.

Pierwiastki powyższe, złączone cementem osobistych doświadczeń, złudzeń, cierpień i rozczarowań Tolstoja, złożyły się na coś bardzo pięknego, ale niepraktycznego.

Nie ulega wątpliwości, że miłość bliźniego w rozumieniu Ewangelii jest najwyższym ideałem etyki. Możliważ ona jednak w zastosowaniu powszechnem? Aby była nie ostatnim wyrazem marzeń jednostek najwznioślejszych, lecz prawem powszechnem, trzebaby przetopić człowieka jeszcze raz w jakimś tyglu czarodziejskim i dać mu nie zmysły, nie nerwy, nie mięśnie i kości, nie początek ziemski wogóle, jeno postać inną, którąby go uwolniła z pod tyranii namiętności i potrzeb doczesnych. Wszelkie zło idzie nie z rozumu, jak mniema Tołstoj, lecz ze zmysłów, z ciała, ono bowiem: kłamie, kradnie, zabija, cudzołoży i t. d., rozum zaś, jego sługa powolny, uczy go tylko sposobów za-

dowolenia jego pożądań. Dopóki człowiek jest człowiekiem i musi żyć, zdobywać dla siebie i swojego najbliższego otoczenia: pokarm, odzież, mieszkanie, dopóki musi walczyć o prawo istnienia, dopóty będzie miłość bliźniego w rozumieniu Ewangelii ideałem, czyli czemś, co jest mimo prawdy swojej niedościgłem, w całej pełni niewykonalnem. Tylko jednostki wyjątkowo szlachetne, uduchowione, potrafią się wznieść na same szczyty moralności chrześciańskiej.

Gdy Tołstoj mówi: nadstaw napastnikowi drugi policzek, nie sądź, nie wydawaj wyroków, nie żądaj zwrotu pożyczek, nie nazywaj się właścicielem tego, co posiadasz, nie prowadź wojen, nie pożądaj miłości zmysłowej i t. d., wówczas zapomina rozmyślnie o istocie natury ludzkiej, którą, jako belletrysta, zna bardzo dobrze, czego złożył w swoich powieściach liczne dowody. Zapomina, że, aby myśleć i postępować tak, jak Tołstoj, trzeba być Tołstojem — starcem, mającym po za sobą długi szereg doświadczeń i rozczarowań, umysłem wysoko uzdolnionym i wykształconym, sercem pełnem dobroci i litości, i człowiekiem majątkowo niezależnym. Namiętności i apetyty przeciętnej jednostki, uwolnione z pod nadzoru religii i prawodawstwa, rozpoczęłyby istny sabath czarownic średniowiecznych, hulałyby na ziemi, jak stado wilków, wpuszczonych do owczarni, jak wichry, pchnięte na dalekie przestrzenie pól i morza. Sześćdziesięcioletni Tołstoj nie skrzywdzi i bez nakazów moralności i grozy sprawiedliwości doczesnej nikogo, ale dwudziestoletni złodziej, oszust, lichwiarz, egoista, lubieżnik będzie się rzucał na bliźniego z bezwzględnością głodnego zwierzęcia, gdy zabraknie nad nim prowadzącej ręki religii i bicza prawodawstwa. „Miłość bliźniego“ Tołstoja, pozbawiona „ołtarza, sądów, wyroków“, doprowadziłaby nie do „Królestwa Bożego na ziemi“, lecz właśnie do piekła. Powsze-

chna złość pokonałaby i zepchnęła na plan ostatni nieliczną wszędzie dobroć i prawość.

Większą praktycznością odznacza się ta część doktryny Tołstoja, w której autor „Anny Kareniny“ marzy „o powrocie do natury“. Nadmierne potrzeby, wytworzone przez cywilizacyę, ogólna dziś nienawiść do tak zw. ubóstwa, do miernych warunków, do życia pracowitego, słowem, rozpieszczenie człowieka, nie przyniosło ostatniemu pokoleniu szczęścia, dało mu bowiem, zamiast obiecywanych rozkoszy, niedołęztwo fizyczne i pesymizm. Skromniejsze wymagania zmniejszyłyby niezawodnie ciężar życia i zabrałyby egoizmowi jego drapieżność.

Nie ulega także wątpliwości, że bezpośrednie obcowanie z naturą działa na człowieka dobroczynniej, aniżeli wrzawa i turkot wielkich miast, głównych ognisk nikczemności, walki o byt, o czem wie każdy, kto po przebyciu kilku miesięcy wśród brudnych murów stolicy, znalazł się nagle na rozległych polach albo w lesie. Cisza wsi wraca po jakimś czasie nerwom elastyczność, a głowie i sercu spokoj. Brutalność walki o byt gnębi człowieka mniej, gdy nie potrzebuje się ocierać o tysiące ambicyj, interesów i egoizmów większych zbiorowisk ludzkich.

Ale nie każdy może mieszkać na wsi, chociażby dlatego, że nie każdy posiada, jak Tołstoj, Jasną Polanę, oficyalistami zaś lub chłopami nie wszyscy być mogą, bo niestarczyłoby dla nich chleba. Zniesienie praw własności, podział ziemi, zupełne usunięcie kapitału i zrównanie ludzi są tak samo utopią, jak powszechna miłość bliźniego. Dziś zwyciężona własność, tryumfowałaby znów jutro. Jeden syn roztrwoniłby dział ojca, drugi, oszczędniejszy, pomnożyłby go, czyli „zabrał“ część pierwszemu.

Nie wszyscy zresztą ludzie mają ochotę do pracy na roli. Różniczkowanie zajęcia wynikło nie z samych tylko

potrzeb cywilizacyi. Wytworzyły je upodobania, uzdolnienia i cele pojedyńczych jednostek.

Wszakżeż i Tołstoj, zanim się „świata wyrzekł“, dopuszczał się przez lat pięćdziesiąt kilka, jak sam przyznaje „wszelkich nieprawości“, i doszedł do swojej filozofii dopiero po złudzeniach młodości i doświadczeniach wieku dojrzałego. Wprawdzie „trzyma się mądrość siwych bród“, ale w takim razie ma ona znaczenie tylko dla owych siwych bród. Nie sztuka gardzić życiem, jego rozkoszami, nadziejami i szałami, gdy się ma po za sobą wszystko, co człowieka na ziemi czaruje i zawodzi. Nauki starców, chociażby najrozumniejsze, budzą zawsze niewiarę w młodzieńcach, wydają się pesymistycznemi temu, kto rwie się dopiero do lotu samodzielnego. I jest dobrze, że tak jest, gdyby bowiem młodość chciała wcielać mądrość starości, przestałaby ludzkość istnieć.

Przypatrzywszy się uważniej doktrynie Tołstoja, dostrzega się na jej dnie nie zasady chrześciaństwa, lecz poprostu cichą rezygnacyę przekonanego pesymizmu. Nie myli się estetyk niemiecki, Saitschik, gdy mówi: „Miłość chrześciańska Tołstoja jest takiem samem zaprzeczeniem życia, jak pesymistyczna Nirwana; nie jest ona niczem innem, jak etyczną Nirwaną. Gdy się człowiek zmęczy, wtedy kładzie się do łóżka, aby wypocząć. Gdy się człowiek zmęczy życiem (*wenn man lebensmüde wird*), wtedy otacza się mrokami mistycznemi“ *).

Tołstoj znużył się śmiertelnie daremnem poszukiwaniem prawdy i nikczemnością zabiegów powszednich, przeto wycofał się z życia, z pomiędzy ludzi, trawionych jego własnemi namiętnościami i rozpaczami, i zbudował dla duszy swo-

---

*) R. Saitschik; „Die Weltanschauung Dostojewski's und Tołstoj's “;1893 r.; str. 47.

jej bezpieczne, wygodne schronisko. Nie będę się już trudził, męczył, narażał na zawody i cierpienia, nie będę się już tułał po rozmaitych teoryach, z których żadna nie potrafiła mi odpowiedzieć na najważniejsze pytanie człowieka. Mam dosyć tej mitręgi, zwłaszcza, że zbliżam się ku kresowi wędrówki doczesnej. Chcę teraz spokoju, ciszy, jak ktoś bardzo spracowany...

Nie rozważył Tołstoj, zmęczony niepokojami wysiłków umysłowych, że jego „powrót do natury“ zepchnąłby człowieka cywilizowanego wkrótce do poziomu dzikich mieszkańców puszcz Afryki, Ameryki i Australii. Możeby nam zezwierzęcenie, wegetowanie dało więcej szczęścia, aniżeli gonitwa za niepoznawalną, możebyśmy nie pożądali tyle, wytwornych pragnień nie znając — któż o tem wątpi? — ale na taką rezygnacyę nie zgodzi się nigdy człowiek-dusza. Nie ustanie on w pochodzie do świadomości aż do swego ostatniego tchnienia na ziemi i dlatego nie mają doktryny pesymistyczne, chociażby były tak szlachetne, jak utopia Tołstoja, celu praktycznego.

Paradoksalność Tołstoja występuje najwyraźniej w jego poglądach na stosunek mężczyzny do kobiety i odwrotnie.

Jeszcze autor „Mojej spowiedzi“ nie był reformatorem, jeszcze błądził i grzeszył, jak wszyscy śmiertelnicy, kiedy napisał nowelę p. t. „Szczęście rodzinne“, w której odnajdujemy pierwsze ślady nienawiści Pozdnyszewa z „Sonaty Kreutzera“ do miłości płciowej. Pociąg zmysłowy obu płci trwa, podług niego, bardzo krótko. Zasadę tę doprowadził Tołstoj do krańców w powieści, przetłumaczonej na wszystkie języki europejskie.

Jakiś Pozdnyszew zamordował żonę z zazdrości. Nic w tym pomyśle nowego, ani szczególnego, w beletrystyce bowiem francuskiej zabijają ludzie ludzi nawet bez powo-

dów, dla samego sportu mordowania. Ale szczególną i nową jest filozofia Pozdnyszewa.

Zgładziwszy żonę z tego świata, myślał Pozdnyszew dużo nad stosunkiem między kobietą a mężczyzną i doszedł do rezultatów, zdumiewających człowieka przeciętnego. Odkrył mianowicie, że miłość jest uczuciem nienaturalnem, potwornem. Łudzą się wszyscy, którzy wierzą w rozkosze miesięcy miodowych. To nie rozkosze — to „ciągły wstyd, hańba, czarny humor". Trzeba się przyzwyczaić do „występku".

Do występku? Niezawodnie. Bo oto, co Pozdnyszew utrzymuje *):

— Jedzenie jest czynnością naturalną, jedzenie jest przyjemnością, funkcyą miłą, wykonywaną bez hańby. Ale miłość jest wstrętem, hańbą, boleścią. Młoda, czysta dziewczyna pragnie dzieci, tak, dzieci, ale nie męża.

Zdaniem życia powinno być, podług Pozdnyszewa, wytworzenie „stosunków moralnych" między kobietą a mężczyzną, aby zaś taki związek dusz mógł nastąpić, należy się ubiegać o zupełną czystość. „Człowiek ulega w tej walce i dlatego obmyślono małżeństwo moralne. Gdy jednak mężczyzna, co dzieje się najczęściej w społeczeństwie obecnem, oddaje się przed tą chwilą miłości zmysłowej, jest małżeństwo, pomimo pozorów moralności, tylko płaszczykiem rozpusty, a życie staje się nawskroś niemoralnem' (j. w. str. 79). — „Może się pan domyślić, do jakich spostrzeżeń się dochodzi, gdy się słyszy, że się powszechnie nikczemnością i śmiesznością nazywa, co człowiek posiada najlepszego — swobodę i celibat. Sytuacyą idealną dla kobiety jest stan czystości i dziewictwa, ale świat obawia się tego stanu

*) Leon hr. Tołstoj: „La Sonate à Kreutzer", w przekładzie francuskim Halpérine-Kamińskiej; str. 74.

i dlatego drwi z niego. Ileż młodych dziewcząt poświęca swoje dziewictwo temu Molochowi, co się opinią publiczną zowie, i wychodzi za mąż za pierwszego z brzegu przybysza, aby nie zostać dziewicami, czyli istotami wyższemi“ (j. w. str. 79).

Nie są to oczywiście rezonowania Pozdnyszewa, lecz samego Tołstoja, który od czasu, jak się świata wyrzekł, przestał obserwować, a zaczął uczyć.

Więc miłość jest występkiem, a celem człowieka powinno być wytworzenie „stosunków moralnych“, czyli dziewiczych? Znaczy to to samo, co zagłada, co rozmyślne wymarcie rodu ludzkiego. Pozdnyszew nie wypiera się wcale takiego skutku swoich mrzonek, mówi bowiem wyraźnie: „Nie twierdzą Schopenhauer, Hartman i budyści, że prawdziwe szczęście istnieje tylko w nicości. I nie mylą się, gdy uczą, że szczęście ludzkie zależy od jej zagłady“ (j. w. str. 75). „Wszystkie religie przewidują koniec ludzkości, a i, podług wiedzy, jest kres taki nieuchronny. Cóż dziwnego, że i filozofia moralna dochodzi do takich samych rezultatów“ (str. 78).

Rozumie się, że ktoś, co nie istnieje, nie istniał nigdy, jest szczęśliwszym od istniejącego, gdyż nie ponosi ciężarów życia — ale istniejemy, niestety, chcemy istnieć, będziemy jeszcze długo istnieli i dlatego nie mają mądrości pesymistów żadnej wartości praktycznej. Są to zrzędzenia starców, którzy, używszy wszystkiego, ostygłszy z latami, chcieliby obrzydzić innym, czego sami kiedyś gorąco pożądali, co im szczęście dawało. Nie obrzydzą — więc w jakim celu zrzędzą?...

O ile doktryna Tołstoja usiłuje złagodzić brutalność człowieka-zwierzęcia i powściągnąć jego egoizm, jego chciwość i zmysłowość (życie proste, pogarda pieniędzy, litość, miłosierdzie, pobłażliwość), o tyle zasługuje ona na uznanie, chociaż nie uczy niczego nowego, bo powtarza zasady chrze-

ściańskie. Cała jednakże jej część socyologiczna i pesymistyczna może raczej szkodzić, aniżeli służyć.

Przyczyny szerokiego rozgłosu Tołstoja należy szukać między innemi i w tem, że odezwał się w samą porę — w chwili powszechnego chaosu intellektualno-moralnego. Jego teorya, w jednej połowie krańcowo-optymistyczna, w drugiej krańcowo-pesymistyczna, wpadła między same ruiny poglądów, formułek i wskazówek, między trupów idei, jeszcze niedawno żyjących, kwitnących, a obecnie zgasłych, powiędłych. Jest on pierwszym pisarzem europejskim, który usiłuje odbudować dla człowieka z gruzów zbankrutowanej epoki nową świątynię — świątynię jednolitą i wykończoną. Podczas, kiedy inni reakcyoniści dźwigają pojedyńcze części zburzonego gmachu, on, zdolniejszy od nich architekt, ogarnia całość. Jeżeli mu się nie udaje, co zamierza — jegoż to winą? I on jest dzieckiem swojego czasu, wychowańcem przeczenia i pesymizmu. Wystarcza, że zaczął robotę syzyfową, że naszkicował kontury planu... Reszty dokończą może młodsi od niego... *)

Wpływ Tołstoja zatoczył szerokie koło (Francya, Niemcy, Anglia), najsilniej jednak oddziałał na autorów francuskich. Melchior de Vogüé, Leroy-Baulieu, Edward Rod, Jan Honcey i in. poświęcili autorowi „Anny Karenin“ obszerne studya. Mówią o nim dekadenci i symboliści, neochrześcianie i neokatolicy, czerpią z jego „Spowiedzi“ i „Religii“ prawie wszyscy młodsi beletryści paryzcy.

Znajomość literatury russkiej zawdzięczają francuzi wicehrabiemu Eugeniuszowi Melchiorowi de Vogüé, który,

*) W Niemczech napisał bardzo dobrą charakterystykę Tołstoja Rafał Löwenfeld, umieściwszy ją na czele zbiorowego wydania jego dzieł p. t. „Leo N. Tołstoj, sein Leben, seine Werke, seine Weltanschauung“; 1892.

przepędziwszy czas dłuższy nad Newą w charakterze dyplomaty„ miał czas i sposobność przypatrzenia się bliżej zwyczajom i obyczajom narodu, mało dawniej na Zachodzie znanego. Jego dzieło p. t. *Le roman russe* (pierwsze wydanie w r. 1866) wprowadziło francuzów nietylko do przybytku literatury russkiej, ale ułatwiło równocześnie zrozumialsze określenie nowych prądów.

Żołnierz (walczył w r. 1870) i mąż stanu, biorący czynny udział w historyi bieżącej, żywej, Melchior de Vogüé odczuł lepiej od symbolistów połowiczność doktryn pozytywnych i szkodliwość wygórowanego indywidualizmu dekadentów. W chwili, kiedy w Paryżu uchodził bezmyślny technik artystyczny w kółku „wtajemniczonych“ za największego mistrza, kiedy *une page bien écrite* była najwyższą pochwałą dla autora, Melchior de Vogüé miał odwagę nie zachwycać się „sztuką dla sztuki“.

— O, wiem dobrze — pisał *) — iż wyznaczając sztuce pisarskiej cel moralny, rozśmieszę zwolenników doktryny „sztuka dla sztuki“. Przyznaję się, że nie rozumiem tej formułki, przynajmniej w tjej znaczeniu obecnem. Nie przeczę: moralność i piękno są w sztuce synonimami; pieśń Wirgiliusza waży tyle, co rozdział Tacyta. Ale nie należy mieszać owej piękności duchowej, wytwarzającej się z pewnego rozjaśnienia wzroku artysty, ze zręcznością ręki prestidigitatora. Tylko o takiej „sztuce dla sztuki“ mówię. Nie uwierzę nigdy, aby ludzie poważni, dbali o godność i powołanie publiczne, chcieli zejść do stanowiska gimnastyków, bawicielów wędrownych. Ci panowie „delikatni“ są dziwni. Wyrażają oni pogardę dla autora mieszczańskiego, który stara się uczyć lub pocieszać ludzi...

---

*) Melchior de Vogüé; „Le roman russe“; wyd. III; 1892 r.; str. XXIV i XXV.

chelpią się z tego, że nie mają ludziom nic do powiedzenia, zamiast się ze swojej obojętności tłómaczyć. Jak pogodzić ową abdykacyę z pontyfikatem, reklamowanym tak gorliwie przez literatów chwili obecnej? Niewątpliwie; każdy z nas pisze czasami dla przyjemności osobistej... Ale trudno pojąć, jak można wynieść do godności doktryny wyjątek, przekładając chwilowy wypoczynek nad obowiązek ludzki poety.

Melchior de Vogüé, obecnie członek akademi francuskiej, zna bardzo dobrze tajemnice „ręki prestidigitatora“ i „przyjmność tworzenia dla samego siebie“, jest bowiem sam znakomitym stylistą, więc artystą słowa. Nie przeszkadza mu to jednak wcale do twierdzenia, że wszelkie dzieło ludzkie powinno służyć ludziom. Nie dla kilku „smakoszów“, nie znoszących strawy zdrowej, istnieją literatury.

Jak Tolstoj, nie uwielbia i Vogüé wiedzy, ale tylko pozytywnej. Praktyczniejszy od mistrza russkiego, nie potępia nauki wogóle, nie domaga się „powrotu do natury“. żąda tylko, aby uczeni i artyści pozwolili istnieć duszy.

— Bóg stworzył człowieka z gliny — mówi *). — Proszę rozważyć, jakie to słowo właściwe i znaczące ta glina. Nie przesądzając nic i nie przecząc szczegółom, zawiera ono wszystko, co przeczuwamy o początkach życia. Odsłania ono pierwsze drganie materyi mokrej, z której rozwinął się powoli i wydoskonalił długi szereg organizmów. Powstanie z gliny jest wszystkiem, co może zbadać nauka doświadczalna, jest polem, na którem jej moc wynalazcza nie zna granic. Na tem polu można studyować nędzę człowieka-zwierzęcia, a nietylko to, co w nim jest brutal-

*) Melchior de Vogüé; jak wyżej; str. XXVI,

nego, fatalnego i zgniłego. Niewątpliwie. Ale oprócz wiedzy doświadczalnej, posiadamy jeszcze coś innego. Glina nie wystarcza do objaśnienia tajemnicy życia, nie jest bowiem całem *ja*. To trochę błota, które znamy i będziemy znali coraz lepiej, ożywia jakiś pierwiastek, niedostępny na zawsze dla naszych narzędzi naukowych. Trzeba dopełnić formułkę, aby sobie zdać sprawę z dualizmu naszej istoty. Czyni to tekst Pisma Św., bo dodaje: ...„i tchnął w nią życie, a człowiek stał się istotą żyjącą“. To tchnienie, zaczerpnięte u źródła życia powszechnego, zowie się duchem, pierwiastkiem pewnym, a niedocieczonym, który nas porusza, otacza, zbija wszystkie nasze objaśnienia, nie zrozumiałe bez niego. Glina jest przedmiotem nauk pozytywnych, tej strony wszechświata i tej części człowieka, która da się pomieścić w laboratoryum lub w klinice. O ile jednak nie pozwalamy współdziałać „tchnieniu“, o tyle nie stwarzamy istoty żyjącej, życie bowiem zaczyna się tam, gdzie przestajemy rozumieć, o czem twórcy literaccy pamiętać powinni.

Do znaczenia życia wraca Vogüé bezustannie w swoich licznych studyach.

— Życie jest pierwszą potrzebą ludzkości — wola *)— nawet przed prawdą. Życie i prawda są synonimami. Ludzie nie mogą żyć tem, co wystarczało Eklezyaście *Collège de France* (Renanowi), mianowicie jego „cieniom cienia“.

Nauka pozytywna „chemia intellektualna“, jak ją nazywa, zniszczyła, podług Vogüé'go, życie.

Cóż należy postawić na miejscu tej okrutnej wiedzy, która obrzydziła tylu ludziom chwili obecnej istnienie na ziemi?

*) Melchior de Vogüé; „Heures d'histoire“; II wyd.; str. 304.

— Jakakolwiek będzie forma nowych urządzeń, stworzonych przez potrzeby społeczeństwa, nie będzie się ona mogła obyć bez owego wspólnego węzła, bez religii — symbolu i dyscypliny moralnej — odpowiada Vogüé *). — Ze wszystkich ognisk siły moralnej, jakie znamy, posiada jedynie Kościół dosyć przestrzeni i potęgi do przeprowadzenia tego odświeżenia ludzkości.

Więc religia wogóle, a Kościół poszczególe, mają, według Vogüé'go, dopełnić wiedzę, zneutralizować jej wpływ szkodliwy. Tym swoim poglądom zawdzięcza autor „Powieści russkiej“ tytuł neochrześcianina, albo neokatolika i stanowisko wybitne, jakie zajmuje wśród wzrastającej z dniem każdym rzeszy reakcyonistów francuskich. Gromadzą się naokoło niego nie sami tylko wytrawniejsi mężowie, jak Paweł Dejardins i Edward Rod. I najmłodsza młodzież klaskała mu na bankietach.

Powrót do religii zachwyca nawet dekadentów i parnasistów. Wiadomo, że Barbey d'Aurevilly, Leconte de Lisle, Verlaine i in. pragną uchodzić za gorliwych katolików, a Morice dziwi się i skarży, że Kościół nie chce tych „nawróconych“ przygarnąć do siebie.

Kościół nie może uznać nałogowych bluźnierców, przypominających sobie od czasu do czasu „poezyę“ nabożeństwa. Bo nie ukochali wiary owi pseudochrześcianie, lecz poprostu zewnętrzny blask religii i symbolizm jej form. Jak niegdyś romantycy niemieccy przechodzili na łono kościoła katolickiego *par prédilection d'artiste* (Schlegel), tak upajają się i niektórzy z pomiędzy dekadentów-symbolistów czarem i tajemniczością obrzędów kościelnych, działających na wyobraźnię poety silniej od formułek pozytywnych. Gdy taki Verlaine wydaje po *Sagesse* wiązankę ohydnej porno-

*) Melchior de Vogüé; jak wyżej; str. 313.

grafii i bluźnierstw (*Parallèment*), nie można do jego skruchy, do jego wrzekomego odrodzenia przywiązywać żadnej wartości. Po owocach poznaje się ludzi — nie po słowach.

Inaczej Melchior de Vogüé. Wierząc szczerze w siłę religii, przypomina on światu ciągle, bez zmiany, swoje zasady. Jak Tołstoj, żąda i on od jednostki podporządkowania się pod dobro ogółu, potępiając przy kazdej sposobności samolubny indywidualizm. Słowa: poświęcenie, cierpliwość, bohaterstwo, obowiązek nie schodzą z jego ust. Jest on prawdziwym chrześcianinem, chociaż nie łudzi się wcale co do istoty człowieka. List, który napisał do redaktora *Revue des deux Mondes* z powodu „Kongresu pokoju“ i krytyka marzeń Tołstoja, świadczą, iż zdaje sobie doskonale sprawę z połowiczności natury ludzkiej i nie żąda od niej wysiłków i ofiar, przekraczających jej możność. Umysł to trzeźwy, wytrawny.

To samo odnosi się także i do drugiego rozgłośnego „neochrześcianina“, do profesora uniwersytetu w Lozannie, Karola Secrétana, który kolegował jeszcze z Adamem Mickiewiczem. Sędziwy filozof wydał w ostatnich czasach dzieło, należące do literatury reakcyjnej chwili bieżącej.

Jak Tołstoj i Vogüé, czyni i Secrétan naukę niezawisłą odpowiedzialną za demoralizacyę chwili obecnej. Pozytywizm i ewolucyonizm, zająwszy się jedynie t. zw. prawdą, z pominięciem życia, zbłądziły, podług niego, bo nie wiedza, nie „prawda“ jest wszystkiem, jeno życie, a wiedza tego wszystkiego tylko cząstką. „Gdy jaka doktryna usiłuje sparaliżować, zgnieść energię moralną, wtedy, potępiając ją przez znaczenie samego faktu, stosujemy tylko do niej prze-

---

*) Karol Secrétan; „La civilisation et la croyance“; wydanie II; 1892; str, 152.

pisy metody najsurowszej *). Secrétan potępia doktrynę pozytywno-ewolucyonistyczną już dla tego samego, że jej determinizm, zaprzeczywszy wolnej woli, podkopał moralność, „interes zaś moralny zajmuje pierwsze miejsce“ (*L'intérêt moral est donc le premier*). Bezustannie, co kilka stronnic kładzie profesor lozański nacisk na znaczenie etyki. *La valeur réelle d'un homme est sa valeur morale* — powtarza kilkakrotnie. Nie wiedza powinna być mistrzynią człowieka, lecz etyka, ta zaś nie może się obyć bez wolnej woli.

Całego aparatu filozoficznego użył Secrétan, aby dowieść istnienia wolnej woli, a następnie Boga. Jak Tołstoj, widzi i on obecny chaos intellektualno-moralno-społeczny i domaga się odrodzenia ludzkości przez wiarę i obowiązek. Poczucie i wykonywanie obowiązku wróci człowiekowi, zdemoralizowanemu przez wyuzdany indywidualizm współczesny, dawny hart i dawną miłość życia.

Ale Secrétan nie jest poetą, jak Tołstoj, więc nie łudzi się, nie wysnuwa obrazów fantastycznej szczęśliwości. Jak Vogüé, nie wierzy i on w powszechny pokój, w powszechną równość i sprawiedliwość. „Przeszkody, które nas oddzielają — mówi *) — od wcielania różnych marzeń, są zbyt wielkie, abyśmy mogli działać z nadzieją bezpośredniego skutku... Nie ma obecnie mowy o czemś innem, jak tylko o krzewieniu idei“. — „Wyrzeknijmy się absolutnego ideału, którego nasz świat nie znosi. Bezpieczeństwo i równość zupełna nie są ani możliwe, ani pożądane“.

Wprawdzie mniema i Secrétan, „że myśleć tylko o sobie, pracować tylko dla siebie, znaczy to samo, co zgubić się **). ale nie żąda wcale, jak Tołstoj, powszechnej miłości bliźniego i wyrzeczenia się przyjemności życia. Nie wierzy

*) Karol Secrétan; jak wyżej; str. 25, 79.

**) Karol Secrétan; jak wyżej; str. 109.

on w hurtowną poprawę ludzkości, w szlachetność mas, chociaż jest demokratą. Pragnie bardzo nie wiele, bo wzmocnienia siły moralnej, podniesienia ducha garstki najlepszych, najszlachetniejszych, których rzeczą powinna być praca ofiarna, bezinteresowna.

W imieniu gromadki wybranych przemawia także inny neochrześcianin, Paweł Desjardins, którego broszurka p. t. *Le devoir présent* (1892) nie dołącza nic nowego do wskazówek Vogüé'ego i Secrétana. I Edward Rod, głośny od pewnego czasu profesor uniwersytetu genewskiego, mało do niedawna znany autor kilku powieści (*Le course à la mort; Le sens de la vie* i in.) i wiązanki studyów literackich (*Etudes sur le XIX. siècle*), nie powiększył w swoich „Ideach moralnych chwili obecnej“ ubogiego jeszcze dorobku neochrześcian. Podzieliwszy pisarzów, którzy wpływali na uformowanie się ostatniego pokolenia, na „negatywnych“ (Renan, Schopenhauer, Zola i in.) i na „pozytywnych“ (Tołstoj, Vogüé i in.), odtworzył w szeregu sylwetek główniejsze postacie literackie drugiej połowy bieżącego stulecia (Renan, Schopenhauer, Zola, Bourget, Lemaître, Scherer, Dumas (syn), Ferdynand Brunetière, Tołstoj, Vogüé).

Dzieło swoje zamknął zakończeniem (*Conclusion*), w którem przemawia następnie: „Treścią istotną wszelkiej moralności jest jak największe uogólnienie, czyli możność służenia wielkiej liczbie ludzi: moralność więc indywidualizmu jest nonsensem (*la morale individualiste est un non-sens*). Oprócz tego powinny zasady moralności być stałe, niezmienne, aby nie dały powodów do kompromisów, co się równa ich niemocy. Znakomita większość współczesnych zapomniała o tych prawach elementarnych. Porwani przez prąd indywidualistyczny, który uniósł nasze stulecie i któremu to stulecie zawdzięcza na pewnych polach swoją wielkość, wprowadzili oni indywidualizm tam, gdzie może on być tylko fermentem zepsucia. Zamiast poświęcenia *ja*, na czem

polega cały pogląd dobra, domagali się tryumfu *ja*. I doczekali się tego tryumfu“ i t. d. *)

Następuje wycieczka przeciw przewrotności indywidualizmu, znana z teoryi poprzednich autorów. Rod nie dopełnia w niczem wskazówek Vogüé'go, Secrétana i Desjardins'a.

Literatura reakcyjna Francyi, sięgająca czasów najświeższych, rośnie z kazdym dniem. Można do niej także zaliczyć, między innemi, bardzo dobre studyum Jana Honcey'a p. t. *Souffles nouveaux* i Paulhana *Le nouveau mysticisme*, chociaż ani jeden, ani drugi nie należą do neochrześcian.

Powrotna fala ogarnia powoli nie samą tylko ojczyznę Voltaire'a i Comte'a. Bunt przeciw doktrynie pozytywno-ewolucyonistycznej, przeciw bałwochwalstwu rozumu, wiedzy, ciała, przeciw panowaniu Złotego Cielca i bezczelności egoizmu odzywa się na całej linii europejskiej, tu słabiej, tam silniej. Najmniej dotąd udziału w tym nowym ruchu biorą Niemcy, zajęte swoją armią i nowym socyalizmem. Reakcya moralna przybrała u nich postać stronnictwa społeczno-politycznego, znanego pod nazwą antisemityzmu. Ze zjawisk literackich zasługuje na wzmiankę dzieło nieznanego autora p. t. *Rembrandt als Erzieher* z dodatkiem *von einem Deutschen* (przez niemca), które doczekało się w dwóch latach kilkudziesięciu wydań. W książce tej, napisanej chaotycznie, bez ciągłości argumentacyi, spotykamy obok zdrowych ziarn mnóstwo plew. Przeczytawszy ogromny tom, nie wiemy właściwie, dokąd autor zmierza, czego pragnie dla jutra.

---

*) Edward Rod; „Les idées morales du temps présent; 1892; wyd III; str. 293.

Daleko wyraźniej zarysowała się u nas reakcya przeciw celom i zasadom światopoglądu pozytywnego, wyprzedziła ona nawet ruch francuski, własnemi idąc drogami. Już około r. 1880 zgrupowało się w około dwutygodnika „Niwa“ grono autorów i publicystów, którzy, porzuciwszy sztandar nauki niezawisłej, poddawali jej hasła krytyce systematycznej. Stronnictwem „młodozachowawczem“ nazwano reakcyonistów warszawskich.

W artykułach i dziełach naszych neokonserwatystów odnalezionoby bez trudu pewną część idei neochrześcian francuskich, chociaż nie od nich wskazówki brali. Literatura nasza wogóle przewyższa francuską pod względem etycznym. Nawet jawni pozytywiści i utylitaryści, jak Orzeszkowa, Bałucki i naśladowcy ich, nawet autorowie wybitnie mieszczańscy i liberalni podporządkowywali zawsze jednostkę pod dobro całości — nie byli nigdy ani pornografami, ani zwolennikami samolubnego indywidualizmu. Z małemi wyjątkami (Zapolska) mogliby nasi beletryści służyć za wzór paryzkim, oglądającym się obecnie na wszystkie strony za „ideałem społecznym“. Mogliśmy się mylić, ale rozmyślnie nie chciał żaden z nas, do jakiegokolwiekby należał obozu, demoralizować swoich czytelników. Poczucie obowiązku jest siłą i chlubą naszego piśmiennictwa. Było to raczej do lat ostatnich, z chwilą bowiem, gdy weszli między nas „najmłodsi“, wnoszący do prasy zamiast talentu „spryt“, zamiast dobrej wiary i woli chłodny rozum karyerowiczów, zaczyna się i u nas coś psuć, rozprzęgać.

Zamykając przegląd zjawisk reakcyjnych w literaturze europejskiej, należy jeszcze zwrócić uwagę na ostatnie dzieło znanego pisarza niemieckiego, Maksa Nordaua, autora rozgłośnych „Kłamstw konwencyonalnych“ (*Die konventionellen Lügen der Kulturmenschheit*). Jego „Zwyrodnienie“ (*Entartung*. 1892 i 1893), aczkolwiek ma być krytyką

właśnie tych zjawisk reakcyjnych, wykwitło z gorąco odczutej potrzeby reformy etycznej i estetycznej.

Wszakże mówi Nordau wyraźnie w rozdziale wstępnym p. t. *Fin de siècle* (*Völkerdämmerung*): „jedna epoka historyczna skłania się bezsprzecznie ku zachodowi, a zaczyna się druga. Porysowały się wszystkie tradycye i jutro nie chce się już łączyć z dniem dzisiejszym. Obecny porządek chwieje się i zapada; ludzie pozwalają mu ginąć, obrzydziwszy go sobie i nie wierząc, aby jego podtrzymanie było warte trudu. Poglądy, które rządziły dotąd duchami umarły albo poszły na wygnanie, jak zdetronizowani królowie. O dziedzictwo ich walczą następcy, powołani i niepowołani. Tymczasem panuje bezkrólewie z całą swoją grozą: z pomieszaniem władz, z bezradnością tłumów, pozbawionych wodzów, ze swawolą silnych, z fałszywemi prorokami i t. d. Z tęsknotą wyglądają ludzie nowych ideałów, chociaż nie wiedzą, zkąd one przyjdą i jaką przybiorą postać *).

Nordau rozumie więc doskonale przejściowość chwili obecnej, widzi jej chaos i drganie konwulsyjne, ale nie umie odkryć przyczyn tego straszliwego położenia i nie chce uznać znaczenia dodatnich momentów reakcyi.

Bo Nordau jest dotąd pozytywistą. Jego obrona wiedzy niezawisłej **) i pojęcie życia ***) nie pozostawiają pod tym względem żadnej wątpliwości. Sam zresztą pomysł, sama tendencya „Zwyrodnienia“ odsłania zbyt wyraźnie jego stanowisko, aby się można omylić.

Poświęciwszy dzieło swoje Cezarowi Lombroso, zastosował Nordau do zjawisk filozoficznych i artystycznych

*) Maks Nordau; „Entartung“; tom I: 1892 r.: str. 10.

**) Maks Nordau; jak wyżej; tom I; str. 170 i następne.

***) Maks Nordau; jak wyżej; str. 231.

metodę antropologów kryminalnych, która jest, jak wiadomo, karykaturą doktryny pozytywno-ewolucyonistycznej.

Jak uczeni włoscy, szuka i on przyczyn i rysów znamiennych obecnego zamętu intellektualno-moralnego tylko w fizyologii współczesnego pokolenia, nie troszcząc się wcale o źródło psychologiczne zwyrodnienia. Będąc lekarzem z zawodu, a materyalistą z przekonań, zapomniał, że czyn następuje zawsze po myśli, nigdy zaś odwrotnie. Człowiek działa tak, jak mu jego filozofia i etyka nakazują. Baudelaire apoteozował złość i przewrotność człowieka nie dlatego, że zniedołężniał fizycznie, lecz zniedołężniał fizycznie dlatego, że straciwszy wiarę w celowość świata i człowieka, rzucił się w objęcia rozpusty zmysłowej i nadużył sił cielesnych. Brutalność Zoli jest naturalnym wynikiem jego przekonań materyalistycznych. Zwyrodnienie fizyologiczne dekadentów poprzedziło zwyrodnienie psychologiczne ich poprzedników. Rozumie się, że zwyrodnienie fizyczne towarzyszy zawsze duchowemu, ale tylko jako skutek.

Nordau pozytywista nie mógł poddać istotnych przyczyn obecnego zwyrodnienia (pozytywizm, ewolucyonizm, materyalizm), przedmiotowej krytyce, a Nordau-żyd (jest on żydem węgierskim) nie chciał dostrzedz w mgławicach mistycznych i w neochrześcianizmie śladów nowego, dodatniego światopoglądu. Uznawszy fakt zwyrodnienia, oświetlił tylko jego skutki, obniżając w ten sposób wartość dzieła o połowę.

Chociaż się Nordau obszedł ze współplemieńcem swoim, z Brandesem, z niesłychaną bezwzględnością, dopuścił się i on tego samego błędu, jaki krytyka współczesna zarzuca słusznie estetykowi duńskiemu. Jego „Zwyrodnienie“ odtwarza tylko jedną stronę chwili obecnej.

Jak Brandes, opracował i Nordau dobrze jedynie część krytyczną. Gdzie wystarczała analiza, tam zadowalnia jego metoda najwybredniejsze wymagania. Sylwetki Nie-

tzschego i dekadentów francuskich nie pozostawiają nic do życzenia. Gdzie jednak potrzeba było zdolności syntetycznej, odszukania i złączenia w całość przejrzystą znamion dodatnich, tam plącze się znakomity polemista, traci pewność oka i ręki. Samo zestawienie Nietzschego i Tołstoja, Verlaine'a i Vogüé'go, Zoli i Maeterlinck'a i t. d., samo podciągnięcie pod jeden mianownik „zwyrodnienia“: materyalistów (Zola), dekadentów (Baudelaire, Verlaine, Huysmans, Barrès), symbolistów (Morice, Maeterlinck), marzycielów społeczno-filozoficznych (Tołstoj), neochrześcian (Vogüé, Desjardins, Rod), reakcyonistów niemieckich (Rembrandt), spirytystów, teozofów i kabalistów, słowem hurtowne potępienie wszystkich zjawisk chwili obecnej, wykazuje dostatecznie jednostronność Nordau'a. Nietzsche i Tołstoj, Maeterlinck i Zola pod jednym dachem?... Niemożliwa to chyba kombinacya...

Jak antropologowie włoscy osadzili ostatecznie prawie wszystkich ludzi w „klinikach kryminalnych“, tak zamknąłby i Nordau z przyjemnością wszystkich: naturalistów, dekadentów, symbolistów, neochrześcian i t. d. w domach zdrowia, wszyscy bowiem myślą i tworzą, podług niego, pod „wpływem zwyrodnienia fizycznego‘. Aby tezy tej dowieść przywołał Nordau do pomocy całą mądrość psychiatrów nowoczesnych, lekceważąc świadomie, co wyraźnie zaznaczył, „wiedzę estetyczną“. Wszędzie odnalazł jakieś „stygmaty zwyrodnienia“, bo nie ducha chaosu obecnego szukał, lecz tylko owych stygmatów, szczęśliwy, gdy udało mu się na ciele jakiego dekadenta lub mistyka odkryć cechy zewnętrzne, wskazane przez Lombrosa albo innego pozytywistę.

W ten sposób nie pisze się historyi duszy ludzkiej, uzmysłowionej w dziełach myśli i sztuki. Gdy idzie o charakterystykę filozofa i artysty, znaczy wzgardzona przez Nordau'a „wiedza estetyczna‘ stanowczo więcej od erudycyi kryminologów i psychiatrów. Do psychologii myślicie-

lów i twórców nie można przykładać miary przyrodników i lekarzy.

Z powyższych względów posiada „Zwyrodnienie“ tylko wartość bogatego materyalu, zebranego sumiennie i podanego w formie łatwej. Nordau zna przedmiot wybornie i włada językiem niemieckim po mistrzowsku. Świetny polemista i jędrny stylista, broni swojej tezy z niezaprzeczonym talentem.

Rzecz szczególna... I ten spóźniony pozytywista przemawia tu i owdzie, jak sądzeni przez niego „mistycy“. Nordau występuje przeciw indywidualizmowi i egoizmowi z namiętnością „neochrześcianina“ i potępia szczerze wszelką przewrotność. Silny prąd etyczny przebiega i ożywia jego „Zwyrodnienie“. I on należy do reakcyi, chociaż się do niej nie przyznaje.

* * *

I oto podnoszą się zewsząd „stare upiory“, wracają „zabobony“ i „gusła“, o których nawet wieść miała przepaść na zawsze. Przyjdzie niebawem czas, — wróżył Renan — kiedy ludzie przestaną wierzyć, a będą tylko wiedzieli.

Jeszcze się zwłoki liberalnego proroka nie rozpadły w proch, jeszcze żyją jego przyjaciele i wyznawcy, a jego naiwno-pyszne słowa zaczynają wywoływać uśmiech sceptyczny zamiast podziwu. Zamordowana przez pozytywistów wiara pospołu z metafizyką zmartwychpowstają w całym świecie cywilizowanym. W mgławicach spirytyzmu, teozofizmu i symbolizmu błyska się przeciągle, jak w chmurach, ożywczym brzemiennych deszczem. Marzenia Tołstoja opromienia słońce ofiary, przypominające jasności pierwszych wieków chrześciaństwa. W programatach neokatolików francuskich odzywa się surowy głos obowiązku, gromiący samolubstwo materyalizmu i chorobliwy indywidua-

lizm dekadentów. Nawet pozytywista Nordau domaga się zmiany, naprawy obecnego stanu.

Co się z tych mgławic uformuje, trudno dziś jeszcze wyraźnie określić. Tyle tylko pewna, że człowiek-dusza i człowiek-serce obrzydzili sobie filozofię, moralność i estetykę człowieka-zwierzęcia.

ZAKOŃCZENIE.

Na całej linii prasy i literatury europejskiej rozlega się od pewnego czasu odwieczne pytanie: a teraz dokąd? Co trzeba czynić, aby jutro było lepsze od nieszczęsnego wczoraj?

Kogo dobro publiczne zajmuje przynajmniej tyle, ile jego własne, kto widzi i rozumi skutki zamętu moralno-intelektualnego chwili obecnej, beletrysta, czy publicysta, filozof, socyolog, teolog, estetyk — wszyscy śpieszą z radą, z lekarstwem. Jeszcze nie było nigdy tylu doktorów społecznych, ile w latach ostatnich.

Niechże więc i mnie wolno będzie zamknąć pobieżny przegląd ruchu umysłowego drugiej połowy bieżącego stulecia garścią uwag osobistych.

Nie przemawiam w imieniu grupy publicystów warszawskich, znanych pod nazwą „młodozachowawców“, których byłem przez szereg lat polemistą i krytykiem, zdaniem bowiem mojem, należą tak postępowcy, jak konserwatyści ostatniego odcienia do bezpowrotnej przeszłości. Stronnictwo, jak wszelki organizm, żyje dopóty, dopóki walczy, czegoś chce, czegoś gorąco pragnie, dopóki się zapala i dla przekonań swoich drogę toruje. Z chwilą, gdy obojętnieje na marzenia i złudzenia młodości, przestaje istnieć.

A któż z nas, jeszcze temu lat pięć wrzący „namiętnością zasad“, chciałby wrócić do polemicznego boju, który zawsze więcej drażni, aniżeli uczy? Chyba przyciśnięty do muru przez jakiegoś *brawa* dziennikarskiego, zmuszony do obrony...

Wszystko na tej ziemi blednie, maleje, traci wartość, gaśnie w końcu. Co się młodemu publicyście wydaje sprawą pierwszorzędnej wartości, to wywołuje na usta pisarza dojrzałego już tylko uśmiech pobłażliwy.

Tak zw. „młodzi“, pozytywiści i konserwatyści, zapomnieliśmy już dawno o latach wiosennych. Bliżej nam do drugiego brzegu życia, aniżeli do pierwszego. Niebawem zacznie śmierć szeregi nasze przerzedzać, smutna śmierć ludzi, zdeptanych nadmierną pracą i zawiedzionych w nadziejach. Ona nas wkrótce pogodzi... nieomylna rozjemczyni w sporach tej ziemi.

Gdy jedni zapaśnicy schodzą ze stanowiska, zastępują ich zwykle nowi. Ale tych, co po nas już być winni, aby snuli dalej nić przez nas nawiązaną, dotąd nie widać. Coś złamało wolę ostatniego pokolenia. Nie ma ono ochoty do niewdzięcznej ofiary publicznej.

Więc chyba czas, aby wszyscy ludzie dobrej woli i wiary, bez względu na rożnice przekonań naukowych, literackich i społecznych, podali sobie ręce do wspólnej pracy dodatniej. Polemizowaliśmy, krytykowaliśmy dosyć, zawiele. Teraz należy dźwigać, co godne, żeby się ostało.

Z gruzów krytycyzmu należy dźwignąć przedewszystkiem dawną moralność (za siebie tylko mówię), zdyskredytowaną przez eksperymenty nauki „niezawisłej“. Nie mędrkowanie nad domniemanym rozwojem zasad etycznych, nie studya porównawcze nad moralnościami różnych ras i epok, nie platoniczne gadaniny o altruizmie bronią łatwowierności człowieka dobrego przeciw podłości złego, lecz *nakaz kategoryczny*, nie podlegający zmiennym komentarzom i tłóma-

czeniom nauki. Aby zaś ten nakaz kategoryczny nie mógł podlegać owym zmiennym komentarzom i tłómaczeniom nauki, trzeba go oprzeć na podstawie, silniejszej od systematów filozoficznych, żyjących rzadko dłużej od pokolenia, z którego wykwitły.

Jedyna religia posiada moc opoki, opierającej się skutecznie wichrom i burzom krytycyzmu. Ona jedna ustanawia trwałe wskazówki etyczne, przed nią też tylko korzy się zarówno mądry, jak głupi, bogaty i ubogi, możny i słaby. Moralność bez idei wrodzonych i bez powagi religii jest niepraktyczną mrzonką molów bibulanych, którym się zdaje, że doktryna filozoficzna może się wznieść do wyżyn powszechnie obowiązującego prawidła. Tylko zaschli w gabinetach uczeni, odcięci od życia rzeczywistego, o którem nie mają żadnego wyobrażenia, jak ów Sixte Bourget'a, wpadają na pomysły tak naiwne.

Wybór religii nie może być dla moralisty wątpliwym. Żadne wyznanie nie dorównało dotąd pod względem etycznym chrześciaństwu, którego nauka zdumiewa ciągle niebotyczną budową. Moralność świecka, naukowa, niezawisła, postawiona obok chrześciańskiej, robi wrażenie kodeksu barbarzyńców, ludojadów, mimo swej kazuistyki altruistycznej. Kto żąda słusznie od etyki, aby była wcieleniem najszlachetniejszych marzeń najszlachetniejszych jednostek, ten znajdzie ideał swój w nowej ewangelii.

Którzy twierdzą, że się chrześciaństwo przeżyło, albo siebie i innych wręcz okłamują, albo też nie znają człowieka. Przeciętna jednostka, chociażby najwięcej cywilizowana, jest dotąd bliższa etyce swieckiej, aniżeli chrześciańskiej. Egoizm nie przestał być głównym bodźcem postępowania ludzkiego i będzie chyba jeszcze długo na ziemi królował. Wynika z tego, że nauka Chrystusa wystarczy dla wielu, bardzo wielu pokoleń.

Treść chrześciaństwa była przez wieków dziewiętnaście martwą literą, wcielaną przez szczupłą garstkę natur wyjątkowych. Utopistów w rodzaju Tołstoja wydało każde pokolenie ilość niewielką. Żaden też umysł trzeźwy nie zgodzi się na ostateczne wyniki autora „Mojej spowiedzi".

Hurtowne podźwignięcie ludzkości z obecnego upadku moralnego należy do owych marzeń, które przynoszą twórcom ich zaszczyt, ale nie posiadają wartości praktycznej. To samo odnosi się także do utopii różnych socyologów, żaden bowiem mędrzec nie posiada środków do przerobienia natury ludzkiej. Unormowanie właściwego, znośniejszego stosunku między kapitałem a pracą, co nastąpi prawdopodobnie wkrótce, gdyż do tego celu zmierzają wszystkie usiłowania chwili obecnej, nie rozwiąże jeszcze sprawy ostatecznie. Złość ludzka wytworzy niebawem warunki dzisiejsze z tą tylko różnicą, że zmienią się role. Kto był na górze, pójdzie na dół i odwrotnie, co się w przeszłości już nie raz odbywało.

Tak marzenie o powszechnem umoralnieniu ludzkości, jak o zaprowadzeniu ogólnego dobrobytu, nie wytrzymuje krytyki. Podźwignąć z obecnego upadku można tylko natury podatne, szlachetniejsze, a los wydziedziczonych chwili obecnej jedynie złagodzić. Dużo zrobi najbliższa przyszłość, gdy zacznie od szerszego zastosowywania zasad chrześciańskich w prawodawstwie i w literaturze. Geniusz narodów cywilizowanych, przebywający w ich instytucyach publicznych, powinien zrozumieć doniosłość społeczną miłości bliźniego, powinien bronić słabych i ubogich, nad którymi się w drugiej połowie bieżącego stulecia pastwiła nauka pospołu ze Złotym Cielcem.

Z chwilą szerszego zastosowania chrześciaństwa, jako kodeksu moralnego, upadnie sam przez się główny filar dzisiejszego chaosu. Zbyt wygórowany, chorobliwy indywidualizm, który jest naturalnem następstwem kultu egoizmu,

wprowadzonego przez naukę pozytywną, ustąpi przed poczuciem obowiązku jednostki względem całości. I Złoty Cielec, arogancki, brutalny parweniusz wszystkich czasów, spokornieje znów, gdy ludzie przestaną marzyć o dostatkach, jako o dobru najwyższem.

Jako wiara w końcu, jako wyznanie religijne, zaspokajające potrzeby „nadprzyrodzone“ człowieka, pozwalające mu: tęsknić za światami innemi, nie wątpić o sprawiedliwości ostatecznej, spodziewać się kiedyś pełnej świadomości i szczęśliwości, usunie chrześciaństwo wszelkie sztuczne, przez szarlatanów i ich łatwowiernych wyznawców wytwarzane cudowności. Żaden okultyzm nie posiada tyle tajemnic, ile Objawienie.

Z jakiegokolwiek stanowiska przypatrzymy się obecnemu stanowi ludzkości, z każdego wznosi się przed nami chrześciaństwo jako tarcza obronna przeciw chaosowi umysłowo-moralno-społecznemu. Wydziedziczonym ułatwia ono ciężkie życie, możnych powstrzymuje w wykonywaniu podszeptów samolubstwa, szlachetnym wskazuje cel jasny, nieszczęśliwych pociesza, zwątpionych oświeca...

Wierzyć w Boga, w duszę, w posłannictwo doczesne człowieka i w celowość świata, znaczyło w drugiej połowie bieżącego stulecia to samo, co być głupcem. Za rozumnego, oświeconego uchodził tylko ten, co przeczył i badał. Tymczasem przekonał znów schyłek naszego wieku ludzkość po raz setny: że wiara jest tak samo wrodzoną potrzebą dzieci adamowych, jak wiedza, pierwsza bowiem dopełnia, czego druga dać nie może. Mędrcy naszych czasów, nie chcąc wrócić do „wiary naiwnych“, którą wzgardzili, padają obecnie ofiarą pospolitych kuglarzów, udających wybrańców, obdarzonych jakąś siłą wyjątkową (medyumiczną). Nauką ma być, badaniem „nowego działu zjawisk“, jak spirytyści, teozofowie i kabaliści usiłują wmówić w siebie i innych,

co jest tylko naturalnym w człowieku pociągiem do cudowności.

Któż śmieszniejszy? Czy nieszczęśliwszy, co nie znalazłszy pomocy i pociechy u ludzi, zgina kolano i modli się do Istoty, którą uważa za Pana i Kierownika wszechświata, czy też uczony przyrodnik, astronom, lekarz i t. d., wierzący niezachwianie w sztuczki zręcznego prestidigitatora?

Współcześni okultyści wszelkich odcieni powołują się na prawa wiedzy, zagrożonej jakoby przez wiarę. Ale wiara nie wyklucza wiedzy, nieśmiertelnej jak dusza ludzka, której jest nieugaszonem pragnieniem. Nienawiść do wiedzy Tołstojów i do niego podobnych pesymistów należy do zjawisk chorobliwych, do zboczeń epok przejściowych.

Wiara żąda tylko słusznie, żeby wiedza nie przekraczała granic swoich dzierżaw, żeby się nie ogłaszała za najwyższą instancyą, za jedyną prawodawczynią człowieka, żeby, słowem, nie chciała być wszystkiem na ziemi.

Epoka pozytywna, obniżywszy rozmyślnie znaczenie filozofii i nauk humanitarnych, a podniósłszy nauki ścisłe, wierzyła, że sprowadzi wiedzę do zakresu właściwego. Ale nienasycony nigdy duch ludzki zapomniał niebawem o kierunku, w jakim pójść zamierzał. I pozytywiści marzyli o jedynowładztwie doczesnem. I oni usiłowali zaspokoić wszystkie potrzeby człowieka — chcieli być jego: wiarą, filozofią, nauką, literaturą, sztuką. Tymczasem, zamiast zbudować „kościół świecki“, któryby „oświeconym“ zastąpił „religię motłochu“, podkopali podwaliny wszelkiej wiary wogóle, zamiast oprzeć uogólnienia filozofii na rezultatach pojedyńczych umiejętności, czyniąc z niej istotną naukę nauk, zepchnęli ją do rzędu służebnic. Naukę w ścisłem rozumieniu rozbili na mnóstwo gałęzi i gałązek specyalnych, literaturze zaś pięknej, zamknąwszy ją w ciasnem kółku obserwacyj fizyologicznych, zabroniwszy jej wzlotów fan-

tazyi przeczuć intuicyi, zabrali połowę jej królestwa. Tylko jako przyrodnicy, chemicy, astronomowie, fizyologowie i t. d. pozytywiści zasłużyli się rzeczywiście ludzkości. Nadzwyczaj bogaty plon nauk ścisłych zostanie wieczystą po nich pamiątką.

Najbliższa przyszłość naprawi prawdopodobnie, co bezpośrednia przeszłość zepsuła. Pominąwszy wiarę, która jako najwyższa potrzeba człowieka, stoi ponad zmiennemi losami systematów i metod, niedalekie jutro ureguluje znów stosunek między filozofią, naukami humanistycznemi, ścisłemi a sztuką. Zostawiwszy obserwacyę zmysłową i eksperyment naukom ścisłym, wprowadzi napowrót do filozofii i nauk humanistycznych spekulacyę metafizyczną, a do sztuki fantazyę i intuicyę. Bez metafizyki nie ma filozofii, jak sztuka bez fantazyi i intuicyi istnieć nie może.

Ma się rozumieć, że nowa epoka spirytualistyczna, którą różne znaki zapowiadają, nie może być tylko wierną kopią romantyzmu, nic się bowiem w dawnej formie nie powtarza. Każda chwila dziejowa zostawia następcom jakąś spuściznę dodatnią, która stanowi nowe ogniwo w łańcuchu postępu ludzkości. Metafizyk i artysta przyszłości, chociaż zrzuci z siebie pęta bezpośredniej obserwacyi, będzie mimo to korzystał z doświadczeń pozytywizmu. Filozofia, budując gmach uogólnień z gotowego materyału naukowego, stworzy znów jakiś system jedności — sztuka zaś, nie gardząc ulepszoną techniką realizmu drugiej połowy bieżącego stulecia, rozszerzy za pomocą fantazyi i intuicyi granice przedmiotów artystycznych.

Gdy opadną mgły naukowe i artystyczne (spirytyzm, teozofizm, okultyzm, symbolizm) i zgasną łuny społeczne (anarchizm), ujrzymy prawdopodobnie wspaniały rozkwit jakiejś nowej formy odwiecznego idealizmu, różniącego się tem od równie, jak on, starego materyalizmu, że daje ludz-

kości afirmacyę zamiast negacyi, że podnosi ducha, odświeża go i ogrzewa, aby miał siłę i ochotę do dalszej walki z „niepoznawalną", aby zrobił znów krok naprzód w pochodzie do zakrytego celu, który dla niego Pan świata wyznaczył.

Gostków — Warszawa.
Sierpień — grudzień, 1893 r.

KONIEC.

ROZKŁAD W ŻYCIU I LITERATURZE.

Teodor Jeske-Choiński.

ROZKŁAD
w życiu i literaturze.

STUDYUM.

Warszawa.
W drukarni „Wieku".
—
1895.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 22-го Марта 1895 года.

Od autora.

W poprzedniem studyum mojem p. t. „Na schyłku wieku“ zawarłem materyał tak bogaty, iż mogłem w ramach jednego tomu naszkicować zaledwo kontury nowoczesnego dekadentyzmu i mistycyzmu. Z tego powodu poświęcam obecnie osobne studyum wyłącznie dekadentyzmowi, który przybiera w literaturze Zachodu kształty coraz wyraźniejsze. Szczegółowy rozbiór mistycyzmu będzie przedmiotem książki trzeciej.

I.

Rozkład cywilizacyi rzymskiej.

Opowiada Liwiusz, że jeszcze na dworze Filipa Macedońskiego drwiono z „ubogiego Rzymu.“

Nie marmurowe pałace wykołysały „wilcze plemię,“ które miało panować przez szereg wieków nad światem. W lepiankach, krytych gontami lub słomą, rodzili się i chowali pierwsi bohaterowie i prawodawcy Romy, jej wielkości twórcy — jej królowie i konsulowie.

Ale już Owidyusz cieszy się, że mu los pozwolił żyć w Rzymie „złotym, cywilizowanym, oświeconym.“

Złotym, cywilizowanym, oświeconym był wistocie Rzym cezarów.

Cudzoziemiec, spoglądający przy końcu pierwszego stulecia ery chrześciańskiej z wyżyn Kapitolu w stronę *forum*, miał przed sobą obraz, który przypominał sny poetów. Obok niego wznosiła się biała świątynia Jowisza, a przed nim lśniły, z prawej i lewej strony, domy bogów, pałace, sklepy, hale, bramy tryumfalne, posągi... Frygijski lub kararyjski marmur raził w dzień pogodny jego oczy, jak słońce, nocą zaś, oblany błękitnawem światłem księżyca, przenosił go w zaczarowane krainy legend.

A w tych świątyniach, pałacach i domach spoczywały skarby artystyczne i dziwy całego świata cywilizowanego. Co wydał geniusz plastyczny Grecyi i Egiptu (posągi, obrazy, sfinksy, obeliski), co stworzyła przemyślność i pracowitość innych narodów, nad czem ludzkość cała potniała — wszystko to zabierali wodzowie rzymscy prawem zwycięzcy i wiedli przez góry i morza nad Tyber, by plonami cudzego trudu ozdobić miasto miast... „złotą, wieczną, świętą Romę“ (*aurea*, *aeterna*, *sacra*).

Gdzieś daleko, w lasach Germanii lub Galii, urodził się karzeł; w górach Hiszpanii przyszedł na świat olbrzym; jakiemuś Dakowi lub Sarmacie wylęgło się kurczę o dwóch łebkach, cielę o pięciu nóżkach, źrebię z podwójnym ogonkiem; w Recyi wyrosło drzewo niezwykłej wysokości; na wodach morza północnego złowiono wieloryba, a nad brzegami Włoch południowych ogromnego raka. Karzeł, olbrzym, kurczę, cielę, źrebię, drzewo, wieloryb, rak i t. d., wszystkie potworności i dziwy „świata“ szły do Rzymu, jako dar dla cezara, który je publicznie ku zabawie motłochu wystawiał, a następnie oddawał na schowanie świątyniom.

Jak obecnie, był Rzym i wówczas jednem wielkiem muzeum.

Był i środowiskiem wszystkich ludów, znanych cywilizacyi starożytnej. Ciągnęły do niego świetne poselstwa „barbarzyńskich“ królów, spieszyli uczeni greccy i egipscy, turyści, kupcy, spekulanci, karyerowicze, awanturnicy — znudzeni, szukający rozrywki, — chciwi, goniący za złotem, sławą i władzą. Na polu marsowem, w lasku bulońskim Rzymu cezarów, spotykało się w porze przedobiedniej najrozmaitsze rasy i narodowości, od jasnowłosego germanina począwszy, aż do czarnego mieszkańca lasów afrykańskich.

Bo gdzież było łatwiej o wiedzę, o rozkosz życia, o złoto i znaczenie?

Uczonych i artystów wabiły do Rzymu liczne biblioteki, zbiory i posady w domach możnych (nauczyciele, lektorowie, filozofowie nadworni). Sieć wybornych dróg, których resztki budzą jeszcze dziś podziw inżynierów, i znakomicie urządzona poczta, ułatwiały pogląd na najważniejsze wypadki chwili. Cokolwiek stało się gdzieś, choćby na krańcu *imperium*, o tem wiedziano w stolicy w kilka, w kilkanaście dni potem. Bezustannie pędzili kuryerowie po wszystkich traktach cesarstwa, niosąc Rzymowi, spragnionemu nowin, wiadomości osobliwe.

Rozkoszników pociągał Rzym cezarów bogactwem uciech. Nie było nigdzie tyle pięknych i do wyuzdanej miłości chętnych kobiet, ile w stolicy świata, nigdzie takich kucharzów, aktorów, gladyatorów i woźniców cyrkowych, nigdzie w końcu takiego wyboru przedmiotów zbytkownych. Wszystko, co ówczesny świat posiadał lub wytwarzał najlepszego, płynęło bez przerwy nad Tyber. Hiszpania oddawała Romie najprzedniejszą wełnę, Chiny jedwab, Aleksandrya płótno i szkła kolorowe, wyspy greckie wino, ostrygi, tancerki i filozofów, Sycylia i Afryka zioła lecznicze, Arabia wonie, morze Czarne ryby, Alpy sery, Ural szmaragdy, Atlas drzewo, Egipt lekarzów i t. d. Cały świat starożytny żył, myślał, pracował za cezarów tylko dla Rzymu.

Sybaryta i lubieżnik pierwszych wieków ery chrześciańskiej nie potrzebował się trudzić wyszukiwaniem środków, służących do podrażnienia stępionych zmysłów: miał je wszystkie pod ręką.

Dla próżniaków, karyerowiczów i sprytowiczów był Rzym cezarów rajem. Dziesiątki tysięcy „klientów“ żywiły się okruchami ze stołów możnych. Za to, że ktoś składał codziennie poranny hołd jakiemuś bogaczowi i postępował w jego świcie obok lektyki, towarzysząc mu do senatu, na

sądy i do świątyń, płacono stałe wynagrodzenie lub dopuszczano do biesiady.

O najuboższych pamiętali cezarowie i godności swoje obejmujący dygnitarze. Dla nich to nadchodziło zboże z Egiptu, dla nich urządzano krwawe widowiska cyrkowe. Najnędzniejszy proletaryusz stolicy bawił się lepiej od zamożnego mieszkańca prowincyi.

Kto nie chciał pracować lub kogo trawiła żądza szybkich dostatków, ten spieszył do Rzymu. Zręczne nogi, bystre oko i pewna ręka, giętkie członki, długie ucho, zuchwalstwo, bezczelność, podłość, nieuczciwość i t. p., dawniej wzgardzone „zdolności," zdobywały pierścień rycerski, czasami purpurę senatorską, a prawie zawsze znaczną fortunę.

Zwycięzkim wodzom odmawiał Rzym cezarów zaszczytu tryumfu, uczonym i poetom skąpił chleba, na odwagę i cnotę obywatelską spoglądał z zawiścią, ale aktorom, wirtuozom, linoskokom, denuncyantom i zbirom przeróżnym rzucał miliony sestercyj, oklaski, wieńce, godności nawet.

Więc płynęły do owej „złotej, wiecznej, świętej Romy," korzystającej z pracy setek pokoleń i narodów, wszelkie szumowiny ówczesnego „świata," „a „złota, wieczna, święta Roma," tak rozległa i wysoka, iż jej najdalszy wzrok nie mógł ogarnąć, miała dla każdego przybysza kącik mniej lub więcej wygodny. Kto nie znalazł miejsca w pałacach, w gmachach rządowych lub kamienicach prywatnych, budowanych przez spekulantów na 70 stóp w górę, ten przytulił się gdzieś na przedmieściach, opierających się z jednej strony o góry albańskie, z drugiej o morze.

Tak szeroko rozsiadł się Rzym cezarów, iż trudno było orzec, gdzie się właściwie zaczynał, a gdzie kończył. Posuwając się coraz dalej w Kampanię, przygarniał do siebie miasteczka i sioła, wille i osady, łącząc olbrzymią masę zabudowań, ogrodów i placów w jedną nieprzejrzaną całość.

Co ostatni konsulowie rzeczypospolitej rozpoczęli, te-

go dokonali monarchowie. Nawet najgorsi z pomiędzy nich, nawet taki Kaligula, Neron i Domicyan, stroili stolicę ludu rzymskiego, który wierzył, iż zostanie panem świata do końca istnienia rodu ludzkiego.

Ale w tym bujnym, świetnym kwiecie, budzącym podziw i zazdrość cudzoziemców, pracował już robak zniszczenia. Nie widzieli go cezarowie, olśnieni blaskiem wielkości własnej i cesarstwa, nie przeczuwał go przeciętny obywatel rzymski, szczęśliwy, że do jego stóp kładły się posłusznie Europa, Azya i Afryka. Jego robotę tajemną dostrzegały od czasu do czasu tylko dusze niepospolite, nie tracące przytomności wśród błyskotliwego otoczenia.

Skarżył się już Horacyusz na zanik dawnych cnót rzymskich, chociaż wszechświatowa potęga Romy utrwaliła się dopiero za jego czasów. „Przed bogami się korząc, panowałeś — wołał wykwintny poeta, nie skory do moralizowania. — Z tego źródła wytrysnął twój początek, z niego też wyjdzie twój koniec...“ „Bogaty w nieprawości, skaził nasz czas nasamprzód małżeństwo, dom, rodzinę...“ *).

W nadmiernym egoizmie, w chciwości władzy i używania widział Tacyt przyczyny upadku obyczajów i cnót obywatelskich. Stara i zdawien dawna człowiekowi przyrodzona żądza panowania — uczył — przebudziła się z chwilą, gdy państwo poczuło swoją potęgę. Bo dopóki własność nie przekraczała granic umiarkowanych, dopóty zgadzano się chętnie na równość. Ale gdy po zwyciężeniu świata i po zniszczeniu współzawodniczących z sobą miast i królów runęły wszystkie przeszkody, powstrzymujące zachcianki indywidualne, wówczas zaczęły się... i t. d. *).

Bliższym prawdy od historyka, chociaż o nią zaledwie

---

*) Horat. Ody; III, 6.
*) Tacit. Histor. II, 38.

potrącił, był poeta, gdy wyrzucał współczesnym sponiewieranie bogów, na co bowiem Tacyt wskazywał jako na przyczynę, jest wszędzie i zawsze dopiero skutkiem.

Dowiódł uczony francuski, Fustel de Coulanges, że twórczynią zwyczajów i obyczajów, wyobrażeń i ideałów Grecyi i Rzymu, była religia, przyniesiona do Europy z nad Gangesu, z prastarej kołyski plemion aryjskich *).

Ta religia pierwotna, która uformowała duszę narodów, zwanych klasycznemi, nie miała zrazu nic wspólnego z późniejszą. Była ona prosta, bez dekoracyj i przystawek poezyi.

Człowiek nie umiera ze śmiercią — wierzyli grecy i rzymianie tak samo, jak ich przodkowie indyjscy. — Gaśnie on, ale tylko dla życia na ziemi, aby wieść byt nieskończony pod jej powierzchnią.

Nie do nieba, piekła, lub innego miejsca nagrody czy kaźni przenosi się człowiek po dokonaniu dni doczesnych, lecz istnieje dalej w tem miejscu, w którem go pochowano. A istnieje po ludzku, z potrzebami ludzkiemi. Przeto powinien najbliższy krewny nieboszczyka pamiętać o pokarmach i napojach dla niego. Ztąd pochodził zwyczaj oblewania grobów winem, oliwą i stawiania obok nich naczyń z potrawami.

Ponieważ zmarły mógł *tylko* pod ziemią żywot przedłużyć, przeto należało go koniecznie tą ziemią przykryć. Grzeszył przeciwko pamięci przodka lub karał okrutnie winnego **), kto mu prawidłowego odmówił pogrzebu, nieboszczyk bowiem, walający się po powierzchni ziemi lub po-

---

*) Fustel de Coulanges; „La cité antique; étude sur le culte, le droit, les institutions de la Grèce et de Rome"; wydanie 14-te; Paryż 1893 r., rozdziały: I, II i III.

**) W Grecyi i Rzymie karano zbrodniarzów nietylko śmiercią lecz także odmawiano im pogrzebu.

chowany bez zwykłego ceremoniału, nie miał spokoju, stawał się rodzajem upiora, który błądził dopóty między żyjącymi, groźny dla nich i szkodliwy, dopóki się ktoś nad jego zwłokami nie ulitował.

Wierzenie to tłómaczy tragiczność „Antigony," niezrozumiałą dla serc nowoczesnych i wogóle strach greków i rzymian przed śmiercią bez pogrzebu. Było ono tak silne, że przemogło szyderstwo filozofii. Jeszcze wówczas, kiedy wykształceni drwili już dawno z Olympu, jeszcze za cezarów, odbierało sobie mnóstwo rzymian oświeconych głównie dlatego życie, aby ich urzędowy wyrok śmierci nie pozbawił pogrzebu. Opowiada Swetoniusz *), że Kaligula, rzucony do ziemi bez ceremoniału, straszył w nocy stróżów ogrodów cesarskich, a uspokoił się dopiero wtedy, gdy go odkopano i pochowano powtórnie z zachowaniem obrzędów religijnych.

Nie sam zresztą świat starożytny przywiązywał wartość do prawidłowego pogrzebu. I nasi chłopi zbierają i odkładają dotąd ciężko zapracowany grosz i zostawiają najlepszy przyodziewek na drogę ostatnią. Dla ludu nie przestał być „uczciwy pochowek" miłą nagrodą za dobrze spędzony żywot.

Był to więc „przesąd" rasy aryjskiej wogóle, tak mocno zakorzeniony, że przetrwał różne przewroty religijne i ostał się bez zmiany, zamierzchłych czasów świadek wymowny.

Bo mylne jest mniemanie, jakoby ludzkość zawdzięczała wiarę w życie pogrobowe narodowi żydowskiemu. Nie semici nie wiedzący bardzo długo nic o dalszem istnieniu człowieka, lecz plemiona aryjskie uczyniły kult umarłych podstawą swojej religii. Pierwotne pojęcie nieśmiertelności

*) Sueton. „Caligula."

rodu ludzkiego nie odznaczało się wprawdzie wytwornością i subtelnością, ale istniało u Aryów od samego początku ich historyi. Z naiwnego przeczucia, z niekształtnej poczwarki rozwinął się z czasem motyl wspaniały — chrześciańska nieśmiertelność duszy.

Kult umarłych stanowił zrazu całą religię greków i rzymian. Człowiek, wracający do ziemi, stawał się istotą wyższą, gieniuszem rodu, czemś boskiem, co posiadało moc szkodzenia lub pomagania żyjącym. Gdy potomek pamiętał o przodku szczerze i ze czcią, wówczas miał prawo odwoływać się do jego opieki.

Zmysłowem wyobrażeniem, symbolem bóstwa, które czuwało nad zagrodą, rodziną, osadą, miastem, państwem w końcu, było ognisko (żnicz) rasy aryjskiej. W każdym domu greckim lub rzymskim znajdował się ołtarz, a na nim płonął wieczny ogień, od którego podtrzymania zależało szczęście zagrody, rodziny, miasta. Ztąd owe wielkie znaczenie Westy — wszechogniska ludu rzymskiego. Obrażał ducha opiekuńczego państwa, kto lekceważył święty płomień.

Z ogniska wykwitły wszystkie cnoty Rzymu. Bo ten święty ogień nie znosił serc, sumień i rąk *nieczystych*. Kto się do niego zbliżał, powinien był być *czystym* w rozumieniu fizycznem i moralnem. Złodziejom, mordercom, kłamcom, krzywoprzysięzcom, wiarołomnym mężom i żonom, słowem, wszelkim niegodnym, jakimś występkiem splamionym członkom domu, nie wolno było stawać przed ogniskiem.

Wyobrażeniu bóstwa należał się kult i kapłan. Tym kapłanem ogniska był zawsze jego główny przedstawiciel, naczelnik domu. On podsycał płomień, składał mu ofiary, modlił się do niego i dbał o jego, czyli o całego rodu *czystość*. Jako pośrednik między żyjącymi a zmarłymi, posiadał ojciec rodziny wysokie przywileje: sądził i rozkazywał samowładnie.

I tak było święte ognisko (religia) nietylko źródłem cnót pierwotnego Rzymu, ale także twórcą jego praw, zwyczajów i obyczajów. Wiadomo, że królowie i konsulowie odwoływali się zawsze przed każdą czynnością publiczną do pomocy bogów. Ani wyborów, ani wojny, ani żadnej innej sprawy donioślejszego znaczenia nie zaczynali bez ofiar, modłów i radzenia się wróżbitów. Religia towarzyszyła rzymianinowi od kołyski aż do grobu. Usunęła ją na plan drugi dopiero filozofia.

Zabrawszy się do krytyki starodawnych wierzeń i podań aryjskich, filozofia nie spoczęła dopóty, dopóki nie rozerwała całego gmachu przeszłości. A gdy zburzyła, co lat tysiące dźwigały, wówczas zaczęła zwyczajem swoim błądzić po manowcach różnych hipotez, aż zawinęła do odwiecznego portu wszelkiej negacyi, do płaskiego materyalizmu.

Proces ten odbywał się w Grecyi wolno. Ale w Rzymie, który wziął z Aten gotowy plon wieków, przyszedł tak nagle, iż sceptycyzm religijny nastąpił bezpośrednio po wierze.

Gdy Rzym, załatwiwszy się z robotą dziejową na zewnątrz, zaczął się wewnątrz u siebie, wygodniej urządzać i pragnąc się zrównać z narodami wytworniejszemi, zabrał się do nauki i sztuki, do księgi i lutni, wówczas wydawał z siebie gasnący geniusz Grecyi już tylko zgrzyty chrapliwe: filozofię materyalistyczną, rozgadaną nad miarę sofistykę, wyuzdaną komedyę, zmysłową na wskroś poezyę i lubieżną powieść.

A właśnie te zgrzyty chrapliwe chwytała nieprzygotowana naukowo, nieprzetrawiona, więc zdrowego krytyzmu pozbawiona Roma, i strula się niemi odrazu. Cywilizacya znikczemiałej Grecyi nie przyniosła twórcom wszechświatowego państwa szczęścia. Kształcąc ich umysłowo, zniweczyła w krótkim czasie ich dawną dzielność męzką i siłę etyczną. W chwili, kiedy Rzym zaczął brać udział w

pracy umysłowej ludzkości — na lat kilkadziesiąt przed narodzeniem Chrystusa — kiedy zaczął myśleć i śpiewać, był odrazu, bez przejścia, płytkim materyalistą i zdawkowym ateuszem.

Co mówi Lukrecyusz w swoim poemacie dydaktycznym (*De rerum natura*) przeciw religii, powtarzali aż do znużenia wszyscy niezawiśli myśliciele bieżącego stulecia. „Nikczemnie przedstawiało się życie ludzkie — mówi poeta rzymski — dopóki marniało pod obuchem religii. Ona to, wysuwając głowę z krain niebieskich, spoglądała na śmiertelników wzrokiem straszliwym.“ „Ale — cieszy się Lukrecyusz — w Grecyi powstał mąż (ma być Epikur), który ośmielił się podnieść oko do religii i wystąpić przeciwko niej. Nie powstrzymały go miejsca poświęcone, błyskawice i pioruny. Wszystkie te przeszkody zachęciły raczej jego siły duchowe do złamania okowów, w których natura dotąd jęczy“... „I tak padła religia pod jego stopami.“ *)

Religia Grecyi i Rzymu padła rzeczywiście pod stopami filozofii, nietylko ta, którą praojcowie ludów „klasycznych“ przynieśli z sobą z Indyj, ale i ta, którą sobie ich potomkowie później dotworzyli. Rzym cezarów nie modlił się już do ognisk domowych, nie wierzył w życie pozagrobowe, a z bogów Olympu, chociaż im złociste stawiał świątynie, drwił dowcipnie.

— Wszystkich spotyka z ostatnią godziną to samo — uczył stary Pliniusz **) — czem byli przed pierwszą (ma być nicość). Jak przed urodzeniem, nie posiada człowiek i po śmierci czucia i świadomości. Próżność tylko ludzka przedłuża istnienie w przyszłość i wynajduje kłamane życie pozagrobowe, wyposażając duszę to nieśmiertelnością, to zdolnością przeobrażania, i mianując bogami tych, którzy

*) Lucret. „De rerum natura“ I, 63—72; 79—80.

**) Plin. N. h. VII, 188 i następne.

nawet ludźmi być przestali. Jakby się nasz oddech różnił czemkolwiek od oddechu reszty stworzeń, albo jak gdyby nie było w naturze tyle innych, dłużej od nas trwających rzeczy, którym mimo to nie przypisuje nikt nieśmiertelności"... „Są to bajki dla dzieci i wytwory mózgów śmiertelnych, którym się umrzeć nie chce!"

I Kwintylian i Tacyt i wielu innych, chociaż nie przeczyli z taką namiętnością, jak stary Pliniusz, nie wierzyli w życie pozagrobowe. W pierwszem stuleciu po Chrystusie bronił nieśmiertelności człowieka z mężów wybitniejszych w Rzymie prawie jedyny Seneka, bliższy platonizmowi, niż stoicyzmowi, do którego się przyznawał.

Ale i on, tak samo jak Cyceron, inny zwolennik Platona, lekceważył podania religijne. „Nie ma już ludzi tak dziecinnych — twierdził Seneka — którzyby się obawiali Cerbera, ciemności i duchów." *). „Nawet stare baby — mniemał Cyceron **) — nie lękają się bladego, ciemnościami owianego królestwa śmierci."

Tego samego zdania był Juvenalis.

W Rzymie cezarów znajdowali się tak zajadli materyaliści, iż starali się o to, żeby ludzie wiedzieli nawet po ich śmierci o przekonaniach, jakie im w życiu przyświecały. Uczony niemiecki, Ludwik Friedländer, znakomity znawca obyczajów rzymskich, przytacza za Orellim kilka ciekawych napisów nagrobkowych ***): „Żyłem i nie wierzyłem w nic po za grobem" — kazał sobie ktoś wyryć na pomniku. „Nie byłem i stałem się; byłem i przestałem istnieć; to tylko jest prawdą. Kto twierdzi inaczej, ten kłamie, bo nie

---

*) Seneca; „Eppist." 24, 18;

**) Cicero; „Tusc." I, 21, 48.

***) Ludwig Friedländer; „Darstellungen aus der Sittengeschichte Roms"; wydanie 6-te; 1890 r. tom III. str. 739.

będę już nigdy istniał“ — uczył inny. „Nie istniałem, a teraz istnieję; przestanę kiedyś istnieć, co mnie wcale nie martwi“ — pocieszał się trzeci. Ktoś czwarty drwił tak samo: „Byłem kiedyś, a teraz mnie nie ma. Ponieważ nic o tem nie wiem, przeto mnie to nic nie obchodzi.“ Wyzwoleniec Acernus Notus usiłował być dowcipnym nawet na własnym nagrobku: „Nie obawiam się już głodu, pedogry — żartował — nie potrzebuję płacić komornego, bo zajmuję obecnie bezpłatną, wieczystą kwaterę.“

Nie ulega wątpliwości, iż religia zaczęła tracić w Rzymie kredyt już przed narodzeniem Chrystusa, ale mylili się Cyceron, Seneka, Juvenalis i in., twierdząc, że nawet stare baby nie obawiały się za ich czasów Cerbera i królestwa ciemności. Niedowiarstwo ogarniało w świecie starożytnym, jak wszędzie i zawsze, tylko t. zw. inteligencyę, a i w tych sferach znów, jak wszędzie i zawsze, nie opętało wszystkich. Tylko jednostki, wykształcone filozoficznie, odsunęły się zrazu od podań praojców, takich zaś posiada każde społeczeństwo ilość ograniczoną. Za inteligencyą wytworną poszedł oczywiście wkrótce legion dyletantów, owych mędrców pół-uczonych, powtarzających bezmyślnie teorye, modne w danej chwili, wszakże i ten zastęp nie stanowił jeszcze narodu.

W wielkiej masie ludów Italii nie wygasła wiara w życie pozagrobowe i w rządy bogów nigdy, czego dowodem historycy (Tacyt, Swetoniusz) i mnóstwo nagrobków, wyrażających zdania wręcz przeciwne tym, które Friedländer za Orellim powtórzył. Po wsiach, osadach, w mniejszych miastach Włoch i w dalszych prowincyach cesarstwa modlono się, składano bogom ofiary, radzono się wróżbitów, utrzymywano święte ogniska domowe, jak za dobrych czasów królestwa i rzeczypospolitej. Zkądżeby Rzym brał swoje legiony niezwyciężone, a chrześciaństwo swoich męczenników, gdyby wszyscy tak wierzyli, jak Lukrecyusz i

Pliniusz? Sceptycyzm drwi ze sławy wojennej, wszelki zaś fanatyzm nazywa głupotą.

Religia przestała być hamulcem moralnym tylko dla pewnej liczby warstwy oświeconej. Cyfra ta rosła z każdem pokoleniem, ale nawet za czasów Antoninów, w epoce *par excellence* filozoficznej, nie obejmowała całej inteligencyi, czego świadectwem wyznawcy Chrystusowi, pochodzący ze sfer zamożnych.

Jak wszędzie, będzie prawdą i dla Rzymu za cezarów, że sceptycyzm religijny dotknął głównie stolicę państwa, w niej zaś znów przedewszystkiem warstwy oświecone, czyli te, które robią historyę polityczną, społeczną i umysłową narodów.

Wszelka negacya ma to do siebie, że sąsiaduje bardzo blizko z bluźnierstwem. Gdy sceptycyzm religijny dojrzał, wówczas wydał takiego Lucyana, któremu Heine, Baudelaire i Richepin mogą pozazdrościć zjadliwości i wyuzdanego języka.

— O, Jowiszu — „modli się“ Tymon u Lucyana *) — opiekunie przyjaźni, towarzyskości i szczęścia domowego, tarczo cudzoziemców, mścicielu krzywoprzysięztwa, zbieraczu chmur, władzco gromów, błyskawic, albo, jak cię tam inaczej nazywają zwaryowani poeci, zwłaszcza gdy im braknie rymu! Gdzież podziały się twoje błyskawice i pioruny? Widocznie są wszystkie te rupiecie, pominąwszy szum głośnych słów, drwinami i czczym dymem poetyckim. Twój tyle opiewany, daleko sięgający, zawsze gotowy pocisk płomienny, zgasł i wystygł i nie zawiera już w sobie ani jednej iskry gniewu przeciw występnym.

Łotr, zabierający się do krzywoprzysięztwa, przeraziłby się więcej wczoraj płonącej świecy, niż twojego wszechpotężnego ognia. Zdaje się, iż rzucasz na nikczemników

*) Lucyan; Tymon; 1, 2, 3.

zamiast piorunu łuczywo, którego ognia i dymu oni się wcale nie obawiają. Najgorszem, coby ich mogło spotkać, gdybyś nie chybił, byłby obsypujący ich popiół. Można-ż się w takich warunkach dziwić, że Salomoneus ośmielił się grzmieć, jak ty?... *). Bo dlaczegóż nie miał sobie pozwolić na taką zabawkę, kiedy ty śpisz tak mocno, jak gdybyś zażył na sen, i nie masz już uszu na krzywoprzysięztwa, ani oczu na inne zbrodnie ludzi. Nie można inaczej, jak wierzyć, że twoje oczy i uszy straciły siłę na starość.

— W młodości twojej nie było bezpiecznie zasłużyć na twój gniew. Zapalałeś się wówczas szybko i gniewałeś się straszliwie... Ale teraz nie boi się ciebie nikt... Ludzie płacą ci za twoją ospałą bezczyność tak, jak na to zasługujesz. Bo któż składa ci dziś ofiary lub znosi wieńce? Dzieje się to tylko podczas igrzysk olympijskich dla zwyczaju. Tak zniedołężniałeś, iż nawet siebie samego obronić nie potrafisz. Znaleźli się przecież zuchwalcy, którzy targnęli się w Olympii na twoją własną osobę, a ty, który każesz się nazywać wysokogrzmiącym, nie obudziłeś nawet psów i nie zwołałeś sąsiadów, aby się zbiegli i pochwycili rabusiów. Mimo dziesięciołokciowej błyskawicy, którą trzymasz w ręku pozwoliłeś na to, że ci złodzieje ogolili złote loki. Kiedyż się nareszcie przebudzisz, mój ty bohaterze, aby zrobić porządek na ziemi... i t. d.

Ten sam Lucyan jest autorem słynnych „Rozmów bogów," zachwycających wszystkich dowcipnisiów „oświeconych," począwszy od encyklopedystów francuskich i ich wielbicielów niemieckich, skończywszy na współczesnych dekadentach. Owe „Gawędy" są wistocie arcydziełami w swoim rodzaju, ostatnim wyrazem sceptycyzmu religijnego starożytnych.

Siedzą sobie Eskulap i Herkules na Olympie, przy sto-

*) Salomoneus; król Elidy, który, naśladując grzmot i błyskawice, udawał Jowisza.

le bogów i prowadzą następujący dyskurs, gromieni przez Jowisza. *).

Jowisz. Przestańcie nareszcie z temi kłótniami. Spieracie się, jak gdybyście byli ludźmi. To nie przystoi na bogów, najmniej zaś przy stole.

Herkules. Więc ty chcesz, Jowiszu, aby ten truciciel siedział przedemną?

Eskulap. Tak być powinno, jestem bowiem mężem godniejszym od niego.

Herkules. Patrzcie go, tego zarozumiałego chłystka. Chyba dlatego, że cię Jowisz poraził na śmierć za to, że wykonywałeś praktyki niedozwolone. Tylko z litości umieszczono cię między nieśmiertelnymi.

Eskulap. Jak widzę, Herkulesie, zapomniałeś już, żeś i ty zginął od ognia, bo mi moją śmierć gorącą przypominasz.

Herkules. Zachodzi różnica między życiem mojem a twojem. Jestem rzeczywistym synem Jowisza, a życie moje było ciągłą walką z wrogami ludzkości. Oczyściłem ziemię z potworów, przezemnie pokonanych, i z gwałtowników, przezemnie ukaranych. A ty co? Ty handlowałeś korzonkami i maściami. Całą twoją zasługą jest, że umiałeś podawać chorym lekarstwa, nikt jednak o tem nie wie, iżbyś dokonał kiedykolwiek jakiego czynu męzkiego.

Eskulap. Masz racyę. Czynu męzkiego nie dokonałem, lecząc cię z ran, kiedyś przybył niedawno do nieba, na pół upieczony, strawiony zarówno przez truciznę Dejaniry, jak przez ogień. Zresztą, jeżeli nie zrobiłem nic wielkiego, to nie byłem przynajmniej na ziemi fagasem, jak ty, nie prządłem wełny w Lidyi, nie nosiłem purpurowej babskiej spó-

*) Lucyan; „Rozmowy bogów", Gawęda 13-ta p. t. „Spór o pierszeństwo". Herkules i Eskulap kłócą się o miejsce przy stole.

dnicy i nie brałem po gębie złotym pantoflem Omfalii. I nie zamordowałem także w napadzie szaleństwa żony i dzieci.

Herkules. Jeżeli nie przestaniesz pyskować, to przekonam cię na miejscu, że ci twoja nieśmiertelność nie wiele pomoże. Stul gębę, albo wezmę cię za kołnierz i cisnę z nieba, iż ci rozbitego czerepu nawet Paeon *) nie zlepi i nie połata.

Jowisz. Zakończcie ten spór, ostrzegam po raz ostatni, i nie psujcie towarzystwu zabawy, bo pójdziecie precz od stołu. Zresztą, Herkulesie, rozważ, że się Eskulapowi należy miejsce przed tobą już chociażby dla samego wieku. Wszakże umarł przed tobą.

Z niepospolitym talentem wydrwił Lucyan całą mytologię grecko-rzymską, pastwiąc się głównie nad Jowiszem, znanym bałamutem Olimpu. Niektóre z jego „Rozmów“ przewyższają zjadliwością i dowcipem najlepsze trawestacye bieżącego stulecia.

Gdy się w jakiem społeczeństwie znajdzie pisarz, który może sobie pozwolić na żarty tak bezbożne, znaczy to, że religia urzędowa poszła u warstw oświeconych w poniewierkę i przestała być groźną dla bluźnierców. Jeszcze za panowania Augusta, chociaż się już wówczas bawiono po cichu kosztem Olympu, posiadali kapłani dosyć siły do poskromienia publicznych gorszycielów. Ale Lucyan (ur. w r. 130 p. Chr.) żył pod „filozoficznem“ berłem Antoninów, którzy wierzyli tak samo, jak on. Cyniczny grek wygłosił, na co się żaden z obywateli rzymskich nie odważył, rzymianin bowiem był zanadto trzeźwym i praktycznym, aby nie rozumiał szkodliwości wyuzdanego sceptycyzmu religijnego. Nawet niewierni z pomiędzy synów Romy nie zalecali tłumom bezbożności. Czynili to głównie grecy, odgrywający

*) Paeon przyboczny lekarz bogów na starym dworze Saturna.

w pierwszych wiekach po Chrystusie w filozofii i w literaturze tę samą rolę, jaką obecnie francuzi na siebie wzięli.

Jak wszędzie, tak był i w Rzymie bluźnierczy ateizm w połączeniu z materyalizmem pierwszym rysem znamiennym rozkładu istniejącej przez szereg wieków cywilizacyi (dekadentyzmu). Z niego, z zatrutego źródła, wypłynęły kolejno wszystkie męty upadającej Romy, chorej już wówczas śmiertelnie, kiedy się podbitym ludom najzdrowszą, najświetniejszą wydawała. Bo religia, pominąwszy jej część mytologiczną, jako mistrzyni obowiązku i obyczajowości, stoi na straży dobra powszechnego, broni czystości ogniska rodzinnego i odbiera człowiekowi wrodzony mu strach przed śmiercią, przed zniszczeniem. Tylko bardzo mała liczba wybrańców odnosi te same korzyści ze studyum filozofii.

Pierwszym owocem sceptycyzmu religijnego bywa zawsze wygórowany indywidualizm, czyli z pęt sumienia i obowiązku rozkiełznany egoizm ludzki, z chwilą bowiem, gdy człowiek przestaje wierzyć w powagę Boską, upada dla niego wszelka powaga wogóle. Bezbożnik korzy się tylko przed siłą brutalną. Podaremnie przelał Brutus, jak wykazała najbliższa przyszłość, krew Cezara, sfery bowiem rządzące Rzymu, patrycyusze i możni plebejusze, utraciwszy podstawę swojej dawnej dzielności, poczucie obowiązku, czystość obyczajów i karność obywatelską, nie byli już zdolni do rządów gromadnych. Egoizm, trzymany w karbach przez prawodawstwo, wykwitłe z odwiecznych tradycyj rasyaryjskiej, wybuchnął z siłą długo powstrzymywanego potoku, gdy padły przed krytycyzmem filozoficznym i pod działaniem czasu tamy religii królów rzymskich. Wojny domowe, zamykające rzeczpospolitą, byłyby pracę wieków obróciły w niwecz, gdyby cezaryzm nie był ukrócił grzesznego indywidualizmu klas rządzących.

Z upadku religii (w rozumieniu nauczycielki etycznej) wynika w dalszym ciągu skażenie obyczajów. Przeciętny

inteligentnik pragnie użyć życia, gdy przestał wierzyć w świat pozagrobowy. Jest to naturalny skutek materyalistycznego światopoglądu, mimo zapewnień przeciwnych mistrzów filozofii niezawisłej. Sixte'ów Bourget'a, abstrakcyi, wcielonych w beznamiętną skórę zasuszonych maniaków naukowych, oderwanych od życia, którego nie rozumieją, wydaje każda chwila dziejowa niewielu.

Oprócz wymienionych wyżej sentencyj nagrobkowych, zebrał Ludwik Friedländer jeszcze inne ciekawe napisy *). „Który to czytasz, bracie — napominał jakiś jowialny materyalista rzymski z po za grobu — używaj życia, po śmierci bowiem nie ma już ani żartu, ani śmiechu, ani żadnej innej radości.“ Któryś drugi ostrzegał: „Nie byłem niczem, nie jestem niczem. A ty, który żyjesz, jedz, pij, baw się i przychodź do mnie.“

Tak samo uczyli poeci. „Żyjmy i używajmy, Lesbio — śpiewał Katull — i nie troszczmy się o to, co o nas zrzędzący powiedzą starcy, bo gadaniny ich nie są warte miedzianego szeląga. Słońce wschodzi i słońce zachodzi, ale my, gdy nasz dzień zgaśnie, zaśniemy snem nieprzebudzonym. Dlatego daj mi tysiąc i jeszcze sto pocałunków i znów tysiąc i jeszcze sto... i t. d.“

Śmierć straszy prawie wszystkich poetów Rzymu. Mają do niej żal Owidyusz i Horacyusz, Katullus i Propercyusz. Używać radzą śmielsi, szczersi, dopóki siły starczą. W odach Horacyusza, zachwalających umiarkowanie i obojętność, czuć obłudę, robotę.

I należałoby się dziwić materyalistom, gdyby wierzyli inaczej. Życie, które się kończy z chwilą zgonu, należy dobrze wyzyskać. Jest to wniosek zupełnie naturalny.

Wprawdzie usiłowali materyaliści wszystkich czasów,

---

*) F. Friedländer, jak wyżej: tom III, str. 740.

greccy, rzymscy i współcześni dowieść, iż właśnie ich teorye czynią człowieka spokojniejszym i obojętniejszym na grozę śmierci, ale argumentacya ich przekonywa tylko tych, którzy nie potrzebują być przekonani.

Już Lukrecyusz, wierzący w potęgę rozumu i nauki niezawisłej z takim samym fanatyzmem, jak pierwsi pozytywiści drugiej połowy bieżącego stulecia, przedsięwziął odebrać ludziom „strach przed Acheronem, który zamąca tak bardzo życie na ziemi, pokrywając wszystko barwą śmierci“ *). W tym celu włożył w usta natury „pociechę“ następującą: **)

„Co ci się stało, śmiertelniku, iż męczysz się troską i zmartwieniem? Dlaczego skarżysz się na śmierć i płaczesz? Było-ż ci życie dotychczasowe darem pożądanym? Nie przeszły-ż wszystkie rozkosze, jak przez sito dziurawe i nie minęły-ż, zanim się niemi nacieszyć mogłeś? Dlaczego nie odchodzisz z godnością, do nasyconego gościa podobny, głupcze, i dlaczego nie chcesz przyjąć obojętnie bezpiecznego wypoczynku? Albo jeżeli ci rozkosze życia obrzydły, to dlaczego pragniesz jeszcze więcej, skoro się wszystko psuje i ginie bez pożytku dla ciebie? · Nie lepiej-że zakończyć życie i trudy? Nie wymyślę już nic takiego, coby ci przyjemność sprawiło: jedno i to samo powtarza się ciągle. Choćby nawet ciało twoje nie straciło sił w starości, a znużone członki nie zwiędły, choćbyś żył zwycięzko przez całe wieki, lub nawet, co jeszcze więcej znaczy, nie umarł nigdy, to nie użyjesz niczego nowego.

— Gdy się nędzarz uskarża na śmierć, nie powinna-ż natura na niego wpaść i krzyknąć: wynoś się ze swojem jęczeniem i lamentowaniem. A kiedy starzec zawodzi, ma

---

*) Lucret. „De rerum natura“; III; 37 — 39.

**) Lucret.; jak wyżej; III, 946 — 962.

ona prawo powiedzieć: Pragnąc zawsze tego, czego nie posiadałeś, i lekceważąc rzeczy możliwe, zawiniłeś sam, jeżeli nie wyzyskałeś należycie dni swoich. A teraz, zanim się obejrzałeś, stoi śmierć przed tobą i oto musisz odejść nienasycony. Rzuć więc wszystko, od czego cię twój wiek odwraca, i ustąp z godnością młodszym, bo niemoże być inaczej. *)

Lukrecyusz przyznaje argumentom natury słuszność, bo: „bezustannie musi stare ustępować, wyparte przez nowe, i jedno z drugiego się wytwarzać.“ Jakby zapewnienie, że się coś *stać musi.* mogło kogoś do tego czegoś nakłonić. Właśnie owa nieubłagana konieczność śmierci, ów brutalny rozkaz bez żadnej apelacyi rozgorycza ludzi do życia. Niemoc wobec zgonu niecierpliwi, męczy ród Prometeusza.

Bardzo niezręcznie dowodzi „natura“ Lukrecyusza, zamiast bowiem pociechy szczepi nienawiść, gniew, odsłaniając nicość rozkoszy doczesnych.

Lukrecyusz zajątrza jeszcze ranę życia doczesnego wówczas, kiedy mu się zdaje, iż kładzie na nią balsam chłodzący. Bo nie przynosi ulgi biedakowi, przerażonemu bezlitością śmierci, kto mówi: „I ty wątpisz ciągle i otrząsasz się z grozą przed śmiercią, ty, który żyjąc, byłeś jakby umarłym, ty, który przepędzasz we śnie znaczniejszą część życia? Ty, którego i na jawie nie opuszczają nigdy sny i który nosisz bezustannie w sobie kolce daremnej obawy, nie umiejąc odkryć, jakie cierpienie cię trapi.“ **)

Przykre zarzuty nie przekonały jeszcze nikogo, Lukrecyusz zaś nie szczędzi pospołu ze swoją naturą człowiekowi gołosłownych wymówek za jego strach przed śmiercią. Taka argumentacya równa się pospolitemu zrzędzeniu, potrącającemu tu i owdzie o akordy pesymistyczne.

Są tylko trzy siły, które pokonywają obawę przed uni-

---

*) Lucret. j. w. III, 964 — 975.

**) Lucret. j. w. III, 1058 — 1063.

cestwieniem, mianowicie: wiara w życie pozagrobowe, cnota i głęboko odczuty pesymizm. Pierwsza pociesza, druga uczy pogardy, trzeci znieczula. Wierny nie obawia się nicości, bo ona dla niego nie istnieje; cnotliwy (honorowy, rycerski, uczciwy) umiera bez skargi, gdy trzeba; zrozpaczony nie żałuje życia, gdyż straciło dla niego wszelki urok. Ale cnotliwi i prawdziwi pesymiści nie należą do zjawisk, powszednich, przeto grzeszy ciężko przeciw spokojowi rodu ludzkiego każda doktryna, która, nie mogąc dać cnoty i absolutnej obojętności, niweczy wiarę.

Wprawdzie twierdzą materyaliści wszelkich odcieni, iż z mętnego źródła ich mądrości można zaczerpnąć wszystko, co ludzie zwykle pięknem i dobrem nazywają, doświadczenie jednak przeszłości uczy, inaczej. Księga dziejów opowiada, że materyalizm dawał swoim najlepszym wyznawcom, swoim mistrzom, ostatecznie buntowniczą rozpacz, udającą obojętność, w przeciętnych zaś uczniach budził zawszo chorobliwy głód używania.

Używał też Rzym cezarów, jak gdyby nie był jutra pewien, mimo nawoływań filozofii do umiarkowania. Tarzał się w rozpuście, ssąc bez miary krew, pot i łzy milionów pokonanych barbarzyńców.

Do używania potrzeba, oprócz zdrowia, dwóch pomocników: pieniędzy i kobiet.

Że cywilizowani potomkowie niecywilizowanych, dostatkami gardzących przodków kochali złoto więcej niż cnotę i państwo, że wytworni, układni praprawnukowie grubych, nieociosanych prapradziadów nauczyli się dla pieniędzy płaszczyć, upokarzać, znosić obelgi, kłamać, denuncyować, schlebiać bogaczom — dowodem tego plugawa historya pierwszych dwunastu cezarów. Odczytując Tacyta i Swetoniusza, nie chce się wierzyć, żeby to byli ci sami rzymianie, z pośród których wyszli Decyuszowie, Torkwatowie, Cyn-

cynatowie, Fabrycyusze, Brutusowie i tysiące wielkich, jedynie sprawie państwa oddanych wojowników i obywateli.

Każdy z pierwszych dwunastu cezarów, nawet Neron i Domicyan, udawał zrazu monarchę uczciwego, dbałego o dobro publiczne. Każdy z nich zaczynał panowanie od rozporządzeń rozumnych i od uczynków szlachetnych. Wszakże żałował podobno Neron, iż uczono go pisać, gdy kładł po raz pierwszy nazwisko swoje na wyroku śmierci, a Domicyan naprawiał obyczaje. Każdy z nich oddawał się z obłudną uległością na łaskę i niełaskę senatu, niepewny w pierwszej chwili usposobienia kraju.

Ale gra ta trwała zwykle bardzo krótko. Bo daremnie obawiali się cezarowie senatu i rycerstwa. Potomkowie dawnych wodzów i konsulów Rzymu kochali zanadto życie i użycie, iżby się chcieli narazić. Woleli kłamać zachwyt dla „boskiego“ geniuszu imperatora, ubiegać jego życzenia, kłaść się do jego stóp z pokorą psa, niż zasłużyć na gniew monarchy, w którego rękach spoczywały dni doczesne poddanych, godności, urzędy i posady w prowincyach. Odwaga obywatelska jest czczym frazesem, bez pogardy życia i jego rozkoszy, tej zaś cnoty nie posiadali wychowańcy materyalistycznej filozofii greckiej. Tu i owdzie znalazł się jeszcze jakiś butny potomek hardych przodków, lub jakiś prawdziwy stoik czy pesymista, przenoszący śmierć nad spodlenie, większość jednak arystokracyi i inteligencyi rzymskiej za cezarów nienawidziła śmierci, jako kresu wszelkiego użycia.

Już Tyberyusz, który był z pochodzenia i przekonań zanadto arystokratą, aby żywił niechęć do szlachty, odzywał się wychodząc z posiedzeń senatu, do najbliższego otoczenia po grecku: O, ci do niewoli stworzeni ludzie! *).

*) Tacit. Annal, III, 65.

Miłość do życia i głód użycia zrobiły z potomków wielkich bohaterów i obywateli w istocie nikczemnych niewolników, dopuszczających się każdej podłości dla przedłużenia dni doczesnych i dla pomnożenia fortuny. Wszakże cezar to rozdawał zarząd prowincyj, które wolno było złupić, purpurę zaś senatorską można było sprzedać za miliony sestercyi jakiejś córce lub wdowie zbogaconego handlarza, dzierżawcy ceł, podatków lub choćby denuncyanta. Nietylko w naszych czasach ubiegają się bankierowie, giełdziarze i fabrykanci o stosunki i koligacye. I w Rzymie płacili parweniusze dobrze za honor należenia do rodziny historycznej.

Więc pocóż narażać się cezarowi, który mógł wykluczyć ze stanu senatorskiego każdego, kto mu się stał niewygodnym! Historya senatu rzymskiego w pierwszem stuleciu ery chrześciańskiej jest straszliwem świadectwem upadku człowieka, pozbawionego religii, godności osobistej i trawionego żądzą użycia. Jeden purpurat denuncyował drugiego o obrazę majestatu, a wszyscy starali się odgadnąć najtajniejsze myśli „boskiego“ imperatora. Prokonsulowie, propretorowie i legaci rządzili w prowincyach jak rabusie, przywożąc do stolicy skradzione miliony. Ubożsi senatorowie żebrali u cezarów o zapomogi, starali się o względy ich wyzwoleńców i niewolników, znosili dla spodziewanych zysków obelgi najniższej służby pałacowej. Świątynie, złote i srebrne posągi stawiał senat takim oszalałym dekadentom, jak Kaligula i Neron, i takim brutalnym tyranom, jak Domicyan.

Czego się senatorowie nie wstydzili, to naśladowali skwapliwie rycerze i plebejusze, przykład bowiem idzie z góry. Potomkowie dawnych przybocznych towarzyszów królewskich, zowiący się ciągle rycerstwem, chociaż nie służyli już stale wojskowo, dzierżawiąc podatki i cła w prowincyach i zajmując urzędy cesarskie lub mównice obrończe przy trybunałach drugorzędnych, nie ustępowali w

zdzierstwie prokonsulom, propretorom i legatom. Każdy, komu dozwolonem było brać udział w rządach, chociażby na stanowisku najmniejszem, kto mógł sprzedać stosunki, wpływy, znajomość prawa, wyzyskiwał podwładnych, kradł, brał łapówki, podarunki, słowem gromadził fortunę dopóty, dopóki się tylko dało. A trzeba się było spieszyć z robieniem majątku, łaska bowiem cezarów i doradców ich jeździła na koniu bardzo narowistym. Więc chwytał wielki i mały, co mu w rękę popadło, zbierał prawnuk plon, zasiany przez pradziada — owoce pracy podbitych narodów. Trzy czwarte zbrojnych buntów w prowincyach sprowadzała znana powszechnie chciwość celników, poborców i adwokatów rzymskich.

A kto nie posiadał kwalifikacyj do objęcia jakiej posady państwowej, komu losy nie pozwoliły czerpać z pełnego żłobu, ten stawał się denuncyantem, zbirem, byle pochwycić garść złota.

Kto się w końcu nawet na donosiciela nie przydał, ten wolał pełnić służbę t. zw. klienta, niż uczciwie pracować. Codziennie, ze wschodem słońca, zalegały ulice Rzymu tysiące włóczęgów, ubranych w białe togi. Hałastra ta ciągnęła z pozdrowieniem rannem, z hołdem do pałaców i will możnych panów lub towarzyszyła lektykom „przesławnych“ (*clarissimi*) senatorów i „znamienitych“ (*perfectissimi, egregii*) rycerzów, za co odbierała stałe wynagrodzenie pieniężne lub bezpłatne pożywienie. Nędzna to była zapłata za pracę upokarzającą, klientom bowiem wyznaczano zwykle $6^1/_4$ sestercyj dziennie, czyli tyle, ile niewolnikom dawano na piwo, ale czasami zdarzało się, że jakiś pan przypomniał sobie dawny obyczaj i zaprosił biedaka do stołu *) lub obdarzył

*) Juvenalis; V; 12—18.

zręcznego pochlebcę kilku morgami gruntu *). Bywało także, iż bardzo hojny bogacz rzucił klientowi kilka tysięcy sestercyj. **)

Za honor zaprosin do stołu magnata, za nadzieję wzięcia kiedyś udziału w wytwornej biesiadzie pana, podnosił się klient, karykatura dawnego przyjaciela, lennika rodu szlacheckiego, przed świtem z ubogiego łoża, cerował i prał zużytą togę, wystawał następnie na deszczu, słocie i mrozie pod drzwiami pałacu, kłaniał się niewolnikom, broniącym przystępu do „króla," znosił cierpliwie obelgi, często nawet kułaki. Za poniewierkę tę doczeka się przecież choć raz świetnego obiadu, o jakim dumny robotnik nie ma nawet wyobrażenia....

A motłoch, czerń stolicy, niższa jeszcze od klientów?

Motłoch rzymski był dzieckiem pieszczonem cezarów. Dla niego sprowadzał skarb państwa zboże z Egiptu i urządzał świetne igrzyska cyrkowe, trwające po sto dni, na niego sypało się złoto monarchy w teatrach i na rynkach.

Motłoch rzymski bawił się najlepiej, nie skrępowany bowiem żadnemi obowiązkami obywatelskiemi i towarzyskiemi, brał udział we wszystkich uciechach publicznych stolicy. Że czasem nie dojadł, że mieszkał latem pod mostem, a zimą w szopie, że świecił wytartemi łokciami — to cóż z tego... On był zwyczajny kwatery pod gołem niebem i łachmanów na grzbiecie, i nie dbał o niebezpieczne splendory cezarów. Senator, gdy mrugnął powieką nie tak, jak sobie tego życzył Kaligula, Neron lub Domicyan, dawał gardło, a motłochowi wolno było „ziemskiego boga" nawet wyświstać w teatrze i w cyrku. Zawsze pewny wdzięcznego uśmiechu imperatora, pan motłoch bawił się, krytykował

---

*) Juvenalis; IX; 59

**) Martialis :X 11, 6.

rząd głośno, a gdy był głodny lub nudził się, wówczas szedł bez obawy na Palatyn i wrzeszczał pod oknami monarchy: dawaj chleba i widowisk! I zaraz nazajutrz szły galery do Afryki po zboże i po dzikie zwierzęta...

Panem et circenses! rozlegało się ciągle w Rzymie cezarów. O życiu i użyciu marzyli wszyscy, wielcy i mali, oświeceni i ciemni — każdy po swojemu. I wszyscy kochali pieniądz, przyjemności, rozkoszy dawcę...

To „wszyscy“ nie oznacza oczywiście całego ludu rzymskiego i poddanych mu prowincyj. Odnosi się ono głównie do samej stolicy, a w niej do sfer rządzących i do motłochu. Między arystokracyą, plutokracyą i inteligencyą z jednej strony, a próżniaczym tłumem klientów i proletaryuszów z drugiej, istniała i w Rzymie, jak wszędzie, warstwa pośrednia, nie dotknięta szałem ogólnym. I sfery uprzywilejowane wydawały jeszcze w czasach najgorszych znakomitych wodzów, rozumnych obywateli, hojnych panów, uczciwych i szlachetnych ludzi. Liczne świadectwa cnoty publicznej i prywatnej zapisali w księgach swoich historycy cezarów.

Ale nie owym rozumnym, uczciwym i szlachetnym zazdroszczono w pierwszych wiekach po Chrystusie. Cnota nie była wówczas dobrem poleceniem; obchodzono się z nią jak ze zbrodniarką. Nie zasłudze oddawano cześć, lecz chwilowemu powodzeniu i pieniądzom.

Skarży się Juvenalis, iż w Rzymie „pytają przedewszystkiem o majątek, a dopiero potem o obyczaje. Ile kto posiada niewolników, ile ziemi, ile i jakie półmiski zastawia przy obiedzie“ — główną to troską — „bo każdy ma tylko tyle zaufania, ile pieniędzy jego skrzynia zawiera.“ Uczciwem ubóstwem pomiata pierwszy z brzegu szubrawiec. Nikt nie pamięta w testamencie o ubogim i żaden edil nie zaprosi go do rady miasta. Opuścić stolicę w zwartym sze-

regu powinni wszyscy ubodzy kwiryci. Z trudem pnie się ten pod górę, którego cnotę krępuje ubóstwo.“ *).

I duchowieństwo rzymskie kochało złoto nad miarę godziwą. Ponieważ wyższym kapłanom nie wolno było zajmować posad świeckich, które ułatwiały zrobienie fortuny, przeto wakowały dość często dygnitarstwa świątyń. Ofiary i auspicya poszły w poniewierkę. Nikt nie kwapił się do służby bogów, a wróżby sprzedawano za pieniądze. Drwi Propercyusz: za złoto służą Jowisz i wszystkie gwiazdy na niebie. **). Skarży się Owidyusz: złota bo istotnie nadeszła epoka. Złoto daje najwyższe godności i kupuje miłość. ***). Mówi Petroniusz Arbiter przez usta Ganimedesa: dziś nie wierzy już nikt w bogów, nie zachowuje postów, nikt nie dba o Jowisza; każdy tylko przymruża oczy i liczy grosiwo, ****).

Głód złota należy obok bluźnierczego ateizmu i zgubnego indywidualizmu, obok nadmiernego przywiązania do życia i żądzy użycia do głównych rysów dekadentyzmu rzymskiego.

Sami cezarowie szli w tym względzie przodem. Kazali oni bogaczom wytaczać procesy o obrazę majestatu dlatego, żeby zagarnąć ich fortuny i zmuszali zamożniejszych do legatów na ich korzyść. Nawet uczciwsi z pomiędzy nich, jak Wespazyan, grzeszyli brudną chciwością.

Co robili imperatorowie, naśladowali w końcu i żołnierze. Coraz częściej buntowały się legiony, domagając się podwyższenia żołdu i nadzwyczajnych gratyfikacyj.

---

*) Juvenal. „Satir.“ III; 140—144; 161—165.

**) Propert. „Eleg.“ V, 1, „Wróżbita.“

***) Ovid. „Ars Amandi“; II; 277, 278.

****) Petronius Arbiter. „Satyricon“; Fragment p. t. „Biesiada u milionera rzymskiego,“ w przekładzie Wł. M. Dębickiego; Warszawa, 1879 r. str. 60.

W Rzymie cezarów narodziła się i dojrzała nieznana innym ludom podłość — owa gonitwa za zapisami, owe systematyczne obleganie każdego, kto rozporządzał znaczniejszym majątkiem. Ojciec obawiał się syna, brat brata, stryj synowca, każdy bowiem czyhał na spadek, uciekając się do trucizny, gdy mu się czekanie sprzykrzyło. Już Lukrecyusz znał „braci, którzy się na pogrzebie brata radowali“ i krewnych „co obawiali się miejsca przy stole krewnych.“ *) Wszyscy satyrycy rzymscy skarżą się na fachowych łowców spadkowych, którzy byli specyalnym wytworem rozwiązłej, przed Złotym Cielcem korzącej się Romy.

U stóp tego bożka narodów upadających czołgała się nie sama tylko „połowa brzydka.“ I płeć piękna stawiała złoto ponad cnotę, użycie ponad obowiązek.

Minęły już czasy „matrony rzymskiej.“ Czysta, mężowi swojemu a panu posłuszna kapłanka ogniska domowego, żona obywatela, matka bohaterów, sprawiedliwa i rządna gospodyni, nie mieszająca się czynnie do spraw publicznych, należała w „złotym,“ „oświeconym“ Rzymie do legend, z których drwiły damy oświecone. Nie omyliłby się nawet, ktoby główną część winy w skażeniu obyczajów przypisał kobietom.

Jeszcze obywatel rzymski składał bez szemrania życie, mienie i synów na ołtarzu państwa, jeszcze odznaczali się najbogatsi skromnością stroju, stołu i wygód domowych, kiedy dla kobiet trzeba już było ustanawiać prawa, powstrzymujące ich wrodzony pociąg do błyskotek i kosztownych gałganków. Za sprawą trybuna Kajusza Oppiusza zakazano rzymiankom w r. 215 przed Chr. kłaść na siebie więcej złota niż $^1/_{24}$ funta, nie ubierać się w pstre suknie i nie jeździć w mieście powozami.

---

*) Lucret. jak wyżej, III: 72, 73.

Nie podobało się to rozporządzenie „matronom.“ Więc, zjednawszy dla swoich celów dwóch wielbicielów płci pięknej, trybunów M. Fundaniusza i L. Waleryusza, postarały się o zniesienie niemiłego dla nich prawa. A tak gorąco pragnęły owych świecidełek i fatałaszków, iż upominając się o nie, przekroczyły wszelką miarę przyzwoitości. Opowiada Liwiusz *), iż obywatelki rzymskie, patrycyuszki i plebejki, bogate i ubogie, stare i młode, nie ufając swoim mężom, wyległy w dzień rozpraw sejmowych na rynki i ulice i zatrzymując spieszących na zebranie kwirytów, prosiły ich, zaklinały, błagały o usunięcie „okrutnego paragrafu.“ Rzym robił tego dnia wrażenie obozu niewieściego, na pomoc bowiem mieszkankom stolicy nadciągnęły strojnisie z okolicznych miasteczek, wsi i osad. Cała ta szczególnego rodzaju armia, uzbrojona w piękne oczy, rozkoszne uśmiechy i słodkie słowa, w obietnice i łzy, krzyczała, giestykulowała, płakała, jak gdyby chodziło nie o błyskotki, lecz o całość rzeczypospolitej, o szczęście mężów, dzieci.

Zbiegowisko takie byłoby niemożliwe, gdyby ówcześni rzymianie byli jeszcze rzeczywistymi ojcami rodzin w dawnem, dobrem rozumieniu. Słusznie też mówił konsul M. Porciusz Kato, broniąc prawa Oppiusza: Gdyby każdy z nas, obywatele, umiał u żony zachować swoje prawa i znaczenie, mielibyśmy teraz mniej kłopotu z kobietami. Ale pozwoliwszy się rozpanoszyć niesforności niewieściej w domu, doczekaliśmy się tego, co się dziś dzieje. Oto wyszły nasze żony i siostry na *forum* i depczą powagę mężów i braci nogami.

Obywatel rzymski z czasów królestwa i rzczypospolitej był tak ciągle zajęty po za domem, iż zostawiał z konieczności rządy rodziny matce lub żonie. Jako żołnierz roz-

*) Liv. 34, 1.

nosił kości swoje po całym świecie, jako urzędnik służył sprawie publicznej bez wytchnienia. Głównie członkowie możniejszych domów, nasamprzód tylko patrycyusze, potem także plebejusze, mieli bardzo mało czasu dla siebie i dla rodzin swoich. Począwszy od dziewiętnastego roku życia, od chwili wstąpienia do armii, wysługiwał się senatorowicz państwu aż do wieku sędziwego. Jako młodzieniec był niższym oficerem w wojsku, następnie odbywał kwesturę, dalej preturę lub trybunat, dowodził legionem, zarządzał prowincyą, zostawał konsulem, szedł powtórnie na gubernatora do krajów zdobytych i t. d. Arystokrata rzymski dobiegał zwykle pięćdziesiątki, zanim mu spocząć dozwolono. Nawet za czasów cezarów nie wolno było należącemu do stanu senatorskiego wymówić się od posad publicznych.

Żona tymczasem, zostając w domu, gospodarowała po własnej myśli, uczuwała się coraz więcej panią, zwłaszcza, że kobiety nie zajmowały w Rzymie nigdy stanowiska podrzędnego, szczęśliwsze pod tym względem od greczynek. Matrona brała udział w naradach familijnych i w biesiadach i ruszała się swobodnie po mieście i kraju.

Matkę przyszłego obywatela dopuszczał mąż do rozpraw, odnoszących się do rzeczy publicznych i uwalniał ją od grubych posług. Matrona zajmowała się wprawdzie gospodarstwem i kuchnią, ale nie gotowała sama i nie mełła żarn. Już za królów spełniały te czynności niewolnice. Tylko przędzenie należało do obowiązków pani domu.

Dopóki religia, umiarkowany byt i czystość obyczajów tworzących się dopiero państw trzymały w karbach próżność, pychę i bezkarność niewieścią, dopóki rzymianka była wistocie matroną, dopóty nie szkodziły jej rządy domowe ani rodzinie, ani państwu. Przeciwnie! Matka, umiejąca rozkazywać, wychowywała dumnych obywateli i mężnych wojowników.

Gdy król Pyrrhus usiłował przez posła swojego Cy-

neasza przekupić za pomocą świetnych darów żony dygnitarzów rzymskich, nie znalazł w grodzie Romulusa ani jednej chętnej ręki: Matrony wzgardziły jego błyskotkami. Przez pierwszych pięćset lat od założenia stolicy nie wiedziano w całem Lacyum o rozwodach: Matrony nie opuczczały mężów nawet wówczas, gdy stadła nie były dobrane.

Ale starodawną religię rzymską, polegającą na bojaźni Bożej i na czci ogniska domowego, skrzywiła nasamprzód mytologia grecka, najeżona lubieżnością zmysłową i niepobożnemi opowieściami, a następnie usunęła ją zupełnie filozofia materyalistyczna. Byt umiarkowany ustąpił wielkim dostatkom z chwilą, gdy legiony rzymskie przepłynęły morze i podbiły prowincye afrykańskie. Skażenie obyczajów było już tylko skutkiem dwóch przyczyn poprzednich.

Z Grecyi szły do Rzymu rozpustne legendy mytologiczne, bezecne komedye, zmysłowe poezye i powieści (Milezyjskie), szydząca ze wszystkiego filozofia, z Afryki zaś nadchodziły: bogate łoża biesiadnicze, kosztowne tkaniny, wytworne sprzęty i śpiewaczki, muzykantki, złoto, kość słoniowa, wonie, rozpusta i zniewieściałość.

Z darów zwycięzkich wojen korzystały zrazu głównie kobiety, bo nie używał ich legionista, znoszący przez długie lata trudy obozowe, bez względu na to, czy wodzem był, czy prostym żołnierzem. Co mężowie i bracia krwią zdobyli, za co życie dawali, głód, rany i poniewierkę znosili, to służyło przedewszystkiem żonom ich i siostrom. One też, bogate teraz panie, zajmowały się literaturą i sztukami pięknemi, chociażby dlatego, że miały więcej czasu do wykwintnej zabawki. One też zaczęły się psuć, rozkładać wcześniej od „połowy brzydkiej,“ już bowiem bezpośrednio po wojnach punickich odzywają się skargi mówców i autorów na zbytek kobiet.

Nie za cezarów, lecz w r. 195 przed Chryst., uważał konsul M. Porciusz Kato, broniąc owego prawa oppiuszo-

wego, za konieczne rzucić w twarz niewiastom rzymskim okrutną obelgę, gdy wołał: Niechby się teraz tylko Cyneasz zjawił w mieście, a znalazłyby się na ulicach kobiety stojące, któreby mu złoto i purpurę z rąk wyrywały...

I między kobietami zaczął wichrzyć zgubny indywidualizm. Zdemoralizowani obywatele rzymscy przekładali swoje sprawy osobiste nad dobro powszechne (wojny domowe), wykolejone zaś obywatelki przypomniały sobie t. zw. „prawa kobiece.“ Gniewało wytworną elegantkę, że ją starodawny obyczaj uczynił poddanką męża, przeto usiłowała wpływać czynnie na działalność prawodawczą. Upokarzało oświeconą damę, kształcącą się na rozpustnych komedyach i powieściach greckich, iż ją ojciec zaślubiał obcemu człowiekowi, nie pytając o jej przyzwolenie, więc, zrozumiawszy znaczenie „praw serca,“ zaczęła się rozwodzić, przebierać w mężach, żyć swobodnie, lekceważyć „zacofane, zaśniedziałe przesądy.“

Począwszy od wojen punickich zmieniło się położenie kobiety rzymskiej. Powoli ustępowały dawne prawa nowym, coraz to względniejszym dla płci pięknej i rozszerzały się granice edukacyi damskiej.

Zamożna rzymianka z czasów dogorywającej rzeczypospolitej i cezarów odbierała „wychowanie staranne.“ Za drogie pieniądze z Grecyi sprowadzeni niewolnicy uczyli ją literatury rzymskiej i greckiej, matematyki, filozofii, śpiewu, muzyki i tańca. Nawet wymowa nie była rzymiance obcą. I skromnemi środkami rozporządzające córki obywatelskie kształciły się za pośrednictwem licznych szkół, utrzymywanych przez retorów, pedagogów i filozofów.

Co miało kobietę podnieść do wyżyn umysłowych mężczyzny, niepodobnego już także do dawniejszego obywatela „słomianego, drewnianego Rzymu,“ co miało wykształcić jej głowę i serce, to wywołało w znacznej części skutek wręcz przeciwny. Rzymianka, pozbawiona przez wiedzę materya-

listyczną „przesądów,“ emancypowała się coraz dalej w kierunku ujemnym. Bezbożność filozofii i lubieżność poezyi rozpętały w niej do reszty złe instynkty niewieście.

Nie wiele korzyści odniósł Rzym z mądrości kobiet. Wprawdzie wykwitło prawdopodobnie z ruchu naukowego kilka autorek i jakaś niewielka liczba dam prawdziwie wykształconych i uczonych, poeci bowiem i historycy z czasów cezarów mówią tu i owdzie o kobietach, zajmujących się fachowo literaturą i nauką, ostateczny jednak wynik tej działalności musiał być bardzo niewielki, kiedy nie zostało po nim żadnych śladów. Z twórczości umysłowej rzymianek nie zachowało się nic takiego, o czemby warto pamiętać.

Bujniej od kwiatu rzeczywistej wiedzy i sztuki, wyrósł i w Rzymie chwast dyletanctwa naukowo-literackiego, który bywa plagą wszystkich epok dekadenckich. Co Juvenalis mówi o sawantce rzymskiej *), można do współczesnych „mądrych kobiet“ dosłownie zastosować:

O wiele nieznośniejsza, gdy za stołem siędzie,
Dopieroż ci wychwalać Wirgilego będzie,
Dydony śmierć tłómaczyć, a w wielkim zapale
Zestawiając poetów, kładzie na tę szalę
Wirgilego; Homera położy na drugą
I wydaje krytykę uczoną a długą.
Gramatyk wnet zamilknie, retor milcząc słucha,
Milczą i biesiadnicy, nadstawiając ucha,
I adwokat, choć zawsze gotowy do słowa,
Nie pisnie i wraz z woźnym w tłum gości się chowa.
Nie odezwie się nawet i inna kobieta:
Takie wielkie słów mnóstwo z ustek jej wykwita,
A w uszach aż ci dudni...

. . . . . .

I Marcyalis drwi z uczoności jakiejś Galli. **).

---

*) Juvenal. „Satir.“ VI, 434—456
**) Martial. 10; 68.

Takich mądrych niewiast, dysputujących z gramatykami, retorami i filozofami, posiadał Rzym w pierwszych swoich wiekach ery chrześciańskiej wielkie mnóstwo. Gawęda literacko-naukowa należała do koniecznych przypraw każdej wykwintniejszej biesiady i była w „salonie“ ozdobą damy światowej lub chcącej uchodzić za „dobrze wychowaną,“ za „wytworną.“

Sawantka ówczesna, tak samo, jak dzisiejsza, zaniedbywała dom, rodzinę, naturalne obowiązki kobiety wogóle, była mężowi kulą u nogi, dzieciom zaś szkodliwym przykładem próżniaczego gadulstwa.

Zamiast się uszlachetniać i podnosić przez pracę umysłową, traciła rzymianka resztki cnót domowych, odziedziczonych po matronach. Bo czegóż mogła się nauczyć od filozofów upadłej Grecyi, od jej belletrystów i od ich naśladowców rzymskich? Filozofia usuwała z pod jej stóp bezpieczną podstawę religii, dając jej wzamian za to garść zwątpień i drwin. A teatr, poezya?...

Teatr, za którym obywatelka rzymska do tego stopnia przepadała, że uboższe zastawiały kolczyki i naszyjniki, byle tylko nie ominąć żadnej „premiery,“ był już w ostatnich czasach rzeczypospolitej publicznym gorszycielem. Podniosłe, gorące słowo tragedyi nie pociągało nikogo. Dawały ją teatry pierwszorzędne od czasu do czasu jedynie dla honoru domu, a i wtedy zajmowała widzów więcej świetna wystawa, niż poezya wielkich uczuć i namiętności. Jak obecne teatry stolic europejskich, ubiegały się i sceny rzymskie przedewszystkiem o blask zewnętrzny. W sztukach, w których występowało wojsko, przeciągały przed oczami publiczności armie pieszych i konnych komedyantów. Odtwarzano z całym przepychem pochody tryumfalne: z wozami, jeńcami w kostyumach narodowych i z drapieżnemi zwierzętami. Nie ucho muzyką pięknego słowa pieścić cho-

dzili ludzie na tragedyę, mówi Horacyusz *), lecz jedynie dlatego, aby napaść oczy widokiem błyskotliwej, bogatej wystawy. Coś bardzo niezwykłego musiał wymyślić, kto chciał zapełnić salę teatralną. Jedyny w epoce cezarów częściej grywany rzymski autor dramatyczny, Afraniusz, napisał komedyę, w której zachodził pożar (ztąd tytuł „Pożar“). W wykonaniu scenicznem tego dzieła nietylko palono rzeczywiście dom, ale pozwalano nawet widzom dla zabawy ów... płonący budynek zrabować. **).

Większem powodzeniem od tragedyi i dramatu w stylu szlachetnym cieszyła się w Rzymie t. zw. nowa komedya grecka, naśladowana przez Plauta i Terencyusza, ośmieszająca bogów, bohaterów i lubująca się w odtwarzaniu scen z życia heter.

Ale i ten rodzaj, chociaż już bardzo daleki od umiarkowanego tonu komedyi dawniejszej, miał zwolenników tylko wśród wytworniejszej inteligencyi. Pstry tłum przeciętnych teatromanów nudził się na subtelnej satyrze ówczesnych obyczajów. Publiczność rzymską bawiły głównie atelany i mimy, odpowiadające naszym dzisiejszym farsom i operetkom. Sztuka bez wiarołomstwa i kokot, bez drwin z bogów, bez tłustych dwuznaczników i grubych kupletów nie mogła liczyć na powodzenie. Im utwór był sprośniejszy, tem lepiej płacili za niego pretorowie, urządzający widowiska publiczne.

Niemoralność atelanów i mimów potęgowały jeszcze pantominy, przeplatające utwory dramatyczne. Gdy się publiczność rozochociła, wówczas domagała się od baletników „mniej sukien.“ Tancerze, posłuszni pani swojej, zrzucali przejrzyste już i tak ubrania i pokazywali się widzom w stroju Adama.

---

*) Horat. Epp. II, 1, 181 i następne.

**) Sveton. „Nero.“ 11.

Teatr upadającego Rzymu zatruwał duszę i serce, drażnił zmysły, podbudzał złe instynkty. Wszyscy uczciwsi autorowie z czasów cezarów zwracali uwagę na jego szkodliwość. Ale mądre i niemądre panie witały każdy brud moralny rzęsistemi oklaskami, każdy dwuznacznik uśmiechami, każdą bezczelność lubieżnemi spojrzeniami.

Gorszyła kobietę filozofia, nauka, powieść, gorszył ją teatr. A poezya?...

Ulubieńcem elegantek rzymskich był Owidyusz. Jego „Sztuka kochania“ (*Ars amandi*) znajdowała się w każdej gotowalni damskiej.

Sztuką uwodzenia kobiet powinien był Owidyusz nazwać to arcydzieło przewrotności ludzkiej. Żaden ze współczesnych „psychologów“ francuskich nie dał „zjadaczom serc“ lepszych wskazówek od niego. Niesumienny ród Don Juanów może się dotąd od poety rzymskiego uczyć sposobów omotania upatrzonej ofiary.

Trzy głównie czynności powinien mieć na uwadze — radzi Owidyusz — kto chce być szczęśliwym w miłości. Znaleźć należy nasamprzód odpowiednią kobietę, potem trzeba ją do siebie zniewolić, w końcu starać się stosunek utrzymać. *).

— Gdy masz zamiar oddać się w służbę Wenery, poznaj przedewszystkiem miejsca, w których się kobiety chętnie gromadzą. Rzym dostarczy ci tyle dziewcząt, ile jest ryb w morzu, ptaków na drzewach, gwiazd na niebie. Polowaniu twojemu sprzyjają najwięcej okrągłe teatry (I; 89), do nich bowiem spieszą kobiety nietylko dlatego, aby widzieć, ale także, aby były widziane (I; 99). W teatrze staraj się usiąść najbliżej swojej pani, bo nikt ci tam tego nie zabroni, i przytul się do jej boku (I; 139, 140). Zająwszy

*) Ovid. „Ars Amandi.“ I; 35—38.

miejsce wygodne, zawiąż gawędkę, rozpoczynając od rzeczy obojętnych. Zapytaj się, czyje konie będą biegały i bądź zawsze zdania swojej wybranej. Gdy ukaże się korowód młodzieńców, wówczas klaskaj tylko Wenerze. A kiedy, co się w takich wypadkach często zdarza, kurz osiędzie na łonie dziewczyny, wówczas zgarnij go palcami. Zgarniaj go nawet wtedy, kiedy go wcale nie będzie. Korzystaj z każdej sposobności, ułatwiającej zbliżenie. Jeżeli suknia pani zwiesza się zanadto, podnieść ją skwapliwie, udając uprzejmego. Trud twój wynagrodzi ci widok jej nóżek. Pamiętaj, że się kobietę bierze drobnemi grzecznościami (I; 143 do 159).

— Nie obawiaj się klęski. Powiedz sobie, iż gdybyś tylko zechciał, mógłbyś wszystkie kobiety zbałamucić. I zrobisz, co zechcesz, zastawiwszy dobrze sieci. Prędzej zamilkną ptaki na wiosnę, koniki polne latem, prędzej nakłoni zając wyżła do sromotnej ucieczki, aniżeli się kobieta, czule zdobywana, oprze mężczyźnie. Nawet ta, o której nie przypuszczasz, że się zgodzi — zgodzi się napewno. Jak mężczyznę, raduje i kobietę miłość potajemna, z tą tylko różnicą, że umie ona żądze swoje lepiej ukrywać (I; 269 do 275). Każdego cieszy nowa rozrywka, a cudze podoba się zawsze lepiej niż swoje (I; 337—338).

— Zmierzając do celu ostatecznego, staraj się nasamprzód pozyskać sługę wybranej. Mając niewolnicę po swej stronie, trafisz prędzej do serca pani. Sługa, ujęta obietnicami, upatrzy chwilę stosowną i pomoże ci dobrem słowem (I; 355—370).

— Może chciałbyś się także dowiedzieć, czy opłaci się zbałamucić równocześnie i sługę? Czasami udają się takie sztuki, co do mnie jednak, nie radzę ci ryzykować. Jest to gra niebezpieczna. Jeżeli ci się niewolnica podoba, weź i ją, ale dopiero po zdobyciu pani. Nie od sługi należy zacząć robotę (I; 374—385).

— Czarnym niech będzie dla ciebie dzień podarunków. Choćbyś się jak wąż wykręcał, zmuszą cię do nich. Kobiety znają sztukę wyzyskania kochających (I; 418—420).

— Kimkolwiek jesteś, nie szczędź prośb, bowiem nawet Achilla skłoniły prośby Pryama do wydania mu Hektora. (I; 440—441).

— Bądź cierpliwym. Cóż może być twardszego od kamienia, cóż miększego od kropli wody? A przecież wydrąża miękka woda twardy kamień. Nawet upór Penelopy, gdy wytrwasz, pokonasz ostatecznie. Późno padła Troja, ale padła. Gdy ci wybrana odmawia na razie odpowiedzi, nie zmuszaj jej do niej. Zrób tylko, aby ciągle twoje słowo pochlebne czytała. Kobieta, która chciała przeczytać, zechce w końcu także odpisać. Stanie się to kiedyś. Odbierzesz prawdopodobnie nasamprzód pismo smutne, które cię będzie prosiło, abyś jej nie niepokoił. Niech cię ta sztuczka nie zniechęci, bo nie tego kobieta pragnie, o co prosi. Pragnie ona właśnie tego, o co nie prosiła. Nie trać więc nadziei, bo spełnią się twoje życzenia (I; 476—486).

— Starając się o przyjaźń kobiety, zwróć baczenie na swój wygląd. Utrzymuj ciało w czystości, kładź na siebie białą togę, myj zęby, noś ładne trzewiki, każ sobie włosy dobrze ostrzydz, piłuj paznogcie (I; 513—519).

— Siedząc przy stole z wybraną swoją, pij z tego samego kielicha, co ona, i jedz te same potrawy, a staraj się zawsze dotykać jej rąk. Czujność jej męża uśpij uprzejmością. — Jeżeli umiesz śpiewać, to śpiewaj, jeśli tańczyć, to tańcz. Podobaj się wszystkiem, co tylko przyjemnego posiadasz. Nie pij dużo, ale pijanego możesz udawać, gdy chcesz coś zuchwałego powiedzieć. — A gdy wstaniecie od stołu, wówczas staraj się być ciągle blizkim wybranej ofiary i ocieraj się o nią, o jej nogę, ręce, o ciało, ile razy się tylko da. Niech niemądra nieśmiałość będzie teraz daleką od ciebie. Zuchwałym sprzyja Wenus i szczęście. Graj

rolę rozkochanego na śmierć i udawaj cierpienie słowami. Zrób wszystko, aby uwierzyła, że ją kochasz i że cierpisz, a uwierzy ci bez trudu, każda bowiem kobieta uważa się za godną miłości. Najbrzydsza mniema się piękną. — Wciskaj się za pomocą pochlebstwa do jej serca. Niech cię wysławianie jej twarzy, włosów, misternych paluszków, drobnych nóżek nie znuży. Nawet czyste dziewice lubią, gdy się postać ich chwali. — Obiecuj śmiało. Powołuj na świadka wszystkich bogów. Jowisz śmieje się z góry z krzywoprzysięztwa, popełnionego dla miłości, i puszcza je na wiatry południowe. Przysięgał on nieraz krzywo Junonie, więc przebacza innym, co sam broił (I; 575—580; 595—600; 603—624; 632—636). Wygodną jest wiara w bogów; przeto pozwólmy, aby w nich wierzono I; (637).

— Nie pogardzaj także łzami. Dyamenty poruszysz za ich pomocą. Pokazuj ukochanej lica zwilżone, jeźli ci się je zmoczyć uda. W razie, gdyby ci łzy nie chciały przyjść na zawołanie, potrzyj sobie oczy mokremi palcami. Każdy rozumny kochanek dodaje do słów pieszczotliwych pocałunki. Gdy ich pani twoja nie chce dać, bierz je sam. Bronić się ona będzie może na początek i zuchwałym cię nazwie, ale nie wierz temu, bo kobieta chce być zwyciężoną. Kto zaś dotarł już do pocałunków, a nie wziął reszty, ten wart, żeby stracił wszystko, co pozyskał. — Nie obawiaj się także przemocy. Kobieta lubi siłę i często chce być zmuszoną do tego, czego sama pragnie. Gdy mogłeś dotrzeć do kresu twojego zadania, a cofnąłeś się w chwili stanowczej, wówczas zbierasz gniew i smutek tam, gdzie cię miłość czekała (I; 659—678).

— Dobrze także udawać przyjaźń. Pod osłoną przyjaźni zbliża się miłość ukryta (I; 720). Niech bladym będzie, kto kocha, bladość bowiem stroi kochających (I; 729). Nie należy nigdy zachwalać komuś drugiemu upatrzonej kobiety, gdy bowiem uwierzy twoim zapewnieniom, zabierze

się sam do niej (I; 741—742). Wystrzegaj się krewnych, przyjaciół i braci (753).

— A gdy pozyskałeś, za czem goniłeś, wówczas staraj się utrzymać kochankę. Przedewszystkiem nie kłóć się z nią, sprzeczki bowiem przystoją tylko małżonkom. Przyjaciółka powinna słyszeć zawsze tylko te dźwięki, które lubi. Czułe pochlebstwa i słodkie słowa przynoś kochance, aby cię z radością witała (II; 155—160). Kiedy się ona sama spierać o coś zacznie, wówczas ustąp jej bez szemrania. Uległość zwycięża. Graj zawsze tę rolę, której sobie przyjaciółka życzy. Gdy ona gani, gań i ty, co ona pochwala, chwal i ty; mów, jak ona, zaprzeczaj, jak ona; śmiej się i płacz z nią razem. Wyraz jej twarzy niech będzie prawem dla twojej. Grając z nią w kości, rzucaj zawsze źle... (II; 197—204). Kiedy ci przyjaciółka wyznaczy miejsce schadzki, spiesz i czekaj cierpliwie. Służ jej ciągle, miłość bowiem jest rodzajem służby wojskowej (II; 223—233). Nie bądź pysznym, kimkolwiek jesteś, jeźli chcesz utrzymać kochankę. Na dachy się wspinaj, gdy drzwi przed tobą zamykają. Z okien korzystaj, choćby najwyższych (II; 241—246). A ze służbą staraj się być zawsze w dobrych stosunkach (II; 259).

Nie dla bogatych pisał Owidyusz swoją „Sztukę kochania,“ kto bowiem złoto posiada, ten nie potrzebuje wskazówek poety. „Nawet barbarzyniec będzie się podobał, jeźli jest bogatym“ (II; 276).

— Nie dla bogatych — mówi jeszcze Owidyusz — chcę być nauczycielem w miłości. Sztuki mojej nie potrzebuje, kto dawać może. Zdolnym jest i szczęśliwym, komu powiedzenie „weź, ile ci się podoba,“ nie sprawia trudności. Moje wskazówki są mniej warte od argumentów brzęczących. Ponieważ kochałem, ubogim będąc, przeto jestem śpiewakiem tylko dla ubogich (II; 161—165).

Spalić na stosie powinny były rzymianki dzieło Owi-

dyusza, każda bowiem wskazówka, dana przez niego mężczyźnie, zawiera dla nich obelgę.

„Nie wierz w cnotę kobiety — bądź zuchwałym, a zdobędziesz każdą.“ — „Nie wierz w jej rozum — kłam dobrze, a oszukasz każdą.“ — „Głupia jest płeć piękna, próżna, lubieżna, chciwa błyskotek i pieniędzy, przeto schlebiaj jej zręcznie i nie szczędź podarunków.“

Tak mniej więcej przedstawia się kobieta bystrym oczom poety. *).

Rozumie się, że ten cyniczny i okrutny obraz nie może się odnosić do wszystkich obywatelek rzymskich wogóle. Upadająca Roma wydała wprawdzie takie lubieżne potwory, jak Julię, córkę Augusta, Messalinę i Agrypinę, żony Klaudyusza, Junię, Silanę, Sabinę, Popeę, Faustynę i w. in., ale także takie świetlane wcielenia cnót domowych i obywatelskich dawnych matron, jak Agrypinę, małżonkę Germanika, dwie Sekstye, dwie Arrye, Politty, Witellie i krocie wzorowych niewiast, oddanych mężowi i dzieciom. Okoliczność jednakże, iż znalazł się poeta, który mógł napisać „Sztukę kochania“ i zdobył sobie tem dziełem rozgłos powszechny, dowodzi niezawodnie zwyrodnienia znacznej liczby kobiet rzymskich i upadku obyczajów w sferach zamożniejszych. Bo głównie dla bogatszych próżniaczek pracują Owidyusze i do niego podobni autorowie. Ubogie żony i matki, zmuszone położeniem swojem do ciągłej pracy, nie mają czasu do sportu miłosnego.

Zmysłowość odgrywała niewątpliwie znaczną rolę w życiu rzymian z epoki dekadencyi, tylko bowiem miłość lubieżną znają i opiewają poeci owego czasu i przenoszą za-

---

*) Tak w przekładzie Owidyusza, jak w poprzednich i dalszych, nie starałem się o drobiazgową ścisłość filologiczną. Szło mi głównie o wierne oddanie myśli, ducha danej cytaty. (Przyp. Autora).

wsze kobietę rozwiązłą nad uczciwą. Lesbie, Cyntye, Delie Katullów, Propercyuszów i Tybullów są kokotami lub cudzemi żonami, „każdego bowiem cieszy — uczy Owidyusz — nowa rozrywka, a cudze podoba się zawsze lepiej niż swoje“ (*Ovid. Ars Amand.* I, 337–338).

Dla kobiet, lekceważących „zaśniedziałe przesądy“ dawnych matron napisał Owidyusz część trzecią „Sztuki kochania.“. Tym dodatkiem zapewnił swojemu dziełu powodzenie w świecie eleganckim.

„Bo pamiętajcie — upominał poeta — że kiedyś nadejdzie starość. Nie zapominając o dalekiem jutrze, nie zmarnujecie czasu podaremnie. Bawcie się, dopóki wam młodość na to pozwala. Lata płyną, jak woda. Gdy fala minęła, już jej nic nie odwoła... Nadejdzie czas, kiedy ty, co dziś miłość od siebie odtrącasz, będziesz do niej w samotnej, zimnej sypialni staruszki z żalem wzdychała“ (*Ov. A. A.* III, 59 i następne).

Po takim wstępie, podał Owidyusz i dla kobiet, chcących sport miłosny umiejętnie uprawiać, szereg cynicznych wskazówek.

Tę samą truciznę ssały rzymianki i z elegii i z licznych w owych czasach powieści upadłej Grecyi, która, straciwszy dzielność męzką i cnoty obywatelskie, pocieszała się w swem upodleniu najchętniej miłością wyuzdaną. Belletryści wysp greckich pisali już tylko komedye mieszczańskie z wiarołomstwami, idyotyczne farse i lubieżne romanse. *).

Wszystko co się działo przy końcu rzeczypospolitej i

---

*) Ciekawych rozwoju powieści greckiej odsyłam do dzieła niemca, Erwina Rohde, p. t. „Der Grieschische Roman und seine Voriäufer“ Lipsk, 1876. U nas zajmuje się belletrystyką Grecyi i Rzymu Kazimierz Morawski, którego bardzo dobre studyum p. t. „Petronius Arbiter i romans w starożytności“ wydrukowała „Biblioteka Warszawska,“ zeszyt za maj, 1894 r.

za czasów cesarstwa, składało się na demoralizacyę kobiety. Psuły ją bogactwa, zdobywane w prowincyach przez legiony, rozpieszczała ją powolność ojców, mężów i braci, gorszyły: filozofia, nauka, teatr, poezya. Kiedy Rzym zaczął naprawdę używać, pokonawszy wszystkich swoich wrogów, była już płeć piękna znakomicie do rozpusty przygotowana. *).

Mówi Seneka: „panie nie liczą już swoich lat podług konsulatów, lecz według cyfry mężów... Wychodzą one za mąż jedynie dlatego, aby podrażnić kochanków. Czyste życie stało się świadectwem brzydoty niewieściej. Bardzo wstrętną musi być dama, posiadająca tylko dwóch kochanków.“

Drwi Marcyalis **): „Już oddawna rozglądam się w mieście, szukając dziewczyny, którąby odmówiła. Nie znalazłszy ani jednej uczciwej kobiety, zaczynam wierzyć, iż czystość jest przestępstwem, zabronionem w Rzymie. Nie ma-li ani jednej wstydliwej? O, jest ich wiele tysięcy... Jakże sobie te skromnisie radzą? Nie ubiegają się one poprostu same, ale, zaczepione, nie odmawiają nigdy.“

Straszliwie ochłostał Juwenalis kobietę rzymską w satyrach swoich.

Chociaż nie ulega żadnej wątpliwości, iż połowę tych poglądów pesymistycznych trzeba odliczyć na rachunek zaciekłości satyrycznej, nie odznaczającej się nigdy bezstronnością, mimo to należy przyjąć zwyrodnienie przeciętnej rzymianki światowej, wytwornej, za pewnik historyczny. Dawna matrona stała się rozpustnicą, powodowaną już tylko żądzą używania zmysłowego.

---

*) Sylwetkę kobiety rzymskiej napisał u nas Jan Wolfram p. t. „Rzymianka, studyum historyczno-obyczajowe,“ Warszawa, 1869 r.

**) Martialis; IV; 71.

I zaczęło się używanie powszechne...

— Kto kocha zbytek — mówi Lucyan *) — kogo wabi blask złota, kto potrzebuje do szczęścia sukien purpurowych, władzy i wpływu; kto nie smakował nigdy słodyczy prawdziwej wolności, wychował się wpośród niewolników i pochlebców i nie widział nigdy rzeczy istotnie pięknych i dobrych; kto całą duszę oddał w służbę rozpuście i omamiony przez jej czary i jej błyskotliwość, poświęcił życie rozkoszom stołu, wina i miłości; albo w końcu, kogo podbudza brząkanina muzyki i łaskoczą przyjemnie bezecne tańce i lubieżne pieśni — ten powinien sobie wybrać to miasto (ma być Rzym) na miejsce stałego pobytu.

— Bo tu (w Rzymie) znajduje się na wszystkich rynkach i ulicach wielkie mnóstwo tego, co tacy ludzie kochają. Tu można rozkosz wciągać w siebie przez wszystkie furtki duszy, przez oczy, uszy, nos, podniebienie i przez wszelki inny kanał. Tu płynie rozkosz bezustannie mętnym, nigdy nie wysychającym strumieniem i rozszerza wejście dla występków do tego stopnia, iż wiarołomstwo małżeńskie, chciwość pieniędzy, krzywoprzysięztwo i wszystkie inne namiętności, wylęgające się w jej żyznem błocie, wpadają razem z nią, zalewają całą duszę i unoszą z sobą przemocą uczucie wstydu, sprawiedliwości i cnoty. A gdy te uczucia zginą, wówczas zostaje ona sama (rozpusta), podobna do obeschłego dna bagna, z którego wyrastają szybko wszelkie rodzaje dzikich żądz, nie znoszących obok siebie nic zdrowego.

Wciągał w siebie tedy obywatel rzymski rozkosz „przez wszystkie furtki duszy, przez oczy, uszy, nos, podniebienie i przez wszelki inny kanał.“ Mieszkał w pałacach marmurowych, ozdobionych freskami, malowidłami,

---

*) Lucyan; Nigrinus; 16, 16.

kobiercami babylońskiemi i posadzkami mozaikowemi. Jadł na złotych półmiskach, pił z porfirowych puharów, spał na purpurowych wezgłowiach, ubierał się w najwytworniejsze tkaniny ówczesnego świata. Pokoje stroił zimą kwiatami, hodowanemi w cieplarniach, meble, na których spoczywał, i wino, które niósł do ust, perfumował. Gdy się udał do kąpieli, nie wychodził z niej o własnych siłach. Z wanien i basenów wynosiła go służba na rękach. Na ulicy nie raczył patrzeć przed i naokoło siebie i odpowiadać na pozdrowienia przechodniów. Jeden niewolnik postępował przed nim i zwracał jego uwagę na przeszkody, zagrażające jego stopie rozpieszczonej, drugi oddawał za niego powitania. Klęcząc, prosili go ubodzy o zapomogi.

Najwykwintniejsze pokarmy, najpiękniejsze kobiety, najzdolniejszych aktorów, muzykantów, woźniców cyrkowych, poetów, retorów i filozofów przysyłały liczne prowincye Rzymowi, aby się pan świata bawił, aby miał wszystko pod ręką, czego tylko próżniak i rozpustnik mógł zapragnąć.

Używali praprawnukowie za krwawą pracę szeregu pokoleń — trwonili ojcowiznę i cnoty przodków.

Bo ten pan świata, taki potężny, oświecony i szczęśliwy na pozór, był wistocie nędznikiem, barbarzyńcą i nędzarzem. Z psią uległością znosił szalone kaprysy Kaligulów, Neronów, Domicyanów, Karakalów, kłaniał się każdemu, kto posiadał w danej chwili nieco więcej znaczenia, złota, władzy od niego, a deptał upadłych lub zubożałych. Nie było podłości, którejby się nie dopuścił dla rozkoszy i pieniędzy.

Trzymał on sobie nadwornych gramatyków, retorów i filozofów, ale nie w mądrości szukał rozrywki i pociechy. Do teatrów spieszył na plugawe atelany, mimy i pantomimy, do rozwiązłych heter na błyskotliwy *flirt*, do cyrków po wrażenia i wzruszenia. Im szerszemi strugami płynęła na

arenie cyrkowej, posypanej szafranem, krew niewinnych i nieszczęśliwych, im boleśniej cierpiał skazaniec pod kłami dzikich bestyj, tem lepiej bawił się wytworny, wykształcony rzymianin pospołu ze swoją świetną małżonką.

Wczoraj wielki i możny, padał dziś w błoto uliczne, gdy taka była wola pierwszego z brzegu denuncyanta. Dawał gardło, przecinał sobie posłusznie żyły, szedł bez oporu na wygnanie. Światu rozkazywał, a w domu, u siebie, lękał się własnych ścian, sufitów, żony, krewnych, służby, siebie nawet, swojego języka.

Co było chlubą jego przodków i zbudowało wielkość Rzymu, to lekceważył on, zniewieściały sybaryta, otoczony bibelotami, staroświeckiemi gratami, jak tandeciarz. Do legionów nie kwapił się, ze sławy, honoru i obowiązków obywatelskich drwił uczenie. Zwycięztwa nad buntującemi się ludami zawdzięczał późniejszy Rzym cezarów głównie cudzoziemcom.

A jeźli subtelna gadanina sofistów, jeźli czczy krytycyzm filozoficzny i rozpusta nie stłumiły w jego krwi doszczętnie iskry cnoty rzymskiej, dawnej dumy, odwagi i obowiązkości, wtedy rzucał te dary precz od siebie lub ukrywał je starannie.

Bo nie odważnych, utalentowanych, szlachetnych, uczciwych i rozumnych stawiają epoki upadku umysłowo-moralnego na świeczniku. Rozklad nie znosi wszelkiego zdrowia. Jego żywiołem ulubionym — zgnilizna.

Genialni wodzowie kończyli w wytwornym Rzymie śmiercią nakazaną, utalentowani autorowie przymierali głodem, prawi obywatele stronili od stolicy, ludzie skromni w potrzebach udawali rozpustników, a rozumni głupców. Niejednemu przedłużyła zręcznie grana podłość życie.

Rzym cezarów mordował Germaników, Agrypiny, Agrykolów, nienawidził Tacytów, głodził Juwenalisów, wypędzał Epiktetów, a zbierał składki na pomniki dla kome-

dyantów i przeróżnych innych wirtuozów, zasypując ich za życia złotem i wieńcami, i bogacił denuncyantów, dzierżawców podatków, ceł, przedsiębiorców robót publicznych, bandytów kupieckich, złodziejów i oszustów. Aktorowie: Roscyusz, Ezop, Apolinaris, obaj Pyladowie i w. in., zostawili spadkobiercom swoim po kilkadziesiąt milionów sestercyj, olbrzymie zaś fortuny spekulantów i wyzwoleńców (*opes libertinae*) weszły w przysłowie.

Eldoradem dla szumowin ludzkich był Rzym przecywilizowany, dla cnoty zaś i pracy macochą. Nawet lepsi z pomiędzy cezarów, jak Adryan, nie znosili szczerości, wynagradzając hojnie płaskie pochlebstwa.

— Poeta Mewius marznie dzień i noc w cienkiej, lichej sukni — skarży się Marcyalis — ale woźnica cyrkowy Incytatus stroi się w purpurę... Czemu ma się twój syn poświęcić? — radzi ten sam poeta Lupusowi. — Jeźli chce zarobić dużo pieniędzy, niech zostanie cytrzystą, flecistą, aktorem, szynkarzem, wywoływaczem publicznym lub czemś w tym rodzaju. *).

Ogólny upadek charakterów, osłabienie woli, cyniczny krytycyzm i pomieszanie wszystkich pojęć — utrata poczucia tego, co dobre, piękne, co godziwe i pożyteczne — oto ostateczny wynik przecywilizacyi.

— Bo gdy wstyd, sprawiedliwość i cnota przepadną (Lucyan), wówczas pozostaje tylko sama rozpusta, podobna do obeschłego dna bagna, z którego wyrastają szybko wszelkie rodzaje dzikich żądz, nie znoszących obok siebie nic zdrowego.

I żądz przewrotnych, powinien był Lucyan dodać.

Nie wystarczały znikczemniałemu rzymianinowi wykwintne biesiady z tancerkami syryjskiemi. On brał środ-

*) Martialis; X; 76; —V; 57.

ki na pozbycie się pokarmów i spożywał obiad po raz drugi, trzeci, niższy od zwierzęcia, które nie łaknie już, gdy się nażarło.

Jego zepsute podniebienie przestały drażnić najdroższe, najlepsze smakołyki. On łaknął przysmaków nadzwyczajnych, czegoś takiego, czego żołądek zdrowy nie znosi.

Gdy pił, to drżało przed nim otoczenie, nie puszczał bowiem amfory przed utratą przytomności. Trajan, stawiany przez senat wszystkim cezarom za wzór cnoty, monarcha wistocie sprawiedliwy i rozumny, zabronił wykonywać rozkazów, które wydawał w czasie uczty. Poświęcał on każdą wolną chwilę ohydnemu opilstwu.

Miłość naturalna nie zadawalniała rozkosznika rzymskiego. Niech się motłoch kocha po staroświecku. On, cywilizowany, oświecony arystokrata ludzkości, przemyśliwał nad sztucznemi podrażnieniami, „poprawiając naturę."

Bawiła go tylko potworność...

Gdyby Rzym był zostawił po sobie tyle studyów „psychologicznych," ile ich obecnie skażony geniusz Europy wydaje, dowiedzielibyśmy się, że i on cierpiał na choroby zwyrodnienia moralnego i fizycznego, rozpusta bowiem wydaje wszędzie i zawsze te same skutki. I on posiadał niewątpliwie znaczną ilość tabetyków, histeryków, neurasteników i waryatów.

Ale jego pomniki literackie, które przeszły do nas, nie odznaczają się subtelną analizą. Petroniusz Arbiter, Marcyalis, Juvenalis i in., rysowali grubo, rzucając zaledwo kontury płaskiego materyalizmu. Więcej pod tym względem uczą powieści i traktaty sofistyczne upadłej Grecyi.

Wiemy tylko, że jak dziś, tak bałamucił ludzi i wówczas zabobon w formie astrologii, magii i różnych innych czarów. Przesądnymi byli oświeceni, religii i idealnego światopoglądu pozbawieni rzymianie, w gusła wierzyli, dni feralnych i złowróżbnych znaków się lękali, kuglarzów egip-

skich drogo płacili, stolikami wirującemi się zabawiali. Nie stare baby i dzieci przerażała niepomyślna przepowiednia pierwszego z brzegu szarlatana, lecz mężów, wykształconych filozoficznie. Antinous przypłacił życiem mistycyzm Adryana.

Wiemy także, iż dekadenci rzymscy stracili smak nietylko do zdrowych pokarmów cielesnych, ale i duchowych.

Cesarz Adryan, należący do najwykształceńszych ludzi swojego czasu, przenosił Antymacha nad Homera, Enniusza nad Wirgiliusza, Celiusza nad Salustyusza. Forma zabiła treść, subtelność siłę, dziwaczność prawdę. Podobało się jedynie to, co błyszczało światłem próchna, co posiadało blask fosforu, jakby się współczesny dekadent wyraził.

Wolno, stopniowo zbliżała się cywilizacya grecko-rzymska do kresu swego zadania. Wciągnąwszy w koło swoje cały „świat,“ rozszerzywszy pojęcie obywatela, przywiązane pierwotnie tylko do „siedmiu pagórków,“ ośmieszywszy bogów Olimpu i obrzydziwszy materyalistyczny wykład życia, przygotowała grunt pod nową prawdę, która nauczyła znów ludzkość, znużoną ateizmem i zmysłowością, wierzyć i szanować posłannictwo człowieka.

Wonny kwiat chrześciaństwa, dalszy ciąg tradycyj aryjskich, wyrósł na ruinach cywilizacyi starożytnej.

II.

Rozkład cywilizacyi nowoczesnej.

Zulus lub Hotentot, przywieziony do któregokolwiek z większych miast współczesnej Europy, doznaje prawdopodobnie takiego samego wrażenia, jakie ogarniało starodawnego galla albo germanina, przybywającego do Rzymu cezarów: zdumiewa go na razie i olśniewa wszystko, na co tylko spojrzy.

W domu, w lasach i puszczach afrykańskich, mieszka barbarzyniec w lichych lepiankach, nie lepszych od naszych chlewów, a tu, w Londynie, Paryżu, Rzymie, Wiedniu, Berlinie, Warszawie, Petersburgu i t. d. wznoszą się przed jego dziewiczemi oczami niebotyczne kamienice, z których najuboższa i najniższa jest jeszcze wspanialsza i wyższa od jego świątyń i pałaców królewskich.

Szerokie ulice, wyłożone asfaltem, drzewem lub starannie wyrównanym brukiem, ułatwiają ruch ludziom i zwierzętom. Nad bezpieczeństwem przechodniów czuwa liczna policya; nocą rozjaśnia ciemności morze świateł gazowych i elektrycznych.

Z tysięcy okien sklepów spoglądają na Zulusa takie skarby, że za milionową część tego, co się wala za szybami, lekceważone przez ludzi cywilizowanych, kupiłby on u sie-

bie władzę nad całem plemieniem. Za zawartość jednej budy tandeciarskiej zostałby kacykiem.

Dokądkolwiek barbarzyniec spojrzy, zewsząd olśniewają jego naiwny wzrok bogactwa, o jakich jego fantazya nie miała wyobrażenia. Ludzie jeżdżą błyszczącemi powozami, chodzą w miękkich sukniach, mieszkają w wygodnych domach. Nawet służący europejski ubiera się wspanialej od możnowładcy „czarnego lądu,“ nawet robotnik je, pije, śpi lepiej, aniżeli książę pustyni.

A jak tu wszystko obliczone na wygodę mieszkańców!... Nie potrzebujesz się trudzić chodzeniem, gdyż nogi twoje zastąpią windy, dorożki, tramwaje. Jesteś głodny? — Obejrzyj się tylko, a otworzą się przed tobą drzwi restauracyi, cukierni. Zachce ci się pić? — Idź prosto przed siebie do szynku, piwiarni, winiarni. Masz interes do kogoś, od którego dzielą cię mil tysiące? — Telegraf zaniesie słowa twoje na krańce ziemi. Chcesz się z kimś szybko rozmówić? — Telefon połączy cię z nim niezwłocznie. Trawi cię niepokój o sprawy twojego gniazda rodzinnego? — Każda gazeta powie ci dokładnie, co się wczoraj stało za górami i morzami. Nudzisz się, pragniesz rozrywki? — Setki domów przeróżnej zabawy: kluby, teatry, opery, cyrki, balety i t. d. wrócą ci dobry humor. Łakniesz wrażeń silnych, niezwykłych? — I tych dostarczy ci bez miary każde większe miasto.

Plon całego świata znanego zwożą codziennie okręty i koleje żelazne do stolic europejskich, owoce trudu umysłowego i fizycznego całej ludzkości nadchodzą wszystkiemi drogami, aby nakarmić, przyodziać, zabawić, pouczyć warstwy posiadające chwili obecnej. A nietylko posiadające. Herbata, kawa, korzenie, bawełna, zioła lecznicze i wiele innych towarów zamorskich służą nawet najuboższym. Ze szkół publicznych i z bibliotek, niegdyś przystępnych tylko

dla bogaczów, korzystają dziś także dzieci „wydziedziczonych.“ Na gazetę i kolej żelazną stać i robotnika.

W przeciągu ostanich stu lat zrobił człowiek cywilizowany więcej dla swojej wygody, niż długi szereg pokoleń dawniejszych. Zaprzągłszy do wozów i maszyn parę i elektryczność, doszedł do takich rezultatów, że najmożniejszy pan rzymski pozazdrościłby łatwości używania przeciętnemu bankierowi naszych czasów. Geniusz ludzkości wysilał się przez cały wiek bieżący na to, aby zamienić ziemię na przyjemne i strojne mieszkanie.

Dzikiemu synowi krajów barbarzyńskich wydaje się prawdopodobnie każde większe miasto europejskie rajem, bogów siedliskiem, przeto dziwi się słusznie powszechnemu niezadowoleniu, jakie go otacza. Bo gdziekolwiek się zwróci, zewsząd dochodzą go tylko skargi i przekleństwa. Lamentuje poezya, rozpacza filozofia, szamoce się polityka.

Bogacz nudzi się wśród swoich dostatków, uczony i utalentowany czuje bolącą pustkę pod czaszką, zjadacz serc niewieścich męczy się romansem, sybaryta tęskni za pokarmem grubym, ubogi niecierpliwi się w warunkach trudnych, chory biuźni, nędzarz przeklina. Samobójstwa z różnych błahych powodów mnożą się z każdym miesiącem. Opowiadają gazety od czasu do czasu o studencikach, odbierających sobie życie dla złej cenzury. Dziewczęta wyrzucają się z okna na bruk, trują się zapałkami, topią się w rzekach, w przedwczesnej zawiedzione miłości.

Parne, duszne tchnienie pesymizmu wieje nad schyłkiem naszego wieku. Trawieni przykrym niepokojem, pożądamy ciągłych zmian, wrażeń, czegoś nowego, byle nie zostawać z sobą samymi. Piszemy, drukujemy i rozprawiamy tak dużo, jak gdybyśmy chcieli siebie przegadać, zagłuszyć, oszukać. Niedobrze nam, niewygodnie na tej ziemi wygodnej. Najnowsza poezya, zwana dekadencką i symbo-

liczną, rzuca się, jak szaleniec lub epileptyk, bryzgając na około pianą bluźnierstwa.

Lament ten rozpoczął się już w „kołysce“ XIX-go stulecia, zaraz po „wielkiej“ rewolucyi francuskiej. Na samym progu naszego wieku stoi trzech olbrzymich puszczyków, którzy zapełnili świat cywilizowany skargą złowróżbną. W Anglii miotał się przeciw połowiczności człowieka Byron, we Włoszech przeklinał Leopardi jego niemoc, w Niemczech zrzędził Schopenhauer. Głos pierwszych dwóch potentatów ducha zatoczył odrazu koła szerokie, wywołując wszędzie dźwięki pokrewne. Trzeciego przeczenie okrutne czekało na chwilę odpowiednią.

Ledwo zamilkł Byron, a już odezwali się wokoło pesymiści inni. Zawodził Musset, drwił Heine.

Śladami mistrzów powlókł się cały legion Jeremiaszów niższego rzędu. Od połowy bieżącego stulecia bluźnią, przeklinają, szlochają prawie wszyscy poeci i powieściopisarze. Równolegle z postępem nauk przyrodniczych i technicznych, w miarę przybywania środków, ułatwiających walkę o byt, rośnie pesymizm, konający obecnie w kociej muzyce dekadentyzmu. Przez chwilę tylko, przez lat kilka, kilkanaście może dźwignął upadłego ducha XIX-go stulecia młody pozytywizm, obałamuciwszy „zrozpaczonych“ wielkiemi obietnicami. Ale złudzenie to, rozpłynąwszy się szybko, przyczyniło się jeszcze do pomnożenia ogólnego zamętu.

Zkądże ten płacz, te drgania konwulsyjne, to niezadowolenie z życia i strach przed śmiercią? Wszystko przecież, co się dziś dzieje, powinno nas usposobić dobrze do wędrówki doczesnej. Wszakże nie było człowiekowi cywilizowanemu jeszcze nigdy tak wygodnie na ziemi, jak w chwili obecnej.

I Rzym cezarów olśniewał barbarzyńców świetnością, bogactwem, wykwintem, a jednak...

Jak upadającemu Rzymowi, braknie i naszym czasom przedewszystkiem słońca religii, której ciepłe promienie przenikają aż do najskrytszych tajników serca ludzkiego. Braknie nam tej najlepszej pocieszycielki, tej mistrzyni czystego życia i pogodnej śmierci.

Wprawdzie wznoszą się na wszystkich ulicach większych miast kościoły, na wszystkich drogach rozstajnych przypominają krzyże Boga, ale w tych kościołach nie modli się kwiat inteligencyi współczesnej, przed tymi krzyżami nie korzy się mądrość świecka. Kto chce uchodzić za rozumnego czy uczonego, za „tęgą głowę," ten stara się wznieść jak najwyżej ponad „przesądy gminu," wstydząc się tęsknot serca, jeźli je posiada, jak hańbiącej słabości charakteru. Znakomita większość warstwy oświeconej chwili bieżącej wyznaje czynny lub bierny ateizm. Służba ołtarza pełni się głównie dla „ubogich duchem," dla nieświadomych lub „niezdolnych ocenić znaczenia niezawisłości rozumu."

A i pomiędzy „ubogimi duchem" znajduje się tylko mały procet, który czuje w sobie ciepło wiary żywej. Jedni modlą się w świątyniach z nawyknienia, inni czynią to ze względu na dzieci i służbę, jeszcze inni ulegają tyranowi „wypada." Proste lenistwo duchowe bywa w wielu razach źródłem zdawkowej pobożności.

Nie odrazu zachwiała się religia pod obuchem filozofii i wiedzy. Na obecną obojętność w rzeczach wiary złożyły się wieki roboty krytycznej.

Pierwszy cios dawnej „naiwności" zadał Luter. Po nim przyszli filozofowie Anglii, dalej Wolter z encyklopedystami; reszty dokonali materyaliści i pozytywiści XIX-go stulecia.

Systematycznie, wytrwale obniżał rozum, mieniący się wyższym od intuicyi, wyobraźni i przeczucia, znaczenie religii. Zacząwszy od Kościoła katolickiego, przeszedł do innych wyznań chrześciańskich, aż skończył na wierze wogó-

le. Zrazu ostrożny, zachowują cy wszystkie względy, należące się powszechnie uznanej potędze, krytycyzm ośmielał się stopniowo, stawał się coraz pewniejszym siebie, coraz zuchwalszym. Gdy uczuł się dostatecznie silnym, przy końcu ubiegłego stulecia, zrzucił maskę i odsłonił oblicze szydercy. Śmiech Woltera zjednał ateizmowi więcej prozelitów, niż cała poważna mądrość filozofów dwóch stuleci, żaden bowiem człowiek oświecony nie chce być... śmiesznym.

Materyalizm i pozytywizm XIX-go wieku nie potrzebowały się już zajmować taką „błahostką," jak uczucie religijne. Zastawszy grunt doskonale przygotowany pod siew „niezawisły," usiłowały człowieka oderwać zupełnie od jego tęsknot i przeczuć, ograniczając go na obserwacyi i eksperymencie. Wiedza miała zastąpić ludzkości wiarę i poezyę, miała być jej jedyną prawodawczynią i pocieszycielką.

Ostatnim dwom pokoleniom nie mówiono w szkołach świeckich wcale o świętości religii. Uczono je wszystkich mądrości tej ziemi, wpajano w nie cześć dla potęgi rozumu, kazano im się zachwycać postępami nauki, napawano je pychą i pogardą dla rzeczy, zwanych nadprzyrodzonemi. W skład programatów gimnazyalnych wchodziła wprawdzie religia, ale wykład obowiązków śmiertelnika względem Boga traktowano z taką samą rzemieślniczą obojętnością, jak każdy inny przedmiot drugorzędny. Były to zwykłe lekcye, z których należy zdać sprawę przy egzaminach.

Kto z nas przyniósł do szkoły resztki wrodzonych przeczuć lub owoce wychowania domowego, ten tracił rychło, co było wonią jego młodości. Piętnastoletni mędrzec, nie chcąc się okazać śmiesznym, naiwnym, wobec o rok starszego filozofa, udawał dopótąd niezawisłego myśliciela, dopóki nie wmówił w siebie ateizmu, wiara zaś raz utracona, czy świadomie, wskutek studyów samodzielnych, czy też biernie, przez naśladownictwo, wraca dopiero w wieku pó-

żniejszym po długoletnich, przykrych doświadczeniach życia.

Wrócili do uczuć religijnych: Kepler, Bossuet, Pascal, Fénelon, Descartes (Kartezyusz), Newton, Leibnitz, Euler: tęsknili za niemi przed śmiercią głośni mędrcy XVIII-go w. Boulanger, Condillac, Montesquieu, Fontenelle, Buffon; modlili się gorąco w chwilach ciężkich wszyscy wielcy bohaterowie i prorocy ludzkości, wszyscy natchnieni, szlachetni, poświęcający się za cudze dobro, ale o tem nie wie kilkonastoletni filozof, a jeśli słyszał, to drwi z „tych zacofańców," wierząc, iż posiada od nich „głowę mocniejszą."

Lekceważenie rzeczy nadprzyrodzonych, a niezachwiana niczem ufność we wszechmoc rozumu, była karmią naszej pierwszej młodości. Całe nasze otoczenie — szkoła, wiedza, poezya, belletrystyka, prasa, towarzystwo kolegów, rodzice nawet dość często, wszystko, co działa na wrażliwy umysł chłopca, starało się nas odciągnąć jak najdalej od religii, wykreślonej przez niezawisły rozum z szeregu potęg tej ziemi.

Skarżył się już Lamartine w r. 1840-tym na szkodliwość nowoczesnego wychowania. „Na podobieństwo dzieci barbarzyńców — pisał słynny poeta — zanurzanych zaraz po urodzeniu naprzemian w gorącą i lodowatą wodę dla znieczulenia skóry na wpływy powietrza, przerzuca się obecnie dziecko z kolei z wiary do niewiary. Wychodzi chłopiec z domu ojca, może wierzącego, a może sceptyka. Widział, jak matka potwierdzała to, czemu ojciec przeczył. Wynika z tego, że powinienby mieć dwie dusze, a tymczasem posiada on tylko jedną. Tę duszę ciągną i szarpią w różne strony. W główce dziecka powstaje zamieszanie i nieład. Część jego myśli pozostaje przy wierze, część inna przy rozumie. Chłopiec dziwi się tym sprzecznościom; zaczyna się domyślać, że grają przed nim wielką komedyę, że społeczeństwo nie wierzy w nic z tego, czego naucza, że ma dwie

wiary i dwie moralności: jedną wiarę i jednego Boga dla dzieci, drugie dla wyrostków, inne może jeszcze dla ludzi dojrzałych. Myśli te przygniatają go. Jego wiara gaśnie, rozum bez gorliwości ostyga. Dusza robi się oschłą, a zapał przechodzi w obojętność lub zniechęcenie."

Jaskrawiej od Lamartine'a odmalował Musset skutki wychowania nowoczesnego.

— Nie miałem jeszcze lat szesnastu — opowiada serdeczny pieśniarz — gdy już w nic nie wierzyłem. Ani dzieckiem będąc, ani w szkołach, do kościoła nie chodziłem. Moja religia, jeśli posiadałem jaką, była bez obrządku i symbolu wiary. Wierzyłem tylko w jakiegoś Boga nieokreślonego, bez kultu, bez objawienia. Od lat najwcześniejszych byłem zatruty wszystkiemi pismami XVIII-go w. które wlały we mnie bardzo wcześnie, jad bezbożności. Pycha ludzka, ten bożek egoistów, zamykała mi usta przed modlitwą, a wylękła dusza uspokajała się nadzieją nicości. A był to stan ogólny moich rówieśników. Jak ten żołnierz na zapytanie, w kogo wierzy, odpowiedział: „w siebie samego" — młodzież miała gotową odpowiedź „w nic zgoła."

— Któż ośmieli się opowiedzieć, co działo się naówczas w szkołach. Ludzie wątpili o wszyskiem, młodzież, przeczyła wszystkiemu. Serca powiędły, jak kwiaty zwarzone. Piętnastoletnie dzieci prowadziły w kwitnących zaroślach rozmowy, zdolne wstrząsnąć zgrozą nieruchome gaje Wersalu. Komunia Chrystusowa, hostya, ten wieczny symbol niebieskiej miłości, służyła za pieczątki do listów. Dzieci wypluwały Chleb Boży. Szczęśliwi, którzy w niebo patrząc, przechodzili przez przepaście... *)

---

*) Cytaty z Lamartine'a i Musset'a zaczerpnąłem nie z oryginału, lecz z dzieła ks. bisk. Bougaud p. t. „Chrystyanizm i czasy obecne."

(Przyp. Autora).

Zrozpaczony romantyk zazdrości tym, którzy „patrząc w niebo, omijali przepaście," za jego bowiem czasów zachowywali dorośli wobec dzieci jeszcze jakieś względy.

Z nami z wychowańcami mądrości pozytywnej, z ostatniem, dziś dojrzałem pokoleniem, nie robiono sobie już wcale ceremonii. Do nas mówiono wprost ze wszystkich katedr uniwersyteckich: nie ma Boga i duszy, wolnej woli i odpowiedzialności osobistej. Nas uczyli wielcy, przez cały świat oświecony uznani mędrcy, że Bóg jest tworem fantazyi ludzkiej, a cnota i występek powstają tak samo, jak cukier i kwas siarczany. Nam tłómaczono, iż namiętności tkwią w naturze, wszystko zaś, co z tej wszechmatki pochodzi, jest dobre. W moralności kazano nam szukać roboty instynktów, w sumieniu prostej, rozkładowi podleg łej maszyny. Nam nie pozwolono się nawet zajmować takiemi „przesądami gminu," jak religia i uczucie religijne, podbudzając naszą młodą pychę takiemi przechwałkami, jak owo pytanie Renana: któż wie, czy wszystko wiedząca biologia nie da nam życia wiekuistego? Jakże wobec takich obietnic zaprzątać sobie głowę modlitwą, wiarą, cnotą i t. p. świadectwami niedołęztwa ludzkiego...

Jak rzymianie pierwszego i drugiego stulecia ery chrześciańskiej wzięli po Grecyi smutną spuściznę szydertwa i przeczenia, tak powitały nas na progu życia owoce krytycyzmu trzech wieków. Długi szereg pokoleń pracował na to, aby z naszych serc wykorzenić nietylko religię, ale wprost zdolność wierzenia wogóle.

Wyznaniem, rozpowszechnionem obecnie najwięcej wśród warstw oświeconych, jest bezwyznaniowość, jawna albo ukryta, czynna lub obojętna. „Religii" tej hołduje prawie cała przeciętna inteligencya, nie troszcząca się zupełnie o sprawy pozagrobowe, dopóki jej... służą siły wieku dojrzałego i sprzyjają warunki zewnętrzne.

Bezwyznaniowość jeszcze lat temu kilkadziesiąt przy-

wilej tylko oświeconych, rozpływa się wolno po ciele społecznem, jak oliwa po wodzie. Od ojców uczą się lekceważenia religii synowie, od braci siostry, od mężów żony, od chlebodawców robotnicy. Zdawkowy ateizm uchodzi pomiędzy młodzieżą męzką i żeńską za „tężyznę,“ za świadectwo siły, dla wszelkich zaś niezadowolonych staje się dogmatem politycznym. Walne zebranie socyalistów, zgromadzonych w Londynie w r. 1869, postawiło na czele swojego programatu paragraf następujący: „Związek ogłasza się bezwyznaniowym; żąda on zniesienia wyznań i zastąpienia wiary przez naukę, a sprawiedliwości Boskiej przez sprawiedliwość ludzką; zniesienia małżeństwa w znaczeniu instytucyi politycznej, religijnej, prawnej, cywilnej.“

Więc nietylko warstwy oświecone, przygotowane przez staranniejsze wychowanie domowe i przez szkołę do życia w społeczeństwie, wyrzekają się pociechy religii. Płaski racyonalizm ogarnął już także nieświadomych i maluczkich.

Nie wszędzie postawiono bezreligijności ołtarze publiczne. Anglia i Niemcy, mimo Darwinów, Spencerów, Schopenhauerów, Hartmanów, Vogt'ów i innych mędrców niezawisłych, nie chełpią się bezwynaniowością. I Ameryka północna, chociaż kocha *bissnes* przez cały tydzień ponad wszystko, modli się w niedzielę i święta. Rasa germańska wogóle zachowała w charakterze swoim dużo tej powagi i tej czci dla rzeczy świętych, którą już Tacyt w niej dostrzegł i uszanował.

Robocie krytycznej ostatnich czasów przodowała Francya, przypominająca w bieżącem stuleciu Grecyę, ale nie tę świetną, natchnioną Helladę Peryklesa, lecz zwyrodnioną dekadentkę, pieszczoną, a mimo to wzgardzoną przez rzymskich cezarów. Jedynym bluźniercą w poezyi niemieckiej był Heine, Francya zaś wydała cały szereg własnych Lucyanów, od Woltera począwszy, skończywszy na Baudelaire'rze i Richepin'ie. Od niej, od Francyi, którą na-

śladujemy z przyjemnością, uczymy się my, słowianie, płytkiego ateizmu, wierząc, że lekceważenie religii należy do głównych cech „mocnej głowy.“ Chcemy uchodzić koniecznie za *esprits forts*, za „francuzów północy.“ Jedyna Francya postawiła na czele machiny rządowej jawnych bezwyznaniowców, zaciekłych wrogów religii, materyalistów teoretycznych i praktycznych. Wolter spogląda z zadowoleniem z innych światów na dzieło swojego śmiechu. Stało się, o czem marzył ten szyderca z głową starego, brzydkiego orangutanga.

Krytycyzm nowoczesny doprowadził obecnie ludzkość cywilizowaną pod względem religijnym do tej samej mety, na której stanęła Grecya po Cheronei i Tebach, a Rzym za Antoninów. Większość inteligencyi wszystkich narodów nie czuje w zdrowiu i dobrobycie potrzeby modlitwy, zaś „ubodzy duchem“ zaczynają tracić cześć dla symbolów wiary. Spotyka się już i po wsiach chłopów, nie uchylających czapki przed krzyżem, a nie każdy robotnik miejski zachowuje przepisy wyznania, do którego należy.

Z chwilą, gdy religia przestaje być natchnieniem człowieka, źródłem jego myśli, uczuć i marzeń, wysuwa się materyalizm, teoretyczny i praktyczny, na sam przód sceny dziejowej.

Człowiek, pozbawiony pociechy religii, obiecującej za każdą dobroć i poniewierkę wynagrodzenie, zwraca całą swoją uwagę na ziemię, starając się na niej jak najwygodniej urządzić.

Należy przyznać materyalizmowi XIX-go stulecia, że nie próżnował. Pobudziwszy do większej ruchliwości nauki ścisłe, rozszerzył znakomicie granice znajomości praw natury i wynalazł mnóstwo środków, ułatwiających walkę o byt. Zająwszy się pilnie socyologią, szukał bez wytchnienia nowych form społecznych, któreby dały przeciętnej jednostce największą sumę przyjemności. Zmiarkowawszy

w końcu, iż natura ludzka nie może się obyć bez hamulców, bez wskazówek dodatnich, zbudował nawet własną etykę, która miała zastąpić dawne nakazania kategoryczne. Całą subtelność sofistyki i kazuistyki wyczerpał materyalizm, występujący pod różnemi nazwami (pozytywizm, ewolucyonizm i t. d.), aby ocalić z ogólnego pogromu szlachetność człowieka. Tak zachęcał niegdyś i Epikur uczniów swoich do dobroci i skromnego życia, tak łudzili się wszyscy doktrynerzy niezawiśli.

Bo teoretycy filozoficzni i uczeni-specyaliści mają zwykle bardzo słabe wyobrażenie o prawdziwej naturze człowieka. Zasklepieni w kółku swoich przesłanek i wniosków, jak pająk we własnej przędzy, odcięci od życia praktycznego, oddalają się z czasem zupełnie od rzeczywistości. Nie ten świat widzą, który istnieje, lecz ten, któremu oni istnieć każą. Systemat, utopia lub specyalność naukowa przesłaniają im życie.

Nie wiedzą lub wiedzieć nie chcą marzyciele materyalistyczni, że głównym bodźcem postępowania ludzkiego jest egoizm, chowający się wstydliwie za różne sztuczne parawany. Tylko tak wielka siła, jak religia, lub jakiś niezwykły zapał, potrafią okiełznać brutalnego samoluba, panującego w każdej jednostce.

Ten egoizm trzeba trzymać ciągle na łańcuchu, jak złośliwego psa, i straszyć go i karać, gdy usiłuje rozerwać pęta. Nie działa na niego rozumowanie, chociażby najlogiczniejsze, nie przekonywa go wzgląd na cudze szczęście. Egoizm drwi sobie z subtelnej kazuistyki niezawisłych moralistów, słowo bowiem jest od tego, aby je do każdej można nagiąć potrzeby.

Wszelkie teorye materyalistyczne mają to do siebie, jedne świadomie, inne przeciw woli, że spuszczają egoizm ludzki z łańcucha i pozwalają mu swobodnie hulać. Wyzwalając człowieka z pod nadzoru religii, czyli powagi Bo-

skiej wogóle, budzą w nim pychę. Zamykając jego istnienie w ramach wędrówki doczesnej, nakłaniają go do używania. Równając go ze zwierzęciem, nadają prawo obywatelstwa wszystkim jego nieszlachetnym instynktom.

Daremnie powołują się niezawiśli różnych odcieni na biografie głośnych epikurejczyków, racyonalistów, pozytywistów i t. d. Owych słynnych materyalistów, których ich własna doktryna nie zgorszyła, było dziesięciu, dwudziestu, chociażby stu, wielkie zaś masy przeciętnej inteligencyi, całe miliony, wysnuwają z teoryj eudajmonistycznych wnioski inne. Te miliony mówią sobie: być może, iż Epikurowi smakował suchy chleb, zakropiony wodą, lecz ja, który nie jestem filozofem, wolę tłustą murenę i starego falerna. Epikur wychwalał byt mierny, było mu bowiem w nim wygodnie, ale ja, który nie posiadam talentu wmówienia w siebie sztucznych rozkoszy, przenoszę majątek, środek do używania, nad ubóstwo. Mędrzec, potrzebujący spokoju do swoich medytacyj, usuwał się od zaszczytów obywatelskich, ale ja, którego czcze rezonowanie i t. zw. szukanie prawdy nic a nic nie zajmuje, chcę posiąść władzę, abym mógł robić, co mi się tylko podoba.

Zapominają marzyciele materyalistyczni, że sama nauka jako nauka zapełnia życie tylko uczonym z zawodu, stanowiąc dla przeciętnej inteligencyi po za latami szkolnemi zaledwo przelotną rozrywkę. Każdy bogacz rzymski trzymał sobie dla towarzystwa jakiegoś greckiego filozofa, co mu wcale nie przeszkadzało zwracać między jedną dysputą o umiarkowaniu a drugą, spożyty obiad, aby było miejsce dla nowych pokarmów.

Przeciętny oświecony lub półoświecony nie ma ani czasu, ani ochoty, ani zdolności do zgłębienia jakiejś teoryi. Zwykle bierze on z niej to, co odpowiada najlepiej jego upodobaniom, co tłómaczy i uświęca jego pożądania, nie troszcząc się bynajmniej o całość doktryny.

Materyalizm nowoczesny powiedział ludziom: nie obawiaj się Boga i religii, Bóg bowiem i religia są wytworem naiwnej wyobraźni. Nie wierz w duszę, w życie pozagrobowe, w moralność wrodzoną, czy objawioną i t. p. mrzonki. Niech cię tak zwane sumienie nie straszy, a namiętności nie gorszą. Sumienia w rozumieniu idealistów nie było nigdy, namiętności zaś są rzeczą naturalną, więc dobrą. Ufaj tylko sobie, rozumowi swojemu, i staraj się być szczęśliwym, o ile to możliwe.

Wyborna nauka! zawołał egoizm człowieka. Ponieważ wszystko to, co krępowało moją niesforność, okazało się kłamstwem, przeto mogę sobie teraz pozwolić. Przykuty do ziemi, będę się starał wyzyskać jej przyjemności; pouczony, że w walce o byt zwycięża zawsze mocniejszy, sprytniejszy, bezwzględniejszy, będę usuwał z drogi wszystkich słabszych i głupszych. Wprawdzie zalecają mistrzowie moi jakiś altruizm ale dysputują przytem tak mądrze, iż nic a nic ich gadaniny nie rozumiem. Wiem tylko, że wolno mi być sobą, że nie potrzebuję się już ukrywać ze swojemi gustami.

Począwszy od „wielkiej“ rewolucyi francuskiej, z krótką przerwą entuzyazmu napoleońskiego, był pospolity egoizm głównym bodźcem życia politycznego narodów, przodujących cywilizacyi nowoczesnej. Już owa rewolucya odsłoniła brutalność człowieka, uwolnionego z pod nadzoru „bojaźni Bożej.“ Podczas kiedy kilkuset zapaleńców wierzyło w jakieś posłannictwo ogólnoludzkie i mordowało dla idei, reszta, krocie, zdetronizowawszy urzędowo Boga, pamiętały jedynie o swoich własnych interesach. Najkrzykliwsi „patryoci,“ szewcy, stolarze, kowale, sklepikarze małych miast, rabowali, kradli, chwytali wszystko, co tylko ich chciwe ręce mogły dosięgnąć. A nietylko ograbiali „arytokratów,“ lecz oszukiwali samą rzeczpospolitą, handlując dobrami i asygnatami narodowemi. Trzy czwarte fortun

dzisiejszej burżoazyi francuskiej z tego pochodzi źródła. Dantony, Robespiery, St. Justy dali gardło pod nóż gilotyny, ale pomocnicy ich zarobili miliony na „wolności“ i zostawili dzieciom swoim wybitne miejsce w pierwszych szeregach społecznych.

A ci synowie i wnukowie patryotników z czasów rewolucyi, gdy po epopei napoleońskiej i po krótkich rządach reakcyi wrócili do panowania, potrafili oburzyć na siebie w przeciągu lat kilkudziesięciu nietylko wszystkie serca szlachetniejsze, ale nawet wielkie masy nieświadomych. Dziesięć wieków czekało rycerstwo na „wielką“ rewolucyę, na karę za winy popełnione, za zwyrodnienie fizyczne i moralne, burżoazya zaś zdołała wytworzyć anarchizm w przeciągu dwóch pokoleń. Bo wszystko, co robiła od chwili, kiedy jej bieg wypadków oddał moc prawodawczą, obracało się na niekorzyść ubogich. Nie poczęta z krwi, przelanej na polach bitew, jak szlachta, ani z bolesnego potu pracy, jak robotnik, lecz z kłamstwa i kradzieży, nie znała ona miłosierdzia dla maluczkich. Zawdzięczając stanowisko swoje pieniądzom, służyła gorliwie kapitałowi i jego dzieciom egoistycznym: handlowi, giełdzie, przemysłowi. Odwieczny bożek społeczeństw zmaterya lizowanych, Złoty Cielec, prezydował na zebraniach parlamentów europejskich. Jemu, niewidzialnemu władcy, bili pokłony znakomici mówcy liberalni, o jego względy ubiegali się prawodawcy. Historya krachu wiedeńskiego i budowy kanału panamskiego opowiada, jakie „ideały“ były natchnieniem oświeconych rządców Francyi, Austryi i Niemiec. Prości złodzieje, łapownicy i oszuści narzucali ludom swoją wolę.

Zdawało się nieprawym spadkobiercom rewolucyi francuskiej, że zbudowali dla siebie niezdobytą twierdzę, w której będą mogli bez przeszkody używać. Obawiając się, aby pamięć dawnych wierzeń i pojęć nie podkopała ich stanowiska, krzewili usilnie doktryny materyalistyczne za pośredni-

ctwem szkoły i prasy. Burząc przeszłość, wzmacniają teraźniejszość.

Tak mniemali.

Tymczasem... Jeszcze nowa kasta uprzywilejowana nie miała nawet czasu urządzić się wygodnie, kiedy się zewsząd odezwały szmery złowrogie. Te głosy, zrazu głuche, stłumione, rosły szybko, rozlegały się coraz szerzej, aż utworzyły krzyk potężny, przeciągły.

Oświeceni rządzcy dziwią się tym zachciankom gminu, nie chcąc zrozumieć, że je sami podbudzili. Spoglądając z bogatych pałaców na nędzę, której zabrali świadomie Boga, religię, pokorę, cierpliwość, oburzają się na niezadowolenie wydziedziczonych. Jakgdyby doktryna materyalistyczna działała inaczej na posiadających, a inaczej na ubogich.

Daremnie rozprawiają dziś oświeceni o konieczności odrodzenia poczucia obowiązku, o karności obywatelskiej i t. d. Nie ma obowiązku bez uznanej powszechnie powagi, nie ma zaś powagi prawdziwej bez religii. Ona jedna wpaja w człowieka szczerą uległość. Gilotyna, więzienia, sądy mogą nauczyć egoizm ludzki ostrożności, ale nie powstrzymają, nie stłumią jego pożądań. Zdawało się, że miecz Napoleona I-go uciął raz na zawsze łeb hydrze wojny domowej, a oto przyszła komuna z r. 1870. Wojska rządowe nie oszczędzały szaleńców paryzkich, a mimo to patrzymy dziś na taniec wśród bomb anarchizmu. Człowiek współczesny nie uspokoi się dopóty, dopóki nie przekona się stanowczo, że niezmącone szczęście nie jest przeznaczeniem śmiertelnika. Zanim jednak ta chwila nadejdzie, popłynie znów prawdopodobnie morze krwi, jak zwykle.

Cywilizacya materyalistyczna skona niebawem w jakimś wielkim wybuchu nieszlachetnych namiętności ludzkich, doszła już bowiem do punktu kulminacyjnego, do chorobliwego indywidualizmu. Bo nie inaczej należy nazwać ostatnie

przejawy anarchizmu. Tylko zwaryowany egoista wysadza w powietrze bez wyboru domy, restauracye, cukiernie, zabija ludzi nieznanych, niszczy sprzęty, które nic nie zawiniły. Tak przypatrywał się niegdyś spodlony motłoch rzymski obojętnie okrucieństwu wojen domowych, bawiąc się zniszczeniem. Żołnierzów przeciwnych stronnictw zachęcał do wzajemnego mordu, zwycięzcom klaskał, zwyciężonych zaś wyciągał z ukrycia i wydawał pod miecz nienawiści.

I na górze i na dole panuje dziś w ogniskach cywilizacyi nadmierny egoizm, naturalny skutek mądrości materyalistycznej. Spieszy się z wyzyskaniem rozkoszy tej ziemi, kto wierzy, że śmierć gasi jego istnienie na zawsze. Przekonany materyalista, któryby inaczej postępował, byłby nielogicznym.

Chciwość pieniędzy, która odgrywa, jako niezawodny środek do używania, we wszystkich epokach materyalistycznych rolę pierwszorzędną, reguluje całe postępowanie współczesnego człowieka. Oddziaływa ona bardzo silnie na wybór zawodu i na tworzenie ognisk rodzinnych.

Nam, którzy chowaliśmy się między r. 1850 a 1870-tym, czyli w chwili największego rozkwitu rządów rozumu, nie mówiono ani w domu, ani w szkole o szlachetności tego lub owego fachu, lecz tylko o jego wartości praktycznej. Zalecano nam adwokaturę, medycynę, inżynieryę, przemysł, handel jako rzemiosła, dające nadzieje zdobycia szybko majątku. Chłopców kilkunastoletnich niepokoiły powodzenia spekulantów, których szwargot handlarski przenikał mury szkolne. Wprawdzie powtarzali nam znudzeni monotonnem zajęciem profesorowie wzniosłe formułki zgasłych pokoleń, opowiadali nam o czynach bohaterskich Greków i Rzymian, komentowali z urzędu znakomitych poetów i prozaików starożytności, ale działo się to bez wiary i chęci pobudzenia do naśladownictwa. Życie zresztą powinno dopełniać szkołę, ono zaś drwiło na każdym kroku z marzeń

idealistów. Nasi mistrzowie pracowali ciężko na ubogi chleb powszedni, a pierwszy z brzegu nieuk, który, sprzykrzywszy sobie książki, rzucił się w wir handlu i przemysłu, opływał wkrótce w dostatki. Kantorowicze, podrzędni urzędnicy banków, dostawcy materyałów budowlanych, przedsiębiorcy, słowem wszelacy „praktyczni“ zbierali bogate plony, nauka zaś i prawość chodziły bez butów.

Więc nie wiedza dla wiedzy, nie praca rzetelna, nie trud i szlachetność prowadzą do królestwa złota. Kto chce użyć na ziemi, ten powinien się pozbyć przesądów przeszłości. Tak wnioskowaliśmy...

Dziewięć dziesiątych młodzieży, kończących szkoły po r. 1850-tym, poświęcało się zawodom praktycznym. Tylko niemożność, brak środków lub jakiś wrodzony talent, silniejszy zawsze od prądów danej chwili, pokonywały ducha czasu.

Rozumie się, że z wielkiej liczby powołanych, wybrał los tylko niewielu szczęśliwych lub sprytnych. Na stu lekarzów, adwokatów, inżynierów, kupców, przemysłowców, osiągnął zaledwo jeden to, o czem marzył, reszta zaś doznała bolesnego zawodu. Ztąd płacz i zgrzytanie zębów, ztąd skargi rozczarowania...

A kiedy przyszedł czas, w którym człowiek dojrzały czuje potrzebę założenia własnego ogniska, wówczas mówiono nam znów bardzo mało o świętości rodziny, opartej na przymiotach moralnych małżonków, ale za to bardzo dużo o konieczności baczenia na warunki materyalne. Nasłuchawszy się już w szkołach o okrucieństwie walki o byt i o straszliwych skutkach nędzy, nauczywszy się od najgłośniejszych mistrzów chwili pogardy dla ubóstwa, szukaliśmy u przyszłych żon nie cnót niewieścich, lecz pieniędzy.

Wszystkie czasy wydają pewien procent posagołowców, ale jedynie epoki rozkładu moralnego wynoszą pospolitą chciwość do godności cnoty. Tylko za cezarów rzym-

skich i przy końcu wieków średnich łączyło się w warstwach cywilizowanych tyle stadeł niedobranych, ile w chwili obecnej. Posag usuwa dziś wszystkie, zwykle bardzo silne różnice: rasy, narodowości, stanów, religii, wychowania, nawyknień — sprzęga arabczyka ze szkapą żydowską, potomka rycerzów z córką lichwiarza. Arystokracya francuska włoska, niemiecka i nasza miesza się bez wstydu z krwią bandytów finansowych, ubiega się o pieniądze, skradzione ubogim. Co kto ma do sprzedania — nazwisko, tytuł, zasługi przodków, stosunki, stanowisko, urodę — wszystko to wynosi się na targowisko małżeńskie i oddaje za złoto próżności parweniuszów. Niech się tylko gdzie pokaże jaka dziedziczka wczoraj zbogaconego giełdziarza, oszusta, szczęśliwego spekulanta lub przemysłowca, a jużci otacza ją rój paniczów, niosących przed sobą tarcze herbowe i kartki, wyrwane z ksiąg historycznych. Mój antenat zrobił to a to, sypiał jako wódz na gołej ziemi razem z żołnierzami, jadał z nimi chleb czarny i dzielił wszystkie trudy obozowe, przeto należą się mnie twoje krocie, abym mógł spoczywać na puchach, drażnić podniebienie arcydziełami sztuki kulinarnej i próżnować. A mój rozdawał fortunę swoją między ubogich, gardząc dobrami tej ziemi... Mój znów przepędził życie na posługach publicznych — był świętym kapłanem — znakomitym autorem — szlachetnym obywatelem i t. d. Przelany pot, krew, serdeczny ból, zapał, natchnienie przodków zamieniają zwyrodnieni potomkowie na pieniądze, na których lśnią świeże łzy wyzyskanych i ograbionych. Trzech książąt: Monaco, Radziwiłł i Bonaparte, żyją z dochodów rulety w Monte-Carlo, owianej klątwą samobójców. Tysiące hrabiów, margrabiów, baronów i szlachciców bez tytułu wystawiły w Europie swoje pałace na ruinach drobnych fortun, wciągniętych w zasadzkę przez podłość spekulantów.

A kto nie ma do sprzedania zwietrzałych pergaminów

i kartek z ksiąg historycznych, ten stara się zdobyć za pomocą sprytu i nieuczciwości to, co uważa za konieczne do szczęścia. Zwykła przebiegłość handlarska odgrywa dziś przy zawieraniu związków małżeńskich rolę bardzo dużą. Najtłustsze posagi wyławiają najprzewrotniejsi. Kto w końcu nie posiada natury chytrej, ten wyrzeka się zgoła przyjemności własnego ogniska, przenosząc starokawalerstwo nad przykre dla ubogiego obowiązki rodzinne.

Najwyraźniej zarysowała się chciwość pieniędzy w XIX stuleciu w handlu i przemyśle. Kupiectwo, z natury swojej dalekie od uczuć i pojęć wytwornych, od subtelnej uczciwości i honoru, bo polegające na zasadzie: najtaniej kupić a najdrożej sprzedać, przeraziło świat cywilizowany bezbrzeżnem samolubstwem. Uwolnione z pod grozy kodeksu karnego, pieszczone przez prawodawstwo liberalne, pokryło w krótkim czasie Europę ruinami zbankrutowanych przedsiębiorstw, spółek i domów komisowych. Poczuwszy się wolnem, kłamało, oszukiwało, kradło na prawo i na lewo. Lepszym był ten, kto posiadał mniej sumienia, a genialnym, kto potrafił zręczniej łatwowiernych wyzyskać.

Spekulanci, wyłudziwszy za pomocą obietnic niezwykłych zarobków, wszystkie oszczędności wielkich i małych kapitalistów, dali akcyonaryuszom szczególnego rodzaju widowisko. Oto zaczęli się sami nawzajem okłamywać i oszukiwać, stawiać sobie pułapki. Nazywało się to w żargonie giełdy, że: duże ryby mają apetyt na drobne. Duże szczupaki połknęły rzeczywiście drobne płotki. Nagle, gdy w danej chwili nie było już więcej pieniędzy ruchomych w kasach prywatnych, rozległ się w Europie trzask i łoskot. Zapadały się „solidne“ przedsiębiorstwa, jak domki z kart, sypały się w gruzy banki, banczki, kantory i kantorki wekslarskie. Na placu boju ostało się tylko kilkudziesięciu potentatów finansowych i miliony okradzionych i zawiedzionych akcyonaryuszów. Różne „krachy“ kupieckie drugiej poło-

wy bieżącego stulecia będą kiedyś jaskrawą ilustracyą oszalałej chciwości ludzkiej.

Nawet ten organ społeczeństw cywilizowanych, który powinien mieć czyste sumienie i czyste ręce, uległ powszechnemu zepsuciu. Prasa, z powołania swojego stróż i obrońca dobra publicznego, nauczyciel nieświadomych, poszła w Europie oświeconej w służbę nieszlachetnych namiętności i Złotego Cielca. Pominąwszy pisma naukowe, specyalne i literackie, pozostające tylko w luźnym związku z życiem praktycznem, i szczupłą ilość gazet, znanych z uczciwości, zachowuje się znakomita większość dziennikarstwa jak pospolita handlarka.

Organy stronnictw politycznych kłamią, naginają każdy wypadek do swoich celów, oczerniają świadomie przeciwników, szkodzą im rozmyślnie, nie szanują cudzej czci i cudzego spokoju. Gdyby ktoś wierzył na słowo artykułom dziennikarskim, pisanym podczas wyborów do parlamentu w Paryżu, Rzymie, Wiedniu lub Berlinie, nabrałby o wybitnych osobistościach Francyi, Włoch, Austryi i Niemiec bardzo ujemnego wyobrażenia. Prawie każdy z kandydatów, kimkolwiekby on był, kwalifikuje się w oświetleniu przeciwników do kryminału.

Prasa zaś informacyjna, najpoczytniejsza wszędzie, sprzedaje wszystko za pieniądze i schlebia prenumeratorom. Księgarz, aktor, śpiewak, bankier, przedsiębiorca, fabrykant, kupiec nie doczekają się wzmianki w tekście, jeżeli nie zapłacą dobrze. Kosztuje krytyka, pochwała, wiadomość o przyjeździe i odjeździe, kosztuje wszelka uprzejmość. Bezwzględna dla ministrów, jeżeli nie kupią jej łaski, prasa informacyjna kłania się prenumeratorom do samych stóp. Nie uczy ich, nie prowadzi, nie objaśnia sumiennie, lecz nasłuchuje pilnie z uniżonością kantorowicza, pytając o gusta szanownej publiczności. Chcesz materyalizmu? Służymy... Jesteś dziś w usposobieniu zachowawczem?... Wierzymy,

jak ty... Zachciewa ci się jutro radykalizmu? I my przekonaliśmy się lepiej... Obrzydł ci realizm, pragniesz mistycyzmu? Właśnie wirują znów stoliki i produkują się medya... Żądaj tylko wyraźnie, głośno, a znajdzie się w naszym sklepie każdy towar. Jesteśmy od tego, aby upodobania twoje zadowolnić...

Nasza prasa miała bardzo długo czyste ręce i czyste sumienie. Pomijając nieliczne wyjątki, wskazywane palcami, nie było między nami złej wiary, ani złej woli bez względu na cele stronnicze. Jeżeli w chwilach gorętszej polemiki ten i ów przekroczył dozwolone granice rozprawy publicznej, potrącając nieszlachetnie o tajemnice prywatne, żałował tego niezawodnie, gdy ochłonął. I dziś jeszcze nie płacą nam wydawcy, aktorzy i śpiewacy za recenzye, przedsiębiorcy i kupcy za reklamy: nie bierzemy kubanów. Jakiekolwiek się na to powody złożyły, dość, iż prawdą jest, że prasa warszawska stoi pod względem etycznym daleko wyżej od paryzkiej, wiedeńskiej i berlińskiej.

Dopiero od lat kilku, pięciu może, zaczyna się coś psuć i w naszym świecie dziennikarskim. Gromadka „najmłodszych," wtargnąwszy do prasy, nie odczuwa już takich skrupułów, jak my starsi, dla których przekonanie osobiste, takie lub inne, było prawem najwyższem. Wniósłszy do roboty publicznej apetyty zwykłego karyerowiczowstwa i tradycyje kupieckie, owi najmłodsi zaczynają naśladować informacyjną prasę Europy. O prenumeratorów im głównie idzie, nie o służbę obywatelską. Przeto nasłuchują uważnie, z której strony wiatr wieje, zawsze skłonni do uległości wobec przelotnych gustów „szanownej publiczności."

Ale tych najmłodszych jest jeszcze niewielu między nami, a i oni, chociaż pieniądz stanowi ich jedyne dążenie i marzenie, udają szczerych publicystów z obawy przed sądem opinii, nie sprzyjającej u nas tego rodzaju przedsiębiorstwom.

Pieniądz i wszędzie pieniądz...

Jak w Grecyi po Tebach i Cheronei, w Rzymie za cezarów, w miastach włoskich książąt-kupców, jak we Francyi ostatnich Ludwików, rozsiadł się w drugiej połowie bieżącego stulecia Złoty Cielec w całej Europie, przygniatając ciężarem swoim: cnotę, zasługę i dobroć, burząc ostatecznie, czego bezreligijność, materyalizm teoretyczny i nadmierny egoizm nie zdołały zniszczyć.. łamiąc charakter. Powolny sługa najniższych instynktów, dostarczyciel rozkoszy zmysłowych, wróg umiarkowania i uczciwości, tyran ubogich i słabych, chełpiący się, że kupi wszystko, sybaryta, sceptyk i cynik, zdemoralizował pieniądz do reszty współczesnego człowieka cywilizowanego, biorąc mu poczucie godności osobistej, na której ustalenie pracowały wieki.

A kobieta? Jakież stanowisko zajął ten najbarwniejszy kwiat żywego stworzenia, w walce „niezawisłości z przesądami?“ Trzymał-że się on zdala od buntu rozumu i od pożądań zmysłów, bronił-że czystości ogniska domowego, co było we wszystkich epokach jasnych jego przednim obowiązkiem i główną chlubą?

Kobieta XIX-go stulecia przypomniała sobie, że „poniżała się“ przez długi szereg wieków jako „poddanka mężczyzny“ i spodziewała się od wszechmocnego rozumu zupełnego równouprawnienia z płcią, zwaną brzydką. Usiłując przyspieszyć rozwój wypadków, wypowiedziała wojnę przeszłości, ograniczającej jej swobodę i domagała się głośno „pracy i nauki.“

Wprawdzie wyznaczyła natura kobiecie bardzo obszerne pole działalności, równie pożytecznej, jak zabiegi mężczyzny, ale nie o zajęciach: żony, matki, nauczycielki, gospodyni marzy emancypantka naszych czasów. Ją gniewa, iż obyczaj i prawo nie dopuszczały jej do posad: lekarzów, adwokatów, profesorów, inżynierów i t. d., i odebrały jej możność wpływania na bieg spraw publicznych. Więc

podniósłszy wielką wrzawę, szturmowała do zamkniętych dla niej bram wyższych zakładów naukowych, a kiedy zdobyła sobie kilka uniwersytetów, rzuciła się chciwie do wiedzy

Przez jakiś czas tryumfowała płeć piękna, wygrażając brzydkiej: teraz wam pokażę! Ale zapał ten trwał tylko krótko.

Bo oto okazało się, że nauka nie przychodzi tak łatwo, jak się kobiecie zdawało. Zabiera ona młodość, zdrowie, urodę, żąda nocy bezsennych, lat całych wielkiego wysiłku, głodu nieraz, poniewierki i różnych innych ofiar. Stanowczo przyjemniej zostać „poddanką“ męża.

A kiedy wyzwoliła ucznia, jaśnie oświecona pani nauka obchodzi się z nim, jak macocha. Wypędza lekarza, prawnika, filozofa w świat daleki i każe mu szukać między niegościnnymi ludźmi własnego kąta, nie dając mu na drogę najuboższej wyprawy. Chleb gorzki jedzą często wychowańcy uniwersytetów, chleb robotników, płaconych od sztuki. Patent z ukończonych studyów, to jeszcze nie posada, a tem mniej dobrobyt. Stanowczo wygodniej znosić nierówny humor jednego męża, niż nieszlachetność wielu chlebodawców.

A w końcu... Nawet najgorliwsza emancypantka nie przestaje być kobietą. Gdy ją ominie pierwszy szał buntu, wówczas odzywa się w niej serce niewieście — serce kochanki, żony, matki. Daremny był jej bój z mądrością natury. Miłości nie zastąpi jej żadna umiejętność.

Z owych kilku tysięcy kobiet europejskich i amerykańskich, które zajęły w ostatnich latach dwudziestu ławy uniwersyteckie, wytrwało do egzaminów zaledwie kilkaset (może nawet nie tyle). Z tych znów, co uzyskały patenty, zapomniały trzy czwarte przy ogniskach domowych rychło o marzeniach młodości. Z reszty zaś, z ilości tak szczupłej, że rozpłynęła się prawie bez śladu w większości męzkiej, z kilkudziesięciu doktorów medycyny, prawa, filozofii,

żyjących ze swojego rzemiosła, ma dotąd nauka bardzo mało pociechy. Nic o tem nie wiemy, aby się jaka kobieta odznaczyła na jakiemkolwiek polu wiedzy. Ruch emancypacyjny nie wydał ani jednego znakomitego filozofa, matematyka, chemika, botanika, prawnika, lekarza w spódnicy. I w polityce nie wyróżniła się żadna białogłowa, z taką bowiem śmieszną krzykaczką, jak Ludwika Michel, nie liczą się nawet jej radykalni przyjaciele.

Plon nieco obfitszy wydała działalność kobiet oświeconych w literaturze pięknej. Opanowawszy powieść i nowellę, zadrukowały one romansami kilka tysięcy ryz papieru. Głównie w Anglii i w Niemczech wyparły autorki autorów z felietonów czasopism. Ale i na tem polu nie przewyższyły talentów męzkich. Inicyatywy i reformy literackie nie od nich wyszły i wychodzą.

Niższość twórczości umysłowej nie przynosi kobiecie bynajmniej ujmy, głowa bowiem nie jest jej siłą przednią. Wzięła ona przy podziale darów, któremi Opatrzność wyposażyła człowieka, część lepszą, bo serce — źródło szczęścia i dobroci. Przeznaczeniem jej: dopełnić mężczyznę, utworzyć z nim razem całość doskonałą, dać mu to, czego jemu odmówiono... miękkość uczuć i wytworność obyczajów. Rzeczą mężczyzny: zbudować dom i utrzymać go, kobiety zaś: zamienić go na ciepłe, przyjemne gniazdo. Mąż myśli i pracuje, żona kocha i oszczędza.

Ale nie tak wierzą emancypantki. Odurzone obietnicami nauki niezawisłej, usiłują poprawić naturę. Najzacieklejsze z nich udają nienawiść do płci mocnej i pogardę dla cnót i tęsknot niewieścich. Zabrały się one z taką namiętnością do „roboty przyszłości," iż zdawało się, że wywrócą na nice dotychczasowy porządek społeczeństw cywilizowanych.

Z wielkiej jednak góry urodziła się drobna mysz. Jak po oświeconych rzymiankach z czasów cezarów, nie zostanie

prawdopodobnie i po naszych emancypantkach w nauce i sztuce nic takiego, co potomni będą zmuszeni uwzględnić. W każdym razie nie zrównoważą owoce dodatnie zmowy kobiet XIX-go stulecia jej skutków ujemnych.

Któż-bo wróci spokój duszy i serca owym tysiącom, może krociom dziewcząt, którym położenie materyalne i wypadki nie pozwoliły się przetrawić w ogniu prawidłowej nauki? Religia nie, usunięcie bowiem tego „przesądu“ należało do pierwszych paragrafów programatu postępowego; rodzina także nie, bo mężczyzna lęka się słusznie związku dozgonnego z pół-uczoną ateistką. Wykolejone, wyparte z granic naturalnego posłannictwa kobiety, oddane na łup pracy wyrobniczej, pomnażają one rosnący z dniem każdym zastęp starych panien, o tyle nieszczęśliwsze od dawniejszych, o ile posiadają więcej świadomości swojego położenia. Uboga samotność jest zawsze rzeczą przykrą, w wieku zaś późniejszym okrutną.

Któż nauczy obowiązków żony i matki owe mądre panny, zajmujące się przed zamążpójściem wszystkiem, oprócz właśnie tem, czego ognisko domowe od nich żąda. Wnoszą one mężom jako posag niefortunny zniszczone zdrowie, zwiędłe serce i głowę, wypełnioną strzępami bezpożytecznej erudycyi. Kobieta z lepszego towarzystwa, karmiąca swoje dziecko, należy dziś do wyjątków. Gospodarstwo męczy panie z inteligencyi, trudne warunki niecierpliwią je, nużą. Ale za to mnoży się typ dyletantki literackiej i naukowej, osmagany już przez Juwenalisa, z płodnością potomstwa abrahamowego. Nie wiadomo, gdzie się schronić przed sawantką salonową, której się zdaje, że olśniewa mężczyznę, gdy sypie na niego całe korce uczonej sieczki. Filozofia, historya, chemia, botanika, psychologia, literatura i t. d. lecą z takim szumem na głowę cierpliwego słuchacza, iż zostaje mu jako jedyna odpowiedź tylko uśmiech pobłażliwy.

Daremnieby zresztą przeczył lub objaśniał. Mądra dama wie wszystko najlepiej.

Nie sama tylko nieprzetrawiona nauka obrzydza płci słabej jej posłannictwo naturalne. Jak wytworną rzymiankę z pierwszych dwóch wieków po Chrystusie, psują i kobietę współczesną przedewszystkiem teatr i literatura nadobna.

Bo na cóż patrzą oczy niewieście w przybytkach Talii i Melpomeny od lat pięćdziesięciu mniej więcej? Zamiast niepospolitych charakterów, wielkich cierpień i szlachetnych rozpaczy tragedyi i dramatu epok z programatem dodatnim, widzą one zmysłowość w jej przejawach najrozmaitszych. Cudzołóztwo, wiarołomstwo, miłość zakazana oświetlona tragicznie i humorystycznie, jest stałym przedmiotem t. zw. sztuki mieszczańskiej. Autorowie bronią na scenie praw kobiety upadłej, tłómaczą kokotę, są gorliwymi rzecznikami rozwodu, a drwią z naiwnej uczciwości.

Dramat uczy płeć słabą buntu przeciw obowiązkom ogniska domowego, komedya przyzwyczaja jej ucho do podstępnego flirtu, farsa drażni jej zmysły dwuznacznikami i sytuacyami lubieżnemi.

Teatr drugiej połowy bieżącego stulecia przypomina zupełnie scenę grecko-rzymską z epoki upadku. Jak wówczas, świecą i dziś sale pustkami, gdy sobie jakiś dyrektor przypomni, że sztuka nie powinna być pospolitą bawicielką. Dramat w stylu szlachetnym może liczyć tylko wtedy na średnie powodzenie, gdy ukaże się w stroju błyskotliwej wystawy. Ale idyotyczna operetka lub tłusta krotochwila obiegają całą Europę, witane wszędzie rzęsistemi oklaskami. Słowo szlachetne, podniosłe, gorące nudzi publiczność przeciętną, łaknącą wrażeń łatwych i ordynaryjnych. Utwór bez brudu moralnego albo bez grubego śmiechu zajmuje jedynie galeryę, wyrostków i „ubogich duchem.“

A powieść, nowella?

Powieść i nowella, pozazdrościwszy laurów nauce, szturmowały z bezwzględnością badacza do serc niewieścich, burząc w nich ołtarz, wystawiony wstydliwości przez religię, poezyę i obyczaj. Wszystko, co ludzkość uczyniła, aby przykryć nagość swoją i złagodzić brutalność instynktów, materyalizm artystyczny usunął świadomie na stronę.

Szukając t. zw. prawdy, odtworzyła powieść naturalistyczna całą nędzę moralną i fizyczną człowieka. Jej miłość nie była tęsknotą płciową, uszlachetnioną przez cywilizacyę, lecz pospolitą chucią zwierzęcia. Jej namiętności inne nie uznawały nad sobą żadnego prawa, oprócz pierwotnego egoizmu. Jej dyalog wydobywał rozmyślnie na wierzch cuchnący osad języka, brud gwary podłości i, zbrodni.

Samców tylko i samice widziała kobieta w powieści drugiej połowy bieżącego stulecia, rozkiełznaną aż do obłędu zmysłowość. Autorowie francuscy nie oszczędzali uszu i oczu swoich czytelniczek. Mówili im i pokazywali wszystko, najchętniej zaś takie „dokumenty ludzkie,“ o których istnieniu kobieta uczciwa dopiero się od nich dowiadywała.

Z jakiejkolwiek strony spojrzy obserwator na chwilę obecną, wszędzie dostrzega jego oko cechy znamienne rozkładu. Krytycyzm filozoficzny, połączywszy się z materyalizmem teoretycznym, spłodził bezreligijność. Z braku wiary w pozagrobowe istnienie człowieka wylągł się materyalizm praktyczny, którego potomstwem były po wszystkie czasy: głód używania i chciwość pieniędzy. Z materyalizmu wcielonego wyszło jego odbicie: brutalna sztuka i literatura. Teatr mieszczański i powieść naturalistyczna starły z serca niewieściego wstydliwość, oswoiwszy je z występkiem.

Rysy powyższe, dopełniwszy się nawzajem, wytworzyły całość, nie przedstawiającą materyału do jasnego malowidła.

Gdy człowiekowi współczesnemu zabrano wszystko, co dawnym, „ciemnym“ pokoleniom przyświecało, co uczyło je znosić spokojnie nierówności życia i nie obawiać się grozy śmierci, co krępowało samolubstwo bogacza, a łagodziło żal ubogiego, wówczas zwrócił on całą uwagę swoją na uciechy tej ziemi. Chciwość złota, jako najskuteczniejszego pomocnika w pogoni za rozkoszami zmysłowemi, ogarnęła stopniowo wszystkie stery, od ministra francuskiego począwszy, a skończywszy na naszym chłopie, który rzucał dla „dostatków brazylijskich“ ukochaną ziemię i dobytek pieszczony. Ubóstwo było w XIX stuleciu kalectwem, nieszczęściem, a bogactwo najwyższem marzeniem. Dla pieniędzy poświęcał przeciętny karyerowicz polityczny honor i przekonanie; dla nich dopuszczał się finansista pospolitego oszustwa, sprzedawał się panicz nienawidzonej żonie, sprzeniewierzał się urzędnik instytucyi handlowej, kłamał dziennikarz, schlebiał nizkim upodobaniom motłochu literat i artysta, gorszył nieświadomych wydawca, mordował proletaryusz, oświecony i nieoświecony, oddawała się kobieta w niewolę wstrętnego męża. Mocniejszy położeniem, środkami, sprytem, starał się wyzyskać słabszego. Pracą, chociaż ją ciągle zalecano, pomiatał wczoraj na podłości dorobiony handlarz, uczciwość zaś zepchnięto do roli pocieszycielki głupich i głodnych. Powodzenie i złoto oddawano wyzyskiwaczom i dostarczycielom zabawy. Nie producentom klaskano, lecz pośrednikom. Owoce trudu rolnika i rzemieślnika zabiera dotąd kupiec, z potu autorów i kompozytorów korzystają głównie wydawcy i wirtuozi.

Rozumie się, że wszystkie czasy wydają pewien procent bezwzględnych samolubów, ale tylko w epokach rozkładu drwi egoizm ze szlachetnych zdobyczy cywilizacyi, zowiąc się zuchwale jedynym rozumnym bodźcem postępowania ludzkiego. W Grecyi Sofoklesa nie ośmieliłby się nikt posyłać osła przeciw murom obronnym miasta, objuczo-

nego złotem; w Rzymie, wychowanym przez matrony, kusił Cyneasz daremnie kobietę materyami purpurowemi i kosztownemi świecidełkami; rycerz chrześciański wojen krzyżowych składał życie bez namysłu na ołtarzu wiary i honoru. Jasne chwile dziejowe lekceważą zdrowie i mienie, korząc się bez szemrania przed obowiązkiem.

Przyszły historyk XIX stulecia, wpatrzywszy się w oblicze naszych czasów, w naukę i sztukę, w ich życie publiczne i prywatne, odnajdzie na tej smutnej twarzy wszystkie rysy charakterystyczne rozkładających się cywilizacyj.

Bo kiedy siły ludzkie i ustrój społeczny nie dorównały pragnieniom rozkiełznanego egoizmu, wówczas rozległ się lament pesymizmu. Jak się oświecony rzymianin z epoki cezarów nudził wśród wytwornego otoczenia, tak czuje się i cywilizowany europejczyk schyłku XIX-go stulecia nieszczęśliwym mimo wygód, nieznanych jego przodkom... mimo świetnych miast, wykwintnie urządzonych domów, fabryk, kolei żelaznych, telegrafów, telefonów, teatrów, gazet i t. d.

Zniechęcenie do życia wykwitło z nadmiernej żądzy użycia. Dekadentyzm teoretyczny i praktyczny zamknął ostatecznie robotę krytyczną trzech wieków.

III.

Dekadentyzm w literaturze francuskiej.
Karol Baudelaire.

W lipcu 1857-ym roku ukazał się na francuskim rynku księgarskim tom poezyi, który zwrócił na siebie uwagę nietylko krytyki i publiczności, ale i prokuratoryi. Jak niegdyś Berangera, chociaż z powodów innych, pociągnięto i Karola Baudelaire'a do odpowiedzialności sądowej za jego „Kwiaty zła“ (*Les fleurs du mal*). Trybunał skazał autora i wydawców (Poulet-Malassis i de Broise) na karę pieniężną i na usunięcie sześciu utworów, pomieszczonych w książce pod numerami: 20, 30, 39, 80, 81 i 87, a uznanych za „bezwstydne i niemoralne.“

Poeta, broniąc się przeciw zarzutowi rozmyślnej niemoralności, powoływał się na prawa sztuki dla sztuki, „nie uznającej ani zła, ani dobra.“ Było to jednak tłómaczenie nieszczere, czego dowodem jego list, napisany w dziewięć lat później (28 lutego 1866 r.) do notaryusza Ancelle'a, a zawierający między innemi zwrot następujący:

„Potrzeba-ż mówić i panu, który nie domyślałeś się tego tak samo, jak inni, że w tę księgę gwałtowną włożyłem całą moją myśl, całe serce, całą religię, całą nienawiść? Prawdą jest, iż twierdziłem wówczas wręcz przeciwnie, zaklinając się na wszystko, że „Kwiaty zła“ są dziełem czystej

sztuki, małpiarstwa, kuglarstwa artystycznego, ale kłamałem, jak szarlatan, wyrywający zęby.“

Więc nie zabawką sztukmistrza, jak Baudelaire chciał wmówić w swoich sędziów i krytyków były „Kwiaty zła,“ lecz wybuchem podmiotowym, odbiciem jego własnych poglądów, przekonań i gustów.

A dziwne poglądy, przekonania i gusta wyzierały z po za tych „kwiatów boleściwych,“ ofiarowanych Teofilowi Gautier'owi. Już poemat naczelny, otwierający całą wiązankę, nazwany przez Baudelaire'a „Przedmową“ (*Préface*; w późniejszych wydaniach *Au lecteur*), odsłania ponurą otchłań jakiejś okrutnej rozpaczy.

Głupota — grzechy — błędy — lubieżność i chciwość
Duch i ciało nam gryzą, niby ząb zatruty,
A my karmim te nasze rozkoszne wyrzuty
Tak jak żebracy karmią swych szat robaczywość.

*

Upór jest w naszych grzechach, strach jest w naszych żalach,
Za skruchę i pokutę płacim sobie drogo —
I wesoło znów kroczym naszą błotną drogą,
Wierząc, że zmyjem winy, w łez mizernych falach

*

A na poduszce grzechu szatan Trismegista
Nasz duch oczarowany kołysze powoli,
I tak trawi bogaty kruszec naszej woli
Truciznę swą ten stary, mądry alchemista.

*

Dyabeł to trzyma nici, co kierują nami!
Na rzeczy wstrętne patrzym sympatycznem okiem,
Co dzień do piekieł jednym zbliżamy się krokiem
Przez ciemność, która cuchnie i na wieki plami.

*

Jak żebraczy rozpustnik, co, gryząc, przyciska
Męczeńską pierś strudzonej starej nierządnicy,
Kradniem rozkosz przejściową, w mrokach tajemnicy,
Jak zeschłą pomarańczę, z której sok nie tryska.

*

Niby rój glist, co mrowiem gęstem się przewala,
W mózgu nam tłum demonów huczy z dzikim śmiechem;
A śmierć ku naszym płucom za każdym oddechem
Spływa z głuchemi skargi, jak podziemna fala

*

Jeśli gwałt i trucizna, ognie i sztylety
Dotąd swym żartobliwym haftem nie wyszyły
Kanwy naszych przeznaczeń banalnej, niemiłej,
To dlatego, że brak nam odwagi — niestety.

*

Ale pośród szakalów, śród panter i smoków,
Pośród małp i skorpionów, żmij i nietoperzy,
Śród tworów, których stado wyje, pełza, bieży,
W ohydnej menażeryi naszych grzesznych skoków —

*

Jest potwór — potworniejszy nad to bydląt plemię,
Nuda, co, chociaż krzykiem nie utrudza gardła,
Chętnieby całą ziemię na proch miękki starła,
Aby jednem ziewnięciem połknąć całą ziemię.

*

Łza mimowolna błyska w oczu jej pryzmacie,
Ona marzy szafoty, dymiąc swe haszysze,
Ty znasz tego potwora, co jak sen kołysze —
Hipokryto, słuchaczu, mój bliźni, mój bracie.

W ten sposób przemówił Baudelaire do czytelników na wstępie swoich „Kwiatów zła.“

Pesymizm w poezyi nie był obcym ludzkości cywilizowanej w początkach drugiej połowy XIX-go stulecia. Przyzwyczaili ją do niego: Byron, Leopardi, Musset i liczny zastęp płaczków niższego rzędu. Pominąwszy krótkotrwały zapał młodego romantyzmu, powtarzali rymotwórcy na wszystkie tony: nicość nicości i nicości nicość.

Ale na dnie tych lamentów nie było nienawiści do człowieka, pogardy dla jego nędzy. Płynął z nich żal serdeczny, czasem gwałtowny, bluźniercży, unoszący się w górę, do bram niebieskich, którym buntownicy wyrzucali niewy-

raźne przeznaczenie rodu prometeuszowego. Nie człowiek był winien temu, co się dzieje, lecz jego połowiczność.

Inaczej przedstawia się pesymizm w „Przedmowie“ Baudelaire'a. Tu zohydza człowieka człowiek, odmawiając mu wprost wszelkich lepszych popędów.

Jeśli gwałt i trucizna, ogniе i sztylety
Dotąd swym żartobliwym haftem nie wyszyły
Kanwy naszych przeznaczeń banalnej, niemiłej,
To dlatego, że brak nam odwagi — niestety!

Tylko naszemu tchórzostwu zawdzięczamy, że nie jesteśmy wszyscy, bez wyjątku, zbrodniarzami; tylko strach przed zemstą sprawiedliwości doczesnej powstrzymuje nas od: gwałtu i trucizny, od ognia i sztyletu.

A ów dziki pesymizm, „pragnący zetrzeć całą ziemię na miałki proch „aby ją jednem połknąć ziewnięciem,“ „marzący o szafotach,“ nie jest skutkiem chwilowego złego humoru, wraca bowiem ciągle u Baudelaire'a.

W „Podróży“ (*Voyage*) rozgląda się poeta po świecie i opowiada, co dostrzegł, przypatrując się życiu:

Ach, któż o najważniejszej rzeczy zapomina?
Bez szukania widzieliśmy wszędzie wokoło,
Gdzie tylko się unosi fatalna drabina,
Nieśmiertelnego grzechu postać niewesołą.

*

Kobieta, niewolnica, nędzna, dumna, głupia,
Co wielbi się bez śmiechu i kocha bez wstrętu;
Mąż jej, tyran zwierz, który chciwie żer swój skupia,
Niewolnik niewolnicy, i zdrój ścieków mętu.

*

I ludzkość gadatliwa, geniuszem pijana,
A skazana na wieczne błędy i szaleństwa,
Wołając w agonii swej do Boga-Pana:
O, mój bliźni, mój panie, rzucam ci przekleństwo!

W którąkolwiek stronę zwróciło się oko Baudelaire'a, wszędzie dostrzegało ono tylko: podłość, zdradę, obłudę, brud, zgniliznę.

> Dyabeł to trzyma nici, co kierują nami!
> Na rzeczy wstrętne patrzym sympatycznem okiem,
> Co dzień do piekieł jednym zbliżamy się krokiem
> Przez ciemność, która cuchnie i na wieki plami

Kto twierdzi inaczej, ten kłamie, jest hipokrytą. Nie ma na ziemi ani cnoty, ani szlachetnej boleści. Każde cierpienie człowieka wypływa z pobudek nikczemnych.

Jeszcze wyraźniej, niż w „Kwiatach zła," ujawniła się nienawiść Baudelaire'a do ludzi w „Drobnych poematach prozą" (*Petits poêmes en prose*), pomijanych zwykle przez krytykę. Jest tych poemacików czterdzieści dziewięć, a z każdego z nich tryska jad absolutnego pesymizmu.

Z tą niewiarą w wartość życia nie zgadzała się wcale zmysłowość, nie ukrywająca się ze swojemi chuciami. Publiczny oskarżyciel zwierzęcości ludzkiej, zanosił w „Kwiatach zła" gorącą modlitwę (*La prière d'un païen*) do lubieżności: „O, nie ostudzaj płomieni — błagał — ogrzej me serce wystygłe... rozkoszy, torturo dusz! Boska, wysłuchaj mej prośby i bądź mi zawsze królową."

Dla Baudelaire'a była kobieta tylko narzędziem do rozkoszy. O zalety jej serca, umysłu, charakteru nie pytał. Wystarczało mu, gdy wabiła pięknem ciała. „Cóż mnie to może obchodzić, czy jesteś rozumna? — wołał — Bądź tylko urodziwa" (*Madrigal triste*).

Od piękności nie żądał czystości i dobroci. „Czy zstępujesz z nieba albo-li z piekła, czy szatan cię zesłał lub Bóg, nie do mnie należy badać. Mnie dość, jeśli twoje oko, twój uśmiech, twoje stopy otworzą przedemną bramy Nieskończoności, którą kocham, a której nigdy nie znałem" (*Hymne à la beauté*).

Uczciwość jest, podług Beaudelaire'a, w miłości przeszkodą. „Przeklęty niech będzie na zawsze niepotrzebny marzyciel — uczył — który usiłował połączyć miłość z uczciwością.“

Dla gorzkich łez niewieścich nie znalazł twórca „Kwiatów zła“ ani jednego słowa serdecznego; przeciwnie, upajał się łkaniami, wstrząsającemi piersią zbolałą (*Madrigal triste*). Ale nad bezmyślnością kobiet upadłych umiał się litować: „O, dziewice, demony, potwory, męczennice, poszukiwaczki nieskończoności... biedne siostry... kocham was tyle, ile was żałuję“ (*Femmes damnées*).

Z pomiędzy pięciu zmysłów dawał pierwszeństwo powonieniu. Nie wzrok i dotyk budziły w nim żądze, lecz zawsze jakieś zapachy (*La chevelure*).

O, runo, spadające aż na kark i szyję!
Pukle! wonie sennością jakąś obciążone!
O, czary! dziś gdy zmierzch mą alkowę okryje,
By ożywić tłum wspomnień, co w tych puklach żyje,
Niemi, jak wonną chustką w powietrzu powionę.

*

Cały świat, tęskna Azya i wrząca Afryka,
Daleki, prawie zgasły, w niepamięci toni,
O lesie, wonny, w twoich głębiach się zamyka!
A jako inne duchy kołysze muzyka,
Mój, o miłości moja, pływa na twej woni.

*

Pójdę, gdzie krzew i człowiek, pełni życia soków,
Przeciągle piją rozkosz pod słońcem, co żarzy;
Sploty, jak fala nieście mię w ten sen uroków.
Morze hebanów, w tobie sen świetnych widoków,
Sen barw płomieni, masztów, żagli i żeglarzy.

*

Włosy krucze, bandero rozpiętych ciemności,
W was mam tamtych nieb drugich okrąg lazurowy,
Na waszym kędzierzawym puchu — dla mnie gości

Upajający zapach zmieszanych wonności:
Piżma, smoły, oliwy wyziew kokosowej.

*

Długo, bez końca, dłoń ma po twej ciężkiej grzywie
Będzie siać perły, zdobić szafirem, rubinem,
Byś zawsze głosu żądz mych słuchała życzliwie!
Czyś nie jest znów oazą, flaszą, z której chciwie
Ciągnę balsamy, wspomnień upajam się winem?

Nieznane najśmielszym buntownikom romantycznym bezbożne bluźnierstwo, przypominające okrutne drwiny Lucyana, dopełniło w „Kwiatach zła“ ich nienawistnego pesymizmu i chorej lubieżności. Trzy poematy, objęte wspólnym tytułem: *Révolte* (*Le reniement de Saint Pierre; Abel et Cain* i *Les litanies de Satan*) przeraziły bezwzględnością nawet przyjaciół Baudelaire'a. Odezwała się w nich złość upadłego aniola, wroga wszelkiej dobroci. Poeta potomstwu Kaina kazał się wedrzeć do nieba, do szatana zaś modlił się, jako do opiekuna ludzkości:

— O, ty, najrozumniejszy i najpiękniejszy z aniołów, Boże, zdradzony przez los i pozbawiony chwały — o, szatanie, zmiłuj się nad moją długą nędzą.

— O, książę wygnania, którego skrzywdzono i który, zdradzony, podnosisz się zawsze coraz silniejszy — o, szatanie, zmiłuj się nad moją długą nędzą.

— Ty, który wiesz wszystko, wielki królu rzeczy, kryjących się w podziemiach, życzliwy uzdrowicielu trosk ludzkich — o, szatanie, zmiłuj się nad moją długą nędzą.

— Ty, który wpajasz nawet w trędowatych i w przeklętych paryasów miłość do raju — o, szatanie, zmiłuj się nad moją długą nędzą...

— Podporo wygnańców, lampo wynalazców, spowiedniku wisielców i spiskowców — o, szatanie, zmiłuj się nad moją długą nędzą.

— Przybrany ojcze tych, których w swym czarnym

gniewie wypędził z raju doczesnego Bóg Ojciec — o, szatanie, zmiłuj się nad moją długą nędzą.

Na taką „litanię“ nie odważył się nawet Byron, nie grzeszący zbytkiem pokory. Odżyły w niej echa bluźnierców konającego Rzymu i gasnącego średniowiecza.

Zatrute kwiaty pesymizmu, lubieżności i bezbożności przeplatały w „Kwiatach zła“ cuchnące chwasty szczególnych, jak na poetę, upodobań. Baudelaire opiewał błotnistą jesień (*Brumes et pluies*), trupów jedzonych przez robaki (*Le mort joyeux*), morderców (*Le vin de l'assassin*), halucynacye, spleen, brzydkie choroby i rozkładające się ciała (*Une charogne*).

A ponad tą całą wrzawą, złożoną z drwin, cynizmów, klątw, bluźnierstw i brudów, unosiła się jakaś szczególna, niezrozumiała dla ludzi żywych, tęsknota za martwotą, za absolutnym spokojem, pozbawionym wszelkiego ruchu. Baudelaire podziwiał zewnętrzną obojętność sów (*Les hiboux*), które „uczą mędrca, iż powinien omijać ruch i wrzawę dnia białego.“ Piękność była dla niego „snem skamieniałym“ i nienawidził ruchu, co „mąci spokój linii“ (*La Beauté*).

O „wiecznym, niemym chłodzie ciszy“ marzył twórca „Kwiatów zła“ (*Rêve parisien*).

Nie oglądał wzrok człowieka,
Tak okropnych, dzikich scen,
Jakie dzisiaj mi zdaleka
W zachwyceniu jawił sen.

*

Czarodziejstwo w snach się roi!
Na mnie dziwny kaprys padł,
Żem z krainy wygnał swojej
Roślinności zmienny świat.

*

Malarz dumny swym talentem,
Odurzałem się też w bród,

Monotonnym elementem
Marmurów, kruszczów i wód.

*

Babel schodów, arkad krocie,
Nieskończony był to gmach,
W ciemnem lub matowem złocie,
Rój się kaskad iskrzył w łzach.

*

Katarakty tam ciążące,
Jak firanek szklanych zwój,
Na kruszczowych ścian tysiące
Płaszcz rzucały lśniący swój.

*

Miast grup drzewnych — kolumnady
Otoczyły jezior zrąb,
Gdzie olbrzymie się Najady,
Jak kobiety, patrzą w głąb.

*

Głaz różowy i zielony,
Okuł smugi sinych fal,
Które biegły przez miliony
Mil — ku krańcom świata — w dal!

*

Głazy jakieś niestworzone,
Nurt magiczny; — były to
Wielkie lustra — rozświetlone
Tem, co ich odbiło tło!

*

Obojętne i milczące
Te Gangesy — ze swych czar
Lały skarby wód drzemiące
W brylantowych bezdni jar.

*

Swych czarodziejstw budowniczy —
Przez tunel z klejnotów zórz,
Przeganiałem niewolniczy,
Okiełznany odmęt mórz.

*

Wszystkie barwy ogniem grały,
Nawet kir miał swą tęcz grę;

Żywioł płynny zlał się cały
W kryształowy promień — skrę.
*
Nigdzie słońca, gwiazd, miesiąca,
Nawet tam, gdzie nieba skłon,
Świat mój cudny nie miał słońca,
Własnym ogniem gorzał on.
*
Nad tym światem cudów w ruchu
Zaległ — (nowy, straszny cud!
Wzrok panował Nie dla słuchu).
Wieczny niemy ciszy chłód. *)

Rozumie się, że taka poezya musiała zadziwić współczesnych Baudelaire'a, nic bowiem podobnego nie czytano dotąd w Europie cywilizowanej. Żaden „wieszcz“ nie opiewał ścierwa, trupów, nierządnic, brzydkich chorób, żaden nie marzył o „wiecznym, niemym chłodzie ciszy,“ żaden nie bluźnił tak straszliwie i nie złorzeczył ludziom tak bez litości.

A te klątwy, szyderstwa i brudy wypłynęły z ust, powołanych do szerokiego, potężnego śpiewu. Prawdziwy, niepospolity talent wyrzucił z siebie „Kwiaty zła,“ znakomity rymotwórca, wielki majster formy, złożył te świetnie wyciosane zwrotki.

Sądy potępiły „Kwiaty zła,“ a publiczność rozchwytała je, jak zwykle w takich razach. Już w rok potem przysposabiał Baudelaire nowe wydanie. Uprzejmy dla młodych talentów Wiktor Hugo pisał do niego wkrótce po wyjściu książki: „Odebrałem szlachetny list pański i jego piękne dzieło. Sztuka jest jako lazury... polem bez końca,

*) Cytując Baudelaire'a w mowie wiązanej, korzystałem z przekładów Adama M—skiego i A. Langiego, wydanych w Warszawie (1894 r.) p. t. „Kwiaty grzechu“ Karola Baudelaire'a. (Przyp. aut.).

czego pan nowy dajesz dowód. Twoje „Kwiaty zła“ promienieją i olśniewają, jak gwiazdy. Pracuj dalej! Co do mnie, wołam z całych sił: brawo dzielnemu talentowi! Pozwól mi pan zakończyć tych kilka wierszy życzeniem. Odebrałeś jedno z owych rzadkich odznaczeń, jakie porządek obecny mógł panu udzielić. Jego t. zw. sprawiedliwość potępiła cię w imię jego t. zw. moralności. Jest to dla pana jeszcze jeden wieniec. Ściskam dłoń twoją, poeto...“

I bieżąca krytyka literacka powitała „Kwiaty zła“ z szacunkiem, należącym się rzeczywistemu talentowi. Baudelaire, wczoraj znany tylko kolegom i przyjaciołom, stał się dziś osobistością rozgłośną. Mówiono o nim przez dwa lata w całej Francyi. Jego wydawca, Poulet-Malassis, pisał do niego w r. 1859-tym: „Wyprawiliśmy sobie wczoraj obiad w rodzaju biesiad barona Holbacha, a na tej stypie rozmawiallśmy tylko o papieżu, o Mirabeau i o tobie, sławny człowieku. Ściskam dłoń twoją, albowiem przyjaźń znakomitych mężów jest darem bogów.“

Ale powodzenie twórcy „Kwiatów zła“ trwało krótko. Już po roku 1860-tym zapomniano o nim. Kiedy w kilka lat potem (w sierpniu 1867-go roku) umarł, strawiony przez ciężką niemoc, znalazła się przy jego trumnie tylko szczupla garstka najbliższych kolegów. Dopiero w czasach najnowszych zajmuje się znów świat literacki Baudelairem, stawiając go w pierwszym szeregu poetów XIX stulecia. Legion współczesnych dekadentów francuskich, belgijskich i angielskich nazywa go przodkiem swoim.

Karol Baudelaire jest rzeczywiście w poezyi ojcem kierunku, nazwanego obecnie dekadentyzmem. Od niego uczyli się: Verlaine, Bourget, Mallarmé, Riechepin, Rollinat, jego smutną spuścizną podzielili się wszyscy młodzi rymotwórcy schyłku XIX stulecia. W jego to przeto pismach należy szukać odpowiedzi na pytanie: czem jest dekadentyzm literacki?

Oprócz „Kwiatów zła“ i „Drobnych poematów prozą“, zostawił Baudelaire po sobie garść luźnych kartek, rzuconych bez celu i porządku do teki. Świstki te pozbierał i zachował jego wydawca, Malassis, a wydał po tegoż śmierci Eugeniusz Crépet *) razem z innemi fragmentami i szkicami, p. t. *Mon coeur mis à nu* i *Fusées*.

Chociaż uwagi te i spostrzeżenia, pisane w różnych czasach, pomieszane chaotycznie, nie tworzą całości organicznej, są one mimo to dla krytyka bardzo cenną wskazówką, odsłaniają bowiem najskrytsze tajniki psychologii poety. Dowiadujemy się z nich o poglądach Baudelaire'a na życie i ludzi, o jego sympatyach i antypatyach.

Już dzieckiem będąc, miał twórca „Kwiatów zła“ szczególne upodobania. Jako chłopczyk marzył o tem, aby zostać Papieżem, albo wojskowym, albo... komedyantem. W bardzo młodych latach czuł w sobie dwie siły, odpychające się nawzajem: wstręt do życia i namiętny pociąg do jego rozkoszy (Crépet, j. w. str. 114). Czuł się on wszędzie, wpośród rodziny, a najwięcej w licznem gronie kolegów samotnym (str. 96).

Dla ludzi pospolitych żywił pogardę i nienawiść. „Nie trzeba wierzyć — drwił — by dyabeł kusił tylko geniuszów. Gardzi on niezawodnie głupcami, ale nie lekceważy ich współudziału. Przeciwnie. Na nich to buduje swoje wielkie nadzieje“ (str. 101). „Gdyby poeta zażądał od państwa prawa posiadania na stajni kilku mieszczuchów, zdziwionoby się bardzo, ale gdyby się jakiemu mieszczuchowi zachciało na obiad kawałka pieczonego poety, uważanoby to za rzecz zupełnie naturalną (str. 83).

---

*) Eugene Crépet; „Charles Baudelaire, Oeuvres Oeosthumes et Correspondances inédites; Paryż, 1887 r.

Bourgeois wraca kilka razy w luźnych kartkach, a zawsze zohydzony, oplwany.

Podług Baudelaire'a zasługują na wdzięczność ludzkości tylko poeta, kapłan i żołnierz: „człowiek, który śpiewa, który błogosławi i który poświęca innych, poświęcając siebie. Reszta, to motłoch, istniejący dla bata“ (str. 107).

Demokratą Baudelaire nie był, postęp lekceważył.

„Jest rozkoszą arystokratyczną starać się zasłużyć na niechęć motłochu.“ „Dlaczego demokraci nie lubią kotów? Bo kot jest pięknym; objawia on idee zbytku, czystości, lubieżności“ (str. 85). „Cóż może być głupszego od postępu? Człowiek jest zawsze do siebie podobny, bo znajduje się wiecznie w stanie dzikości. Czemże są niebezpieczeństwa lasów i puszcz w porównaniu z codziennemi konfliktami cywilizacyi? Czy człowiek obejmuje swoją ofiarę na bulwarach albo też ściga swoją zdobycz w lasach nieznanych, jest on zawsze tylko najdoskonalszem zwierzęciem zdobyczy“ (str. 86). „Istnieje tylko jedna rozumna i bezpieczna forma rządu, mianowicie arystokratyczna. Monarchia albo rzeczpospolita, oparta na demokracyi, są równo słabe i niedorzeczne“ (str. 99).

Kupiectwa nie cierpiał. „Kupiectwo jest w istocie swojej rzeczą szatańską. Oddaj mi więcej, aniżeli odemnie wziąłeś! stanowi jego zasadę. Umysł każdego handlarza jest nawskroś występny. Kupiec zamienia nawet uczciwość na spekulacyę. Kupiectwo jest rzeczą szatańską, bo jest jedną z najniższych, najpodlejszych form egoizmu“ (str. 115).

Chełpił się brakiem przekonań politycznych.

„Nie posiadam przekonań w rozumieniu chwili obecnej, bo nie mam ambicyi. Nie ma we mnie podstawy do przekonań. Ludzie uczciwi odznaczają się pewnem tchórzostwem, albo raczej pewną miękkością. Tylko bryganci bywają przekonani. O czem? Że powinni dojść do wytkniętego ce-

lu. I dochodzą. Dlaczego miałbym się ubiegać o powodzenie, skoro nie mam nawet ochoty próbować?“ (str. 95 -96).

Człowiek pożyteczny wydawał się Baudelaire'owi zawsze „czemś bardzo wstrętnem“ (str. 95). Ideałem jego był tak zwany w owych czasach *dandy*, chłodny, obojętny na całe otoczenie światowiec.

„*Dandy* nie robi nic. Czy możecie go sobie wystawić przemawiającego do ludu? Chyba wtedy, gdy drwi z motłochu“ (str. 99).

Pracę zalecał, ale tylko dlatego, bo „jest ona mniej nudną od zabawy“ (str. 98).

Dziennikarstwem pogardzał. „W każdym numerze jakiejkolwiek gazety, bez względu na dzień, miesiąc, rok, w każdym jej wierszu, spotykamy ślady najstraszniejszej przewrotności ludzkiej obok zdumiewających przechwałek uczciwości, dobroci i miłosierdzia i najbezczelniejszych zapewnień, odnoszących się do postępu i cywilizacyi. Każdy dziennik, począwszy od pierwszego wiersza do ostatniego, jest stekiem zgrozy: Wojny, zbrodnie, kradzieże, tortury — zbrodnie książąt, narodów, osób prywatnych, szał powszechnego okrucieństwa... Ze wszystkiego na tym świecie sączy zbrodnia: z gazety, z muru, z twarzy człowieka... Nie rozumiem, jak ręka czysta może dotknąć gazety bez wstrętu“ (str. 117 – 118).

W dobroć nie wierzył.

„Gdy się człowiek kładzie do łóżka, pragną prawie wszyscy przyjaciele potajemnie jego śmierci. Jedni dlatego, aby skonstatować, że posiadają zdrowie lepsze od niego, inni dlatego, aby badać bezinteresownie jego agonię“ (str. 74).

Wyszukiwał sobie przyjemności niezwykłe.

„Człowiek zdolny, czyli ten, który się nigdy z nikim nie zgodzi, powinien się nauczyć lubieć rozmowę głupców i

treść złych książek. Wydobędzie on z nich rozkosze gorzkie, które opłacą sowicie jego fatygę“ (str. 116).

Oświadczał zawsze każdemu, kto go chciał słuchać, że jest katolikiem i przyjacielem jezuitów.

„Krajom protestanckim brak dwóch pierwiastków, niezbędnych do szczęścia człowieka dobrze wychowanego: galanteryi i dewocyi (str. 84). „Nudzę się we Francyi, bo wszyscy są tu podobni do Woltera“ (str. 102).

Piękno pojmował Baudelaire po swojemu.

„Piękną nazywał głowę kobiety wtedy, kiedy pobudza do marzenia, „złożonego z rozkoszy i smutku...“ Typem piękności męzkiej był dla niego szatan Miltona (str. 79—81). Rysami, tworzącemi piękno są, podług niego: wyraz zblazowany, znudzony, bezczelny, chłodny, głęboki, dumny, zły, chory, koci, drwiący, złośliwy (str. 82).

Teatrowi nie odmawiał racyi bytu, ale żądał powrotu do koturnów i maski greckiej (str. 97).

Najczęściej wracała myśl Baudelaire'a w luźnych kartkach, znanych obecnie p. t. *Mon coeur mis à nu* i *Fusées*, do kobiety i miłości. Co poeta wypowiada w tym kierunku, rzuca jasne światło na lubieżność jego „Kwiatów zła.“

„Miłość do kobiet inteligentnych jest rozkoszą nienaturalną“ (str. 75). „Kobieta jest przeciwieństwem dandysa, więc powinna budzić wstręt. Kobieta jest obrzydliwa i pospolita“ (str. 93). „Dziwiłem się zawsze, iż dopuszczono kobietę do kościoła. O czemże może ona rozmawiać z Bogiem? Wenus (kaprys, hysterya, fantazya) jest jedną z najlepszych pomocnic szatana“ (str. 107). „Kobieta nie umie rozłączyć duszy od ciała. Jest ona jednolitą, jak zwierzę“ (str. 107). „Zastanowić się nad koniecznością chłostania kobiet“ (str. 114).

A miłość Baudelaire'a?

Z niepospolitą siłą odtworzony obraz miłości zmysłowej, zakończył poeta temi słowy:

„Co do mnie, twierdzę, iż jedyna i najwyższa rozkosz miłości polega na pewności wykonania zła. Mężczyzna i kobieta wiedzą od urodzenia, że rozkosz znajduje się w złem“ (str. 74). „Wzywanie Boga lub idealizmu jest pragnieniem podnoszenia się w górę; wzywanie szatana albo materyalizmu jest rozkoszą osuwania się na dół. Do kategoryi drugiej należy miłość do kobiety“ (str. 98). „Czemże jest miłość? Potrzebą wyjścia z siebie. Człowiek jest zwierzęciem uwielbiającem, uwielbienie zaś znaczy to samo, co poświęcenie i prostytucya. Wynika z tego, że miłość jest prostytucyą“ (str 106).

Listy Baudelaire'a, dołączone do fragmentów pośmiertnych, do planów powieści, nowel i dramatów, do urywków, szkiców, scenaryuszów, nie zawierają nic takiego, coby rzucało nowe światło na psychologię poety. Należy tylko wymienić kilka tytułów romansów, pomyślanych, ale nie wykonanych. W spisie projektów znalazł Crépet następujące zapowiedzie: *Les enseignements d'un monstre; La maîtresse vièrge; Le crime au collège; Les monstres, Les tribades; L'amour parricide; Une infâme adorée* i t. d.

Baudelaire nie był autorem płodnym. Oprócz „Kwiatów zła,“ „Drobnych poematów prozą“ i pamiętniczka (*Mon coeur mis à nu* i *Fusées*) zostawił po sobie garść fragmentów bez wartości, kilka nowel, studyum o działaniu opium, haszyszu i wina p. t. *Les paradis artificiels*, dwa tomy rozprawek literacko-artystycznych i pięć tomików przekładów z Edgara Poë. Trzy pierwsze dzieła wystarczają do charakterystyki rozgłośnego obecnie autora „Kwiatów zła.“

W oświetleniu swoich własnych pism jest Baudelaire przedewszystkiem zawiedzionym lubieżnikiem. Chciwa używania zmysłowość sączy z każdego wiersza, odnoszącego się do miłości. Chociaż gardzi on kobietą, dziwiąc się, jak

można ją było „dopuścić do kościoła,“ mimo to pożąda jej ciągle, myśli o niej bezustannie. A nie pragnie jej jako towarzyszki życia, jako przyjaciółki, rozumiejącej jego trudy, lecz jako narzędzia do rozkoszy. Pociąga go miękkość, słodycz i wytworność kobiety, nie zalety jej serca i charakteru. Niech się kochanka z szatana rodzi, byle drażniła zmysły pięknością cielesną.

Wiadomo, że Baudelaire żył tak, jak pisał. Odziedziczywszy po ojcu niewielki majątek (75,000 franków), załatwił się z nim bardzo prędko. Już w szkołach będąc, nie odmawiał sobie przyjemności dojrzałego wieku, a kiedy go pełnoletniość wyzwoliła z pod opieki ojczyma (generała Aupick'a), wówczas robił wszystko, aby się pozbyć złudzeń młodości. Noce bezsenne przepędzał w gronie wesołych przyjaciół, od towarzystw przyzwoitych stronił, dom matki omijał, wyniszczał się wyuzdanemi rozkoszami, obcował tylko z kobietami upadłemi, a wśród tych wybierał zawsze jakieś „nadzwyczajne“... olbrzymki, karlice, mulatki, japonki.

Skłonność do dziwactwa jest drugim rysem znamiennym Baudelaire'a. Lubieżnik, marzący w latach dziecinnych o tem, aby zostać „papieżem wojskowym albo komedyantem,“ czujący się samotnym wśród najliczniejszego zebrania, wróg ludzi, czynów i wrażeń pospolitych, nie chciał używać, jak zwykły burżoa. Tylko rozkosze niezwykłe zadawalniały jego „gusta wykwintne.“

Z lubieżności, uprawianej bez miary, wynikła wkrótce, jak inaczej być nie mogło, niemoc fizyczna. Baudelaire, stargawszy zdrowie, uciekał się do środków podbudzających; odurzał się haszyszem, opium, podniecał się sztucznie. Wiadomo, że zgasł w czterdziestym szóstym roku życia na wyniszczenie organizmu. Już na pięć lat przed śmiercią zaczął tracić panowanie nad zmysłami. „Chowałem moją histeryę z rozkoszą i zgrozą — pisał 23-go stycznnia 1862-go roku w *Mon coeur mis a nu* (Crépet; j. w. str. 119). — Dziś

doświadczyłem szczególnej przestrogi: uczułem, że przeszedł nademną powiew skrzydła idyotyzmu.“ Paraliż postępujący męczył go bardzo długo, zanim go powalił.

Wzmagające się z każdym rokiem dziwactwo, przejawiające się w formie upodobań chorobliwych, jest już tylko naturalnym skutkiem nadmiernej zmysłowości i skłonności do mizantropii. Chorego histeryka prześladują widziadła, halucynacye, odpychają go rozkosze zdrowe, a pociągają sztuczne podrażnienia.

Baudelaire myślał, czuł i robił wszystko na opak. Był arystokratą z upodobań, a nie umiał się litować nad nędzą i słabością ludzką i nie miał czci dla honoru. Przyznawał się do chrześciaństwa, do katolicyzmu nawet, a pisał litanie i modlitwy do szatana. Tęsknił bezustannie za miłością, a opiewał tylko jej wybryki i brudy. Posiadał wysoko rozwinięte poczucie rytmu i harmonii, a wyrzucał z siebie zgrzyty i drgania konwulsyjne.

Dodawszy do zawiedzionej lubieżności, z której wypełzła histerya, do dziwactwa i przewrotności, sceptycyzm religijny i filozoficzny sfer, *) wpośród których Baudelaire wzrósł, rozumie się bardzo dobrze ponury pesymizm „Kwiatów zła.“

Nic tytan, rozżalony na niemoc swoją, na nieudany szturm do bram niebieskich, jak u romantyków, miota się w poezyach i nowelach Baudelaire'a, nie człowiek-dusza skarży się, iż mu skrzydła obcięto i skrępowano, lecz warczy, kąsa, przeklina i bluźni wyniszczony lubieżnik, tak zużyty, iż nie czuje w sobie już sił do buntu przeciw pętom, powstrzymującym jego pragnienia. Ztąd w jego pesy-

*) Baudelaire pochodził, jak wykazał Crépet, z ojca i z matki z rodziny chłopskiej, która zawdzięczała „wielkiej rewolucyi“ swoje wyniesienie. Jego ojciec, wychowaniec encyklopedystów, był z rodu pierwszym przodkiem cywilizowanym.

zmie, zamiast dumnej, choć bolesnej rezygnacyi, ów szalony gniew, owa dzika złość, plwająca na wszystko, co osładza nieszczęście tej ziemi, ztąd owo rozmyślne obniżanie wartości życia przez odkrywanie jego strony plugawej. Kobieta?! — To samica, niepotrzebna w kościele, stworzona do chłosty. — Miłość?! — Występek, zło, wyuzdanie zmysłowe. — Przyjaźń?! — Kłamstwo, czychające na śmierć bliźniego. — Przekonanie osobiste? — Pomocnik łotrów, szukających karyery... Nie ma między ludźmi ani śladu cnoty, ani jednego dodatniego rysu. Wszyscy bez wyjątku są nikczemnikami, stroniącymi przed zbrodnią tylko ze strachu, z tchórzowstwa. Wszyscy gonią jedynie za rozpustą zmysłową, lubieżni na wskroś, gorsi od zwierząt.

Baudelaire patrzył na świat i ludzi, jak każdy zresztą umysł oryginalny, przez pryzmat swoich własnych poglądów i upodobań. Przypatrzywszy się uważnie jego obliczu autorskiemu, odnajdujemy w niem wszystkie rysy, z których fantazya ludu splata szatana, bo: lubieżność zwierzęcą, bezgraniczną pychę, bluźnierstwo, dziką złość, zupełny zanik dobroci i szlachetności. Nie ma w pismach Baudelaire'a ani jednego serdecznego tonu, ani jednego słowa przebaczenia.

Autor „Kwiatów zła“ był rzeczywiście upadłym aniołem... zrozpaczonym cywilizacyi nowoczesnej. Wypchnięty z raju religii, idealizmu, wiary w celowość człowieka, zawiedziony w pragnieniach zmysłowych, złamany fizycznie, męczony przez ciągłą troskę o byt powszedni, pozbawiony pieszczoty żony, dziecka — znajdował jedyną ulgę w wybuchach bezsilnego gniewu.

Zdawałoby się, że taki zupełny rozbitek życia nie powinien już odczuwać żadnych tęsknot idealnych. Tymczasem odzywała się czasami w Baudelairze dusza poety, przejęta zgrozą do brudu, w jakim się walała:

Gdy świt białoróżowy w duszę rozpustnika
Wnika wraz z Ideału gryzącem widziadłem,

Działaniem tajemnicy mściwej — w tem upadłem
Odrętwiałem bydlęciu anioł się oczyka.

*

Niedostępnych nieb ducha błękitne przestworze
Przed upadłym, co jeszcze marzyć rwie się, rani,
Otwiera głąb ciągnącą jak paszcza otchłani —
Tak, o bóstwo me drogie, czysty, świetlny tworze!

*

Ponad orgii bezmyślnych dymiącemi szczęty,
Twe rysy mi różowiej, jaśniej, cudniej świecą
I przed mą rozszerzoną wciąż krążą źrenicą.

*

Blask dnia przyćmił świec blaski, lecz obraz twój święty —
Wciąż zwycięzki, o duszo ty promieniejąca,
Lśni do nieśmiertelnego upodobnion słońca.

(*L'aube spirituelle*).

Albo ów „Wzlot“ (*Elevation*).

Ach, ponad stawy, ponad doliny,
Nad góry, lasy, chmury i morza,
Aż po za słońce, za eter siny,
Za sfer gwiaździstych dalsze przestworza —

*

Bujasz, mój duchu, zwijasz się w koło,
Jak dobry pływak, gdy fale zoczy.
Bezmierną głębię bruździsz wesoło
Z niewysłowioną męzką rozkoszą.

*

Leć, niech cię wyższa sfera otoczy,
Oczyść w niej skrzydła, rzuć brudne męty,
I jasny ogień górnych przezroczy
Pij — jako nektar czysty i święty.

*

Ach, ponad nudy, ponad zgryzoty,
Któremi życie jak mgłą się zmąca,
Szczęsny, kto wzbił się śmiałemi loty,
W pogodne kraje światła i słońca;

*

Kto jak skowronek myślą w lazury
Wylata rankiem pełen swobody;
Kto zdoła spojrzeć na życie z góry,
Pojąć szept kwiatu, mowę przyrody.

Upadły anioł przypominał sobie od czasu do czasu swoje boskie pochodzenie, ale działo się to rzadko. Zwykle wołał: „Trzeba być zawsze pijanym. Cała sztuka życia polega na tem, aby nie czuć straszliwego ciężaru Czasu, który wam ramiona łamie i ku ziemi was tłoczy; upajajcie się bezustannie. Ale czem? Winem, poezyą, albo cnotą, czem chcecie, byleście się odurzali“ (*Pet. Poëm. en prose; „Enivrez-vous“*).

Baudelaire odurzał się pesymizmem krańcowym, bezsilnym gniewem, urąganiem nędzy ludzkiej, a czasami — bardzo rzadko — tęsknotą za czystem życiem. Ta zadziwiająca u niego tęsknota, nadchodząca zwykle po dokonanem nadużyciu zmysłowem, jak wyrzut resztek niewypalonego cynizmem sumienia, dopełnia jego sylwetki psychologicznej.

Jako technik artystyczny był Baudelaire niepospolitym rymotwórcą i znakomitym stylistą, dbającym przedewszystkiem o poprawność formy. Ale i na powłoce zewnętrznej jego talentu widać tu i owdzie ślady rozkładu. Sainte-Beuve nazwał jego poezye „kioskiem, albo raczej jurtą dziwacznej architektury“ (*un kiosque ou plutôt une yourte d'une architecture bizarre*), a jego przyjaciel i obrońca, Teofil Gauthier, przyznał, że „język „Kwiatów zła“ jest już opleciony chwastami rozkładu i jakby cuchnący“ (*marbré déjà des verdeurs de la décomposition et comme faisandée*).

Baudelaire, w połowie jasny, przezroczysty klasyczny, robi w drugiej połowie wrażenie autora zmanierowanego. Wyrzucał on z siebie dość często jakiś zwrot tak zawiły lub sztuczny, iż można się jego znaczenia domyślić tylko z po-

przedników lub następników. Zwykle staranny w budowie wiersza i zdania, zapominał czasami rozmyślnie o rytmie i składni. Sumienny w wyborze określeń, posługiwał się słowami, omijanemi przez pisarzów wzorowych.

Teofil Gauthier bronił w przedmowie do zbiorowego wydania dzieł Baudelaire'a (w r. 1868) tej „maniery“ autora „Kwiatów zła“ i wypowiedział przy tej sposobności pierwszy określenie „dekadencya,“ powołując się na przykład epok dawniejszych.

„Posądzano Baudelaire'a często — mówi Gauthier — o dziwactwo, o oryginalność szukaną i wytworzoną rozmyślnie, przedewszystkiem zaś o manierę... Ale są ludzie zmanierowani naturalnie. Prostota byłaby u nich czystą afektacyą i jakby rodzajem maniery odwrotnej. Chcąc być jasnymi, musieliby długo szukać i wiele pracować. Zwoje ich mózgu są ułożone w taki sposób, że się idee w nich skręcają w trąbkę, zamiast wychodzić prostą linią. Najłatwiej i najprędzej czepiają się ich myśli zwroty najwięcej skomplikowane i najsubtelniejsze. Widzą oni rzeczy pod szczególnym kątem, który zmienia ich wygląd i perspektywę. Ze wszystkich obrazów czepiają się ich głównie te, które są najdziwaczniejsze, najdalsze od danego przedmiotu. Baudelaire posiadał taki mózg i dlatego tam, gdzie krytyka chciała dostrzedz koniecznie robotę, wysiłek, zaciekłość i paroksyzm z góry powziętego zamiaru, był tylko naturalny wynik jego indywidualności.“

„Twórca „Kwiatów zła“ upodobał sobie ten rodzaj stylu, który nazywa się niewłaściwie stylem dekadencyi, a który jest w istocie stylem genialnym, złożonym, uczonym, pełnym subtelności i odcieni — sztuką, doprowadzoną do najwyższego stopnia dojrzałości, przepalonej pochyłemi promieniami słońca starzejących się cywilizacyj. Styl ten, rozszerzając ciągle granice mowy, czerpie ze wszystkich słowników fachowych, bierze barwy ze wszystkich palet, nuty

ze wszystkich instrumentów muzycznych. Usiłuje on wcielić myśl nawet wtedy, gdy się ona niepochwytną wydaje, odtworzyć najmglistsze i najniewyraźniejsze zarysy formy – oddać subtelne zwierzenia newrozy, wyznania podstarzałej namiętności, przeradzającej się w rozpustę i w dziwaczne halucynacye, blizkie obłędu. Ten styl dekadencyi jest ostatnim wyrazem Słowa, zmuszonego wypowiedzieć wszystko, posuniętego aż do ostateczności.“

Stając w obronie Baudelaire'a, nie domyślał się prawdopodobnie Gauthier, że streścił znakomicie ujemne strony dekadentyzmu literackiego. „Są ludzie, których zwoje mózgowe są układaj ąsię w taki sposób, iż się idee w nich w trąbki skręcają, zamiast prostą wychodzić linią.“ — „Naprędzej i najłatwiej czepiają się takich mózgów myśli najwięcej skomplikowane.“ — „Widzą one rzeczy pod szczególnym kątem, który zmienia ich wygląd i perspektywę.“ — „Mózgi takie chwytają głównie te obrazy, które są najdziwaczniejsze i najdalsze od danego przedmiotu.“ — „Styl dekadencyi jest stylem starzejących się cywilizacyj.“ — „Oddaje on subtelne zwierzenia newrozy, wyznania przestarzałej namiętności, przeradzającej się w rozpustę i w dziwaczne halucynacye, blizkie obłędu.“

Nic innego nie twierdzą krytycy dekadentyzmu literackiego, gdy nazywają go podstarzałym rozpustnikiem, przeklinającym ograniczoną możność zmysłów, oszalałym z gniewu na niemoc człowieka.

Co Baudelaire zaznaczył, to rozwinęli jego następcy, których prowadzi obecnie Paweł Verlaine.

IV.

Paweł Verlaine. — Maurycy Rollinat. — Jan Richepin.

Paryzki księgarz, Leon Vanier, wydał p. t. „*Les hommes d'aujourd'hui*, blizko trzysta krótkich biografij współczesnych znakomitości francuskich, zaopatrzywszy je karykaturami. W numerze 244-tym tego oryginalnego czasopisma, widzimy na pierwszej stronnicy zielonego dyabła w czerwonej kurtce, dotykającego pazurami prawej ręki strun lutni, w lewej zaś dłoni trzymającego serce, nadziane na gęsie pióro. Na ciele szatana spoczywa duża, zupełnie łysa, podłużna, na samym wierzchu guzem zeszpecona głowa ludzka, robiąca wrażenie nieprzyjemne. Coś złośliwego, nieszlachetnego wygląda z oczu małych, ukrytych pod gęstemi brwiami; o zmysłowości świadczą niezwykle rozwinięte szczęki.

Tym zielonym dyabłem w czerwonej kurtce, z głową starzejącego się łauna, jest Paweł Verlaine, uznany przez dekadentów i symbolistów francuskich za naczelnika.

Paweł Verlaine (ur. w Metz 1844 r.) liczy obecnie lat pięćdziesiąt. Zawód poety rozpoczął wcześnie, bo wydał już w roku 1865-tym wiązankę poezyj p. t. *Poèmes Saturniens*. W rok potem, wyszły znane powszechnie *Fêtes galantes*.

Jak wszyscy nowicyusze, ulegał i Verlaine zrazu wpływom starszych mistrzów. Zapatrzony we wzory naczelników t. zw. parnaseizmu (Teofil Gauthier, Teodor de Banville i Leconte de Lisle), którzy oczyścili wiersz francuski, zaśmiecony przez miernych naśladowców gwiazd romantycznych, dbał i on przedewszystkiem o czystość formy, usuwając treść na plan drugi. Pomiędzy pierwiosnkami jego muzy znajdują się w istocie utwory znakomite pod względem technicznym (*La chanson des Ingénues; Il Baccio; César Borgia* i in.).

Ale to, co zwolennicy doktryny „sztuka dla sztuki“ nazywają bezwzględną przedmiotowością, było zawsze złudzeniem, człowiek bowiem żywy, myślący i czujący, nie umie się zdobyć na objektywizm automatyczny. Daremnie udawali nawet parnasiści obojętnych, chłodnych (*impassible*) daremnie twierdzili, że chodzi im tylko o muzykę słowa.

Jeżeli nie oświetlenie, to zdradzał wybór przedmiotów ich upodobania, ich indywidualność. I Baudelaire był poniekąd, jako technik artystyczny, parnasistą, bo i on włożył w formę swoich „Kwiatów zła“ dużo starania. A mimo to tryska z jego dzieł podmiotowość strumieniem gorącym.

Tak samo u Verlaine'a. Już w jego pierwszych utworach, pisanych instynktowo, bez świadomości dojrzałego talentu, rysuje się wyraźnie oblicze przedwcześnie zwiędłego lubieżnika.

W cyklu *Ariettes Oubliées* (VII) wiązanki p. t. *Romances sans paroles* skarży się Verlaine:

O, triste, triste était mon âme
A cause, a cause d'une femme.

*

Je ne me suis pas consolé
Bien que mon coeur s'en soit allé.

*

Bien que mon coeur, bien que mon âme
Eussent fui loin de cette femme, i t. d.

Miłość jest jedyną treścią wszystkich poezyj Verlaine'a z wyjątkiem *Sagesse*. Wraca ona ciągle, to spodziewając się, to zawodząc, wiecznie nienasycona. A w tej miłości nie ma nic duchowego. Z pod barwnych i wonnych splotów melodyjnego słowa wyziera pospolita zmysłowość, rozkoszująca się tylko ciałem kochanki. Nie o przyjaciółce życia myślał Verlaine, gdy modlił się w „Serenadzie“ (*Poèmes Saturniens*) do kobiety:

Comme la voix d'un mort qui chanterait
Du fond de sa fosse,
Maîtresse, entends monter vers ton retrait
Ma voix aigre et fausse.

*

Je chanterai tes yeux d'or et d'onyx
Purs de toutes ombres,
Puis le Léthé de ton sein, puis le Styx
De tes cheveux sombres.

*

Puis je louerai beaucoup, comme il convient
Cette chair bénie
Dont le parfum opulent me revient
Les nuits d'insomnie.

Chair bénie i *parfum opulent* powtarzają się ciągle u Verlaine'a. Jak Baudelaire, jest i on bardzo wrażliwym na wszelkie zapachy.

Miłość zmysłowa zajmuje Verlaine'a bezustannie, niepokojąc go nawet wpośród snu. Dla niej tylko żyje, o niej tylko marzy, ale bez wiary młodości. Dwudziestoletni poeta doświadczył już zdrady niewieściej, bo mówi w *Lassitude* (*Poèmes Saturniens*):

Sois langoureuse, fais ta caresse endormante
Bien egaux tes soupirs et ton regard berceur.

Va, l'étrein te jalouse, et le spasme obsesseur
Ne valent pas un long baiser, „même qui mente."

*

Mets ton front sur mon front et ta main dans ma main,
Et fais moi des serments que tu „rompras demain."

Odbierał „pocałunki kłamliwe" i „wiarołomne przysięgi" i dlatego przestał ufać kobiecie. Ten sceptycyzm, podłożony ironią, jest drugim rysem znamiennym pierwszych utworów Verlaine'a.

Co poeta w „Poematach saturnowych" lekko zaznaczył, to wyrzeźbił starannie i pogłębił w *Fêtes galantes*.

W jakimś ogrodzie czy parku XVIII stulecia przechadzają się gruchające pary. Młodzi markizowie w pudrowanych perukach, eleganccy *abbé*'owie w czarnych płaszczykach szepcą do drobnych uszek pięknych dam słodkie słówka (*A la promenade*).

Trompeurs exquis et coquettes charmantes,
Coeurs tendres, mais affranchis du serment.

Szepcą słodkie słówka, czułe przysięgi, ciche zaklęcia z zamiarem niedotrzymania ich. Panie słuchają z przyjemnością, ale bez wiary:

L'implacable enfant
Preste et relevant
Ses jupes,
La rose au chapeau,
Conduit son troupeau
De dupes. (Colombine).

Bo dlaczego-ż miałyby ufać ładnemu chłopcu, kiedy miłość nie trwa dłużej od pragnienia?

W *Colloque sentimental* (*Fêtes galantes*) pyta „on":

— Czy przypominasz sobie nasz dawny zachwyt?

A „ona" mówi wymijająco:

— W jakim celu życzysz sobie, abym pamiętała?

On bada znów: Czy serce twoje bije jeszcze, gdy usłyszysz moje nazwisko? — Nie! — odpowiada kochanka krótko.

Po *Fêtes galantes* nastąpiła „Dobra Pieśń," która złagodziła nieco sceptyczną zmysłowość pierwszych utworów Verlaine'a. Zwiędłą erotykę zblazowanego młodzieńca odświeżyła w *La bonne chanson* (1870 r.) jakaś nowa, szlachetniejsza miłość:

C'en est fait à présent des funèstes pensées,
C'en est fait des mauvais rêves, ah! c'en est fait
Surtout de l'ironie et des lèvres pincées
Et des mots ou l'esprit sans l'âme triomphait.

*

Arrière aussi les poings crispés et la colère
A propos des méchants et de sots recontrés
Arrière la rancune abominable! arrière
L'oubli qu'on cherche en des breuvages execrés

wołał Verlaine na wstępie „Dobrej Pieśni" (*La bonne chanson*; I). Zapomnieć postanowił o pesymizmach i cynizmach, o niewczesnych gniewach i zaciśniętych pięściach, uczuł potrzebę śpiewu czystego (*des airs ingénus*), któryby nikogo nie drażnił, nie gorszył; chciał być szczęśliwym, nie troszcząc się o głupstwo i złość ludzi.

N'est ce pas? En dépit des sots et des méchants
Qui ne manqueront pas d'envier notre joie
Nous serons fiers parfois et toujours indulgents.

*

N'est ce pas? Nous irons, gais et lents, dans la voie
Modeste que nous montre en souriant l'Espoir,
Peu soucieux qu'on nous ignore ou qu'on nous voie.

(L. b. ch. VI).

Jakieś wielkie szczęście rozjaśniło duszę poety, wydobywając ze strun jego lutni tony serdeczne. W owym to czasie powstało kilka przepięknych perełek lirycznych, na

które dekadenci z dumą wskazują. W utworach, rozpoczynających się od słów: *Avant que tu ne t'enailles* (L. b. ch. II) i *La lune blanche* (L. b. ch. III) dowiódł Verlaine, że i słowo może być muzyką.

La lune blanche
Luit dans les bois;
De chaque branche
Part une voix
Sous la ramée...
O bien aimée.

*

L'étang reflête,
Profond miroir.
La silhouette
Du saul noir
Ou le vent pleure...
Rêvons: c'est l'heure.

*

Un vaste et tendre
Apaisement
Semble descendre
Du firmament
Que l'astre irise...
C'est l'heure exquise.

Tak melodyjnych i wonnych piosenek nie spodziewał się nikt od autora „Poematów saturnowych."

Ale ten optymizm, wywołany przez prawdziwą miłość, trwał niedługo. Już w „Romansach bez słów" (*Romances sans paroles* 1874 r.) skarży się znów poeta na zawód. Po szczęściu zostało mu tylko bolesne wspomnienie — ciche łzy, przepełniające jego serce.

Il pleure dans mon coeur
Comme il pleut sur la ville,
Quelle est cette langueur
Qui pénètre mon coeur?

*

O bruit doux de la pluie
Par terre et sur les toits!
Pour un coeur qui s'ennuie
O le chant de la pluie,

*

Il pleure sans raison
Dans ce coeur qui s'écoeure.
Quoi! nulle trahison?
Ce deuil est sans raison.

*

C'est bien la pire peine
De ne savoir pourquoi
Sans amour et sans haine
Mon coeur a tant de peine.

(Rom. s. par. III).

I ta rzewna skarga należy do najśpiewniejszych zwrotek poezyi francuskiej.

Po „Romansach bez słów" stała się rzecz dziwna. Naprzód sceptyczny lubieżnik, potem optymista szczęśliwy, w końcu rozczarowany pesymista, a zawsze erotyk, nie troszczący się wcale o inne uczucia i tęsknoty człowieka, odezwał się Verlaine nagle jak mistyk średniowieczny.

Na czele wiązanki p. t. *La Sagesse* czytamy następujące wyznanie: Autor tej książki nie myślał zawsze tak, jak dziś. Błądził on długo w zepsuciu współczesnem, mając w niem udział grzechu i nieświadomości. Troski zanadto zasłużone nawróciły go od tego czasu i Bóg pozwolił mu w łasce Swojej zrozumieć znaczenie tego nawrócenia. Więc ukorzył się przed Ołtarzem, długo zapomnianym, i uwielbia Wszechdobroć i wzywa Wszechpotęgi — posłuszny syn Kościoła, ostatni pod względem zasług, ale pełen dobrej woli. Poczucie jego słabości i wspomnienie jego upadków były mu przewodnikami przy pracy nad tem dziełem, które jest jego pierwszym aktem publicznego wyznania wiary po długiem milczeniu literackiem. Autor mniema, iż w tej książce nie znajduje się nic sprzeciwiającego się uczuciu mi-

łości, jakie on, odtąd chrześcianin, winien grzesznikom, których nienawistne obyczaje kiedyś praktykował... Autor bardzo młodym będąc, temu lat dziesięć, dwanaście, ogłosił wiersze sceptyczne i smutno lekkomyślne (*des vers sceptiques et tristement légers*). Ośmiela się on żywić nadzieję, że w tej wiązance żaden złodźwięk nie będzie raził delikatnego ucha katolika: byłaby to jego najdroższa sława, jak jest najdumniejszą nadzieją."

I w istocie... Czytelnik drugiej połowy XIX stulecia, odwykły zupełnie od poezyi religijnej, od mistycznych wzlotów duszy, nie wie, co sądzić o „Mądrości" (*La Sagesse*) Verlaine'a, znajduje w niej bowiem nietylko pokorę skruszonego grzesznika, błagającego Boga o zmiłowanie, nietylko chrześcianina, czyniącego Stwórcy ofiarę ze swoich cierpień, lecz wprost najwierniejszego, najgorliwszego katolika.

O, mon Dieu, vous m'avez blessé d'amour
Et la blessure est encore vibrante,
O, mon Dieu, vous m'avez blessé d'amour

*

O, mon Dieu, votre crainte m'a frappé
Et la brûlure est encore là qui tonne,
O, mon Dieu, votre crainte m'a frappé.

*

O mon Dieu, j'ai connu que tout est vil
Et votre gloire en moi s'est installée,
O, mon Dieu, j'ai connu que tout est vil.

*

Noyez mon âme aux flots de votre Vin
Fondez ma vie au Pain de votre Table,
Noyez mon âme aux flots de votre Vin.

(Sag. II; I).

Albo:

Je ne veux plus aimer que ma mère Marie,
Tous les autres amours sont de commandement,
Nécessaires qu'ils sont, ma mère seulement,
Pourra les allumer aux coeurs qui l'ont chérie.

*

C'est pour Elle qu'il faut chérir ses ennemis,
C'est par elle que j'ai voué ce sacrifice,
Et la douceur de coeur et le zèle de service,
Comme je la priais, Elle les a permis.

*

Marie Immaculée, amour essentiel,
Logique de la foi cordiale et vivace,
En vous aîmant qu'est il de bon que je ne fasse,
En vous aîmant du seul amour, Porte du Ciel?

Mistyk, oderwany zupełnie od ziemi, nie mógłby wierzyć i modlić się inaczej.

Po takim zwrocie ku niebu należało się spodziewać, że Verlaine porzuci na zawsze zmysłowość swoich lat wiosennych. Tymczasem... nowa niespodzianka.

W kilka lat po *Sagesse* (w r. 1888) wydał poeta tomik p. t. *Parallèlement*, przewyższający lubieżnością wszystko, co napisał dawniej w owych „sceptycznych i smutno lekkomyślnych wierszach.“ Są w *Parallèlement* dwa utwory, które wywołują rumieniec nawet na czołach bezwstydnych. Lubieżna erotyka, postarzawszy się, przedzierzgnęła się w chorobliwą erotomanię. Tylko zniedołężniały rozpustnik lubuje się z taką bezwzględnością wdziękami cielesnemi kobiety, jak to uczynił Verlaine w *Auburn* i w *Fille*.

Zestawiwszy te dwie pornografie z zachwytem dla „Niepokalanej Maryi,“ nie wiadomo zrazu, jak sobie tę szczególną ewolucyę wytłómaczyć. Gdyby *Sagesse* była nastąpiła po *Parallèlement* jako wyznanie i modlitwa nawróconego grzesznika, możnaby uwierzyć w szczerość mistycyzmu poety. Zdarza się dość często, że sybaryta, znużony brudem nadmiernego używania, zanurza się z przyjemością w oczyszczającym zdroju religii. Ale *Sagesse* przed *Parallèlement* jest potwornością psychologiczną, należącą do historyi obłędów ludzkich.

Verlaine usiłował sam tę łamigłówkę rozwiązać. Napisał on kilka sylwetek literackich pod dziwnym tytułem

„Przeklęci poeci“ (*Les poëtes maudits*). Ostatnią z nich poświęcił sobie, nazwawszy się *Pauvre Lelian*.

Ten „biedny Lelian“ filozofuje między innemi w sposób następujący:*) „Wierzę i grzeszę myślą i czynem; wierzę i żałuję myślą, czekając na zwrot lepszy. Albo też: wierzę i jestem dobrym chrześcianinem w tej chwili; wierzę i jestem złym chrześcianinem zaraz potem. Przypomnienie, nadzieja, wzywanie grzechu zachwycają mnie z wyrzutami sumienia albo bez nich, częstokroć nawet pod postacią i ze wszystkiemi skutkami grzechu... Ten zachwyt mnie, wam, jemu, pisarzom, podoba się przelać na papier i ogłosić gorzej albo lepiej wydany; wcielamy go w formę literacką, zapominając o wszystkich ideałach relegijnych lub uwzględniając wszystkie. Czy można nas potępiać z dobrą wiarą jako poetów? Bynajmniej! Czy sumienie katolickie rezonuje tak lub owak, obchodzi nas niewiele... A teraz, czy wiersze katolickie biednego Leliana zgadzają się z jego innemi utworami? Oczywiście, że tak. Ton nie zmienia się w obudwu wypadkach, tu poważny i prosty, tam kwiecisty, znużony, zdenerwowany i szyderski, ale wszędzie ten sam, jak człowiek mistyczny i zmysłowy zostaje zawsze człowiekiem intelektualnym w różnych przejawach tej samej myśli, która ma swe wyżyny i niziny.“

Znaczy to, przełożone na język zrozumiały: Bywam czasami religijnym, a czasami lubieżnym, co zależy od usposobienia danej chwili, i nie myślę się nigdy krępować. Gdy mi się zachce podrażnień zmysłowych, wówczas przypominam sobie grzech, rozkoszuję się nim, grzebię się w brudzie, odtwarzam pornograficzną stronę życia, zmęczywszy się zaś rozpustą myśli i czynu, rzucam się na stopnie ołtarza - modlę się gorąco, bo mi wyrzuty sumienia sprawiają nową przyjemność.

---

*) Paweł Verlaine; „Les poètes maudits“; Paryż, 1888; str. 98—99.

Mistycyzm więc Verlaine'a jest poprostu odmienną formą rozpusty, rodzajem sztucznego upojenia, rozkoszą chorą, znaną tylko czasom upadku moralno-umysłowego.

Ludzie zdrowi rozumują inaczej. Wierzę — mówią oni — wykonywam ściśle przepisy mojego wyznania, albo nie wierzę i robię, co mi się podoba. Ponieważ chrześciaństwo potępia służbę ciała, przeto, jeżeli chcę być chrześcianinem, powinienem się starać ujarzmić popędy zmysłowe, okiełznać zwierzę, stłumić jego potrzeby do *minimum*. Dążąc do takiego celu, byłbym niemądrym, gdybym się rozmyślnie drażnił, podbudzał, przypominając sobie powabną stronę grzechu. Jako człowiekowi uczciwemu, niewolno mi nadto gorszyć bliźnich obrazami lubieżnemi.

Karol Morice, broniąc *Parallèlement* przed zarzutem niemoralności, mówi *): „Niemoralnością istotną, nieprzebaczoną i jedyną jest smutek, zniechęcenie do życia. Tylko te książki są bezwstydne i niemoralne, które obrzydzają czytelnikowi chęć do wyzyskania władz umysłowych i fizycznych. Złem są: nędza, smutek, choroba i śmierć. Wszystko, co tchnie życiem, co pobudza w nas pragnienie życia, potrzebę rozszerzania się, jest zdrowe, więc moralne.“

Postępując dalej śladem argumentacyi Morice'a, teoretyka dekadentów-symbolistów, doszłoby się do wniosków, którymby przyklasnęły wszystkie śmiecie ludzkości. Bo znaczna część kradzieży, zbrodni, podłości, zabójstw wypływa ze źródła życia, z walki o byt. I rozpustnik nie wyniszczałby się przedwcześnie, gdyby nie wierzył, że uciechy zmysłowe są naturalną potrzebą jego organizmu.

Ani kazuistyka Verlaine'a, ani obrona Morice'a nie wytrzymują krytyki zdrowego rozsądku. Wiernemu chrześcianinowi niewolno napisać takiego *Parallèlement*, lubieżnik zaś, który między jedną pornografią a drugą składa na-

*) Karol Morice; „Verlaine“; Paryż, 1888, str. 86.

bożnie ręce, wznosi oczy w zachwycie mistycznym do nieba, modląc się do „Niepokalanej Panny,“ jest albo obłudnikiem, albo chorym newropatą. Połączenie mistycyzmu i zmysłowości było zawsze świadectwem rozkładania się jakiejś zużytej formy cywilizacyi.

Parallèlement nie było owocem chwilowego obłędu, Verlaine bowiem zapowiedział przez usta „biednego Leliana,“ że wybryki zmysłowe pójdą u niego i w dalszym ciągu „równoległe“ z wybuchami mistycznemi. Co ręka prawa zbuduje, to rozerwie lewa...

Ponieważ o rozmyślną obłudę trudno posądzać poetę, który zdobywa się dość często na dźwięki szczere, natchnione, przeto należy zaliczyć Verlaine'a do umysłów chorych. Bardzo słusznie nazwał się on sam dekadentem. Jego dwulicowość jest skutkiem starganej przez newrozę woli, niezdolnej zapanować nad zachciankami zwierzęcia, niepokojącego każdego człowieka.

Podług Verlaine'a jest miłość zmysłowa taką potęgą, iż nie przemoże jej nawet wrodzona i wychowaniem wzmocniona cnota. W jednej z jego nowel, napisanych prozą, w *Louise Leclercq*, opuszcza dobra, uczciwa, rozumna, czysta dziewczyna bez namysłu ukochanych rodziców z chwilą, gdy się w niej drzemiący dotąd instynkt płciowy ocknął. Bez żalu, bez słowa pożegnania, bez najmniejszego wyrzutu, ucieka Ludwika z domu i oddaje się cała gołowąsemu młodzieniaszkowi, który ją oczarował urodą. Dopiero, kiedy zgasiła pragnienie rozkoszą, wówczas przypomniała sobie ojca i matkę, domyśliwszy się ich smutku po utracie jedynaczki. Starego Leclerq'a zabił wstyd, a jego żonę złamała rozpacz. Ale to drobnostka! Jest przecież religia, która maże winy grzesznika.

Ludwika, wróciwszy z występnej podróży do Paryża, udała się nasamprzód do kościoła. Tu padła na twarz przed wizerunkiem Zbawiciela, a pomodliwszy się gorąco i wy-

spowiadawszy się szczerze, poszła do domu krokiem pewnym. Wiadomość o śmierci ojca przyjęła z chłodną rezygnacyą, do konającej zaś matki przemówiła następnie: „Mamo! Wróciłam do domu na zawsze i uspokój się. Wszystko pójdzie jak najlepiej. Módlmy się za ojca i za twoje zdrowie. Bóg będzie dla nas dobry.“ Kiedy we dwa miesiące potem śmierć uwolniła panią Leclercq od cierpień moralnych i fizycznych, Ludwika wyszła natychmiast za swojego Leona. Czekała tylko na spadek i swobodę. A Verlaine kończy tę powiastkę pochwałą dla Ludwiki: „Ona — mówi — jest dobrą chrześcianką, wyborną matką, kochającą żoną, dzielną kobietą, słowem, jedną na tysiąc.“

Więc dobremi chrześciankami i wzorowemi niewiastami są niewdzięczne córki i aż do okrucieństwa zmysłowe samice? Więc namiętność usuwa wszystkie obowiązki i lepsze uczucia na stronę, tak silna, iż jej nie łamie nic oprócz zadowolenia. Więc wystarcza pomodlić się, wysłuchać nabożnie mszy i wyspowiadać się, aby żyć szczęśliwie bez wyrzutów sumienia na świeżym grobie rodziców i zasłużyć jeszcze na uznanie ludzi?

W żadnym utworze nie zarysowała się przewrotność Verlaine'a tak wyraźnie, jak w tej powiastce. Tylko człowiek chory, który stracił zupełnie poczucie tego, co godziwe a co niegodziwe, może w taki sposób rozumować. I umysły zdrowe znają bardzo dobrze potęgę instynktów, ale starają się niemi owładnąć, ukrócić ich pożądliwość. W epokach szczęśliwych panuje obowiązek nad zmysłowością.

Jak Baudelaire, wcielał i Verlaine praktycznie swoje apetyty. Jego biografowie potrącają dyskretnie o karę więzienia, na którą go sądy skazały za występek przeciw moralności. Sam poeta nie wstydzi się wcale tej sromotnej pokuty, mówi bowiem o niej w poemacie, poświęconym Edmundowi Lepelletier (*Ecrit en 1875;* cykl *Amour.*).

J'ai naguère habité le meilleur des chateaux
Dans le plus fin pays d'eau vive i de coteaux:
Quatre tours s'élevaient sur le front d'autant d'ailes,
Et j'ai longtemps, longtemps habité l'une d'elles.

Jako technik artystyczny, kładzie Verlaine główny nacisk na melodyjność wiersza. W utworze, dedykowanym Karolowi Morice'owi p. t. *Art poétique* zaleca przedewszystkiem muzykę.

De la musique avant toute chose
Et pour cela préfère l'Impair
Plus vague et plus soluble dans l'air,
Sans rien en lui qui pèse ou qui pose.

Staraj się przedewszystkiem o muzykę słowa — uczy — choćby nawet kosztem rytmu i sensu. A dalej:

Il faut aussi que tu n'ailles point
Choisir tes mots sans quelque meprise:
Rien de plus cher que la chanson grise
Ou l'Indècis au Précis se joint.

*

C'est des beaux yeux derrière des voiles
C'est le grand jour tremblant de midi
C'est par un ciel d'antomne attiédi,
Le bleu fouillis des claires étoiles!

*

Car nous voulons la Nuance encor,
Pas la couleur, rien que la nuance!
Oh! la nuance seule fiance
Le rêve au rêve et la flûte au cor!

Omijaj barwy jaskrawe, silne, a szukaj zawsze półtonów; łagódź, o ile się da, wszelką wyrazistość. Piękne oczy są wtedy piękne, gdy patrzą przez woalkę; jasny dzień goreje najwięcej w południe, kiedy jego blask tłumi morze drżącego światła; uroczo świecą gwiazdy na ciepłem niebie

jesiennem. Niech się kontury i barwy zlewają, bo tylko odcienie mają wartość dla poety.

De la musique encore et toujours!

powtarza Verlaine.

Recepcie tej zawdzięcza poezya francuska wistocie kilka pieśni tak dźwięcznych, iż proszą się o wtór muzyczny. *Chanson d'automne*, *Le Rossignol*, *Je devine à travers un murmure... Il pleure dans mon coeur... Avant que tu ne t'en-ailles... La lune blanche...* zostaną niespożytem świadectwem muzykalnego ucha Verlaine'a.

Ale pogoń za dźwięcznością wprowadziła już Verlaine'a tu i owdzie na manowce monotonii. Gdy poeta chce odtworzyć jednostajność ruchu, wówczas powtarza ten sam wyraz kilka razy. Np. w *Chevaux de bois*:

Tournez, tournez, bons chevaux de bois
Tournez cent tours, tournez mille tour,
Tournez souvent et tournez toujours,
Tournez, tournez au son des hautbois.

Albo „*Pierrot gamins*“:

Ce n'est pas Pierrot en herbe,
Non plus que Pierrot en gerbe,
C'est Pierrot, Pierrot, Pierrot.
Pierrot gamin, Pierrot gosse,
Le cerneau hors de la cosse,
C'est Pierrot, Pierrot, Pierrot.

Nie o treść szło tu autorowi, lecz jedynie o zestawienie równobrzmiących dźwięków, do czego skłonność objawił już w pierwszych swoich utworach. *Soleils couchants* i *Crépusucile du soir mystique* Verlaine'a należą do cyklu „Poezyj saturnowych.“

Une aube affaiblie
Verse par les champs

La mélancolie
Des soleils couchants
La mélancolie
Berce de doux chants
Mon coeur qui s'oublie
Aux soleils couchants.
Et d'étranges rêves,
Comme des soleils
Couchants sur les grèves,
Fantômes vermeils,
Défilent sans trêves,
Défilent, pareils
A des grands soleils
Couchant sur les grêves.

(*Soleils couchants*).

Powracające ciągle te same zgłoski: *chants*, *champs*, *lie*, *eils*, *êves*, mają wytwarzać wrażenie senności gasnącego dnia. Gdy się kaprys Verlaine'a rozwinął w zasadę, w formułkę techniczną, wówczas wydał takie dziwactwa jak Maeterlincka „Cieplarnię“ i Rimbaud'a teoryę barwności słowa.

Dość często też lekceważy już Verlaine w prozie składnię i posługuje się sztucznemi zwrotami.

Płodnym i pracowitym Verlaine nie jest. Oprócz poezyj, które zmieściły się wszystkie w jednym tomie, wydał on w przeciągu lat dwudziestu dwie chude wiązanki nowel (*Louise Leclercq; Les mémoires dun veuf*), kilka odręcznie napisanych sylwetek literackich (*Les poètes maudits*), dwadzieścia króciutkich biografij (*Les hommes d'aujourd'hui*) i dwie bardzo słabe jednoaktówki (*Les uns et les autres; Madame Aubin*). Cały jego dorobek autorski nie przekracza ram dwóch zwykłych tomów Charpentier'a lub Lemerre'a. *)

*) Cytując poezye Verlaine'a, posługiwałem się najnowszem wydaniem Charpentier'a p. t. „Choix de poésies“; 1893 r. (Przyp. Aut.).

I umysłu rozległego nie posiada Verlaine. Wyrwał on z czarnych skrzydeł Baudelaire'a tylko dwa pióra, mianowicie: chorobliwą zmysłowość i równie niezdrowy mistycyzm, który rozwinął i pogłębił. Resztę spuścizny po „wielkim przodku“ (*magnus parens*), jak twórcę „Kwiatów zła“ Jarosław Wrchlicky nazwał, rozebrali inni współcześni poeci francuscy.

Maurycy Rollinat upodobał sobie najbrzydszy z pomiędzy cuchnących kwiatów Baudelaire'a. Zapełnił on prawie cały tom (stronnic 390) obrazami: halucynacyj, chorobliwych przywidzeń, nerwowych strachów, zbrodniczych zachcianek, suchot, szkieletów, gnijących trupów i t. p. przysmaków podniebień dekadenckich. Jego *Les Névroses*, wydane po raz pierwszy w r. 1883-cim, miały przez pewien czas takie samo powodzenie, jak Baudelaire'a *Les fleurs du mal*. Najjaskrawsze utwory tej wiązanki deklamowała Sara Bernhardt.

Już samo *motto*, położone na karcie tytułowej książki *), uprzedza czytelnika o jej zawartości. *Putredini dixi: Pater meus es; Mater mea et soror mea, vermibus* — powtórzył Rollinat za Jobem **). Nagłówek ten rozwinął w wierszu wstępnym p. t. „Pamiętaj, iż z prochu pochodzisz“ (*Memento quia pulvis es*).

— Udajesz mocarza i kłócisz się z wiecznością, marny robaku! Jesteś niczem, źdźbłem przemijającem. Rozkosz twoja cierpi, skrzydło ducha twojego zwija się ciągle. Drobną trawką jesteś na brzegu przepaści — przed śmiercią.

A w chwili śmierci?

---

*) Maurycy Rollinat, „Les Névroses,“ wydanie ostatnie Charpentier'a z r. 1892.

**) Job; rozdz. XVII; w. 14. „Do dołu rzekę: ojcem moim jesteś! Ado robaków: wy jesteście matką moją i siostrą moją.“

— Gdy umierasz, twoja ręka zimna i posiniała skubie kołdrę bez możności obrony. Obejmują cię tajemnicze ramiona, których nie widzisz, a w sercu twojem syczy poprzez mroki konania wyrzut sumienia, jak gadzina żałobna.

Tak wyglądasz w chwili zgonu. A po śmierci?

— Kiedy cię włożyli do grobu, wówczas rzuca się na ciebie robactwo, które cię pożera. Jakiś czas będą cię ludzie wspominali, ale wkrótce rozpłyniesz się w ciemnościach niepamięci.

Po tak „słodkiej“ przemowie, nie pominął Rollinat w dalszym ciągu ani jednej okropności nędzy ludzkiej. Jego *Les Névroses* rozpadają się na pięć części (*Les âmes — Les luxures — Les réfuges — Les spectres — Les ténèbres*), z których każda usiłuje z innej strony obrzydzić człowiekowi życie.

Zaraz z pierwszego poematu cyklu p. t. *Les âmes*, z *Le fantome du crime* dowiadujemy się, że „człowiek jest przewrotny albo niebo okrutne.“

L'homme est donc bien pervers, ou le ciel bien féroce!
Pourquoi l'instinct du mal est-il si fort en nous,
Que notre volonté subit son joug atroce
A l'heure où la prière écorche nos genoux? ..

Człowiek jest przewrotny, albo niebo okrutne, bo poetę nachodzą od czasu do czasu szczególne zachcianki. Złe myśli niepokoją jego duszę wszędzie, o każdej porze, nawet wśród pracy. Daremnie broni się Rollinat przeciw ich podszeptom, przywołując na pomoc wszystko, co ludzie wymyślili w celu pokonania nieprawości... Czy chce, czy nie chce, słyszy on w sercu swojem nuty piekielne, poddawane przez szatana.

Mon crâne est un cachot pleiu d'horribles bouffées
Le fantôme du crime à travers ma raison,
Y rôde, pénétrant comme un regard de fées.

Faut-il que ma vertu s'abreuve de poison!
Mon crâne est un cachot plein d'horribles bouffées.

W tym biednym mózgu poety, opętanym przez widmo zbrodni, przebiegają błyskawicą: morderstwo, gwałt, kradzież, ojcobójstwo.

Le meurtre, le viol, le vol, le parricide
Passent dans mon esprit comme un farouche éclair,
Et quoique pour le Bien toujours je me décide,
Je frémis en voyant ramper dans mon enfer
Le meurtre, le viol, le vol, le parricide.

Nic nie pomaga, że Rollinat nienawidzi brudu i zła, że czuje wstręt do wszelkiej podłości. Widmo zbrodni ściga go ciągle, zatruwa mu dzień, przeraża go nocą. Wróg zabójców, chciałby zabijać — surowy sędzia gwałtu, chciałby gwałcić, kraść, oszukiwać, krzywoprzysięgać i t. d.

Wygłaszając takie paradoksy, nie miał Rollinat na myśli urodzonego zbrodniarza, lecz człowieka wogóle. Każda nasza zachcianka jest podłością, każde słowo kłamstwem (*La Parole*).

Chore nerwy poety odezwały się najwyraźniej w dwóch ostatnich cyklach, w *Les spectres* i *Les Ténébres*. Widzi on o północy przy fortepianie kobietę nagą, chudą, umierającą, a obok niej trumnę otwartą (*L'amante macabre*), — opiewa wdzięki dziewczyny, podobnej do kościotrupa (*Mademoiselle Squelette*), — zachwyca się trupem zabalsamowanym (*La morte embaumée*), — gdy pracuje w bibliotece, zdaje się mu, że fotele wyciągają do niego ramiona (*La bibliothèque*), — kocha się w mieszkaniu ponurem, w którem „meble, obrazy, kwiaty nawet zieją piekłem i truciznę“ (*La chambre*), — lituje się szczerze nad pijaczką (*La Buveuse d'absinthe*). — opisuje pozorną śmierć i pogrzeb człowieka, znieczulonego przez letarg (*L'enterré vif*), — odtwarza szczegółowo rozgłośną swojego czasu zbrodnię Troppmana (*Le soliloque de*

Troppmann), — uwielbia dzień deszczowy (*La pluie*), — widok brzytwy budzi w nim pragnienie krwi (*Le rasoir*), — zachciewa się mu romansu z manekinem woskowym (*La dame en cire*) i t. d. Niewytłómaczone niczem trwogi, niepokojące przeczucia, dziwaczne upodobania, nikczemne myśli i apetyty znalazły w Rollinat'cie cierpliwego obserwatora i utalentowanego malarza.

Nicość życia wraca u niego ciągle. Spłowiała już skarga na nędzę człowieka otwiera „Ciemności“ (*Les Ténèbres*).

L'homme est un forfadet qui tombe dans la mort
Grand puits toujours béant sans corde ni margelle
Et dont l'eau taciturne éternellement dort
Sous l'horreur qui la plombe et l'oubli qui la gèle.

*

L'éspoir? Dévision! L'Amour? In ésanit!
La gloire? Triste fleur morte en crevant la terre!
L'illusion se heurte à la réalité
Et notre certitude équivant au mystère.

*

Nous passons fugitifs comme un flot sur la mer
Nous sortons du néant pour y tomber encore,
Et l'infini nous lorgne avec un rire amer
En songeant au fini que sans cesse il dévore.

(*Le gouffre*).

I znów wraca Rollinat po tej ogranej zwrotce do: trupów, zgnilizny, pogrzebów, do halucynacyj i różnych innych zjawisk newrozy. Słowa: *bière*, *cerceuil*, *pourriture*, *putréfaction*, *mort*, *fosse*, *tombeau*, *ulcères chancreux*, *décomposition*, *cadavre*, *suaire*, *poison*, *assasinat*, *horrible*, *affreux* i t. p. powtarzają się u niego ciągle. Jest w *Les Ténèbres* kilka utworów, które działają, jak emetyk (*La putréfaction*, *La bière*).

Skrajny pesymista powinienby się odwrócić ze wstrętem od rozkoszy zmysłowych. Tymczasem nie ustępuje Rollinat pod względem lubieżności bynajmniej Verlaine'owi.

Poświęcił on całą część drugą „Newrozy“ (*Les Luxures*) miłości wyuzdanej. Nawet szelest sukni niewieściej drażni go i roznamiętnia (*Les robes*). Jego: (*La belle fromagère*, *La chair*, *Vierge damnée*, *Les seins*, *La Bête* i in. należą do tej samej rodziny, co *Fille* i *Auburn* Verlaine'a.

Zkąd się po tych wszystkich „dreszczach,“ trwogach, halucynacyach, widmach zbrodni, zachwytach nad gnijącemi trupami i t. d. wziął wiersz, zamykający książkę — na to odpowiedzą chyba tylko psychiatrowie. Bo oto, jak Rollinat kończy swoją „Newrozę“:

Mon Dieu! dans ses rages infimes,
Dans ses tourments, dans ses repos,
Dans ses peurs, dans ses pantomimes,
L'âme vout hèle à tout propos
Du plus profond de ses abîmes!

*

Quant la souffrance avec ses limes
Corrode mon coeur et mes os,
Malgré moi, je crie a vos cimes:
Mon Dieu.

*

Aux coupables trainant leurs crimes,
Aux résignes pleurant leurs maux
Arrivent toujours ces deux mots,
Soupir parlé des deuils intimes,
Vieux refrain des vieilles victimes:
Mon Dieu!

De profundis! nazwał Rollinat ten niespodziewany epilog. Być może, iż i on pójdzie jeszcze kiedyś śladami Verlaine'a i nastroi lutnię do mistycznego hymnu. Wprawdzie modlił się raz w „Newrozie“ do szatana (*La dame en cire*), ale tylko o... damę z wosku. Bluźnierstwo odziedziczył po Baudelairze inny śpiewak współczesnego parnasu francuskiego. Jan Richepin to postanowił zadziwić świat bezwzględnym ateizmem, przeraziwszy ludzi poprzednio brudem i podłością nędzy (*Chanson des gueux*).

Głupcami są, podług Richepin'a, (*Les Blaphèmes;* przedmowa), wierni i niewierni, nabożni i oświeceni, wyznawcy istniejących religij, deiści, wolnomyśliciele, pozytywiści, materyaliści, sceptycy, szczerzy i obłudni, uczeni i ciemni.

Cóż skłoniło poetę do takiego pesymizmu? „Oto ma się znów jedno stulecie ku zachodowi, i znów zstępuje stary ród ludzki w dolinę, nie widząc kresu swojej drogi... dni wydają się mu długie, chociaż istnienie jego jest krótkie... Bo te dni są puste... Wiemy-ż, dokąd idziemy?“ (*Prologue*).

Powtórzywszy znane skargi na niemoc rozumu i nicość wiedzy, zabrał się Richepin bardzo systematycznie do czytelnika. Zanim mu zohydził bogów, obrzydził mu nasamprzód życie (*La vie*). „Nie, nie mówcie mi o wiośnie, o życiu... mówcie mi raczej o zimie, o śmierci“.,.

Non. ne me parlez pas du printemps, de la vie
Qui sourd, jaillit, déborde, et vomit son orgueil!
Parlez-moi de l'hiver calme, qui vous convie
A rester immobile ainsi qu'en un cercueil.

Bo cóż to jest życie? Zawsze ten sam zachód i wschód słońca, te same pory roku, narodziny, smierć i t. d. Jest ono pijaną ladacznicą, która wyje i toczy się w nieskończoność, nie wiedząc jak i dlaczego.“

La vie est une ..... soûle
Qui dans l'infini hurle et roule
Sans savoir comment ni pourquoi.

Bredzicie o świętości rodziny, ogniska domowego! Śliczna mi świętość! Posłuchajcie, co mówię o tych ideałach ludzkości (*Tes père et mère*) *).

---

*) Richepin'a nie można zawsze powtórzyć. Nie przebiera on ani w wyrażeniach, ani w obrazach. (Przyp. aut.).

Chwalicie lata dziecinne, młodzieńcze! Ładna epoka, w której zamęczają dziecko lekcyami i nudą (*Le bon temps*).

Zachwycacie się łzą, nazywając ją najsłodszym z likierów, dyamentem serca i t. p. Drwijcie z tych obrazów poetyckich. Trochę wody, soli, fosfatu wapiennego... oto łza (*Analyse*).

Rozkoszujecie się t. zw. czystą miłością! Czysta miłość?! Śmiejcie się z tego (*Amours purs*).

Wskazujecie z dumą na wiedzę, spodziewając się od niej odpowiedzi na pytania, które was niepokoją. Kiedyż to nastąpi? Nie łudźcie się (*Savoir*).

Pniecie się coraz wyżej w górę! Na co? Daremnie szturmujemy do nieba. W miarę, jak się do niego zbliżamy, ucieka ono przed nami, a my spadamy zawsze na dół, zmęczeni, pokonani (*La tour de Babel*).

Przeszedłszy kolejno wszystkie rozkosze, złudzenia i ambicye człowieka w szeregu sonetów, które nazwał „gorzkiemi“ (*Sonnets amèrs*), Richepin zamknął swoją jeremiadę zapytaniem (*Alors?*) i pocieszającą odpowiedzią (*Reprise d'espoir*).

Si les doux souvenirs d'enfance, si les larmes
Exquises de l'amour, si l'orgueil du devoir,
Si le desir furtif de voler le savoir,
Si l'âpre volupté de la lutte et des armes i t. d.

jeżeli wszystko a wszystko zawodzi, nuży, jeżeli nawet nicość nie potrafi nas pocieszyć, cóż w takim razie uczynić? Czy targnąć się na życie? (*Alors?*).

Non, non, cela n'est pas possible, je vous, dis!
Je ne me sens pas fait pour la plainte éternelle.
Car le soleil est bon, réjouit ma prunelle,
Sourit dans le matin, flambe dons les midis;
*
Car l'amour plane encor par les cieux attiédis;
Car la terre est joyeuse, et douce et maternelle;

Car je suis son enfant, j'ai foi, j'espère en elle,
Je veux dans son giron trouver mon paradis.

Nie trzeba umierać, bo słońce, miłość, życie doczesne sprawiają przyjemność, są dobrem. To bogowie zatruli ludziom każdą rozkosz. Ich należy usunąć, zniszczyć raz na zawsze (*Reprise d'éspoir*).

Po takim wstępie przystąpił Richepin do samego tematu, do bluźnierstwa, i prześcignął w istocie wszystko, co rozpacz ludzka wydała dotąd w tym kierunku. Nie ma tej zbrodni, którejby autor nie zarzucił bogom. Oni zawinili nędzę człowieka, jego cierpienia i podłości, oni stworzyli na ziemi piekło. Richepin grzmi przeciwko niebu z zuchwalstwem szalonego, a gdy mu się słowo silne zbyt słabem wydaje, wówczas posługuje się plugawemi dowcipami, zaczerpniętemi z humoru pijanych włóczęgów (patrz: *La réponse du cyclope; Bréviaire d'histoire sainte*).

Rozumie się, że i jego ideałem jest szatan, bluźniercy bowiem wszystkich czasów zwracali się zawsze z modlitwą do jakiegoś wcielenia złości. Na cześć dyabla napisał Richepin bardzo długą apologię (*L'apologie du diable*). *)

Zdawało się Richepin'owi, że oburzy przeciw sobie cały świat cywilizowany, że przerazi i zadziwi ludzkość swoją „odwagą." Wierzył, iż zamordował religię raz na zawsze, uniemożliwiwszy wszelki powrót do Boga.

*) Jan Richepin, ur. w r. 1849 w Algeryi, w Medeot, należy do płodniejszych autorów francuskich chwili obecnej. Oprócz „La chanson des gueux" i „Les Blasphèmes" wydał jeszcze dwa tomy poezyi: „Les caresses" i „La mer." Prozą napisał cały szereg powieści i nowel: „La Glu"; „Madame André"; „Les morts bizarres"; „Miarka la fille á l'ourse"; „Le pavé"; „Braves gens": „Césarine"; „Le cadet"; „Truandailes";„Cauchemars"; „La miseloque"; „L'aimé" i in. I dla teatru napisał kilka dramatów i komedyj: „Par le glaive": „La Glu"; „Nana-Sahib"; „Le flibustier"; „Le mage."

Richepin zadziwił rzeczywiście inteligencyę współczesną, ale nie w takiem rozumieniu, jak się spodziewał. Nie reformę w pojęciach wywołał, lecz tylko niesmak. Od jego grubych, ordynaryjnych bluźnierstw, przypominających wybryki studenta, chełpiącego się wczoraj zdobytym ateizmem, odwrócili się nawet dekadenci. Paweł Verlaine nazwał jego dowcipy *de grosses cochonneries ou des inepties rancies* *).

I Baudelaire bluźnił, ale na dnie jego wybuchów ateistycznych drżała łza rozbitka moralno-umysłowego, którego świadomość niecnoty ludzkiej doprowadziła do rozpaczy. Nie dlatego bluźnił, aby bluźnić, lecz dlatego, że mu życie, na które patrzał, obrzydło. Gdyby się był urodził w innej, jaśniejszej epoce, nie byłby się walał w brudzie i pisał hymnów na cześć szatana.

Jest znaczna różnica między Baudelaire'm a jego potomkami po duchu. Autor „Kwiatów zła," umysł szeroki, talent pierwszorzędny, ogarniał wszystkie stosunki ludzkie, zaglądał do wszystkich przepaści i ścieków życia. Materyalista i sceptyk w dużym stylu, widział całą nędzę tej ziemi.

Znienawidziwszy człowieka, cisnął mu w twarz pełną garść obelg i brudów, z których sączy głęboki żal rozczarowania. Aureola poezyi błyszczy nad jego tworami. Błyszczy fosforycznie, błękitnawym blaskiem rozkładu, zgnilizny, ale świeci.

Inaczej u następców Baudelaire'a. Rozszarpali oni pesymizm mistrza na strzępy, podzielili się jego skrawkami i postanowili niemi ludzi straszyć. Ani w plugawych obrazach Rollinat'a, ani w bluźnierczych deklamacyach Richepin'a, nie czuć szczerości. Dziwactwa te robią wrażenie

---

*) Paweł Verlaine; „Les hommes d'aujourd'hui"; sylwetka Richepin'a.

wypracowań, napisanych rozmyślnie na temat zadany. Nie wytrysnęły one z duszy autorów z siłą żywiołu, druzgoczącego wszelkie zapory. Nie kipiące natchnienie poety je wydało, lecz chłodny rozum rzemieślnika.

W pierwszej chwili przerażają wistocie potworności Rollinat'a i Richepin'a. Gdy się jednak myśl otrząśnie ze zdumienia, wówczas wywołują owe halucynacye neurastenika i bluźnierstwa brawującego ateusza skutek wręcz przeciwny temu, jaki twórcy ich zamierzali. Rollinat i Richepin nie oburzają, lecz bawią, wprawiają w usposobienie wesołe. Tylko komizmem należy nazwać to usiłowanie zwrócenia na siebie uwagi, „narobienia wrzawy," bez względu na środki. Richepin, grożący pięścią bogom, przypomina obłąkanego Kaligulę, który kazał swojej służbie „robić grzmot," aby przekonać niewiernych, że i on potrafi to samo, co Jowisz.

Jak wszyscy epigoni Baudelaire'a, jest i Richepin lubieżnikiem. Poświęcił on rozkoszom zmysłowym osobną wiązankę poezyi p. t. „*Les caresses.*" W tomiku tym czytamy, między innemi, następujące określenie miłości:

L'amour que je sens, l'amour qui me cuit,
Ce n'est pas l'amour chaste et platonique,
Sorbet à la neige avec un biscuit;
C'est l'amour de chair, c'est un plat tonique.

Albo:

Vos amours, ô bourgeois, sont des fromages mous;
Le nôtre, un océan d'alcool plein de remous.

I w tym kierunku usiłował Richepin... przerazić „ludzi poczciwych."

V.

Dekadenci-symboliści francuscy.

Od lat kilku patrzy świat cywilizowany, zajmujący się literaturą francuską więcej, aniżeli to potrzebne, na widowisko szczególnego rodzaju. Oto uchodzi w pewnem kółku gromadka poetów i prozaików, których elukubracyj nikt nie rozumie, za znakomitych mistrzów, za proroków przyszłości.

Kiedy w r. 1891 wyszła wiązanka wierszyków Jana Moréas'a p. t. *Le Pèlerin Passioné*, wyprawili mu koledzy bankiet, na którym ogłosili go twórcą nowej szkoły literackiej, nowej sztuki pionierem. Publiczność zdziwiła się nasamprzód, a następnie uwierzyła prawdopodobnie w posłannictwo Moréas'a, poezye jego bowiem doczekały się w krótkim czasie drugiego wydania.

Zaraz pierwszy „poemat“ zbiorku p. t. *Le Pèlerin Passioné* *), zaraz owa „Enona o jasnej twarzy“ (*Enone au clair visage*) zdumiewa... głębią bez dna.

— Skończyła już na noc bieżącą swoją drogę — Gwiazda, co radzi kochać. Niestety, słuchaj — Nie mów do mnie:

*) Posługiwałem się ostatniem wydaniem Leona Vanier'a p. t. „Le Pèlerin Passioné“ édition réfondue; 1893 r. (Przyp. aut.).

na co ta miłość szalona? Nigdy — Rozgrzewając mi powtórnie krew grzeszną żądzą — Łuk nie będzie naciągnięty, ani strzały wypuszczone.

— Gdy zgasło, widzisz światło gwiazdy — Zaiste, znaczy to, że trzecia część czasu przeminęła. — Nie, nie mów do mnie: dlaczego ta miłość szalona? — Młoda łodyga, podobna do owego szlachetnego palmowca — Który widział Ulysses pewnego razu w ponurem Delos.

— Pozwól, pozwól Cyprydzie zejść z horyzontu — Powietrze jest całe przesiąkłe pyłkami czułych kwiatów — Zamknij twe oczy kochane. — Ponieważ cień, który się wzmaga, ukrył je przedemną. — Apollo mnie kocha a syn Merkurego — Dobry Pan koźlorogi, miał staranie o moich latach młodych — W świętem Cylene, gdzie nimfy wód — Mnie karmiły, własną ręką ściąłem dużo trzcin — Za pomocą sztuki przemyślnej umiem znakomicie udawać — Szczyt lasów, gdy go poranek budzi.

Powie kto może, iż przekład nie oddał myśli autora. Dla kontroli niech służy tekst oryginału:

Elle a fini déjà, pour cette nuit, sa route,
L'étoile qui d'aimer conseille. Hélas! écoute,
Ne me dis pas: Pourquoi ce fol amour? Jamais,
Me renflammant le sang d'une conpable envie.
L'arc ne sera tendu, ni encochés les traits.
Si la lumière, vois, de l'étoile a baissé,
Certes, c'est que le tiers des heures a passé.
Non, non, ne me dis pas: Pourquoi ce fol amour?
Jeune tige, pareille à ce noble palmier
Qne dans l'âpre Délos Ulysse vit un jour.

*

Laisse, laisse Cypris à l'horizon descendre,
L'air est tout imprégné du pollen des fleurs tendres;
Ferme tes yeux aimés,
Puisque l'ombre qui croît me les a dérobés,
Apollon me chérit, et le fils de Mercure,
Le bon Pan corne-bouc, de mon jenne âge eut cure.

Dans le sacré Cyllène ou les Nymphes des eaux
M'ont nourri, de ma main j'ai coupé maints roseaux:
D'un art industrieux j'y sais feindre à merveille
La cime des forêts, quand le matin l'éveille.

W takim razie zadrwił sobie prawdopodobnie Moréas z naiwnych, trudno bowiem uwierzyć, aby człowiek przy zdrowych zmysłach mógł powyższą mieszaninę słów i obrazów, nie łączących się z sobą w całość rozumną, nazwać dziełem sztuki. Jego „pieśń“ do Enony jest sztuczką, zabawką... Dalsze poezye mają niezawodnie jakiś sens...

Przewracamy kilka kartek i czytamy znów (str. 17).

— Zboża dojrzeją pod Rakiem płomiennym — I Bachus odrodzi się z grona wyciśniętego — Hyady przyjdą i przyjdą swoją drogą — Złowrogie przymrozki, które sieje Boreasz. — Woda skrapla się z łagodnym szelestem, łąki olśniewają — Teraz są dni, zwiastujące wiosnę — Dyana nie prowadzi jeszcze dzikiej sfory — Filomela wzdycha na wierzchołku lasów — Łuk giętki z Cypru wstrząsa swemi strzałami — Eter, źródło życia...

Les blés auront mûri sous le Cancer ardent
Et Bacchus renaîtra de la grappe foulée,
Les Hyades viendront, et viendront à leur tour
Les funestes frimas qui sème le Borée.
L'eau s'égoutte à doux bruit, les prés sont éclatants,
A présent sont les jours messagers du printemps,
Diane encor' ne guide une meute hardie
Philomèle soupire au plus haut des forêts,
L'arc flexible de Cypre ébranle de ses traits
L'Ether, source de vie.

Przewracamy jeszcze kilka kartek i znajdujemy (str. 25):

— Dumna wiosno zdobywco, coś mnie nadużyła — I jakim fałszywym pozorem serce mi złamałaś — Jaskółka obecnie uciekła na morze — Krzyk ptaka błotnego przypro-

wadza nam deszcz — Przezorny rolnik, który myśli o swoich domkach — Siekierą ścina w smutnych lasach — Dąb, który rozpościera na ziemi swoje liście — Nieszczęśliwa jesieni, jak kocham twoje oblicze!

Fier printemps-ravisseur, que tu m'as abusé,
Et de quel faux semblant tu as mon coeur brisé!
L'hirondelle à présent sur la mer s'est enfuie,
Le cri de l'échassier nous ramène la pluie;
Le prudent laboureur qui songe à ses guérets
De la cognée abat dans les tristes forêts
L'yeuse qui répand à terre son feuillage.
Automne malheureux, que j'aime ton visage.

Miłość do jakiejś Enony odebrała Moréas'owi niewątpliwie rozum. Rozkochawszy się do szału, stracił zdolność logicznej myśli i jasnego obrazu. Szukajmy więc dalej. Może na inny przeszedłszy temat, opamiętał się, oprzytomniał.

— Wdzięczne stado młodych kurtyzan — Igra i śmieje się w lesie mojej duszy — Milczący drwal i albo uderza swoją siekierą w lesie mojej duszy. — Czyli-ż nie kazałem śpiewać pod mojemi palcami — (drwalu, uderzaj!) skręconej lutni trzy razy? — (drwalu, uderzaj!) Nie jest-że moja dusza — Jak ktoś, co przynagla szybkie bieguny? (str. 96).

Un troupeau gracieux de jeunes courtisanes
S'ébat et rit dans la forêt de mon âme.
*
Un bûcheron taciturne et ou frappe
De sa cognée dans la forêt de mon âme.
*
Mais n'ai-je pas fait chanter sous mes doigts
(Bûcheron, frappe!) la lyre torse trois fois!
*
(Bûcheron, frappe!) N'est-lelle pas, mon âme,
Comme un qui presse de rapides coursiers!

I tak ciągle przez cały tomik, przez 150 stronnic. Cudzoziemiec, nie przypuszczający, aby coś podobnego można

drukować pod banderą poezyi, nie ufa zrazu swojej francuszczyznie. Może nie znam dostatecznie języka — tłómaczy autora przed sobą — może nie odczuwam subtelności wytwornego słowa. I czyta po raz drugi, trzeci. Ale nie, to wyrazy francuskie, tu i owdzie zaczerpnięte ze słownika romańskiego schyłku wieków średnich, tu i owdzie jakieś nowe, nieznane autorom klasycznym, lecz zawsze francuskie. Trzeba je więc złączyć z sobą i dotrzeć do ich treści. Ani sposób... Jedno zdanie odcina się od drugiego, jakby do niego nie należało, jeden wyraz znosi znaczenie poprzedniego. Chaotyczna to gadanina, przypominająca gawędy obłąkanych.

Może inny dekadent będzie zrozumialszym. Gustawa Kahn'a zaliczają koledzy do teoretyków szkoły, do szampionów. Był on naczelnym redaktorem czasopisma p. t. *La Vogue*. Jako polemista i doktryner powinien się był nauczyć jasnego wykładu. Wydał on książkę tak dużą, tak poważną pod względem typograficznym, iż wypełnił chyba jej wspaniałe ramy poezyami, obliczonemi na długie lata. *Les Palais Nomades* nazwał to dzieło. *)

Otwieramy owe *Palais Nomades* gdziekolwiekbądź, np. na stronie dwunastej i czytamy:

— Ku falowaniu przyszłych — Poprzez wysmukłe wyniosłości masztów — dmnie wicher przygód — Ku nader szybkim zniweczeniom — O, stare serce cierpiące, skręcone torturami! — W gęstości nocy, bez pieszczoty i księżyca — Pieśń majtka wysoko usadowionego w koszu — Kołysze długie smutki, które idą płakać do jednej. — Atlantydy, Tuleje — Het tam fale niebieskie — Wy je chowacie dla stad — Mew. Piękni jubilaci, oczekujący czystych obok mauzoleów. — Kołysze długi smutek, który krzyczy swojemu wy-

*) Gustaw Kahn; „Les Palais Nomades"; Paryż, 1887 r.

głądowi — Komecie z rozwianym łagodnie włosem — Do jej stóp, na fali, w zielonawych odcieniach. — Wygrzewać się jak dobra jaszczurka w rafinowanych rytmach sztuk; — Na miękkich kanapkach przypadków — Panować nad swojem marzeniem jak Cezar; — Skończyć daleko od portów w dziwnej łódeczce.

Vers l'ondoyance des futurs
A travers des sveltes mâtures,
Souffle le vent des aventures
Vers de très brefs déléaturs.
O vieux coeur souffrant tordu de tortures!

*

Dans l'épaisseur de nuit, sans caresse et sans lune,
Chanson du matelot haut perché dans la hune
Berce les longs regrets qui vont pleurer vers une

*

Les Atlantides, les Thulés,
Par là-bas vague cérulées
Vous les gardez aux envolées
Des goëlands. Les beaux jubilés
Attendant les purs près des mausolées.

*

Berce le long regret qui crie à son allure
A la comète éparse en lente chevelure,
A ses pieds, sur la vague, en verdâtres moulures.

*

Se chauffer comme un bon lézard
Aux rythmes raffinés des arts;
Sur les doux divans des hasards,
Dominer son rêve en César;
Finir loin des ports en jongue bizarre.

Jeszcze jeden „poemat“ (str. 65).

— Park milczenia, nieprzejrzystość — Śmiertelna ślepota mojego ja — Ku buduarom wybitym jedwabiem — Podąża jego (czy jej?) szczerość. — W tej chwili był bal rozbrzmiewający — Potem szeroka przestrzeń liliowych fal — I przytłumienie omdleń synowskich — I dyskretne szalone

wołania tryumfu — Parku milczenia, w którym wszystko jest zamknięte — Łagodny tryl wznosi się ku niebu — Zakochują się czyste substancye duszy: srebrne, dyskretne dzwoneczki rozbrzmiewają — Bieg somnambuliczny ku przepaściom.

Parc du silence, opacité
Mortelle cécité du soi,
Vers les boudoirs, tendus de soie
Volète sa sincérité.

*

Tout à l'heure, c'était sonorant le bal
Puis, large, la vague aux nappes filiales,
Et l'assourdissement de langeurs filiales,
Et les discrets appels du triomphal.

*

Parc du silence où tout est clos,
Une trille lent volète aux cimes,
S'enamourent les purs azymes
De l'âme: argentins discrets tintent des grelots.
Course somnambulique aux abymes

I tak dalej przez stron 171. Wszędzie ten sam szum niezrozumiałych dla przeciętnego śmiertelnika określeń i obrazów, wszędzie dziwaczne, dawno zapomniane słowa, których znaczenia trzeba szukać w specyalnych encyklopedyach. Tu i owdzie mignie czasem słaby odblask jakiegoś sensu — można się czegoś domyślić, złączyć kilka zdań w całość logiczną — ale dzieje się to bardzo rzadko.

W sposób powyższy „śpiewa“ obecnie we Francyi liczna drużyna młodych poetów, nazywanych przez krytykę rozmaicie (*hydropathes*, *déliquescents*, *incohérents*, *décadents*, *symbolistes*, *instrumentistes*). Oni sami przyznają się do tytułu „dekadentów“ lub „symbolistów“ albo najchętniej „dekadentów-symbolistów.“ Do grupy tej należą, oprócz Moréas'a i Kahn'a, Edmund Haraucourt, Wawrzyniec Tailhade, Karol Morice, Maurycy du Plessys, Juliusz Laforgue, Karol Vignier, Paweł Adam i in. Mianują się oni wszyscy prawowitymi wnukami Baudelaire'a, a synami Verlaine'a

Zdziwiłby się bardzo przeciętny śmiertelnik, gdyby wiedział, co o nim sądzą dekadenci-symboliści. On widzi w ich dziwacznych elukubracyach chore twory osłabionego mózgu, oni zaś gardzą filistrem, który „nie potrafi się wznieść do wyżyn najwyższej formy sztuki.“ Bo te obłąkane gadaniny Moréas'ów, Kahn'ów *et consortes* nie są bynajmniej bezmyślną igraszką, jakby się na pierwsze spojrzenie zdawało. Są to dzieła artystyczne, pomyślane głęboko, oryginalnie, pisane rozmyślnie tak, żeby były przystępne tylko dla małego koła wybranych.“ Dekadenci rozumieją się pomiędzy sobą, o „motłoch“ zaś nie dbają. Ponieważ jednak mimo tej pogardy dla „tłumu,“ gniewają się, gdy się książki, oddane na użytek publiczny, nie rozchodzą, przeto wolno kupującemu zapytać o wartość zalecanego towaru.

Co sami dekadenci mówią o sobie, jest tak zawiłe, zagmatwane, jak ich utwory. Teorye: Morice'a, Kahn'a, Mallarmé'go i in. nic rzucają wcale światła na misterye nowej szkoły *). Łatwiej rozwiąże się zagadkę bez ich pomocy.

Wsłuchawszy się dobrze w poezyę dekadentów, w brzmienie wyrazów, składanych przez nich bez troski o spoistość logiczną, o sens, wyrażając się trywialnie, dostrzega się w tej bezładnej mieszaninie określeń i obrazów jakiś plan, jakąś robotę rozmyślną. Ci ludzie chcą czegoś, ale czego? Nie bez celu zestawiają oni obok siebie zdania, które nie tworzą jednolitej całości.

Profan, przywykły do wnikania myślą w dzieła ducha, nie umie sobie zdać sprawy z dążności najnowszej poezyi francuskiej. Bo nie dla mózgu piszą dekadenci swoje utwory, lecz przedewszystkiem dla ucha. Trzeba ich czytać *uchem*, a wówczas rozumie się ich bez trudności.

---

*) Porównaj studyum p. t. „Na Schyłku Wieku,“ str. 130—145; 192. —203 (Przyp. aut.).

Ktoby chciał szukać rozumnej treści w wierszach Kahn'a:

Vers l'ondoyance des futurs
A travers des sveltes mâtures,
Souffle le vent des avantures
Vers de très brefs deléatur.
O vieux coeur souffrant tordu de tortures –

wysilałby się niepotrzebnie. Ale komu wystarcza muzykalność słowa, przyjemne łaskotanie słuchu, ten będzie autorowi wdzięcznym za jego monotonne rymy (*ures*) i miękkie dźwięki (*sveltes*, *vent*, *vieux*).

Już Baudelaire, wyznawca doktryny „sztuka dla sztuki," poświęcał tu i owdzie treść dla melodyjności wiersza. Tego samego grzechu dopuszcza się czasami i Verlaine, ale ani dziad, ani ojciec dekadentyzmu nie wynieśli kaprysu do stanowiska zasady. Wprawdzie powtarza Verlaine w swojem „*Art poétique*" po kilka razy: *de la musique encore et toujours* i ma na sumieniu tak nieudolną „muzykę," jak owe *Chevaux de bois* (*Tournez, tournez...*), *Pierrot gamin* (*Ce n'est pas Pierrot en herbe...*), jednakże nawet tam, gdzie bawi się „wywoływaniem wrażenia," nie zapomina o warunkach podstawowych dzieła myśli ludzkiej. Zwroty i zdania łączą się u niego prawie zawsze w całość zaokrągloną, zrozumiałą bez komentarza.

Co dla mistrzów miało wartość eksperymentu artystycznego, co było dla nich igraszką, stało się dla epigonów, jak zwykle, prawem najwyższem. Mali potomkowie „wielkiego przodka," zbyt niedołężni, aby się mogli wznieść do siły duchowej Baudelaire'a, pochwycili z jego spuścizny drugorzędną wskazówkę techniczną i ukuli z niej doktrynę, teoryę. Muzykalność słowa jest dla wielu z nich jedynym celem poezyi. Dla niej to zestawiają obok siebie wyrazy, nie dopełniające się nawzajem, dla niej grzebią się w słownikach zapomnianych dyalektów, polując na równobrzmią-

ce zgłoski i rymy. Czy utworzony w ten sposób wiersz coś oznacza, lub też nie, czy następnik znosi wręcz poprzednik— nie wiele ich obchodzi. Nie o treść im idzie, lecz jedynie o dźwięczność. Wynika z tego, że utwory ich, przełożone na obcy język (na inne dźwięki), tracą wszelką wartość, co bowiem w oryginale jęczało, szumiało, płakało i t. d., może w tłómaczeniu syczeć, piszczeć, huczeć.

Dla dźwięczności powtarzają dekadenci te same słowa i te same wiersze kilka razy w jednej zwrotce. Dzieje się to głównie tam, gdzie chcą wywołać wrażenie jednostajności, tęsknoty, smutku, zachodzącego słońca.

Należy przyznać, iż owa muzykalność słowa wytwarza czasami wistocie wiersze tak melodyjne, że wydają się jakby utkane z tonów powiewnych. Ale i pieśni romatyków grają, chociaż liczą się ze składnią i zdrowym rozsądkiem.

Idąc dalej w kierunku dźwięczności wiersza, doszli dekadenci do t. zw. instrumentacyi słowa (*L'instrumentation verbale*), której teoryę wymyślił Rhené Ghil.

Rhené Ghil wydał w r. 1886-tym rozprawkę p. t. *Traité du Verbe*. Najnowsze wydanie tej dziwnej broszury wyszło w r. 1891-ym pod zmienionym tytułem *).

W dziełku Ghil'a jest wszystko „nadzwyczajne," począwszy od dedykacyi, a skończywszy na stronie typograficznej książki. Autor przemawia do żony swojej w sposób następujący:

„Attestant que ton nom de souffle, ô d'Epouse à laurer
„de tes mains de repos mes songes, là instrument est!
„perpétuel d'être mon souffle: comme porteuse au plus
„futur d'heur et d'amour et de serment, va vers De-
„main l'Oeuvre d'espoir."

---

*) Rhené Ghil; „Oeuvre"; „En méthode à l'oeuvre; 1891 r.

Przetłómaczona dosłownie znaczy ta dedykacya mniej więcej: *) „Poświadczając, że twoje imię tchnienia, o małżonki do wieńczenia swemi rękami moich snów wypoczynku, tam nieustannie jest! Nieskończenie bytujące moje tchnienie: jako roznosicielka do najdalszych przyszłości szczęścia, miłości i przysięgi, idź w jutro „dzieło“ nadziei.“

I osobną interpunkcyę, jak poświadcza dedykacya Ghil'a, wymyślili sobie dekadenci. Służy ona do jeszcze większego zaciemnienia ciemnej treści.

Już sama inwokacya, wystósowana do pani Ghil, może zniechęcić czytelnika do rozprawki jej małżonka. Kogo ona nie zraziła, ten straci niewątpliwie ochotę do badania doktryny „instrumentacyi słowa“ zaraz po dwóch pierwszych stronnicach traktatu.

Pomijając filozofię Ghil'a (*En méthode à l'oeuvre*), nad którą trzeba ślęczeć, jak nad majakami mistyka średniowiecznego, dowiadujemy się z części trzeciej jego *Oeuvre* (*Manière d'art*) nasamprzód tej nowiny, że brzmienia samogłosek i spółgłosek odpowiadają tonom pewnych instrumentów. I tak grają *f. l. s.*, jak długie, pierwotne, flety; — *p. r. s.*, jak niższy rejestr saksofonu; — *r, s*, jak wyższy rejestr saksofonu; — *l, r, s, z*, jak rogi, fagoty, oboe; *f, l, r, s, z*, jak trąbki, klarynety, piszczałki i małe flety; — *d, g, h, l, p, q, r, t, x*, jak skrzypce, gitary i harfy: — *ll, r, s, v, z*, jak basy i wiole. Każda spółgłoska może brzmieć rozmaicie, co zależy od połączonej z nią samogłoski. Długie pierwotne flety naśladują *f. l. s.*, przyczepione do: *oû, ou, iou oui* (*fou, liou, sou, fous*); *l, r, s, z*, dodane do *eû, eu, ieu, eui* przypominają róg, fagot lub oboje (*leu, lieu, sieu, reui*) i t. d.

---

*) Tłómacząc dekadentów-symbolistów nie można twierdzić nigdy na pewno, że się powiedziało to, co oni w danym wypadku myśleli, podkładają oni bowiem często wyrazom znaczenie dowolne.

A nietylko osobne dźwięki wydają z siebie samogłoski i spółgłoski. Można za ich pomocą wyrazić pewne uczucia i pojęcia. *A*, *o*, *m* uzmysławiają wielkość, pełnię czegoś — *é*, *i* wytworność, żałobę, — *o*, *r*, *s*, *x* potężne namiętności, gwałtowność, szorstkość, — *u*, *n* wątpliwość, rzeczy zakryte. Najgiętszem, nadającem się do najbogatszych odcieniów, jest *e*.

Niedość na tem. Spółgłoski i samogłoski posiadają, oprócz dźwięczności i znaczenia symbolicznego, także barwę. *Oû*, *ou*, *iou*, *oui* są czarne z odcieniem rudawym; *ô*, *o*, *io*, *oi* — czerwone; *â*, *a*, *ai* — purpurowe, *eû*, *eu*, *ieu*, *eui* — różowe z odcieniem złotawym.

Ghil umieścił w swojem *Oeuvre* (str. 25—29) kilka tablic dźwięków, uczuć, pojęć i barw, wyrażonych przez spółgłoski i samogłoski.

Tego ukrytego znaczenia głosek nie zna oczywiście przeciętny śmiertelnik, „posługujący się mową bezmyślnie.“ Odczuwają je i rozumieją tylko „natury wybrane.“

Takiego rezultatu nie spodziewał się zapewne „naiwny, grubouchy czytelnik,“ który żąda, aby się słowa składały w zdania, zbudowane prawidłowo i wyrażały jakąś treść rozumną. To nie oni, dekadenci bredzą, jak obłąkani lub dzicy, to nie oni stracili poczucie jednolitości i całości, lecz on „motłoch,“ nie potrafi się wznieść do wyżyn ich wytwornej sztuki. Bo dopiero subtelna instrumentacya słowa — jak uczy Ghil — jest prawdziwym artyzmem. Obejmuje ona sobą język, muzykę i malarstwo, jako ostatni wyraz sztuki...

Więc to, co się na pierwsze spojrzenie wydawało przypadkowem zestawieniem niedopełniających się nawzajem wyrazów, jest kombinacyą obmyślaną, wytworzoną rozmyślnie. W pocie czoła pracują nieraz dekadenci, aby zbudować poemat, z którego „niemądry motłoch“ drwi... ciemny i niewtajemniczony.

Ileż to np. „artyzmu“ włożył Ghil w utwór, z którego żartują wszyscy krytycy, należący pojęciami i gustami do „plebejuszów.“

Ouïs! ouïs aux nues haut et nues ou
Tirent-ils d'aile immense qui vire...
et quand vide
et vers les grands pétales dans l'air plus aride —
(Et en le lourd venir grandi lent stridule, et
Titille qui n'alentisse d'air qui dure et!
Grandie, erratile et multiple d'éveils, stride
Mixte, plainte et splendeur! la plénitude aride),
et vers les grands pétales d'agitations
Lors évanouissait un vol ardent qui stride...
(des saltigrades doux n'iront plus vers les mers).

„Plebs umysłowy“ chce się doszukać trywialnego sensu w powyższym utworze, chce, aby on coś znaczył w rozumieniu pospolitem, aby przemawiał do rozumu... Rozum!? Któż zważa na upodobania tego ordynaryjnego mieszczucha, któremu trzeba wszystko łopatą do głowy włożyć... Nie o sens chodziło Ghil'owi... wytwornemu artyście... lecz o instrumentacyę słowa, o wrażenie. Rozum nazwie ten rodzaj sztuki zjawiskiem patologicznem, chorobą, ciemny bowiem episier nie wie, że co było dawniej patologią, jest obecnie normą, prawem powszechnem (*que le cas dit pathologique se multiplie normal;* Ghil; j. w. str. 27).

Co Ghil zamknął w ramach doktryny, to zastosował już przed nim praktycznie Artur Rimbaud, autor rozgłośnego sonetu p. t. *Voyelles* *). Wprawdzie zadrwił sobie podobno Rimbaud z ludzi, jak twierdzi Morice, ale jego „Samogłoski“ obiegły mimo to cały świat cywilizowany i pobudziły do naśladownictwa wielu młodych dekadentów.

Więc Moréas, Kahn, Vignier, Ghil, Rimbaud i in. nie bredzą, gdy składają wiersze bez sensu, lecz pracują z peł-

*) Porównaj: „Na Schyłku Wieku“; str. 142—143.

ną świadomością, trzeźwi i przytomni. Wytwarzają oni za pomocą „bardzo głęboko pomyślanej istrumentacyi słowa“... *wrażenia*, *nastroje*, o czem powinien wiedzieć filister, biorący ich dzieła do ręki...

Zresztą i treść, sens odnajdzie w ich utworach każdy, kto nie żąda, aby autor ciągle za niego myślał. Trzeba tylko chcieć i umieć wniknąć w symbole. Tak zapewniają dekadenci.

Symbol?!... Symbolem można nazwać każdy typ artystyczny, wciela on bowiem całą grupę ludzi, cały szereg rysów, zebranych z różnych osobników. I porównanie, obraz, przenośnia są symbolami.

Ale nie w takiem — pospolitem — rozumieniu pojmują dekadenci symbol. Nie jest on dla nich środkiem pomocniczym, drugorzędnym, lecz główną, prawie jedyną formą wcielonej myśli.

Pomiędzy „Kwiatami zła“ Baudelaire'a znajduje się poemat następujący:

Rubens — ogród lenistwa, rzeka zapomnienia,
Puch ciał świeżych, od których miłość stroni zdala,
Lecz gdzie życie wciąż kipi pełne ruchu, wrzenia,
Jak powietrze pod niebem, jako w morzu fala.

*

Da Vinci — duch jak głębia ciemnego zwierciadła,
W którem blade Anioły, z uśmiechy słodkiemi,
Tajemnicą okryte wstają jak widziadła
W kraju zamkniętym lody i jodły smukłemi.

*

Rembrandt — pełen stłumionych gwarów szpital smutny,
Gdzie tylko krzyż wyciąga ramiona olbrzymie,
Gdzie się z brudów modlitwa i płacz rwie pokutny,
I czarem znagła przemknie błysk słaby, jak w zimie.

*

Buonarotti — otchłań, gdzie jawią się oku
Herkule i Chrystusy i sztywne jak struny,
Potężnych widm postacie powstające w mroku;
Które prostując palce, drą swoje całuny;

*

Wściekłości zapaśników. faunowe bezwstydy
Tyś oddał z dumnem sercem, wyżółkły szkielecie,
Wielki odkrywco piękna śród nędz i ohydy,
Mocarzu galerników, tęskliwy Puget'cie!

*

Watteau — karnawał, kędy krocie serc szlachetnych
Płomieniąc się, unoszą motylemi loty,
Tłum ozdób lekkich, świeżych, co przy ogniach świetnych
Pająków — tchną w balowy wir szału zawroty.

*

Gdy — zmora, — świat ciemny, gdzie wiedźmy trup dziecka
Warzą podczas sabatów, gdzie u luster baby,
A pończoszki dziew rzesza naga i zdradziecka
Tak wdziewa, by szatanów skusiły powaby.

*

Delacroix — przez piekieł opętany mary,
Staw krwi pośród zielonych wiecznie sosen cienia,
Kędy pod niebem chmurnem dziwaczne fanfary
Płyną jakby Webera tłumione westchnienia.

*

Te przekleństwa, bluźnierstwa, te skargi, zachwyty,
Te krzyki i łzy rzewne i hymny weselne
To przez sto labiryntów głos echem odbity,
Opium boskie, co serca upaja śmiertelne;

*

To hasło, przekazane przez legiony straży,
To rozkaz przez tysiączne tuby powtarzany,
Majak, co się ze szczytu wież tysiąca żarzy.
Sygnał w puszczy zbłąkanym myśliwcom podany.

*

Bo, zaprawdę, najlepsze godności swej, Panie,
Świadectwo, jakie ludzkość, składa Tobie, Bogu,
Jest to wrzące przeciągle z wieków w wieki łkanie,
Co aż tam u wieczności Twej zamiera progu! *)

Poemat ten, eksperyment niepospolitego majstra mowy wiązanej, jest źródłem symboliki współczesnych sym-

*) Les Phares; „Latarnie"; przekład M-skiego.

bolistów. Baudelaire nadużył w „Latarniach“ porównań, niemi się tylko rozmyślnie posługując. Ale mimo nagromadzenia samych symbolów, nie zapomniał o prawidłowej budowie wiersza i zwrotki, i o rozumnej treści. Kto widział płótna: Rubensa, da Vinci'ego, Rembrandt'a, Buonarotti'ego, Puget'a, Watteau'a, Goy'a i Delacroix'a, ten poznaje ich nietylko odrazu, lecz podziwia nawet głębokość obserwacyi Baudelaire'a i dar określenia kilku rysami subtelnych indywidualności arystycznych. To samo odnosi się prawie zawsze do utworów symbolistycznych Verlaine'a (*Il Bacio* i in.).

Aby się przekonać, co epigoni zrobili z kaprysu mistrza, wystarcza przypomnieć którykolwiek z przytoczonych wyżej utworów młodszych dekadentów. I Moreas posługuje się samemi symbolami, gdy mówi: „Dumna wiosnozdobywco, coś mnie nadużyła — I jakim fałszywym pozorem serce mi złamałaś — Jaskółka obecnie uciekła na morze — Krzyk ptaka błotnego sprowadza nam deszcz — Przezorny rolnik, który myśli o swoich domkach — Siekierą ścina w smutnych lasach — Dąb, który rozpościera na ziemi swoje liście — Nieszczęśliwa jesieni, jak kocham twoje oblicze...“

Ta nieudolna paplanina dziecka, które nie umie jeszcze złożyć dwóch zdań w jedną całość i wyraża się za pomocą luźnych słów i wykrzykników, ma być symbolicznym obrazem jesieni. Jaskółka uciekła na morze — krzyk ptaków błotnych wróży deszcz — przezorny rolnik zabezpiecza chatę przeciw niedalekim mrozom... O! wszakże to jesień!

Albo wiosna Moreas'a.

— Zboża dojrzeją pod Rakiem płomiennym — I Bachus odrodzi się z grona wyciśniętego — Hyady przyjdą i przyjdą swoją drogą — Złowrogie przymrozki, które sieje Boreasz — Woda skrapla się z łagodnym szelestem, łąki olśniewają..!

Rozumie się, że to wiosna, odtworzona przepysznie, z niepospolitym talentem... Któż śmiałby wątpić?... Tylko nieuk, nie rozumiejący się na znaczeniu symbolów...

Dekadenci, przekonani o swojej niezbadanej głębi, nie domyślają się nawet, jak łatwo sięgnąć za ich wskazówką po laury wielkiego poety.

Potrzeba np. artyście obrazu symbolicznego wsi podczas żniw. Oto on:

I poczwórne fornalki spieszyły na pole — Trzy prosięta kąpały się w kałuży — Jastrząb krąży nad skrajem lasu — We dworze zamknięto drzwi i okna szczelnie przed muchami — Kaśka palnęła przy snopkach Wojtka w kark — Ekonom, ocierając pot z czoła, kopnął psa—O, jak niecierpię gorąca lipca!...

Albo zima na wsi:

— Stangret klnie na koźle i dmucha w ręce — Dziedzic gra z gośćmi w winta — Chłop rąbie drzewo, tupiąc nogami — Dziewka leci przez podwórze, jak opętana — Kuropatwy, sieroty, zagrzebały się na polu w śniegu — Jastrząb siedzi osowiały na sośnie — W kuchni gotuje się bigos... O, jak zimno na dworze!...

Gdzie „głębia“ w tych drwinach? zapytają dekadenci, gdzie „przepaścistość“ Kahn'a, Ghil'a i in.? Zaraz będzie i... głębia tak głęboka, iż nawet symbolista nie dojrzy jej dna.

— Ku dalekim błękitom biegnie jego łza, w której — Przegląda się wieków i milionów pragnienie — Słowik siedzi na gałązce bzu i kwili — Dusza rozpływa się, jak woń róży stulistnej — Leżeć na miękkiej kanapie i patrzeć — Przez okno na księżyc, wyszedłszy z siebie — O, co za rozkosz nad rozkosze!

Cóż to takiego?! To marzenie, tęsknota, niedomyślny czytelniku.

Skoro tak łatwo o symbole, to zapewne trudniej o in-

strumentacyę słowa, o muzykę. Zastosowując receptę Ghil'a, można się bawić następującemi kombinacyami:

— Anno, oddano was Bogu, byście Panu Panów służyli, cna dziewo! Dość marzenia niemego, dość spazmowania, lamentu...

Nie tak... źle. Zachodzi zbyt często *u* i *n* (wątpliwość), *i* (żałoba, boleść), *s* (gwałtowność), a miała być instrumentacya symbolu wspaniałości, przeto należało użyć częściej *a*, *o*, *m*. Więc:

— Anno, oddam wam Boga, mama domaga... plama duchowa — o, moja dziewo, modlitwa to rozkosz, cnota...

Gdy jakie słowo zawadza — opuszcza się je; gdy się zdanie nie klei — urywa się myśl i robi się jakiś dowolny znak pisarski; w razie potrzeby nie zważa się nawet na takie błahostki, jak przypadki, liczby. Byle słowa grały — zadanie poety spełnione.

E i *i* uzmysławiają boleść, żałobę, a w połączeniu z *f*, *l*, *s*, wydają tony przeciągłe, tęskne. Naprzykład:

— Leniwie wlecze się wieczór jesienny; wtórują mu spojrzenia, mdlejące za welonem znudzenia; flety kwilą omdlałem kwileniem, ciche, powiewne, senne, faliste...

Tak mniej więcej wygląda w karykaturze instrumentacya słowa.

Nie wszyscy dekadenci współcześni wiedzą prawdopodobnie, iż tajemnicę ich znali już grecy i rzymianie. Bo „instrumentował“ stary mistrz łaciński, gdy pisał: *Quadrupedante putrem sonitu quattit ungula campum.* Głównie czasy Antoninów, epoka dojrzałego rozkładu moralno-umysłowego, obfituje w podobne sztuczki techniczne.

A filozofia dekadentów, ich doktryna, tendencye?...

Przedewszystkiem mają się dekadenci za jedynych arystokratów ducha chwili obecnej, za najwytworniejszych. Wierzą oni, iż są najdoskonalszym typem człowieka cywilizowanego i patrzą z bezbrzeżną pogardą z wyżyn swoich

„wybrednych“ upodobań na przeciętnego śmiertelnika. Obce im są cele i obowiązki gromad ludzkich, zwanych społeczeństwem. „Artyści wewnętrzni ducha,“ „wirtuozowie wytwornych wrażeń, rzadkich uczuć, cierpień i rozkoszy,“ drwią z przymiotów tak grubych, jak cnoty domowe i obywatelskie. Życie polityczne i społeczne nie obchodzi ich nic. Najwyższą radością „najdoskonalszego typu“ jest pokonanie literackich trudności technicznych, a jedynym celem wnikanie w pragnienia duszy rafinowanej. „Wygrzewać się jak dobra jaszczurka w rafinowanych rytmach sztuk“ — radzi Kahn. Morice skarży się na politykę, prasę, handel przemysł, które „zagłuszyły piękno“ i gniewa się na służbę wojskową, odrywającą arystokratę ducha od wykończenia dwuwiersza. Podług Mallarmé'go istnieje świat tylko na to, aby mógł posłużyć do napisania ładnej książki.

Chore samolubstwo jest pierwszym rysem znamiennym psychologii dekadenckiej. Niech ludzkość przepadnie, byleby jej program nie przeszkodził moim upodobaniom. Obojętne mi są cierpienia i rozkosze milionów...

Z tego egotyzmu wypływa podkreślana ciągle w dziełach dekadenckich pogarda dla „tłumu,“ dla „motłochu.“ Plebejuszem nazywa się każdy, kogo nie zajmują: symbole, instrumentacya słowa, rytmy rafinowane.

Laissons le rustre, l'immonde
Ignorant dénier à notre Apollon le prix
Des larmes, pour ce qu'il est si bien appris
A couvrir de beauté la misère du monde.
Rions nous d'eux, mon Raymond, qu'un noble jeu
Couronne de rameaux légers
(Comme des garçons bocagers)
Nos coeurs pareils aux Cyclopes amis du feu -

pociesza Moréas Rajmonda de la Tailhède (*Le Pélerin, Passioné;* str. 87). Nie zważaj na ordynaryjnego brudasa, który nie umie ocenić sztuki Apollina. „Mówiąc o sztuce,

nie można uwzględniać wielkich mas, one bowiem nie myślą samodzielnie i przedstawiają jedynie cyfrę“ — uczy Anatol Baju (*L'école décadente;* wyd. II; str. 9).

Z pogardy dla „motłochu“ wynika nieznajomość dzieł dekadenckich. Kto nie pisze dla ludzi przeciętnych, ten niepotrzebuje się troszczyć o jasny wykład. Wtajemniczeni zrozumieją się i bez kropki nad *i*, a nietylko zrozumieją się lecz wolą nawet, gdy artysta potrąca zaledwo o symbol, zamiast go całkowicie odsłonić, „nazwać bowiem przedmiot — oświadcza Mallarmé — znaczy to samo, co stłumić trzy czwarte przyjemności poematu, polegającej na szczęściu stopniowego domyślania się. Poddać przedmiot, oto marzenie.“

Dekadenci „poddają“ obrazy, idee. typy. Nic ich to nie obchodzi, że owo poddawanie naprowadza głowę zdrową rzadko na przedmiot właściwy.

Receptę tę wcielają nie sami tylko poeci. I ci z pomiędzy dekadentów, którzy posługują się także prozą (Kahn, Morice, Ghil) wyrażają się w taki sposób, że trzeba ich dopiero tłómaczyć na język zrozumiały. Rhené Ghil np. rozpoczyna swoje „dzieło“ (*Oeuvre*) w sposób następujący: „Ale poezyom obcy, medytacya poety o Poecie, zakochanym w racyonalnym i milczącym marzycielu, jakim mi się być podobało: od pierwszego zdarzenia w życiu umysłowem, moja nienawiść przypadku mówi tak. — W epokach naszej historyi rymotwórczej, z wrażliwości i uczucia jedynie, była, za przykładem innych metod sztuki, była metaforycznem notowaniem z wszechpotężnem uwzględnieniem chwili rozkoszy albo boleści intuicyjnych i egoistycznych osobistości poprostu genialnych. Poezya: a więcej, można-ż powiedzieć myśl, i nie są-ż naiwne, niezwykłe i niebezpieczne wyobraźnie rozmyślne, które w daremnej napuszoności rozszerzały i troskę i pragnienie szczęścia kłamliwego i nieświadomego, zwyczajne widziadła nocy i rajów, w których nicości miały

miejsce i przechodziły świetność i zło teogonii miłości i przestrachu! i t. d.

Chyba to żarty! Bynajmniej, bo oto oryginał: „Mais aux Poésies etrange, méditation de poète du Poète épris de rationnel et du silent méditateur qu'il me plut être: dès la prime aventure en la vie d'esprit ma haine du hasard dit ainsi. — Aux Ages de notre histoire versifiante, de sensation et de sentiment uniquement, a été, à l'instar d'autres manieres d'art, à été métaphoriques notations au gré omnipotent de l'heure de volupté ou de douleur d'intuitives et égoïstes personnalités nûment géniales! La Poésie: et plus haut, peut-on dire pensée, et ne sont-elles ingénues et extravagantes et dangereuses imaginations à propos, qui en l'emphase vaine propageaient et regret et dèsir d'un heur mensonger et ignorant, les ordinaires vision de nuits et de paradis en le néant desquels avaient lieu et passaient le lustre et le mal de théogonies d'amour et d'effroi!...

Niktby nie uwierzył, że ten barbarzyński żargon, ta gadanina obłąkanego, zachwyca umysły „wytworne," „typy doskonałe" głębią i genialną suggestyą, która sprawia im rozkosz niepospolitą. Bo na dnie tych szumnych słów, zestawionych bez łączników, złożonych dowolnie z rozmyślnem lekceważeniem składni, popstrzonych dziwaczną interpunkcyą, majaczy wistocie jakiś sens, jakaś teorya, ale tak zawiła i chora, iż nie warto jej nawet objaśniać. Niech „arystokraci ducha" ślęczą nad takiemi łamigłówkami. „Plebejusze" obędą się doskonale bez mądrości dekadenckiej.

Nic zresztą ciekawego w tej filozofii „doskonałego typu." Odgrzewa ona stare, odwieczne halucynacye epok chorych — jest mistykiem w najgorszym gatunku.

Za przykładem Verlaine'a roztapiają się najmłodsi dekadenci w nabożności tak rozkochanej w kadzidłach, jarzących się świecach, w płaczu organów i w jęku dzwonków, iż czuć od niej zdaleka sztuczność. Ta robiona reli-

gijność (wiadomo, że i Baudelaire był wyznawcą katolicyzmu) nie chroni potomków „wielkiego przodka“ bynajmniej przed lubieżnością. Moréas „śpiewa“ między innemi: *)

N'ai-je pas promené ma main
Avec des luxures d'artiste
Sous des chemises de batiste
Embaumant l'ambre et le jasmin?

Sui generis nabożność dekadentów, powołująca się na zdanie Verlaine'a, który twierdzi, że „człowiek mistyczny i zmysłowy zostaje zawsze człowiekiem intellektualnym w różnych przejawach tej samej myśli, która ma swoje wyżyny i niziny“ (zrozum, kto może!), występuje najplastyczniej w powieści Huysmans'a *Là Bas*.

Kończąc charakterystykę współczesnego dekadentyzmu francuskiego, należy połączyć jego dziwactwa z Baudelaire'em, którego potomkiem się mianuje. Dopiero w takiem oświetleniu nabierają jego „reformy“ znaczenia literackiego. Rozpatrywane jako szkoła sama w sobie, jako „wskazówki dla przyszłości,“ robią one wrażenie wybryku studenckiego.

Teofil Gauthier, jeden z pierwszych, który zrozumiał bardzo dobrze, dokąd zmierza zmęczony kilkowiekowym krytycyzmem duch cywilizowanej ludzkości, broniąc Baudelaire'a, mówił: „Literatura jest jak doba: ma ona swoje rano i południe, swój wieczór i swoją noc. Zamiast rozprawiać podaremnie o tem, co lepsze, czy jutrzenka czy zmrok—trzeba malować tak, jak się tego domaga chwila obecna i posługiwać się paletą, zaopatrzoną barwami, tej chwili potrzebnemi. Czyż zachód nie może być równie pięknym, jak wschód? Nie przedstawiają-ż owe blaski miedzianoróżowe

*) Jan Moréas; „Les Syrtes“; wydanie nowe; 1892 r. str. 18.

i zielonozłotawe, owe tony turkusów, zlewające się z szafirami — wszystkie te odcienia, palące się i rozkładające w ostatecznym wielkim pożarze, te obłoki dziwacznych i potwornych kształtów, przeniknięte błyskami świetlanemi, robiące wrażenie olbrzymiego zapadania się Babelu powietrznego — nie przedstawiają-ż one tyleż poezyi, ile różowopalca Aurora?“ *)

Zmrokiem wieczornym, zachodem słońca, nazwał Gauthier chwilę, która wydała „Kwiaty zła“ Baudelaire'a. Blaski młodej cywilizacyi nie rzucały już na nią swoich łun różowych — poczynający się dzień nie owiewał jej wonnem tchnieniem swieżości. Jęki i przekleństwa długiego szeregu zawiedzionych pokoleń unosiły się nad nią, spoczynku wzywając.

Spadkobierca kilkuwiekowego krytycyzmu, wielkiej rewolucyi, łez romantyków i rozczarowań materyalistów, pozbawiony pociechy religii i szlachetnych wskazówek idealnego światopoglądu, Karol Baudelaire nie wierzył w dobroć ludzkości. Cnota i miłość, obowiązek i honor, rodzina i uczciwość, poczucie łączności ze społeczeństwem i służba obywatelska... nie mówiły już do niego nic, były dźwiękami pustemi. Gdy się urodzony sceptyk rozejrzał wokoło i porównał swoje marzenia z rzeczywistością, wówczas odwrócił się od niej ze wstrętem. Bo dokądkolwiek spojrzał, wszędzie dostrzegał tylko kłamstwo, niezgodę między zalecanemi hasłami a ich wcieleniem. Słyszał pospolitych samolubów, rozprawiających o ofierze, widział łotrów, strojących się w maskę prawości, zbrodniarzów, oburzających się na drobne przewinienia. Lubieżnicy udawali idealnych kochanków, wiarołomni mężowie kapłanów ogniska domo-

*) Karol Baudelaire; „Oeuvres Complètes“; ostatnie wydanie Lemerre'a; str. 19.

wego, rozwiązłe żony czyste westalki. Kupiec oszukiwał odbiorcę, chlebodawca wyzyskiwał robotnika, mocny słabego, bogatszy uboższego. A cała ta gromada, mająca ciągle na ustach wielkie słowa i szlachetne cele, dążyła, spychając się, raniąc, mordując po drodze, do jednej mety... do pieniędzy i używania zmysłowego.

Rzucił się i Baudelaire w objęcia rozkoszy tej ziemi, ale i tu doznał zawodu. Brud i błoto znalazł sceptyk, szyderca, gdzie inni widzieli kwiaty, blaski i poezyę. Człowiek zresztą nie może użyć tyle, ileby chciał, siły bowiem jego określają ściśle granice żądzy. Kto przekroczy miarę dozwoloną, ten płaci za zuchwalstwo utratą zdrowia, ten cierpi.

Więc cóż warte życie, cóż człowiek? Nic! Cóż cywilizacya, która nie ulepszyła ani życia, ani człowieka? Również nic! Co Fatum, któremu się podobało stworzyć ludzkość? Znów nic!

Przeto należy oplwać człowieka, jego rozkosze, złudzenia i cele, — życie, jego nikczemmość, — cywilizacyę, jej kłamstwo, Fatum — jego okrucieństwo.

Oto „Kwiaty zła“ Baudelaire'a.

„Zgrozą przepełnia mnie ta cała hałastra nowoczesna — pisał Baudelaire do Ancelle'a *) — zgrozą wasi akademicy i liberałowie, — zgrozą cnota — zgrozą wasz styl i postęp...“ Podli jesteście wszyscy, głupi i obłudni, wszyscy kłamiecie, odurzając się hasłami, w które nie wierzycie.

Całą szlachetność i poezyę życia oplwał ponury geniusz Baudelaire'a i zdarł z człowieka płaszcz purpurowy złudzeń, utkany przez pracę wieków. Nawet rozkosz zmysłową zohydził, gdy się przekonał, że i ona zawodzi.

Baudelaire wyśpiewał, wykrzyczał wszystko, co czuje

*) E. Crépet; j. w. str. LXXXV.

oszalały z bólu krytycyzm i zrozpaczone samolubstwo zmysłów, rozpętanych z więzów religii i obowiązku. Pesymizm na tle materyalizmu nie mógł już do „Kwiatów zła“ dorzucić ani jednego nowego listka. Rozległy geniusz Baudelaire'a ogarnął całą nędzę życia ludzkiego.

Ale wielcy mistrzowie nie przechodzą bezpotomnie.

Z posiewu ich wykwita zawsze pokolenie epigonów, rozbierających pomiędzy siebie spuściznę początkodawcy kierunku. Verlaine wziął po Baudelairze sceptyczną zmysłowość i chorobliwy mistycyzm, Rollinat patologiczne upodobania i strachy neurastenika, Richepin bluźnierstwo. Żaden z nich nie dosięgnął siłą i szczerością miary mistrza. Rozwałkowali oni tylko, rozwodnili poszczególne rysy jego indywidualności.

Gdy po Verlainie, Rolinacie i Richepinie przyszło nowe pokolenie poetów, wywodzące się z ducha Baudelaire'a, nie zostało już dla niego nic, oprócz właściwości technicznych „wielkiego przodka.“ I rzucili się najmłodsi dekadenci na „nastrojowość“ i „symbolizm,“ robiąc z nich to, co uczynili Verlaine z mistycyzmem, Rollinat z newrozą, a Richepin z bluźnierstwem — karykaturę. Jeżeli Baudelaire widzi z innych światów owoce swoich sztuczek artystycznych, to zaciska prawdopodobnie pięści z gniewu i mruczy: zgrozą przepełnia mnie ta śmieszna hałastra, która się do mnie przyznaje.

VI.

Maurycy Maeterlinck.

Czytelnicy paryzkiego *Figaru* dowiedzieli się któregoś wieczoru (w r. 1890) z artykułu znanego belletrysty i krytyka, Oktawiusza Mirbeau, że w Belgii narodził się i kwitnie geniusz, któremu należy się cześć całego świata cywilizowanego.

— Nie wiem nic o p. Maurycym Maeterlincku — pisał Mirbeau. — Nie wiem, zkąd on jest i jak się nazywa. Młody czy stary, bogaty czy ubogi, nie wiem. Wiem tylko to, że nie ma człowieka więcej odeń nieznanego. Wiem także, iż stworzył arcydzieło, — nie arcydzieło z góry jako takie etykietowane, podobne do tych, jakie codziennie wydają nasi młodzi mistrzowie, wygrywający je na wszystkich tonach skomlącej liry, lub raczej skomlącego fleciku spółczesnego — lecz arcydzieło cudowne, czyste, wiekuiste... arcydzieło, wystarczające do unieśmiertelnienia twórcy i ubłogosławienia jego nazwiska przez wszystkich, spragnionych piękna i wielkości; arcydzieło, o którego napisaniu wielu artystów sumiennych i udręczonych marzyło niekiedy w chwilach entuzyazmu, a jakiego żaden dotąd nie napisał. Jednem słowem, p. Maurycy Maeterlinck dał nam najgenialniejsze dzieło epoki, dzieło zarazem najniezwyklejsze i najnaiwniej-

sze, dające się porównać, a nawet — znajdźmy śmiałość to wyznać — wyższe co do piękności od wszystkich napiękniejszych rzeczy w Szekspirze. *)

Tem „arcydziełem cudownem, czystem, wiekuistem," tem „najgenialniejszem dziełem epoki" ma być „Księżniczka Malena" Maurycego Maeterlinck'a.

Rozumie się, że po tak bezprzykładnym w rocznikach krytyki hymnie pochwalnym, nieznany wczoraj autor stał się dziś rozgłośnym. Zaczęto się dopytywać o dzieła wielkiego belga, o jego przeszłość literacką i o życie prywatne.

Bogatej przeszłości literackiej nie miał za sobą twórca „Księżniczki Maleny." Znawcy współczesnej poezyi francuskiej objaśnili publiczność, że Maurycy Maeterlinck pomieścił w „Parnasie młodej Belgii" (*Parnasse de la Jeune Belgique*), wydanym w Paryżu w r. 1887-ym, dwanaście drobnych poematów (*Tentations*, *Oraison*, *Offrande obscure*, *Oraison nocturne*, *Reflets*, *Fauves las*, *Feuillage du coeur*, *Serre d'ennui*, *Visions*, *Lassitude*, *Ronde d'ennui*, *Desirs d'hiver*), do których dodał w dwa lata później dwadzieścia jeden innych, połączywszy je pod wspólnym tytułem *Serres chaudes* (1889 r.).

Zaraz pierwszy poemat owego cyklu, od którego reszta wzięła tytuł, zdumiewa przeciętnego śmiertelnika do tego stopnia, iż nie umie on sobie zdać sprawy z doznanego wrażenia. Mowa to człowieka zdrowego, alboli też majaczenie biedaka, któremu gorączka odebrała przytomność? A może to kaprys, żart poety?... Bo oto, jak Maeterlinck „śpiewa" w „Cieplarni" (*Serre chaude*):

---

*) Nie mając pod ręką oryginału, powtórzyłem ustęp z artykułu Mirbeau'a za Zenonem Przesmyckim, który dołączył do „Wyboru pism dramatycznych" Maeterlinck'a (Warszawa, 1894 r.) obszerne studyum o poezyi belgijskiej. (Przyp. aut.).

O, cieplarni pośród lasów!
I te drzwi twoje na zawsze zaparte!
I wszystko to, co się znajduje pod twoją kopułą!
I pod mą duszą w twoich analogiach!

*

Myśli głodnej królewnej,
Nuda żeglarza w pustyni,
Muzyka instrumentów miedzianych pod oknami nieuleczal-
[nych.

*

Idźcie ku kątom najbardziej wystygłym!
Rzekłbyś kobieta zemdlona w dzień żniwa,
Pocztylioni są na dziedzińcu gospody,
W dali przechodzi łowca łosiów, który został dozorcą cho-
[rych.

*

Przypatrzcie się przy świetle księżyca!
(Och, nic tam nie jest na swojem miejscu!)
Rzekłbyś kobieta szalona przed sądem,
Statek wojenny z rozwiniętemi żaglami na kanale,
Ptaki nocne na liliach.
Dzwon pogrzebowy w południowej porze,
(Tam pod temi dzwonami szklannemi!)
Postój chorych na łące,
Zapach eteru w dzień słoneczny.
Mój Boże, mój Boże, kiedyż będziemy mieli deszcz,
I śnieg i wiatr w cieplarni.

To niezawodnie żart autora, pomyśli czytelnik, przywykły do poezyi Sofoklesów, Horacyuszów, Tassów, Szekspirów, Goetych, Szyllerów, Byronów, Mussetów, Mickiewiczów, Słowackich i innych rymotwórców przeszłości. Maeterlinck chciał się zabawić kosztem naiwnych, uwielbiających wszystko, co drukowane, jak Rimbaud, gdy pisał swój sonet p. t. *Voyelles*. Ale nie żart to, żartu bowiem udanego nie powtarza się, „gienialny“ zaś belg obrazuje w ten sposób jeszcze w kilku innych poematach (*Cloches de verre; Ame; Hôpital; Cloche à plongeur; Regards; Attouchements*).

„Szpital! szpital na brzegu kanału! — skarży się, płacze, śmieje (bo nie wiadomo co) Maeterlinck w „poemacie“ p. t. „Szpital“ (*Hôpital*).

Szpital w miesiącu lipcu!
Zapalają ogień w sali!
Podczas kiedy Transatlantyki gwiżdżą na kanale!
(O! nie zbliżajcie się do okien!)
Emigranci przechodzą przez pałac!
Widzę jacht podczas burzy!
Widzę gromady na wszystkich okrętach!
(Lepiej, aby okna były zamknięte,
Jest się prawie ochronionym przed tem, co jest na zewnątrz).
Ma się pojęcie cieplarni na śniegu,
Zdaje się, że się obchodzi wywód w dzień burzy.
Spostrzega się rośliny, rozrzucone na kołdrze wełnianej.
Jest pożar w dniu słonecznym,
A ja przechodzę przez las pełen rannych.
O! oto nareszcie noc księżycowa!
Strumień wody wznosi się pośrodku sali!
Gromada małych dziewczątek odchyla drzwi!
Dostrzegam jagniątka na wyspie z łąk!
I piękne rośliny na lodowcu!
I lilie w przedsionku marmurowym!
Jest festyn w lesie dziewiczym!
I wschodnia roślinność w grocie lodowej!
Słuchajcie! Otwierają szluzy!
A Transatlantyki poruszają wodę kanału!
O! Ale siostra miłosierdzia, rozniecająca ogień!
Wszystkie piękne zielone trzciny stromych brzegów płoną!
Statek z rannymi kołysze się w świetle księżyca.
Wszystkie królewne są w łódce wśród burzy!
I księżniczki umrą na polu cykuty!
O! nie odmykajcie okien!
Słuchajcie! Transatlantyki gwiżdżą jeszcze na horyzoncie!
Otruwają kogoś w ogrodzie!
Obchodzą wielką uroczystość u przyjaciół!
Są jelenie w mieście oblężonem!
I menażerya wpośród lilii!
Jest roślinność podzwrotnikowa w głębi kopalni węgla!

Gromada owiec przechodzi przez most żelazny!
I jagnięta z łąk wkraczają smutne do sali!
Teraz siostra miłosierdzia zapala lampy,
Przynosi posiłek chorych,
Zamknęła okna, wychodzące na kanał,
I wszystkie drzwi na światło księżyca.

Aby kto nie sądził, że przekład polski zaciera formę i fałszuje treść oryginału, należy jeszcze przytoczyć trzeci „poemat," ale w języku francuzkim. Np. *Cloche à plongeur*.

O, plongeur à jamais sous sa cloche!
Toute une mer de verre éternellement chaude!
Toute une vie immobile aux lents pendules verts!
Et tant d'êtres étranges à travers les parois!
Et tout attouchement à jamais interdit!
Lorsqu'il y a tant de vie en l'eau claire au dehors!
Attention! l'ombre des grands voiliers passe sur
les dahlias des forêts sousmarines;
Et je suis un moment à l'ombre des baleines
qui s'en vont vers le pôle!
En ce moment, les autres déchargent sans
doute, des vaisseaux pleins de neige dans le port!
Il y avait encore un glacier au milieu des prairies des juillet!
Ils entrent à midi en des grottes obscures!
Et les brises du large éventent les terrasses!
Attention! voici les langues en flamme du Gulf Stream!
Ecartez leurs baisers des parois de l'ennui!
On n'a plus mis de neige sur le front dos fiévreux;
Les malades ont allumé un feu de joie
Et jettent à pleines mains les lys verts dans les flammes!

I tam dalej... jeszcze przez wierszy czternaście maja-czy Maeterlinck w ten sam sposób.

Więc to nie żart, nie chwilowy kaprys, wybryk dobrego humoru, lecz metoda, składająca takie dziwactwa rozmyślnie i ze świadomością!...

Zenon Przesmycki, najlepszy u nas znawca dekadentów belgijskich i gorący wielbiciel Maeterlinck'a, zużył bar-

dzo dużo mądrych słów, usiłując wmówić w naiwnych, że „Cieplarnie“ są „książką niezwykłą, zdumiewającą głębiami zawrotnemi.“ Bo „jak w puszczy dziewiczej, pod gęstemi splotami lian, głogów, cierni i pokrzyw, tak kryją się i w „Cieplarniach“ kwiaty olśniewającej piękności i przyjemnej woni, ale i w nich też, tak samo jak w puszczy dziewiczej tylko pionier, znający się dobrze z tą podzwrotnikową roślinnością symbolów, potrafi się obrócić. Zwykły czytelnik-wędrowiec cofnie się częstokroć z osłupieniem przed chaotyczną gęstwią analogii, nie czując się na siłach do przebycia jej bez przewodnika, umiejącego według oznak charakterystycznych odszukać tropy myśli.“ *)

Być może, iż oprócz Przesmyckiego, znajduje się i w naszym kraju jeszcze kilku, kilkunastu „arystokratów ducha“ wyjątkowo utalentowanych, którym rozwiązywanie takich niesmacznych łamigłówek sprawia „rozkosz rafinowaną, niezwykłą“; znakomita jednak większość tak naszej, jak inteligencyi innych społeczeństw cywilizowanych, nie ma wcale ochoty i potrzeby doszukiwać się, wyczuwać w obłąkanej gadaninie pierwszego z brzegu histeryka owych „kwiatów olśniewającej piękności i przejmującej woni,“ które mają się ukrywać pod „gęstemi splotami lian, głogów, cierni i pokrzyw.“

Ta znakomita większość, ci „zwykli czytelnicy-wędrowcy,“ czyli „plebejusze,“ „motłoch,“ „tłum,“ wyrażając się terminem dekadentów, nie „cofają się bynajmniej z osłupieniem przed chaotyczną gęstwią analogii, nie czując się na siłach do przebycia jej bez przewodnika,“ lecz bawią się zrazu doskonale „głębią“ Maeterlinck'a, jak czemś bardzo

*) Maurycy Maeterlinck; „Wybór pism dramatycznych.“ Warszawa 1894 r.; „Wstęp“; str. XL.

śmiesznem, a następnie odsuwają książkę, aby do niej więcej nie wrócić.

Co Przesmycki mówi o symbolistyce francusko-belgijskiej, warto powtórzyć, objaśnienia bowiem jego rzucają fosforyczne światło na chaos pojęć estetycznych chwili bieżącej.

— Dzięki długiej tradycyi i nawyknieniu do myślenia abstrakcyjnego — mówi Przesmycki — to ostatnie wydaje się nam pierwotnym, właściwym sposobem odbierania i oddawania wrażeń. Tak wszakże nie jest. Wrażenia nasze są natury konkretnej — w pierwszych stadyach rozwoju intelektualnego ludzie oddawali je również konkretnie, obrazowo. W miarę formowania się i rozwijania pojęć abstrakcyjnych, świeżość bezpośrednich, obrazowych wrażeń słabła, obumierała, odcienia ich zarówno zewnętrzne, jak wewnętrzne zacierały się, poczęto machinalnie każdą, za pośrednictwem któregokolwiek ze zmysłów mózgowi podaną żywą impresyę przetwarzać na martwe pojęcia abstrakcyjne, podciągać pod jedną z kategoryj oderwanego myślenia— i dziś przetworzenie myśli w obraz i zachowanie samego obrazu z odrzuceniem abstrakcyjnych wiązadełek wydaje się czemś nienaturalnem, niezwykłem, sztucznem, późniejszem, gdy tymczasem jest ono właściwie nawrotem do pierwotnego sposobu odbierania wrażeń, do — poprzedzającego oderwane — konkretnego, obrazowego myślenia. Nawrót ten jest rzeczą naturalną u każdego poety. — Poezya — jako wytwór wyobraźni przedewszystkiem — na obrazach wyłącznie się opiera i nie znosi abstrakcyi. Dlatego nie ma — rzec można — poezyi bez symbolu; każdy poeta jest mniej lub więcej symbolistą (j. w.; str. XLII).

Zdawało się prawdopodobnie Przesmyckiemu, iż, wygłaszając spostrzeżenia powyższe, wypowiedział coś niezwykle nowego. Tymczasem o tem, że tworzenie konkretne poprzedziło abstrakcyjne i że wszelka poezya jest po-

niekąd symboliczną, wie oddawna każdy podręcznik estetyczny. Nikomu z ludzi przeciętnie wykształconych nie „wydaje się“ wcale, iż „myślenie abstrakcyjne jest pierwotnym, właściwym sposobem odbierania i oddawania wrażeń,“ nauczono go bowiem już w szkołach prawdy w ręcz przeciwnej. Człowiek zaczyna rozpoznawać otaczający go świat nie za pomocą abstrakcyi, lecz za pośrednictwem obrazu. Ludzie nieucywilizowani lub pozbawieni krytycyzmu— dzieci, chłopi, dzicy, obłąkani — nie wychodzą nigdy z ciasnego kółka wrażeń konkretnych. Jeżeli Zulusi, Kafrowie i inni synowie dziewiczych lasów Afryki posiadają jaką poezyę, to jest to niezawodnie „sztuka symboliczna“ w rodzaju eksperymentów ostatnich mistrzów francusko-belgijskich.

— Wyobraźnia Maeterlinck'a — mówi dalej Przesmycki — jest szczególna, nie dzisiejsza, wolna — zda się — zupełnie od tyle wrogiego poezyi, a tak rozpowszechnionego obecnie pasorzyta abstrakcyjności. Na podobieństwo natur pierwotnych, spostrzega ona nasamprzód obraz i — rzec można — wyłącznie obraz tylko. Malowidła, jakiemi są jego poematy, przedstawiają żywą notacyę odbieranych przezeń — w plastycznym, zmysłowym kształcie — wrażeń. Nawet pojęcia czysto oderwane przywdziewają u niego szaty malowniczych, podległych zmysłom wizyj. Po za temi ostatniemi dopiero — niekiedy jemu samemu, niekiedy może czytelnikowi zaledwie — otwierają się niezmierzone perspektywy myślowe, sięgające najdalszych, zmysłom niedostępnych, umysłowi niepojętych sfer bytu... Maeterlinck każe patrzeć i odczuwać... Maeterlinck jest malarzem-wizyonistą, obrazy jego nie wrażają nam żadnej wyraźnie zarysowującej się idei, lecz otwierają myślom naszym niezmierzone horyzonty; poematy jego, to wielka wizya świata i życia, która dopiero w duszy stających nagle przed nią czytelników wrzenie potężne wrażeń, uczuć, przeczuć i — wreszcie — myśli rozbudza (j. w. str. XLIV i XLV)... Wszystkie pra-

wie nierymowane ustępy i wiele „Cieplarni“ rymowanych, są zdumiewającemi zawrotną głębią — o ile się w nie wczytać — notatami z olbrzymiego widowiska przejawów nieskończoności, jakie roztoczyło się przed bystrem i żądnem okiem poety (str. LIII). Wszystkie myśli poety grawitują wizyonistycznie ku absolutowi, ku nieskończoności, ku wiekuistej, niezmiennej, lecz też najgłębiej ukrytej, na powierzchni dostrzedz się nie dającej, zmysłom nieznanej i niedostępnej treści istnienia. Świat przedstawia się mu jako byt jeden całkowity, nierozerwalny, powszechny, w którym wszystkie pozornie dywergujące i nieprzebytemi granicami od siebie oddzielone sfery, części i dziedziny są odwiecznie i na wieki powiązane z sobą, w nieustannej znajdują się korespondencyi, nieustannie wpływają na się i w każdym najdrobniejszym wypadku wzajemnie się odczuwają. Związek ten i harmonię utrzymuje między niemi wspólny wszystkim bez wyjątku, rzeczywistą wszystkich istotę stanowiący i wszystkie do jednej sprowadzający całości — pierwiastek Nieskończoności (str. XLVIII).

Słowa, słowa, słowa! możnaby zawołać z Hamletem, a słowa miejscami tak „zawrotne głębią zawrotną,“ tak ociężałe i z takim wysiłkiem sklecone, iż zaciemniają jeszcze więcej zamiast rozjaśniać tajemnicę twórczości Maeterlinck'a. Zawodzi się wogóle, kto się od samych dekadentów-symbolistów lub ich wielbicielów chce dowiedzieć, dokąd panowie ci dążą, czego chcą, o czem marzą.

„Cieplarnie“ Maeterlinck'a mają być „książką niezwykłą, zdumiewającą głębiami zawrotnemi i nowością środków, użytych do oddania tych głębin“... Czy tak?

Więc gdy ktoś mówi:

O, cieplarni pośród lasów!
I te drzwi twoje na zawsze zaparte!
I wszystko to, co się znajduje pod twoją kopułą!
I pod mą duszą w twoich analogiach!

*

Myśli głodnej królewnej,
Nuda żeglarza w pustyni,
Muzyka instrumentów miedzianych pod oknami neuleczal-
[nych.

*

Idźcie ku kątom najbardziej wystygłym!
Rzekłbyś, kobieta zemdlona w dzień żniwa,
Poczytylioni są na dziedzińcu gospody,
W dali przechodzi łowca łosiów, który został dozorcą cho-
[rych i t. d. —

wówczas „zdumiewa notatami z olbrzymiego widowiska przejawów nieskończoności"... „grawituje wizyonistycznie ku absolutowi, ku nieskończoności, ku wiekuistej, niezmiennej, zmysłom nieznanej i niedostępnej treści istnienia," i odrzuciwszy „abstrakcyjne wiązadełka" wraca jako artysta do „pierwotnego sposobu odbierania i wyrażania swoich wrażeń?"

Pod względem formy przypominają „Cieplarnie" Maeterlinck'a wistocie nietylko pierwotny, ale wprost najpierwotniejszy sposób odbierania i wyrażania wrażeń, — owe czasy, w których człowiek mieszkał w jaskini i różnił się bardzo mało od otaczających go zwierząt. Tylko ludzie, znajdujący się na najniższym stopniu cywilizacyi, zestawiają wyraz obok wyrazu, następnie zdanie obok zdania, nie umiejąc ich połączyć żadnemi „wiązadełkami abstrakcyjnemi" i przetkać nicią logiczną. Tylko dzicy, posługują się urwanemi obrazami i wykrzyknikami, i wierzą, że tworzą poematy, gdy wprawiają szereg słów bez znaczenia w jakiś zaledwie pochwytny rytm muzykalny.

Ale treścią — o ile się w nią można wczytać, wmyśleć — odbiegł Maeterlinck bez porównania dalej od poezyi pierwotnej, naiwnej, aniżeli najwięcej asbtrakcyjni poeci narodów cywilizowanych. Bo nawet Dante, Wiktor Hugo,

Krasiński nie sięgali po obrazy i analogię do mętnego źródła halucynacyi.

Maeterlinck wystawia sobie cieplarnię pośród lasów!— Dlaczego pośród lasów, kiedy cieplarnie bywają zwykle przy ogrodach... A w tej cieplarni są drzwi na zawsze zamknięte. — Dlaczego na zawsze zamknięte?... Widok cieplarni z zamkniętemi drzwiami budzi w nim: myśli głodnej królewnej, uczucia żeglarza znajdującego się, w pustyni, wrażenie muzyki dętych instrumentów pod oknami nieuleczalnych, — pokazuje mu kobietę, zemdloną w dzień żniwa, pocztylionów na dziedzińcu gospody, niewiastę szaloną przed sądem, ptaki nocne na liliach... i mnóstwo podobnych widziadeł.

Dlaczego Maeterlinck doznaje wrażeń, uczuć i dostrzega obrazy, których żaden człowiek zdrowy nie doznaje, nie dostrzega? Komuż-bo przyjdzie na widok cieplarni na myśl: kobieta szalona przed sądem, rozpacz głodnej królewnej, muzyka dętych instrumentów pod oknami nieuleczalnych, ptaki nocne na liliach i t. d. Nawet wino nie działa w taki sposób na wyobraźnię.

Dlaczego, zkąd te wszystkie dziwactwa?... Bo Maeterlinck jest albo wistocie chorym albo też sztucznie robionym histerykiem, — albo ulega znanym halucynacyom newrozy lub też naśladuje rozmyślnie jej straszliwe nieraz, a zawsze dziwaczne majaki. Już Baudelaire odtwarzał strachy i przywidzenia neurasteników. To samo czynił Rollinat. Ale pierwszy umiał nawet tak niewdzięczny materyał przetopić na prawdziwą poezyę, na obrazy, wykończone artystycznie, drugi zaś, chociaż nie dorósł mistrzowi, jest zawsze zrozumiałym, wypukłym — daje wrażenie.

Maeterlinck ułatwił sobie robotę: wskazówki sztuki rymotwórczej pominął, z logiki zadrwił, zdrowym rozsądkiem wzgardził. Zestawił on poprostu szereg obrazów, uczuć i myśli, nie pozostających ze sobą w żadnym związku — tak, jak mu przyszły do głowy — nie trudząc się

ich „powiązaniem abstrakcyjnem,“ czyli gramatyką i składnią.

Gramatyka, składnia, rytm, rym, sens, całość, zaokrąglona artystycznie — to rzeczy tak błahe, tak sztuczne, iż nie warto ich uwzględniać. „Pierwotny sposób odbierania i wyrażania wrażeń nie był abstrakcyjny,“ czyli dobrze obmyślany, staranny pod względem formy i treści.

Niezawodnie... Ale nawet „sposób“ najpierwotniejszy nie wystawiał sobie „wschodniej roślinności w grocie lodowej,“ a „roślinności podzwrotnikowej w głębi kopalni węgla,“ — nie widział „pięknych roślin na lodowcu,“ „menażeryi pośród lilij,“ „błądzącego szału cielesnego na jadowitych błoniach zdarzeń,“ „księżyca, który był cały zielony od żmij,“ „żółtych psów grzechów,“ — nie odczuwał „pragnień chorych z głodu“ — nie kazał „sercu wysiewać mydlanych baniek snów liliowych,“ a duszy „wątłemi, woskowemi rękami polewać znużonego światła księżyca“ i t. d.

Do tak „zawrotnych głębią“ obrazów nie wzniósł się „sposób pierwotny“ ani razu, czego dowodem poezya ludowa wszystkich plemion.

Więc nie prostą, naiwną jest fantazya Maeterlinck'a, lecz — przeciwnie — sztuczniejszą od najsztuczniejszej, najwybredniejszej wyobraźni poetów cywilizacyi. Lubuje się ona w przenośniach i porównaniach „niezwykłych,“ „dziwnych,“ „zdumiewających,“ grzebie się w mule mistycznym, zanurza się w fantastycznych mgłach ciemnej nocy, widząc rzeczy, których oko zdrowe w dzień jasny nie dostrzega.

Ta właśnie dziwaczność obrazowania Maeterlinck'a jest ową „zawrotną głębią,“ dostępną tylko dla „arystokratów ducha.“ Dlatego, że obłąkanej gadaniny autora „Cieplarni“ nikt nie rozumie — ma ona być bezdennem morzem mądrości.

Nawet „wybrani,“ smakosze rafinowanych rozkoszy, nie umieją sobie zdać sprawy z zamiarów Maeterlinck'a.

— Symbolistyka w „Cieplarniach“ — mówi Przesmycki (j. w., str. XLV) — jest jeszcze przeważnie *nader chaotyczna i ciemna.* Analogie zbyt wązkie, zbyt szczegółowe, a skutkiem tego zbyt liczne, niekiedy utrudniają, niekiedy zaś *uniemożliwiają poprostu zoryentowanie się w obrazie ogólnym. Obrazu tego, właściwie mówiąc, nie ma tu nawet jeszcze*, jest tylko moc szkiców i studyów do jakiejś wielkiej kompozycyi. Sama kompozycya daje się wprawdzie przewidywać; zbadawszy uważnie składające „Cieplarnie“ utwory, możemy z całą pewnością prawie wnioskować, jaką była idea, czy wizya, absorbująca ducha poety, *ale konkretnego, ogarniającego całość odbicia tej wizyi jeszcze nie mamy;* szczegóły tylko, partye oddzielne, oświetlenia rozmaite, plany pojedyńcze, części najzwyklejsze lub też najbardziej w cieniu pogrążone, materyały — jednem słowem — do przyszłej budowy. Niektórych jest zbyt wiele, niektórych za mało, ale ze sposobu ich zbierania widzieć można, iż jakkolwiek artysta nie jest jeszcze *w stanie objąć w wykonanie całości*, w wyobraźni wszakże rysują mu się już ogólne, *choć jeszcze zamglone zarysy przyszłego dzieła.*

Symbolika w „Cieplarniach“ jest przeważnie chaotyczna i ciemna; analogie uniemożliwiają zoryentowanie się w obrazie ogólnym; obrazów, właściwie mówiąc, nie ma w nich jeszcze, nie ma konkretnego, ogarniającego całość odbicia, autor nie jest jeszcze w stanie objąć w wykonaniu całości, bo rysują mu się dopiero zamglone zarysy przyszłego dzieła... Mimo tych wszystkich wad, których się najmłodszemu nie przebacza nowicyuszowi, mają „Cieplarnie“ być dziełem „zdumiewającem głębią zawrotną, pełnem kwiatów olśniewającej piękności i przejmującej woni“... Jakże pogodzić te dwa sądy, stojące tuż obok siebie? Chyba tylko za pomocą starego spostrzeżenia, które uczy,

że gdy ktoś chce w kieliszku brudnej wody dostrzedz koniecznie morze fal błękitnych, to widzi ostatecznie, czego pragnie. Czasy dekadencyi grecko-rzymskiej znają sofistów i retorów jeszcze „głębszych“ od Maeterlinck'a. Tak samo epoka mistycyzmu średniowiecznego.

Co wielbiciele „mistrza“ belgijskiego nazywają „zawrotnością,“ jest poprostu przewrotnością i niedołęztwem głowy chorej, bałamutnej, albo też sztuczką kuglarza literackiego, który, zmiarkowawszy, co się obecnie „wytwornisiom“ estetycznym podoba, doprowadził eksperymenty dekadentów francuskich do *absurdum*.

Zdaje się, że pierwsze przypuszczenie będzie prawdziwe, oprócz bowiem „poematów“ w rodzaju „Cieplarnia,“ „Dusza,“ „Szpital“ i t. p. pomieścił Maeterlinck w swoich *Serres chaudes* kilkanaście drobniejszych utworów, z których snują się gęstemi kłębami wyziewy niezdrowego mistycyzmu.

Oto, jak się Maeterlinck modli (*Oraison nocturne*):

Śród modlitw, co zmilkają senne
W miękkiej widziadeł omdlałości,
Słyszę bijące namiętności
I wracającą żądz Gehennę.

*

Widzę miesiąca blask bolesny
Śród zniechęcenia nocnych marzeń;
Na jadowitych błoniach zdarzeń
Widzę błądzący szał cielesny.

*

Czuję, jak pełnią moje szpiki
Żądzą zielonych widnokręgów;
Śród wiecznie chmurnych nieba kręgów,
Głód straszny cierpię, głód gwiazd dziki.

*

Czuję, jak w duszy mej potoku
Źródło tkliwości grzesznych tryska;
Widzę zwodnicze trzęsawiska
Na widnokręgu w zaćmień mroku!

*

I mrę pod gniewu Twego mocą;
Litości, Panie! mąk za wiele.
Ukaż choremu leków ziele,
Widziane raz miesięczną nocą.

*

Czas, Panie, czas już, dni nastały...
I wyciąć trzeba szalej, chwasty!
Widzę przez żądz mych gąszcz kolczasty,
Księżyc od żmij zielony cały.

*

Ból snów napływa wciąż surowiej
Z grzechami swemi w oczy moje;
Słucham, jak biją modre zdroje
Ku Absolutu księżycowi.

Albo (*Feuillage du coeur*):

Pod kryształowym modrym dzwonem
Mej melancholii i znużenia,
Drzemią niejasne me cierpienia,
Śpią w sercu mem znieruchomionem.

*

Symbolów samych to roślinność,
Rozkoszy smętne nenufary,
Palmy, żądz moich blade mary,
Mchów chłód, omdlała lian bezczynność.

*

I tylko lilia wznosi w górę,
Blada, surowa, wątła, cicha,
Nieruchomego kształt kielicha
Ponad rośliny te ponure.

*

A w blaskach, które wokół sieje
Jak miesiąc pełny, — ku kryształom
Błękitnym, marą lekką, białą,
Mistyczna jej modlitwa wieje. *)

I jeszcze jedna modlitwa w języku oryginalnym, przekład bowiem polski, chociażby tak dobry, jak Zenona Prze-

---

*) Przekład Z. Przesmyckiego.

smyckiego, nie jest w stanie oddać kolorytu Maeterlinck'a. Np. drugi z rzędu utwór, pomieszczony w nowem wydaniu, „Cieplarni," *Oraison.* **)

Ayez pitié de mon absence
Au seuil de mes intentions!
Mon âme est pâle d'impuissance
Et de blanches inactions.

*

Mon âme aux oeuvres délaissées,
Mon âme pâle de sanglots
Regarde en vain ses mains lassées
Trembler à fleurs de l'inéclos.

*

Et tandis que mon coeur expire
Les bulles des songes lilas,
Mon âme, aux frêles mains de cire,
Arrose un clair de lune las;

*

Un clair de lune où transparaissent
Les lys jaunis des lendemains;
Un clair de lune où seules naissent
Les ombres tristes de ses mains

„Nieobecność na progu chęci" — „dusza blada z białych bezczynności" — „blada od łkań i spoglądająca naprożno na swe dłonie znużone, drżące nad kwieciem nierozkwitłem" — „polewająca wątłemi, woskowemi rękami znużone światło księżyca, w którem rodzą się jedynie smutne cienie rąk" — „serce wyziewające mydlane bańki snów liliowych" i t. p. „głęboko pojęte," „zawrotnie" pomyślane obrazy zachwycą może jakiego mistyka lub zblazowanego dekadenta w rodzaju księcia des Esseintes Huysmans'a (*A rebours*),

**) Maurycy Maeterlinck; „Serres chaudes"; nouvelle édition; Bruksella, 1890.

przeciętnego jednak śmiertelnika pobudzą nie do kontemplacyi, lecz do pustego śmiechu.

Jeden z dekadentów, Remy de Gourmont, drwi gdzieś z tych, „co nie chcą rozumieć.“ Można-ż rozumieć albo nie rozumieć takie potworności, jak „duszę, polewającą wątłemi, woskowemi rękami znużone światło księżyca,“ albo „serce, wyziewające mydlane bańki snów liliowych“?... Bawić się tylko można sztucznym mistycyzmem Maeterlinck'a, albo litować nad jego chorym mózgiem. Bo takie obrazy trzeba zrobić, gdy się nie postradało zmysłów doszczętnie. Najbujniejsza wyobraźnia, dopóki chce sobie zdawać krytycznie sprawę z doznanych wrażeń, nie zdobędzie się na podobne dziwactwa.

A wcale nie tak trudno wymyślić „głębię“ Maeterlinck'a, jak się jego przyjaciołom zdaje. Wystarcza przypiąć kwiat do kożucha, przyłożyć pięść do nosa, wsadzić but na głowę, kapelusz na nogi, pluć na biurko, kąpać się w rynsztoku, nazwać matkę ciotką, ojca pradziadkiem, gołębia kurą, słowem, czynić i wyrażać się inaczej, jak wszyscy ludzie.

„Spojrz na żółtą duszę moją, o Panie — I na serce, które jęczy w splotach miedzianych żmij — I ulituj się nad czarnemi łzami, — Bo czarne łzy bolą, o Panie.

— Spójrz na ręce moje, o Panie, — Na ręce, krzyczące w niebogłosy, o Panie, — Na ręce, umierające z głodu znużonych gwiazd — O, Panie, płaczących jagniątek rozkoszy.

— Serce moje, zdeptane na progu niedołęztwa, — Dusza moja, stoczona przez mrówki żółtych grzechów, — Ciało moje, wyniszczone w boju ze słodkiemi kwiatami rozpusty — Wyciąga do ciebie schwacone nogi, o Panie.

— Dusza moja, niebieska od łkań, zielona od konwulsyj, — Zmęczona polewaniem znużonego światła księżyca, —

dusza moja, pijana wyziewami grzesznych tkliwości, — Rozpada się na cuchnące strzępy, o Panie..."

Cóż to takiego?... To bardzo „głęboka" modlitwa, ułożona podług recepty Maeterlinck'a.

Wielbiciele „genialnego" belga widzą w nim proroka przyszłości. Nie-wielbiciele dostrzegają w nim tylko karykaturę francuskiego dekadentyzmu. Jego „Cieplarnie" są ostatnim wyrazem rozkładu formy i treści. *)

*) Na t. zw. reformatorskie idee na polu dramatycznem zwróciłem uwagę w poprzedniem studyum mojem p. t. „Na Schyłku Wieku" (od str. 204—212). (Przyp. aut.).

VII.

Dekadentyzm w powieści francuskiej.

Dekadentyzm w ścisłem rozumieniu eksperymentuje dotąd głównie na polu poezyi i dramatu. Więcej do życia zbliżona powieść nie nadaje się do jego sztuczek technicznych, stanowiących znaczniejszą część jego „reformy.“

Jorris Karol Huysmans nie przestał być prawie jedynym przedstawicielem dekadentyzmu w powieści francuskiej, chociaż od jego *A rebours* **) upłynęło lat dziesięć.

Po *A rebours* napisał Huysmans powieść p. t. *Là-Bas*, która ilustruje dostatecznie zamęt pojęć estetycznych i moralnych dekadentyzmu.

Z pierwszych stronnic *Là-Bas* dowiaduje się czytelnik od Huysmans'a, że hasła, które ożywiały literaturę piękną drugiej połowy bieżącego stulecia, przebrzmiały, okazawszy swoją niemoc.

Dwóch przyjaciół, literat Durtal i lekarz des Hermies, rozmawiają o naturalizmie, a chociaż pierwszy broni „uczonych artystów,“ czyni to tylko dla podtrzymania dysputy, i on bowiem wierzy w upadek doktryn naturalistycznych.

**) Porównaj studyum p. t. „Na Schyłku Wieku“ od str. 145—149

Nie jaskrawość tematów, nie jego zmysłowość zarzuca des Hermies naturalizmowi, lecz głównie pospolitość, brud idei.

Bo trzeba być bardzo ciasną i płaską głową — twierdzi des Hermies — aby zagrzęznąć w ciele, odrzuciwszy wszelki pierwiastek duchowy, i nie rozumieć, że właściwa sztuka zaczyna się dopiero tam, gdzie się zmysły kończą. Naturalizm był ordynaryjnym mieszczuchem, który uwielbia amerykańskie, episierskie pojęcia i obyczaje naszych czasów, uznaje tylko prawa brutalnej siły i walki o byt i ubóstwia jedynie kasę ogniotrwałą. Sługa motłochu, niewolnik zwierzęcych instynktów człowieka, wykluczył on z literatury całą szlachetność i podniosłość życia, jego dumne cele i tęsknoty do ideału. Przedstawiciel idei mieszczańskich wyrażał się, czuł, marzył, pragnął, jak plebejusz. W jego dziełach nie ma ani jednej myśli, odnoszącej się do życia, do duszy, ani jednego słowa gorętszego. Nie mając ludziom nic do powiedzenia, zarzucał ich plugawemi powieściami, obrazami rozpusty, zbrodni, nikczemności, pobudzającemi zwierzęce apetyty człowieka.

Tego samego mniej więcej zdania jest główny bohater *Là-Bas*, literat Durtal, i on bowiem czuje, że doktryny, które go dotąd prowadziły, przeżyły się i zwiędły. Marzy on o nowej formie literackiej, o „naturalizmie spirytualistycznym,“ któryby połączył obserwacyę z intuicyą i wyobraźnią.

Po takim wstępie należałoby się spodziewać dzieła, oczyszczonego z brudów naturalizmu, jakiejś mieszaniny Flaubert'a i Feuillet'a — zdrowych ludzi, jasnych obrazów, podniosłych i głębokich myśli.

Postacie, występujące w *Là-Bas*, nie mają na sobie rzeczywiście ran, wrzodów, nie są kalekami, pijakami, zbrodniarzami z urodzenia, nie kradną, nie walają się w rynsztokach, nie zabijają, ale mimo to nie zaszkodziłaby im nic kuracya hydropatyczna. Albo zmęczeni ludźmi i życiem, jak

Durtal i des Hermies, albo dziwacy, jak dzwonnik kościoła Sain-Sulpice, Carhaix, lub w końcu chorzy nerwowo, histeryczni, jak pani Chantelouve, nie odznaczają się wcale zdrowiem duchowem.

Durtal, wychowaniec pozytywizmu w nauce i w literaturze, nie wierzy w świat nadprzyrodzony, a mimo to uznaje wpływy, istniejące po za granicami obserwacyj zmysłowych.

„Bo jakże przeczyć tajemniczości, — filozofuje za niego autor — która przejawia się wszędzie, wokoło nas, przy każdej sposobności?“

Nawet w sile tak na wskroś doczesnej, jak w pieniądzach, dostrzega Durtal widoczną, choć dla śmiertelnika niezrozumiałą logikę postępowania. Pieniądze nie są bezwolnem, martwem narzędziem w ręku człowieka. Rozdziela je ktoś świadomie, przywiązawszy do nich prawidła niezmienne.

— Pieniądze — mówi Huysmans *) — przyciągają się nawzajem, gromadzą się zwykle w tych samych miejscach, idą najchętniej do zbrodniarzów lub miernot. A gdy się zdarzy, że znajdą się wypadkiem w ręku bogacza, którego dusza nie jest ani występna, ani nikczemna, wówczas bywają bezpłodne, niezdolne do czynu rozumnego. Możnaby powiedzieć, że mszczą się w ten sposób za to, iż dostały się do rąk niewłaściwych, że obezwładniają się własnowolnie, gdy nie należą do przebiegłych lub brutalnych.

— Jeszcze dziwniejsze stają się pieniądze, gdy zabłądzą do domu ubogiego. Wówczas plamią natychmiast uczciwego, budzą w najczystszym nędzarzu chucie zmysłowe, działając równocześnie na ciało i duszę, zaszczepiają we właścicielu nizkie samolubstwo i nikczemną pychę, uczą go wydawania pieniędzy tylko w celach osobistych, zamieniają naj-

*) J. K. Huysmans: „Là-Bas“; wydanie II; 1891 r., str. 17—19.

skromniejszego w bezczelnego fagasa, najwspaniałomyślniejszego w brudnego skąpca. W jednej sekundzie wywracają pieniądze na nice wszystkie nawyknienia, pojęcia, namiętności."

„Potwornemi stają się pieniądze, gdy pokrywając blask swój czarnym welonem jednego słowa, nazwą się kapitałem. Wówczas nie ogranicza się ich działalność na podrażnieniach indywidualnych, na zachętach do kradzieży i zbrodni, lecz rozciąga się na całą ludzkość. Jednem słowem, kapitał narzuca monopole, buduje banki, gromadzi substancye, rozporządza życiem, może, jeśli taka jego wola, kazać umrzeć z głodu tysiącom istot. On sam karmi się tymczasem obficie, tyje, zapładnia się, a obie półkule ziemskie uwielbiają go, konają przed nim z pożądania, jak przed Bogiem."

„Albo są pieniądze — kończy Huysmans — które panują w ten sposób nad duszami, — dziełem szatana, albo trudno zrozumieć ich przeznaczenie."

Po takiej wycieczce przeciw pieniądzom, raczej materyalizmowi, co w tym razie na jedno wychodzi, wolno żądać od autora typów szlachetnych i bajki jasnej. Tymczasem zanurza się Durtal z rozkoszą w brudach histeryi średniowiecznej, które nie ustępują wcale plugastwom nowoczesnego naturalizmu.

Zraziwszy się do chwili obecnej, cofnął się Durtal o kilka wieków wstecz. I kogoż upodobał sobie w epoce zamków, żywej wiary i wojen za Grób Chrystusowy? Może Parsiwala epopei rycerskiej, lub jakiego natchnionego kapłana?

Durtal ukochał słynnego w wieku XV-ym opętańca, znanego z dziejów okultyzmu marszałka Gilles'a de Rais, przyjaciela Karola VII i towarzysza Joanny d'Arc.

Margrabia Gilles de Rais, jeden z najbogatszych panów Francyi, w dwudziestym piątym roku życia marszałek

armii Karola VII, waleczny żołnierz, hojny magnat, mecenas literatury, sam wykształcony humanistycznie, oczytany w autorach klasycznych, należy do najciekawszych typów rozkładającego się średniowiecza.

Pozbawiony wiary żywej, niepokojony zagadką początku i końca wszechrzeczy, zawiązał on liczne stosunki z alchemikami i okultystami swojego czasu. Wszyscy zbuntowani, wyklęci, wiarołomni księża pierwszej połowy XV-go stulecia, wszyscy, których wiedza urzędowa ścigała jako czarnoksiężników, ciągnęli na zamek Tiffauges, gdzie ich Gilles de Rais gościnnie podejmował i wpływami swojemi przeciw wyrokom władzy świeckiej i kościelnej zastawiał.

Otoczywszy się alchemikami i okultystami, magnat francuski zasmakował w ich badaniach i sztukach i stał się sam „czarnoksiężnikiem.“ Szukał on razem z nimi „kamienia filozoficznego,“ warzył złoto w tyglach, wywoływał duchy, szatana, — stukał do zagadki wszechrzeczy za pomocą środków owego czasu, chciał koniecznie wiedzieć i módz wszystko.

Światlejszy, wytworniejszy od swojego otoczenia, nie zadawalał się Gilles de Rais tem, co mu jego epoka dawała. „Wówczas, kiedy inni parowie Francyi — mówi Huysmans — byli pospolitemi bydlętami, *on pragnął rafinowanych rozkoszy artystycznych*, *marzył o literaturze przyszłości*, *pisał traktat o wywoływaniu duchów*, *uwielbiał muzykę kościelną*, *otaczał się tylko sprzętami rzadkiemi*, *trudnemi do nabycia.*“

To pragnienie „rafinowanych rozkoszy artystycznych“ i „otaczanie się sprzętami rzadkiemi, trudnemi do nabycia“ zwróciło prawdopodobnie uwagę autora *A rebours* na Gilles'a de Rais. I jego książę des Esseintes (*A rebours*) nie znosi wszelkiej „pospolitości.“ Huysmans nazywa też Gilles'a des Esseintes'em wieków średnich.

Gilles de Rais nietylko pożądał, szukał, ale stwarzał

sobie w istocie „wrażenia i wzruszenia niezwykłe, wytworne.“ Ale wieki średnie nie były dla histeryków tak pobłażliwe, jak czasy nowsze, nie posiadały bowiem sądów przysięgłych, liczących się z wynikami antropologii kryminalnej. Coby mędrcy współcześni nazwali chorobą, w tem dopatrzyli się prawnicy XV-go stulecia po prostu zbrodni i posłali rafinowanego dekadenta na szafot. .

Smutna biografia Gilles'a de Rais jest właściwą „intrygą“ *Là-Bas*. Durtal, wybrawszy ją sobie za przedmiot do dzieła literackiego, wraca do niej ciągle, powtarza ją ze wszystkiemi szczegółami, znanemi z kronik owego czasu. Stanowi ona nić czerwoną powieści, przeładowanej mądrością okultystów.

Gdyby nie romans Durtal'a z panią Chantelouve, nie możnaby *Là-Bas* zaliczyć do belletrystyki. Bez erotyki byłaby ta powieść raczej studyum naukowem.

Jeszcze jawniej, aniżeli w lubowaniu się „rafinowanemi zachciankami“ Gillesa de Rais występują upodobania dekadentyzmu w romansie Durtal'a i pani Chantelouve.

Pani Chantelouve, histeryczka, a jak się później okazuje, satanistka, odwiedzająca „czarne msze,“ narzuca się Durtal'owi sama za pośrednictwem listów, a gdy oświadczyny piśmienne nie poskutkowały, osobiście. Kocha ona w Durtal'u nie człowieka żywego, lecz jego obraz, który sobie utworzyła z jego dzieł i z którym od dłuższego czasu obcuje. Sztuki tej nauczyła się od okultystów i bluźnierców. Szukając towarzystwa wybrańca swojej chorej wyobraźni (nie serca), marzy o rozkoszach nadzwyczajnych, zrozumiałych tylko dla dekadentów.

Chociaż Huysmans oskarża przez usta dr. des Hermies naturalizm o brutalność i drażnienie zmysłów, nie oszczędza mimo to czytelnikowi całej strony fizyologicznej owej „miłości nadzwyczajnej,“ cuchnącej zgnilizną rozkładu. Nawet nowelle Boccacia i „Pamiętniki“ Casanovy nie po-

budzają tak silnie apetytów erotycznych, jak sceny miłosne *Là-Bas*. Bucha z nich zmysłowość, różniąca się tylko tem od pornografii, że szaleje w nich nie zdrowe, brutalne zwierzę, lecz chora histeryczka.

Jak wszyscy histerycy, przerzucają się kochankowie Huysmans'a z jednej ostateczności w drugą. Przesyciwszy się zmysłowo, marzą o miłości przeidealnej, utkanej ze snów, przeczuć i daremnych pożądań.

„Dowiedzieć się we dwa, trzy lata potem — majaczy Durtal — wówczas, kiedy kobieta stała się niedostępną, uczciwą lub zamężną, po za Paryżem, po za Francyą, daleko; wówczas, kiedy może już umarła; — dowiedzieć się, że kochała cię wtedy, kiedy nie byłbyś śmiał o tem pomyśleć, gdy się obok ciebie znajdowała... oto marzenie. Tylko miłości istotne a niedościgłe, miłości, splecione z oddalonych tęsknot i zgryzot, warte są zachodu. Bo nie ma w takich miłościach ciała, nie ma zarodku brudu."

„Kochać się zdaleka i bez nadziei, nie należeć nigdy do siebie, marzyć czysto o bladych wdziękach, o niemożliwych pocałunkach, o pieszczotach, zgasłych na zapomnianych skroniach umarłych, ach! to coś jakby rozkoszne i bezpowrotne odurzenie. Wszystko inne jest brzydkie... i puste." *)

I w Baudelairze, gdy się dobrze w błocie wytarzał, po nocy bezsennej, spędzonej w towarzystwie nierządu, alkoholu i haszyszu, „budził się anioł," tęskniący za ideałem. I Verlaine, nadrwiwszy się, jak stary satyr, składa ręce i modli się do Matki Bożej z sentymentalizmem mistyka średniowiecznego. Ze wszelkiego przesytu wypełzła reakcya wręcz przeciwna, marząca przez czas krótki o czemś, czego rozpusta zmysłowa nie daje. Przez czas krótki, gdy bo-

*) S. K. Huysmans; j. w., str. 273, 274.

wiem wypoczynek wróci zmęczonym nerwom sprężystość, wówczas ustępują powiewne widziadła nowym pożądaniom.

I Durtal Huysmans'a, pozbywszy się wstrętu do histerycznego wyuzdania pani Chantelouve, zapomni niezawodnie o swojej miłości, utkanej z westchnień i pieszczot, „zgasłych na zapomnianych skroniach umarłych.“ Te dziwne zresztą pieszczoty przypominają zanadto halucynacye Baudelaire'a i Rollinat'a i sztuczne, wytworne, rafinowane rozkosze wszystkich dekadentów, aby mogły być świadectwem zwrotu do zdrowego idealizmu.

Za pośrednictwem pani Chantelouve zbliżył się Durtal do satanistów paryzkich i przypatrzył się zblizka „czarnej mszy,“, o której czytał tyle w księgach okultystów średniowiecznych. Huysmans odtworzył ten smutny obrząd z dokładnością naocznego świadka. Wiadomo, że w stolicy nad Sekwaną odżyły w czasach najnowszych wszystkie zabobony i bluźnierstwa ubiegłych wieków.

Późnym wieczorem zastukał Durtal z panią Chantelouve do furty opuszczonego klasztoru, a kiedy mu otworzono, wszedł do kaplicy, napełnionej tak odurzającemi wyziewami, że upłynął czas dłuższy, nim jego płuca przywykły do zaduchu.

W kaplicy zastał prawie same kobiety, stare i młode, a wszystkie ponure, milczące, nie robiące wcale wrażenia szczęśliwych.

W głębi dostrzegł zwyczajny ołtarz kościołów chrześciańskich, z tą tylko różnicą, że płonęły na nim świece z czarnego wosku. *)

Jeszcze rozglądał się uważnie wokoło, kiedy się do ołtarza zbliżył „kapłan“ szatana, były kanonik Docre, wyklu-

*) Przy opisie „mszy czarnej“ opuszczam szczegóły, obrażające ucho chrześcianina. (Przyp, autora).

czony przez Kościół za różne przestępstwa. Miał on na sobie zwykły ornat barwy ciemnoczerwonej, a na głowie szkarłatną czapkę, zaopatrzoną w dwa rogi. Na środku ornata czernił się kozioł.

„Kapłan“ szatana stanął na stopniach ołtarza, a oddawszy mu ukłon głęboki, rozpoczął mszę zwyczajną. Jak w kościołach regularnych, odpowiadali i jemu ministranci.

W pierwszej chwili nie zauważył Durtal nic szczególnego w „czarnej mszy.“ Ale w połowie obrzędu, przed ofiarą, odwrócił się „kapłan“ do „wiernych“ i rozpoczął odezwę do szatana, przypominającą znaną „Litanię“ Baudelaire'a. Braknie jej tylko siły i artyzmu poezyi, które zastępuje wysławianie dyabła za jego pobłażliwość dla występnych. Z odezwą tą łączy się bluźnierstwo, zwrócone przeciw Bogu, wykrzyczane przez byłego kanonika z pianą złości na ustach.

Nawymyślawszy pierwiastkowi dobra, jak rozgniewany dorożkarz, zrobił kapłan nad wiernymi krzyż lewą ręką i rozpoczął ofiarę szatana.

Nastąpiła teraz scena, którą tylko francuzom wolno odtwarzać. Gdyby się autor polski ośmielił odmalować w dziele sztuki podobny brud, odwróciłoby się od niego całe społeczeństwo. Ale belletrystom francuskim przebacza się wszystko, jak gdyby obcy język łagodził jaskrawe tony plugawego obrazu.

Bezpośrednio po ohydnem świętokradztwie powiała nad zebraniem „aura wielkiej histeryi“ (Huysmans). Kobiety zaczęły się wić, krzyczeć, miotać, wyrzucając z siebie straszne bluźnierstwa. Z kadzielnic snuły się wyziewy jakichś ziół narkotycznych, działających jak opium i haszysz.

Durtal'owi zdawało się, że dostał się między pijanych, waryatów i epileptyków. Nikczemność, wyuzdanie zmysłowe, o jakiem nie miał wyobrażenia, wykręcone członki i

twarze widział na około siebie, a słyszał dzikie krzyki i charczenia.

Niedość było Huysmans'owi „mszy czarnej.“ Dołączył on do niej pornografię, która zniechęciła Durtala do pani Chantelouve.

Tak wygląda powieść autora, który wyrzekł się publicznie naturalizmu i marzy o nowych drogach dla belletrystyki. Ordynaryjną brutalność Zoli zastępuje w niej chorobliwa brutalność histeryka.

W *Là-Bas* Huysmans'a odnajdujemy wszystkie cechy znamienne dekadentyzmu. Odszczepieniec naturalizmu jest zmysłowy, jak mistrz jego młodości, kocha się w wypadkach i charakterach „nadzwyczajnych,“ grzęźnie w mistycyzmie, poluje na wrażenie i wzruszenia niezwykłe, sztuczne, które zowie wytwornemi, rafinowanemi. I on nie ma ludzkości nic takiego do powiedzenia, coby podnosiło jej duszę i rozgrzewało serce, coby człowieka oczyszczało, uszlachetniało, chociaż zarzuca naturalizmowi mieszczańską płaskość myśli i zwierzęcość uczuć.

Pod względem technicznym nie zadawala powieść dekadencka najskromniejszych wymagań.

Już naturalizm rozprzągł budowę i zaniedbał bajkę, wysunąwszy tło, szczegóły, stronę w ogóle opisową na plan pierwszy. Dekadentyzm posunął zaniedbanie formy jeszcze dalej. U Huysmans'a nie ma zupełnie czynności powieściowej w rozumieniu zwykłem. Nic się u niego nie dzieje; ubogie wypadki nie wynikają jedne z drugich; rozwijająca się prawidłowo akcya nie łączy poszczególnych części w całość zaokrągloną. Autor *Là-Bas* popisuje się erudycyą okultystyczną w dyalogach bez końca, lub zestawia obok siebie luźne sceny. Ludzie wchodzą u niego i wychodzą, jak w domu zajezdnym.

Przezroczysta, swobodna proza francuzka zmieniła się w ręku dekadentów w ociężały, zagmatwany żargon, popstrzony wyszukanemi zwrotami i wyrazami.

VIII.

Dekadentyzm w literaturze niemieckiej. Fryderyk Nietzsche.

Charakterystyka dekadentyzmu francuzkiego składa się na pełny obraz obecnego rozkładu zasad estetycznych i moralnych w literaturze europejskiej. Co w tym kierunku wydają inne narody, jest tylko echem eksperymentów „mistrzów“ paryzkich i belgijskich.

Z pomiędzy dekadentów niemieckich zwrócił na siebie uwagę całej Europy jedynie Fryderyk Nietzsche, który usiłował majaki poezyi wtłoczyć w zwarte formy systematu filozoficznego.

Fryderyk Nietzsche (ur. w r. 1844), pochodzący, jak sam o sobie opowiada, z rodziny polskiej Nieckich czy Nęckich, był przez kilka lat (od r. 1869—1878) profesorem uniwersytetu w Bazylei, gdzie wykładał filologię klasyczną. Działalność autorską rozpoczął w r. 1872, a skończył ją w r. 1889, zapadłszy w tym czasie na nieuleczalną chorobę umysłową. Napisał on cały szereg dzieł *), które są rodzajem wstępu do głównego, do głośnego „Tak rzekł Zarathustra.“

*) Die Geburt der Tragödie — Unzeitgemässe Betrachtungen — Menschliches, Allzumenschliches — Morgenröthe — Die fröhliche Wissenschaft — Jenseits von Gut und Böse — Zur Genealogie der Moral — Der Fall Wagner — Götzendämmerug.

Zanim się w umyśle Nietzschego ideał „nadczłowieka," stanowiący treść jego doktryny, ostatecznie skrystalizował, kołatał filozof, jak wszyscy młodzi pisarze, do różnych istniejących już teoryj, szukając w nich nici, o którąby mógł własną przędzę zaczepić. Zrazu odpowiadał mu najwięcej Artur Schopenhauer; wkrótce jednak, przekonawszy się, iż żaden z dawniejszych myślicieli nie może mu służyć za przewodnika, zerwał z całą przeszłością i poszedł własną drogą. Tego zwrotu owocem jest jego słynny „Zarathustra," w którego wcielił siebie samego, swoje sympatye i antypatye, swoje poglądy i proroctwa. Wszystkie inne dzieła są tylko przygotowaniem, komentarzem do tej „biblii dla ludzi wyjątkowych," jak wielbiciele Nietzschego „Zarathustrę" nazywają.

„Tak rzekł Zarathustra" (*Also sprach Zarathustra*), „książka dla wszystkich i dla nikogo" (*ein Buch für Alle und Keinen*), rozpada się na cztery części, z których każda obejmuje mnóstwo poszczególnych rozdziałów (pierwsza 23, druga 22, trzecia 16, czwarta 20); każdy z tych rozdziałów zawiera kilka lub kilkanaście podrozdziałów, każdy zaś podrozdział jest wiązanką luźnych aforyzmów, tworzących razem całość nie zawsze spoistą. Każdy rozdział zaopatrzył Nietzsche osobnym tytułem.

Zarathustra, młody mędrzec (jego narodowości nie podaje Nietzsche), obrzydziwszy sobie w trzydziestym roku życia ludzi, porzucił miejsce rodzinne i udał się w góry, aby tylko z sobą obcować. Całem jego towarzystwem w samotności był wąż, najmądrzejsze, i orzeł, najdumniejsze z pomiędzy zwierząt.

„Nasyciwszy się duchem swoim" przez lat dziesięć, uczuł Zarathustra, że się jego „serce zmieniło." Podniosłszy się pewnego dnia razem z jutrzenką, stanął przed słońcem i rzekł do niego:

— Ty wielka gwiazdo! Czem byłoby twoje szczęście,

gdyby nie istnieli tacy, którym świecisz!... I mnie sprzykrzyła się moja mądrość, nie służąca nikomu. Jestem jako pszczoła, która zebrała zawiele miodu. Potrzeba mi rąk, coby się po ten miód wyciągnęły.

Tak rzekłszy, pożegnał Zarathustra samotnię i udał się między ludzi, aby im mądrości swojej udzielić.

Zatrzymawszy się w najbliższem mieście, które spotkał na drodze, zastał właśnie na rynku mnóstwo ludzi, czekających na sztuki jakiegoś linoskoka. Więc stanął przed narodem i w te do niego przemówił słowa:

— *Uczę was nadczłowieka* (*Uebermensch*). *Człowiek jest czemś, co trzeba pokonać.* Coście uczynili, aby go pokonać? — Wszelkie istoty stwarzały dotąd coś wyższego od siebie, a wy chcecie być odpływem owej fali i wolicie cofnąć się do zwierzęcia zamiast pokonać człowieka? — Czem jest małpa dla człowieka? Pośmiewiskiem albo wstydem bolesnym. A tem samem ma być człowiek dla nadczłowieka: pośmiewiskiem albo wstydem bolesnym. — Przebyliście drogę od robaka do człowieka, ale zostało w was jeszcze dużo robaka. Niegdyś byliście małpami, a i dziś jeszcze jest człowiek więcej małpą od każdej małpy. — Najmędrsi z pomiędzy was są mieszaniną rośliny i upiora. Ale każę-ż wam zostać upiorami lub roślinami? — Patrzcie, oto nauczam was nadczłowieka. — *Nadczłowiek jest treścią ziemi.* Niechajże wola waszà powie: nadczłowiek *niech będzie* treścią ziemi. — Zaklinam was, bracia moi, *zostańcie wierni ziemi i nie wierzcie tym, którzy wam mówią o rzeczach nadziemskich.* Są to truciciele, czy o tem wiedzą lub też nie wiedzą. — Są to potwarcy życia, dogorywający i sami zatruci, których sobie ziemia sprzykrzyła. Przeto niech odejdą! — Niegdyś był występek przeciw bogom występkiem największym, *ale bogowie umarli*, a z ich śmiercią umarły występki przeciw nim. Grzech przeciw ziemi jest obecnie grzechem najstraszliwszym i przywiązywanie większej wagi do badania

wnętrzności Niezbadanego aniżeli do treści ziemi. — Niegdyś spoglądała dusza z pogardą na ciało i wówczas była ta pogarda cnotą najwyższą. Chciała ona widzieć ciało chudem, strasznem, wynędzniałem z głodu, chcąc w ten sposób uciec przed niem i przed ziemią. — O, ta dusza była jeszcze sama chuda, straszna i wynędzniała, i okrucieństwo było tej duszy rozkoszą. — Ale i wy, bracia moi, mówicie do mnie: co mówi ciało o duszy? Nie jestże wasza dusza ubóstwem i brudem i nędzną przyjemnością? — Zaprawdę, brudnym strumieniem jest człowiek. Trzeba być morzem, aby módz wchłonąć w siebie brudny strumień i nie zbrudzić się. — Patrzcie, *oto nauczam was nadczłowieka*. On jest owem morzem, w którem wasza wzgarda może utonąć. — Co jest największego, czego doznać możecie? Jest to godzina wielkiej pogardy. Godzina, w której wam wasze szczęście, wasz rozum i wasza cnota obrzydną. — Godzina, w której powiecie: *cóż zależy na moim rozumie?* Pożąda-ż on wiedzy, jak lew pokarmu? Wiedza jest ubóstwem i brudem i nędzną przyjemnością? — Godziną, w której powiecie: *Cóż zależy na mojej cnocie?* Jeszczem dla niej nie oszalał. Jakże zmęczyły mnie dobre i złe uczynki! Wszystko to jest ubóstwem, brudem i nędzną przyjemnością? — Godzina, w której powiecie: *Cóż zależy na mojej sprawiedliwości?* Nie widzę, abym był żarem i węglem. — Godzina, w której powiecie: *Cóż zależy na mojem miłosierdziu?* Nie jestże miłosierdzie krzyżem, do którego przybijają tego, który ludzi kocha? Ale moje miłosierdzie nie jest ukrzyżowaniem. — Czy mówiliście już, wołaliście już tak? Ach, żebym was tak wołających słyszał. — *Nie wasz grzech — wasze umiarkowanie krzyczy w niebogłosy*; wasze skąpstwo w waszym grzechu krzyczy w niebogłosy. — Gdzie jest błyskawica, któraby was językiem swoim polizała? Gdzie jest szaleństwo, które trzeba w was zaszczepić? — Patrzcie, oto

nauczam was nadczłowieka: ten jest ową błyskawicą, owem szaleństwem. *)

Przemówiwszy w ten sposób do motłochu, Zarathustra zamilkł i czekał na skutek swojej nauki. Naiwnemu mędrcowi, odwykłemu wśród gór i lasów od zwykłej mowy ludzkiej, zdawało się, że naród powita jego słowa „głębokie“ szumem podziwu i okrzykami radości. Ale naród śmiał się głupkowato, a jeden z tłumu zawołał: Słyszelimy już dosyć o owym linoskoku; teraz chcemy go oglądać...

Wiadomo, że Nietzsche szukał bardzo długo formy, odpowiadającej najlepiej rodzajowi jego umysłu. Wypełniwszy kilka tomów aforyzmami i wykrzyknikami, wybrał sobie w końcu obrazowy styl przypowieści, nadającej się do podniosłego tonu proroctwa. Zapomniał tylko, że główną siłę i wdzięk przypowieści stanowi prostota, nie mająca nic wspólnego z napuszoną frazeologią „głębokiego“ filozofa.

Jakże chciał Zarathustra, aby lud, który przybył na rynek w celu zabawienia się sztukami linoskoka, zasmakował w jego zagmatwanej gadaninie? Nawet słuchacze, nienależący do „motłochu,“ muszą się dobrze namyślić, zanim zgłębią głębię jego pierwszego kazania, nazwanego przez Nietzschego „przedmową“ (*Zarathustra's Vorrede*).

W pierwszej chwili sprawia owo słowo wstępne wrażenie szumu, spływa mnóstwo wyrazów głośnych, snujących się bez ładu z mózgu chorego. Dopiero po powtórnem odczytaniu widzi się, że „przedmowa“ zawiera bardzo dużo treści, bo zarys całej „nauki“ Nietzschego.

„Nadczłowiek jest treścią ziemi,“ — „Człowiek jest czemś, co trzeba pokonać,“ — „Zostańcie ziemi wierni i nie wierzcie tym, którzy wam o rzeczach nadziemskich mó-

*) Fryderyk Nietzsche: „Also sprach Zarathustra“; wydanie III. Lipsk; 1884 r., str. 9—11.

wią," — „Bogowie umarli," — „Cóż zależy na moim rozumie?" — „Co na cnocie?" — „Co na sprawiedliwości?" — „Co na miłosierdziu?" — „Są one ubóstwem, brudem i nędzną przyjemnością," — „Nie wasz grzech, lecz wasze umiarkowanie krzyczy w niebogłosy..."

Zestawiwszy powyższe wykrzykniki obok siebie i przetłómaczywszy na język zrozumiały, powstanie następujący łańcuch przesłanek i wniosków: Oto powiadam wam, że bogowie, przed którymi się dotąd korzyliście, umarli, a z nimi razem ich cnoty i grzechy. Nie gardźcie ziemią, ciałem, rozkoszami tego świata, cieszcie się życiem, albowiem kłamią, którzy mówią o jakichś światach nadziemskich. Zamiast się umartwiać, męczyć niepotrzebnie, mając o karze i nagrodzie pozagrobowej, starajcie się raczej wzmocnić w sobie, spotęgować środki używania doczesnego, abyście mogli wychylić do dna kielich szczęścia, przeznaczonego człowiekowi przez naturę. Gdy mówię: człowieka należy pokonać! nie mam bynajmniej na myśli suchotniczych wskazówek nauki chrześciańskiej. Nie człowieka, nie jego namiętności radzę zdeptać, zwyciężyć, lecz tylko tego człowieka, który obecnie istnieje, a którego straszą ciągle groźby i napomnienia religii i etyki chrześciańskiej. Ten człowiek, widzący w umiarkowaniu cnotę, musi ustąpić nadczłowiekowi, którego nie będą krępowały żadne przesądy.

Tak mniej więcej wygląda w zarysie doktryna Nietzschego, zrywająca stanowczo z całą tradycyą cywilizacyi aryjskiej. Zarathustra poszedł znacznie dalej od nowoczesnych materyalistów i pesymistów z Schopenhaurem na czele, jeszcze bowiem w lamentach „samotnika frankfurckiego" skarży się dusza chrześciańska, chociaż się on tego zapiera.

W dalszym ciągu rozwija Nietzsche, pogłębia i uzasadnia wskazówki, zawarte w „Przedmowie Zarathustry."

Do bogów umarłych wraca kilkakrotnie, drwiąc z tych, którzy w nich wierzą.

„Bóg jest przypuszczeniem — mówi w rozdziale p. t. „Na szczęśliwych wyspach“ (*Auf den glückseligen Inseln*) — a ja chcę, żeby wasza domyślność sięgała tylko tak daleko, jak wasza twórcza wola. Czy możecie stworzyć Boga? Nie mówcież mi o bogach. Bóg jest przypuszczeniem, a ja chcę, aby waszą domyślność ograniczała myśl. Czy możecie Boga pomyśleć? O tem pamiętajcie, żebyście wszystko, co myślicie, widzicie, czujecie, myśleli, widzieli i czuli po ludzku. I co nazywacie światem, to powinniście sobie dopiero sami stworzyć... *Gdyby bogowie istnieli, jakżebym wytrzymał, nie będąc sam bogiem?* Więc nie ma bogów... Bóg jest przypuszczeniem, ale któż zdołałby wypić mękę tego przypuszczenia, nie pragnąc śmierci. Któż chciałby odebrać tworzącemu jego wiarę w siebie, a orłowi jego lot w przestrzeniach orlich? — Bóg jest myślą, która skrzywia wszystko proste i wprawia w ruch wszystko, co stoi. — Sama myśl o tem jest wirem i szumem dla człowieka a dla jego żołądka wymiotami: zaprawdę, chorobą wirującą nazywam takie przypuszczenie“ (j. w. str. 119, 120).

Zarathustra, nieznoszący bogów głównie dla tego, że, „gdyby istnieli, nie wytrzymałby, nie będąc sam mieszkańcem niebios,“ nienawidzi oczywiście także wszelkiego duchowieństwa.

„Jako trupy postanowili żyć — mówi w rozdziale p. t „O kapłanach“ (*Von den Priestern*) — i czarno ubrali swojego trupa; nawet w ich mowach czuję jeszcze brzydki zapach trupiarni. — A kto w ich pobliżu żyje, ten żyje nad brzegiem czarnych stawów, w których żaby swoją słodkoponurą pieśń zawodzą“ (j. w. str. 129).

I uczonych nie cierpi Zarathustra.

„Wyprowadziłem się z domu uczonych, zatrzasnąwszy drzwi za sobą. — Zbyt długo siedziała moja dusza głodna

przy ich stole, nie wytresowano jej bowiem do poznawania jak do łupania orzechów. — Lubię swobodę i powietrze nad świeżą ziemią. Wolę spać na skórze byczej, aniżeli na ich godnościach i zaszczytach“ (j. w. 179).

A nietylko uczonych z zawodu lekceważy Zarathustra, lecz w ogóle wszelkich ludzi oświeconych, wykształconych.

„Znalazłszy się w kraju oświeconych (*Vom Lande der Bildung*), roześmiałem się głośno, jeszcze bowiem nigdy nie widziałem tyle pstrokacizny. I śmiałem się i śmiałem, wołając: oto jestem na ziemi wszystkich garnków z farbami. — Z pięćdziesięciu, wymalowanemi na twarzy i ciele plamami, siedzieliście, o moi współcześni. — A naokoło was było pięćdziesiąt zwierciadeł, które schlebiały waszym malowankom i odbijały je. — Zaprawdę, lepszej maski nie potrzebujecie, o moi współcześni. Najlepszą maską jest twarz wasza. Któżby was poznał? — Pokryci od góry do dołu znakami przeszłości, macie na tych znakach jeszcze inne, nowe: tak omalowani ukryliście się przed wszystkimi odgadywaczami. — Wszystkie czasy i narody wyzierają z waszych opon, wszystkie obyczaje i wiary przemawiają z waszych ruchów,.. Jesteście chodzącemi przeciwieństwami wiary samej i wszelkich myśli kołowacizną... Wszystkie czasy kłócą się w waszych umysłach, a nawet wszystkich czasów majaki i gadaniny były jeszcze prawdziwsze od waszej trzeźwości... Jesteście otwartemi bramami, przed któremi czekają grabarze i oto wasza jedyna rzeczywistość, o moi współcześni, oświeceni: wszystko, co jest, powinno przepaść...“ (j. w. str. 170—172).

Nietylko religie, zwyczaje, obyczaje i wiedza chwili obecnej przepełniają duszę Zarathustry wstrętem, lecz obrażają ją także urządzenia społeczne.

Więc niema nic w chwili obecnej, coby się ostało przed morderczą krytyką Zarathustry, nic, coby zasługiwało na jego uznanie. Religie, wiedza, zwyczaje, obyczaje, urzą-

dzenia społeczne, cały, słowem, człowiek współczesny powinien ustąpić innemu, nowemu. Z karty przeszłości starł Nietzsche wszystkie „znaki," wszystkie „wartości," nie zatrzymawszy dla przyszłych pokoleń ani jednej. *Tabula rasa*... „Jesteście otwartemi bramami, przed któremi czekają grabarze, i oto wasza jedyna rzeczywistość, o moi współcześni. Wszystko, co jest, powinno przepaść..."

Ale Zarathustra nie jest tylko krytykiem. Zamiotłszy porządnie, do czysta, zaśmieconą posadzkę naszego czasu, wymalował na niej nowe esy i floresy, nowe „wartości."

Przedewszystkiem sączy z jego wskazówek jad nienawiści do chrześciaństwa, do jego poglądów na życie doczesne, do jego cnót i tęsknot pozagrobowych. „Niepraktyczność" nauki Chrystusowej niepokoi go ciągle. Wraca on do niej przy każdej sposobności.

„Nowej dumy nauczyła mnie moja jaźń; tej dumy uczę ludzi. Nie zanurzajcie głowy w piasku rzeczy niebieskich, lecz nieście ją wysoko, swobodnie, głowę ziemską nieście, która odtwarza treść ziemi. — I nowej woli uczę człowieka: chciejcie postępować tą drogą, którą szedł człowiek na oślep i nie zbaczajcie z niej, do chorych podobni i umierających. — Chorzy to i umierający wzgardzili ciałem i wynaleźli rzeczy niebieskie i zbawcze krople krwi... Uciec chcieli przed swoją nędzą a gwiazdy były zbyt daleko od nich. Wówczas westchnęli: „O gdyby istniały drogi niebieskie, abyśmy się mogli zakraść do innego bytu i do innego szczęścia." I wtedy wynaleźli różne podstępy i krwawe napoje" (j. w. str. 39, 40; *Von dem Hinterweltlern*).

Obrzydliwością są dla Zarathustry wszyscy asceci, gardziciele ciała i jego rozkoszy, obrzydliwością wszyscy, którzy mówią o duszy i jej tęsknotach.

„Ale przebudzony, świadomy mówi: ciałem jestem na wskroś i niczem oprócz ciałem, dusza zaś jest tylko słowem, która oznacza coś w ciele. Ciało jest wielkim rozumem...

Narzędziem twojego ciała jest także twój mały rozumek, który nazywasz duchem — małem narzędziem, zabawką twojego wielkiego rozumu“ (j. w. str. 42; *Von den Verächtern des Leibes*).

Mówisz o duszy, o jej szlachetniejszem pochodzeniu, o jej przeczuciach i pragnieniach, śmieszny człowieku! Łudzisz się i okłamujesz... Jedynem źródłem i bodźcem twojego postępowania jest egoizm.

„Po za twemi myślami i uczuciami, bracie, stoi potężny rozkazodawca, ukryty, nieznany mędrzec. Imię jego „Ja.“ Mieszka on w twojem ciele, jest twojem ciałem. — Jest więcej rozumu w twojem ciele, aniżeli w twojej najlepszej mądrości... Twój egoizm drwi z twojego „ja“ i z jego dumnych skoków. Czemże są owe skoki i wzloty myśli? — mówi — Manowcem, wiodącym ostatecznie do mojego celu“ (j. w. str. 43).

Gdyby Zarathustra Nietzschego tylko bronił ciała i jego praw, byłby znanem echem materyalizmu wszystkich czasów. Cały szereg mędrców i poetów bieżącego stulecia wygłosił te same zasady, chociaż w innej formie. Nie pierwszy Zarathustra szturmuje do ideałów chrześciaństwa.

Ale Nietzsche nietylko występuje w obronie ciała i jego instynktów, lecz zaleca wprost, bez ogródki, posłuszeństwo jego pożądaniom. Co ludzkość, wychowana przez cywilizacyę chrześciańską, ukrywała starannie — swoje samolubne zachcianki i czyny — co nazywała nieszlachetnością, słabością, grzechem, co nawet krańcowi doktrynerowie materyalistyczni i pesymistyczni usiłowali złagodzić i przyozdobić za pomocą draperyi, utkanej z argumentów sofistycznych, to podnosi nowy prorok do godności cnoty. I na tem polega jego smutna oryginalność.

„Mówili wam dawniej — uczy Zarathustra — że namiętności należy trzymać na łańcuchu woli, jak złe, szkodli-

we bestye. Nie wierzcie temu kłamstwu. Ono szkodzi życiu.

— Niegdyś miałeś namiętności i nazywałeś je złemi. Ale teraz masz tylko cnoty, które wyrosły z twoich namiętności. Najwyższe cele swoje połączyłeś z temi namiętnościami, a wówczas stały się one cnotami i przyjaciołkami“ (j. w. str. 46; *Von den Freuden-und Leidenschaften*).

Prawili ci o t. zw. miłości bliźniego, o pobłażliwości silnych dla słabych, możnych dla ubogich, zdrowych dla chorych, o poświęceniu, ofierze i t. p. przesądach. Nie słuchaj tych fałszywych proroków, albowiem oni nie mają wyobrażenia o potrzebach życia.

„Radzę-ż wam miłość bliźniego? Raczej radzę wam ucieczkę przed bliźnim... Nie możecie z sobą wytrzymać i nie kochacie się dostatecznie i dla tego chcecie bliźniego zwieść miłością i siebie jego złudzeniem ozłocić... Nie bliźniego was nauczam, lecz przyjaciela. Przyjaciel niech wam będzie świętem ziemi i przeczuciem nadczłowieka“ (j. w. str. 84, 85; *Von der Nächstenliebe*).

Uczyli was litości, miłosierdzia, obiecywali nagrodę niebieską tym, którzy ocierają łzy cierpiących... Uczyli was źle, bo człowieka silnego obraża i męczy widok niemocy. Nie szukać należy niedołężnych i chorych, lecz schodzić im z drogi, aby obraz ich nędzy nie zatruwał waszego szczęścia. I tak używa człowiek za mało szczęścia na ziemi.

„Od czasu, jak człowiek istnieje na ziemi, radował się za mało: to, bracia mili, jest naszym jedynym grzechem pierworodnym... Żebraków należy zupełnie znieść! Zaprawdę, gniewamy się, gdy im dajemy, i gniewamy się, gdy im dać nie możemy“ (j. w. str. 124: *Von den Mitleidigen*).

Współczucie, miłosierdzie, litość i t. p. wytwory słabości ludziej, narobiły więcej złego aniżeli dobrego. Rzeczy wielkich nie stworzyła nigdy łagodność i miękkość, lecz zawsze tylko siła.

„Natury twórcze są twarde, nieubłagane“ (j. w. str. 126).

Największą krzywdę wyrządzili ludzkości, podług Nietzschego, moraliści cywilizacyi chrześciańskiej, którzy sfałszowali pojęcia o dobrem i złem. Dobrem nie jest bynajmniej — uczy Zarathustra — dobroć w rozumieniu dziś powszechnie przyjętem. Dobroć dzisiejsza, to dobroć niewolników, którzy zbuntowali się przeciw dobroci panów.

Dobremi nazywano pierwotnie i jedynie słusznie tylko te przymioty, które służyły rasie rozkazującej, rządzącej czyli panom, więc: odwagę, męztwo, dumę, pogardę, kłamstwa, pochlebstwa, uniżoności, gwałtowność, bezwzględność, zdrowie, bogactwo, znaczenie i t. d.; złemi zaś były, nikczemnemi: pokora, cierpliwość, obłuda, przebiegłość, ubóstwo, choroba i t. p. wady i klęski służby, niewolników.

Przemiana wartości moralnych, zwycięztwo „moralności niewolników“ nad „moralnością panów“ jest dziełem chrześciaństwa, i dla tego nienawidzi go Zaratustra.

Bo ten Nietzsche-Zarathustra jest, czy chce być „panem,“ materyałem na nadczłowieka.

Pierwotnie łudzi się, że jego naukę zrozumie i umiłuje cała ludzkość. Więc stanął na rynku i przemawiał do ludu. Zmiarkowawszy jednak rychło, że motłoch przenosi sztuki linoskoka nad jego „głębokie“ słowa, otrząsnął kurz ulicy z sandałów i przemawiał odtąd tylko do „wybranych,“ nie szczędząc „hołocie“ przy każdej sposobności drwin i pogardy. Określenia, jak: mali ludzie, zbyteczni, niepotrzebni, małe myśli, małe uczucia, małe cele, głupcy, hałastra, bydło i t. d., powtarzają się co kilka stronnic w „Tak rzekł Zarathustra.“

„Życie jest źródłem rozkoszy — mówi Zarathustra — ale tam, gdzie hołota także pije, są wszystkie studnie zatrute. — Kocham wszelką czystość, ale patrzeć nie mogę na śmiejące się mordy (*Mäuler*) i na pragnienie nieczystych. —

Rzucili oczy swoje do studni: i oto widzę w studni ich wstrętny śmiech. — Świętą wodę zatruli swoją lubieżnością; a gdy nazwali swoje brudne marzenia rozkoszą, zatruli nawet słowa. — Wspina się płomień z gniewu, gdy oni swoje wilgotne serce do ognia przykładają; sam nawet duch kipi i dymi, gdy hołota stanie przy ogniu. — Przesłodkim i przedojrzałym staje się w ich rękach wszelki owoc; spojrzenie ich odbiera moc i soczystość każdemu drzewu. — I niejeden, który się od życia odwrócił, odwrócił się tylko od hołoty; nie chciał dzielić studni, ognia i owoców z hołotą. — I niejeden, który udał się na pustynię i łaknął i pragnął z dzikiemi zwierzętami, nie chciał tylko spoczywać z hołotą przy tej samej cysternie. — I niejeden, który przyszedł jako burzyciel i spadł na pola, jak grad, chciał tylko hołocie włożyć nogę w paszczę i w ten sposób ją zapchać“ (j. w. str. 136, 137; *Vom Gesindel*).

Cała nienawiść dekadentyzmu do pospolitości i powszedniości życia występuje z gwałtownością długo tamowanego potoku, ilekroć Zarathustra mówi o „hołocie,“ o „motłochu.“ Nie ma dość silnych określeń w słowniku obelg i zniewag do wyrażenia jego gniewu.

I ta nienawiść do pospolitości i powszedniości życia jest właściwem źródłem „pańskiej“ doktryny Nietzschego. Z niej wytrysła jego nowa „moralność,“ która ma wrócić naturom niezwykłym, utalentowanym świadomość ich siły i posłannictwa.

Nie do ludzkości w ogóle przemawia ostatecznie Zarathustra, lecz tylko do „tworzących“ (*Die Schaffenden*), do tych, których życie wchodzi do historyi, jest historyą rodu człowieczego. Reszta, wielkie masy szarego tłumu, miliony, to „trzoda,“ o której nie warto nawet myśleć, bo przeznaczeniem jej: byt niesławny, roślinny i śmierć listka, więdnącego na drzewie.

Nie człowiek, jako taki, jego uszlachetnienie i uszczę-

śliwienie, jest celem życia, lecz tylko człowiek niezwykły, wyjątkowy, — „nadczłowiek.“ Praca całej ludzkości powinna się na to składać, aby wytworzyć jak najwięcej „nadludzi,“ „panów,“ „nadczłowiek bowiem jest treścią ziemi.“ Dla nadczłowieka nie ma grzechów i występków. Wszystko, co jemu służy, chociażby to motłoch złem nazywał, jest dobrem; zbrodnia nawet w zwykłem rozumieniu zamienia się w jego ręku na cnotę.

„Nadczłowiekowi“ wolno wszystko: kraść, zabijać, gwałcić, deptać hołotę, wyzyskiwać słabszych, gardzić głupszymi, być samolubnym, nielitościwym, okrutnym, motłoch bowiem istnieje tylko dla niego. Tłum powinien się kłaść bez oporu do jego stóp, szczęśliwy, że nadczłowiek raczy korzystać z jego trudu i cierpienia.

Człowiek niezwykły ma obowiązek być złym, samolubnym, albowiem jego „złość“ przyspiesza wytworzenie „nadludzi.“

„Złość jest najlepszą siłą człowieka“ (j. w. str. 416; *Vom höheren Menschen*).

Zapomniał tylko Nietzsche o rzeczy najważniejszej: nie wskazał celu, przeznaczenia owych nadludzi. Cóż te postacie symboliczne, te wytwory całej siły ludzkości mają dać człowiekowi za jego ofiarę i służbę posłuszną? Dokąd prowadzą „panowie“ „trzodę,“ dokąd dążą, czego chcą? Trzoda ma prawo znać posłannictwo nadludzi.

Zarathustra nie mówi nic o celu istnienia człowieka. Brak tej wskazówki, która powinna była uwieńczyć dzieło Nietzschego, jest błędem zasadniczym jego doktryny.

Zapomniał także Nietzsche o połowiczności człowieka, o jego ograniczonych przez zmysły środkach i zdolnościach. I najwyższy nadczłowiek będzie zawsze tylko człowiekiem, czyli istotą, podlegającą głodowi, namiętnościom, chorobom i śmierci, i tracącą miarę w postępowaniu, gdy nie czuje nad sobą nadzoru bogów i prawa.

Ludzkość wydaje od czasu do czasu, w chwilach rozkładu pewnej formy cywilizacyi, nadludzi w rozumieniu Nietzschego, ale są to wówczas zawsze tylko oszalałe z pychy zwierzęta w rodzaju Kaligulów, Neronów, Domicyanów, Kommodów, Karakallów, Gilles'ów de Rais, margrabiów de Sade i t. p. dekadentów czynnych.

Na prawidłową, poważną polemikę nie zasługuje doktryna Nietzschego. Jest ona wybrykiem chorobliwego indywidualizmu dekadentów, dziwaczną formą egotyzmu, który, doszedłszy do krańców samolubstwa ludzkiego, postradał zmysły... zwaryował. Pomieszały się w jego biednej, skołatanej głowie pojęcia logiczne, moralne i estetyczne, pomieszały się określenia, wartości, słowa w końcu. Brutalnego parweniusza nazwał „panem," obłąkanego frazeologa mędrcem, niesmaczne ględzenie mową natchnioną, czarne białem, zielone czerwonem. Tu i owdzie — w chwilach jaśniejszych, w *lucida*'ch *intervalla*'ach — błyśnie jakieś dobre spostrzeżenie, jakaś wskazówka rozumna, śmiała, prawdziwa, ale nie wiele tych błysków. Całość jest zwaryowaną gadaniną, zasługującą na uwagę tylko jako zjawisko patologiczne naszych czasów, starganych przez nadmierny egoizm.

Do charakterystyki stylu Nietzschego wystarczy przekład któregokolwiek rozdziału „Zarathustry." Oto, jak prorok przyszłości śpiewa (j. w. str. 149 i następne; *Das Nachtlied*):

„Nadeszła noc; teraz mówią głośniej wszystkie fontanny. I moja dusza jest także fontanną. — Nadeszła noc; teraz przebudzają się wszystkie pieśni rozkochanych. I moja dusza jest także pieśnią rozkochanego. — Jest we mnie coś niezaspokojonego, coś, co się nie da zaspokoić; to coś chce mówić głośno. Jest we mnie pożądanie miłości, które przemawia samo mową miłości. — Jestem światłem. O, gdybym był nocą! Ale na tem polega moja samotność, że

mnie światłość otacza. — Ach, gdybym był ciemnym i nocnym! Jak ssałbym wówczas u piersi światła! — I was małe, roszkoszne gwiazdki na górze i robaczki świętojańskie błogosławiłbym jeszcze! I byłbym szczęśliwy z powodu waszych darów świetlanych. — Ale żyję własnem światłem, ssię w siebie płomienie, które ze mnie tryskają. — Nie znam szczęścia biorących, i często śniło mi się, że kradzenie sprawia większą przyjemność od brania. — Jest mojem ubóstwem, iż ręka moja nie wypoczywa nigdy od dawania; jest moją zazdrością, że widzę czekające oczy i rozjaśnione noce tęsknoty. — O, nieszczęście wszystkich rozdawających! O, zaćmienie mojego słońca! O, pożądanie pożądliwości! O, głód w nasyceniu! — Oni biorą odemnie, a ja czy potrącam jeszcze o ich dusze? Jest przepaść między dawaniem i braniem, a przepaść najmniejszą można dopiero na końcu zakryć. — Głód wyrasta z mojej piękności: źle czynić chciałbym tym, którym przyświecam, okraść chciałbym moich obdarowanych: — i oto łaknę złości...“

Chyba dosyć... Nie sposób dociągnąć do samego końca rozdziału.

W tej dziwacznej gadaninie, wsłuchawszy się w nią dobrze, jest jakiś sen, ale i w majakach obłąkanych tkwi zawsze jakaś treść.

Niktby nie uwierzył, że takie dziwactwo mogło pozyskać krocie zwolenników, gorących nawet wyznawców, wielbicielów, że obiegło cały świat cywilizowany, wywoławszy wszędzie namiętne polemiki za i przeciw, że rozlało się szeroko nad współczesny inteligencyą wszystkich narodów, olśniwszy krocie głów oświeconych.

Miałżeby Zarathustra racyę, gdy nazywa „motłoch“ bydłem bez woli i rozumu?

Na samym Nietzsche'm zemściła się jego mania wielkości straszliwie. Myśliciel tak pyszny, że nie uznaje bo-

gów dla tego, „bo gdyby istnieli, nie wytrzymałby, nie będąc sam bogiem,“ nadczłowiek, nielękający się nikogo i niczego — znajduje się już od dłuższego czasu w domu obłąkanych, złamany, trwożliwy, obawiający się najlżejszego szelestu. Strach prześladowczy zdeptał go w kwiecie wieku.

IX.

Zakończenie.

Człowiek współczesny w oświetleniu literatury i prasy.

Obok wyroków pesymistycznych, potępiających namiętnie dogorywające stulecie, odzywają się tu i owdzie głosy optymistyczne, które bronią jego zasługi.

Przodem w tym kierunku idzie oczywiście burżoazya, pieszczoch XIX-go wieku. Cała prasa mieszczańsko-liberalna, zostająca na służbie handlu i przemysłu, sławi „postęp“ gasnącej epoki. Wtórują jej uczeni pozytywni i bezwyznaniowcy wszelkich odcieni.

Nie ulega wątpliwości, że każda chwila dziejowa posiada obok cieni swoje własne światła, — swoich trudów wytwór dodatni.

Pod względem uwygodnienia materyalnych warunków życia zrobił wiek XIX w istocie więcej, aniżeli poprzednich pięć. Koleje żelazne, telegrafy, telefony zniosły przestrzenie; fabryki umożliwiły najuboższemu nabycie przedmiotów, uważanych dawniej za zbytkowne; prasa wciągnęła wielkie masy w koło ruchu umysłowego i społecznego.

Historya nauki zaznaczy w stuleciu dogorywającem niezwykły rozwój umiejętności przyrodniczych; handel,

przemysł i sztuka inżynierska święciły wielkie tryumfy; żywioły, pomijane przez prawodawstwo szlacheckie, zbliżyły się do warstw uprzywilejowanych.

Program t. zw. wielkiej rewolucyi francuzkiej stał się w pewnej części ciałem: ludzkość cywilizowana zdemokratyzowała się i zmateryalizowała.

Ale pod względem moralnym człowiek współczesny nietylko nie postąpił naprzód, lecz cofnął się o kilka kroków w tył. Właśnie owe *plusy* dziewiętnastego stulecia, rozbudziwszy w nim apetyty, których ani siły ludzkie w ogóle, ani ustrój społeczny po szczególe, zaspokoić nie mogą, odebrały mu spokój dawniejszych, skromniejszych w swoich wymaganiach pokoleń i uświadomiły w nim wszystkie niechęci zawiedzionego w nadziejach zwierzęcia.

Tyle mówiono człowiekowi współczesnemu o dobrobycie, iż trudno się dziwić, że mu ubóstwo obrzydło. Tak uczenie przedstawiono mu prawa samolubstwa, że musiał ukochać siebie więcej, aniżeli to potrzebne do jego szczęścia osobistego i do równowagi społecznej.

Powyższe dwie przyczyny w połączeniu z osłabieniem uczuć religijnych, z płaską bezwyznaniowością zdawkowego oświecenia, wytworzyły ową gorączkę niezadowolenia, która trawi wszystkie szlachetniejsze natury naszej chwili dziejowej.

Rozumie się, że dreszcz pesymistyczny wstrząsa i dziś, jak zawsze, bardzo drobną cząstką ludzkości, ale ta liczebnie nieznaczna mniejszość pisze książki, układa prawa, szuka nowych form społecznych, prowadzi wojny — wyciska na epoce niezatarty, dla potomnych widoczny ślad swoich marzeń, zwątpień i niepokojów.

Są w naszych czasach, przeładowanych bibułą, dwa wielkie zwierciadła, w których się oblicze człowieka współczesnego odbija wyraźnie ze wszystkiemi zmarszczkami. Literatura, zwana piękną, i prasa chwytają w lot każdy

uśmiech i najlżejsze drgnienie powieki. One będą kiedyś dla przyszłego historyka gasnącego stulecia nieprzebraną kopalnią wskazówek.

Przedewszystkiem zdziwi się ów historyk nadmiernej zmysłowości ludzi drugiej połowy XIX wieku. Począwszy od „Pani Bovary“ Flaubert'a, a skończywszy na najbłahszem romansidle ostatniorzędnej autorki, piszącej dla motłochu czytelniczego, znajdzie on prawie wszędzie na pierwszym planie miłość płciową, obnażoną rozmyślnie, odartą świadomie z różowych zasłon fantazyi poetyckiej.

Wstydliwości, przyzwoitości w rozumowaniu pospolitem będzie ów historyk szukał daremnie w belletrystyce naszych czasów, która nazywa wszystko po imieniu, maluje każdą sytuacyę, nie zakrywa żadnego szczegółu.

Miłość zmysłowa, namiętna aż do podłości lub zbrodni, dysze w powieści realistycznej różnych odcieni, silniejsza od obowiązku, uczciwości i honoru. Mężowie zdradzają dla niej żony, żony mężów, ojcowie i matki zaniedbują dzieci, bogaci tracą majątki, ubodzy kradną, oszukują, zabijają, byle zgasić jej żar trawiący.

Ktoby wierzył, że powieść jest rzeczywistem odbiciem chwili, jak sama o sobie twierdzi, ten miałby prawo nazwać człowieka współczesnego samcem, znajdującym się w stanie ciągłego podrażnienia zmysłowego. Wszystkie myśli, uczucia i dążności bohaterów i bohaterek ogniskują się w miłości płciowej, nie widząc po za nią nic wyższego i lepszego.

To samo odnosi się także do komedyo-dramatu mieszczańskiego, do t. zw. „sztuki,“ do farsy i operetki. Wszędzie jest miłość, wyemancypowana, grzeszna, osią intrygi, przewodnią nicią bajki, cementem, łączącym poszczególne części w całość artystyczną.

Miłość, w powieści naturalistycznej brutalna, jak oszalałe zwierzę, „cywilizuje“ się w miarę tępienia zmysłów.

Zrazu gwałtowna, niewybredna, staje się z czasem rafinowaną sybarytką, szukającą już tylko rozkoszy sztucznych.

Po fizyologii przyszła kolej na patologię. Nawet plastycznego obrazu chorób sekretnych nie oszczędziła literatura „piękna“ czytelnikom. Wszystkie wybryki erotomanii, graniczącej z obłędem płciowym, doczekały się ram artystycznych.

Obok nadmiernej zmysłowości znajdzie przyszły historyk XIX stulecia w belletrystyce jego drugiej połowy pragnienie dobrobytu i chciwość pieniędzy, jako środka do używania. Legion nowelistów lamentował nad „ubogimi,“ chociaż ich o to owi ubodzy, szczęśliwsi zwykle od bogaczów, nie prosili; setki powieści apoteozowały kupców, fabrykantów, inżynierów, przemysłowców, korząc się przed Złotym Cielcem z uległością lokajów. „Właściciele kuźnic“ zajęli miejsce rycerzów, myślicieli i poetów, wszelaka „praktyczność“ była ideałem najwyższym.

Autorowie z głową szerszą, których sama miłość nie zadowalała, belletryści społeczni w rozumieniu właściwem odtwarzali z upodobaniem ponure obrazy materyalnej nędzy ludzkiej, szukając ich w warsztatach, na poddaszach i w chacie chłopskiej.

Nienawiść do ubóstwa syczy w powieści społecznej drugiej połowy bieżącego stulecia jak gad zazdrosny.

A głównym bodźcem postępowania bohaterów i bohaterek jest zawsze pospolite samolubstwo człowieka-zwierzęcia, rozpętanego z więzów obowiązku względem bliźnich. Jednostka chce kochać i używać bez troski o krzywdę otoczenia. Dochodzi w końcu do tego (u dekadentów), że z egoizmu rozwija się egotyzm, — chorobliwy indywidualizm, nie uznający nic i nikogo prócz siebie i swoich zachcianek.

Zdziwi się przyszły historyk XIX wieku, że w literaturze jego drugiej połowy odzywa się dusza tak rzadko, jak

gdyby zamarła w człowieku, zamordowana przez ciało. Nigdzie nie dostrzeże jej tęsknot, nie usłyszy szelestu jej skrzydeł, wzbijających się w krainy nadziemskie. Tylko zmysły kochają, pożądają, zazdroszczą i nienawidzą.

A kiedy się ta dusza ludzka, skazana na śmierć przez materyalizm, nareszcie — przy końcu stulecia — odzywa, wydobywa się jej głos z po za gęstych mgieł mistycyzmu i okultyzmu, — niewyraźny, zatarty. Niewiadomo, czego pragnie, dokąd zmierza. Wołanie jej nie różni się niczem od majaków gorączki. Jacyś ludzie chorzy, znużeni śmiertelnie, wyciągają ręce po omacku do nowej gwiazdy przewodniej, której nie widzą.

Mędrkowali i nadużywali rozumu i ciała dopotąd, dopóki nie stracili zdolności odczuwania rozkoszy zmysłowych i trzeźwego myślenia. Pomieszały się w ich głowach elementarne zasady piękna, logiki i stylu. Wyrażają się, jak obłąkani lub zdziecinniali starcy, a wierzą, że niosą ludzkości nową ewangelię.

Odtwarzając oblicze XIX wieku na podstawie dokumentów literackich jego drugiej połowy (powieści, dramatów, komedyj, poezyj) nie będzie mógł przyszły historyk dobierać barw bardzo jasnych, wszędzie bowiem dostrzeże albo rysy, stargane namiętnością zmysłową i chciwością używania, albo zwiędły uśmiech przesytu. Człowiek współczesny przedstawi się mu pod postacią zwierzęcia, zawiedzionego w nadmiernych pożądaniach. *) Głos duszy usłyszy tak rzadko, iż pominie go zupełnie.

A drugie zwierciadło naszego czasu?

Wystarcza zestawić główniejsze telegramy jakiego-

*) Literatura polska tworzy jasną plamę na brudnem tle belletrystyki europejskiej. Ma ona, z małemi wyjątkami, ręce czyste i dużo poczucia obowiązku. Trucicielami swojego społeczeństwa autorowie polscy nie byli. (Przyp. autora).

kolwiek dziennika, aby się przekonać, że się ogólny poziom moralności nie podniósł, mimo licznych teoryj etycznych, które miały wszczepić w człowieka cywilizowanego uczucia altruistyczne, nauczyć go poszanowania obowiązku i wstrętu do cudzej krzywdy.

Oto, co ogłosił światu telegraf w przeciągu dni kilkunastu:

Londyn, 8 listopada: Chińczycy muszą port Artura wraz z dwunastoma tamże stojącemi okrętami wojennemi wysadzić w powietrze, jeżeli nie mają go zagarnąć japończycy. — *Rzym:* W Borghetto, w Sycylii, anarchiści napadli i spalili dom gminny. — *Rzym:* W Rimini, przed domem syndyka, wybuch bomby wyrządził znaczne szkody.

Londyn, 10 listopada: „Times“ donosi z Chefoo, że pod Talienwan toczyła się trzydniowa nierozstrzygnięta bitwa. — „Times“ donosi, że dwaj amerykańscy fabrykanci torpedów zawarli z Chinami umowę, w której obowiązują się torpedami swojemi zburzyć flotę japońską.

Londyn, 13 listopada: W pałacu sprawiedliwości znaleziono bombę z palącym się lontem. — *Berlin:* Z powodu zamordowania przez maurów marokańskich poddanego niemieckiego, Neumanna, poseł niemiecki otrzymał rozkaz i t. d. — *Paryż:* „Libre Parole“ donosi, że Dreyfuss wydał Niemcom dokumenty, odnoszące się do wynalazku Turpina.

Berlin, 15 listopada: Jutro ma się zgromadzić sąd wojenny celem osądzenia sprawy uczniów wojskowej szkoły pyrotechnicznej.

Berlin, 16 listopada: Niezmierne wrażenie obudził tutaj proces, wytoczony przez spadkobierców Maurycego Friedländera, zmarłego przed rokiem poważnego bankiera i radcy handlowego, Meyerowi Kohnowi, którego oskarżają o sprzeniewierzenie spadku. Chodzi o przeszło milion marek. Adwokat Cohn odebrał sobie życie. — *Medyolan*: Z Caglari donoszą, że ostatniej nocy stu brygantów napa-

dło na miejscowości Tortoli. Rabusie zrabowali domy i zamordowali karabinierów. — *Rzym:* Dzienniki zapewniają, że były prezes ministrów, Giolitti, wezwany będzie do sędziego śledczego w sprawie wykradzenia z jego polecenia dokumentów w procesie „Banca Romana.“ — *Londyn:* Z Szangaju donoszą, że marszałek Yamagata odniósł nowe świetne zwycięztwo nad kawaleryą chińską. — *Rzym:* W Sycylii brigantaggio z powodu głodu i nieurodzaju zboża i wina przybiera zastraszające rozmiary. — *Insbruck:* Morderca kobiet, mularz Mayr, przyznał się do winy.

Londyn, 17 listopada: Generała Wei ścięto wczoraj za tchórzostwo, okazane w obliczu nieprzyjaciela. — *Paryż:* W izbie deputowanych interpelował Lamendin rząd z powodu usunięcia w kopalniach *Nord* wielu robotników, którzy uczestniczyli w zmowach. — *Bruksella:* Z Charleroi telegrafują, że panuje tam wielkie przerażenie, gdyż w nocy dokonano kilku zamachów na pociągi kuryerskie pomiędzy Bruksellą a Paryżem. Przestawiono sygnały. Obawiają się wielkich nieszczęść.

Amsterdam, 20 listopada: Pięć batalionów zaatakowało Tiakranegara i zdobyło miasto. Walka była bardzo zacięta. — *Londyn:* „Times“ otrzymał wiadomości ze Smyrny, potwierdzające okrucieństwa, popełnione przez wojska tureckie. — *Paryż:* W Pont-à-Mousson aresztowano dwóch szpiegów niemieckich.

Londyn, 22 listopada: Żołnierze japońscy w porcie Artura zrabowali miasto i wymordowali prawie wszystkich mieszkańców. Wielu jeńców chińskich rozebrano i rozstrzelano; niektórym rozplatano brzuchy, innym poodejmowano członki. — *Lwów:* Siedmdziesięcioletni właściciel biura wywiadowczego, Langford, zastrzelił żonę staruszkę a następnie siebie. — *Lwów:* Wiktor hr. Baworowski, tłómacz Byrona, milioner, odebrał sobie życie przez poderznięcie gar-

dła. — *Paryż:* Odbyły się dalsze rewizye w sprawie szantażu prasowego. Odkrycia są istotnie przerażające.

Chyba dosyć... Bitwy morskie i lądowe, wysadzanie okrętów w powietrze, pastwienie się nad zwyciężonymi, mordowanie bezbronnych, nienawiści, napady bandytów, bomby anarchistów, wykolejanie pociągów, krzywoprzysięztwa, fałszowanie testamentów, szantaże, szpiegostwo, zmowy robotników, samobójstwa starców z nędzy i t. d. — złożą kiedyś cywilizacyi naszych czasów świadectwo bardzo smutne.

A wszystko to stało się w przeciągu dni kilkunastu i powtarza się bezustannie.

Gdy się do telegramów doda rubryki sprawozdań sądowych i drobnych wiadomości — oszustwa, kradzieże, rozmyślne bankructwa, lichwę, wiarołomstwa, ojco- dziecio- i samobójstwa, napady i mordy w celach rabunku, procesy o spadki, obalania testamentów, przeniewierstwa urzędników bankowych i t. d., — powstanie obraz tak wstrętny, iż trudno się dziwić pogardzie pesymistów dla człowieka.

Nie paradoks wygłosił Baudelaire, gdy wołał: „W każdym numerze jakiejkolwiek gazety, bez względu na dzień, miesiąc, rok, w każdym jej wierszu spotykamy ślady najstraszniejszej przewrotności ludzkiej obok zdumiewających przechwałek uczciwości, dobroci i miłosierdzia i najbezczelniejszych zapewnień, odnoszących się do postępu i cywilizacyi. Każdy dziennik, począwszy od pierwszego wiersza do ostatniego jest stekiem zgrozy: wojny, kradzieże, zbrodnie, szał powszechnego okrucieństwa... Ze wszystkiego na tym świecie sączy zbrodnia: z gazety, z muru, z twarzy człowieka.“

Myli się tylko Baudelaire, gdy obwinia gazety o rozmyślne lubowanie się w brudzie. Nie one winny, że z kart ich sączy się zbrodnia, lecz człowiek, który dostarcza ciągle tak bogatego materyału nikczemności. Dzienniki

zaznaczają tylko wypadki jaskrawe, pomijając miliony owych drobnych podłości, z których się życie składa, — owe zawiści, podstępy, zdrady, nieuczciwości codzienne, nie pociągane do odpowiedzialności sądowej, a łamiące mimo to bardzo często szczęście bliźniego.

Tylko wypasiony filister lub bezkrytyczny optymista może być zadowolony z owoców cywilizacyi naszych czasów.

Człowiek w ogóle nie nauczył się dotąd niczego od proroków, myślicielów, poetów i bohaterów, których swojego czasu krzyżował, więził, głodził, poniewierał — niczego od natchnionych i szlachetnych. Jak był samolubem, ulegającym jedynie przemocy, tak został nim. Zmieniły się w niektórych wypadkach formy egoizmu, złagodniały, wygładziły się, ale istota rzeczy trwa dotąd i trwać będzie jeszcze długo.

Do pospolitych występków wszystkich czasów przybyły w ostatniem stuleciu przewrotności, znane tylko epokom zwyrodnienia fizycznego i moralno-umysłowego. Kronika skandaliczna stolic europejskich przypomni przyszłemu historykowi XIX stulecia wybryki i dziwactwa Rzymu Antoninów i miast włoskich z końca wieków średnich.

Dość zestawić cechy znamienne upadającej Romy z rysami charakterystycznemi dzisiejszego Paryża, aby zamknąć usta chwalcom chwili obecnej.

Jak w stolicy nadsekwańskiej, tak wypędziła i w mieście miast nad Tybrem zdawkowa oświata bogów ze świątyń i z serc inteligencyi. Marek Aureliusz pozwalał wszystkim wyznaniom ówczesnego „świata“ istnieć obok siebie dla wszystkich równie pobłażliwy i obojętny. Chociaż składał urzędowo ofiary mieszkańcom Olimpu i duchom opiekuńczym Rzymu, uznawał właściwie tylko swojego własnego, nieokreślonego, filozoficznego Boga.

Bezwyznaniowość, sceptyczm, pesymizm trawiły Rzym

Antoninów tak samo, jak Paryż współczesny. Filozofowali, mędrkowali, medytowali, bawili się w subtelności psychologiczne senatorowie i plebeje, mężczyźni i kobiety. Dzisiejszą sawantkę, „niebieską pończochę,“ znał już Juwenalis, a drwili z niej wszyscy satyrycy drugiego stulecia ery chrześciańskiej.

Wszakże za Marka Aureliusza to żył Lucyan, protoplasta naszych Heine'ych, Baudelaire'ów, Richepin'ów i wszelakich bluźnierców.

I chorobliwa erotyka grasowała w upadającym Rzymie tak samo, jak w dzisiejszym Paryżu. Autorowie greccy obrabiali miłość bez końca, a publiczność pochłaniała ich lubieżne elukubracye bez znużenia. Całą górę tkliwych romansów zostawił po sobie gorszący geniusz starego świata.

Równolegle z erotyką w powieści i elegii szło praktyczne wyuzdanie płciowe. Współcześni rozkosznicy nie dodali do pomysłów dekadentów rzymskich nic nowego. Uczą się oni od nich tylko, naśladują ich, nie mogąc prześcignąć.

Zanik poczucia obowiązku, tak silnego w Rzymie królów i pierwszych konsulów, że stworzyło cały legion bohaterów i długi szereg wielkich obywateli, świecących dotąd przykładem, — i niezwykły rozkwit samolubstwa (indywidualizmu) toczyły jak rak cesarstwo Antoninów, niwecząc pracę pokoleń, które mniej filozofowały, a więcej czyniły.

Chciwość złota rzucała potomków historycznych rodów w objęcia córek zbogaconych poborców, celników i kupców, łamała charaktery, drwiła z dumy i cnoty. Jak dziś w stolicach europejskich, zawierano i w upadającym Rzymie mnóstwo małżeństw mieszanych i korzono się przed parweniuszami bez zasługi osobistej. Za pieniądze, zarobione w oszukańczych przedsiębierstwach, rozdawała „złota, oświecona“ Roma pierścienie rycerskie.

I literaturę dekadencką mieli wytwornisie rzymscy.

W okruchach pomników piśmiennych, które zachowały się z owych czasów, stłumiła gra słów myśl, forma treść. Poezye cesarza Hadryana przypominają utwory Moréas'ów Kahn'ów i in.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że cywilizacya nowoczesna doszła do tej samej mety, na której stanęła cywilizacya grecko-rzymska za Antoninów.

Gostków—Warszawa.
Listopad—Grudzień 1894 r.

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

I.	Rozkład cywilizacyi rzymskiej	od str.	3	do	52
II.	Rozkład cywilizacyi nowoczesnej	„	52	„	82
III.	Dekadentyzm w literaturze francuzkiej. Baudelaire	„	82	„	105
IV.	Paweł Verlaine.—Maurycy Rollinat.—Jan Richepin	„	105	„	156
V.	Maurycy Maeterlinck	„	156	„	174
VI.	Dekadentyzm w powieści francuskiej	„	174	„	184
VII.	Dekadentyzm w literaturze niemieckiej. Fryderyk Nietzsche	„	184	„	200
VIII.	Zakończenie. Człowiek współczesny w oświetleniu literatury i prasy	„	200	„	211

PN
45
J327
1895

Jeske-Choinski, Teodor
Na schylku wieku

PLEASE DO NOT REMOVE
CARDS OR SLIPS FROM THIS POCKET

UNIVERSITY OF TORONTO LIBRARY

UTL AT DOWNSVIEW
D RANGE BAY SHLF POS ITEM C
39 10 28 05 11 006 0